

Justin Go

WYŚCIG Z CZASEM

Ta powieść jest ekscytująca,
wciągająca, niezwykła. Uwielbiam ją!

Kate Mosse, autorka *Labyrinth*

Justin Go

WYŚCIG
Z CZASEM

przełożył
Jan Dzierzgowski

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE
MUZA SA



Moim rodzicom

„Mój dziwny druhu”, rzekłem, „po cóż tu rozpaczać?”.

„Żadnej przyczyny”, odparł, „oprócz lat straconych,

Prócz beznadziei. Bowiem wszelkie twe nadzieje

Były i w moim życiu; ruszyłem na łowy,

Aby zdobyć najdzikszą piękność w całym świecie.

Nie znajdziesz jej w łagodnych oczach ni splecionych włosach,

Ona wykpiwa wciąż miarowy bieg godziny,

Gdy zaś rozpacza, rozpacz jej większa niż tutaj”.

Wilfred Owen, *Strange Meeting*

FORTUNA



List został doręczony przez kuriera w zeszłym tygodniu.

Gdy tylko dotknąłem koperty, wiedziałem, że papeteria jest pierwszorzędnej jakości, poczułem porowatą fakturę papieru bawelnianego, a kiedy wyjąłem list i spojrzałem pod światło, dostrzegłem przeświecający przez niego znak wodny. Teraz leży w torbie upchniętej w schowku na bagaż nad moją głową, ale wciąż mam przed oczami jego kremowe włókna i tłoczony nagłówek: *Twynning & Hooper, Kancelaria notarialna, Bedford Row 11, Londyn.*

Kurier zapukał do moich drzwi z przesyłką i podkładką w rękę. Zapytał mnie o nazwisko.

– Usługa specjalna – wyjaśnił. – Nadawca zażądał sprawdzenia dokumentu tożsamości.

Pokazałem kurierowi prawo jazdy i podpisałem pokwitowanie. Wręczył mi list. Na blacie kuchennym odpiąłem plastikowe zapięcie koperty ekspresowej. W środku była mniejsza, kremowa koperta.

Stałem nad zlewem i czytałem list.

Szanowny Panie Campbell,

piszę do Pana jako powiernik majątku spadkowego, którego znaczna część nie została jeszcze rozdzielona. W ostatnim czasie wypłynęły na światło dzienne informacje, świadczące o powiązaniach między Panem a osobą wymienioną w testamencie w charakterze beneficjenta. Jako że nie mogliśmy znaleźć Pańskiego aktualnego numeru telefonu, wysyłamy niniejszy list na adres z książki telefonicznej z prośbą o nawiązanie pilnego kontaktu.

Chciałbym podkreślić z całą mocą, że właściwe rozwiązanie sprawy, o której piszę, jest przedmiotem naszej najwyższej troski. Będę tedy nadzwyczaj zobowiązany, jeśli zadzwoni Pan do mnie przy pierwszej dogodnej okazji, na koszt abonenta. Numer telefonu znajdzie Pan powyżej.

W Pańskim interesie leży zachowanie niniejszej sprawy w ścisłej tajemnicy do czasu naszej rozmowy.

Z poważaniem

J.F. Prichard

Notariusz – Obsługa klientów prywatnych

W imieniu Twynning & Hooper LLP

Poszedłem do budki telefonicznej cztery przecznice wzdłuż Valencia Street. Ktoś ułamał część plastikowej słuchawki, ale gdy przyłożyłem ją do ucha, usłyszałem sygnał. Pierwsza telefonistka przekazała mnie kolejnej i tak dalej, aż w końcu dodzwoniłem się do Anglii.

W kancelarii odebrała sekretarka. Okazało się, że Prichard jest poza swoim gabinetem, ale mogę rozmawiać z panem Geoffreyem Khanem. Khan brzmiał, jak gdyby brakowało mu tchu.

– A więc pan istnieje. Mój Boże! James będzie zachwycony, na pewno za chwilę

podejdzie do aparatu. Czy mogę dostać pana obecny numer telefonu, w razie gdyby połączenie zostało przerwane? Już samo znalezienie pańskiego adresu było niełatwe...

– Nie mam teraz telefonu.

– Rozumiem. Proszę się zatem nie rozłączać, James za moment podejdzie. Proszę powiedzieć, czy pańska babka...

W słuchawce odezwał się drugi męski głos. Brzmiał starzej. Jego właściciel wymawiał słowa z osobliwą precyzją.

– Mówi James Prichard. Geoffreyu, pozwolisz, że przejmę rozmowę.

Khan pożegnał się, usłyszałem kliknięcie w słuchawce.

– Panie Campbell – zaczął Prichard. – Przede wszystkim pragnę podziękować za telefon. Proszę wybaczyć, ale czy mógłby pan odpowiedzieć na kilka prostych pytań, abyśmy mogli potwierdzić, że rozmawiamy z właściwą osobą? To na wypadek pomyłki.

Wcisnąłem stalowy guzik telefonu, żeby zwiększyć głośność.

– Jasne.

– Wyśmienicie. Powinienem dodać, że nie prowadzimy, rzecz jasna, żadnego oficjalnego dochodzenia i nie ma pan obowiązku z nami rozmawiać, choć rozmowa leży w pańskim interesie. Oczywiście wszelkie przekazane przez pana informacje posłużą wyłącznie do rozwiązania sprawy i zachowane zostaną w najściślejszej tajemnicy. Czy mógłby mi pan podać pełne nazwisko swej matki?

– Elizabeth Marie Campbell.

– Nazwisko panięskie?

– Martel.

– Miejsce urodzenia?

– San Francisco.

– Dziękuję. A imię babci?

Zawahałem się przez moment.

– Charlotte Grafton. Nie wiem, czy miała drugie imię...

– W porządku. Czy zna pan miejsce jej urodzenia?

– Gdzieś w Anglii.

– Naturalnie. Dziękuję za udzielenie odpowiedzi na moje pytania. Jeśli wolno, chciałbym wyjaśnić pokrótce, skąd to całe zamieszanie. Blisko osiemdziesiąt lat temu naszej kancelarii powierzono zadanie przygotowania cokolwiek osobliwego testamentu. Niedługo potem testator zmarł. Jednak główny beneficjent nigdy nie wystąpił o potwierdzenie swoich praw do należnego mu majątku. Co nawet bardziej niezwykle, w testamencie ustanowiono zarząd powierniczy, sprawujący nadzór nad owym majątkiem do czasu, gdy zostanie on przekazany głównemu spadkobiercy bądź jego bezpośrednim potomkom. Z najróżniejszych powodów przekazanie majątku nigdy nie było jednak możliwe.

Notariusz przerwał. Gdzieś w tle usłyszałem kobiecy głos. Prichard zasłonił słuchawkę i coś odpowiedział.

– Proszę wybaczyć – rzucił i na nowo podjął wątek naszej rozmowy. – Ostatnio w moje ręce trafił dokument, który sugeruje, że może pan być spokrewniony z osobą wymienioną w testamencie. Nie chcę rozbudzać w panu próżnych nadziei, ale długo czekaliśmy, by wypełnić wolę naszego klienta, teraz zaś po raz pierwszy od dziesięcioleci wpadliśmy na istotny trop. Wszystko to, podkreślam, musi zostać utrzymane w najściślejszej tajemnicy dla naszego, a przede wszystkim pańskiego dobra. Niepożądane zainteresowanie sprawą może stanąć na przeszkodzie pańskich potencjalnych roszczeń.

Powiedziałem Prichardowi, że rozumiem.

– Oczywiście – ciągnął – niełatwo przyswoić sobie taką dawkę informacji naraz, zwłaszcza gdy przychodzą one z drugiej strony Atlantyku. Sugeruję, by sprawdził pan naszą firmę i przekonał się o wiarygodności kancelarii Twyning and Hooper. Poza tym mam jeszcze jedno pytanie: nie wie pan przypadkiem, czy istnieją akta stanu cywilnego pańskiej rodziny? Czy zachowały się i ma pan do nich dostęp?

– Nie jestem pewien.

– Chodzi mi w szczególności nie tylko o pański akt urodzenia i tym podobne, lecz również o dokumenty dotyczące pańskiej matki i przede wszystkim babki.

– Wątpię, ale mogę poszukać. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli cokolwiek na temat babci.

– Będę zobowiązany, jeśli zechce się pan rozejrzeć. Geoffrey przekaże panu wykaz dokumentów, które szczególnie by nas interesowały.

Ulicą przejechał wóz strażacki, za moimi plecami rozległo się wycie syreny.

– Ależ harmider – skomentował Prichard. – Czy jest pan poza domem?

– Tak, w budce telefonicznej.

– Ach – westchnął Prichard. – Nic dziwnego, że Geoffrey nie mógł znaleźć pańskiego numeru. Cóż, chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy. Nie spodziewam się oczywiście odpowiedzi w tym momencie, ale czy byłaby szansa, by odwiedził pan w najbliższym czasie Londyn, na nasz koszt? Czas odgrywa dużą rolę, a pańska obecność tutaj pozwoliłaby przyspieszyć sprawę.

– Nie wiem. Może mi się uda.

– Niezmiernie ucieszyłby mnie pański przyjazd. O ile mi wiadomo, jest pan studentem?

– Właśnie skończyłem studia.

– Proszę przyjąć gratulacje. W takim razie może zdoła pan odłożyć wejście do świata ludzi pracujących na czas krótkiego wypadu do Anglii?

– Może...

– Proszę to rozważyć. Przełączę pana z powrotem do Geoffreya, abyście mogli omówić pewne kwestie administracyjne, w tym naszą politykę poufności oraz pańską ewentualną wizytę. Geoffrey jest do pańskiej dyspozycji, jeśli chodzi o wszelkie szczegóły. W razie potrzeby proszę nie wahać się i telefonować do mnie, aczkolwiek Geoffreya z reguły łatwiej złapać.

Prichard wziął oddech i na moment zawiesił głos.

– Panie Campbell – kontynuował po chwili – muszę zalecić, aby nie wspominał pan swej rodzinie o naszej rozmowie, dopóki nie wyrobi pan sobie jasnego stanowiska. Nie namawiam do kłamstw. Jeśli jednak rzeczywiście jest pan spadkobiercą majątku, to ze strony rodziny pańskiej matki. Jedynym spadkobiercą. Ani pański ojciec, ani macocha, ani przyrodnie rodzeństwo nie mają podstaw do jakichkolwiek roszczeń. Zalecam więc dyskrecję.

– Rozumiem.

– Łączę pana z Geoffreym. I pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że następną rozmowę odbędziemy w Londynie.

To było cztery dni temu. Cztery długie dni. Dziś rano, wchodząc wreszcie na pokład samolotu, czułem się wspaniale. Nigdy wcześniej nie podróżowałem klasą biznesową. Stewardesy co chwilę proponowały mi jedzenie, szampana albo kawę, aż wreszcie zgasły światła i wszyscy opuścili oparcia siedzeń. Od godziny leżę pod kocem i nie potrafię zasnąć. Wreszcie włączam lampkę do czytania i wyjmuję notatnik.

15 sierpnia, lot British Airways z San Francisco do Londynu

Ostatniej nocy prawie nie spałem. Ale teraz też nie mogę zasnąć. Wszystkie te plany i czekanie na właściwy moment – i nagle coś się dzieje, i siedzę w samolocie do Londynu. Bo nie

miałem wyboru, mogłem tylko zostać albo ruszyć w drogę. Niezła lekcja.

Jutro spotykam się z prawnikami. Nie znalazłem nic, co warto by im pokazać, ale i tak chcieli, żebym przyleciał. Dlaczego?

Nieważne. Za cztery godziny będę w Londynie. To wszystko, co wiem. I to mi wystarczy.

Zamykam notatnik i opieram głowę o chłodną szybę okna.

Budzę się wśród różowego zachodu słońca, światło wlewa się przez podwójną szybę. Na zewnętrznej stronie okna utworzyły się kryształki lodu – kalifornijska rosa zamarzła na kamień w rozrzedzonym powietrzu. Między wiszącymi niżej kłębiastymi chmurami widzę postrzępione czarne wybrzeże, a potem łąki o barwie najgłębszej zieleni. Potężny błękitnobiały lodowiec opada ku morzu. Islandia. Jestem u bram Europy.

Przed wyjazdem zadałem Geoffreyowi Khanowi jedno pytanie.

– Czemu zostawiać pieniądze osobie, która nawet się po nie nie pofatygowwała?

Khan westchnął.

– Nawet gdybym znał odpowiedź, nie mógłbym jej panu zdradzić. Informacje na temat naszego klienta mogą być udzielane wyłącznie za zgodą powierników. Proszę zapytać Jamesa, gdy już pan przyjedzie, ale nie gwarantuję, czy i on będzie umiał zaspokoić pańską ciekawość.

– Rozumiem.

– Niemniej, jeśli mogę, powiem jedno. Sądzę, że to na tyle oczywiste, iż nie stanowi naruszenia tajemnicy.

– Proszę mówić.

– To było w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym. Mówimy o ludziach innych niż pan czy ja.

KSIEGA PIERWSZA



ALBION

*Synu bogini, dokąd los nas ciągnie
I dokąd spycha nas, idźmy. Cokolwiek
Stanie się, wszelką dolę się zwycięża
Cierpieniem.*

Wergiliusz, *Eneida*, księga V, 709–710

przeł. Zygmunt Kubiak

RADCY PRAWNI



Z bezbarwnego londyńskiego nieba pada łagodny deszcz. Przebijam się przez tłum przy High Holborn, spoglądając na mapę, którą trzymam w dłoni. *Kingsway. Procter Street.* Woda deszczowa zbiera się w ciemnych kałużach. Odbijają się w nich białe furgonetki, kruczożarne taksówki i autobusy czerwone jak cukierki.

Skrećam w lewo w Sandland Street i dochodzę do Bedford Row. Stoi tam rząd trzypiętrowych ceglanych kamienic w stylu georgiańskim. Obok drzwi pod numerem jedenastym widzę mosiężną tabliczkę: TWYNING & HOOPER, KANCELARIA NOTARIALNA. Lekko oszołomiony i rozedrgany naciskam przycisk domofonu. Na śniadanie wypilem dwa kubki kawy, ale niewiele to pomogło. Patrzę w obiektyw kamery nad wejściem. Białe kolumny w drzwiach mają jońskie kapitele.

– Dzień dobry, czym mogę panu służyć?

– Nazywam się Tristan Campbell. Jestem umówiony z Jamesem Prichardem.

Recepcjonistka wpuszcza mnie do środka. Bierze ode mnie kurtkę i prowadzi do poczekalni na miękką skórzaną kanapę.

– Geoffrey zaraz podejdzie.

Kilka minut później recepcjonistka wraca, niosąc na tacy porcelanowy serwis do herbaty. Herbata parzy mnie w język, dolewam więc mleka. Podnoszę wzrok i widzę, że recepcjonistka przygląda mi się zza biurka. Nasze spojrzenia spotykają się, kobieta uśmiecha się. Sięgam po leżący na stoliku egzemplarz „Financial Timesa” i kartkuję go, ale nawet nie próbuję się weń wczytać. Dopijam herbatę i odwracam filiżankę dnem do góry. PORCELANA SPODE COPELAND, ANGLIA.

– Panie Campbell, jakże się cieszę, że wreszcie się spotykamy.

Khan podchodzi z wawym krokiem i ściska mi dłoń. W dopasowanym granatowym garniturze wygląda szczupło. Blask wypucowanych półbutów robi wrażenie.

– Gotów na spotkanie z Jamesem?

Prowadzi mnie po wysokich drewnianych schodach. Ściany i sufit udekorowane są potężnymi freskami: król na koniu otoczony przez anioły, młoda Brytania z tarczą i trójzębem odbiera hołd całego świata.

Na schodach mijają nas dwaj młodzi mężczyźni w krawatach, niosący pod pachą kasztanowe aktówki. Pozdrawiają nas skinieniem głowy. Przez moment przyglądam się swoim ubraniom z second-handu. Pognieciona koszula i para starych spodni.

– Czuję się niezbyt elegancko.

Khan uśmiecha się.

– Nonsens. Pan jest klientem, my jesteśmy prawnikami.

Idziemy korytarzem ku podwójnym drzwiom. Khan przystaje i zwraca się do mnie cichym głosem:

– Jedna uwaga, zanim wejdziemy. Oczywiście może się pan zwracać do Jamesa po imieniu, konwenanse nie grają dla niego większej roli. Pozwolę sobie jednak zasugerować, by odpowiadał pan na wszystkie pytania... – Khan zawiesza głos – tak szczerze, jak pan potrafi. Z doświadczenia wiem, że ogólnikowość w rozmowie z Jamesem na niewiele się zda. Potrafi przejrzeć każdy unik. Niech pan więc będzie szczerzy do bólu, a on zachowa się tak samo wobec pana. Odpowiada to panu?

– Absolutnie.

Khan uśmiecha się ciepło, a potem puka do drzwi i zaprasza mnie do środka. Gabinet jest duży, lecz niewiele w nim mebli. Biurko z nogami w kształcie lwich łap, na blacie skrzętnie poukładane papiery. Skórzana kanapa i fotele klubowe. Ogromny perski dywan. Prichard stoi za biurkiem, wpatrując się w dokument, który trzyma tuż przy twarzy. Ma srebrne włosy, krawat, kamizelkę i koszulę z prostymi mankietami. Pozdrawia nas gestem dłoni i nie odrywając wzroku od dokumentu, drepcze przez chwilę między oknem a kominkiem. W końcu kładzie papier na biurku, podpisuje go i wzywa sekretarkę. Spogląda na nas z promiennym uśmiechem.

– „Jeśli nieubłaganą minutę wypełnisz sześćdziesięcioma sekundami biegu...” – cytuje i wyciąga do mnie dłoń. – James Prichard. Przepraszam, że musiał pan czekać. Mam nadzieję, że londyńska pogoda nie zawiodła pańskich oczekiwań?

Zaprasza mnie na jeden z foteli, sam zaś siada obok Khana na kanapie naprzeciwko. W identyczny sposób zakładają nogę na nogę. Na ścianie za ich plecami wiszą fotografie. Nad ramieniem Khana widzę czarno-białe zdjęcie przedstawiające grupkę mężczyzn w trzyczęściowych garniturach, stojących sztywno wokół łysego dżentelmena z białym wąsem. Dżentelmen trzyma w dłoni fajkę, a jego głowa jest lekko pochylona w stronę fotografa.

– Czy to Clement Attlee?

Prichard spogląda na mnie.

– Zgadza się, był naszym klientem.

Wskazuję na wysokiego jasnowłosego młodzieńca na zdjęciu.

– A to zapewne pan?

Prichard kiwa głową, choć nawet nie spogląda na fotografię.

– Nie zajmowałem się w zasadzie majątkiem pana Attlee. To zadanie przypadło najstarszym radcom. Pozwolili mi jednak uczestniczyć w kilku zebraniach ku pamięci przyszłych pokoleń. – Prichard milczy przez chwilę. – Zmieniając temat, jak upłynęła panu podróż? Proszę nie zrażać się do Londynu z powodu Heathrow. Ani British Airways, jeśli już o tym mowa. Nasze uroki skrywamy gdzie indziej. W którym hotelu został pan umieszczony?

– Brown's.

– Wyśmienicie. Miał pan już okazję pozwiedzać?

– Przyleciałem wczoraj w nocy.

– Przed powrotem koniecznie powinien się pan pokręcić po mieście. Tower, Regent's Park, British Museum.

Prichard spogląda na Khana.

– Umowa o poufności – przypomina Khan.

– Oczywiście – mówi Prichard. – Przeczytał ją pan starannie?

– Tak.

– Geoffrey mówił, że nie korzysta pan z usług pełnomocnika prawnego.

– Zgadza się.

Siwowłosy notariusz kiwa głową.

– Jak pan zapewne zauważył, umowa zabrania panu ujawniania jakichkolwiek szczegółów na temat sprawy osobom postronnym, co skądinąd wyklucza możliwość wynajęcia prawnika. Czy zgadza się pan podpisać umowę? Bez tego nie będę mógł panu przekazać żadnych szczegółowych informacji.

Khan kładzie wielostronicowy dokument na stoliku między nami i podsuwa mi wieczne pióro. Szybko znajduję ostatnią stronę i wydrapuję niekształtny podpis. Khan wzywa młodą kobietę, by go poświadczyła.

– Wszystko, co zostanie powiedziane od tego momentu – przestrzega Prichard – ma ściśle

poufny charakter. Geoffreyu, twoja obecność nie będzie potrzebna.

Khan i dziewczyna wychodzą, zamykając za sobą drzwi. Prichard przygląda mi się przez moment, jak gdyby czekał, aż coś powiem. Potem uśmiecha się lekko.

– Nie spodziewam się co prawda twierdzącej odpowiedzi, ale czy są panu znane dzieje wypraw na Mount Everest w latach dwudziestych ubiegłego stulecia?

– Wypraw?

– Proszę wybaczyć. Geoffrey wspomniał, że studiował pan historię, jednak jakiz uniwersytet zajmowałby się czymś podobnym w dzisiejszych czasach. Przejdźmy, proszę, do mojego biurka, obawiam się, że potrzebuję notatek, by wszystko wyjaśnić.

Prichard przystawia mi krzesło do biurka i siada naprzeciwko. Przekartkowuje plik dokumentów. Niektóre są drukowane, inne pisane ręcznie.

– Porządkowałem papiery cały tydzień. Ostrzegam, wszystko to może przyprawić o ból głowy. Postaram się nie zarzucać pana detalami, ale zależy mi, by pojął pan, na czym polega „problem” z majątkiem Walsinghama. Im szybciej, tym lepiej, ponieważ czas nas goni. Większość z tego, co pan usłyszy, pochodzi z relacji Petera Twyninga, wykonawcy testamentu. Na szczęście skrupulatnie wszystko zanotował. Sprawa była od początku zupełnie beznadziejna i Twyning doskonale o tym wiedział.

Prichard zakłada okulary w szylkretowych oprawkach i czyta przez moment dokument, który trzyma w dłoni.

– Naszym klientem był niejaki Ashley Walsingham. W wieku siedemnastu lat Walsingham odziedziczył niemały majątek po swym wujecznym dziadku, George’u Risleyu, który założył nadzwyczaj dochodową linię żeglugową. Był rok tysiąc dziewięćset trzynasty. Risley nie miał dzieci, a gdy zmarł ojciec Walsinghama, traktował Ashleya jak swego wnuka. Po jego śmierci Ashley odziedziczył większość majątku. Peter Twyning był jego zarządcą, później zaś stał się wykonawcą testamentu Walsinghama. Ashley podjął studia w Magdalene College w Cambridge w semestrze jesiennym tysiąc dziewięćset czternastego roku. Niefortunny moment, jak się pan zapewne domyśla. W sierpniu wybuchła wojna, Ashley, rzecz jasna, wstąpił do armii. Latem tysiąc dziewięćset szesnastego roku wysłano go na front. W ostatnim tygodniu, zanim wyruszył do Francji, poznał kobietę nazwiskiem Imogen Soames-Andersson.

Prichard spogląda na mnie uważnie.

– Czy to nazwisko coś panu mówi?

– Nie.

– Wielka szkoda, miałem nadzieję, że będzie inaczej. Widzi pan, Imogen była siostrą pańskiej prababki, Eleanor.

Kręcę głową.

– Nigdy o nich nie słyszałem. Soames...

– Soames-Andersson. Nazwisko angielsko-szwedzkie, bardzo niezwykła rodzina.

Twyning pozostawił wiele notatek na ich temat. Ojciec był dyplomata, pierwszym zastępcą ambasadora Szwecji w Londynie. Matka, Angielka, ponoć uznaną rzeźbiarką. Mieli dwie córki, Imogen i Eleanor. Soamesowie byli rodziną artystów, córki również zostały wychowane w duchu bohemy. Eleanor wyrosła na malarkę.

– Moja prababcia?

Prichard marszczy brwi.

– Tak, za chwilę do tego dojdziemy. Jak mówiłem, Ashley poznał młodszą siostrę Eleanor, Imogen, w sierpniu tysiąc dziewięćset szesnastego roku. Przez tydzień łączył ich jakiegoś rodzaju romans, po czym Ashley został wysłany do Francji. Sądzimy, że utrzymywali z Imogen kontakt. W listopadzie odniósł ciężką ranę pod koniec walk w bitwie nad Sommą.

Omyłkowo uznano go za zmarłego. Imogen została poinformowana przez naszą kancelarię o śmierci Ashleya, jednak tydzień później pomyłka wyszła na jaw. Na tę wieść Imogen natychmiast wyruszyła do Francji. Odnalazła Ashleya w szpitalu w Albert, nieopodal linii frontu. Ich krótkie spotkanie zakończyła, jak się wydaje, kłótnia. Tak przynajmniej Ashley powiedział Twyningowi. A potem Imogen zniknęła. O ile nam wiadomo, nigdy nie wróciła do Anglii i nikt jej więcej nie widział.

– Co się z nią stało?

Prichard zdejmując okulary.

– Nie wiemy. I chyba nigdy się nie dowiemy. Panna Soames-Andersson miała, przynajmniej w opinii Twyninga, reputację osoby cokolwiek impulsywnej, jeśli mogę tak to ująć. Z jego notatek wnioskuję, że uważał ją za kobietę dość nieprzewidywalną. Z pewnością wołał, aby ścieżki jej i Ashleya nigdy się nie przecięły. Czyniono wiele spekulacji na temat jej zniknięcia, ale niczego nie udało się dowieść. Ashley jednak trwał w przekonaniu, że Imogen żyje. Wiele razy zapewniał o tym Twyninga.

Prichard spogląda na zegarek i znów zakłada okulary.

– Pominąłem najistotniejszą informację. Wspinaczka. W Charterhouse jednym z nauczycieli Ashleya był Hugh Price, słynny alpinista. Wspinali się razem w Walii, w sezonach letnich zaś urządzali wyprawy w Alpy. W roku tysiąc dziewięćset piętnastym Ashleya wybrano na członka Alpine Club, na początku lat dwudziestych uchodził już za jednego z najlepszych wspinaczy w Wielkiej Brytanii. W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym zagwarantował sobie udział w trzeciej brytyjskiej ekspedycji na Mount Everest. Zanim popłynął do Indii, skąd wyruszali do Tybetu, zjawiał się w naszej kancelarii i zażądał zmiany testamentu. Wcześniej główną spadkobierczynią miała być jego matka. Teraz jednak Ashley kazał Twyningowi zapisać, że większość majątku odziedziczy Imogen.

– Myślałem, że Imogen zniknęła...

– Owszem, od siedmiu lat jej los był nieznan.

– Można zostawić pieniądze osobie uznanej za zaginioną?

– Dlaczegoż by nie? Prawo tego nie zabrania. To po prostu bardzo kiepski pomysł.

Twyning, rzecz jasna, próbował odwieść Ashleya od tych zamiarów, Ashley jednak postawił na swoim. Pieniądze zostały przekazane w zarząd powierniczy, do czasu gdy Imogen lub jej bezpośredni potomkowie nie wystąpią z roszczeniem. Zgodnie z wolą Ashleya powiernictwo zostało ustanowione na osiemdziesiąt lat. Gdyby przez ten czas nikt się nie zgłosił, majątek miał zostać podzielony między liczne instytucje oraz organizacje dobroczynne: Ashmolean Museum, Alpine Club, kilka wiejskich kościołków w Berkshire. Ten zapis uniemożliwiał komukolwiek uprzedzenie roszczenia Imogen w wyobrażalnym czasie trwania jej życia lub też przejęcie majątku przez Koronę.

Prichard przerzuca kilka dokumentów leżących na biurku.

– Siódmego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku Ashley Walsingham zginął na Mount Evereście w burzy śnieżnej podczas próby zdobycia szczytu. Matka dostała należną jej część majątku, lecz Imogen nigdy się nie odnalazła. Przez wiele dziesięcioleci spodziewaliśmy się, że gdy przyjdzie czas, po prostu rozdzielimy całą resztę zgodnie z testamentem. Przygotowaliśmy już nawet stosowne dokumenty. Aż nagle, w zeszłym miesiącu, wszystko się zmieniło.

Notariusz spogląda na mnie znad okularów.

– Otóż, panie Campbell, w ostatnich kilku latach interesowano się malarstwem Eleanor, choć jeśli dobrze rozumiem, nie tyle jej twórczością, ile powiązaniem artystycznymi. Najwyraźniej Eleanor utrzymywała bliskie kontakty z Camden Town Group oraz z kilkoma

uznanymi malarzami z Francji. W zeszłym miesiącu pewna studentka przeglądała listy Eleanor w British Library. Natrafiła na coś, co przykuło jej uwagę. Ostatecznie list trafił w nasze ręce. Sądzymy, że dotyczy Imogen.

Prichard podnosi z biurka kserokopię.

– List ten może wyjaśniać, czemu pan Walsingham zostawił pieniądze Imogen lub jej bezpośredniemu potomkowi. Nie jej siostrze, nie rodzicom Imogen, ale potomkowi.

Podaje mi kartkę.

– Oto list napisany w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym przez Eleanor do jej męża. C., o której mowa, to oczywiście pańska babka. W tamtym czasie miała osiem lat i najwyraźniej sprawiała kłopoty w szkole.

Kserokopia przedstawia ostatnią stronę listu. Pismo jest zamazyste, ale czytelne.

Francis uważa, że uda mi się otrzymać przynajmniej 8 tysięcy franków za portret Smythe'a. Jeśli nie został uszkodzony podczas transportu – a obawiam się, że tak mogło się stać, biorąc pod uwagę nietypowy format i typowo nieudolny zapakunek. Zdaniem Francis Broginart będzie chciał dokonać zakupu, gdy tylko zobaczy dzieło. Osobiście nie jestem co do tego przekonana.

Martwi mnie, rzecz jasna, wiadomość, że C. swoją krynóbrnością raz jeszcze zaszkodziła swym dobrze pojętym interesom. Owszem, panna Evans jest dość tępa, a w dodatku nieprzychylnie nastawiona do C., niepodobna jednak zaprzeczyć, że dziewczynka ma porywczy charakter i nie potrafi skupić uwagi. Staraliśmy się wychować ją wedle tego, co uznawaliśmy dla niej za najlepsze, ale zarazem na wiele jej pozwalaliśmy i zapewne zawsze już tak będzie. Z każdym dniem staje się bardziej podobna do swej matki, zarówno pod względem aparycji, jak i temperamentu.

Ogarnia mnie śmiech, gdy zastanawiam się, co pomyślałaby sobie I. Bez wątpienia uznałaby za zrzędzenie losu lub palec boży to, że C. jest odporna na nasze zabiegi wychowawcze i pozostaje taką, jaka się urodziła. Przyznam, mnie samą cieszy czasem nieustępliwość C. – tak wiele lat upłynęło mi już bez I. Przede wszystkim jednak martwię się, że spotka ją ten sam los co jej matkę.

Muszę kończyć – konsjerżka zapowiedziała właśnie przybycie dzielnej madame Boudin. Znowu.

Spal ten list.

Z miłością

Eleanor

Prichard zdejmuje okulary, gdy oddaje mu list, i odchyła się na krześle.

– Zdaje pan sobie sprawę, co to oznacza?

– Moja babcia była córką Imogen, nie Eleanor.

Prichard kiwa głową.

– A pan jest jej jedynym żyjącym potomkiem. List przetrwał, jak sędzę, wyłącznie za sprawą przypadku. Z prawnego punktu widzenia nie przedstawia większej wartości. Imogen nie zostaje nawet wymieniona z imienia.

– Mnie wydaje się jasne...
– Jeśli to prawda. Ale z wielu powodów tak być nie musi. Dlatego właśnie prawo nie uznaje podobnych listów. Potrzebujemy o wiele bardziej przekonujących dowodów.

– Na przykład?

– Na przykład oficjalnych dokumentów łączących pańską babkę z Imogen. Biorąc pod uwagę wysiłek, jaki włożono w zatajenie, kto naprawdę był matką pańskiej babki, trudno oczekiwać, by takie dokumenty się zachowały. Stąd muszą nam wystarczyć inne dowody podobne do tego. Potrzebujemy ich jednak znacznie więcej.

Przez chwilę zastanawiam się nad sytuacją.

– To znaczy, że ten Walsingham był ojcem?

– Prawdopodobnie. To by wiele wyjaśniało.

– Nie rozumiem. Sądzi pan, że mogę wyszukać coś na ten temat?

Prichard wstaje i zaczyna przechadzać się po gabinecie.

– Znaleźliśmy się w impasie. Powiernictwo Walsinghama zostało ustanowione z dużym naciskiem na poufność, określono ściśle zasady, jakimi muszą się kierować powiernicy, prowadząc dochodzenie. Pan Walsingham sądził, że Imogen zgłosi się sama, a ponadto nie chciał, by ktokolwiek węszył w ich prywatnym życiu. Na podstawie tego listu możemy domyślać się dlaczego. Jednym słowem, zasady powiernictwa wykluczają pomoc osób postronnych. Przez osiemdziesiąt lat nie zaangażowaliśmy ani jednego detektywa, ani jednego genealoga-researchera. Nikogo.

Prichard staje przed wysokim oknem i kręci głową.

– Łagodnie mówiąc, nieznośna sprawa. Ciągnęła się przez całą moją karierę. Pan Twyning zawsze twierdził, że majątek Walsinghama znajdzie prędzej czy później właściciela, że po tak ogromne pieniądze na pewno zgłosi się w końcu prawowity dziedzic. Ale nic podobnego się nie stało. Jest pan pierwszą osobą, której możemy ujawnić informacje na temat powiernictwa. Nielatwo było osiągnąć nawet tyle. Ponadto, jako potencjalny spadkobierca, zobowiązany jest pan dochować tajemnicy, toteż panu także nie wolno zwrócić się do nikogo o pomoc. Nie brzmi to, jak mniemam, zbyt zachęcająco. Ale kto wie, może dowody okażą się łatwe do znalezienia. My, powiernicy, zawsze mieliśmy związane ręce. Wiemy, że istnieje wyjaśnienie, nigdy jednak nie pozwolono nam go szukać.

Notariusz spogląda w moją stronę.

– Pan będzie miał okazję wykazać się większą rzutkością.

Ponownie odwraca się do okna. Deszcz przybrał na sile i spływa teraz po szybie strugami. Widzę mężczyznę biegnącego ulicą w poszukiwaniu schronienia.

– Sprawą Walsinghama nasza firma zajmowała się, jeszcze zanim podjąłem tu pracę, a w marcu upłynęło czterdzieści jeden lat od tamtego czasu. Liczę, że nim przejdę na emeryturę, uda się wreszcie wypełnić wolę naszego klienta. Nie chodziło mu przecież o pozostawienie pieniędzy jakiemuś kościołowi czy muzeum. Jak zatem może się pan domyślać, niezmiernie ucieszyła mnie wiadomość o tym liście i o pańskim istnieniu. Powiedzmy, że uważam tę sprawę za część mej zawodowej spuścizny i nie chciałbym, by zakończyła się porażką.

– Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć.

Prichard kiwa głową.

– Pozwoli pan, że coś mu doradzę. Jeśli istnieje dowód pańskiego pokrewieństwa z Imogen, nie znajdzie się go raczej w archiwach państwowych. Oczywiście, może pan próbować, ale Geoffrey już się tym zajął, gromadząc dane na temat pańskiej matki, jako że powiernikom pozwolono przeglądać dokumentację urzędów stanu cywilnego. Po roku tysiąc dziewięćset szesnastym wszelkie tego rodzaju informacje na temat Imogen się urywają.

Przeszukaliśmy najważniejsze archiwa, bez powodzenia.

Notariusz stuka palcem w leżącą na biurku kserokopię listu.

– Ten list to przełom. To trop, którym powinien pan podążać. Nowy dowód nierzadko otwiera nowe drzwi. Przez osiem dekad nikt nie miał dostępu do tej wiedzy ani też takiej swobody działania jak pan. Czy wyrażam się jasno?

– To niesamowite.

– Trafnie powiedziane. Niesamowity bałagan. Ufam, że zdoła pan to wszystko uporządkować. Proszę się wstrzymać z podziękowaniami, bo nie przekazałem panu jeszcze najgorszej wiadomości. Dziś mamy szesnasty sierpnia, zgadza się?

Prichard siada za biurkiem i bierze do ręki kolejny dokument.

– Ashley Walsingham zginął siódmego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku. Dwudziestego pierwszego wiadomość o tym pojawiła się w brytyjskich gazetach. Twynning, gdy tylko się dowiedział, podjął próby skontaktowania się z Imogen, oczywiście bezskuteczne. Siódmego października tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku majątek Walsinghama został więc przekazany w powiernictwo. Jak mówiłem wcześniej, po osiemdziesięciu latach...

– To za dwa miesiące.

Prichard mierzy mnie wzrokiem.

– Mniej więcej. Jeśli nikt nie wystąpi z roszczeniem, siódmego października majątek zostanie przekazany spadkobiercom rezerwowym. Daje to panu około siedmiu tygodni. Teraz rozumie pan, czemu nalegałem na pańską bezzwłoczną wizytę w Londynie. Przyznaję, to doprawdy parszywe szczęście, że tak późno dowiedział się pan o liście, proszę sobie jednak wyobrazić, co by było, gdybyśmy odkryli go za dwa miesiące. Tak, wszystko zależy od punktu widzenia. Pesymista zwróciłby uwagę, że ma pan zaledwie siedem tygodni na znalezienie tego, czego nie udało się znaleźć przez osiemdziesiąt lat...

Prichard nachyla się ku mnie. Na jego twarzy pojawia się cierpki uśmiech.

– Panie Campbell, pozwoli pan, że o coś go spytam. Nie jest pan pesymistą, prawda?

Waham się przez chwilę.

– Nie jestem pewien.

– Słowa godne prawdziwego Anglika. Ze swej strony jestem przekonany, że do października uda się panu wiele osiągnąć. Nie obiecuję, że znajdzie pan ostateczny dowód, nie mamy bowiem pewności, czy taki dowód w ogóle się zachował. Niemniej powinien pan ustalić wszystko, co jest do ustalenia.

Notariusz wciska guzik na telefonie i zaprasza Khana z powrotem.

– Geoffrey jak zwykle przekaże panu wszelkie detale. W sprawach szczegółowych będzie do pańskiej dyspozycji. Powodzenia.

Prichard wstaje, ja również podnoszę się niezgrabnie z krzesła i daję się odprowadzić do drzwi. Notariusz ściska moją dłoń.

– Proszę dzwonić, jeśli tylko będzie panu potrzebna jakakolwiek pomoc z mojej strony
– mówi.



11 kwietnia 1914,

Hotel Gorphwysfa

Snowdonia, północno-zachodnia Walia

Jest czwarta rano, wszyscy prócz Price'a śpią. Price położył się zaraz po kąpieli. Nie zaciągnął zasłon i co kilka godzin wygląda przez okno, śledząc księżyc nad wzgórzami. Przewodnicy z Chamonix nigdy nie korzystają z budzika, gdy mają wyruszyć wczesnym rankiem. On też nie zamierza.

Pianino na dole umilkło dobrze po północy, rozmowy trwały nawet dłużej. Price wiedział, kto je prowadził, mógł się im więc mimowolnie przysłuchiwać. Czasem słowa przerywane były głuchym łomotem lub wybuchami śmiechu. W końcu rozmowy przeszły w szept, a Price zasnął. Niemal od razu zaczął śnić. Wszedł do domu ojca w Cheshire, na nogach miał jednak buty wspinaczkowe nabijane ćwiekami, które rysowały klepkę podłogową. W jadalni zastał całą rodzinę przy stole: rodziców, brata, nawet swą siostrę Beryl, nieżyjącą od sześciu lat. Matka w sukni, ojciec w białym krawacie. Price miał na sobie ciężki strój górski, kurtkę i ośnieżony filcowy kapelusz. Zaprosili go, by usiadł z nimi do posiłku, ale Price spojrzął na Beryl, która otworzyła usta i już chciała coś powiedzieć. Obudził się.

Price nie włącza lampy. Chce, by jego źrenice pozostały rozszerzone, gdy zaczną wspinaczkę. Okręca owijacze wokół łydek i po omacku znajduje linę rozpiętą między słupkami łóżka. Len wciąż jest wilgotny. Price zwija linę i zarzuca ją sobie na ramię. Cicho, w samych skarpetkach, wychodzi na korytarz i kieruje się do sypialni obok.

Ashley śpi na boku z otwartymi ustami. Zmierzwiona grzywka opada mu na czoło. Price potrząsa nim łagodnie, ale Ashley tylko odwraca głowę na poduszce. Price ściąga z niego koc. Ashley zwija się w kłębek. Jest całkowicie ubrany, ma na sobie pumpy sięgające za kolana i gruby sweter z szetlandzkiej wełny.

– Przygotowałeś ekwipunek przed snem?

Ashley chwyta koc, wciąż nie otwierając oczu.

– Zawsze chcesz się zbierać cholernie wcześnie.

– Tak jak słońce.

Price idzie po swój plecak i chwilę później obaj mężczyźni spotykają się w holu na parterze. Na podłodze z klepką w szachownicę stoi mnóstwo butów, Ashley bierze do ręki jeden po drugim i przygląda się z bliska skórzanym podeszwowom. Oprócz rozmieszczenia ćwieków wszystkie wyglądają tak samo.

– Niech to lichy. Dwa lewe buty. Nie wiem nawet, który jest mój...

– Pewnie żaden.

Price zapala świeczkę i po chwili znajdują swoje buty. Ashley wkłada marynarkę norfolk, a Price zdefasonowany kapelusz. Gdy otwierają drzwi, do środka wpada podmuch lodowatego powietrza.

– Najzimniejsza pora nocy – stwierdza Price.

Rusza górniczą ścieżką z białych kamieni, wijącą się wśród brązowo-zielonych wzgórz. Ashley idzie kilka kroków za nim, owijając szyję grubym ciepłym szalem. Mijają wąskie jezioro; woda lśni srebrzyście pod ponurym niebem. Price spogląda na Ashleya.

– Kto się położył ostatni?

- Fraser i kuzyn David, jak sądzę. Kiedy wychodziłem, Fraser miał już nieźle w czubie.
- Nadal masz ochotę na trawers?
- Naturalnie.

Mijają kolejne jezioro i wchodzą na stromą ścieżkę wiodącą szerokim zboczem góry. Znad grani na wschodzie wylania się słońce, ale wielki północny klif przed nimi wciąż spowija cień. Price schodzi ze szlaku i droga staje się jeszcze bardziej stroma, aż w końcu zatrzymują się na wschodniej krawędzi wysokiego na tysiąc stóp klifu o dwóch wierzchołkach. Zamierzają trawersować całą jego szerokość.

- Zostały resztki śniegu – mruczy Price.

Rozwija zeszywniałą od chłodu linę. Gołymi dłońmi, bez rękawic rozprostowuje jej pozwijane kawałki, po czym wiąże linę wokół pasa. Ashley robi węzeł i zakotwicza linę wokół głazu. Następnie luzuje ją, podczas gdy Price opuszcza się w dół gładkiego żlebu, zmiatając stopami śnieg i kamyki z każdego gzymsu, nim oprze się na nim całym ciężarem.

Milczą; Price posuwa się płynnymi, rytmicznymi ruchami po ścianie mlecznego kwarcu. Od czasu do czasu woła coś do Ashleya.

- W tym miejscu niezgorszy gzyms, trochę wilgotny...
- Przerażliwie oblodzone. Omiń niższą półkę...
- Na miłość boską, Ashley, poluzuj!

Ashley prowadzi przez następny odcinek. Idą na zmianę, jeden asekuje, jeden posuwa się na zachód wzdłuż klifu. Skała jest zimna, połączenie lodu topią się w słońcu. Żaden z nich nie ma rękawic. Od czasu do czasu zatrzymują się, by roztrzeć zblizane dłonie i zapewnić im dopływ krwi.

Odoczywają na wystającej półce kwarcu. Price zapala fajkę. Dokoła wyje wiatr, ganiając mgłę wokół zapierającej dech w piersiach doliny. Nagle słońce wschodzi nad Snowdonem, wąski promień światła przelewa się ponad szczytem. Obaj wspinacze wzdychają.

– Oto i ona – mruczy Price. – Czasem myślę sobie, że jesteśmy głupcami, łażąc po obcych szczytach, skoro u siebie mamy góry takie jak ta. Chcesz coś do jedzenia?

Price otwiera plecak. Wyciąga scyzoryk i rozsmarowuje pastę z sardeli na dwóch herbatnikach.

- Co sądzisz o widoku, Ashley? Piękno czy smutek?
- Obawa.

Price wręcza Ashleyowi herbatnika.

- Niedobrze mówić takie rzeczy podczas wspinaczki.
- W takim razie smutek. Jeśli chodzi o brytyjskie góry, zawsze smutek.
- Dlaczego?

Ashley przygląda się swym butom.

– Nie wiem. Wszystkie te wrzosowiska i ciemne skały, i chmury. Jak sądzę, wszystko to zostało stworzone dla nas...

- Albo też nas stworzyło.

Price wstaje i zapina plecak.

- Sądzę, że teraz ty możesz poprowadzić.

Ashley przesuwa się wzdłuż rozłupanych skał. Czasem ociera się policzkiem o oszroniony mech. Półka staje się coraz węższa, aż w końcu Ashley może oprzeć się tylko czubkiem buta. Patrzy w dół na postrzępione rumowisko pięćset stóp niżej, na łagodny opał wód jeziora. Zahacza linę o wystającą skałę i, niczym pająk, idzie dalej na zachód. Price ubezpiecza go, wciąż trzymając w zębach fajkę.

Pół godziny później stoją u stóp gładkiej skały wyłobionej jak wnętrze komina, szerokiej

na cztery stopy i niemal pionowej. Ścieka po niej struga wody.

– Będzie ślisko – mówi Ashley.

– Damy radę.

Price staje w wąskim kominie: o jedną ścianę opiera plecy, a o drugą – buty. Posuwa się coraz wyżej, pomagając sobie nogami i plecami. Ręk używa tylko jako zabezpieczenia. Dziesięć minut później jest już na górze i zaczepia linę do asekuracji o wystającą skałkę.

– Twoja kolej.

Ashley wchodzi w głąb komina i zaczyna wspinaczkę, starając się przenieść ciężar całego ciała na nogi. Ale wszystkie podpórki są śliskie i małe jak paznokieć.

– Wszedłeś za głęboko! – woła Price. – Cofnij się bliżej krawędzi.

Ashley nie słucha. Posuwa się do góry, czując, że traci siłę w ramionach. Ćwieki butów ślizgają się na mokrym kamieniu. Komin jest coraz bardziej stromy, aż w końcu Ashley dociera do wystającej skały, która blokuje mu drogę. Price jest tylko osiem stóp wyżej, trzyma naprężoną linę i wpatruje się w Ashleya.

– Punkt oparcia po prawej.

– Za daleko.

– Trzymaj się szczeliny! Po lewej zbyt ślisko!

Lewy but szuka podparcia, ale Ashley za bardzo wyciągnął prawą rękę i przenosi ciężar ciała na stopę, zanim dostrzeże mały kamyczek na półce. Stopa ześlizguje się i Ashley zjeżdża w dół, objając się o skałę. Price mocniej chwyta linę, ale ta nie zdąży się naprężyć, gdy Ashley zapiera się porządnie ramionami i nogami.

– W porządku?

Łokcie Ashleya płoną z bólu. Ashley przenosi ciężar ciała na plecy i odpoczywa przez moment. Potem zaczyna wspinaczkę prawą stroną komina, zgodnie z radą Price'a. Dociera na górę i przez chwilę spogląda na swe zakrwawione knykcie i pęknięty paznokieć. Ma mokre, brudne kolana i zdartą skórę na lewym łokciu.

– Cóż, z technicznego punktu widzenia twój wariant był chyba lepszy...

Price kręci głową.

– Przeklęty głupiec.

Kończą wyprawę godzinę później na zachodniej grani i szybko schodzą. Wczesnym popołudniem są z powrotem w hotelu. Kilku wspinaczy pali fajki na ławce z tyłu, biały dach budynku spowija zbierająca się mgła.

– To was dwóch widziałem jak trawersowaliście? Niech to, Walsy, tyś wyskoczył w górę jak pstrąg?

Pozostali mężczyźni wybuchają śmiechem.

– Szliśmy po zachodniej grani i zobaczyliśmy, że ktoś wystrzelił w górę i legł plackiem jak pstrąg wyskakujący z wody. Prawie się nie ruszał, po prostu gapił się w niebo. To na pewno Walsy, powiedziałem...

– Uważam się raczej za łososia niż pstrąga – przerywa mu Ashley.

Price wskazuje palcem nowego forda, zaparkowanego przed hotelem. Czarny lakier pochłapany jest błotem.

– Kogoś się dziś spodziewamy?

– Przejedni – odpowiada wspinacz. – Gość z Climber's Club i dwie siostry. Jakże on ma na nazwisko...

– Grafton.

Price i Ashley wchodzi do hotelu. W holu panuje osobliwa cisza. Buty stoją teraz starannie poustawiane w rzędkach, mgła przygnała wspinaczy do środka. Podchodzą do drzwi

palarni i słyszą łagodne dźwięki pianina.

– Dziwne – mówi Price. – Tego kawałka z pewnością nie ma w śpiewniku.

Otwiera drzwi i raptem staje jak wryty. Unosi rękę, nakazując innym milczenie. Ashley, wyciągając szyję, spogląda mu przez ramię.

Wokół pianina zebrała się niemała grupka. Wspinacze siedzą po turecku, niektórzy podpierają się dłońmi, inni palą fajki. Zapach taniego ciętego tytoniu pełza po podłodze. W głębi pokoju ustawiono rząd krzesel, kilka z nich zajmują kobiety. Ashley widzi pianistkę od tyłu. Kremowa bluzka, długa ciemna spódnica. Dziewczyna ma delikatne dłonie i srebrną opaskę wokół nadgarstka.

Ashley i Price słuchają, wciąż stojąc w drzwiach. Utwór znów wraca do głównej linii melodycznej, rozbrzmiewa poruszająca kaskada nut. Potem muzyka zwalnia, aż w końcu cichnie. Dziewczyna zdejmuje dłonie z klawiatury, rozlegają się brawa i okrzyki.

– Bis, bis!

Dziewczyna obraca się na taborecie, zaskoczona reakcją. Jest szczupła, ciemne włosy ma upięte do góry. Policzki pod niebieskimi oczami pokryte są ledwo dostrzegalnymi piegami.

– To nic wielkiego – mówi.

– Wspaniałe! – woła Price. – Bis!

Dziewczyna uśmiecha się i schyla głowę w delikatnym ukłonie. Kartkuje śpiewnik, ale towarzysząca jej para – ciemnowłosa kobieta i mężczyzna w kombinezonie automobilisty – wstaje. Choć aplauz trwa, dziewczyna również podnosi się ze swojego miejsca i raz jeszcze kłania się nieśmiało. Price, bijąc brawo, zwraca się do Ashleya.

– Nigdy nie zapomni tego hotelu.

Dziewczyna i jej towarzysze wychodzą wśród niesłabnących oklasków. Młody chłopak z fajką w zębach zasiada do pianina i zaczyna grać żwawą melodię, śpiewając tekst, który ułożono wczorajszej nocy. Publiczność wtóruje mu w refrenie. Price klepie Ashleya w ramię.

– Posłuchaj no, Ashley, próbuję cię tylko naprowadzić na właściwą ścieżkę. Niejeden wspinacz zaczyna jak połykacz ognia, co próbuje przełknąć za dużo naraz. Nie inaczej było ze mną. Musisz jednak nauczyć się korzystać z doświadczeń starszych, w przeciwnym razie sprowadzisz na siebie nieszczęście. Talent się nie liczy. Wskazałem ci bezpieczne podejście, ale ty wybrałeś inną drogę. No i spadłeś.

– Wyhamowałem.

– Ledwo. Prawdziwy alpinista nie pozostawia nic przypadkowi.

Price zabiera dłoń z ramienia Ashleya.

– Pozwól, że cię o coś spytam. Jak sądzisz, co pozwala człowiekowi zejść najdalej: talent, trafność osądu czy wytrwałość?

Ashley zastanawia się przez chwilę.

– Odparłbym, że łośoś ma wszystkie te trzy cechy. A po niestrudzonej pracy wraca tam, skąd wyruszył, i umiera.

– Bądźże poważny.

– W takim razie nie wiem. Jak brzmi odpowiedź?

Price bierze linę od Ashleya i przerzuca ją sobie przez ramię, po czym kręcąc głową, rusza w stronę schodów.

– Dobrze pytanie.

RÓD



Wychodzę z kamienicy i ruszam w stronę High Holborn, trzymając w ręku tekturową teczkę z pieczęcią firmy Twynning & Hooper. W środku znajdują się dokumenty, które dla mnie przygotowano, dowód tego, co zobaczyłem i co usłyszałem. Kancelaria istnieje naprawdę. Spadek również.

High Holborn trudno nazwać piękną ulicą. Budynki ze szkła i kamienia. Tłumek bladych biznesmenów w ciemnych garniturach i jaskrawych krawatach zawiązanych w węzeł windsorski. Nic nie wiedzą o fortunie. Kobieta wpatrzona w ekran swojego telefonu komórkowego potrąca mnie ramieniem.

– Przepraszam – mówię.

Kobieta mija mnie i skręca w Holborn Station, chyba mnie nie usłyszała. Przeciagam dłonią po wypolerowanej ścianie budynku, by uspokoić nerwy.

Chciałem pojechać do Londynu od chwili, gdy Prichard to zasugerował. Nie podjąłem jednak tego tematu. Po naszej pierwszej rozmowie spędziłem popołudnie w Dolores Park, obserwując chmury wiszące nisko nad wieżowcami w centrum miasta. Myślałem o Londynie, Rzymie i Paryżu, miastach, o których czytałem i które dotąd były dla mnie tylko nazwami, ciemnymi wielokątami na mapie. Trudno było myśleć o majątku, jeszcze trudniej zaś powiązać go z moją babcią. W parku zerwał się wiatr, wróciłem więc piechotą do mieszkania. Przy rogu Dwudziestej Czwartej Ulicy i Capp minąłem budkę telefoniczną. Przystanąłem i wpatrywałem się w nią przez dłuższą chwilę. Potem podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Khana.

– Przyjadę do Londynu. Tylko najpierw muszę pogrzebać w papierach rodzinnych.

– Wyśmienicie – odparł Khan. – Da pan radę dotrzeć tu przed poniedziałkiem?

Godzinę później Khan przysłał mi plan podróży. Ja zaś udałem się do domu ojca i przetrząsnąłem garaż od podłogi do sufitu, szukając czegoś, co miałoby związek z babcią. Rzeczy matki leżały wciąż w kartonowych pudłach, do których nie zaglądałem od pogrzebu. Wziąłem drabinę i zniosłem wszystkie pudła na dół. Wkrótce wszędzie walały się wyciągi bankowe, zdjęcia i stare listy. Siedziałem na betonowej podłodze pokrytej starymi plamami oleju i przeglądałem każdy świstek. W jednym z pudeł znalazłem szkolną księgę pamiątkową mojej matki z roku 1968; przeczytałem odręczne dedykacje na końcu, ale tylko popsuły mi nastrój. Zamknąłem księgę i wróciłem do pudeł. Przerzucałem starą pościel i ubrania z poliestru. Wszystko pachniało naftaliną. Ani śladu pamiątek po babci.

Na najwyższej półce znalazłem szkatułkę z biżuterią. Była wyściełana jedwabiem i zamykana na zatrzaski z kości słoniowej przypominające kształtem małe kły. Część jej zawartości mogła niegdyś należeć do babci – stare brosze, długie sznury sztucznych pereł – ale na tym moje odkrycia się skończyły. Nie było żadnych dokumentów.

Mój ojciec, wszedłszy do garażu, rzucił okiem na bałagan i gwizdnął przeciągle.

– Przeszukujesz rzeczy mamy?

Zamknąłem szkatułkę, ale nie odpowiedziałem.

– Słuchaj – zaczął ojciec – to ja wszystko tu przyniosłem i wiem, gdzie co jest. Czego szukasz?

– Rzeczy babci. Czegokolwiek. Czy mamy jej akt urodzenia?

– Akt urodzenia? Jezu, nie sądzę. Po co?

– Staram się o stypendium na studiach drugiego stopnia. Trzeba wykazać, że miało się

przodków z Wielkiej Brytanii.

Ojciec pokręcił głową.

– Nigdy nie widziałem tu nic, co by należało do Charlotte. W każdym razie nie przypominam sobie żadnych papierów. Nie mieliśmy ze sobą wiele do czynienia.

Ojciec podniósł jeden z listów i spojrzął na kopertę. Zauważyłem na niej jego charakter pisma. Zmarszczył brwi, po czym rzucił list z powrotem na plik papierów.

– Dlaczego? – spytałem.

Ojciec wzruszył ramionami.

– Matka mogłaby ci więcej powiedzieć. Kiedy spotkałem Charlotte, była jedną z tych kobiet, które są już tak długo po rozwodzie, że stają się całkowicie niezależne. Chciała, by jej własna córka zwracała się do niej per Charlotte, co powinno dać ci do myślenia. Nie sądzę, by zobowiązania rodzinne miały dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Ba, zobowiązania w ogóle. Może na swój sposób kochała twoją mamę, ale nie potrafiły ze sobą wytrzymać więcej niż kilka godzin.

– Była na waszym ślubie?

– Tak, przyleciała sama. Nie pamiętam, gdzie wtedy mieszkała... Nie w Anglii... W Holandii? W każdym razie na weselu był niezły szampan, Charlotte sporo go w siebie wlała i trochę się rozluźniła. Pamiętam, jak żartowała, że klapy mojego smokingu są za szerokie. Sam rozumiesz, lata siedemdziesiąte. Ona była z innego pokolenia.

– Pamiętasz coś więcej?

Ojciec ukląkł przy szkatułce z biżuterią. Podniósł wieko, spojrzął na perły, po czym odwrócił się w moją stronę.

– Na weselu zatańczyłem z nią zaraz po pierwszym tańcu z twoją mamą. Chyba była zaskoczona, że daję sobie radę. Powiedziała mi: „Znałam tylko jednego mężczyznę, który tańczył lepiej od ciebie”. Oczywiście zapytałem, kto to taki, ale nie odpowiedziała. Stwierdziła tylko, że jestem dobrym tancerzem i że mnie i twoją matkę czeka długie i szczęśliwe małżeństwo.

Pamiętam jej słowa: „Wy, Amerykanie, nie wierzycie w smutek. Dlatego właśnie jesteście tacy czarujący”.

– Co miała na myśli?

Ojciec znów wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Chyba nie wiodło jej się w życiu. Często przenosiła się z miejsca na miejsce. Facet, za którego chciała wyjść, zginął podczas wojny gdzieś w Afryce Północnej. Wzięła więc ślub z pewnym Amerykaninem, ale jak już wiesz, małżeństwo szybko się rozpadło. Skończyłeś z tymi pudłami? Nic tu nie należy do Charlotte, na sto procent.

Zaczęliśmy wkładać papiery z powrotem do pudeł.

– Słuchaj – powiedział ojciec – nie wspominałeś, że kontynuujesz studia, a teraz z dnia na dzień wybierasz się do Europy. Co się dzieje?

Spojrzałem na ojca. Stał na drabinie, układając pudła z powrotem pod sufitem. Było popołudnie, jednak ojciec wciąż miał na sobie spodnie od piżamy.

– Wszystko w porządku – odpowiedziałem.

Przynajmniej nie zapytał o matkę. Minęły trzy lata; przez cały ten czas, gdy tylko ojciec wyczuwał, że coś jest nie tak, zakładał, że chodzi o nią. Nie chciałem, by cokolwiek przypominało mi o matce. Dużo czasu zajęło mi oddzielenie jej życia od jej śmierci, aż wreszcie nauczyłem się myśleć o jednym bez myślenia o drugim, aż wreszcie udało mi się wydobywać na powierzchnię drobne, proste wspomnienia, których nie musiałem spychać z powrotem na dno.

Dałem sobie zgodę, by pamiętać. Matka odwożąc mnie wczesnym rankiem na szkołę letnią. Matka dająca mi na Gwiazdkę książki w twardych oprawkach, opakowane w złoty papier. Pierwsze spotkanie matki z moją dziewczyną z liceum. Najpierw nie wiedziała, jak ma się ubrać

na kolację. Potem obie były aż nazbyt uprzejme i nieśmiałe, rozmawiając przy stole.

Inne wspomnienia nie mogły przynieść nic dobrego. Matka w szpitalu, talerz z nietkniętym jedzeniem stojący od wielu godzin na stoliku koło łóżka, nasze twarze zwrócone w stronę okna. Zanim zachorowała, mogliśmy rozmawiać o wszystkim. W szpitalu nigdy jednak nie wiedziałem, co powiedzieć. Siedziałem przy oknie, z którego rozciągał się widok na Divisadero Street, i mówiłem tak długo, jak umiałem, robiąc pauzę, gdy pielęgniarka przychodziła opróżnić worek na mocz.

Po wyjściu pielęgniarki matka spoglądała na mnie.

– Nie musisz milknąć za każdym razem, kiedy przychodzi. Po prostu mów dalej.

– O czym?

– O czymkolwiek. Chcę tylko słyszeć twój głos.

Opowiadałem o nowym mieszkaniu, o podróży przez pustynię Mojave, którą odbyłem podczas ferii zimowych. Jasnozielone oczy matki zamykały się, ale gdy tylko przestawałem mówić, znów je otwierała. Ciągnąłem więc swoją opowieść, aż matka odwracała głowę i znów zamykała powieki.

W szpitalu jedna tylko rzecz przywoływała z powrotem uśmiech na jej twarz: proste słowa, które wypowiadała tonem wyznania.

– Mój ty jedyny – mówiła; ponieważ byłem jedynakiem, ponieważ po jej śmierci tylko ja miałem po niej pozostać. Nie wiedziałem, jakie wiązała ze mną nadzieje. Nigdy mi tego nie powiedziała. Gdy byłem młodszy, liczyła, że zostanę lekarzem. Pod koniec jednak nienawidziła lekarzy, niewykluczone więc, że zmieniła zdanie.

Różniliśmy się od siebie jak dzień i noc. Matka nie interesowała się historią ani sztuką, wierzyła, zapewne słusznie, że najwięcej szczęścia daje praktyczny zawód. Całe życie spędziła w Kalifornii – kochała Kalifornię tak mocno, jak mocno nie znosiła jej Charlotte. Sama myśl o zimnych krajach działała na matkę odstraszająco. Nie pociągały jej kamienne zamki, pola dawnych bitew, obrazy olejne niszczące w starych pałacach. Fakt, że ja kochałem wszystkie te rzeczy, choć nigdy nie widziałem ich na własne oczy, matka uważała za dziwactwo.

Prawie nigdy nie wspominała babci. Z jednym wyjątkiem. Były ferie wiosenne, jechaliśmy szosą numer 1 do Mendocino w odwiedziny do przyjaciół matki. Kręta droga sprawiła, że matkę nagle zemdlilo (prawdziwą przyczynę mieliśmy poznać dopiero dwa miesiące później). Słońce właśnie zaszło. Matka zjechała na stację benzynową i poszła do toalety. Wysiadłem i sfotografowałem podświetlony neon Texaco. Gdy wróciła, wyglądała na zmęczoną.

– Tris, może teraz ty przez chwilę poprowadzisz.

Zapaliłem silnik i wróciliśmy na szosę. Matka odwróciła się do mnie.

– Jak tam studia? Twój ojciec mówi, że chodzisz na zajęcia z architektury.

– Tak, z architektury średniowiecznej. Fajny kurs. W poniedziałek byliśmy w katedrze Łaski Bożej, mają tam na podłodze labirynt będący kopią tego z Chartres. Podobno średniowieczni pielgrzymi pokonywali go na kolanach, co miało symbolizować ich drogę do Świętego Miasta.

Matka znów na mnie spojrzała.

– Chartres – powtórzyła. – Od lat nie słyszałam tego słowa. Charlotte często mówiła o tamtejszej katedrze, potrafiła godzinami opisywać witraże. Te okrągłe okna, jak one się nazywają...

– Rozety.

Matka skinęła głową. Objechaliśmy półwysep i przed sobą widzieliśmy światła samochodów, żółty szlak ciągnący się wzdłuż wybrzeża. Matka zwróciła wzrok ku ciemnej wodzie.

– To był jej pomysł, by nazwać cię Tristanem. Ja wolałam Michaela. Ale Charlotte zawsze kochała imię Tristan, a sama nigdy nie miała syna...

– Czy jestem podobny do babci?

Matka opuściła oparcie fotela i zamknęła oczy.

– Nie. Ani trochę jej nie przypominasz.

Lot do Londynu miałem o wczesnej godzinie, ale ojciec uparł się, że odwiezie mnie na lotnisko. Wstałem przed świtem i przepakowałem bagaż, by upewnić się, że o niczym nie zapomniałem. Zabierałem ze sobą mój stary kempingowy plecak, wyblakły i poprzecierany podczas wędrówek po Sierra Nevada. Ograniczyłem się tylko do najpotrzebniejszych rzeczy, na wypadek gdybym z Londynu miał jechać dalej.

W plecaku znalazły się więc ciepły śpiwór, chroniący nawet przed śniegiem, upakowany tak ciasno, że zabierał tyle miejsca co bochenek chleba, zrolowane ubrania, czarny notatnik w twardej okładce, który wraz z paszportem włożyłem do niewielkiej plastikowej teczki na wypadek wilgoci. Do kieszeni na klapie plecaka powędrowała LED-owa czołówka zasilana trzema małymi bateriami oraz kieszonkowa mapa Londynu.

Ojciec zapukał i wszedł do pokoju. Spojrzał na plecak.

– Nic więcej nie bierzesz? A palto?

– Zapowiadają, że przez cały tydzień będzie kilkanaście stopni, co najmniej dziesięć.

– No dobra, wiesz, co robisz. Zbierajmy się.

Wsiedliśmy do samochodu. Słońce zaczęło wschodzić, nim przekroczyliśmy Bay Bridge. Na szosie ojciec ściszył radio.

– Widziałeś się wczoraj z Adamem?

Zawahałem się przez moment.

– Nie wiedziałem, że już wrócił.

– Wrócił w piątek, ale był u Lizzie. Powiedziałem mu, że wyjeżdżasz, mówił, że spróbuje się jakoś z tobą skontaktować. Pewnego dnia będziesz musiał mi wytłumaczyć, jak ktoś w twoim wieku może prowadzić życie towarzyskie bez telefonu komórkowego...

– A jak ty sobie dawałeś radę?

Ojciec spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Słuszna uwaga. Ale czasy się zmieniły. Wiesz, ile miałem lat, gdy po raz pierwszy pojechałem do Europy? Dwadzieścia dziewięć, byłem dużo starszy niż ty. No, ale ty chyba marzyłeś o tej podróży od kołyski. Jakie to uczucie wiedzieć, że marzenie wreszcie się spełni?

– Trochę surrealistyczne.

Ojciec skinął głową.

– Nie pozwól, by wszystko to cię ominęło. Zasużyłeś na trochę luzu. Spróbuj nie przejmować się całą tą szkołą, do której chcesz się dostać. Po prostu naciesz się, jak tylko można. W końcu pierwszy raz w Europie już się nie powtórzy.

Gdy dotarliśmy na lotnisko, ojciec podjechał do terminalu odlotów międzynarodowych i zatrzymał auto przy krawężniku. Miał dziwną minę. Spojrzał w lusterko wsteczne i pociągnął dźwignię otwierającą bagażnik.

– Zaczekaj – powiedział. – Zajrzyj do bagażnika.

– Mój plecak jest na tylnym siedzeniu.

– Wiem. Ale zajrzyj do bagażnika.

Wysiedliśmy. Ojciec podniósł klapę, uśmiechając się pod nosem. Moim oczom ukazała się stara brązowa płócienna torba na ramię.

– Nie zdążyłeś naprawić tego swojego nikona, prawda?

– Nie.

– I miałeś zamiar pojechać do Europy bez aparatu?

– Tak jakby.

– No to będziesz musiał zmienić plany.

Ojciec otworzył torbę i wyciągnął aparat. Czarna oksyda była nieco pościerana na krawędziach, gdzieś tam przebiły plamki mosiądzu. Logo też już się przetarło, litery jednak nadal pozostawały wyraźne. ERNST LEITZ GMBH WETZLAR GERMANY. Ojciec spojrzawszy przez wizjer, gwizdnął i wręczył mi aparat. Poczułem w dłoni jego ciężar.

– Tak sobie pomyślałem – powiedział ojciec – że po co ma leżeć w szafie. Zamierzałem dać ci go jako prezent z okazji ukończenia studiów, ale wcześniej chciałem naprawić tubus dziewięćdziesiątki, a jakoś nie mogłem się do tego zabrać. Używaj po prostu pięćdziesiątki, to ostry i szybki obiektyw. Poza tym mniej waży, a jeśli go zgubisz, mniejsza strata. Potrafisz zmieniać film?

– Jasne.

– Musisz wyciągnąć szpulkę, inaczej licznik się nie zresetuje...

– Wiem.

Przeciągnąłem palcem po lekkim wgnieceniu w podstawie.

– Co mu się stało?

– Upadł na ziemię.

– Ty go upuściłeś?

– Tego nie powiedziałem.

Uśmiechnąłem się.

– Ktoś musiał go upuścić.

– Owszem. Na ulicy w Da Nang w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym.

Byłem wtedy młodszy niż ty teraz. Co oznacza, że ten aparat jest od ciebie dużo, dużo starszy. Nie zgub go.

Ojciec schował aparat z powrotem do futerału. Potem pokazał mi całą zawartość płóciennej torby: obiektywy, których nie potrzebowałem, światłomierz i zapasowy film oraz ściereczki do soczewek.

– Wiesz co, Tris? Ten aparat zawsze przynosił szczęście. Kupiłem ci po pięć rolek filmów Tri-X i Velvia. Nie byłem pewien, czy robisz zdjęcia na celulooidzie...

Ojciec zawiesił głos i spojrzawszy na mnie, mrużąc oczy w słońcu.

– Sądzę, że w Europie zrobisz nim sporo dobrych zdjęć. Zawsze miałeś niezłe oko.

– Postaram się.

– Jeszcze jedno. Strasznie spieszyło ci się do wyjazdu. Ale zapomniałeś powiedzieć, kiedy wracasz.

– Nie jestem pewien. Wszystko zależy od tego, czy...

Ojciec uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Tylko sobie żartuję. Wracaj, kiedy będziesz gotów.

Podaliśmy sobie ręce. Wszedłem do hali odlotów, zastanawiając się, czy kiedykolwiek wcześniej wymieniliśmy z ojcem uścisk dłoni. Podczas lotu cały czas trzymałem aparat na kolanach, choć nawet nie założyłem filmu.

Przed wyjazdem sporządziłem listę miejsc, które chciałem zobaczyć w Londynie. Ostatecznie znalazły się na niej trzydzieści dwie pozycje: muzea i pałace, ale też puby działające od kilkuset lat, zaułki o dziwnych nazwach, tak wąskie, że idąc, można było dotykać ścian po obu stronach, domy zamieszkiwane niegdyś przez szpiegów, poetów i premierów, upamiętnianych niebieskimi tabliczkami. Pierwszego wieczoru nie miałem siły na zwiedzanie, a gdy wyszedłem z kancelarii, było już za późno, by zaczynać moje śledztwo, uznałem więc, że

zajmę się nim następnego dnia.

Siedzę więc na Trafalgar Square, wśród rzeźb i kamiennych lwów, otoczony przez turystów i gołębie. Zdejmuję zaślepkę z obiektywu i próbuję złapać w kadrze kolumnę Nelsona, ale jest zbyt wysoka. Przyglądam się turystom, licząc, że któryś zrobi coś interesującego. Wszyscy jednak tylko fotografują się nawzajem. Idę więc za róg do National Portrait Gallery. Olejne portrety martwych Brytyjczyków pasują do mojego nastroju.

Zaczynam od Tudorów, oglądam obrazy Holbeina, które wcześniej znałem tylko z reprodukcji w książkach historycznych. Teraz mam przed sobą oryginały, oprawione w złote rami, wiszące w przestronnej galerii. Sir Thomas More ze złotym łańcuchem na szyi i z listem w dłoni. Miniatura w srebrnej okrągłej oprawie przedstawiająca Katarzynę Aragońską, portret tak mały, że mógłbym go ukryć w dłoni. Korpułentny Thomas Cromwell, hrabia Essex, siedzący ze złowrogim spojrzeniem na tle granatowego adamaszku.

Idę dalej. Teraz epoka elżbietańska, damy o śnieżnej cerze i wysokich czołach, arystokraci w kryzach wokół szyi. Wyobrażam sobie całą procesję tych obcych ludzi, ojców i synów, matek i córek, a na końcu ja, ostatni w linii i jedyny dziedzic. No i majątek. Długi ciąg zer na wyciągu z zagranicznego banku? A może stara posiadłość, której nigdy wcześniej nie widziałem, pokoje pełne pokrytych kurzem skarbów, moich, a zarazem nie moich. Życie inne od tego, które znam. Kompletnie nierealna perspektywa.

W następnej galerii wiszą portrety Stuartów. Epoka angielskiej wojny domowej, mężczyźni z falującymi włosami i w stalowych napierśnikach. Próbuję skupić się na obrazach, ale mój umysł wciąż wraca do Pricharda i Khana, do Walsinghama i Soames-Andersson, do historii, którą potrafię złożyć w całość, póki nie docieram do fragmentu układanki związanego ze mną. Wtedy wszystko się rozpada.

Obok wejścia na schody wisi mapa muzeum. Teraz jestem w epoce georgiańskiej. Potem epoka regencji, epoka wiktoriańska i wreszcie, wiele sal dalej, edwardiańska.

Liczy się jedynie dowód. Kawałek papieru, który potwierdzi, że Imogen Soames-Andersson była moją prababcią. Wszystko inne to tylko strata czasu. Powtarzam to sobie, idąc, ale z każdym rzędem obrazów wracam myślą do zagadki, której nie umiem nawet sformułować.

– Mój ty jedyny – mówiła matka.



18 sierpnia 1916

Królewskie Towarzystwo Geograficzne

Kensington, zachodni Londyn

Ashley siedzi u boku Price'a na końcu sali wykładowej. Sala jest wypełniona niemal po brzegi, zostało tylko kilka wolnych krzeseł. Oprócz paru siwowłosych starców prawie wszyscy obecni mają na sobie mundury. Dwóch pułkowników, garstka majorów i kapitanów, mnóstwo podoficerów. Jeden brygadier. Ashley trzyma w dłoni program.

Królewskie Towarzystwo Geograficzne

Siódme Spotkanie Popołudniowe, 18 sierpnia 1916

Z udziałem przewodniczącego towarzystwa>

O możliwościach wspinaczki w wysokich Himalajach

Referat wygłosi dr A.M. Kellas

Przewodniczący towarzystwa staje na podium i kładzie przed sobą księgę oprawioną w cielejącą skórę. Przeciąga palcem po swym białym wąsie, czekając, aż wśród publiczności zapanuje cisza.

– Pragnę państwa powitać na dzisiejszym wykładzie. Nim zaczniemy, mam dwa krótkie ogłoszenia. Po pierwsze, chciałbym poinformować o odwołaniu corocznego bankietu i *conversazione*. Drugie ogłoszenie dotyczy siedziby towarzystwa. Jak państwu wiadomo, znaczna część budynku zajmowana jest obecnie przez specjalny zespół, który pracuje nad wyrysowaniem mapy w skali jeden do miliona...

Ashley powstrzymuje ziewnięcie. Znalezli się tu z Price'em jako wysłannicy Alpine Club, żaden z nich wcześniej nie przekroczył drzwi słynnego budynku przy Kensington Gore. Obaj mają na sobie mundury podporuczników, ale uniform Price'a jest w gorszym stanie. Price był już na froncie z Królewskim Garnizonem Artylerii. Ashley wyrusza za tydzień.

To Price uparł się, by tu przyszedł. Jego zdaniem wykład na temat Mount Everestu był wart każdej liczby przegapionych przedstawień *The Bing Boys Are Here*. Ashley podchodził do tego obojętnie. Po trzecim sezonie w Alpach doszedł do wniosku, że nie starczy mu życia na ich poznanie. Himalaje uważał za zupełną abstrakcję, geograficzną ciekawostkę gdzieś w dalekich, niedostępnych krajach.

A wtedy Price pokazał mu zdjęcie Everestu i nagle wszystko się zmieniło. Everest nie był piękną górą, brakowało mu proporcji, lekkości, symetrii – słowem, cech, które nadają szczytom powabu. Ale miał potęgę. Był brutalną, kolosalną formacją skał i śniegu, wyrastającą z najwyższego pasma górskiego na Ziemi, z barczystym grzbietem zwieńczonym monumentalną piramidą szczytu. I była jeszcze tajemnica. Żaden Europejczyk nie dotarł w wyższe partie góry. A jednak Towarzystwo Geograficzne organizowało wykład poświęcony kwestii, czy da się wspiąć na sam wierzchołek.

– Absurd – stwierdził Ashley. – Trwa wojna, a oni rozprawiają o wspinaczce

w Himalajach.

– W tym właśnie jest sedno sprawy – odparł Price. – Zorganizowanie wyprawy zajmie lata, potrzebne będą niemałe pieniądze. W najlepszym razie ekspedycja wyruszy za pięć lat. A kto, twoim zdaniem, będzie wtedy w doskonałej formie?

Ashley kręci głową.

– O ile w ogóle dożyjemy.

– Tym, co zapewnia człowiekowi przetrwanie, jest siła mentalna – oświadcza dobitnie Price. – Musisz wierzyć, że nie spotka cię żadna krzywda, inaczej zginiesz we Francji.

Ashley wątpił, czy wiara zda się na wiele przeciwko granatom i moździerzom. Ale nie widział jeszcze wojny na własne oczy. Zgodził się pójść na wykład.

Przewodniczący zaczyna przedstawiać dzisiejszego mówcę.

– Skoro oba bieguny zostały już zdobyte, oczywiste jest, że następnym wyzwaniem dla ludzi poszukujących przygód będzie najwyższa góra świata.

Spogląda na widownię, na twarzy ma nieznaczny uśmiech.

– Wiele piętzy się przeszkód, aczkolwiek nie mogę powiedzieć, by fakt ten nie miał i dobrych stron. W pierwszej kolejności problemem jest lokalny rząd. Obecnie władze nie zezwalają, by zbliżać się do góry na odległość mniejszą niż sto mil. Po wtóre, sama góra, choć brak nam ostatecznych dowodów, nie należy zapewne do łatwych do wspinaczki. Wreszcie po trzecie, uwzględnić trzeba najważniejszą trudność, a mianowicie oddziaływanie powietrza, rozrzedzonego wskutek dużej wysokości, na ludzki organizm. Jak wiadomo, nikt jeszcze nie dotarł wyżej niż wyprawa księcia Abruzji, dwadzieścia cztery tysiące sześćset stóp, oraz kilku młodych Norwegów, którzy wchodząc na Kabru, jedną z gór nieopodal Dardżyling, osiągnęli wysokość dwudziestu czterech tysięcy stóp. Doktor Kellas, nasz dzisiejszy mówca, przybliży nam zagadnienie wpływu wysokości na ludzki organizm. Dodam, że w całej Europie niepodobna znaleźć nikogo, kto w temacie tym miałby większą wiedzę, również wiedzę praktyczną.

Kellas, drobny mężczyzna w mundurze Korpusu Medycznego Armii Królewskiej, siedzi obok przewodniczącego i przegląda swoje notatki. Przewodniczący zaprasza go na podium i Kellas zaczyna wykład, mówiąc z silnym szkockim akcentem.

– Z pewnego punktu widzenia wspinaczkę wysokogórską uznać można za gałąź eksploracji geograficznej...

Ashley słyszał, że Kellas to nieustraszony himalaista, chociaż wygląd doktora na to nie wskazuje. Ma wąskie, spadziste ramiona i wąsy nawoskowane aż po końce. Okrągłe okulary na jego nosie lśnią w elektrycznym świetle niczym małeńkie zwierciadła.

– Gdyby powody te uznać za niewystarczające, zawsze można przywołać prastary aksjomat, którym, choćby nieświadomie, kieruje się każdy odkrywca: człowiek musi zbadać i podbić każdy zakątek kuli ziemskiej. Jeśli skrupulatnie rozważa się potencjalne przeszkody, podbój zachodzi pokojowo. Natura bywa jednak stanowcza, przeto nawet najbardziej przezorni odkrywcy narażeni są na wielkie ryzyko.

Spojrzenie Ashleya wędruje ku dwóm kobietom siedzącym dwa rzędy przed nim. Oprócz nich na widowni są wyłącznie mężczyźni. Jedna z kobiet ma ciemne, bardzo krótkie włosy, sięgające ledwo za uszy. Ashley dostrzega jej długą szyję i koronkowy kołnierz sukni. Przez dłuższą chwilę nie może oderwać od niej wzroku.

– Ogólnie rzecz biorąc, podstawowe trudności związane z eksploracją Himalajów wiążą się po pierwsze, z transportem, po wtóre zaś, z cechami typowymi dla rejonów górskich. Jako że wszystkie namioty, sprzęt, zapasy żywności et cetera nieść trzeba przez co najmniej sto, a nawet dwieście mil...

Ashley myśli o sześciu dniach, które zostały mu do wyjazdu na front. Zastanawia się, jak

wygląda transportowiec, jakie warunki będą panować na morzu, czy na wypadek ataku U-Bootów będzie trzeba mieć na sobie kamizelkę ratunkową. Ciekawe, czy ktokolwiek pożegna go na Dworcu Wiktorii. Zawsze wyobrażał sobie, że ktoś będzie go żegnać.

Kellas zwraca się do kogoś na końcu sali.

– Proszę o przygaszenie świateł.

Operator projektora podnosi się z krzesła. Światła gasną, długie aksamitne zasłony zostają zaciągnięte. Operator włącza lampę projektora i wyświetla pierwszy slajd. Na ekranie pojawia się Kanczendzonga, pięć pokrytych śniegiem szczytów wznoszących się ponad pole ostrych kamieni. Ashley znów kieruje wzrok w stronę dziewczyny, która siedzi nieco na lewo od niego. Wie, że inni widzą, jak się jej przygląda.

– Po tych wstępnych uwagach przechodzimy do kwestii możliwości wejścia na wyższe szczyty Himalajów, gór, których wysokość przekracza dwadzieścia pięć tysięcy stóp i których jak dotąd nikt nie zdobył. Poświęcę uwagę podstawowym trudnościom. Otóż problem przedstawić można następująco...

Kellas odwraca głowę i spogląda na ekran. Marszczy brwi. Wreszcie operator wyświetla kolejny slajd: blade pasmo górskie o nieźrównanej skali, a nad nim wielki szczyt, wznoszący się niczym piramida. Ashley nachyla się do przodu, wpatrzony we wstążkę zmierzwionego wiatrem śniegu ponad wierzchołkiem.

– Czy człowiek po pierwszorzędnym przeszkoleniu – pyta Kellas – może wejść na szczyt Mount Everestu, dwadzieścia dziewięć tysięcy sto czterdzieści jeden stóp nad poziomem morza, bez dodatkowo sprzyjających okoliczności?

Dziewczyna siedząca dwa rzędy przed Ashleyem schyla głowę, jak gdyby wpatrywała się w podłogę, i na tle ekranu widać jej profil: piękny, delikatny nos i drobne usta. Wstaje, przechodzi między siedzącymi, a następnie znikają za drzwiami, które prowadzą do pokoju map.

– Trudności związane ze wspinaczką w wyższych partiach Himalajów rozpatrywać należy z dwóch punktów widzenia: fizjologicznego i fizycznego. Trudności fizjologiczne odgrywają niewątpliwie dużą rolę, a ich przezwyciężenie zależy od dostępności tlenu.

Kolejny slajd: grafika z malejącą krzywą i podpisem *Procentowe nasycenie tlenem*. Ashley spogląda ku drzwiom, przez które wpada słabe światło.

– O tym, że respiracja ma fundamentalne znaczenie dla podtrzymywania życia, świadczy...

Ashley wstaje i kieruje się w stronę drzwi, lekko zginając plecy. Między rzędami krzeseł jest dużo miejsca, bez trudu więc dociera do sali map. Jest olbrzymia. Półki zastawione oprawionymi w skórę atlasami biegną od podłogi aż do sklepienia. Są tu też dwa potężne globusy na drewnianych podstawach i rzędy dębowych szaf o szerokich szufladach, kryjących mapy sporządzone na papierze i na pergaminie. W jednej z otwartych szuflad Ashley dostrzega mapę Tybetu; oświetla ją lampa bankierska. Ashley zatrzymuje się i udaje, że przygląda się mapie. Wciąż słyszy głos Kellasa.

– Przeszkody fizyczne podzielić można na te, które wynikają z warunków pogodowych, oraz te, które wiążą się bezpośrednio z naturą skał i zalegającego na górach śniegu.

Od strony holu dobiega odgłos stóp. Ashley podnosi wzrok i widzi dziewczynę o krótkich włosach. Jej falbaniasta spódnica kończy się wysoko nad kostkami. Ashley wraca do mapy, ale dziewczyna staje obok niego. Jest tak blisko, że Ashley słyszy jej oddech.

– Nie interesuje pana problem tlenu? – szepcze dziewczyna.

Ashley spogląda na jej twarz, na wpół oświetloną przez blask spod zielonego klosza lampy. Dziewczyna ma oczy w kształcie migdałów i włosy przycięte równo z linią podbródka. Spogląda przez chwilę na mapę Tybetu. Potem uśmiecha się do Ashleya i wychodzi. Ashley

czeka, chce pozostawić stosowny odstęp czasu między ich powrotami na salę wykładową. Gdy wraca na miejsce, Price przygląda mu się z zainteresowaniem, ale Ashley patrzy prosto na mówcę.

– Pozostaje jednak pewna istotna trudność związana z wiatrem, a mianowicie towarzysząca mu niska temperatura. Przenikliwy, zimny wiatr wiejący z północy lub północnego wschodu może zmusić wspinaczy do zejścia, bo inaczej nie unikną odmrożeń dłoni i stóp.

Kolejny slajd, kolejny widok na piramidowy szczyt spowity smugą mgły, przytłaczający swym rozmiarem sąsiednie góry.

– Raz jeszcze widzimy Mount Everest albo Czomolungmę, dwadzieścia dziewięć tysięcy sto czterdzieści jeden stóp. Drugą nazwę ją sam oraz pułkownik Bruce poznaliśmy dzięki bardzo odmiennym źródłom, warto w późniejszym czasie rozważyć, czy nie uczynić jej nazwą oficjalną. Przejście od północno-wschodniej strony góry, na wysokości około osiemnastu tysięcy pięciuset stóp nosi nazwę Lhakpa La, prowadzi do Kharty obok rzeki Arun. Wejście wydaje się możliwe od północy lub północnego wschodu. Rozstrzygające konkluzje wykraczałyby poza ramy niniejszego wystąpienia, niemniej dane, które tu przytoczyłem, pozwalają stwierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że doskonale wyszkolony wspinacz, zaaklimatyzowany i przyzwyczajony do wysokości, zdołałby w normalnych warunkach wejść na Mount Everest, jeśli powyżej dwudziestu pięciu tysięcy stóp nie powstrzymają go trudności natury fizycznej.

Kellas porządkuje notatki na pulpicie. Jeden z poruczników na sali pyta o zagrożenia stwarzane na wysokościach przez promienie słońca. Kellas odpowiada, potem na mównicę wchodzi przewodniczący, by zamknąć spotkanie. Publiczność bije brawo, a Price przystawia dłoń do ucha Ashleya i szepcze:

– Znalazłeś coś interesującego w sali map?

Ashley widzi, że dwie kobiety wstają ze swych krzeseł. Dziewczyna o krótkich włosach zawiesza na przedramieniu dużą torebkę.

– Przyjrzyj się tym kobietom – mówi Ashley. – Znasz je?

– Kojarzę tę z lewej. Poznałem kiedyś jej męża, zresztą stoi obok niej. Należy do Klubu Wspinaczy. Żona jest chyba artystką. Mam nadzieję, że to nie ona tak cię zaciekawiła.

Ashley kręci głową.

– Chodzi o tę drugą. Poza tym to nie kwestia ciekawości, po prostu zdaje mi się, że już ją gdzieś widziałem.

– Masz na myśli Joannę d'Arc? Nie przypominam jej sobie. Aczkolwiek muszę przyznać, piekielnie ładna, nawet w tej fryzurze. Podejźmy do nich?

Price prowadzi Ashleya i przedstawia go towarzyszącemu dwóm kobietom mężczyźnie w mundurze porucznika. Porucznik z cierpkim uśmiechem podaje Ashleyowi dłoń.

– Charles Grafton. Oto moja małżonka i jej siostra, panna Soames-Andersson. Tylko, na miłość boską, nie mówcie, panowie, że i was pociągają te himalajskie androny. Mnie osobiście wystarczą wzgórza Lakeland: żadnych skośnookich, żadnych żmudnych przygotowań...

Price i Grafton wdają się w rozmowę na temat wspinaczki. Spojrzenie Ashleya napotyka wzrok Eleanor, która uśmiecha się uprzejmie. Jej młodsza siostra wydaje się jednak rozkojarzona. Przygląda się obrazowi szczytu, wciąż wyświetlanemu na ekranie, i ludziom dookoła. Ashley trzyma czapkę pod pachą, Eleanor zwraca uwagę na odznakę.

– Widzę, że jest pan w Artists Rifles – mówi Eleanor. – Czy to znaczy, że jest pan artystą?

– Obawiam się, że jedynie udaję artystę. Byłem w Artists Rifles w ramach Korpusu Szkolenia Oficerów, teraz jednak przydzielono mnie do innego regimentu.

Eleanor podchodzi bliżej i zniża głos.

- Mam nadzieję, że nie wyrusza pan do Francji?
- W czwartek.
- Och, jakież to straszne. Proszę być ostrożnym.
- Będę spełniał swój obowiązek.
- Naturalnie.

Dwie siostry patrzą na Ashleya, żadna nie wie, co powiedzieć. Zapada niezręczna cisza. Price rozmawia z Charlesem o postimpresjonistach i wciąga Eleanor do rozmowy, toteż Ashley i Imogen zostają sami. Imogen rozgląda się i kołysze torebką. W końcu spogląda na Ashleya.

- I co sądzi pan o wykładzie? Zdaje się, że mapy bardziej pana zainteresowały.

Ashley wzrusza ramionami.

- Slajdy robiły wrażenie.
- Nie ciekawia pana Himalaje? Jest pan chyba alpinistą, prawda?

– Można tak powiedzieć. Jeśli jednak chce pani poznać moją opinię, wykład był pustą gadaniną. Nie dowiemy się niczego o wspinaczce na takiej wysokości, dopóki ktoś po prostu nie spróbuje. Najpierw potrzeba królika doświadczalnego. Szczyt Everestu leży o cztery tysiące stóp wyżej, niż wynosi dotychczasowy rekord wspinaczkowy. Nikt nie ma najmniejszego pojęcia, jak jest tam na górze. Nie da się czegoś takiego zbadać w laboratorium.

- A pan chciałby się podjąć takiej próby?
- Hugh bez wątpienia o tym marzy – mówi Ashley z uśmiechem, wskazując na Price’a.
- Pan nie?
- Spróbowałbym – przyznaje Ashley. – Choć chyba nie jestem tak opętany tą myślą jak Hugh. Pani interesuje się alpinizmem?

– Interesuję się wszystkim. Wspinaczkę uważam za niezmiernie intrygującą. Oczywiście Charles traktuje ją jak rugby albo inny sport: ot, grupka facetów rywalizuje ze sobą, wchodząc na górę. Nigdy zresztą nam o tym nie opowiada. Gdy więc wspomniał o wykładzie na temat Himalajów, zmusiłam go, by zabrał nas ze sobą...

- Pani chciała tu przyjść?

Imogen uśmiecha się.

– Naturalnie. Choć nie powiem, żebym wiele się dowiedziała. Może tylko, że mężczyźni zawsze próbują robić dokładnie to, czego nie powinni. Ale to przecież dla nikogo nie jest tajemnicą. W każdym razie odnosi się wrażenie, że wszyscy tutaj poświęcają mnóstwo czasu na zastanawianie się, jak wejść na tę górę, a nie zadają sobie pytania po co. Doprawdy, wspinaczka chyba daje coś więcej niż tylko prawo do przechwałek? Może pan potrafi mi to wyjaśnić, panie Walsingham?

- Wątpię.

– Byłabym zobowiązana, gdyby pan spróbował. Proszę powiedzieć, czy ten, kto się wspina, kocha niebezpieczeństwo?

Ashley krzywi się.

- Dobry Boże, ależ skąd. To byłoby prostackie.
- W takim razie chodzi o przygodę?
- Bynajmniej. Naprawdę nie kierujemy się tak wulgarnymi motywami.
- Sport? Rywalizacja?

Ashley kręci głową.

- Z pewnością nie.
- Może więc góry? I to, co skrywają?
- Ciepłej. Ale też nie do końca.
- A więc pan również nie zna odpowiedzi – zgaduje Imogen. – Nie chodzi o coś, co się

wie, ale o coś, co się czuje.

Ashley spuszcza wzrok. Światło lamp wiszących pod sufitem odbija się od wypolerowanej podłogi.

– Tak – mówi Ashley. – To prawda.

Imogen zaczyna przetrząsać zawartość torebki. Operator projektora zgasił już lampę, teraz zwija wysoki ekran. Price rozmawia z Eleanor i Charlesem o Cézannie. Imogen wyciąga wymiętoszoną ulotkę i wręcza ją Ashleyowi.

– Znalazłam. Dostałam dziś trzy takie na ulicy. Proszę sobie wyobrazić, trzy różne osoby wręczyły mi tę samą ulotkę. Pomyślałam więc, że jedną powinnam dać panu. Widzi pan, jutro w Queen's Hall odbędzie się wspaniały występ popołudniowy. Grają dwudziesty trzeci koncert fortepianowy Mozarta, jedną z kompozycji, które sam wykonywał. Cudowny utwór. A poza tym z każdym miesiącem coraz trudniej o przyzwoity koncert...

Ashley dziękuje i wkłada ulotkę do kieszeni. Właśnie w tym momencie Charles przypomina sobie, że on i jego towarzyszkę są już spóźnieni. Podczas pospiesznego pożegnania Eleanor obdarza Ashleya ciepłym uśmiechem.

– Proszę na siebie uważać. Mam nadzieję, że wróci pan cało i zdrowo.

Imogen, mijając Ashleya, dotyka jego dłoni.

– Teraz tylko *au revoir*.

Trio wychodzi. Price i Ashley wymieniają pozdrowienia z kilkoma innymi członkami Alpine Club. Krótco potem stoją już na Kensington Gore przed wejściem i wkładają czapki.

– Co powiesz na przechadzkę?

Przecinają ulicę i wchodzi do ogrodów Kensington. Price pogwizduje, gdy idą po ubitym trakcie, czując pod stopami miękką ziemię. Mijają ich czterokołowe powozy, konie prychają wyniośle. Price przestaje gwizdać.

– A ty co myślisz?

– Osobliwi ludzie. Starsza siostra powiedziała, że ma nadzieję, iż nie jadę do Francji, dasz mi wiarę?

– Dam.

Price uśmiecha się i drapie w policzek.

– Osobliwi czy nie, Joanna d'Arc najwyraźniej wpadła ci w oko. Nie wiedziałem, że gustujesz w dziewczętach z bohemy...

– Zostało mi sześć dni, mało czasu na „gustowanie”.

– Mój drogi, człowiek może spędzić całe życie...

– Daruj sobie.

Siadają na ławce. Ashley opiera o nią swą laseczkę oficerską i wyciąga nogi. Price kręci głową.

– Grafton. Że też akurat na niego wpadliśmy w Kensington Gore. Ten człowiek ani trochę nie interesuje się Himalajami, a Klub Wspinaczy...

– Dziewczynę ciekawił wykład. Dlatego tam byli.

Price spogląda na Ashleya.

– Dziewczyna?

– Chciała dowiedzieć się więcej na temat alpinizmu. Grafton niewiele o tym mówi, więc skorzystała z okazji i zaciągnęła oboje na wykład. Pytała mnie, dlaczego ludzie się wspinają.

– I cóż odpowiedziałeś?

– Powiedziałem, że nie wiem. A ty wiesz?

– Oczywiście.

– Zechciałbyś mi więc wytłumaczyć?

Price szczyrzy zęby.
– Oczywiście, że nie.

WIEDZA CAŁEGO ŚWIATA



Jarzeniowe światło wypełnia wagon metra. Słucham kobiecego głosu, który zapowiada kolejne stacje. *Warren Street. Euston. King's Cross St. Pancras.* Wstaję.

Euston Road tonie w strugach deszczu, gdy biegnę na zachód, osłaniając głowę rozmokłym egzemplarzem „Guardiana”. Czarne taksówki żeglują po jezdni z prędkością dwudziestu mil na godzinę; jedna flota za drugą, wedle rytmu sygnalizacji świetlnej. Mijam wejście z czerwonej cegły, w nadprożu z piaskowca wyryto napis *The British Library*. Na dziedzińcu ogromny Newton z brązu siedzi, zgłębiając sekrety wszechświata za pomocą cyrkla.

Wchodzę do przepastnego budynku i zostawiam plecak w szafce na dole. Biorę numerkę w rejestracji i czekam. Gdy przychodzi moja kolej, tłumaczę przez kilka minut, czego potrzebuję. Dostaję plastikową kartę biblioteczną; na zdjęciu widać moje spojrzenie wędrujące nieco w bok.

Biblioteka jest znacznie większa niż ta na moim uniwersytecie. Gdzie zacząć poszukiwania? Biorę broszury ze stojaka i przeglądam je pobieżnie, siedząc przed szklaną wieżą *King's Library*. *British Library* otrzymuje egzemplarze obowiązkowe, można więc tu znaleźć każdą książkę opublikowaną w Wielkiej Brytanii i wiele książek z zagranicy. W zbiorach jest łącznie ponad sto pięćdziesiąt milionów obiektów. Udostępnia się je w jedenastu czytelniach specjalistycznych.

Zaczynam od dwupoziomowej czytelni humanistycznej. Wszystko jest ustawione jak pod sznurek: pracownicy naukowci siedzący jeden obok drugiego, komputery, kolejki klientów czekających po odbiór książek. Obchodzę ogromną skalę, wodząc wzrokiem po półkach zastawionych encyklopediami i słownikami. Katalog zbiorów Biblioteki Kongresu zajmuje dziesięć regałów. Widzę potężne stare francuskie i łacińskie słowniki oprawione w skórę. W końcu biorę do ręki tom suplementu do *Dictionary of National Biography* obejmujący lata 1922–1930 i szukam *Walsinghama*. Nic.

Wędrując wzdłuż półek, docieram do encyklopedii geograficznych. Wreszcie w *Encyclopedia of Exploration* znajduję, czego szukam.

Walsingham, *ASHLEY EDMUND* (1895–1924), alpinista, urodzony w *Sutton Courtenay* w hrabstwie *Berkshire* 16 kwietnia 1895, jedyne dziecko *Henry'ego Franklina Walsinghama* (1865–1909), kupca tekstylnego, i *Emily Symons Fitzgerald* (1869—1933). *Walsingham* kształcił się w *Abingdon School*, *Charterhouse* i *Magdalene College* Uniwersytetu w *Cambridge* (immatrykulacja w roku 1914). Opuścił *Cambridge* po jednym trymestrze i zaciągnął się jako podporucznik do *Królewskiego Regimentu Berkshire*. Wysłany na zachodni front w sierpniu 1916, *Walsingham* spędził dwa lata na pierwszej linii. Uczestnik bitwy nad *Sommą* i trzeciej bitwy pod *Ypres*. 5 listopada 1916, po brytyjskim ataku na *Redutę Cesarzowej*, *Walsingham* został ciężko ranny. Oficer dowodzący błędnie zaraportował jego śmierć. Później *Walsingham* odznaczony został *Krzyżem Wojskowym* za odwagę podczas zdobywania niemieckiego okopu.

Od szesnastego roku życia pasją *Walsinghama* były góry. Z wielką sprawnością odbywał w *Alpach* wspinaczkę skałkową i lodową. Wojna odcisnęła na nim trwałe piętno. Zdemobilizowany w wieku dwudziestu trzech lat, nie zdołał ponownie przyzwycząić się do życia w cywilu, co nadało wspinaczkę jeszcze większego znaczenia. Spadek, odziedziczony po zamożnym krewnym w 1913 roku, uwolnił *Walsinghama* od konieczności zarabiania na własne utrzymanie. W 1919 *Walsingham* podjął próbę wznowienia studiów w *Cambridge*, przerwał je jednak po miesiącu i spędził lato na wspinaczkę w *Dolomitach*. W październiku *Walsingham*

udał się do Mombasy, by zarządzać plantacją kawy w Kenii. Mimo że przynosiła ona dochody, Walsingham uznał to zajęcie za moralnie odrażające.

W maju 1921 Walsingham ponownie wybrał się w Alpy na sezon wspinaczkowy. Jesienią nie wrócił do Kenii, zamiast tego popłynął do Adenu. Przeciął cały Półwysep Arabski, również na piechotę, zbierając materiały do traktatu poświęconego „zaginionym miastom” pustyni. W 1922 przez krótki czas brał udział w wykopaliskach archeologicznych w Ur pod kierunkiem sir Charlesa Leonarda Woolleya i w Kisz pod kierunkiem Stephena Langdona. Jednak większa część dwóch lat, które Walsingham spędził w Arabii, poświęcona została na poszukiwanie Iremu o tysiącu filarów na terenie pustyni Ar-Rab al-Chali. Wysiłki spaliły na panewce z powodu słabej znajomości arabskiego i innych języków semickich. W kwietniu 1923 Walsingham wysłał więc do Hugh Price’a telegram o treści: IREM ZNIKNAŁ BEZ ŚLADU STOP SPOTKAJMY SIĘ W ST MORITZ W CZERWCU STOP ASHLEY.

W czerwcu Walsingham przybył do Szwajcarii. Kolejne trzy miesiące należy uznać za najbardziej imponujący sezon, jaki podówczas przypadł w udziale brytyjskiemu alpinistom. Walsingham wszedł na rzadko zdobywane szczyty, często nowymi i trudnymi trasami. Wspomnieć trzeba o pierwszym wejściu na Piz Badile trasą Badilekante 9 lipca 1923 i wyniszczającym pierwszym wejściu na północną ścianę Dent d’Hérens 2 sierpnia 1923. Geoffrey Winthrop Young wspominał, że Walsingham na tle rówieśników posiadał „najmniej naturalnego talentu i najmniej gracji, był jednak najbardziej obsesyjnym, wytrwałym i niestrudzonym wspinaczem, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć”.

Walsingham zawsze zdecydowanie opowiadał się za wspinaczką bez przewodnika, a jego późniejsze wyprawy odznaczały się wyjątkową brawurą i niezważaniem na trudne warunki pogodowe. Przyniosło to Walsinghamowi reputację alpinisty o niebezpiecznym temperamencie, kierującego się instynktem, a nie intelektem. Hugh Price pisał później, że Walsingham był „introspektywny aż do przesady – ale nie podczas wspinaczki. Wówczas rekompensował to sobie, w ogóle nie myśląc”. Wielokrotnie Walsingham ratował towarzyszy: unikał lawin kamiennych i śnieżnych i znajdował bezpieczne szlaki nawet w najokropniejszych warunkach. 20 sierpnia 1922 to data słynnego wyczynu Walsinghama, gdy na Grandes Jorasses zapobiegł upadkowi swych dwóch towarzyszy, zaczepiając w ostatniej chwili linę o swój czekan i zapewniając im asekurację.

Pierwsza wyprawa na Mount Everest w 1921 miała na celu przede wszystkim rekonesans. Wspinacze, którym przewodził Hugh Price, usiłowali znaleźć możliwą do przejścia trasę na szczyt. Walsingham ubiegał się o miejsce w wyprawie zorganizowanej rok później, jednak nie został przyjęty mimo poparcia Price’a. Najprawdopodobniej uznano go za osobę o zbyt nieprzewidywalnym temperamencie – miał reputację wspinacza lekceważącego niebezpieczeństwa, wręcz impertynenta, a wojna tylko pogłębiła jego wrodzoną nieufność wobec wszelkich rozkazów i poleceń. Mimo odmowy Walsingham wsparł ekspedycję finansowo. Gest ten zrobił na organizatorach niemałe wrażenie i mógł przyczynić się do przyznania mu miejsca w trzeciej wyprawie na Everest, przedsięwziętej w 1924. Zimą na przełomie 1923 i 1924 Walsingham przeznaczył na intensywne przygotowania siłowe wedle najnowszych ustaleń ówczesnej kulturystyki, nadzorowany przez zawodowego trenera. Społeczność brytyjskich alpinistów, przywiązana do zasad dżentelmeńskiego amatorstwa, podchodziła do takich praktyk z rezerwą. W rezultacie Walsingham, mimo braku doświadczenia we wspinaczce na dużych wysokościach, był zapewne najsilniejszym członkiem wyprawy z 1924 roku.

Ekspedycja, od chwili gdy znalazła się na lodowcu Rongbuk w kwietniu 1924, zmagala się ze złą pogodą. Udało się rozbić obóz na Przełęczy Północnej, ale za cenę poważnego wycieńczenia wspinaczy. Walsinghama prześladowały skutki odniesionej podczas wojny rany

gardła, szczególnie dotkliwe na dużej wysokości. Czwartego czerwca Walsingham pisał do Younga: „Czuję się słabszy niż dziecko, bardziej chory niż kaleka i bardziej szalony niż jakikolwiek maniak, któremu zdarzyło się wykuć stopnie w lodzie. Mam jednak pewność, straszną pewność, że muszę stanąć na szczycie i zdołam tego dokonać”. Siódmego czerwca Price i Walsingham podjęli próbę zdobycia szczytu bez tlenu. Trawersując północną ścianę góry, Price zmuszony był zejść wskutek ślepoty śnieżnej. Walsingham jednak postanowił iść dalej sam.

Okoliczności śmierci Walsinghama pozostają nieznanne. Późnym popołudniem rozpuściła się burza, co sugeruje, że zmarł z wycieńczenia. Niewykluczone też, że zabił go upadek z północnej ściany Everestu.

Członkowie wyprawy uczcili Walsinghama, tworząc symboliczny kopiec nieopodal bazy w dolinie Rongbuk. W 1926 w kaplicy Magdalene College umieszczono tablicę pamiątkową.

Sprawdzam rok wydania encyklopedii: 1951. W punkcie obsługi biorę ołówek i przepisuję informacje do mojego notatnika. Nazwiska Walsinghama nie ma w katalogu elektronicznym, zamawiam więc pół tuzina książek poświęconych wyprawie z 1924 roku. To dopiero początek, w tych pozbawionych słońca salach przyjdzie mi spędzić cały dzień. Rano czytam o wyprawie na Everest w Sali Południowoazjatyckiej, gdzie z obrazów spoglądają na mnie Wielcy Mogołowie w turbanach, strojni w klejnoty i uzbrojeni w talwary. W południe siedzę w czytelni mikrofilmów, przeglądając indeksy gazet w poszukiwaniu haseł „Walsingham” i „Soames-Andersson”. Oczywiście w 1924 ukazało się mnóstwo artykułów na temat ekspedycji i śmierci Ashleya, ale wszystkie powtarzają te same fakty i nie wspominają w ogóle o jego życiu prywatnym. Potem czytelnia manuskryptów. Błagam bibliotekarza, by udostępnił mi listy Eleanor Grafton, z domu Soames-Andersson.

– Dostęp ograniczony – mówi. – Musi pan okazać pismo z uniwersytetu i wystąpić do biblioteki z wnioskiem o zgodę.

– Ale ja nie jestem związany z żadnym uniwersytetem.

– W takim razie bardzo mi przykro.

Próbuję dalej przekonać bibliotekarza, tłumacząc, że jestem spokrewniony z autorką listów. Mężczyzna słucha mnie z niewzruszoną miną.

– Nawet gdybym chciał – oświadcza – nie mógłbym ich panu udostępnić. Mamy tu określone procedury.

Wracam do swojego stołu i sfrustrowany wbijam wzrok w blat, obracając w dłoni ołówek. Ołówek jest ciemnofioletowy, wytłoczono na nim biały napis: *The World's Knowledge*. Wiedza całego świata. Przedemną leży pięć książek na temat ekspedycji na Mount Everest, dwie o wojnie i kserokopia jedyne istotnego wycinka, który znalazłem podczas dwóch godzin przeglądania mikrofilmów. Pochodzi z londyńskiego „Timesa”, nosi datę 13 października 1924.

Co dalej z majątkiem himalaisty? Dzień fortuny armatorskiej zginął

Nasza gazeta ustaliła, że część spadku Ashleya Walsinghama, który zginął w czerwcu na Mount Evereście, przeszła w powiernictwo, albowiem nie udało się nawiązać kontaktu z osobą wskazaną w testamencie.

Pan Walsingham odziedziczył majątek swego wujecznego dziadka, George’a H. Risleya, słynnego magnata z branży armatorskiej, założyciela i dyrektora generalnego Moor Line Ltd. Wartość majątku pozostaje nieznaną, choć nasze źródła w londyńskim City informują, że mowa o znacznej sumie pieniędzy.

Nie ujawniono nazwiska zaginionego spadkobiercy. Kancelaria Twynning & Hooper, odpowiedzialna za wykonanie testamentu, odmówiła komentarza.

Pan Walsingham zginął na Mount Evereście podczas próby zdobycia szczytu. Król oddał hołd himalaiście, mówiąc, że zostanie on „zapamiętany jako wspaniały wspinacz – gotów narazić życie dla swych towarzyszy i stawić czoło największym niebezpieczeństwom w imię nauki i odkryć”.

Mały wyświetlacz na moim biurku zaczyna nagle migotać. Zielone litery układają się w napis: „Proszę o podejście do stanowiska wydawania materiałów”.

Podchodzę, pokazuję kartę, a bibliotekarka wręcza mi zielone tekturowe pudełko z etykietką *Grafton, Eleanor S.A.: Korespondencja osobista, 1915–1931*. Wracając, mijam biurko bibliotekarza, z którym wcześniej rozmawiałem, ale jest ono puste.

W pudełku znajduję siedem kopert, wszystkie adresowane do Charlesa, męża Eleanor, który najwyraźniej od końca 1916 roku stacjonował z wojskiem w Palestynie. Listy dotyczą kariery artystycznej Eleanor i różnych spraw finansowych. Dużo miejsca zajmują informacje na temat konkretnych osób, ale fragmenty te są dla mnie mało zrozumiałe, autorka posługuje się bowiem wyłącznie nazwiskami lub inicjałami imion. Dodatkową trudność stanowi obcy charakter pisma.

Z listów dowiaduję się, że Eleanor wyjechała do Szwecji w ostatnich miesiącach 1916 roku i że tam właśnie na świat przyszła moja babcia, Charlotte. Czytam dalej. Na drugiej stronie listu datowanego na grudzień 1916 coś przyciąga moją uwagę. Czytam ponownie i jestem już pewien, że zrozumiałem. Kopiuję cały fragment do notatnika.

Jest już pewne, że będziemy musieli dostać jeszcze przynajmniej 2000 koron, by w szybkim tempie udało się wyremontować dom na Ejen. Pani Hasslo zasięgnęła języka u kilku stolarzy i robotników i – jako że dom nie został zbudowany z myślą o zamieszkaniu zimą, a tamtejsze zimy są wyjątkowo mroźne – konieczne będą gruntowne przeróbki. Mówimy na pewno o nowym WC i piecu na górnym piętrze, o nowych, podwójnych oknach, nowych drzwiach wejściowych, dodatkowej izolacji na strychu etc. Fakt, że dom leży na odludziu, również oznacza większe koszty, gdyż robotnicy będą musieli zamieszkać na wyspie.

Zapasy na zimę i materiały budowlane już przyszły; jeśli szczęście dopisze, spora część prac zakończy się przed naszym przyjazdem. Pani Hasslo potwierdza, że lekarz w Leksand cieszy się dobrą opinią. Co do pielęgniarki: jeśli nie uda nam się zatrudnić jakiegś w Anglii, i tak będzie trzeba sprowadzić kogoś ze Sztokholmu lub z podobnie daleko położonego miasta, w przeciwnym razie małe są szanse, że znajdziemy odpowiednio wykwalifikowaną osobę. Biorąc zaś pod uwagę okoliczności, lepiej, aby pielęgniarka była Angielką. Należy więc zatrudnić kogoś jak najszybciej i umówić się, że przybędzie pod koniec stycznia. Jeśli zamieści się już teraz ogłoszenie w Londynie, powinniśmy trafić na osobę doświadczoną, sprawną i gotową do podróży.

Zgodziliśmy się, że nie płacimy za remont ani wydatki zimowe – papa stanowczo zapowiedział, że sam pokryje wszystkie koszty. Lepiej jednak, abyśmy założyli za niego pieniądze i po prostu czekali, aż je nam zwróci. W ten sposób będziemy mieli pewność, że prace zakończą się na czas.

Biorę do ręki duży atlas Szwecji. Wędrując palcem po miastach i wioskach, znajduję Leksand. Sto pięćdziesiąt mil na północny zachód od Sztokholmu.

Na bardziej szczegółowej mapie dostrzegam nazwę Ejen, pisaną kursywą. Ejen to jezioro. W centrum znajduje się mała wyspa, która jednak nie ma nazwy. Kseruję mapę.

Z budki telefonicznej niedaleko biblioteki dzwonię do Pricharda. Jego sekretarka mówi, że Prichard jest obecnie niedostępny, i łączy mnie z Khanem. Gdy jednak opisuję Khanowi list,

słyszę, żebym chwilę zaczekał. Parę minut później wita mnie kordialny głos Pricharda. Wyciągam notatnik i czytam mu list na głos.

– Obawiam się – mówi Prichard – że nie do końca rozumiem, do czego pan zmierza.

– Eleanor pisze: „przed naszym przyjazdem”, mimo że Charles nie wybierał się z nią do Szwecji. Cały rok tysiąc dziewięćset siedemnasty spędził w Palestynie. Poza tym ojciec Eleanor miał za wszystko zapłacić.

– Nie rozumiem...

– Na pewno pojechała z nią Imogen. To jedyne wyjaśnienie. Po co wybierać się zimą na północ, do odległego domu, z którego nigdy o tej porze roku nie korzystano?

– Proszę chwileczkę poczekać.

W tle słyszę inny głos. Prichard zasłania słuchawkę i coś odpowiada. Drugi głos milknie.

– Najmocniej przepraszam – mówi. – Co zaś tyczy się listu, możliwe są inne wytłumaczenia. Skąd pewność, że to właśnie Imogen towarzyszyła siostrze?

– Bo to ma sens! Eleanor powiedziała wszystkim, że spodziewa się dziecka. Nic zaskakującego, przecież miała męża. Potem pojechała z Imogen do Szwecji i gdy urodziło się dziecko siostry, Eleanor wychowała je jak swoje własne. Tak, zdaje się, postępowały niezamężne kobiety, jeśli zachodziły w ciążę. Wyjeżdżały i wracały bez dziecka...

– Zdarzały się, jak mniemam, podobne przypadki. Po cóż jednak cały ten kłopot, skoro Imogen nie miała już nigdy wrócić do Anglii?

– Nie wiem, tego jeszcze nie odgadłem.

– Czy przeczytał pan całą korespondencję?

– Aha. Było siedem listów, w tym ten, który pokazał mi pan w biurze. Nic więcej nie znalazłem.

– W takim razie proszę nie ustawać w poszukiwaniach. Ten list jest bez wątpienia niezmiernie interesujący, obawiam się jednak, że potrzeba bardziej jednoznacznych dowodów. Niestety, w tej chwili mam spotkanie z klientem. Niech pan dalej prowadzi śledztwo z moim błogosławieństwem. I proszę pozostać z nami w kontakcie.

Odwieszam słuchawkę i staję w deszczu na ulicy, wciąż trzymając w dłoni notatnik.



19 sierpnia 1916

Queen's Hall

Marylebone, centrum Londynu

Koncert zakończył się, muzycy wkładają instrumenty do wyściełanych atłasem futerałów. Publiczność się rozchodzi. Niektórzy gawędzą między rzędami krzeseł, inni kierują się już do wyjścia. Szmer rozmów stopniowo narasta.

Ashley siedzi w ostatnim rzędzie i przegląda rozkład pociągów linii Great Western. Imogen dostrzegł już wcześniej, teraz czeka, aż ona, wychodząc, zauważy jego. Wyciąga z kieszeni wieczne pióro i zakreśla pociąg o 9.38 ze stacji Paddington do Didcot.

Imogen siada obok niego. Z oczyma wpatrzonymi w scenę nachyla się i szepcze:

– A więc pan przyszedł.

Ashley wkłada rozkład do kieszeni bluzy munduru.

– Ludzie pomyślą, że mnie pani śledzi – mówi.

– Podobał się panu koncert?

– Niezmiernie.

– Czemu więc usiadł pan na samym końcu?

– Przyszedłem późno.

– A dlaczegoż to?

Ashley uśmiecha się i odwraca wzrok.

– Stałem na zewnątrz – wyznaje – i zastanawiałem się, czy powinienem wejść.

– Cieszę się, że pan wszedł.

Starsza kobieta z laską próbuje precyzyjnie się przed nimi. Wstają, by zrobić jej miejsce. Nie siadają z powrotem.

– Przerzucają mnie w czwartek – mówi Ashley, jękając się lekko. – To znaczy... Jest taki piękny dzień, co pani powie na przechadzkę?

Imogen zgadza się. Ashley sugeruje Green Park lub nawet Hyde Park, ale Regent's Park jest najbliżej.

– I tak wolę Regent's Park – deklaruje Imogen. – Jest najpiękniejszy i są tam francuskie ogrody, jeśli znudzą nam się ogrody angielskie. Choć przecież pan wyrusza do Francji. Ale jednak...

Imogen urywa. Zagryza wargę i kieruje wzrok ku wyjściu. Ashley przygląda się jej wyczekująco.

– Przepraszam?

Imogen potrząsa głową.

– Sama nie wiem, czemu to powiedziałam. Przecież nie będzie pan tam oglądał ogrodów.

Są w Regent's Park, przechadzając się wśród starannie rozmieszczonych fontann i równolegle biegnących żywopłotów. Popołudniowe słońce ozłaca ich twarze. Ashley patrzy na puste kamienne kwietniki i marszczy brwi.

– Bez kwiatów to nie to samo.

– Ale przecież pamięta się, jak wyglądały z kwiatami.

Imogen podchodzi bliżej i kładzie dłoń na kwietniku.

– Tu były krokusy. Swoją drogą, jakże to osobliwa nazwa dla tego najcudniejszego

z kwiatów. Tutaj fioletowe hiacynty, pamiętam na pewno. Tam żonkile, a za nimi pelargonie i dalie...

Ashley idzie przy jej boku, swą laseczkę trzyma za plecami. Mijają grupę żołnierzy rekonwalescentów w niebieskich strojach szpitalnych. Towarzyszą im dwie pielęgniarki. Ashley opowiada o swoim szkoleniu oficerskim, Imogen wspomina, że przygotowuje się do egzaminów wstępnych do Somerville College.

– Wyrazy współczucia – mówi Ashley. – Straszliwie bałem się sesji egzaminacyjnej w Cambridge, na szczęście wystarczyło zwać do armii. Czy egzaminy w Somerville są trudne?

– Niezupełnie, ale zamierzam ubiegać się o stypendium, więc muszę uzyskać przyzwoity wynik. Oczywiście jest mi o tyle łatwiej, że uczyłam się do nich już wcześniej.

– Naprawdę?

Imogen kiwa głową.

– To cokolwiek zawstydzająca historia. Zapanowała wielka konfuzja... Nikt nie wzruszyłby nawet ramionami, gdybym zechciała studiować malarstwo albo muzykę jak mamusia i Ellie. Ale ja wolałam wiedzę, pragnęłam być częścią życia, zamiast po prostu je imitować. Wbiłam więc sobie do głowy, że pójdę do Somerville. Awantury z papą ciągnęły się w nieskończoność, ostatecznie jednak przystąpiłam do wielkanocnych egzaminów. Oczywiście nie byłam przygotowana. Radziłam sobie z angielskim i greką, ale łacina poszła mi kiepsko, a matematyka wprost fatalnie.

Imogen spogląda na Ashleya, marszcząc brwi.

– Widzi pan, wszystko to było jak gdyby niewłaściwe, samotna ucieczka do Oksfordu, chociaż mama stawiała na głowie, by umieścić Ellie w Slade. A gdy już znalazłam się w Oksfordzie, okazało się, że jest tam zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam. W college'ach nie było prawie nikogo prócz kadetów. Egzamin trwał cztery dni, mieszkałam w wyziębionym pokoju w Oriel, bo jak wiesz, Somerville przerobili na szpital. Trzeciego dnia wszystko zdawało mi się już pełnym absurdem: trwa wojna, w Irlandii wybuchło powstanie, a ja leżę w łóżku, dygoczę z zimna i myślę o algebrze...

– Nie ukończyła pani egzaminów?

Imogen wzdycha, kręcąc głową.

– Nie, ale zamierzam przystąpić do nich ponownie. Miałam kilka miesięcy, by błąkać się po Londynie i wszystko sobie przemyśleć. To dostatecznie dużo czasu. Prędzej czy później człowiek zdaje sobie sprawę, że nie wystarczy być najmądrzejszym i wyznawać najprzedniejsze idee. Trzeba coś osiągnąć, stworzyć najmniejszy choćby zakątek dobra w świecie. Przez kilka tygodni byłam przekonana, że powinnam zostać pielęgniarką u kwaków we Francji. Kiedy jednak powiedziałam o tym papie, uznał, że z dwojga złego lepsze już będzie Somerville.

Ashley śmieje się, Imogen też się uśmiecha i kręci głową z udawaną irytacją.

– Miał całkowitą rację – mówi. – Bez wątplenia to lepsze dla nerwów niż lazaret, a ja ledwo potrafię znieść widok krwotoku z nosa. Po prostu chciałabym robić coś użytecznego. Sęk w tym, że brak mi wykształcenia. Wcześniej będę się więc musiała wiele nauczyć.

– Począwszy od algebry?

Imogen krzywi się.

– Dobry Boże, nie rozmawiajmy o tym. Nawiasem mówiąc, gdybym miała spotkać mego tutora, pana Błagdona, niech się pan nie zdziwi, jeśli schowam się za drzewem. Pan Błagdon myśli, że leżę w łóżku z gorączką.

Wychodzą z ogrodu na szeroki zielony trawnik. Ashley spogląda na Imogen.

– Mam wrażenie, że pani krewni różnią się bardzo od moich. Szczególnie pani siostra wydaje się bardzo interesującą osobą.

Imogen wzrusza ramionami.

– Sama nie wiem. Ellie i Charles poruszają się w kręgach ludzi, którym wspólne są pewne idee. Ale ich małżeństwo jest raczej przeciętne. To samo tyczy się mych rodziców. Papa bardzo ściśle przestrzega konwenansów, po prostu ożenił się z kobietą zupełnie od niego odmienną.

– Mówiła pani, że jest Szwedem. Ale pani urodziła się tutaj, prawda?

Imogen kręci głową.

– Ellie i ja urodziłyśmy się we Francji. Papę wysłano w owym czasie na placówkę do Paryża, tam właśnie poznał mamę. Ponoć przeżyli burzliwy romans, choć gdy się dziś na nich patrzy, wydaje się to niewiarygodne. Papa był młody i nadzwyczaj przystojny. Mama studiowała rzeźbę na Académie Julian.

Stają w cieniu wysokiej wierzby i Imogen siada pod drzewem. Ashley waha się przez moment, po czym siada obok dziewczyny, zachowując jednak pewną odległość. Wrywa z ziemi garść trawy i leniwie rozrzuca ją w powietrzu. Odwraca wzrok ku Imogen.

– Nic już nie rozumiem. A więc jest pani Angielką czy nie?

– Oto jest pytanie. Początek życia spędziłam we Francji. Gdy miałam pięć lat, przenieśliśmy się do Berlina. Tutaj natomiast zamieszkaliśmy, kiedy miałam dziewięć lat, odtąd mama nie chciała wyjeżdżać z Anglii. Jeśli chodzi o języki, dobrze radzę sobie z francuskim, przede wszystkim dlatego, że dużo czytam po francusku. Mój niemiecki jest poprawny, szwedzki jednak cokolwiek rozczarowujący. To samo zresztą tyczy się Ellie. Potrafię mówić po szwedzku, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale nie umiałabym w nim pisać, choćby zależało od tego moje życie. Gdy zaś idzie o angielski...

– Mówi pani bez najmniejszego śladu akcentu – przerywa jej Ashley. – Ale nie jak inne Angielki. Jest coś w pani frazie...

Imogen potakuje.

– Już mi to mówiono. Oczywiście według papierów jestem Szwedką, choć ledwo znam ten kraj. Byłam tylko w Sztokholmie, i to bardzo krótko. A gdyby przyszło mi wybierać ukochane miasto, bez chwili wahania wybrałabym Paryż, nie Londyn. Co ciekawe, mam dużo sentymentu do Berlina, bo przypomina mi o dzieciństwie. Nie wiem, jak to wszystko się sumuje. Nie jestem Francuzką, nie jestem porządną Szwedką, no i z pewnością nie jestem Niemką.

– W takim razie musi pani być Angielką.

Dziewczyna uśmiecha się.

– Skoro tak się panu podoba.

Przez chwilę rozmawiają po francusku, Imogen chwali akcent Ashleya. Potem dla zabawy wymieniają parę zdań po grecku i – szeptem – kilka niemieckich rymowanek.

– Nie tak głośno – ostrzega Ashley. – Ludzie gotowi wziąć panią za agentkę obcego wywiadu. Chociaż jeśli się zastanowić...

Imogen puszcza do niego oko.

– Tajni agenci są wszędzie. Ja jednak szpieguję tylko dla siebie.

Ashley prowadzi Imogen wzdłuż wąskiego stawu parkowego, z którego na czas wojny spuszczone wodę. Mijają nowe baraki pocztowe, gdzie sortowane są listy z Francji. Siadają na ławce naprzeciw dużego pola.

– Czy miałby mi pan za złe, gdybym spytała, czemu wstąpił pan do armii?

– Dla munduru, rzecz jasna. Uważałem, że będę w nim znakomicie wyglądał. No i miałem serdecznie dość tego, że w tramwaju co rusz ktoś wręczał mi białe pióra.

– Najwyraźniej nie lubi pan być poważny.

– Nie zawsze.

– Niech pan spróbuje, naprawdę chciałabym wiedzieć.

Ashley przygląda się jej z zaciekawieniem.

– Nie wiem, czy obilo się pani o uszy, ale nasz kraj jest w stanie wojny. Niemal wszystkie chłopaki z mojego college’u się zaciągnęły.

– Czy zawsze robi pan to, co inne chłopaki?

– Nie.

– Tak właśnie sądziłam, panie Walsingham. Nie chcę być nieuprzejma. Mam swoje poglądy na temat wojny i armii, lecz doskonale wiem, że mogą one być całkowicie błędne. Słuchanie wyłącznie ludzi pokroju pana Russella jest równie męczące co lektura „Morning Post”. Dlatego chcę wiedzieć, z jakich naprawdę powodów postanowił pan...

– Nudziłem się w Cambridge – Ashley gwałtownie wchodzi jej w słowo. – W życiu musi być coś więcej niż tylko niekończąca się nauka łaciny. I byłem na tyle głupi, by uważać, że jeśli nie pójdę na wojnę, ominie mnie coś wielkiego.

– Ale powiedział pan Ellie, że chce spełnić swój obowiązek.

– Mówiłem szczerze. Nie można wszak żyć tylko dla siebie. Próbowałem, ale nic w tym dobrego.

– Więc idzie pan na wojnę, by zrobić coś dla innych?

– Mam taką nadzieję.

– A zabijanie?

Ashley waha się przez moment. Imogen kręci głową i kładzie dłoń na jego przedramieniu.

– Przepraszam, nie chciałam zapędzić pana do defensywy. Ledwo się znamy, a ja już mam wrażenie, że wszystko psuję...

– Nie, zadała pani dobre pytanie – mówi Ashley. – Sądzę, że odpowiedź jest prosta: zabijać można tylko po to, by ocalić innych.

– Marna zamiana, jedno życie za drugie. I skąd wiadomo, czy rzeczywiście się kogoś ratuje?

– Pewnie nigdy nie wiemy naprawdę.

Imogen patrzy na Ashleya, mrużąc oczy.

– Wybaczy pan, ale jak na żołnierza nie wydaje się pan szczególnie wojowniczy. Zawsze wyobrażałam sobie, że żołnierze mają absolutną pewność swych racji.

– Żaden myślący człowiek nie może być niczego pewien. Szczególnie jeśli chodzi o sprawy skomplikowane. A wojna jest piekielnie skomplikowana.

– A wspinaczka?

Na twarz Ashleya wraca uśmiech.

– Nie, tu wszystko jest proste.

Milkną oboje. Ashley zerka na pomarańczowe słońce, zachodzące z wolna. Imogen przygląda się swym dłoniom.

– Mówią, że we Francji jest naprawdę źle.

– Wiem.

– Sądzi pan, że tak źle, jak mówią?

– Pewnie nawet gorzej.

– Ashleyu, wiesz, że nie musisz jechać...

– Oczywiście, że muszę.

Dziewczyna kręci głową i kładzie chłodną dłoń na jego dłoni. Delikatny dotyk sprawia, że Ashleya przeszywa dreszcz.

– Możesz zrobić, co zechcesz. Tylko tyle próbuję powiedzieć. Po prostu nie potrafię pojąć, czemu ktoś, kto kocha wspinaczkę, chce iść na wojnę. Wśród Niemców jest wielu wyśmienitych alpinistów, prawda?

– Święte słowa.

– A w Berlinie mają parki jak ten tutaj i w jednym z nich na pewno siedzi teraz dwoje ludzi, prowadząc tę samą rozmowę co my. I jedno z nich idzie na front. Nie zaprzeczaj. Cóż by się zmieniło w świecie, gdybyście i ty, i on nie pojechali? Gdybyśmy nie musieli się rozstawać?

– To piękna myśl, ale nie sądzę, by cokolwiek takiego mogło się zdarzyć...

– Rzeczy dzieją się – odpowiada Imogen – ponieważ ludzie w nie wierzą. Nieważne, co robi lub myśli reszta świata. Liczy się jedynie to, że jesteś tutaj i że ja tu jestem, i że możemy robić, co nam się tylko podoba.

Ashley kiwa głową. Słońce zniknęło, niebo nabiera barwy ciemnego fioletu. Imogen cofa dłoń, mówi, że jest już prawie siódma, a ona umówiła się w Mayfair na kolację. Ashley uśmiecha się.

– Wydaje mi się, że nie dotrzesz na to spotkanie.

Imogen odwraca twarz, próbując ukryć uśmiech.

– Nie – mówi. – Nie dotrę.

ZNAKI I CUDA



Trzy dni w Londynie, a ja wciąż nie mogę przespać całej nocy. Za dnia czuję się śmiertelnie zmęczony, a po zmroku leżę w swoim pokoju hotelowym, wpatrując się w ciemność i słuchając mruczenia klimatyzacji. Angielski wspinacz zostawia majątek kobiecie, którą znał przez tydzień. Letni dom w Leksand remontowany na zimę 1916 roku. Jedyne wspólne ogniwo – moja babcia, kobieta, którą widziałem co najwyżej trzy razy w życiu, i to wiele lat temu.

Na skraju mej pamięci kryją się obrazy. Spotkanie gdzieś nad morzem. To musiało być w Kalifornii, ale jakoś z Kalifornią mi się nie kojarzy. Stara kobieta idzie powoli, jej grube kostki zagłębiają się z każdym krokiem w piasku, moja matka trzyma ją pod ramię. Wiatr mierzwi nam włosy. Zapach piżmowych perfum babci, jej dziwny akcent i jeszcze dziwniejszy sposób mówienia. Jakieś stare, lepkie landrynki, którymi mnie częstowała. I dziwna rada, której mi udzieliła, a której już zupełnie nie pamiętam; byłem zawstydzony, choć nigdy nie zrozumiałem czemu.

Na zegarku 3.13 rano. Zrywam się z pościeli i wkładam ubranie. Portier na dole mruga do mnie, gdy otwiera mi drzwi. Wczorajszej nocy też wyszedłem o podobnej godzinie.

– Nadal nie możemy przestawić się po podróży?

Portier nosi muszkę i frak, jego siwe włosy skrywa cylinder.

– Tak, ciężki przypadek.

– Spacer na pewno panu posłuży, nic lepszego niż się porządnie zmęczyć.

Idę Albemarle Street, kierując się zygzakami ku Marble Arch. Wracając, siadam na ławce przy Grosvenor Square i wyciągam notatnik z kieszeni kurtki. Dużymi literami wpisuję nagłówki dwóch kolumn, w których chcę rozplanować badania: ASHLEY i IMOGEN. Pod spodem zapisuję listę tematów: pierwsza wojna światowa, ekspedycja na Everest, Londyn, Szwecja. Kreślę strzałki, by połączyć tematy z odpowiednimi bibliotekami: Alpine Club, archiwa wojenne, British Library, prasa. Większość wątków prowadzi do Ashleya. Zakreślam dwukrotnie imię Imogen i łączę je z Charlotte. Potem dodaję Eleanor.

Chowam notatnik do kieszeni i idę z powrotem do hotelu. Może teraz uda mi się zasnąć.

Rano zaczynam od Ashleya. W ciemnych podziemiach Alpine Club w Shoreditch archiwista pokazuje mi czekan Hugh Price'a z wyprawy na Everest w 1924. Czekan jest cięższy, niżby się zdawało, dobrze wyważony, z drewna i stali. Na trzonku widzę dwa nacięcia, swoisty podpis Price'a. Podchodzę do zakratowanego okna, by obejrzeć czekan we wpadającym przez nie skąpym świetle. Na stalowej główce wygrawerowana jest nazwa producenta: CHR SCHENK, GRINDELWALD.

– Co stało się z czekanem Walsinghama?

Archiwista wzrusza ramionami.

– Nigdy go nie znaleziono.

Ale to dopiero początek. W archiwach spędzam całe cztery dni od rana do wieczora, robiąc sobie tylko godzinne przerwy na lunch. Odwiedzam czytelną Imperial War Museum w Southwark, przeglądam pisane na maszynie katalogi Królewskiego Towarzystwa Geograficznego przy Kensington Gore i zamawiam każdy najmniejszy świstek związany z wyprawą z 1924 roku. Bibliotekarz mówi, że znalezienie ich w magazynie może potrwać kilka dni, a nawet tygodni, ale i tak składam rewery. Przeglądam poźółkłe listy i sponiewierane notatniki, wspomnienia i relacje z wojen i wypraw alpinistycznych. Uczę się o okopach

i przedpiersiach, o żlebach i morenach, o kotłach lodowcowych i bergschrundach.

W sobotę jadę metrem do Colindale, gdzie znajdują się zbiory prasy British Library. Cały rano przeglądam duże, oprawione na czerwono tomy stęchłych gazet. Upewniam się, że nie przeoczyłem żadnej ważnej informacji w artykułach poświęconych wyprawie na Everest. Potem przychodzi czas na mikrofilmy. Zaczynam od czerwca 1924. Raz po raz te same tematy: niepowodzenie ekspedycji, ogólnikowe informacje na temat śmierci Ashleya, ziarniste fotografie z bazy na Mount Evereście, beznamiętny hołd króla. Moją uwagę przyciąga tylko jeden artykuł, zajmujący zaledwie kolumnę i wydrukowany siedem tygodni po tragedii.

Ofiara Everestu.

Historia przestrogi Wielkiego Lamy

Jak donosi nasz korespondent z Kalimpong w północnym Bengalu, śmierć pana Walsinghama w drodze na szczyt Mount Everest została przepowiedziana przez Wielkiego Lamę z klasztoru w Rongbuk. Tubylcy wierzą, że ów święty mąż, posiadający nadnaturalnie wielkie uszy, ma dar jasnowidzenia.

Gdy tragarze opuszczali Rongbuk, opodal bazy, Wielki Lama przestrzegł ich, by nie próbowali ponownie zdobyć Mount Everestu. W przeciwnym razie czekać miała ich tragedia: Duch Góry był jak dotąd łaskawy, lecz jeśli jego spokój znów zostanie zakłócony, zapragnie zemsty.

Nie wiadomo, czy słowa miały wpływ na morale kulisów. Jest natomiast faktem, że podczas wyprawy tragarze uciekali się do licznych wymówek, chcąc uniknąć wspinaczki w wyższych partiach góry.

Próbuję znaleźć coś jeszcze na temat mnicha z Rongbuk, ale w innych artykułach nie ma na jego temat żadnych wzmianek. Następnego dnia idę więc do siedziby British Film Institute na South Bank, by obejrzeć film z wyprawy, nakręcony przez J.B.L. Noela. Siadam przed ekranem i zakładam słuchawki. Obraz trzęsie się nieco, a negatyw jest porysowany. Najpierw pojawia się czarna plansza z białym napisem:

Historia śmiałych podróżników w dalekiej ziemi i ich wysiłków, by zdobyć dach świata.

Chmury rozstępują się, ukazując bezkresne pasmo górskie. Jeden szczyt wznosi się ponad innymi. Ujęcie z długiego obiektywu, kadr w okrągłej winiecie, jak gdybyśmy oglądali go przez lunetę. Przedstawia piramidę szczytu spowitą w smugach pędzonego wiatrem śniegu.

Film jest niemy, zdejmuję więc słuchawki. Druga plansza:

W krainie tej nie znajdziemy ani śladu człowieka. Oto świat, który nie zna gatunku ludzkiego. Wielki, dostojny, niewysłowienie samotny lodowiec Rongbuk ukazuje swe oblicze.

Podziwiam lodowe szczyty, ostre granie góry, mgłę wędrującą z Nepalu do Tybetu ponad nawisami skalnymi smaganymi wiatrem. Tybetańscy wieśniacy w zabrudzonych szatach stoją w grubo ciosanych drzwiach swoich domostw i wpatrują się w kamerę. Szerpowie, odziani w wiatroodporne bluzy, z goglami na oczach, wędrują w kadrze. Wreszcie Brytyjczycy, zawsze filmowani z oddali. Przedzierają się przez gęstą dżunglę krainy Sikkim w krótkich spodniach, kołysząc laskami. Parami idą przez ponurą tybetańską równinę, obok ciągnie karawana objuczonych jaków. Dwóch wspinaczy siedzi w słońcu, na głowach hełmy safari, na kolanach notatniki, w których szkicują portrety wieśniaków. Wspólne śniadanie: wszyscy siedzą na skrzyniach pod gołym niebem, w tle tuzin mnichów z młynkami modlitewnymi. Żaden z członków wyprawy nie patrzy w ich stronę.

Ku sercu z czystego, błękitnego lodu – pięknemu, zimnemu, samotnemu. Ku krainie mrozu.

Lodowiec: potężna rzeka lodu okrywająca zbocze. Wyprawa wchodzi w ośnieżoną

dolinę, w labirynt zamrożonych skał, o wiele wyższych od człowieka. Niektórzy wyciągają szyje, by przyrzeć się ich wierzchołkom. Dłoni w jednopalczastych rękawicach dotykają niebieskich kryształów, zastanawiając się pewnie nad ich wiekiem, strukturą czy genezą lub jeszcze bardziej tajemniczymi sprawami. Jeden z Brytyjczyków ułamuje wielki sople lodu i cokolwiek niepewnie podpira się nim, by przekonać się, czy sople sprawdziłby się jako laska.

W każdym ujęciu wypatruję Ashleya, ale żaden z mężczyzn nie został sfilmowany w bliskim planie. Przyspieszam film.

Ponad nami wielka góra spogląda nieprzyjaźnie, gniewna, że ośmielamy się naruszać jej sanktuaria, gdzie nie stanęła dotąd stopa człowieka.

Tragarze dźwigają na plecach niewiarygodne wręcz ciężary. Wdrapują się po drabinkach sznurowych i brną przez zaśnieżone zbocza. Brytyjczycy wspinają się po stromych wapiennych ścianach, kurczowo trzymając się czekanów i z mozołem próbując zaczerpnąć rozrzedzonego powietrza. Znowu przewijam kawałek filmu. Wraca obraz szczytu. Nad wierzchołkiem zbierają się chmury.

Czy możliwe, że nie tylko materia stanęła na przeszkodzie w naszej walce, w której ludzka siła i zachodnia wiedza zawiodły i musiały złożyć broń? Czy walczyliśmy z czymś wykraczającym poza znaną nam rzeczywistość?

Ściemnienie. Przewijam film tam i z powrotem. Nagle widzę himalaistów i ponownie wciskam „Play”.

Ośmiu mężczyzn stoi przed namiotem służącym za kantinę. Ich twarze są spieczone słońcem. Niektórzy noszą krótkie brody. Ruszają ustami, ale słowa rozwiały się w powietrzu. W środku pułkownik z lekko rozbawionym wyrazem twarzy. Jest wyższy od pozostałych, ale równie szczupły, na czole ma czapkę i gogle. Obok stoi przystojny mężczyzna bez nakrycia głowy. Trzyma dłonie w kieszeniach kurtki; nachyla się ze śmiechem w stronę pułkownika. To Hugh Price, słynny alpinista. U jego boku chudy mężczyzna z fajką. Ktoś obejmuje go ramieniem. Rozpoznaję twarz ze zdjęć, które widziałem w gazetach. Ashley.

W odtwarzaczu ustawiam pętlę tych dziesięciu sekund filmu i przysuwam się do ekranu.

Ashley ma na sobie tweedową kurtkę z dużymi kieszeniami i długi szalik wokół szyi. Jest starannie ogolony i wygląda młodziej od swoich towarzyszy, nieomal chłopięco, choć jego skóra ogorzała w tybetańskim słońcu. Ma brujerkę, ale nie pyka. Uśmiecha się lekko i odwraca wzrok. Kaszle. Price mówi coś, a kaszel Ashleya zamienia się w śmiech. Przez ułamek sekundy Ashley patrzy prosto w obiektyw i nasze spojrzenia spotykają się. Potem zapętłony fragment filmu wraca do początku.

Jem kolację w hinduskiej restauracji przy Drummond Street i cały czas rozmyślam o Ashleyu. Było w tym filmie coś niespodziewanego, element, który nie pasował do pozostałych. Płacę, ruszam w stronę hotelu, zatrzymując się na Euston Station, by w aptece kupić proszki nasenne. Tam właśnie uświadamiam sobie, co nie dawało mi spokoju. Od kilku dni czytałem o trudach wyprawy – o chorobie wysokościowej, o straszliwych śnieżycach, o tym, jak wycieńczeni byli wspinacze, nim jeszcze udało się rozbić wyżej położone obozy. Na filmie Ashley nie wyglądał jednak na oszalałego ani zrozpaczonego. Wydawał się szczęśliwy. Otoczony przyjaciółmi stał przed kamerą, nie wiedząc, że za miesiąc będzie już martwy.

– A może właśnie wiedział... – szepczę.

Następnego ranka w kawiarni internetowej przy Oxford Street zaczynam poszukiwania Imogen. Godzinami wpisuję jej nazwisko w katalogach cyfrowych, w serwisach poświęconych genealogii. Bez skutku. Strona Szwedzkiego Archiwum Państwowego informuje, że większość dokumentów nie została jeszcze zdigitalizowana. Przez setki lat pieczę nad nimi sprawowali duchowni, którzy w swych parafiach rejestrowali nie tylko narodziny i zgony, lecz także chrzty,

komunie oraz wszystkie osiedlenia i wyprowadzki. Mieli nawet spis mieszkańców każdego domu z informacją o wieku i zawodzie. Archiwum kościoła w Leksand przechowywane jest w Uppsali, mieście uniwersyteckim położonym około pięćdziesięciu mil na północ od Sztokholmu. Ale nawet gdybym pojechał do Szwecji, nie mam pewności, że cokolwiek odkryję.

Po południu idę do Tower of London w nadziei, że krótka przerwa pomoże mi zebrać myśli. Pada deszcz, w Tower tłum zagranicznych turystów. Oglądam zbrojownię i podziwiam lśniące klejnoty królewskie: jabłka, berła i korony, wystawione na niebieskim francuskim aksamicie za szybami z grubego szkła, oświetlone lampami halogenowymi. Obok mnie stoi wycieczka; starszawy Amerykanin pyta przewodnika, ile to wszystko jest warte.

– Klejnoty są, rzecz jasna, bezcenne – odpowiada przewodnik.

– No, ale ktoś musi chyba wiedzieć, ile kosztują – oponuje Amerykanin.

Przewodnik kręci głową.

– Nigdy nie zostaną sprzedane. Żadna firma nie podjęłaby się ich ubezpieczenia. Nie da się ich ukraść.

Amerykanin zastanawia się przez chwilę.

– Skoro tak – stwierdza – są po prostu bezwartościowe.

Gdy wychodzę i staję na nabrzeżu niedaleko Tower Bridge, zapada już zmierzch. Cienie migoczą na powierzchni ciemnej rzeki, płynącej między kamiennymi filarami mostu.

„Oto świat, który nie zna gatunku ludzkiego”, powtarzam sobie.

Idąc do hotelu, przez cały czas myślę o Imogen. Jeśli nie da się odszukać informacji o niej samej, muszę zrobić to, co zrobili prawnicy – zająć się jej siostrą. Eleanor była malarką, są szanse, że zachowały się jej listy i papiery. Może w którymś będzie wzmianka o Imogen? Robię listę londyńskich bibliotek i archiwów poświęconych sztuce. National Art Library oraz Muzeum Wiktorii i Alberta mają największe zbiory.

Następnego ranka o 9.40 stoję na stopniach przy Exhibition Road. Fotografuję fasadę budynku, podziurawioną szrapnelem podczas Blitzu. Strażnik otwiera drzwi i kieruje mnie do biblioteki na drugim piętrze. Dostaję przepustkę i zamawiam pierwszy zestaw książek. Większość dotyczy współczesnej sztuki brytyjskiej. Nazwisko Eleanor pojawia się tylko przelotnie, ale w przypisach znajduję odwołania do biografii malarzy i monografii poświęconych Camden Town Group i Omega Workshops. Zamawiam te książki. Eleanor jest w nich wzmiankowana jedynie jako znajoma malarzy Charlesa Ginnera i Marka Gertlera. Dowiaduję się też, że jej prace znalazły się na zbiorowych wystawach w Adelphi Gallery i u braci Devereux. Dwukrotnie pada nazwisko jej matki, rzeźbiarki Vivian Soames. Wzmianki na temat Eleanor urywają się pod koniec lat dwudziestych. Może później zarzuciła malarstwo?

Wracam do komputera, by sprawdzić, czy w bibliotece znajduje się któryś z katalogów wystaw, zawierających obrazy Eleanor. Jest kilka z Adelphi Gallery, ale tylko do 1925 roku – Eleanor natomiast wystawiała tam w roku 1927. Hasło „bracia Devereux” nie zwraca żadnych wyników. Jednak w załączniku do jednej z moich książek czytam, że w ich galerii odbyła się w 1929 roku „Wystawa Klubu Niedzielnego”, na której znalazły się dwa obrazy Eleanor: *Cztery marcowe zające* i *Odessa*. Pokazuję ten fragment bibliotekarce.

– Czy słyszała pani kiedyś o Galerii Braci Devereux?

Kobieta rzuca okiem i marszczy czoło.

– Brzmi znajomo. Zaraz sprawdzę.

Przez chwilę stuka w klawiaturę komputera.

– Nie mamy tu nic na ich temat. Ale jest coś w archiwach Tate. Galeria Braci Devereux, New Bond Street sto pięćdziesiąt osiem. Dwa pudełka, od roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego do tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego. Katalogi wystaw, korespondencja

prywatna, księgi rachunkowe, bilans...

– O której zamykają?

– O siedemnastej, ale zazwyczaj trzeba umówić się wcześniej. Mogę do nich zatelefonować.

Bibliotekarce udaje się przekonać ludzi w archiwum, by zapisali mnie na piętnastą. Jadę metrem do Pimlico i spocony od słońca biegnę wzdłuż nabrzeża w stronę muzeum. Pierwsze pudełko już na mnie czeka. Grube czarne rejestry sprzedaży i księgi rachunkowe, kilka cienkich katalogów w kolorowych okładkach, rachunki przewozowe i listy. Choć w nazwie galerii mowa jest o braciach, cała korespondencja była adresowana tylko do Rogera Devereux. Większość papierów pochodzi z lat dwudziestych. W spisach inwentarza napotykam czasem obrazy Eleanor: *Scena nocna (Dominium czerni)*, *Cztery marcowe zajęcia*, *Kronborg Slot*.

Zwracam pudełko i otrzymuję drugie. Z boku ma ono nalepkę: *Devereux, Roger: Korespondencja 1911–1927*. W środku dziesiątki listów, niektóre wciąż w starannie rozciętych kopertach. Autorem większości jest mężczyzna o nazwisku Coutts, najwyraźniej odpowiedzialny za bieżące prowadzenie galerii. Sądząc po tym, jak często Coutts słał swoje listy o drobnym odręcznym piśmie na adres Devereux w Surrey, ten drugi nierzadko spędzał całe tygodnie poza Londynem.

Kartkuję papiery, zerkając od czasu do czasu na zegar za moimi plecami. Znow wzmianki o Eleanor, obie w listach dotyczących wystawienia jej obrazów, w lipcu 1919 i marcu 1921 obok spisu dzieł, które znalazły nabywców. Ale zaraz natrafiam na bardziej zastanawiającą notkę.

23 marca 19

Szanowny panie Devereux,

otrzymałem list Pański z 19 bm. i zgodnie z instrukcjami pozbyłem się rzeczzonego studium. P. Broginart był niezmiernie rozczarowany, a póki nie wyjaśniłem mu sytuacji, oferował nawet dwukrotnie większą cenę. Pytał także o większy obraz i gotów jest kupić go w ciemno, choć nie podał konkretnej kwoty, ja zaś wyraziłem me wątpliwości. Czy P. Grafton zdradziła już swe plany w kwestii ewentualnego wystawienia dzieła na sprzedaż?

W tej samej dostawie przyszły dwa portrety (Gospodyni, Doktor Lindberg) i Kronborg Slot. Otrzymałem już informacje katalogowe i wycenę owych prac, proszę więc potwierdzić, czy przeznaczone są na wystawę i do sprzedaży.

Z wyrazami szacunku

Wm. Coutts

Czytam list trzykrotnie. Potem idę do głównego stanowiska i proszę archiwistę o skserowanie. Oddaję mu pudełko.

– Czy mogę ponownie dostać pudełko numer jeden?

Wracam do stołu i wyciągam zawartość. Odnajduję strony dotyczące roku 1919. Znajdują się tam pokwitowania za trzy obrazy autorstwa „Grafton”, wystawione 14 marca: *Kronborg Slot*, *Doktor Lindberg* i *Studium aktu*. Ostatni został wykreślony. Przewracam stronę. Dwa kolejne obrazy Eleanor przyjęto w lipcu 1919 roku: *Cztery marcowe zajęcia* i *Nieprzezwyjężona*.

Prostuję się na krześle, spoglądam w sufit i próbuję powstrzymać uśmiech. Wiem, że nie wolno mi być niczego pewnym. Ale i tak się uśmiecham. Przeglądam pozostałą zawartość

pudełka, trudno mi się jednak na czymkolwiek skupić. Poza tym w archiwum zaczynają już gasić światła.

Na dworze pada ciepły deszcz. Ruszam w kierunku Victorii, zatrzymując się po drodze, by zadzwonić do Pricharda z budki telefonicznej. Prichard jest na spotkaniu. Kiedy jednak wchodzę do pokoju hotelowego, widzę, że na telefonie mruga czerwone światelko. Podnoszę słuchawkę.

– Dobry wieczór, dzwonię z kancelarii Twyning i Hooper. Czy rozmawiam z panem Tristanem Campbellem?

– Tak.

– Łączę z Jamesem Prichardem.

Siadam na łóżku, wyciągam z plecaka notatnik i kserokopie. Elektroniczny budzik pokazuje 18.17. Najwyraźniej Prichard pracuje dziś do późna.

– Ach, nasz znakomity pan Campbell. Proszę nie mówić, że ma pan nową hipotezę.

Czytam Prichardowi list Couttsa i opisuję wpis w inwentarzu. Prichard milczy przez chwilę.

– To wszystko, co pan znalazł?

– Tak, ale to naprawdę ważne. Nie rozumie pan...

– Tak, tak – wzdycha Prichard. – Sądzi pan, że portret przedstawiał Imogen.

– Właśnie.

– I dlatego go zniszczono.

– Zgadza się.

– A czemuż to, pańskim zdaniem, ów czyn był konieczny?

– Bo przedstawiał ją nago. Bo była w ciąży. Albo dawało się rozpoznać, że znalazła się w Szwecji krótko przed narodzinami Charlotte...

– Czyste domysły – przerywa mi Prichard. – Eleanor najpewniej chciała, by zniszczono obraz, bo było to jedynie niegotowe studium lub szkic. Wydaje się, że do Londynu przysłano go przypadkiem. A może po prostu nie była ze swojego dzieła zadowolona?

– Ale ktoś chciał je kupić. Czemu niszczyć obraz, który ma już nabywcę?

– Powodów mogło być wiele. Nie wiemy, co przedstawiono na obrazie. Pan sądzi, że musiało chodzić o owo *Studium aktu*, ale dysponuje pan wyłącznie poszlakami. Zaiste, jak dotąd ma pan jedynie hipotezę i szuka jej potwierdzenia: wszystko zdaje się panu dowodem, lecz być może hipoteza jest błędna i zwodzi pana na manowce. Dla przykładu, powiada pan, że list datowany jest na rok tysiąc dziewięćset dziewiętnasty. Kiedy jednak, pozwolę sobie spytać, Charlotte przysłała na świat?

– W tysiąc dziewięćset siedemnastym. Wtedy raczej nikt nie miał głowy do handlowania sztuką. To logiczne, że Eleanor nie próbowała wysłać swych obrazów przed końcem wojny. Zwłaszcza że była wtedy w Szwecji.

– Możliwe. Niemniej za dużo domysłów. Panu potrzebne są fakty.

– Mam mnóstwo faktów.

Wertuję notatnik i mówię szybko:

– Wiem, że wyremontowały dom w Szwecji w tysiąc dziewięćset szesnastym, by Eleanor mogła spędzić tam zimę, choć wcześniej był to wyłącznie dom letni. Wiem, że Charlotte się tam urodziła. Wiem, że Eleanor namalowała obraz, który w lutym tysiąc dziewięćset dziewiętnastego, parę miesięcy po zakończeniu wojny, wysłano do Londynu. Ale coś było nie tak z obrazem i nakazała ludziom z galerii jego zniszczenie. Zniszczenie – nie umieszczenie w magazynie, nie odesłanie go z powrotem. Wiem, że w inwentarzu galerii jest wymienione *Studium aktu* otrzymane w lutym tysiąc dziewięćset dziewiętnastego...

- Bez wątpienia fascynujące. Ale brak tu dowodów.
- To wszystko może mnie do nich doprowadzić.
- Co na przykład ma pan na myśli?
- Rejestr urodzeń. W Szwecji rejestry prowadzono w parafiach, czytałem na ten temat.

We wpisie dotyczącym Charlotte będą nazwiska rodziców, może inne niż w dokumentach angielskich? Parafia spisywała też mieszkańców każdego domu. Może da się znaleźć informację na temat tego, kto mieszkał tamtej zimy w domu w Leksand. Może będzie tam wzmianka o Imogen. Czy ktoś przeglądał szwedzkie archiwa?

– Co najmniej trzykrotnie – odpowiada Prichard. – Zajmowali się tym nasi pracownicy. Nie wiem, co dokładnie zostało przeanalizowane, mówiono mi jednak, że były to bardzo wyczerpujące poszukiwania. Rzecz jasna, nie znam żadnych szczegółów. Czy z pańskich słów mam wnosić, że zamierza pan udać się do Szwecji?

– To tylko krótki lot. A poza tym nie mam lepszego tropu.

Prichard wzdycha ciężko.

– Nie przeczę. Jeśli musi pan jechać, lepiej teraz niż później. Musi pan jak najszybciej upewnić się, czy trop jest właściwy. Ale, panie Campbell...

– Tak?

– Nie ma pan szukać obrazu. Ma pan szukać dowodu.

Rozłączam się i schodzę na dół. Recepcjonista wciąż jest na posterunku, pytam, czy może mi zarezerwować tani lot do Sztokholmu. Po krótkim postukiwaniu w klawiaturę odpowiada:

– Wszystkie jutrzejsze loty są już zabukowane, ale pojutrze mam Ryanaira za siedemdziesiąt funtów – krzywi się. – Tylko że wylot o szóstej rano. A lotnisko Stansted jest tak daleko, że w zasadzie musiałby pan spędzić tam noc.

– A to możliwe?

Recepcjonista patrzy na mnie z wahaniem.

– Niektórzy tak robią. Osobiście jednak bym to panu odradzał.

Pokazuję mu kartę kredytową i po chwili mam już wydrukowane potwierdzenie zakupu biletu. Z hotelowego business center wysyłam e-mail do archiwum regionalnego w Uppsali. Informuję, że w czwartek zamierzam korzystać z ich czytelni i że pragnę zamówić wcześniej pewne materiały: rejestr urodzin w Leksand z lat 1906–1920 i dwa rejestry parafialne z lat 1910–1916 i 1917–1931.

Ostatni poranek w Londynie spędzam przy Charing Cross Road. Kupuję książki, które mogą przydać mi się w śledztwie: historię wypraw na Everest w nieco podniszczonej płóciennej oprawie, niewielką książkę z lat siedemdziesiątych w miękkiej okładce zatytułowaną *Życie codzienne w okopach, 1914–1918* oraz potężną cegłę *Rachunek szczęścia: Wojna na zachodnim froncie*. Potem wysyłam e-maile do ojca i przyrodniego brata. Nie mogę napisać im o śledztwie, a nie chcę kłamać, więc listy są raczej krótkie i ogólnikowe.

Wieczorem wracam do hotelu po plecak. Wychodząc, daję portierowi banknot pięćofuntowy, ale portier odmawia napiwku. Podajemy sobie dłonie.

– Dokąd pan wyjeżdża?

– Do Szwecji.

Portier puszcza oko.

– Proszę uważać – mówi. – W Europie jest inaczej niż tu. Oni tam wszystko robią po swojemu.

Na lotnisko Stansted docieram po dwudziestej drugiej. Ostatnie tego dnia samoloty już odleciały. Podróżni śpią na ławkach przykryci kurtkami i paltami. Młodzi backpackerzy leżą na gazetach, które porzkładali na podłodze terminalu.

Myję zęby w toalecie i napełniam butelkę wodą z kranu. Rozkładam śpiwór przy stanowisku odlotów i kładę się, żując czekoladki z hotelu. Przez całą noc co pół godziny z głośników nadawane są komunikaty dotyczące bezpieczeństwa na lotnisku.



19 sierpnia 1916

Regent's Park

Marylebone, centrum Londynu

Wychodzą z parku w mrok Marylebone Road. Większość latarni nie świeci się, panuje bowiem zaciemnienie w obawie przed atakiem lotniczym. Zapalono tylko kilka. Osłony z niebieskiego szkła przyćmiewają ich słaby blask. Po niebie wędrują promienie reflektorów, polujące pośród chmur i gwiazd na zeppelin.

Ashley zatrzymuje taksówkę. Imogen nie przestaje mówić, z dziecięcą radością przeskakuje z tematu na temat. Opowiada Ashleyowi o wiosce w Bretanii, gdzie chciałaby mieszkać, opisuje swój aparat Kodaka z systemem autograficznym, który dostała od ojca miesiąc wcześniej, wyjaśnia, że czyta głównie po francusku, najbardziej podobają się jej symboliści, Verlaine, De Gourmont i Corbière, ale nie widziała nigdy nic wspanialszego niż Niżyński tańczący w *Święcie wiosny*.

– Internowali go teraz na Węgrzech, dasz wiarę? Tancerz w więzieniu...

Imogen spogląda na Ashleya i uśmiecha się.

– Uważasz mnie za dziewczę niespełna rozumu, prawda? Ale nie dbam o to.

Taksówka okrąży fontannę na Piccadilly Circus. Tu również wygaszono światła, a we wszystkich oknach zaciągnięto zasłony. Fontanna wygląda osobliwie i ponuro. Pozdejmowano reklamy z dachów, zostały tylko ramy. Ashley patrzy na sylwetkę posągu Anterosa pośrodku fontanny. Strzała nagiego łucznika tonie w ciemności. Taksówka zatrzymuje się przed kasztanową markizą. Ashley płaci i otwiera Imogen drzwi, wyciągając ku niej dłoń. Dziewczyna przygląda mu się sceptycznie, potem uśmiecha się i wysiada, pozwalając Ashleyowi nacieszyć się jego szarmanckim gestem.

Siadają w kawiarni pod lustrem, tonąc w krzykliwych tapicerowanych krzesłach obitych szkarłatnym welurem. Wokół unosi się gęsta mgła dymu tytoniowego. Po chwili z mgły wyłania się kelnerka, by przyjąć zamówienie. Jej papierowy kołnierzyk jest poplamiony i pożółkły. Trzyma wykrochmaloną serwetkę przewieszoną nad mankietem czarnego żakietu. Patrzy na Ashleya i Imogen z wyrazem zmęczonej obojętności. Imogen zamawia dla obojga po kieliszku brandy, puszczając oko do Ashleya. Ten wyciąga szyję i omiata pomieszczenie wzrokiem.

– Na swój sposób nawet wesołe miejsce. Swoją drogą, czyż to nie dziwne? Kobiety kelnerki...

Kelnerka wraca z dwoma kieliszkami na tacy. Brandy kołysze się, gdy kobieta stawia kieliszki na stole. Imogen nachyla się ku Ashleyowi.

– Prague, byś opowiedział mi wszystko o wspinaczce.

– Co chcesz wiedzieć?

– Absolutnie wszystko. Od zawsze mnie to fascynuje. Gdy byłam dzieckiem i mieszkałam w Paryżu, jeździliśmy czasem do Szwajcarii. Pamiętam, jak strasznie bałam się przewodników górskich. Wczesnym rankiem czekali przed hotelem na gości. Nigdy nie wchodzili do środka, po prostu stali, paląc fajki i rozmawiając w tym swoim dziwnym dialekcie. Wiedziałam, że żyją gdzieś wysoko, i myślałam, że góry to jakiś obcy kraj, do którego zwykli ludzie mogą udać się tylko w towarzystwie przewodnika. I te tajemnicze nazwy! Mer de Glace, to niedaleko Mont Blanc, prawda?

Ashley kiwa głową.

– W tym samym masywie.

Podnosi ze stołu serwetkę, zdejmując z niej srebrną obrączkę i rozprostowuje płótno. Z kieszeni wyciąga pióro. Dwukrotnie dotyka serwetki stalówką, by pióro zaczęło pisać. Na serwetce pojawiają się dwa małe klekсы i Ashley rysuje mapę pasma górskiego.

– To masyw Mont Blanc – mówi. – Tu jest sam szczyt, wysokość niecałe szesnaście tysięcy stóp. Obok dolina Chamonix i miasto. Pewnie tam się zatrzymywałaś. Cała przełęcz liczy mniej niż dwadzieścia mil. Szeroka jest może na dziesięć.

Stalówka tańczy po płótnie, Ashley mocniejszą kreską szkicuje przełęcz, łączące szczyty.

– To Maudit, około czternastu tysięcy sześciuset stóp. Cholernie dobra trasa po południowej ścianie.

– Wspinałeś się tam?

Ashley kiwa głową.

– To Aiguille du Midi. Nazywa się tak, bo gdy się spogląda na szczyt z Chamonix, słońce staje nad nim dokładnie w południe. To Grandes Jorasses. Wspaniała ściana północna. Tam się jeszcze nie wspinałem. A oto twoje Mer de Glace. Wiesz, że co roku lodowiec przemieszcza się o sto jardów?

Imogen kręci głową.

– Byłeś tam?

– Raz. Nadzwyczaj ślisko. Schodziliśmy tamtędy o północy bez raków. Cokolwiek nieprzyjemna przygoda.

– Musiało być pięknie.

– Nie zwracałem uwagi na krajobraz.

Zamawiają drugą kolejkę. Ashley znów bierze brandy, Imogen – *crème de cassis*.

– Dziwię ci się – mówi dziewczyna. – Odnoszę wrażenie, że interesuje cię wyłącznie wysokość i poziom trudności każdej góry. Nie tego się spodziewałam.

– Mówienie o tym nie ma sensu. Spraw najważniejszych nie da się wyrazić słowami.

– Spróbuj. Bardzo chcę zrozumieć.

Ashley zamyśla się, chowając pióro. Z kieszeni wyciąga srebrną papierošnicę i zapala papierosa. Imogen też sięga do papierošnicy, a Ashley unosi brwi.

– Zamierzasz tu palić?

Dziewczyna odpowiada nieśmiałym skinieniem głowy. Ashley podaje jej ogień i wbija wzrok w popielniczkę z grubego szkła. Po chwili zaczyna mówić, starannie dobierając słowa.

– Nie można żyć bez ryzyka – tłumaczy. – Niebezpieczeństwa istnieją zawsze.

Niebezpieczeństwo, że zmarnujemy życie, że spędzimy całe dziesięciolecie, nie ruszając się z biurka, że skończymy nędznie i samotnie w szpitalnych łózkach. Głupcy próbują ignorować ryzyko, udają, że są na nie odporni. Ale inni chcą dotrzeć do samych źródeł życia.

– Co masz na myśli? – pyta Imogen.

Ashley gasi papierosa.

– Nie umiem ci odpowiedzieć. Dla każdego mężczyzny odpowiedź jest inna.

– I dla każdej kobiety. Ale jaka jest twoja odpowiedź?

– Nie ma na to właściwego słowa – mówi Ashley. – Ktoś mógłby powiedzieć o wysiłkach albo walce, ale to tylko trywializuje sprawę. Chodzi o coś, czego się potrzebuje, choć nie jest to niezbędne. Czego chcemy bez żadnego powodu. Nie mam na myśli zwierzęcych pragnień. Myślę o pragnieniu, które nie rodzi się w ciele, lecz w duszy.

– Ale czemu pragniesz?

- Nie umiem wyjaśnić.
- Na razie dobrze ci idzie. Mów dalej.

Ashley spogląda na obrus i kręci głową. Przede wszystkim, mówi, długotrwały komfort to żaden komfort. Wszystko w świecie dostrzegalne jest przez kontrast. Nie ma ciepła bez chłodu, światła bez ciemności. Wspinaczka stawia całe życie Ashleya w ostrym świetle. Wspinaczka pozwala odczuwać. Mróz na stoku czyni ogień w alpejskiej chacie cudownym, zmęczenie mięśni i skurcze przemieniają zwykłą gorącą kąpiel w istną zmysłową rozkosz, godziny morderczej wspinaczki sprawiają, że posiłek z sardynek, krakersów i dżemu smakuje lepiej niż tysiąc kolacji w Criterion.

Nie da się żyć bez trudu. Trud codziennego życia, tłumaczy Ashley, zawsze się kumuluje. Niepodobna go zignorować. Jest o wiele bardziej okrutny niż ból, ziąb lub zmęczenie. Trudy życia codziennego czynią człowieka jedynie słabym, płytkim i małostkowym. Wielkie zmagania natomiast dają odwagę i mądrość.

– Małe sprawy nas umniejszają. Spóźniony pociąg, przypalony pudding, przeciąg w domu. Na żadnej górze nigdy nie było mi tak zimno jak w przeciągu. Czasem stawiamy czoła najgorszym okolicznościom, ale przez większą część życia przejmujemy się przypalonym puddingiem i temu podobnymi. Trzeba wiele wysiłku, by pojąć, czym naprawdę jest życie. A gdy już się to pojmie – cóż człowieka obchodzi, że się pudding przypalił?

Imogen obserwuje Ashleya. Nie odwraca wzroku, nie mruga. Bawi się srebrną bransoletką na lewym nadgarstku.

– Więc wspinasz się, bo wspinaczka odmienia tve życie?

Ashley przytakuje.

– Czasami tak. Aczkolwiek nie zawsze.

Bo jest jeszcze piękno. Ashley wykonuje znaczący gest dłonią, w której trzyma papierosa, i tłumaczy, że całą ludzką architekturę uważa za ledwie za parawan, wybujałą fasadę z żelaza i szkła, która przysłania prawdziwy majestat. Nieposkromiona ludzką ręką natura zawsze jest piękna. U źródeł zaś piękna poskromionego zawsze znajdziemy dzikość. Na Mer de Glace o północy jest się nie tylko świadkiem zdumiewającej tajemnicy świata naturalnego. To również ucieczka od metropolii, od człowieczego gabinetu luster, to zajęcie swego miejsca pośród dzikości.

– W górach nie podziwia się piękna – mówi Ashley. – W górach człowiek staje się jego częścią.

Imogen uśmiecha się i zaciąga lekko dymem z papierosa.

– Cóż za wspaniała przemowa. Cieszę się, że udało mi się ją z ciebie wyciągnąć. Choć z drugiej strony zastanawiam się, czy to nie kolejny dowcip. Naprawdę w to wszystko wierzysz czy też po prostu powiedziałeś mi, co chciałam usłyszeć?

– Przeceniasz mnie. Nie jestem aż tak dobrym kłamcą.

– Och, idę o zakład, że jesteś znakomitym kłamcą – odpowiada Imogen. – Ale sądzę też, że boisz się być poważny, bo w pewien sposób jesteś bardzo, bardzo poważnym człowiekiem.

Ashley milczy. Wpatruje się w coś ponad ramieniem Imogen. Zamyka papierośnicę i chowa ją z powrotem w kieszeni. Potem nachyla się nad stołem i zbliża twarz do dziewczyny.

– Para naprzeciwko – szepcze. – Obserwują nas.

Imogen odwraca się dyskretnie. Kilka stolików dalej mężczyzna z brodą à la Van Dyke siedzi rozwalony na krześle. Ma na sobie biały smoking, u szyi zwisa mu niezawiązana muszka. Kobieta obok śmieje się, trzymając dłoń na piersi swego towarzysza. Mężczyzna spotyka wzrok Imogen i podnosi kieliszek w geście toastu. Wstaje i ciągnąc kobietę za sobą, podchodzi do ich stolika.

– Pragnę zapytać – zwraca się do Ashleya i Imogen – czy zechcieliby państwo rozstrzygnąć nasz mały zakład. Nie mogliśmy nie zauważyć, jak uroczą parę tworzycie.

Mężczyzna ma zachrypnięty głos. Mówi z akcentem, który trudno przypisać konkretnemu miejscu.

– Z przyjemnością – odpowiada Ashley.

Mężczyzna zamaszystym gestem wskazuje na swą chichoczącą partnerkę.

– Moja towarzyszka gotowa jest przysiąc, że jesteście krewnymi.

– Rodzeństwo – wtrąca kobieta. – Albo rodzeństwo cioteczne. Macie takie podobne oczy.

Mężczyzna kręci głową.

– Ja jednak sądzę, że jesteście kochankami.

Ashley odwraca się i zakłopotanym wzrokiem patrzy na Imogen, ale dziewczyna śmieje się i upija łyk z kieliszka. Ashley gasi papierosa.

– Oboje macie rację – mówi. – Ta pani jest moją cioteczną siostrą. Właśnie się zaręczyliśmy i mamy zamiar się pobrać.

Mężczyzna raz jeszcze podnosi kieliszek w geście toastu. Alkohol w kieliszku ma mlecznozieloną barwę; zamaszysty ruch sprawia, że odrobina wylewa się na podłogę.

– Tak właśnie sądziłem. Życzę wam obojgu szczęścia.

Para wraca do swojego stolika.

– Cóż to za ludzie? – zastanawia się Ashley.

– Pijani – mówi Imogen. – Uważam, że on był dość czarujący.

Imogen idzie do toalety. Ashley dla zabicia czasu zapala kolejnego papierosa. W kawiarni nie ma orkiestry ani innych rozrywek. Raz jeszcze rzuca okiem na pijaną parę. Kobieta całuje nadgarstek mężczyzny i bawi się jego muszką. Ashley wyciąga zegarek i otwiera metalowe wieczko, chroniące kryształowe szkiełko. Kupił zegarek poprzedniego dnia. Sprzedawca twierdził, że wskazówki świecą w ciemności, ale w pomieszczeniu panuje zaledwie półmrok i trudno przekonać się, czy mówił prawdę.

Imogen wraca po chwili z promiennym uśmiechem i nachyla się ku Ashleyowi, trzymając dłonie na swym krześle.

– Miałam właśnie prawdziwe objawienie w umywalni.

– Doprawdy?

– Pojedźmy w Alpy. Może do Szwajcarii, to wszak neutralne państwo. Zaszycemy się w chacie w jednej z tych wielkich dolin, gdzie nie ma żadnych dróg i gdzie można dostać się wyłącznie piechotą. Są takie miejsca, prawda?

Ashley czuje raptem przyływ gorąca. Przez moment myśli z obawą, że się zarumienił. Zaciąga się papierosem.

– Są, oczywiście.

Imogen uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Nikt nas tam nigdy nie znajdzie.

– To twoje objawienie?

– Jedno z dwóch.

– Powiesz mi, jakie było drugie?

– Zgubiłam klucz. Nie będę mogła dostać się do domu.

– Zgubiłaś?

Imogen przesuwa krzesło i siada.

– Nie jest to chyba rzecz zupełnie niespotykana. Prawdę mówiąc, dziwię się, że nigdy dotąd mi się to nie zdarzyło.

– W domu nikogo nie ma?

Imogen kręci głową.

– Na tym polega cały dowcip. Wszyscy są dziś w Sussex, nawet gospodyni. Nie wróci aż do rana.

Imogen przeszukuje torebkę i kieszenie, Ashley, nieomal na czworakach, omiata wzrokiem dywan. Do poszukiwań włącza się – bez entuzjazmu – obsługa. Po kluczu ani śladu.

– Możliwe, że wypadł mi w parku – mówi Imogen.

Ashley śmieje się.

– Nie masz chyba na myśli... Nigdy go tam nie znajdziemy.

– Warto spróbować.

ZGROMADZENIE



Ochroniarz budzi mnie, potrząsając moim ramieniem. Siedzę przez chwilę, ciągle w śpiworze. Jest 5.21 rano. Naokoło mojego obozowiska ustawiała się już kolejka do odprawy.

Przesypiam cały lot i jazdę autobusem z lotniska Skavsta na dworzec centralny w Sztokholmie. W pociągu do Uppsali wyciągam moje kserówki i inne papiery związane ze śledztwem. Ostatecznie jednak krótką podróż spędzam, wyglądając przez okno. Szkoda, że nie zdołam porządnie zwiedzić Szwecji.

Uppsala Landsarkivet mieści się w wysokim ceglany budynku między szpitalem a uniwersyteckim ogrodem botanicznym, jakieś dwadzieścia minut spacerem od dworca. Młoda recepcjonistka zwraca się do mnie płynną angielszczyzną z pytaniem, czy byłem umówiony.

– Campbell, a tak, jest. Przyniosę materiały do czytelnicy. Proszę zostawić plecak w szatni, a rzeczy potrzebne do pracy zapakować w przezroczystą torebkę foliową.

– Mogę wziąć aparat fotograficzny?

– Tak, ale proszę nie używać lampy błyskowej.

Kilka minut później kobieta przynosi mi trzy tomy akt i parę bawełnianych rękawiczek. Każdy tom liczy sobie kilkaset stron. Napis na grzbiecie skórzanej okładki głosi: *Församlingsbok – LEKSANDS Församling*. Zaczynam od spisu mieszkańców, prowadzonego przez parafię. Siostry musiały być w Szwecji zimą na przełomie 1916 i 1917 roku, zamówiłem więc tomy za lata 1910–1916 i 1917–1931. Pochyłe pismo jest wyraźne i czytelne, ale trudno mi się we wszystkim połapać. Nazwiska wpisano w ponumerowanych wierszach, każdemu jednak towarzyszy osiemnaście kolumn, a nagłówki są oczywiście po szwedzku. Zdarza się, że cały blok nazwisk wykreślono – nie rozumiem czemu. W końcu proszę młodą kobietę o pomoc.

– Co znaczy słowo *torp*?

– Rodzaj farmy. Dane są uporządkowane według miejsca zamieszkania. Ci ludzie na przykład mieszkali na jednej farmie. Tu jest zawód, data urodzenia, parafia urodzenia, miejsce, z którego przybyli...

Kobieta pomaga mi przez kilka minut, ale potem ktoś inny zadaje jej pytanie. Postanawiam zignorować kolumny. Jeśli nie znajdę nazwiska Soames-Andersson, ich zawartość nie będzie miała przecież znaczenia. Przeglądam końcowe strony tomu 1910–1916 i początek tomu 1917–1931. Nic – zakładając, że nie przekreślono nazwiska sióstr ani nie pomyślono dat. Wiele razy napotykam jakąś Charlottę lub Eleanor – Gunborg Eleanor, Aldy Erika Charlotta, Anna Eleanor – ale w większości przypadków są to drugie imiona, a nazwiska noszących je kobiet i ich współdomowników nic mi nie mówią. Ani słowa na temat żadnej Imogen.

Idę do łazienki, by opłukać twarz wodą, i przyglądam się sobie w lustrze. Jeszcze nie wszystko stracone. Może spis w parafii przeprowadzono przed ich przyjazdem? Może po prostu się nie zgłosiły? Wracam do czytelnicy i zamawiam księgę urodzeń. *Födelse-och Dopbok för Leksands församling*. Tom zawiera wpisy od roku 1906 do 1920, przeważnie uporządkowane chronologicznie, łatwiej więc je czytać niż rejestry parafialne. Palcem w rękawiczce przejeżdżam wzdłuż kolejnych stron.

20 kwietnia Anders Johan. 14 kwietnia Tora Margareta. 13 maja Lars Ove. 17 maja Charlotte Vivian. 30 maja Sven August.

Zatrzymuję się.

17 maja Charlotte Vivian. Fader: Charles Francis Grafton 87⁹/10. Moder: Eleanor

Soames Andersson Grafton 91²¹/3.

Odwracam się i potrząsam głową. Spoglądam raz jeszcze – wpis jest wciąż taki sam. Pokonałem dziewięćset mil tylko po to, by przekonać się, jakim byłem idiotą. Fotografuję stronę z rejestru i wpatruję się w nią przez chwilę. W kilku kolumnach zaznaczono coś ptaszkiem lub cyfrą jeden, nie obchodzi mnie już jednak, co to znaczy.

Kilka minut później staję w popołudniowym słońcu, kierując kroki na dworzec. Epitet „kretyn” byłby dla mnie komplementem. Snułem kolejne domysły, bo chciałem wierzyć, że potrafię znaleźć to, czego inni nie znaleźli. Rezultat widniał na tamtej stronie.

Może mój spryt nie miał znaczenia. Może po prostu to, czego szukam, nie istnieje, bo Eleanor była matką. A nawet jeśli nie, może zdołali zatrzeć wszelkie dowody i najwybitniejsi eksperci na świecie niczego by nie znaleźli – co dopiero amator w zaledwie siedem tygodni. Idę szybko, wyprzedzając ludzi na chodniku. Mijam czerwoną fasadę zamku i jego piętrowe ogrody schodzące ku miastu.

– Przecież nie wpisaliby nigdzie nazwiska Imogen – szepczę sam do siebie – nawet gdyby to ona była matką.

Musiałem zwariować, skoro liczyłem na coś innego. Prichard ostrzegwał, że archiwa zostały przeszukane, a ja zignorowałem jego słowa i mimo to przyjechałem do Uppsali. Szedłem jednym tropem, zwracałem uwagę na mgliste wskazówki w listach, a potem zająłem się najbardziej oczywistym rejestrem archiwalnym. Dosyć tego.

Sponad drzew przede mną wyłaniają się iglice katedry. Już mi się nie spieszy. Skracam drogę i wchodzę do katedry od transeptu. W środku jest ciemno i chłodno. Powoli przechodzę przez nawę i odchylam głowę do tyłu, by obejrzeć żebrowane sklepienie i witraże. Siadam w ławie naprzeciwko wielkiego astronomicznego zegara, wyciosanego z drewna i pokrytego polichromią w kolorze burgunda i granatu. Tabliczka obok tłumaczy, jak działa zegar, i podaje rok jego wykonania: 1424.

Czasomierz ma dwie wskazówki. Jedna pokazuje godzinę, przy czym na tarczy rozmieszczono dwadzieścia cztery godziny, wyrte rzymskimi cyframi. Wokół połączonych liter widnieją orbity Słońca i Księżyca. Poniżej kalendarz wieczny, ustawiony na lata 1923–2023, ze świętami religijnymi wypisanymi po łacinie i dwunastoma znakami zodiaku dokoła. Przyglądam się płaskorzeźbie złotego Lwa, Baranowi o zakręconych rogach, parze Ryb, Rakowi o potężnych szczypcach. Centralne miejsce na tarczy zajmuje postać świętego Wawrzyńca. Mechanizm pracuje miarowo, odliczając kolejne stulecia od chwili, gdy został zbudowany.

Wybija południe i rozbrzmiewa „In dulci jubilo” grane na organach. Między wskazówkami wykonane w drewnie postacie mędrców ze Wschodu oddają hołd Dziewicy i Dzieciątku.

1916. Osiemdziesiąt siedem lat, odkąd zniknęła we mgle nad Somną, zabierając ze sobą wszystkie tajemnice. Sześć tygodni, nim stracę spadek. Wychodzę z kościoła, przechodzę przez most i przecinam rynek. Na dworcu znajduję informację turystyczną. Młody urzędnik przyzywa mnie gestem dłoni.

– Czy w Leksand jest dworzec? – pytam go.

– Słucham?

Wyciągam kawałek papieru, piszę „Leksand” i pokazuję pracownikowi informacji. Ten wpisuje coś do komputera.

– Jeśli zdąży pan na następny pociąg – mówi – będzie pan tam o osiemnastej pięćdziesiąt trzy. Przesiadka w Borlänge.

Pociąg niesie mnie na północ przez niekończące się lasy sosnowe. Miasteczka przy kolejnych stacjach zdają się mniejsze i mniejsze. W Borlänge idę do sklepu koło dworca, kupuję

chleb, ser i owoce. Jedząc, próbuję nie przejmować się, gdzie będę spał tej nocy.

Gdy docieram do Leksand, jest prawie siódma wieczorem, ale słońce wciąż jasno świeci nad horyzontem. Przed dworcem stoi jedna taksówka. Kierowca drzemie z głową przy opuszczonej szybie, z radia dobiega jakaś rozmowa. Pukam w dach. Taksówkarz budzi się. Podaję mu mapę, którą skserowałem w British Library. Mężczyzna mruży zmęczone oczy, przyglądając się mapie, i mówi coś po szwedzku. Wskazuję na zakreślone pole.

– Może mnie pan tam zawieźć?

Taksówkarz znów mruga i odpowiada po angielsku.

– Tam nic nie ma. To mała wyspa.

– Nie ma mostu?

Kręci głową.

– Po co? Tam nic nie ma. Po co pan chce tam jechać?

– Chcę pozwedzać. Może pan przynajmniej zawieźć mnie nad jezioro?

Taksówkarz znów kręci głową i coś mruczy. Ustawia oparcie fotela do pionu i zapala silnik.

– Proszę wsiadać.

Przez kwadrans jedziemy drogą pośród gęstego lasu świerków i brzoź. W radiu wciąż ta sama audycja. Skręcamy w ubitą drogę. Między pniami drzew migoczą wody jeziora. Droga kończy się na jego błotnistym brzegu.

– Jesteśmy na miejscu. Tu kończymy?

– Jasne.

– Niedługo się ściemni i niełatwo będzie panu wrócić.

– Wiem.

Płacę kierowcy i opieram plecak o pień. Za wodą pomarańczowe słońce dotyka już czubków drzew. Oglądam jezioro, migotliwą wodę i odległą wyspę otoczoną małym zagajnikiem. Dopłynięcie tam wpław zajmie sporo czasu. Zresztą nie pływam najlepiej.

Idę wzdłuż brzegu. W gęstym świerkowym zagajniku znajduję dwie niewielkie łódki przykryte brezentem. W nabrzeżnym mule widać ślad, który zostawiły, gdy wyciągano je z wody. Dotykam go, jest mokry.

Niebo ciemnieje. Rozbijam obóz na skrawku równej ziemi obok łódek. Rozkładam śpiwór. Jeśli ktoś przyjdzie do tej małej przystani, będę mógł zobaczyć go z daleka. Może nawet namówię tego kogoś, by zabrał mnie na wyspę. Nie mam namiotu, ale niebo jest bezchmurne. Czytam *Życie codzienne w okopach*, aż w końcu robi się zbyt ciemno i nie widzę już liter.

Następnego ranka okrążam jezioro w nadziei, że uda mi się odkryć, w jaki sposób można się dostać na wyspę. Las jest miejscami bardzo gęsty. Trzy razy muszę wejść do jeziora i przeskakiwać po kamieniach lub brodzić po pas w wodzie. W końcu wracam do małej przystani.

Słońce jest już wysoko na niebie. Podchodzę do łódek i podnoszę brezent. Moim oczom ukazują się aluminiowa łódka rybacka z silnikiem i biała jolka długości może ośmiu stóp. Bez trudu odwracam jolkę dnem do dołu. W środku są dwa aluminiowe wiosła spięte nylonową linką. Biorę je do ręki i spoglądam na brzozy po drugiej stronie jeziora.

– Nie ma wyboru.

Chwytam dziób i ciągnę jolkę do jeziora. Dno gładko prześlizguje się po błotnistej ziemi. Zdejmuję buty, wrzucam je do środka i podwijam nogawki. Raz jeszcze rozglądam się dokoła. Nagle czuję, że ktoś mi się przygląda, że ktoś ukrywa się pośród drzew. Nie wiem, kto miałby tu teraz być, ale ogarnia mnie niepokój, którego trudno się pozbyć. Wpycham łódkę do wody i wskakuję do środka. Łódka kołysze się przyjemnie na boki. Wkładam wiosła w dulki

i posuwistymi ruchami odbijam od brzegu. Wśród drzew wypatruję ludzkiej sylwetki, ale nikogo nie widzę.

Płynę ku północnej stronie wyspy. Nie jest łatwo, po dziesięciu minutach bolą mnie ramiona. Robię krótką przerwę. Spoglądam na szklisty kilwater, na drzewa i niebo odbijające się w tafli wody. Odwracam się i dostrzegam małą drewnianą przystań. Zaczynam wiosłować, sterując w tamtą stronę i uchylając się przed gałęziami rozrośniętych drzew i krzaków otaczających wyspę.

Wreszcie dobijam do przystani. Zastaję tam inną zacumowaną łódkę rybacką. Przywiązuję jolkę do słupka i ruszam stromą ścieżką między brzozaami i świerkami. Nagle słyszę w oddali czyjś śmiech. Przed szczytem pagórka rozpościera się pochyła polana z dwoma drewnianymi domami. Oba pomalowane są tą samą farbą o odcieniu głębokiej czerwieni, okiennice ich zaś są białe. Między domami ciągnie się starannie przystrzyżona trawa. Mniejszy położony jest nieco wyżej niż większy. Wygląda też na znacznie starszy. Na skraju polany, koło większego domu widzę grupkę młodych ludzi siedzących przy stole, pogrążonych w wesołej rozmowie. Na razie nikt mnie nie zauważył. Zwalniam kroku.

Młodzi piją piwo z wysokich puszek, blat zastawiony jest papierowymi talerzami. Chłopak siedzący u szczytu stołu dostrzega mnie, pozostali wciąż rozmawiają. Chłopak wstaje. Teraz wszyscy patrzą w moją stronę. Dziewczyna w papierowym kapeluszu imprezowym w kształcie stożka też podnosi się z krzesła i mówi coś do mnie po szwedzku.

Kręcę głową.

– Przepraszam, mówię tylko po angielsku. Szukam domu, który należał kiedyś do mojej rodziny. Nazywali się Soames-Andersson.

Młodzi wciąż wpatrują się we mnie. Ponad drzewami wisi żółte słońce, czuję lekki zawrót głowy. Tłumaczę, że przyjechałem do Szwecji, by poznać historię mej rodziny, i wiem, że moi krewni mieli kiedyś na tej wyspie letni dom i stodołę. W roku 1917 na świat przyszła tu moja babcia. A stodoła pełniła funkcję studio malarskiego.

Dziewczyna kręci głową.

– Żadnej stodoły nie ma. Drugi dom jest bardzo stary, ale moja rodzina z niego nie korzysta.

– Pamiętasz, kiedy kupili to miejsce?

Wzrusza ramionami.

– Dawno temu. Chyba w latach pięćdziesiątych.

Przez chwilę przygląda mi się badawczym spojrzeniem. Ma długie proste włosy i nosi okrągłe plastikowe okulary.

– Zaprosiłam tu przyjaciół na imprezę...

Milknie. Inni wciąż świdrują mnie wzrokiem. Jeden z chłopaków mówi coś po szwedzku, dziewczyna odpowiada mu ostro. Rozmawiają jeszcze przez chwilę, aż w końcu dziewczyna zwraca się do mnie:

– Jadłeś coś? W domu mamy więcej jedzenia, może do nas dołączysz?

Sekundę później przypomina sobie, że powinna się uśmiechnąć.

Gdy siadam przy stole, impreza wraca na wcześniejszy tor. Przedstawia mi się chłopak w dzinsowych szortach. Ma na imię Christian. Przyjechali tu, tłumaczy, na tradycyjną ucztę rakową, jakie urządza się pod koniec lata. Zadaje parę uprzejmych pytań na temat mojego pobytu w Szwecji, potem idzie do kuchni poszukać czegoś do jedzenia. Gdy wraca, niesie plastikowy pojemnik z sałatką ziemniaczaną. Stawia przede mną zimne piwo i klepie mnie po ramieniu.

– Mam nadzieję, że lunch będzie ci smakował. Poza tym niedługo robimy kolację.

Dziewczyna w okularach ma na imię Karin. Poznają pozostałą trójkę, dwie dziewczyny

i chłopaka. Jestem jednak rozkojarzony i nie zapamiętuję ich imion. Wszyscy już sporo wypili. Pod stołem leży tekturowe pudło, z którego wręcz wysypują się puste puszkę po piwie. Dwa razy pytam, czy mogę zajrzeć do starego domu, ale moja prośba jest ignorowana.

– Straszny tam bałagan – mówi Karin. – Nie wiem nawet, gdzie trzymamy klucze.

Musiałabym zadzwonić do wuja.

– Czyli dom nie jest pusty?

Karin wzrusza ramionami.

– Mnóstwo rupieci, narzędzi i mebli. Dom jest tak stary, że nie możemy go rozebrać. Ale do niczego się nie nadaje. Wujek zawsze mówi, że wyczyści go i wyremontuje, nigdy jednak się do tego nie zabrał.

Christian stawia przede mną kolejne piwo.

– Wypij jeszcze – mówi. – Jak się tu w ogóle dostałeś?

– Przyjechałem pociągiem z Uppsali.

– Pytam, jak dostałeś się na wyspę?

– Spałem wczoraj wieczorem na plaży. Rano znalazłem łódkę i przyplłynąłem.

Wszyscy wybuchają śmiechem, najwyraźniej biorąc moje słowa za dowcip.

– Powinniśmy wziąć się do gotowania – rzuca Karin. – Tristianie, zostaniesz na kolację?

Christian szczerzy zęby w uśmiechu.

– Przecież dopiero co przywiosłował.

Zapada zmrok. W kuchni kilka opakowań mrożonych raków zostaje wrzuconych do wrzątku. Karin nakrywa stół na zewnątrz obrusem, pomagam jednej z dziewczyn zawiesić papierowe lampiony na drzewie. Siadamy, Karin wznosi toast po szwedzku. Pijemy akvavit, złotawą wódkę o smaku kminku. Wszyscy pożerają raki tuzinami, głośno wysysając sok z drobnych czerwonych skorupki. Ja jem tylko sałatkę i kartofle.

– Nie lubisz raków? – pyta Karin.

– Jestem wegetarianinem.

– W takim razie walnij sobie jeszcze piwko! – woła Christian.

Pijemy piwo, wódkę i akvavit. Szwedzi pilnują, by przy każdym toaście patrzeć sobie w oczy. Początkowo rozmawiają po angielsku, wypytują mnie o San Francisco i szwedzkich krewnych. Wkrótce jednak przerzucają się znów na język ojczysty. Karin siedzi daleko. Kilka razy nasze spojrzenia spotykają się, ale dziewczyna się do mnie nie odzywa.

Po kolacji idziemy do paleniska nieopodal brzegu. Wraz z Christianem rozpalam ognisko. Został już tylko akvavit, pijemy ostro. Ktoś pijackim krokiem niknie pośród drzew. Druga osoba idzie na ratunek, ale nie wraca. Dorzucam świerkowych gałęzi do ognia. Płomień staje się większy i gorętszy, musimy się cofnąć. Nagle zdaję sobie sprawę, że minęła północ. Jest dwudziesty ósmy sierpnia.

– Są moje urodziny – mówię. – Właśnie skończyłem dwadzieścia trzy lata.

Szwedzi wiwatują i składają mi życzenia. Christian chwytając mnie w niedźwiedzi uścisk, Karin narzeka, że powinienem był powiedzieć wcześniej. Śpiewają piosenkę urodzinową, wychylamy toast akvavitem. Znów dorzucam do ognia, patrząc, jak spirala dymu unosi się ku niebu. Gwiazdy tracą ostrość. Dwadzieścia trzy lata. Wreszcie tu jestem – i to jest coś. Łamię gałąź na pół i wrzucam w palenisko. Karin trąca mnie łokciem.

– Jakie to uczucie spędzać urodziny z bandą obcych ludzi?

– Spoko. Strasznie tu pięknie.

Kiwa głową.

– Przepraszam, że wcześniej tak dziwnie się zachowywałam, po prostu przestraszyło mnie twoje nagłe pojawienie się.

– Ja też bym się przestraszył. Mało nie wyskoczyłem ze skóry, kiedy szedłem od jeziora i was usłyszałem. Nie spodziewałem się, że kogokolwiek tu zastanę.

– Czego się w takim razie spodziewałeś?

– Niczego. – Kręcę głową. – Myślałem, że zjawię się tu, domu już nie będzie, a ja zdołam o wszystkim zapomnieć...

– Dom! – woła Karin. – Zupełnie wyleciało mi z głowy.

Bierze butelkę akwawitu i ruszamy pagórkami. Karin wyciąga telefon komórkowy i wybiera numer. Uśmiecha się do mnie.

– Zadzwoń do wujka.

Rozmawiając po szwedzku, wchodzi razem ze mną do nowego domu i idzie do kuchni. Klęka, wyciąga najniższą szufladę, a z niej słoik pełen kluczy. Kończy rozmowę i wkłada komórkę z powrotem do kieszeni.

– Nawet go nie obudziłam, wujek całymi nocami ogląda telewizję. Powiedział, że w domu jest kilka pudeł po poprzednich właścicielach. Chodź.

Idę za nią przez trawnik między domami. Gwiazdy jasno świecą ponad zagajnikiem. Stajemy przed starym domem. Przyglądam się z bliska starym sosnowym deskom, pokrytym czerwoną farbą, zahartowanym przez stulecia srogich zim i wątego słońca. Karin chrobocze kluczem w zamku, po czym otwiera małe drewniane drzwi.

– Wszystkiego najlepszego.

W środku panuje bałagan. Ciemne góry pudeł i mebli, gdzieś sięgające aż do sufitu. Szukamy włącznika światła, ale ściana zastawiona jest przez potężny stół i kolejne pudła. Idę wyciągnąć moją czołówkę z plecaka, ale nim wracam, Karin udaje się odgruzować ścianę i znaleźć przełącznik. Nic się jednak nie dzieje.

– Może żarówka poszła? Albo bezpiecznik?

Włączam czołówkę, kierując snop światła na plastikowe skrzynki i krzesła stojące jedno na drugim. Dostrzegam piłę łańcuchową, drewniane wiosła i deski oparte o ścianę.

– Widziałeś kiedykolwiek tyle gratów? – pyta ze śmiechem Karin.

– No. Garaż moich rodziców tak wyglądał.

Zdejmujemy pierwsze pudełko i podnosimy pokrywkę. W środku znajdujemy filtr od odkurzacza, ciągle nierozpakowany. Potem puszki bejcy, styropianowe pudła, gruby katalog łożysk kulkowych firmy SKF. Zza pleców dobiega nas pukanie do drzwi. Wchodzi Christian i mówi coś po szwedzku do Karin. Dziewczyna odwraca się do mnie.

– Idziemy popływać po ciemku. Przyłączysz się?

– Może później. Będzie w porządku, jeśli się tu jeszcze porozglądam?

– Jasne – rzuca Karin. – Tylko daj mi znać, jeśli cokolwiek znajdziesz. I nie narób bałaganu.

– Ej, urodzinowa kąpiel! – przerywa jej Christian. – No, chodź!

– Przyjdę później.

Wychodzą, zostawiając otwarte drzwi. Oglądam pokój w świetle czołówki. Sufit i ściany są z ciemnego drewna, belki stropowe wiszą nisko. Na przeciwległej ścianie widzę jakąś makatkę, ale jest tak zakurzona, że nie mogę dostrzec, co przedstawia. Wyciągam kolejne pudło. W środku jakieś poradniki naprawy samochodów, jeszcze z lat siedemdziesiątych. Pożółkłe zeszyty szkolne, rozpadające się fotografie z gazet. Odkładam przejrzone pudełka na bok i pomału toruję sobie drogę ku schodom.



19 sierpnia 1916

Regent's Park

Marylebone, centrum Londynu

Przecinają jezdnię i wchodzi do parku przez zieloną bramę z kutego żelaza. Panuje ciemność, rozświetlana tylko promieniami reflektorów wędrującymi po chmurach.

– Szczęście, że nie ma wartowników – mówi Ashley. – Jeśli ktoś nas zobaczy, niechybnie uzna, że jesteśmy szpiegami.

– Och, wezmą nas za tych, którymi jesteśmy.

– Czyli?

Imogen uśmiecha się, ale nie odpowiada. Mży, oboje wchodzi w cień żywopłotu. Imogen potyka się o korzeń. Śmieje się, gdy Ashley pomaga jej wstać. Wychodzą na trawnik, Imogen wyciąga ramiona, ruszając ku rozłożystej wierzbie.

– To tutaj, to musi być to drzewo.

– Jesteś pewna?

Imogen kiwa głową i wskazuje.

– Ogród francuski był po lewej, domy po prawej. Pytałeś, czy jestem prawdziwą Angielką...

Ashley kuca w wilgotnej trawie i zaczyna macać dłońmi ziemię.

– Nic tu nie ma.

Okrażają drzewo, kucając raz za razem i szukając po omacku wśród ciemnej trawy.

W końcu Imogen wzdycha.

– Chyba miałeś rację. Nic nie znajdziemy.

Dziewczyna unosi twarz ku mżącemu niebu i wyciąga ręce, chwytając krople. Schyla się, by sprawdzić, jak wilgotna jest ziemia koło wierzby.

– Przemokniesz, jeśli tu usiądziesz – ostrzega Ashley.

– Nie dbam o to.

Siada i opiera się o pień drzewa. Ashley nadal krąży wokół drzewa ze wzrokiem wbitym w trawnik.

– Panie Walsingham! – woła Imogen. – Ashleyu, usiądź tu ze mną.

Ashley, krzywiąc się, spogląda w niebo. Pada coraz bardziej, krople wybijają szybki rytm o liście.

– Równie dobrze możemy przeczekać deszcz tutaj – mówi Imogen.

– Drzewo nie będzie nas wiecznie chronić.

– Wieczność nam niepotrzebna. Siadaj.

Ashley siada obok niej, opierając laseczkę o kolano. Orientuje się, że usiadł na kilku gałązkach, wyciąga je spod nóg i odrzuca. Potem uśmiecha się.

– Naprawdę zgubiłaś klucz?

– Naprawdę.

– Pod tym drzewem?

– Tak mi się wydaje.

– Nie ma żadnego sposobu, byś dostała się do domu?

– Jest, ale wolałabym się do niego nie uciekać.

– Rozumiem, że miałabyś kłopoty?
– Już mam. Zaniedbałam dziś pewne plany. Sprawiasz, że staję się strasznie nieodpowiedzialna.

Deszcz nabiera tempa. Kilka kropel spada między gałęziami i ląduje na karku Ashleya. Imogen kładzie mu głowę na ramieniu i przykłada dłoń do węzła krawata mężczyzny.

– Ale nie żałuję.

– Ja też nie.

Ashley kładzie dłoń na jej odsłoniętym przedramieniu. Skóra dziewczyny jest mokra i chłodna. Ashley wyczuwa gęsią skórę. Imogen całuje go w podbródek, a potem w usta.

– Wiedziałam, że zjawisz się na koncercie – szepcze.

Bierze laskę do ręki i odrzuca ją na bok. Ashley silniej obejmuje dziewczynę i całują się, coraz namiętniej i namiętniej. Po chwili Imogen cofa twarz i spogląda na Ashleya. Uśmiecha się, bierze go za rękę i opiera mu głowę na piersi.

– Zapewne uważasz mnie za jedną z tych dziewczyn, które mają skłonność do całowania obcych niemalże mężczyzn.

– Oczywiście. Na miłość boską, w przeciwnym razie po cóż bym przychodził na ten koncert...

– Ashleyu!

Ashley śmieje się, gdy Imogen daje mu kuksańca. Przeciąga dłonią po jej włosach, wygładzając je. Woda spływa Imogen po czole.

– Nie jesteś „jedną z dziewczyn” – szepcze Ashley. – Jesteś wyłącznie sobą.

– Kochany. Nigdy wcześniej nie zrobiłam nic podobnego. Po prostu czułam, że musimy. Nie ma czasu, byśmy mogli umawiać się na spacer raz w tygodniu...

Przygląda mu się.

– Wyruszasz w czwartek?

– Tak.

Imogen kiwa głową.

– Pięć dni.

Ashley głaszcze jej szyję, znów przyciąga dziewczynę do siebie i czuje ciepło jej ciała pod przemokniętą sukienką. Całują się jak szaleni, próbując zaspokoić coś, czego zaspokoić się nie da. Imogen opiera głowę na jego piersi, Ashley obejmuje ją ramieniem.

– Widziałem cię już kiedyś – mówi nagle. – Nie wspominałem o tym, ale byłem pewien, od chwili gdy spotkał się na wykładzie. To było w Snowdonii, hotel Gorphwysfa. Ostatnie Pen y Pass party przed wojną. Przyjechaliście samochodem...

Imogen aż podskakuje.

– Byłeś tam? – mówi, tracąc dech. – Przepraszam, ale...

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Po prostu cię widziałem. Grasz na fortepianie, nieprawdaż?

– Trochę. Ale jakim cudem zapamiętałeś? To było całe lata temu.

– Pewnych rzeczy się nie zapomina.

Imogen śmieje się i obejmuje go za szyję. Całuje policzek Ashleya i mówi, że to wspaniała informacja.

– Nie przypadek nas tu sprowadził.

– Mimo że mamy tylko pięć dni.

– Pięć dni – powtarza dziewczyna. – Spędzimy je razem.

– Muszę jutro jechać do Berkshire. Powinienem zobaczyć się z rodziną przed przeprawą...

– Pojadę z tobą.

– Do Sutton Courtenay?

– Dlaczego nie? Zatrzymam się w jakimś pobliskim hotelu. Wieczorem powiesz, że idziesz zobaczyć się ze starymi kolegami ze szkoły, i wymkniesz się do mnie. Albo uciekniesz przez okno po kratownicy. Przecież kochasz wspinaczkę.

– Czy już jesteś tak pewna?

– Jak to: już?

– Po zaledwie jednym dniu?

Imogen leży z głową na jego piersi. Spogląda na liście w górze, nużące w kroplach deszczu.

– Przecież znamy się od lat.

– Nie pamiętałaś mnie.

Imogen wrywa mokre źdźbło trawy i podnosi je do oczu, a potem obraca w dłoni, nie spuszczać z niego wzroku.

– Rzeczywiście – mówi. – Ale ty mnie zapamiętałaś.

SKRYTKA



Jest późno. Wiem, bo widzę, jak jasno świecą gwiazdy za drzwiami, bo krzyki i śpiewy na zewnątrz dawno już ucichły. Wszyscy pewnie poszli spać.

Przeszukuję pudło za pudłem, przeglądam ich zawartość, przesuwam krzesła, narzędzia ogrodowe i stare sprzęty domowe. Wszystkie dokumenty i listy zawierają nazwisko Sjöberg. Musi chodzić o rodzinę Karin.

Wreszcie docieram do schodów. W pudłach znajduję stare klucze francuskie, tubki z fugą, pędzle i skrobaki. Na szczycie schodów leży potężny zwój waty szklanej i karton książek. Przesuwam zwój i przechodzę dalej.

Księżyc wlewa się przez okno, oświetlając wypaczone klepki podłogi w korytarzu. Mam wrażenie, że cała podłoga jest pochyła. Klepki jęczą pod moimi stopami, a z każdym krokiem wzbijam w powietrze kłęb kurzu.

Wchodzę do sypialni z widokiem na las. Kolejne pudła. Przekładam je, robiąc dojście do krótkiego łóżka ze starego dębu, ozdobionego starannie wykonanym grawerunkiem. Przy przeciwległej ścianie stoi sekretarzyk wypełniony prześcieradłami. Przerzucam prześcieradła na łóżko i przeszukuję szuflady. Spinacze, rolki klisz fotograficznych, porzewiałe klucze, stalowe szpulki nici. W szafce wepchniętej pod sekretarzyk znajduję ciężką skrzynkę z orzecha. Otwieram mosiężne zatrzaski i znajduję kolekcję motyli w przeszklonych pudełkach. Każdy z motyli został nabity na szpilkę. Okazy opisano po łacinie i szwedzku. *Danaus plexippus. Monarkfjäril.*

– Po angielsku byłyby to „monarch butterfly” – mówię pod nosem.

Po wewnętrznej stronie wieczka skrzynki znajduje się etykieta. *Per Andersson. Svartmangatan 11, Uppsala.*

Czuję dreszcz. Siadam na podłodze, biorę głęboki oddech i zaczynam myśleć. Kilka minut później przechodzę do drugiej sypialni. Pudełka, dwa łóżka okryte zrobionymi na drutach narzutami. Kiedyś narzuty były pewnie śnieżnobiałe, teraz poszarzały od kurzu. W tym pokoju są stare obrusy i porcelanowe talerze owinięte gazetami. Na czerwonym stoliku nocnym wymalowano kwiecistymi cyframi datę 1663 – zapewne wtedy został wykonany. Ma dużą szufladę, próbuję ją otworzyć, ale jest zablokowana. Dopiero po kilku szarpnięciach ustępuje.

W środku znajduję stare czasopisma. „The Athenaeum”, „Nouvelle Revue Française”, „The Egoist”, „The Burlington Magazine”. Spoglądam na daty. Sierpień 1915. *Juillet* 1916.

Przechodzę obie szuflady, zaglądam pod łóżka i za firanki. Powietrze jest ciężkie od kurzu, kręci mi się w nosie. W szafie w przedpokoju wiszą surduty o szerokich klapach i długie futro. Widzę też kilka par kaloszy. Wymacuję metkę futra, które rozpada mi się pod palcami.

Fourrures Weil. 4 Rue Ste Anne Paris. Wyciągam wszystkie ubrania i rzucam je na kupę. Strasznie hałasuję, nagle zdaje mi się, że słyszę kroki na schodach. Przerzucam i nasłuchuję, oddychając ciężko. Nikt nie nadchodzi. Wracam do pierwszej sypialni i siadam na łóżku.

Siostry musiały przyjechać tu w grudniu. Wyobrażam sobie, jak w zimny dzień przekraczają jezioro w łódce. Imogen ma na sobie futro, patrzy na zbliżającą się wyspę. Wszystko musiało być pokryte śniegiem, przystań i liny oblodzone. Szły krętą ścieżką, ktoś niósł ich walizki. Eleanor przodem, Imogen za nią, wolnym krokiem. Za chwilę zobaczy budynek, który przez pół roku będzie jej domem. Nigdy jeszcze nie widziała go w śniegu. Oto czerwony domek wyłania się zza drzew. Z komina unosi się czarny dym. Gospodyni wychodzi im

naprzeciw i odbiera od nich bagaże.

Wracam do drugiej sypialni, ponownie przeglądam pudła z porcelaną, by sprawdzić daty starych gazet. *Tirsdag aften den 6 Mars 1919*. Wyciągam wszystko, talerze, obrusy i czarną kartonową teczkę, która zawiera angielskie i szwedzkie rachunki z hoteli i sklepów oraz bilety kolejowe. Papiery te pochodzą z lat 1916–1919. Jest nawet coś po francusku, rachunek z nagłówkiem *MOISSE – Toiles & Tableaux et Couleurs – Encadrements – 28, Rue Pigalle*. Pod spodem widnieją kolumny z ponumerowanymi zamówieniami, *designation des articles* i ceny. Niezwykle trudno odczytać jednak pismo. Udaje mi się odcyfrować wpis *ocre jaune*. W innej linijce – *terre de Sienne*. Zapewne jest to rachunek za farby olejne. Składam go z powrotem i chowam do kieszeni z zamiarem przyjrzenia mu się ponownie w lepszym świetle.

Otwieram inne pudło. Wyjmuję mały srebrny dzbanek owinięty płótnem i zestaw cynowych łyżeczek z wizerunkami apostołów. Pod spodem znajduje się paczka w brązowym papierze wielkości pudełka na buty. Kieruję światło latarki na wypisany na niej adres. *C.T. Grafton, 58 Cartwright Gardens, London WC1, ENGLAND*. Nie ma żadnych znaczków ani stempli pocztowych.

Rozdzieram papier i po chwili trzymam w dłoni puszkę z napisem *Green's of Brighton: The House of Quality* na wieczku. A potem odkrywam zawartość. Niebieska książeczka, pod nią zaś dwa pakiety listów ciasno związane wstążką. Na okładce książeczki widnieje napis: *The Geographical Journal, Vol. XLVII No. 5, May 1916. The Astrolabe and Wireless. Notes on the Alto Rio Branco, North Amazonas. The Position of Sir Ernest Shackleton's Expedition*. Między kartki włożona jest biała kartka z nagłówkiem *The Langham Hotel, Portland Place, London W*, zapisana brązowym atramentem.

24 sierpnia 1916

Do mojej milej –

*by pamiętała, że moje miejsce nie we flandryjskim błocie, że mój duch nie należy do armii Jego Królewskiej Mości ni do Boga, ni nawet do mnie samego, lecz wyłącznie do niej, jak liścik od ukochanego należy do kochającej dziewczyny. Zachowaj więc ten drobny skrawek,
a ja powrócę do Ciebie.*

A.

Oglądam liścik z obu stron, drżą mi dłonie. Rozpakowuję pierwszy pakiet listów. Brązowa papeteria jest nieoznakowana z wyjątkiem kilku kopert z YMCA. Oprócz tego parę zielonych kopert z napisem „Aktywna służba” i drukowanymi instrukcjami. Wszystkie zaadresowane są niebieskim ołówkiem:

Panna I. Soames-Andersson

Yarrow Cottage

Selsey, Anglia

Na każdej ten sam adres zwrotny: *Podporucznik A.E. Walsingham, 1 Batt. Royal Berkshire Regt*. Wyjmuję pierwszy list.

Maszerowaliśmy całą noc, nie zdołałbym opisać zimna i zmęczenia. Jedyłą pociechą dla

chłopaków był śpiew. Śpiewali więc w kółko: Jesteśmy tu, bo jesteśmy tu, bo jesteśmy tu na melodię Auld Lang Syne.

Z początku zdawało się to straszne, potem piękne, potem znów straszne. Nigdy nie zapomnę tej chwili.

Docieram do następnej strony i czytam aż do końca.

Jesteś źródłem i miarą wszystkiego, co dobre. Nawet w tej wstrętnej norze wiem, że me szczęście pochodzi od Ciebie.

Gdy po osiemnastu godzinach czółgania się w zamrożonym błocie wracamy do okopu, pijemy gorącą herbatę i jemy mielonkę z puszki, wiem, że wszelka rozkosz pochodzi od Ciebie.

Gdy podczas nocnej warty ostrzał artyleryjski kończy się równie nagle, jak się zaczął, bez powodu, gdy niebo rozświetlają flary, widzę znak boskości. Wiem, że Boga nie ma. Znak musi więc pochodzić od Ciebie.

Nie musiałem oglądać wszystkich tych okropieństw, by wiedzieć, jak bardzo Cię Kocham i jak krótki i kruchy moment dzieliliśmy razem.

Czegoś jednak się nauczyłem. Nasz język zna słowa na najwspanialszą rozkosz i najokropniejszą męczarnię. Nazywamy je niebem i piekłem, umieszczamy w odległych krainach, do których droga prowadzi przez śmierć. Jakże błędnie! Niebo i piekło są tu, na tej ziemi i tylko tutaj widziałem je tuż obok siebie.

Imogen, nie dbam o zbawienie ani o zaszczyty tego niestałego świata. Z nas dwojga Ty byłaś mądra, Ty pojęłaś, czym jesteśmy, nim sam wiedziałem. Mądra, boś płakała, gdym odjeżdżał, znając cenę, którą przyjdzie mi zapłacić za mą zarozumiałość. Jeśli wojna ta jest dla ludzi sprawdzianem, jakiego jeszcze nie było, radzę sobie wyłącznie z Twego powodu. A gdy staniemy znów razem pod łukiem portalu kościoła Wszystkich Świętych, będzie to dla mnie jedynym zbawieniem, jakiego pragnę.

Twój na zawsze,

Ashley

Nadal nie mogę powstrzymać drżenia rąk. Wciąż mam wrażenie, jak gdyby ktoś mnie obserwował. Podchodzę do okna i rozsuwam zakurzone zasłony, omiatając wzrokiem ciemny las. Na zewnątrz nie ma nikogo. Niebo na horyzoncie pomału nabiera niebieskiej barwy.

Ponownie przeszukuję szafę i wszystkie pudła, ale nie znajduję nic więcej. Biorę puszkę i wychodzę na zewnątrz. Staję na lśniącej polanie i czuję podmuch ciepłego wiatru spomiędzy drzew.



20 sierpnia 1916

Cavendish Square

Marylebone, centrum Londynu

Ashleyowi i Imogen nie udaje się znaleźć klucza ani w Regent's Park, ani nigdzie indziej. Po godzinie idą do domu Imogen. Ashley czeka na chodniku przy Cavendish Square, gdy Imogen puka do okna na parterze. W końcu gospodyni otwiera drzwi. Kilka minut później na piętrze zapala się i gaśnie światło. Znak dla Ashleya, że wszystko jest w porządku.

Ashley wsiada do pociągu odchodzącego o 9.38 z Paddington i próbuje zasnąć. Ale że liczne pociągi pozniwały z rozkładu jazdy, w wagonie panują tłok i zaduch. Ashley zamyka oczy, lecz myśli wciąż o Imogen, raz za razem z przyjemnością odtwarzając w myślach wydarzenia poprzedniej nocy. Nie wie, czy ufa dziewczynie, czy ją rozumie, czy aby nie wie o niej mniej niż o jakiegokolwiek kobiecie, z którą zdarzyło mu się spędzić zaledwie godzinę, a cóż dopiero noc. Czy naprawdę byli razem aż do świtu? O czym mówili w tych nieznaczących momentach, które zaczynają wylatywać mu już z głowy? Pociąg toczy się powoli – trzeba oszczędzać na paliwie – i gdy Ashley wysiada na stacji w Didcot, zastaje tam tylko jeden stary kabriolet. Woźnica w czapce spogląda w dół ze swojego siedzenia.

– Żadnych taksówek, proszę pana, nie mamy benzyny – tłumaczy. – Ale zapraszam, zapraszam.

Ashley uśmiecha się, otwiera dwuczęściowe drzwiczki i wsiada. Dotarłszy do domu matki, płaci woźnicy i łomocze kołatką do drzwi. Pospiesznie obejmuje matkę.

– Straszliwie mi przykro – mówi – ale zostawię tylko bagaże i muszę lecieć. Wrócę po południu. Teraz wezmę automobil i pojedę do miasta. Automobil sprawny?

– Ależ, Ashleyu – oponuje matka. – Przecież dopiero przyjechałeś.

Całuje ją w policzek.

– Jestem umówiony na lunch z Richardsem. Pamiętasz go, prawda? Archeolog z Magdalene College. Nie zejdzie mi długo...

W południe Ashley zajeżdża pożyczonym automobilem na dworzec w Abingdon, skąd odbiera Imogen. Dziewczyna wysiada z pociągu i chwytając jego dłoń, szepcząc mu do ucha:

– Najwolniejszy pociąg, jakim kiedykolwiek jechałam. Mam dla ciebie prezent, kochany.

Otwiera torebkę i zaczyna przeszukiwać jej zawartość. Torebka jest jednak tak wypchana, że w końcu dziewczyna siada na ławce i wyciąga wszystko po kolei, by znaleźć, czego szuka. Po chwili obok niej rośnie stosik postrzępionych ulotek politycznych, skórzanych notesików, agrafek, rozkładów kolejowych. Oprócz tego flakonik z perfumami i drewniany wabik na ptaki. Wreszcie Imogen triumfalnym gestem wyciąga żelazny klucz. Ashley kręci głową.

– Nie mów mi, że to klucz, który zgubiłaś.

Imogen uśmiecha się, wsuwając mu klucz w dłoń.

– W porządku. Nie powiem.

– Czy to klucz do drzwi wejściowych? Co otwiera?

– Ashleyu, nie powiem. Sam będziesz musiał to odkryć, w tym rzecz. Przysięgam, chodzi o coś strasznie ważnego. Jadłeś już? Jestem potwornie wygłodniała.

Meldują się w pobliskim hotelu jako państwo Walsingham. Gdy Ashley podaje nazwisko, Imogen dotyka jego dłoni i odwraca wzrok. Recepcjonista uśmiecha się z zaciekawieniem.

– Nowożeńcy?

– Pobraliśmy się wczoraj – odpowiada Ashley. – Po czym się pan domyślił?

– Jesteście tacy promienni. Potrafię odgadnąć za każdym razem.

Podczas lunchu w hotelowej restauracji oboje oscylują między wycieńczeniem a euforią. Ashley wciąż rozgląda się po sali w obawie, że ktoś odkryje ich kłamstwo. Imogen bardzo bawi jego zachowanie.

– Jakież to ma znaczenie, co myślą inni? Za cztery dni będziesz we Francji. Zresztą recepcjonista wziął nas za małżeństwo.

Ashley spogląda na nią znad talerza zupy.

– Wyglądałaś na niezadowoloną, gdy to powiedział.

– „Niezadowolona” to złe słowo – odpowiada Imogen. – Po prostu nie chcę tak o nas myśleć. Spójrz na Ellie i Charlesa. Nie mogę się nadziwić, że dwoje tak fascynujących ludzi stało się takimi nudziarzami, gdy tylko wzięli ślub...

– Nie zrobili na mnie wrażenia nudziarzy.

– Bo nie znałeś ich wcześniej. Gdybyś tylko spotkał Ellie trzy lata temu, kiedy uczyła się w Slade. Fascynowały ją nowe idee. Nowe książki, nowi znajomi na herbacie, najmądrzejsi ludzie, jakich mógłbyś spotkać. Planowałyśmy wynajęcie we dwie mieszkania, gdzie codziennie przyjmowałybyśmy nowych gości. Gdyby tylko zaczekała kilka lat, zdołałabym się wyrwać z Cavendish Square. Ale teraz nie ma na to żadnych szans, papa nigdy by się nie zgodził. Ellie spędza z nami całe dnie, lecz to już nie to samo, bo ona nie jest już taka sama.

– Co się stało?

– Charles. Wiesz, że gdy go poznałam, miałam go za najmądrzejszego, najbardziej fascynującego z ludzi? Dopiero co ukończył Trinity College i wciąż plótł wprost genialne bzdury. Ledwo podałyśmy herbatę, a on zaraz zaczynał wywód na temat niszczyielskiej siły piękna, masochizmu Boga albo znaczenia ziemskiej miłości. Raz przez godzinę klócił się z papą na temat powszechnego prawa wyborczego. Charles mówił, że Ellie i ja mylimy się, że nie chodzi tylko o przyznanie głosu kobietom, ale też o odebranie głosu mężczyznom, mężczyźni bowiem wywołują wojny i cenią zysk wyżej niż ludzi...

– Czy Charles nie służy przypadkiem w armii?

– Teraz tak. Oczywiście nie walczy, tylko drecze krok w krok za jakimś majorem i notuje każde jego słowo. Nie mam zielonego pojęcia, w co teraz wierzy. Ellie i Charles rozmawiają wyłącznie o tym, kto był na wystawie przy Bond Street albo ile jakiś gość zapłacił za swój dom w Clerkenwell. Nie chcą już mówić o ważnych rzeczach.

– Sama możesz zaproponować jakiś temat.

Imogen wzdycha.

– Wiem, że powinnam, ale minęło już tak wiele czasu. Nie mogę po prostu zapukać do Ellie i spytać, czy rzeczywiście kocha Charlesa, czy też jest z nim wyłącznie z musu. Ani czy rzeczywiście zamierza mieć dzieci, bo jeśli nie może lub nie chce, powinna przestać ciągle utyskiwać na ten temat. Wszyscy widzą, że jest z tego powodu tak strasznie nieszczęśliwa...

– Nie możesz sądzić, że to wszystko z powodu małżeństwa.

– Doprawdy? Wcześniej tacy nie byli. Robią wrażenie, jak gdyby grali jakieś role, zamiast po prostu kierować się uczuciami. Tyle że teraz nie są to już nawet role. Większość ludzi uważa, że żona jest po części służącą, po części zaś idiotką. Nie twierdę, że Charles albo Ellie myślą podobnie. Ale oczekiwania potrafią zmieniać ludzi. Złe, kiedy relacji dwojga osób nadaje się jakąś etykietkę. To utrudnia bycie sobą.

– A kim my jesteśmy dla siebie?

Imogen uśmiecha się, kręci głową i spogląda w talerz.

– Kochany, wiesz, że w żadnym języku nie ma odpowiedniego słowa.

– Niekoniecznie.

Imogen patrzy na Ashleya.

– Myślisz o słowach, które ludzie nadają innym rzeczom. My zaś jesteśmy tu razem nie z powodu tego, co czujemy, i nie dlatego, że musimy. Ani dlatego, że jest jakieś słowo, które nazywałoby przechadzkę w Regent's Park, a potem ucieczkę do Wiltshire...

– Berkshire.

– Berkshire. – Imogen uśmiecha się. – Chodzi mi o to, że dwoje ludzi nie powinno żyć razem, nie wiedząc, czy wracają codziennie do domu, bo się kochają, czy też dlatego, że taki jest ich obowiązek.

– Gdzieś trzeba spać.

Imogen kopie go pod stołem w kostkę.

– Bądźże poważny.

– Jestem – odpowiada Ashley. – Nie można robić wszystkiego z najwznioślejszych powodów. Czasem, jak sądzę, ludzie dzielą łóżko tylko dlatego, że są małżeństwem. Ale zdarzają się dni, gdy rzeczywiście robią to z miłości. Poza tym czy można dzielić z kimś życie, jeśli nigdy się nie wie, czy za chwilę ten ktoś nie zniknie?

Imogen odkłada łyżkę i wzrusza ramionami.

– I tak nigdy nie wiemy. Nawet gdybyśmy się pobrali, może mnie zabić piorun. Albo bomba zrzucona z zeppelinu. A może pewnego dnia wrócisz do domu, a mnie nie będzie, mimo wszelkich obietnic złożonych przed Bogiem i prawem.

– Byłabyś do tego zdolna?

– Nigdy – mówi Imogen z uśmiechem. – Ale też nie zamierzam wychodzić za mąż.

Po obiedzie idą do swojego pokoju. Po raz pierwszy są sami i całują się namiętnie. Ashley natychmiast rozpoznaje smak jej ust i szyi, przypomina sobie, jak to było dotykać jej w Regent's Park, jak pachniała jej skóra, jak czuł jej oddech na swym policzku. Całują się, aż wreszcie ze zmęczenia muszą przestać. Wciąż jednak patrzą na siebie z zachwytem, leżąc ubrani na łóżku. Ashley trzyma Imogen w ramionach. Czuje się szaleńczo wyczerpany; w lekkim zamroczeniu Imogen zdaje mu się jeszcze mniej realna niż wcześniej, piękniejsza i wspanialsza, niż to możliwe. Zасыpiają i budzą się, znów zasypiają i znów się budzą, aż granica między snem a jawą zupełnie znika. Czasem Imogen całuje go zaraz po przebudzeniu, jeszcze z zamkniętymi oczami, jak gdyby był to jej podstawowy odruch, ważniejszy nawet niż oddychanie.

W końcu Ashley musi wracać do domu. Wstają, on wkłada swą bluzę mundurową, zapina pas i wiąże przed lustrem krawat. Imogen rozsuwa firankę i spogląda przez okno.

– Nie mogę siedzieć tu cały dzień. Potrzebuję świeżego powietrza. Czy da się gdzieś wynająć rower? Mogłabym zwiedzić okoliczne wsie.

– Nic tam do oglądania.

– Tym lepiej, uwielbiam patrzeć na nic. Obiecujesz, że wrócisz wieczorem?

– Najpóźniej o dziewiątej.

– Jeśli spóźnisz się choćby o minutę, dla mnie będzie to jak godzina – droczy się Imogen.

Ashley znów całuje ją, aż wreszcie musi iść. Zamyka za sobą drzwi i idzie długim korytarzem ku schodom, prostując plecy, by wyglądać jak żołnierz. Miękki dywan tłumi jego kroki. Imogen Soames-Andersson, która oczekuje go o dziewiątej, powtarza w myślach. Już samo imię sprawia, że niemal wariuje.

W domu Ashley przysypia podczas kolacji w towarzystwie matki i starej ciotki. Potem w salonie ciotka gra Elgara na fortepianie, a Ashley zapada w drzemkę na fotelu, trzymając w dłoni kieliszek madery. Ciemny trunek plami mu mankiet i Ashleya budzą krzyki matki.

Sennie zdejmuje marynarkę i osusza mankiet serwetką. Wymawiając się zmęczeniem, idzie do swej sypialni na piętrze.

Tam przebiera się w lekki flanelowy garnitur i wychodzi przez okno. Przez ramię przewieszony ma swój plecak alpinistyczny, w środku dwie butelki szampana z piwniczki. Czuje się idiotycznie, ale strasznie go to cieszy. Gdy spotyka Imogen w hotelowym holu, od razu domyśla się z wyrazu jej twarzy, że dziewczyna ma zamiar powierzyć mu kolejny sekret.

– Mam dziś dla ciebie niespodziankę – mówi Imogen. – Wszystko już zaplanowałam.

– Ja planowałem tylko opróżnienie dwóch butelek z maminych zapasów szampana.

– Na początek, czemu nie?

Noc jest ciepła. Jadą automobilem na pola za wsią, gdzie jako mały chłopiec Ashley odbywał długie samotne wędrówki. Dziwnie być tam z drugą osobą, a co dopiero z Imogen. Wsiadają z auta i Ashley prowadzi dziewczynę znajomymi ścieżkami i ubitymi drogami, szerokimi na jeden powóz. Wszędzie porożrastały się chwasty. Siadają na najsuchszym kawałku drogi, jaki udaje im się znaleźć. Ashley wyciąga z plecaka szampana i parę filiżanek do herbaty owiniętych w obrus, który zabrał z kuchni. Liczył, że filiżanki okażą się bardziej wytrzymałe niż szklane kieliszki, ale ucho jednej z nich i tak się ułamało.

– Nie będziesz mógł odnieść ich z powrotem – zauważa Imogen. – Twoja rodzina wszystkiego się domyśli.

– Nawet ciebie?

– Zwłaszcza mnie.

Ashley kręci głową.

– Nie ma na świecie człowieka, któremu ktoś taki jak ty przyszedłby do głowy.

– Naprawdę? Przecież zjawiłeś się na koncercie. Musiałeś coś zgadywać. Albo coś poczuć...

Ashley z zawstydzeniem odwraca wzrok, ale Imogen śmieje się, przeczesując palcami jego włosy.

– Najdroższy. Jakiego koloru właściwie są twoje włosy?

– Czerwonawy brąz? Kasztanowy?

– Och, nie bądźmy prozaiczni. Może na przykład: ciemny wenecki blond? Jak u renesansowej kurtyzany, ale bardziej złowieszczco. Zbyt pięknie dla młodzieńca...

Śmieje się.

– Moja najdroższa kurtyzana – dodaje. – Jesteś gotów na niespodziankę?

– Jasne.

– W takim razie wracajmy do samochodu. Musimy jechać do kościoła.

WSKAZÓWKA



Przesypiam noc na podłodze w nowszym domu, leżąc na stercie koców i poduszek. Obok mnie, aż do późnego poranka, pochrapuje Christian. Gdy tylko wstaję, idę wziąć plecak z przedpokoju i wyciągam zieloną puszkę. Otwieram wieko i dotykam sztywnych kopert związanych wąską sztywną wstążką.

W jadalni Karin nakrywa powoli stół do śniadania, popijając kawę.

– Na razie tylko my dwoje wstaliśmy – mówi. – Mnie koszmarnie boli głowa. Jak ty się trzymasz?

– Nie najgorzej. Wypiłem dużo wody, zanim się położyłem.

– Też powinnam była to zrobić. Jak długo siedziałeś? Nie przyszedłeś do nas nad jezioro.

– Znalazłem coś. Pokażę ci.

Idę do przedpokoju i wracam z puszką zawierającą listy. Karin patrzy na mnie szeroko otwartymi oczyma. Rozpakowuje pierwszy zwitek i przegląda koperty z niedowierzaniem.

– Gdzie to leżało?

– W sypialni na górze w jednym z pudełek.

Karin wyciąga list z koperty.

– Po angielsku – mruczy pod nosem. – Nie miałam pojęcia, że jest tu coś takiego. Muszę powiedzieć wujkowi...

Dziewczyna przebiega wzrokiem kilka linii listu.

– To od jednego z twoich krewnych?

– Tak mi się wydaje.

– Przykro mi, ale nie możesz ich zabrać. W każdym razie nie teraz. Muszę pokazać listy rodzinie. Ojciec będzie pewnie chciał je zobaczyć.

– Masz coś przeciwko, żebym je skopiował?

– Oczywiście, że nie. Ale nie mamy tu kopiarki.

– Nie ma problemu, przepiszę ręcznie.

Reszta towarzystwa wyleguje się w słońcu nad brzegiem jeziora, a ja siadam przy stole w jadalni i pomału kopiuję list za listem. Praca jest trudniejsza, niż przypuszczałem. Niekiedy tak trudno odcyfrować pismo, że pomijam całe zdania. Niekóre listy są niezwykle wciągające – zaczytuję się w nich i zapominam o przepisywaniu.

Wybrałem krótszą drogę, bo było już ciemno i sądziłem, że osłoni nas niewielki zagajnik znajdujący się od wschodu. Uszliśmy dwieście jardów, gdy usłyszałem pierwszy strzał, potem drugi i okrzyki: Snajper! Moi ludzie zaciągnęli kaprala Locke'a pod niskie wzgórze, na osłonięty teren. Gdy tam dotarłem, leżał w płytkiej brudnej kałuży. Mundur miał rozpięty. Chłopaki starały się powstrzymać krwawienie. Dostał w płuca. Próbował mówić. Desperacko chciał nam coś powiedzieć, choć uciszaliśmy go i zaklinaliśmy, by się nie ruszał – za każdym bowiem razem, gdy otwierał usta, wylewała się z nich krew. Chłopaki wciąż zastanawiają się, co takiego chciał powiedzieć. Minęło już wiele dni, a oni wciąż snują rozważania, jak gdyby kapral znał jakąś niezwykle tajemnicę – tylko dlatego, że nie zdołał się nią z nami podzielić.

Odkładam list. Wychodzę na zewnątrz, gdzie wiatr kołysze koronami drzew. Mija mnie Christian, niosący dużą lodówkę turystyczną.

– Wszystko w porządku?

- Tak.
 - Jakoś dziwnie patrzyłeś.
 - Mam lekkiego kaca.
- Christian uśmiecha się.
- Jak my wszyscy.

Dopiero godzinę później kończę wreszcie kopiowanie listów. Zapiisałem trzydzieści stron notatnika i boli mnie nadgarstek. Rozkładałam listy na stole i fotografuję je, dwie kartki na jedno zdjęcie. Bardzo starannie odmierzam czas naświetlania, ale i tak postanawiam zastosować bracketing, robiąc po kilka zdjęć z różnymi ustawieniami, by mieć pewność, że uzyskam przynajmniej po jednej dobrej odbitce. Nie wydaje mi się, by listy same z siebie były dobrym dowodem, ale kto wie? Karin mówi, bym zostawił puszkę na stole w kuchni dla jej ojca.

W starym domu próbuję poustawić wszystko na miejsce, nawet na dole, gdzie panuje największy bałagan. Dużo czasu zajmuje mi przesuwanie pudeł i narzędzi, choć i tak głównie zgaduję, gdzie co ma stać. Zostawiam dostęp do schodów i idę raz jeszcze na piętro, by po raz ostatni wszystko sprawdzić.

W sypialni dostrzegam bilecik Ashleya leżący na stoliku nocnym. Zapomniałem włożyć go z powrotem między kartki czasopisma, w którym go znalazłem. Przez moment trzymam kartkę w dłoni i rozglądam się po pokoju.

– Zły pomysł – mamrocze do siebie.

W końcu wtykam bilecik w mój notatnik.

Sprzątamy dom i przygotowujemy się do przepłynięcia jeziora. Bagaże i torby z resztkami jedzenia pakujemy w łodziach. Christian i jedna z dziewczyn znów zabrali się do picia piwa. Worek na śmieci wypełniony pustymi puszkami wpada do wody. Wchodzę po pas do jeziora, żeby go wyciągnąć. Wszyscy śmieją się i nawołują. Wracam do domu, by przebrać się w suche spodnie.

Gdy wkładam suchą parę, zauważam coś w kieszeni. Rachunek znaleziony poprzedniej nocy. W świetle dnia pismo łatwiej odczytać.

MOISSE

*Toiles & Tableaux et Couleurs – Encadrements
28, Rue Pigalle*

blanc d'argent

jaune de Naples

ocre jaune

terre de Sienne naturelle

vert cinabre

terre de Sienne brûlée

laque d'alizarine

rouge de Venise

bleu d'outremer

bleu de Prusse

noir d'ivoire

siccatif de Courtrai

Na liście są jeszcze dwa kolory, ale nie potrafię odczytać pisma – w każdym razie inny odcień *vert* i inny odcień *bleu*. Rachunek sporządzony został w Paryżu, 11 grudnia 1916, a jego odbiorcą jest H. Broginart, 18 Rue de Penthievre. Nazwisko brzmi znajomo. Wyciągam papiery z plecaka i kartkuję je, póki mój wzrok nie pada na kserokopię z Tate Archive.

23 marca 19

Szanowny panie Devereux!

Otrzymałem list Pański z 19 bm. i zgodnie z instrukcjami pozbyłem się rzeczzonego studium. P. Broginart był niezmiernie rozczarowany, a póki nie wyjaśniłem mu sytuacji, oferował nawet dwukrotnie większą cenę. Pytał także o większy obraz i gotów jest kupić go w ciemno, choć nie podał konkretnej kwoty, ja zaś wyraziłem me wątpliwości. Czy P. Grafton zdradziła już swe plany w kwestii ewentualnego wystawienia dzieła na sprzedaż?

– Liczy się tylko to, co wiesz na pewno – powtarzam sobie pod nosem.

Przeciągam dłonią po włosach, odtwarzając kolejno w myślach wszystkie szczegóły. Zimą 1916 Eleanor mieszka na tej wyspie. Imogen prawie na pewno też tu była, bo w starym domu znalazłem adresowane do niej listy. Mniej więcej w tym samym czasie, w grudniu 1916 handlarz sztuką w Paryżu składa zamówienie na farby, na nazwisko Broginart. Rachunek ląduje ostatecznie w Leksand. W maju 1917 roku moja babcia Charlotte przychodzi tu na świat. W marcu 1919, pięć miesięcy po zakończeniu wojny, pracownik galerii w Londynie niszczy na prośbę Eleanor studium, przysłane ze Szwecji – i to mimo faktu, że Broginart chce kupić owo studium i jeszcze jeden duży obraz. W tym samym miesiącu obraz Eleanor, zatytułowany *Studium aktu*, wpisany zostaje do rejestru braci Devereux, po czym ktoś wykreśla wpis.

Mogła tu namalować milion różnych rzeczy. Drzewa, niebo, czerwony dom i co tam jeszcze – podążanie tym tropem byłoby dla mnie tylko stratą czasu. Ale czemu niszczyć obraz? Co takiego przedstawiał, że musiał zniknąć na zawsze, gdy tylko pojawił się w Londynie?

– Nie wiadomo, czy była na nim Imogen.

Patrzę znów na rachunek. W 1916 Broginart kupił w Paryżu farby dla Eleanor. Musieli więc być jakoś ze sobą związani. Może zamówił u niej obrazy, może kolekcjonował jej prace, co tłumaczyłoby, dlaczego dwa lata później chciał dostać studium. A może Broginart był po prostu przyjacielem i kupił farby jako przysługę dla Eleanor, która nie kupiłaby równie dobrych materiałów w Szwecji, i to w samym środku wojny. Co jednak stało się z dużym obrazem olejnym? Czy Broginart kiedykolwiek go otrzymał? A jeśli tak – co było na obrazie?

Jeśli Broginart był uznanym kolekcjonerem, mogły zachować się jakieś dokumenty. Kolekcja może nadal znajdować się w Paryżu. A jeśli Broginart prowadził galerię, jest szansa, że przetrwały jej archiwa. Na pokwitowaniu zapisano jego adres, znam dokładne daty, które mnie interesują, mam więc od czego zacząć. Prichard na pewno powie, że to strata czasu, bo nawet

jeśli znajdę obraz i będzie on przedstawiał ciężarną Imogen...

Dociera do mnie głos wołający sprzed domu:

– Tristan! Chodź już, jeśli nie chcesz wracać wpław!

Biorę swoje rzeczy i biegnę w dół pagórka, aż zrównuję się z Karin. Pozostali siedzą już w łodzi. Christian nylonową liną przywiązuje jolkę do rufy aluminiowej łódki. Pociąga za linkę rozrusznika i motor budzi się do życia, plując czarnym dymem. Łódź zaczyna sunąć naprzód.

Młodzi rozdają sobie puszki z piwem. Karin siada koło mnie.

– Podwieźć cię do Sztokholmu?

– Byłoby super.

– Lepsze niż wiosłowanie. – Karin się uśmiecha. – Przepisałeś wszystkie te listy?

– Tak.

– Co w nich było?

Przeciągam palcami po tafli jeziora.

– Musiałabyś je przeczytać. Raczej trudno opowiedzieć.

– To dobre listy?

– Aha.

Zbliżamy się do błotnistego brzegu. Christian gasi motor. Jest dopiero południe, ale droga do Sztokholmu daleka. Mam nadzieję, że uda mi się złapać jakiś wieczorny samolot do Paryża.



20 sierpnia 1916

Kościół Wszystkich Świętych

Sutton Courtenay, Berkshire

Pod nocnym niebem podwórze kościoła zdaje się gęstwiną cieni. Imogen idzie przez nierówną trawę dwa kroki przed Ashleyem. Jego buty natrafiają na coś twardego, z trudem utrzymuje równowagę. Dziewczyna śmieje się.

– Nie byłeś tu nigdy wcześniej?

– Nigdy tu nie przyjeżdżaliśmy – szepcze Ashley. – Matka miała jakieś zastrzeżenia do tutejszego księdza. Ochrzczono mnie w Abingdon.

– No cóż, jesteśmy na cmentarzu. Z tej strony nie ma płotu. Uważaj na nagrobki – niektóre są dość niskie.

Ashley pociąga ostatni łyk z butelki szampana i odrzuca ją w krzaki. Więcej nie potrzebuje. Nie ma pojęcia, ile wypila Imogen – u niej i tak nie daje się dostrzec różnicy. Ashley przyspiesza kroku, by ją dogonić, i idą razem przez labirynt pokrytych porostami nagrobków. Imogen mówi głośno i bez lęku.

– Odbyłam wspaniały obchód po wioskach. Wiesz, że są tam niemieccy jeńcy? Pracują na polach po drugiej stronie rzeki, za opactwem. Próbowałam do nich zagadać...

– Nie po niemiecku, mam nadzieję!

– Oczywiście, że po niemiecku. Byli z Saksonii, strasznie mili. Mówią, że wolą miesiąc pracy przy zbiorach od godziny w okopach. Nie słyszeli kobiety mówiącej po niemiecku od tygodni. Rzecz jasna, usłyszeli mnie strażnicy i spędziłam kwadrans, przekonując ich, że nie jestem obcym szpiegiem. Wymieniłam więc chyba wszystkich władców od czasu Wilhelma Zdobywcy. Potem przyszłam tutaj. Spotkałam starego kościelnego, który kosił trawę. Plótł mnóstwo bzdur na temat historii tego miejsca. I coś mi pokazał. Och, od razu wiedziałam, że muszę cię tu przyprowadzić.

Podchodzą bliżej kościoła. Ashley widzi czarny zarys budynku i kwadratową wieżę na tle nieba.

– Zamierzasz się włamać? Wątpię, by zostawili otwarte drzwi. A osobiście nie uśmiecha mi się karne zwolnienie z wojska, zanim jeszcze trafię na front.

– Drzwi będą otwarte! – odkrzykuje dziewczyna.

– Nie, nie będą.

Idą przy ścianie kościoła ku frontowym drzwiom. Imogen przeciąga palcami po murze, wyczuwając zaprawę między grubo ciosanymi kamieniami. Stają przed portalem. U podstawy wieży znajdują się łukowate drewniane drzwi. Imogen kładzie dłoń na żelaznym kółku, służącym za klamkę. Uśmiecha się do Ashleya.

– Ufasz mi?

– Ufam tylko tobie i niczemu innemu.

Dziewczyna przekręca kółko i popycha drzwi. Otwierają się ze skrzypnięciem.

– Pan przodem, poruczniku.

W nawie panuje mrok. Przez położone wysoko witraże dociera tylko słabe światło gwiazd. Idą ramię w ramię w stronę ołtarza, ale nie dotykają się. Przypadkiem dłoń Ashleya muska dłoń Imogen. Wtedy bierze ją za rękę. Dziewczyna odskakuje.

– Nie będę cię całować w kościele. Może i nie wierzę w Boga, ale i tak się go boję.

– W takim razie po co tu jesteśmy?

Imogen staje przed ołtarzem. Bierze świecę i rzuca ją Ashleyowi.

– Łap!

Ashley wyciąga rękę, ale stoi w zupełnie niewłaściwym miejscu i świeca ląduje na podłodze. Podnosi ją, a Imogen z powrotem podchodzi do niego centralną nawą, biorąc po drodze jedno z krzeseł.

– Tędy.

Ashley posłusznie kroczy za nią, trzymając świecę w dłoni. Imogen stawia krzesło przed frontowym portalem i wchodzi na siedzisko.

– Zapal świecę, proszę.

Ashley wyjmuje zapalki i po chwili ciemność cofa się przed żółtym płomieniem. Zapala świecę i podaje ją Imogen, która trzyma płomień blisko belki na górze portalu, przeciągając palcami po ciemnym drewnie.

– Znalazłam.

Ashley mruży oczy, lecz dostrzega tylko belkę sękowatego drewna.

– Kościelny mówił, że to zupełnie zwykły czternastowieczny kościół. Ale nawet zwykłe kościoły bywają interesujące.

Schodzi z krzesła.

– Twoja kolej. Spójrz z bliska.

Ashley bierze świecę. Teraz dostrzega wyryte znaki, ich krawędzie wyraźnie zarysowują się w świetle płomienia. To krzyże. Wyrzeźbione dawno temu w starym dębie, krzyże greckie i łacińskie krucyfiksy. Niektóre bardzo staranne, inne zaś wydrapane niedbale w drewnie.

– Krzyżowcy – mruczy Ashley.

Imogen powtarza mu, co usłyszała po południu od kościelnego. Setki lat temu krzyżowcy zatrzymywali się w tym miejscu przed wyruszeniem do Konstantynopola. Kłękali i modlili się, ksiądz mówił, że jeśli polegną, Bóg przyjmie ich do siebie. A potem wykonywali te krzyże i opuszczali swój ostatni kościół na angielskiej ziemi.

Ashley dotyka ostrożnie starodawnych nacięć. Imogen tymczasem wyciąga z torby kozik i otwiera ostrze. Ashley nie widział wcześniej tego noża.

– Masz straszne upodobanie do teatralnych zachowań – mówi jej. – Nie będziesz tu nic ryc.

– Ja nie, ale ty owszem.

– Chyba żartujesz.

– Nazywano ich armią Chrystusa. Zatrzymali się tu, by wyryć owe krzyże na znak, że wrócą.

– Postradałaś zmysły. Nie możesz zrobić tu kolejnego nacięcia.

– Chcę, żebyś ty je zrobił. Nie rozumiesz, Ashleyu? Ich tak naprawdę nic nie obchodził ani Bóg, ani niebo. Chcieli znów zobaczyć swe domy, swe żony. Chcieli pić przez całą noc, jak my. Po to zostawili te znaki. Żeby wrócić.

– Nie mogę tego zrobić.

– W takim razie zrobię to za ciebie – oświadcza Imogen.

Przyciąga kolejne krzesło po drewnianej podłodze i staje obok Ashleya. Zagłębia w belce ostrze noża i obiema rękami zaczyna nacinać drewno, w górę i w dół.

– Imogen – błaga ją Ashley. – Na miłość boską, to przecież zabytek, historyczne...

– My też jesteśmy częścią cholernej historii!

Szarpię nożem w lewo i prawo, by wyryć poziomą belkę krzyża. Na moment przerywa

i słyhać tylko jej szybki oddech. Ashley kładzie dłoń na cienkim trzonku kozika, wykonanym z kości słoniowej. Zaczynają ryc razem, najpierw pomału, potem coraz bardziej zagłębiając ostrze w drewnie.

– Wrócisz – mówi dziewczyna. – Nie po to mi cię dano, bym miała cię tak szybko utracić. Ashley puszcza nóż. Patrzy na Imogen.

– Ta wojna nie potrwa wiecznie. Szykują się do wielkiego uderzenia. Może na wiosnę będę już z powrotem. Pojedziemy prosto do Valais i będziemy patrzeć na śniegi topniejące na zboczu.

Imogen nic nie mówi. Wykonuje jeszcze kilka drobnych nacięć, by wyraźniej zarysowywały się końce obu belek krzyża. Potem przystawia bliżej świecę i podziwia swe dzieło. Dmuchięciem wywiewa wióry, oczyszcza nacięcie czubkiem noża.

Ashley uśmiecha się.

– Wiesz, pewnie większość z tych gości nigdy już nie wróciła.

Imogen składa kozik.

– Przeszło mi to przez myśl. Ale może z ciebie będzie lepszy zawodnik.

– Nie bądź niemiła. Przecież wiesz, że jestem lepszym zawodnikiem!

Znów stają na podłodze, Ashley odstawia krzesła na miejsce. Imogen stoi w drzwiach ze świecą w dłoni. Odwraca wzrok od płomienia, ma pochmurny wyraz twarzy.

– Tak przy okazji – zagaduje Ashley – skąd wiedziałaś, że drzwi będą otwarte? Znów przeznaczenie?

Imogen dmuchięciem gasi świecę.

– Nie – mówi. – Przekupiłam kościelnego.

OBRAZ



Po drodze do Sztokholmu Karin i Christian podwożą mnie na lotnisko Arlanda. Udaję się do stanowisk kilku linii lotniczych i dowiaduję się, że następny lot do Paryża kosztuje prawie dwieście euro, znacznie więcej niż mogę wydać. Przed wyjazdem z Kalifornii przelałem wszystkie oszczędności na rachunek, z którego zamierzałem korzystać w Europie. Razem wyszło zaledwie tysiąc osiemset dolarów, co musi wystarczyć mi na dość długo. Ale samolot wkrótce odlatuje, a ja nie mogę marnować czasu, zostając w Sztokholmie. Kupuję bilet.

Kilka godzin później jestem w paryskim metrze, idę w tłumie przez tunel wyłożony białymi kafelkami. Choć spędziłem ładnych kilka minut, studiując plan metra, wsiadam w niewłaściwy pociąg przy stacji Opéra i dopiero po kilku stacjach pojmuję swój błąd. Przesiadam się na Bonne Nouvelle i zajmuję miejsce siedzące. Wyciągam notes i próbuję pisać, choć wagon podskakuje, mknąc w ciemność.

PYTANIA

1. *Kim jest Broginart?*

2. *Co przedstawiał większy obraz i co się z nim stało?*

Mój hostel znajduje się przy cichej uliczce w Piętnastej Dzielnicy. W lobby jest bar, mam wrażenie, że połowa gości pije tu dziś wieczorem. Melduję się u barmana. Dostaję klucz do wspólnego pokoju z piętrowymi łózkami i mapkę miasta wydrukowaną przez Galeries Lafayette.

Siadam na moim łóżku, rozkładam mapę. Podążam wzrokiem po Sekwanie, mijam dwie wyspy na rzece, przechodzę na lewy brzeg, gdzie Boulevard Saint-Germain spotyka Boulevard Saint-Michel. Przez całe życie chciałem przyjechać do Paryża. Myślę o latach spędzonych na nauce francuskiego, o walizce pełnej pożółkłych książek wydawnictwa Gallimard w garażu ojca. Składam mapę i idę do hostelowego komputera przy barze.

Przez następne dwie godziny sprawdzam biblioteki i archiwa. Gdy kończę, na mojej mapce zaznaczonych jest długopisem siedem miejsc. Barman mruga do siedzących koło mnie dziewczyn.

– Spójrzcie no na tego gościa. Ledwo co przyjechał do miasta, a już zaplanował sobie wszystkie knajpy, do których zamierza uderzyć. Co idzie na pierwszy ogień?

– Bibliothèque Nationale.

Pracuję od świtu, ale niełatwo wpaść na trop Broginarta. W Bibliothèque Nationale nie ma nic na jego temat ani w katalogach, ani w zbiorach cyfrowych, ani w dziesiątkach książek poświęconych znanym paryskim kolekcjonerom. W Bibliothèque Sainte-Geneviève przesiaduję całe godziny pod kolumnami z kutego żelaza, przeszukując katalogi galerii, czytając listy malarzy i rzeźbiarzy z pierwszych dekad dwudziestego wieku. Ani śladu nazwiska Broginart. Udaję się do bibliotek specjalistycznych, Bibliothèque Kandinsky w Centrum Pompidou, do mediateki École des Beaux-Arts. Po czterech dniach badań znam nazwy wszystkich słynnych galerii, kolekcjonerów, którzy skupywali prezentowane w nich prace, znam główne salony i wystawy. O Broginarcie nie wiem natomiast nic.

Noce upływają mi lepiej niż dni. Każdego wieczoru o osiemnastej wychodzę z biblioteki, w najbliższym sklepie kupuję butelkę wina lub piwa i błąkam się po ulicach, póki nie opuszczą

mnie wszelkie zmartwienia, póki nie potrafię już myśleć o niczym prócz miasta.

Bo w Paryżu kocham wszystko. Zielone fontanny. Brązowe składane siedzenia w metrze, zajmowane przez starych akordeonistów w prążkowanych marynarkach, którzy grają tylko dla mnie, gdy pociąg mija Sekwanę przy Austerlitz. Filiżanki café allongé wypijane każdego ranka na tarasie kawiarni, kosztujące jedno euro i dwadzieścia centów.

Trzeciego wieczoru, gdy o zmierzchu siedzę w Ogrodzie Luksemburskim, podchodzi do mnie niewysoki, przyjaźnie uśmiechnięty mężczyzna. Mówi, że nazywa się Mohammed i że pochodzi z Casablanki. Ma na sobie brudny sweter, niebieskie džinsy i białe tenisówki bez sznurowadeł. Mówi do mnie łamaną angielszczyzną, ja odpowiadam mu łamaną francuszczyzną. Mohammed wie, gdzie można najlepiej przespać się na nabrzeżu i gdzie za jedne trzy euro dają najlepszy kuskus w Paryżu – ale tylko w niedziele.

– Będziesz tam jedynym Anglikiem – mówi Mohammed. – Ale jeśli pójdziesz ze mną, to żaden problem.

– Jestem z Ameryki.

Mohammed kiwa z namysłem głową.

– *Et qu'est-ce que tu fais à Paris?*

– *Je cherche un tableau de l'artiste Eleanor Grafton.* Jakbyś się gdzieś na niego natknął, daj mi znać...

– Możesz pójść do *Le Louvre*. Mają tam tysiące obrazów. Jest środa, dziś otwarte do późna. A w środku zawsze sucho i ciepło.

Idę więc do Luwru, mijając uliczki na tyłach Odéonu. W muzeum wciąż wyobrażam sobie obraz Eleanor, choć przecież nie wiem, jak wygląda. Skrzydło Denon obwieszona jest płótnami w połączonych ramach; w każdej z sal łudzę się, że to, czego szukam, jest na końcu, ostatni obraz w galerii. Bo teraz wszędzie widzę Imogen. W zimnym spojrzeniu *Wielkiej Odaliski*, w podziemiach, gdzie wystawiane są eksponaty średniowieczne, w galerii dla osób niewidomych położonej pod schodami, gdzie wolno dotykiem poznawać rysy twarzy rzeźb, wyczuwać ich ostre nosy i podbródki. Nawet ciemnowłosa dziewczyna stojąca przede mną w kolejce do muzealnej kawiarni: może wygląda dokładnie jak Imogen, choć nigdy się o tym nie przekonam.

Następnego dnia zabieram się do problemu od innej strony. O świcie jadę metrem na Rue Pigalle 28, gdzie Broginart kupił u handlarza Moisse farby dla Eleanor. Teraz w budynku mieści się mały sklep spożywczy. Przecinam Boulevard de Clichy i wałęsam się po Montmartrze, ale artyści zniknęli dziesiątki lat temu. Ich miejsce zajęły hordy turystów. Wracam metrem na lewy brzeg. W Magasin Sennelier przy Quai Voltaire pytam sprzedawcę o Moisse. Nigdy nie słyszał tej nazwy, kieruje mnie jednak do sklepu przy Rue Soufflot. Tam pokazuję starszemu panu za ladą rachunek. Starszy pan marszczy brwi.

– Moisse. Bardzo słynne *couleurs*. Od dawna już nie istnieje.

– To były dobre farby?

– Nigdy ich nie widziałem. – Starszy pan wzrusza ramionami. – Ale mówiono, że bardzo dobre. Moisse zaczynał w Maison Édouard, gdzie mieszały najlepsze farby w Paryżu. Używali ich Manet, Caillebotte, wszyscy.

– Warto byłoby sprowadzać je z zagranicy?

– *Comment?*

– Czy były na tyle dobre, by ktoś chciał zamówić je do innego kraju?

– Jasne. Gdy malarz przyzwyczai się już do jakichś farb, nie chce używać żadnych innych.

Dziękuję i wychodzę. Dzwonek nad drzwiami pobrzękuje. Nagle odwracam się i wracam

do środka.

– Czy słyszał pan kiedyś o kolekcjonerze nazwiskiem Broginart?

– *Qui?*

– Broginart.

Starszy pan kręci głową.

– *Non.*

Ruszam nabrzeżem na zachód w stronę Bibliothèque Nationale. Długa droga, potrzebuję jednak czasu na myślenie. Musi być jakiś trop, którego jeszcze nie wypróbowałem, jakiś dowód, który sprawiłby, że cała układanka ułoży się w całość. Tylko jaki?

W bibliotece przeskakuję z tematu na temat. Czytam o barwnikach i oleju lnianym, o mieszanii i produkcji farb olejnych we Francji. Przeglądam katalog Salon des Indépendants z 1920 roku. Ale czuję, jak gdybym wciąż krążył wokół celu, ani trochę się doń nie zbliżając. Więc zamawiam katalogi paryskich muzeów i galerii i poszukuję wszelkich kolekcji wczesnodziesiętnowiecznego malarstwa. Może mniejsze muzea nie zawsze zamieszczają w sieci informacje o swych zbiorach? Zamawiam kolejną stertę katalogów, starannie wertuję indeksy strona po stronie. Nagle widzę nazwisko. GRAFTON, Eleanor... 39.

Przechodzę do strony 39. Wpis jest krótki.

GRAFTON, Eleanor

Nieprzewyciężona (Étude de femme nue), vers 1917. Huile sur toile. 733 x 1000. Don de Henri Broginart.

Na stronie tytułowej katalogu widnieje nagłówek: *Musée Konarski. Catalogue sommaire des collections*. Kartkuję wstęp. Muzeum mieści się w dawnym domu Ludwika Konarskiego, warszawskiego poety, który w 1909 roku wyemigrował do Paryża. Konarski przyjaźnił się z wieloma malarzami z La Ruche, domu pracy twórczej przy Passage de Dantzig. Tam kupował obrazy, które później miały stać się zaczynem jego kolekcji.

W katalogu nie ma numeru telefonu muzeum, tylko adres: *Rue de Monceau 54, 75008 Paris*. Przepisuję go i szybko wychodzę z biblioteki. Powstrzymuję się, by nie biec.

Musée Konarski mieści się przy jednokierunkowej Rue de Monceau, na południe od Parc Monceau, w niewielkim białym budynku, oddzielonym od chodnika przez ogródek z akacją. Kiedy otwieram drzwi, recepcjonistka z zaskoczenia aż zrywa się na równe nogi.

– *Monsieur*, zamykamy za piętnaście minut.

Tłumaczę, że nie chcę zwiedzać muzeum.

– Przyszedłem, by dowiedzieć się, czy macie obraz, który znalazłem w waszym

Catalogue sommaire. Autorstwa Eleanor Grafton.

– Nie wiem... – mówi kobieta z namysłem.

– Przekazał go kolekcjoner o nazwisku Broginart.

– Ach, Broginart. Mamy tu większość jego zbiorów. Niech no sprawdzę...

Siada za biurkiem. Pomagam jej przeliterować nazwisko Grafton. Kilka kliknięć myszą.

– *Étude de femme nue*, z tysiąc dziewięćset siedemnastego. Tak, znajduje się w naszym magazynie.

– Nie tu?

– Nasze muzeum jest niewielkie – wyjaśnia kobieta, kręcąc głową – a zbiory duże.

Większość rzadko trafia na wystawę.

– Ma pani zdjęcie obrazu?

– *Bien sûr*. Musi być w jednej z książek.

Kobieta przegląda książki ustawione na półce za biurkiem i z namysłem cmoka językiem. Idzie na zaplecze i wraca z dużą czarną książką w miękkiej okładce. Na twarzy ma triumfalny uśmiech. Książkę z oślimi uszami kładzie przede mną, już otwartą na stronie z obrazem.

– Voilà.

Reprodukcji towarzyszy opis:

Eleanor GRAFTON (1891–1969) Cat. 537

Nieprzewyciężona (Étude de femme nue), vers 1917

Huile sur toile

H.0.73; L.1.

Don de Henri Broginart

Obraz to seria geometrycznych plam. Rozpada się na różnokolorowe okruchy – w tle zimne szarości i błękity, cieplejsze ziemiste kolory na pierwszym planie. Potrzebuję chwili, by zorientować się, co przedstawiają. Kobieta stoi z wysuniętą nogą, przez ramię przerzuconą ma niebieską pelerynę, reszta jej nagiego ciała składa się z najprzeróżniejszych wielokątów w kolorze ochry i sjeny. Twarz widać i en face, i z profilu. Śmiała linia nosa oddziela obie perspektywy.

Twarz ta mogłaby należeć do kogokolwiek. To jedynie zbiór niebieskich i brązowych płaszczyzn z ciemnym trójkątem zamiast policzka i kilkoma liniami sugerującymi brwi, szczękę i podbródek. Włosy to dwa okruchy w kolorze miedzi. W jednej dłoni kobieta trzyma jakiś wąski przedmiot, ale może to być cokolwiek – od patyka po berło. Pod obrazem widnieje opis po francusku.

Obraz brytyjskiej artystki Eleanor Grafton. Grafton, córka rzeźbiarki Vivian Soames-Andersson, kształciła się w Slade School of Art w Londynie pod kierunkiem Henry'ego Tonksa. Uchodziła wówczas za artystkę zdolną, ale mało ambitną. Malowała głównie portrety i pejzaże. Grafton długo przekonywała się do modernistycznej sztuki eksperymentalnej. Była niechętna wertycyzmowi i futuryzmowi, kierunkom rozwijającym się w przedwojennym Londynie, które odwoływały się do fascynacji abstrakcją i maszyną. Jednak przed rokiem 1914 Grafton wielokrotnie jeździła do Paryża, gdzie wielkie wrażenie zrobiły na niej prace prezentowane przez malarzy z grupy artystycznej Section d'Or, pokrewne kubizmowi i orfizmowi, z harmonijną paletą i klasycznymi proporcjami wywiedzionymi z matematyki. Eksperymentowanie sprawiało Grafton problemy. Zniszczyła studia powstałe w roku 1914 i 1916, nim wreszcie ukończyła niniejszy obraz. Nie była zeń jednak w pełni zadowolona, toteż zarzuciła metodę kubistyczną, by nigdy więcej już do niej nie powrócić.

Odsuwam książkę od siebie. Bibliotekarka podnosi wzrok.

– Nie o ten obraz panu chodziło?

– Nie. To znaczy tak.

– Czy zrobić dla pana kserokopię?

Wychodzi z książką na zaplecze i wraca z kserówką strony z obrazem. Dziękuję, wkładam kartkę do plecaka i opuszczam muzeum. Nie wiem, dokąd teraz iść.

Jakież to wszystko było oczywiste. Eleanor zaczęła malować obraz, na długo nim Imogen zasła w ciążę. Studia zostały zniszczone z najzwyczajniejszego powodu: nie były dobre. Skończone dzieło też nie. Odnalezienie obrazu sprawiło mi tyle trudności, bo nie warto było go

wystawiać. Może Broginartowi bardziej podobało się wcześniejsze studium i dlatego je zakupił? A może po prostu kolekcjonował sztukę nowoczesną i liczył, że kiedyś eksperyment Eleanor wypali.

Szaleństwem było uganie się za obrazem. Po odkryciu listów w Szwecji zdawało mi się, że mogę znaleźć cokolwiek. Ale w Szwecji zwyczajnie mi się poszczęściło. A potem wmówiłem sobie, że rozwiążę wszystko dzięki jednemu fragmentowi układanki. Że obraz jest kluczem. Marzenie ściętej głowy.

– Ta robota cię przerasta – mówię do siebie.

Kieruję się w prawo do Parc Monceau, idąc szeroką ścieżką ku rotundzie po północnej stronie. Przyszedł czas, by przyznać, że nie mam pojęcia, co robię. Uganiam się za wielkim majątkiem, ale postępuję jak student pierwszego roku zbierający materiały do pracy zaliczeniowej. Może powinienem być wynajmującym prawnika? Albo badacz genealogii, nawet gdyby miało to oznaczać złamanie zasad poufności, nawet gdybym zaryzykował utratę prawa do spadku. Prichard zabronił mi mówić komukolwiek o szczegółach sprawy. Czemu jednak przedkładałem jego słowa, słowa obcego człowieka, nad rodzinę i przyjaciół? Jest trzeci wrzesień. Za pięć tygodni stracę spadek, a nie mam do kogo zwrócić się o pomoc.

Są dwie opcje. Pierwsza: powrót do Londynu, gdzie musiałbym ponownie startować od zera, choć niewykluczone, że udałoby mi się tam kogoś wynająć. Druga: pójście śladem jedyne go dowodu, który znalazłem – listów Ashleya – i udanie się do północnej Francji. Po raz ostatni Ashley widział Imogen nad Sommą, jakieś sto mil na północny wschód stąd. Prawda jest taka, że nie chcę wracać do Londynu z pustymi rękami. I nie chcę łamać warunków porozumienia, dopóki mam szansę znaleźć cokolwiek samemu.

Mijam rotundę i wchodzę do metra. Linią 2 jadę na Gare du Nord. Przy kasie SNCF pytam o bilet w jedną stronę do Amiens. Nazwę miasta muszę powtórzyć kilkakrotnie.

– Amiens – mówię.

– Orléans?

– Amiens.

Kasjerka unosi brwi i zgaduje ponownie.

– Rennes?

W końcu mi się udaje. Odchodzę od kasy z biletem na pociąg jutro o trzynastej.

W *alimentation générale* na tyłach dworca kupuję butelkę taniego czerwonego wina. Otwieram ją na chodniku i przelewam zawartość do mojej butelki na wodę. Zmarnowałem w Paryżu tydzień. Przynajmniej teraz mam jedną noc tylko dla siebie.



23 sierpnia 1916

Hotel Langham

Marylebone, centrum Londynu

Jedzą kolację w hotelowej restauracji. Następnego dnia Ashley rusza do Francji. Imogen wolała jeść we dwoje w pokoju, ale Ashley pragnął być wśród ludzi.

– Gdy tylko skończymy, możemy pójść na górę – obiecuje jej.

Większość gości to mężczyźni w khaki lub starsi ludzie w strojach wieczorowych. Kiedy kelner wręcza Imogen kartę, dziewczynę zdumiewa, jak duży jest tu wybór.

– Można by pomyśleć, że nie ma żadnej wojny.

– Nie dla tych, którzy mają pieniądze.

– Och, kochany, nie chcę, żebyśmy skończyli w przytułku z powodu obżarstwa.

– Nic takiego się nie stanie. Przynajmniej jeszcze nie dziś.

Na początek idzie treściwy bulion. Potem pieczona łopatka jagnięca w gęstym brązowym sosie cebulowym oraz fasolka szparagowa i zapiekana kapusta. Ashley narzeka, że jagnięcina jest sucha, ale po chwili żałuje tych słów. Imogen nie zwraca jednak uwagi. Przez cały posiłek wydaje się rozkojarzona. Ashley nie wie, czy to nerwy, zniecierpliwienie, czy po prostu smutek.

Na deser zamawiają lody ananasowe i deskę rocqueforta. Ashley złotym nożem kroi ser, nie dają jednak rady zjeść go w całości. Imogen pyta kelnera, czy mogą dostać kawę do pokoju. Kelner potwierdza skinieniem głowy.

Jadą windą na trzecie piętro. Windziarz w uniformie rzuca im ciekawskie spojrzenie, a Imogen bierze Ashleya za rękę. Wsiadają, Ashley zatrzymuje na chwilę dziewczynę.

– Wszystko w porządku?

Imogen kręci głową.

– Zapomnijmy, że to ostatnia noc. Nawet o tym nie myślmy. Możemy tak zrobić?

– Naturalnie, ale czy wszystko w porządku?

– Kochany, nie powinniśmy o tym mówić. Po prostu bądźmy razem.

Wchodzą do pokoju i zaraz gdy tylko drzwi się zatraskują, Ashley zaczyna ją całować. Całuje szyję Imogen, a dziewczyna zdejmuje kapelusz i rzuca go na podłogę. Ashley mówi rzeczy, których nigdy wcześniej jej nie mówił. Uciekają mu z ust, jak gdyby zupełnie nad nimi nie panował.

– Jesteś wszystkim – szepcze. – Więcej niż wszystkim. Nawet tym, w co nigdy nie wierzyłem.

Są już przy łóżku. Ona całuje jego twarz, obejmując go silnymi i napiętymi ramionami. Dłoń Ashleya wędruje po obszytych płótnem guzikach z tyłu sukni, a potem dotyka policzka dziewczyny, Imogen jednak prowadzi jego rękę z powrotem do guzików. Cały czas wpija weń wzrok. Ashley pomału rozpina guziki, suknia zaczyna się zsuwać.

– Kochany – mówi Imogen. – Zasłony.

Ashley zaciąga zasłony i gasi światło. Teraz, w ciemności, jest łatwiej. Zdejmuje krawat i koszulę. Wchodzą do łóżka i Ashley nakrywa oboje narzutą. Są razem, blisko, w całkowitym mroku. Ich dłonie są swobodne. Imogen zdejmuje koronkową halkę i jedwabne pończochy. Jej nagie uda oplatają nogi Ashleya. Naraz rozlega się pukanie do drzwi.

– Kawa. – Ashleypowi wyrывa się westchnienie. – Na śmierć zapomniałem.

Imogen śmieje się, porywa narzutę i ucieka do łazienki. Ashley znów włącza światło i ubiera się pośpiesznie. Otwiera drzwi. Kelner wchodzi z serwisem do kawy na srebrnej tacy. Ashley daje mu napiwek, myśląc ciągle o kołnierzyku swej koszuli i krawacie, porzuconych na podłodze. Kelner salutuje i zamyka za sobą drzwi.

– Możesz już wyjść, droga wolna.

– Mam ci wierzyć?

Ashley gasi światło.

– Słowo honoru.

Imogen podchodzi i owija go narzutą. Przyciska do niego swe nagie ciało i ciągnie go w stronę łóżka. Oddycha szybko i pojękuje, gdy Ashley całuje jej szyję i ramiona. Ashley bierze w dłoń twarz Imogen, chcąc spojrzeć jej w oczy. Jest bardzo ciemno.

– Jesteś pewna?

– Cicho.

– Na pewno chcesz?

– Cicho bądź.

Dziewczyna znów przytula się do Ashleya.

– Nie jestem tak dobra jak ty – mówi – ale nie dbam o to.

Przed nimi długa noc – a jednak i tak za krótka. Godziny mijają, Ashley zapada w drzemkę, gdy jednak budzi się, trzymając Imogen w objęciach, widzi, że ona uważnie się w niego wpatruje.

– Nie chcesz spać?

Dziewczyna kręci głową.

– Gdy odjedziesz, będzie czas na sen. Teraz zostało nam zaledwie kilka godzin.

Ashley przytakuje i siada na łóżku. Okrywa swój nagi tors prześcieradłem. W ustach ma suchość, a w głowie tępy ból.

– Prawie nie spałem, ale miałem sen.

– O czym?

– Nie jestem pewien.

– Może śniłeś o mnie – podpowiada żartobliwie Imogen.

– Nie, w przeciwnym razie na pewno bym go nie zapomniał. – Ashley delikatnie gładzi jej policzek. – Sny o tobie przyjdą później – dodaje.

Imogen idzie do łazienki i wraca odziana w jedwabne kimono. Podchodzi do okna i pociąga sznur ze złotym chwastem. Zaslony rozsuwają się powoli.

– Jest ciemno – mówi Ashley. – Nic nie zobaczysz.

– Widać reflektory. To już coś.

Imogen nalewa filiżankę kawy z porcelanowego dzbanka. Kosztuje i marszczy czoło.

– Pewnie wystygła – mówi Ashley. – Możemy zamówić nową.

– Nie ma potrzeby, kochany. Lubię zimną.

Imogen trzyma spodek w jednej dłoni, a filiżankę w drugiej. Wygląda przez zakończone łukiem okno na Portland Place. W ciemności tli się jedynie wąty płomień niebieskiego światła latarni.

– Ashleyu, chcę ci zadać jeszcze jedno niemądre pytanie.

– W porządku.

– Czy wierzysz w sny?

Ashley mruga ostrożnie. Dziewczyna stoi do niego tyłem. Ashley zatrzymuje wzrok na niebieskiej szarfie, którą przepasała kimono.

– Masz na myśli wydarzenia w snach? – pyta. – Czy dzieją się naprawdę?

– Tak, czy gdzieś się dzieją. Niekoniecznie tutaj.

Ashley myśli przez chwilę.

– Pewnie wolałabyś inną odpowiedź, sądzę jednak, że sny to tylko sny. Nasz umysł musi zająć się czymś w nocy i dlatego spuszcza z łańcucha wszystkie lęki i pragnienia. Możemy śnić o rzeczywistych ludziach i miejscach, ale sny nie stają się przez to prawdą.

– Jednak nawet rzeczywistość czasem zdaje się nieprawdziwa – protestuje Imogen.

– Minęło zaledwie kilka dni i oto jesteśmy tu razem.

– To zdecydowanie wyjątek.

Dziewczyna śmieje się.

– Nie – mówi. – Nie sądzę.

Stawia pustą filiżankę i spodek na tacy, po czym kładzie się u boku Ashleya i patrzy w sufit. Mówi, że czasem świat wydaje się jej pewny, czasem jednak równie prawdziwy – a nawet prawdziwszy – jest świat snów, sny bowiem wpływają na to, co robimy na jawie, podczas gdy jawa nie odgrywa w snach żadnej roli.

Imogen siada i pyta, która z tych dwóch krain jest bardziej ludzka. Świat jawy jest zimny, ponury i banalny. Wszystkim rządzi tu bezlitosna kalkulacja – od narodzin aż do chemicznych przyczyn śmierci. Cała nauka i matematyka to zaledwie odkrywanie owych okrutnych mechanizmów. Wszystkie uczucia i cały ludzki patos nie zdołałyby poruszyć nawet jednego atomu. To potworne, dodaje, że o losie dusz decyduje trajektoria lotu pocisków lub namnażanie się chorych komórek.

Ashley chce dotknąć Imogen, ale dziewczyna chwyta jego dłoń.

– Zaslugujemy na więcej – mówi.

A potem mówi jeszcze, że kraina snów skrojona jest na miarę ludzkiego serca i stworzona z tej samej materii. Dlatego robi wrażenie cieplej, żywej i swojskiej, nawet gdy wszystko tam jest przedziwne. W nocnym świetle jesteśmy wolni od spraw błahych i głupich. Tam właśnie możemy szukać tego, co naprawdę ważne. Imogen mówi wreszcie, że w snach ani odległość, ani śmierć nie powstrzymuje spotkania dwóch dostatecznie silnych serc. I tak właśnie powinien wyglądać świat. W przeciwnym razie nie chce mieć z nim nic wspólnego.

– W przeciwnym razie nic nie jest fair – kończy. – Naprawdę.

Ashley zbliża się do niej i bierze ją w objęcia. Trzyma mocno, patrząc, jak powieki opadają Imogen ze zmęczenia. Gdy oddech dziewczyny staje się cichy i miarowy, układa jej głowę na poduszce z pierza.

W samej bieliźnie Ashley podchodzi do biurka i wyciąga biały bilecik z szuflady. Kreśli kilka słów i czyta je kilka razy. Zirytowany drze bilecik, a strzępy wrzuca do kosza. Zapisuje kolejny i znów czyta. Wreszcie, zadowolony, chowa bilecik głęboko w torebce Imogen.

Podchodzi do okna i zaciąga zasłony. Przez szybę widzi, że niebo zaczyna się powoli rozjaśniać. Zastanawia się, czy to już rzeczywiście świt, czy jedynie złudzenie. Żałuje, że wyrzwał. Zasłony spotykają się, Ashley wraca do łóżka. Patrzy na śpiącą obok dziewczynę.

– Chciałabyś, żebym cię obudził – mówi szeptem. – Tej nocy nie powinniśmy spać.

Wygląda czarne pasmo włosów na jej czole. Dziewczyna drga. Ashley zamyka oczy.

MIREILLE



To mój ostatni wieczór w Paryżu i chcę zobaczyć tak wiele, jak się da. Kiedy wychodzę schodami ze stacji metra Châtelet, niebo jest już granatowoczarne. Pod nim kandelabry latarni o żółtych światłach. Przechodzę na drugi brzeg rwącej Sekwany przez Pont d'Arcole i siadam na ławce przed katedrą Notre Dame. Następne pół godziny spędzam, robiąc jej zdjęcia i pociągając wino z mojej butelki na wodę. Myślę o robotnikach, murarzach i biskupach, którzy wzniesli ten kościół z błotnistej ziemi Île de la Cité. Wiedzieli, co robią. Potrzebowali stu lat, ale w końcu im się udało.

Przez Petit Pont przechodzę na lewy brzeg do Dzielnicy Łacińskiej. Błąkam się po obrzeżach Sorbony, potem wchodzę na wzgórze do Panteonu, mauzoleum francuskich bohaterów. W uliczce obok natrafiam na interesujący bar. Mijam go, ale zaraz zawracam i wchodzę do środka. Na ścianach porozwieszano plakaty, poczerńnięte od wieloletniego dymu papierosowego. Siadam na stołku barowym i zamawiam pression. Barman napelnia niewielką szklankę piwem z beczki i stawia ją na podkładce. Piwo pieni się przyjemnie.

Na lotnisku kupiłem pudełko cygaretek w sklepie wolnocłowym. Widziałem takie cygaretki na zdjęciach i zawsze chciałem spróbować, jak smakują. Wyciągam więc pudełko z plecaka i zapalam jedną. Zaciągam się, aż czuję w gardle ból od dymu. Obok mnie przystaje dziewczyna. Opiera się o bar, czekając, aż zostanie obsłużona. Pyta, czy poczęstuję ją cygaretką. Podsuwam jej pudełko.

– Mogę dać ci w zamian papierosa – mówi dziewczyna po francusku.

Ma krótko przystryżone włosy, jasnoszare oczy i biały kwiat przypięty do bluzki. Dziękuję za papierosa. Przez chwilę rozmawiamy. Gdy dziewczyna słyszy, że jestem z Ameryki, przedstawia się na angielski. Mówi płynnie z lekkim tylko akcentem.

– Piękny aparat. Mogę obejrzeć?

Spoglądam na nią. Ma wełnianą spódnicę i baleriny. Jest ubrana, jak gdyby szykowała się do wyjścia w miejsce miłsze niż ten ponury bar. Zamawia whisky z wodą sodową. Podaję jej aparat. Dziewczyna powoli obraca go w dłoniach.

– Skąd go wzięłeś?

– Należał do mojego ojca.

– Fajnie, że ci go dał. Teraz już nie da się czegoś takiego kupić.

Przykłada oko do wizjera i kadruje drzwi wejściowe.

– Jak się to obsługuje? Mój aparat działa inaczej.

– Widzisz tam dwa obrazy? Musisz je na siebie nałożyć. Jest tu trochę ciemno, więc lepiej otwórz przesłonę do końca. Pewnie i tak nic nie wyjdzie. Może jeśli oprzesz łokcie na barze i wstrzymasz oddech...

Dziewczyna kieruje obiektyw w moją stronę i ustawia ostrość. Nabiera powietrza w płuca.

– Nie ruszaj się.

Łagodnie naciska spust. Słysząc trzask. Dziewczyna uśmiecha się i oddaje mi aparat.

– Nie wydaje mi się, żebym dobrze to zrobiła.

– Nie ma sprawy. Połowa moich zdjęć i tak nie wychodzi.

– Przyjechałeś do Paryża, żeby fotografować?

– Nie, prowadziłem badania w kilku bibliotekach. Przyjechałem w niedzielę, a jutro jadę

do Amiens...

Dziewczyna unosi brwi.

– Dlaczego tam jedziesz?

– Cały czas chodzi o badania. Rzeczy związane z pierwszą wojną światową.

– Zabawne – mówi dziewczyna. – Wychowywałam się niedaleko Amiens.

Tłumaczy, że pochodzi z Noyelles-en-Chaussée, *commune* w departamencie Somma. Ma na imię Mireille i jest tu z przyjaciółką, Claire. Obie są na pierwszym roku szkoły sztuk pięknych. Gdy Claire, siedząca nieco dalej przy barze, słyszy swe imię, uśmiecha się i macha do mnie, zataczając dłonią okrąg, co przypomina czyszczenie niewidzialnej szyby. Jakiś poważnie wyglądający chłopak w okularach wygłasza do niej z zaangażowaniem długi monolog.

– Jej przyjaciel? – pytam.

Mireille uśmiecha się i nachyla ku mnie.

– Właśnie się poznali.

– Wybrałyście się na poszukiwania nowych przyjaciół?

– Claire tak – odpowiada dziewczyna. – Ciągłe mi powtarza, że zbyt dużo czasu spędzam w mieszkaniu jak jakaś staruszka. No więc odstawiłyśmy się i wyszłyśmy na miasto.

Barman staje koło nas, więc zamawiam kolejne piwo.

– Dobrze mówisz po francusku – stwierdza Mireille.

– Nie tak dobrze, jak powinienem. Uczyłem się go przez całe studia, ale moja gramatyka ciągle kuleje.

– Studiowałeś romanistykę?

– Nie, historię.

– Amerykańską?

– Europejską.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Spójrz na to miasto – odpowiadam. – Całe mile katakumb pod ulicami. Pałac wypełniony skarbami ukradzionymi w najróżniejszych częściach świata. Rewolucja za rewolucją, aż w końcu nikt już nie pamięta, kiedy która wybuchła. Po prostu wrywają te same kostki brukowe i w tych samych miejscach wznoszą barykady. Nawet pomniki są zwariowane. Na cześć Napoleona wzniesiono rzymski łuk triumfalny, pod którym Prusacy przeszli w tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym, Francuzi w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, Hitler w tysiąc dziewięćset czterdziestym, de Gaulle w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym...

Milknę zawstydzony i pociągam łyk piwa. Mireille zapala cygaretkę.

– Ale przecież wszędzie da się znaleźć coś interesującego. Gdzie dorastałeś?

– W Kalifornii.

– Musi tam być bardzo pięknie.

– Jest cudownie. Wszystko, czego dusza zapagnie.

– Kpisz?

– Nie wiem. Może po prostu zawsze wolałem to, co daleko.

Mireille spogląda w stronę wejścia. Do baru właśnie wtoczyła się grupka ludzi. Zdejmują kurtki, rozglądając się po sali. Wyglądają na zdziwionych, że kogokolwiek tu zastali. Mireille znów odwraca się do mnie.

– Skoro lubisz to, co daleko, a teraz jesteś tutaj, pewnie niedługo przestanie ci się tu podobać.

– Jutro wyjeżdżam, więc powinno być w porządku. Mówiłaś, że jesteś z północy. Jak znalazłaś się w Paryżu?

– Długa historia.

- Opowiedz mi swoją historię, a ja opowiem ci swoją.
- Masz jakąś dobrą historię?
- Nie najgorszą. Ale najpierw ty.

Mireille zaczyna skręcać papierosa. Mówi, że przeniosła się do Paryża trzy miesiące temu z południa, gdzie mieszkała z mężem. Ma dwadzieścia trzy lata i jest rozwiedziona. Widzi, że ta informacja mnie zaskakuje, śmieje się więc z lekkim zakłopotaniem i patrzy w głąb swej szklanki.

- Nigdy nikomu o tym nie mówię. No, ale skoro zapytałeś...

Trzy lata temu Mireille i jej chłopak studiowali na uczelni w północno-wschodniej Francji. Studia ich nudziły, marzyła im się radykalna zmiana. Uciekli więc na wybrzeże Morza Śródziemnego i wzięli ślub. Pisali powieści i żyli głównie z zasiłków. Mireille nauczyła się gotować ziemniaki na siedemnaście różnych sposobów. Nienawidziła ziemniaków. Czasem publikowano coś, co napisali, ale małżeństwo się rozpadło. Zeszłego lata Mireille przeniosła się do Paryża, by zacząć studia na akademii plastycznej.

- Dlaczego się pobraliście?

Dziewczyna kręci głową.

– Wolalabym nie mówić. Wiedziałam, że to głupie, ale miałam to gdzieś. Zdawało mi się, że tak będzie bardziej romantycznie. W tej chwili próbuję sobie wybaczyć ostatnie trzy lata. I zacząć od nowa, udając, że cały czas mam osiemnaście lat.

Siedzę ze wzrokiem wbitym w Mireille, podczas gdy ona opowiada o swych studiach. Chwilami robi wrażenie nieśmiałej lub wręcz zawstydzonej, unika mojego spojrzenia, gdy o coś ją pytam. Jednak w innych momentach wydaje się rozluźniona i wesoła. Rzuca kilka pogodnych żartów, jak gdyby chciała mnie sprawdzić. Że barman kiwa głową w takt muzyki. Że trzymam aparat przewieszony przez ramię, nawet kiedy siedzę w barze.

– Zbierasz się do wyjścia? Wyglądasz, jakbyś w każdej chwili miał zamiar wstać i sobie stąd pójść.

- Nie, po prostu tak jest bezpieczniej.

Mireille zapala papierosa i od razu zaczyna zwijać następnego.

- Robisz wrażenie ostrożnego człowieka.
- Żeby. Gdybym był ostrożny, nigdy bym nie przyjechał do Paryża.
- Właściwie dlaczego przyjechałeś? Nie opowiedziałeś mi w końcu swojej historii.
- I tak nie uwierzysz.
- Uwierzę, jeśli jest prawdziwa.

Opowiadam więc Mireille o moim tygodniu w Paryżu, o bibliotekach, które odwiedziłem, o moich pomyłkach. Opowiadam o obrazie i spadku. Zdaję sobie sprawę, że łamię warunki umowy o poufności – i że nic mnie to nie obchodzi. Bo co za różnica, jeśli opowiem wszystko osobie zupełnie niezwiązanej ze sprawą? Prichard nigdy się nawet nie dowie. I choć na zwierzenia zebrało mi się z powodu wypitego alkoholu, mam już serdecznie dość tego, że nikomu nie mogę się zwierzyć, że nikomu nie mogę wyznać, co działo się ze mną przez ostatnie trzy tygodnie. Mireille słucha, nie przerywając mi ani razu. Gdy milknę, wręcza mi papierosa, którego zwinęła.

- Nie jest to wiele – uśmiecha się – ale więcej nie mam.

Barman podkręca muzykę i włącza górne światła.

- Chyba będą zamykać – mówi Mireille.

- Uwierzyłaś w moją opowieść?

Mireille spogląda na drzwi. Wstaje i wkłada płaszcz.

- Nie – odpowiada. – Ale i tak mi się podobała. Chodź, lepiej już się zbierajmy.

Opuszczamy bar i stoimy niepewnie w wąskiej uliczce, każde z nas utkwilo wzrok w swych butach i lśniącym bruku ulicy. Parę chwil później wreszcie dołącza do nas Claire w jasnoczerwonym palcie.

– A co z twoim przyjacielem? – pyta Mireille.

– Był dziwny – odpowiada Claire. – Bardzo dziwny.

Metro już nie jeździ, ale Mireille zaprasza nas na gorącą czekoladę do swojego mieszkania w jedenastej dzielnicy. Tam możemy poczekać, aż pociągi znów zaczną kursować.

– Poza tym – mówi mi szeptem – chcę cię o coś zapytać.

– O co?

Kładzie palec na ustach, wskazując na Claire, idącą przed nami.

– *Attends*. Musisz poczekać, aż będziemy sami.

Idziemy we trójkę nabrzeżem w stronę Pont de Sully. Przekraczamy rzekę, przecinamy Île Saint Louis w kierunku placu Bastylli. Wyciągam z torby plastikową butelkę i biorę łyk. Claire obserwuje mnie uważnie.

– Co to?

– Wino. Nie stać mnie na picie w barach.

Claire patrzy podejrzliwie na butelkę.

– Jakież to amerykańskie.

– Chcecie?

Obie popijają. Droga przez Rue du Faubourg Saint Antoine trwa długo. Mijają nas zielone zamiatarki. W końcu stajemy przed domem Mireille na tyłach Boulevard Voltaire. Dziewczyna wstukuje kod i wchodzimy do holu z dużym lustrem i drzwiami.

– Mieszkanie *madame* Fuentes – tłumaczy Mireille. – Konsjerżki. Ona, zdaje się, za mną nie przepada, nigdy nie przekazuje mi moich przesyłek.

Idziemy na górę do małego studio Mireille. W środku jest tylko biurko i rozkładana kanapa. Claire siada na dywanie po turecku i zwija papierosa. W kuchni, niewiele większej od szafy, Mireille podgrzewa w rondlu mleko na dwupalnikowej kuchence elektrycznej, po czym wrzuca połamaną tabliczkę czekolady. Gorący napój rozlewa do kubków.

– O której masz pociąg do Amiens?

– O pierwszej.

Kiwa głową. Trzecią porcję nalewa do miseczki.

– Mam tylko dwa kubki – wyjaśnia. – Ale lubię pić z tego.

Pijemy więc czekoladę, siedząc na dywanie. Claire nastawia płytę i przez jakiś czas rozmawiamy o muzyce.

– Chciałabym kiedyś pojechać do Stanów – mówi Claire. – Byłeś w Nowym Jorku?

– Raz. Pojechałem tam w zeszłym roku autobusem.

Mireille unosi brwi.

– Z Kalifornii? To chyba kawał drogi.

– Dwa tygodnie w każdą stronę. Dużo przystanków.

– Gdzie najbardziej ci się podobało? – pyta Claire. – W Nowym Jorku?

– Nie, chyba gdzieś w Montanie. Albo w Nowym Meksyku. Najbardziej lubię miejsca pośrodku niczego.

– Bo nie wychowywałeś się pośrodku niczego. – Mireille się śmieje. – Co zamierzasz oglądać w Pikardii?

– Wszystko, co się da. Chcę zobaczyć pole bitewne w pobliżu Eaucourt.

Mam przy sobie skserowaną mapę pól bitewnych nad Sommą, wyciągam ją więc i wręczam Mireille. Dziewczyna pokazuje mi swoje miasteczko i kilka pobliskich zabytków.

Claire kładzie się na kanapie i zamyka oczy. Mireille idzie do kuchni i wraca z małą butelką whisky. Nalewa nam obojgu po małym drinku.

– Nie cieszysz się, że przyjechałeś do Paryża?

– Czuję się jak głupek – mówię, kręcąc głową. – Nie tylko dlatego, że zmarnowałem czas.

Chodzi o to, jak doszło do tej pomyłki. Szukałem obrazu, bo podobał mi się sam pomysł, bo myślałem, że wiem co nieco na temat malarstwa.

Kładę się na dywanie, opierając głowę o kanapę. Pociągam łyk whisky.

– Potrzebuję jednego porządnego dowodu, ale ciągle coś mnie rozprasza. Kiedy pisałem moją pracę na koniec studiów, na najciekawsze materiały natrafiałem, ilekroć coś mnie rozpraszało. Czytałem francuskie listy i pamiętniki...

– Pisałeś pracę o Francji?

– Mniej więcej. Pisałem o Brygadach Międzynarodowych walczących w wojnie domowej w Hiszpanii. Ciekawili mnie Francuzi i Belgowie. W Tuluzie nadal żył jeden uczestnik wojny, świadek oblężenia Madrytu. Miałem zrobić z nim wywiad, ale jego córka trzy razy odwoływała rozmowę. Zawsze był nie w formie. Zanim zdążyłem się umówić po raz czwarty, napisałem pracę.

– I nigdy nie porozmawialiście?

Kręcę głową.

– Powinienem był to zrobić.

– Zdecydowanie. Może powiedziała ci coś ważnego.

– Może tak.

– Niekoniecznie ważnego z punktu widzenia twojej pracy.

– Wiem.

Długa pauza. Mireille spogląda na zegar. Minęła szósta, metro znów kursuje. Zaczynam się zbierać do wyjścia, ale Mireille mówi, że odprowadzi mnie na stację. Zostawiamy Claire śpiącą na kanapie i ruszamy Rue de Montreuil. Poranne niebo jest blade i zasnuwane obłokami. Wkładam zmarznięte dłonie do kieszeni.

– O co chciałaś mnie zapytać?

– Nieważne. – Mireille wzrusza ramionami. – Claire cały czas była obok, nie chciałam, by usłyszała.

– Teraz jesteśmy sami.

– Na ulicy?

Stajemy przed wejściem do metra. Spoglądam na Mireille.

– To twoje miasto. Zabierz mnie gdzieś. Na pewno znasz odpowiednie miejsce.



24 sierpnia 1916

Hotel Langham

Marylebone, centrum Londynu

Kochankowie stoją pod portykiem. Boy hotelowy umieszcza plecak Ashleya w taksówce za siedzeniem kierowcy. Dostaje napiwek i odchodzi, gdy Ashley pomaga wsiąść Imogen, po czym sam zajmuje miejsce. Ashley nachyla się do szyby i mówi do kierowcy:

– Dworzec Victoria.

Kierowca przekręca czerwony przełącznik licznika. Pozdrawia odźwiernego, dotykając czapki, i wrzuca bieg.

Ashley i Imogen nie rozmawiają. Siedzą na przeciwnych końcach kanapy, spory dystans dzieli brzeg spódnicy Imogen od wełnianych spodni Ashleya. Ashley opuszcza szybę i wychyla głowę, patrząc na Regent Street. Chłodne poranne powietrze owiewa mu twarz. Ma nadzieję, że go to rozbudzi. Dostrzega omnibus. Pasażerowie na końcu czepiają się mosiężnej poręczy. Gdy omnibus zwalnia, ludzie zeskakują lub wskakują w biegu na stopień. Konduktorka w mundurze wspina się po schodach na piętro, wołając do pasażerów:

– Panowie, proszę się mocno trzymać!

Z boku pojazdu widnieje duża reklama Dewar's White Label. Omnibus niknie w oddali. Imogen kuli się.

– Zimno...

– Zaraz zamknę okno – mówi Ashley.

– Nie, zostaw.

Imogen ma przekrwione oczy. Kładzie dłoń na piersi Ashleya.

– Ostrożnie – mówi Ashley. – Zrobisz mi smugi na guzikach, a guziki muszą być jak lustro.

– Bardzo dobrze, wsadzą cię do więzienia.

– Nie, wyślą mnie na pierwszą linię frontu, tyle że w stopniu szeregowca.

– Twierdziłeś, że szeregowcy żyją dłużej niż oficerowie.

– Podobno. Ale nikt nie żyje wiecznie.

– Nie powinieneś tak mówić.

Ashley zaciska usta, nie odpowiada. Wyciąga z kieszeni swoje rozkazy, rozkłada je i czyta. Po chwili znów je chowa.

– Przepraszam – mówi Imogen. – Nie czuję się dobrze.

– Nic dziwnego. Ile nocy przespaliśmy w tym tygodniu?

– Chyba dwie z pięciu.

– Dla mnie to dobre ćwiczenie przed Francją.

Taksówka mija Hyde Park, okrążając Wellington Arch. Ashley postanawia milczeć aż do końca podróży. Tak będzie lepiej. Na stacji zamelduje się oficerowi, dopiero potem przyjdzie czas na pożegnania.

Na dworcu panuje tłok. Rzesze powracających żołnierzy w metalowych hełmach wylewają się z długich pociągów. Płaszczki i plecaki są oblepione błotem. Ludzie niosą szpadle i inne narzędzia do kopania ziemi. Ciągną ku Victoria Street lub tłoczą się w kolejkach do darmowego bufetu. Niektórzy popijają herbatę, jedzą ciastka lub kanapki. Ci, którzy dopiero

mają wyruszyć do Francji, są czystszy, ale równie objuczeni. Na plecach dźwigają owinięte w brązowy papier paczki z jedzeniem lub ubraniami.

Ashley prowadzi Imogen za rękę, przeciskając się przez tłum. W końcu stają pośrodku peronu. Nurt żołnierzy omija ich niczym rzeka opływająca maleńką wyspę dwóch ciał. Lokomotywa co chwilę wyrzuca z siebie kłęb pary lub wydaje przeciągły pisk. Pośród chaosu ledwo słyszą się nawzajem.

– Nie ma co, wybraliśmy sobie cholernie dobre miejsce na pożegnanie – mówi Ashley.

– W takim razie się nie żegnajmy.

– Wiesz, co chciałbym ci powiedzieć. To był najwspanialszy tydzień w całym moim życiu.

– Tylko tyle?

Ashley kręci głową. Podnosi wzrok na zakurzony szklany dach. Słońce przeciska się pomiędzy żelaznymi podporami.

– Nie powinnam była tu przychodzić – mówi Imogen. – Przrzekałam sobie, że tego nie uczynię.

– To bez znaczenia. Dostaniesz ode mnie list, nim jeszcze zdążysz za mną zatęsknić.

– Już tęsknię.

Peronem maszeruje konduktor, dmuchając w gwizdek i wzywając, by wsiadać do pociągu. Ashley bierze do ręki bilet i swe rozkazy.

– Muszę iść.

Imogen rozwiązuje jedwabną chustę, którą ma na szyi. Składa ją i wsuwa Ashleyowi w dłoń.

– Wiem, że nie chcesz jej brać – mówi – nie dbam jednak o to. Nie wierzysz, że mogę cię ochronić. Ale to nie ja będę cię chroniła.

Ashley próbuje oddać jej chustę.

– Zgubię ją. Podrę albo zabrudzę...

Zamyka dłoń Imogen wokół chusty.

– W twojej torebce jest list – mówi. – Przeczytaj go, gdy odjadę.

Ich dłonie się rozłączają. Teraz, w tych ostatnich chwilach, Ashley i Imogen stoją w niezręcznej odległości. Imogen odwraca twarz ku plującej parą lokomotywie. Ashley wie, że będzie żałował, iż nie objął jej po raz ostatni. Nie robi tego jednak.

– Żegnaj – mówi.

Imogen odwraca się ku niemu i kręci głową z irytacją. Gdy zaczyna mówić, głos jej się łamie.

– Nie możesz tak po prostu... Nie możesz odejść, skoro my dopiero się...

– Imogen...

– Nie możesz odejść – ciągnie dziewczyna. – Powinieneś wybrać mnie.

Ashley całuje ją w policzek, ona jednak stoi wyprostowana. Ashley cofa się o krok.

– Nie będę cię żegnała – szepcze Imogen.

Ashley wsiada do pociągu i znajduje swe miejsce w zatłoczonym przedziale wagonu oficerskiego. Salutuje trzem siedzącym tam wojskowym, parze młodocianych podporuczników i kapitanowi korpusu medycznego, który czyta gazetę. Siada, potrącając przypadkowo stopę kapitana. Ten fuka i szeleści gazetą. Ashley sadowi się, próbując powstrzymać chęć wyrzucenia przez okno. W końcu nie wytrzymuje. Patrzy na peron, lecz nigdzie nie widzi Imogen.

Kilka przedziałów dalej rozlega się raptem jakiś hałas. Kapitan podnosi wzrok znad gazety.

– Proszę pani! – woła czyjś głos. – Proszę pani, pociąg zaraz ruszy!

Do przedziału wpada Imogen, za nią konduktor. Jej oczy są mokre. W dłoni trzyma chustę.

– Weź ją – mówi. – Weź ją.

PERON



W gęstej porannej mgłę wspinamy się na stopnie Montmartre'u. Mireille idzie przede mną, trzymam się poręczy, by za nią nadążyć. Przed oczami mam podniesiony kołnierz jej płaszcza. Mireille skręca w prawo w brukowaną uliczkę, potem nagle w lewo.

- Wiesz, dokąd idziemy?
- Możliwe.
- Ale nie jesteś paryżanką?
- Nie.

Błądzimy krętymi uliczkami, wspinamy się po kamiennych schodach. Z cienia kamienic wychodzimy na pole schodzące zboczem wzgórza. Nad nami otwiera się niebo. Za ogrodzeniem z siatki widzę równe rzędy roślin. Ruszamy wzdłuż ogrodzenia i po chwili stajemy przed furtką. Mireille mocuje się z nisko umieszczoną klamką.

- Zamknięte – mówi.
- Co jest po drugiej stronie?
- Winnica. Winnica Montmartre'u. Raz do roku organizują festiwal wina. Dziewczyna puszcza klamkę.

– W sumie to marne wino. Daj swój aparat, zrobię ci zdjęcie. Przynajmniej będziesz miał coś na pamiątkę.

Wyciągam aparat i podaję jej. Zaczynam niezgrabnie ustawiać się na tle furtki. Mireille wybuchła śmiechem.

- Tristanie, musisz się rozchmurzyć. Aż tak fatalna była ta noc?

Śmieję się, a ona robi zdjęcie. Ruszamy z powrotem w dół wzgórza, w kierunku Place des Abbesses.

- Chcesz się zdrzemnąć, zanim pójdziesz na pociąg?
- Chyba wrócę do hostelu – potakuję.
- Jasne. Niedaleko jest stacja metra.

Mireille wpatruje się w kocie łby i wkłada ręce do kieszeni płaszcza. Po chwili podnosi wzrok na mnie.

– Chciałam cię zapytać... Ta historia, którą opowiedziałeś mi w barze, o angielskich prawnikach i spadku, mówiłeś poważnie?

- Tak.

– A ten angielski żołnierz i jego kochanka? Listy, które znalazłeś w Szwecji? To wszystko prawda?

- Prawda.

Dziewczyna kiwa głową.

- Nie byłam pewna, czy mówisz poważnie.

Mijamy w milczeniu kilka przecznic. Potem Mireille odzywa się:

- Mam nadzieję, że w Pikardii znajdziesz to, czego szukasz.

Docieramy na Place des Abbesses. Jest tu pusto, łagodny wiatr strząsa liście z sykomor. Karuzela została przykryta plastikową plandeką. Po wypitym w nocy alkoholu czuję pragnienie, nabieram więc w dłonie wody z żelaznej fontanny. Trochę wody rozlewa mi się na buty. Piję, a Mireille przechadza się po placu. Przystaje przed koszem na śmieci. Sięga do środka i triumfalnym gestem wyciąga gazetę, z równo złożonymi stronami. Wręcza mi ją.

– *Un journal en anglais* – mówi. – Wczorajsza, ale nie szkodzi.

Mireille prowadzi mnie do metra. Lśniące litery w stylu art nouveau układają się w napis *Abesses*. Po kręconych schodach docieramy na podest. Wychodzą stąd dwa korytarze: jeden prowadzi na peron dla pociągów jadących w kierunku Porte de la Chapelle, drugi na peron w kierunku Mairie d'Issy.

– Jedziemy w przeciwne strony – szepcze Mireille. Na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu. – Masz coś do pisania?

Czerwonym długopisem notuje swój numer telefonu na wyklejce mojego notatnika. Nielatwo odczytać jej pochyle pismo.

– Ta cyfra to ósemka? Jeśli nie będę umiał rozczytać ...

W oddali rozlega się dudnienie pociągu. Mireille wzdycha i kręci głową. Patrzy na mnie i czeka, aż hałas ustanie.

– A może razem pojedziemy do Pikardii? Miałam zamiar wyjechać w piątek, ale nic się nie stanie, jeśli urwę się z kilku zajęć. Będziesz mógł zamieszkać ze mną w domu mojego dziadka zamiast szukać hostelu.

Patrzę na Mireille. Dziewczyna zamyka mój notes i mi go wręcza.

– Myślałam o tym przez całą noc – ciągnie. – Ale sporo wypłam i nie do końca sobie ufałam. Wiedziałam, że Claire by mnie zamordowała za taką propozycję. Więc postanowiłam poczekać. A teraz jestem pewna. Możemy pojechać twoim pociągiem do Amiens, a potem jeszcze kilka stacji.

Zapisuję godzinę odjazdu pociągu, wydieram kartkę z notatnika i podaję Mireille.

– Spotkamy się na peronie – mówi dziewczyna.

Idę na peron, z którego metro odjeżdża w kierunku Mairie d'Issy, siadam na ławce i przyglądam się pismu Mireille. Uśmiecham się i zamykam notatnik. Przez stację przebiega powiew ciepłego powietrza. Podnoszę wzrok. Mireille siedzi na ławce po drugiej stronie torów i wpatruje się w pusty tunel. Mój pociąg wtacza się z piskiem hamulców. Wsiadam, sprawdzam na mojej mapie, na której stacji przesiąść się na metro linii numer 8. Dostrzegam coś dziwnego. Z tamtego peronu Mireille pojedzie na północ, a nie w kierunku swojego domu. Powinna była podjechać jedną stacją razem ze mną i przesiąść się na Pigalle. Ale może nie chciała ze mną jechać?

Wkładam mapę z powrotem do kieszeni. Nie będę się tym teraz przejmował.

Pokój w hostelu jest zamknięty – trwa sprzątanie – ale recepcjonista wpuszcza mnie, żebym mógł zabrać plecak. Śpię kilka godzin w przechowalni bagażu na starych materacach upchniętych w kącie.

Na Gare du Nord zjawiam się pół godziny przed odjazdem pociągu. W piekarni kupuję dwa croissanty i dwie kawy z mlekiem na wynos. Z torby wyciągam gazetę, którą dała mi Mireille: „International Herald Tribune”. Nagłówki jak zwykle: zbliżające się wybory w Stanach Zjednoczonych, stan wyjątkowy w Strefie Gazy, atak samobójczy w Iraku.

Wkładam gazetę pod pachę i staję przed ogromną czarną tablicą informacyjną. Plastikowe litery układające się w nazwy stacji docelowych obracają się w oszałamiającym tempie. Zabijam czas, próbując odgadywać nazwy po kolejnych wyświetlanych literach; idzie mi to kiepsko.

**BRUXELLES-MIDI ROTTERDAM AMSTERDAM. LONDON WATERLOO.
LONGUEAU AMIENS ABBEVILLE ETAPLES BOULOGNE**

Idę na peron, obchodzę go z jednego końca na drugi. Nigdzie nie ma Mireille. Za trzy minuty pierwsza. Truchtam po peronie, zaglądam do okien pociągu. W końcu konduktor przywołuje mnie gestem i dmucha w gwizdek. Wsiadam i ruszam korytarzem drugiej klasy. W ostatnim wagonie drugiej klasy znajduję Mireille. Siedzi przy oknie, nogi trzyma wyciągnięte

na przeciwległym siedzeniu, na kolanach ułożyła szkicownik. Gdy wchodzi, podnosi ołówek i spogląda na mnie.

– Myślałeś pewnie, że się nie zjawię.

Siadam naprzeciwko, podaję jej kubek z wystygłą kawą oraz croissanta owiniętego w papier.

– Ojej, jak miło – mówi. – No tak, dla nas to chyba rzeczywiście pora śniadaniowa.

Bardzo przepraszam, że się spóźniłam. Mało brakowało, a pociąg odjechałby beze mnie.

– Rano chyba wsiadłaś w niewłaściwe metro.

Mireille się uśmiecha.

– Mówiłam ci, że nie jestem paryżanką. Byłam pijana, a miałam jeszcze milion rzeczy do załatwienia. Poszłam do jednego z wykładowców porozmawiać o moim projekcie. Kiedy usłyszał, że wyjeżdżam do Pikardii, strasznie się ze mną pokłócił, i to na oczach całej grupy. Tristanie, prawie się rozplakałam. To było takie upokarzające...

Pociąg rusza. Mireille zamyka szkicownik.

– A to jeszcze nie jest najgorsza część. Po zajęciach wezwał mnie do gabinetu i powiedział: Mireille, znam twoją przeszłość, wiem, że masz za sobą inne doświadczenia niż reszta studentów. Ale muszę cię traktować jak wszystkich. Może i jesteś utalentowaną artystką, ale to bez znaczenia, bo brakuje ci dojrzałości. Jeśli chcesz cokolwiek osiągnąć, musisz dorosnąć.

Nie udaje mi się stłumić śmiechu. Mireille spogląda na mnie.

– Myślisz, że miał rację?

– Przecież jesteś dojrzała. Po pierwsze, rozwiodłaś się. I znasz piętnaście sposobów gotowania ziemniaków...

– Siedemnaście.

Mireille też się uśmiecha. Korytarzem idzie konduktor, sprawdzający bilety. Sięgam do kieszeni.

– Mam bilet tylko do Amiens, czy będę musiał dopłacić?

Mireille wzrusza ramionami.

– To tylko kilka stacji dalej, może będzie w tej samej cenie.

– No to zobaczymy. Chcesz pół gazety?

Dziewczyna kręci głową.

– Te listy, o których opowiadałaś. Mogę je przeczytać?

Wyciągam notatnik i otwieram go na stronie, od której zaczynają się listy Ashleya.

– Mam nadzieję, że rozczytasz moje pismo. Niektóre z tych listów są raczej ponure. Nie wiem, co o nich pomyślisz...

– Nie martw się – uspokaja mnie Mireille. – Uwielbiam stare listy.

Otula nogi płaszczem i zaczyna czytać. Ja otwieram gazetę, ale zanim pociąg wyjeżdża z Paryża, jestem już znudzony lekturą. Za oknem miasto przechodzi w przedmieścia. Potem pojawiają się pola, farmy i drzewa owiewane delikatnym wiatrem. Przyglądam się szarym chmurom burzowym, wiszącym nad horyzontem. Nie mam pojęcia, czy zbliżamy się do nich, czy od nich oddalamy. Składam gazetę i podziwiam widoki.

KSIĘGA DRUGA



REDUTA CESARZOWEJ

Miłości, która teraz mi znajoma,

Próżno by szukać w pieśni czy sonecie.

Miłość to bowiem nie usta splecione

Z oczu jedwabiem i majowym kwieciem

Przez Radość, co rozplata się jak wstęga.

Miłości węzłem są kolczaste druty

Albo bandaż na skrwawionych rękach,

Lub sznurowadła u wojskowych butów.

Wilfred Owen, *Apologia Pro Poemate Meo*



5 października 1916

Okop Resolve

Departament Somma, Francja

Są tu tysiące rodzajów broni, a Ashley widział je wszystkie. Kiedy pewnego dnia trafią do muzeum, myśli, ludzie ujrzą na własne oczy, że cofnęliśmy się do średniowiecza. Albo nie; Ashley pamięta broń średniowieczną wystawioną w Tower of London. Nawet najędzniejsze z tamtejszych eksponatów robiły lepsze wrażenie niż te tutaj.

Bierze butelkę whisky z półki w ziemiance. Półka to w zasadzie deska przybita do glinianej ściany. Przygląda się etykietce. Strathisla, porządny single malt. Ciekawe, skąd się wzięła i jakim cudem nie została dotąd opróżniona. Wyciąga korek i czeka, aż aromat przedostanie się przez szyjkę butelki. Torf i dąb, delikatny zapach miodu. Zamyka butelkę i odstawia ją na miejsce.

Ziemianka jest oświetlona pojedynczą świecą, wetkniętą w pustą flaszkę po winie. Flaszka stoi na stole, obok którego leżą dwie skrzynki, służące za krzesła. Do ścian przypięto kilka fotografii z aktorkami, wyciętych z ilustrowanych czasopism. Ashley bierze manierkę i zwilża gardło wodą. Potem wyciąga pistolet ze skórzanej kabury. Lśniaca czarna lufa wciąż jest ciepła w dotyku. Kładzie pistolet na stole, ale go nie przeladowuje.

Ashley w ubraniu zwija się w kłębek na prowizorycznej pryczy. Pod sobą ma wilgotny koc. Prycza jest krótka, kiedy Ashley się rozprostowuje, wystają mu nogi. Nakrywa się płaszczem i próbuje zasnąć.

Jako chłopiec uwielbiał odwiedzać Tower. A najbardziej uwielbiał oglądać broń. Ledwie sięgał wzrokiem na tyle wysoko, by zobaczyć rękojeści mieczy, rozmieszczonych w długich rzędach wzdłuż kamiennych ścian zbrojowni. Pamięta eleganckie rapiery z Toledo, potężne niemieckie Zweihänders, połączane francuskie buławy, kiścienie, obuchy, morgenszterny.

A potem przyszła wojna. Niemieccy zwiadowcy od samego początku preferowali noże. Brytyjczycy uznali to za prostackie, lecz wkrótce sami sięgnęli po prostacką broń. Podczas nocnych wypadów nóż świetnie się sprawdza. Jest cichy i szybki. Jeśli umrzesz z poderzniętym gardłem, możesz uważać się za szczęściarza. Są gorsze rodzaje śmierci.

Brytyjczycy wolą jednak pałki. Ież odmian. Są pałki drewniane z ołowianym rdzeniem. Są pałki metalowe i metalowe pokryte skórą. Można do nich przywiązać cokolwiek, by nadać im odpowiedni ciężar, na przykład rozbrojony granat albo potężne koło zębate. Oddziałowi cieśle z upodobaniem produkują tego rodzaju broń. A także drewniane maczugi szpikowane żelaznymi gwoździemi, oręż, który chłopci zabierali w bój w roku 1525, gdy zbroje rycerzy stały się zbyt twarde, by dało się je czymkolwiek przebić.

No i przerzuciliśmy się na maczugi, myśli Ashley, bo walczyliśmy jak szczury w rynsztoku. Są mosiężne kastety i noże z kastetami w rękojeści, i noże z kastetami, z których dodatkowo sterczą kolce. Ashley wie, jak wygląda twarz po zetknięciu z czymś takim. Niemiły widok. Nie można też zapomnieć o naostrzonych szpadlach. Niemcy szczególnie je sobie cenią. Ashley widział jednego ze swoich ludzi, rozplatanego podobnym narzędziem. Był to delikatny młody chłopak, szeregowiec z Newbury, szesnaście lat, piegowaty. Skłamał komisji poborowej na temat wieku. Kiedy jednak pluton dotarł do Francji, chwalił się wszystkim, że urodził się już w nowym stuleciu, a okrągła liczba to dobry omen. Był tak niewinny, że szokowały go

nieustanne przekleństwa i wulgaryzmy towarzyszy broni. Poszedł nawet do Ashleya ze skargą. Parę tygodni później potężny Niemiec sieknął go zaostrozonym szpadlem. Ostrze weszło w obojczyk i rozplatało tors niemal do pępka. Szeregowiec żył jeszcze prawie godzinę, mamrotał coś bez sensu. Jeden ze starszych żołnierzy trzymał go za rękę i czekał, aż umrze.

Na któryś z wypadów batalion umocował tasaki do mięsa na trzonki mioteł. Ashleya zdumiał widok mężczyzn maszerujących okopem z taką bronią na ramieniu. Wyglądali, jak gdyby zarekwirowali ją ze zbrojowni w Tower.

Teraz wie już, że są tysiące rodzajów śmierci, jedne lepsze od innych. Szczyt marzeń stanowi niegroźna rana odniesiona w boju. Nawet największy głupiec nie wierzy, że uda się wyjść z tego wszystkiego zupełnie cało. Utrata kończyny to nic, jeśli nagrodą będzie przeżycie.

Jest ogień artyleryjski i jego różne postaci. Działa i moździerze, i szrapnele, których odłamki wbijają się w ciało. Możesz dostać szrapnelem w twarz, w kroczę – gdziekolwiek. W jednej chwili stracisz i ręce, i nogi albo rozpruje ci brzuch. Będziesz próbował chwycić swe parujące wnętrzności, wylewające się w mulistą ziemię.

Są karabiny i broń maszynowa. Na ich dźwięk nikt już nie podskakuje. Poczujesz, zanim usłyszysz. Niektórych to uspokaja, ale kiedy Ashley znajduje się pod ostrzałem, całe jego ciało drży, w każdej sekundzie spodziewając się nadlatującego ołowianego pocisku. Jeśli chodzi o śmierć, wielu marzy o kuli w głowę. Kiedy matki czy siostry piszą, by dowiedzieć się, jak poległ ich bliski, odpisujesz, że zabiła go właśnie kula w głowę. Może nawet uwierzą – w końcu wołałyby, aby taka była prawda.

Jest gaz bojowy, od którego skóra pokrywa się bąblami, oczy zachodzą mgłą i stają się puste, płuca zaś przemieniają się w krwawiącą papkę. Będziesz umierał tygodniami, pomału dusząc się w szpitalnym łóżku.

Są też banalne rodzaje śmierci. Przysypanie ziemią, utonięcie, spłonięcie. Wykop może się osunąć pod ostrzałem i pogrzebać cię żywcem. Utoniesz, gdy powoli będzie się wypełniać wodą. Czasem jedno i drugie idzie w parze i trudno ocenić, które ostatecznie przesądzi o twym losie. Umrzeć w płomieniach można z różnych przyczyn, najbardziej jednak przeraża śmierć od miotaczy ognia. Ofiary potwornie krzyczą, a widok zwłok robi koszmarnie wrażenie. Smród płonącej skóry i tłuszczu przyprawia o wymioty. Operatorów miotaczy ognia zabija się zawsze z prawdziwą przyjemnością, nawet jeśli próbują się poddać.

Błoto pochłania karabiny, konie i listy miłosne, i kolegów, których musiałeś zostawić podczas odwrotu. Wiesz, że nikt nigdy ich nie odkopie.

Najokrutniejsze są ludzkie dłonie. Dłonie wbijające bagnety w serce lub płuca. Dłonie, które miażdżą twą czaszkę albo podrzynają gardło od ucha do ucha, przecinają mięśnie i kości. Nim Ashley znalazł się we Francji, rozmyślał o ludzkim ciele, od poczęcia do czułych ramion matki. Ciało karmione i kapane, i całowane. Kształcone przez nauczycieli, kurowane przez lekarzy, pieszczone przez kochanków. Aż do dnia, gdy człowiek, który nie ma żadnego powodu, by cię nienawidzić, rozrywa je na strzępy, ścięgnie po ścięgnie. Zdawało się to najzupełniej absurdalne. Od czasu Sommy jednak Ashley już się nad tym nie zastanawia.

W sumie, gdyby miał wybierać, zdecydowałby się na kulkę w głowę, na najbardziej prozaiczną śmierć. Boi się rany brzucha albo czegokolwiek, co oznaczałoby godziny agonii w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi leju po pocisku. Mam nadzieję, że w takiej sytuacji wykrwawi się szybko lub zdoła użyć swego rewolweru. Nie jest jednak pewien, czy się na to zdobędzie – niezależnie od ran – i ta niepewność napawa go niepokojem. Boi się, że będzie konał na oczach swych ludzi. Widział najmężniejszych oficerów kwilących jak dzieci. Ranni żołnierze wszelkiej rangi stanowią zagrożenie. Jeżeli słyhać ich krzyki, zdarza się, że ktoś odważny próbuje sprowadzić ich z powrotem do okopu – i sam ginie. Byle tylko szybko się wykrwawić.

Albo zacisnąć na czymś zęby i czekać, aż zapadnie noc.

Trzy dni temu regiment Berkshire przypuścił w tym sektorze atak, ale Niemcy odparli go ciężkim ogniem artylerii i karabinów maszynowych. Potem ruszyli do kontrataku, który skończył się desperackimi walkami wręcz tu, w okopie Resolve. W spalonym lesie na ziemi niczyjej, zaraz za brytyjskimi zasiekami, zostało wielu rannych. Większość już nie żyje albo udało się ich ściągnąć. Jeden Niemiec płakał jednak i krzyczał całkiem długo. Leżał niecałe dwadzieścia jardów od drutów kolczastych.

Poza Ashleyem nikt z kompanii nie zna niemieckiego. Ashley musiał słuchać rannego przez trzy dni.

Niemiec to odzyskiwał pełną przytomność, to wpadał w delirium. Niekiedy chyba dyktował list do swej żony. Mówił jej, że jest gotów na śmierć. Chwilami zwracał się bezpośrednio do Brytyjczyków. Szczegółowo opisywał swe rany i leż, w którym leży. Mówił, że kończy mu się woda i błaga, by po niego przyszli i zabrali go do szpitala. Nie ma z nimi żadnych osobistych zatargów. Wszyscy są braćmi w Królestwie Bożym. Brytyjczycy rozumieli tylko jedno słowo: *Kameraden*. Powtarzał je w nieskończoność.

Stąd właśnie ranny Niemiec dostał ksywkę „Kameraden”. Jeden z najstarszych żołnierzy w plutonie, wygadany listonosz imieniem Stewart, próbował się do niego dostać. Niemcy zauważyli jednak Stewarta w świetle księżycy i zaczęli strzelać z karabinu maszynowego. Stewart doczłogał się z powrotem do okopu. Niemca nie zdołał nawet zobaczyć.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Kameraden wciąż żył i wciąż jęczał. Cytował popularne piosenki, rymowanki dziecięce i przyśpiewki ludowe. Przede wszystkim jednak deklamował poezję. Znał mnóstwo wierszy. W cywilu musiał chyba być nauczycielem, może profesorem, może nawet sam był poetą – choć akurat w to Ashley wątpił. Recytował długie poematy epickie, które znał na pamięć. Nawet najtępszy z Brytyjczyków domyśliłby się po rytmie i układzie rymów, że to wiersze. Ashley rozpoznał tylko kilka: *Znaszli ten kraj* Goethego, fragmenty Heinricha Heinego. Pewnego ranka – ogłoszono właśnie stan gotowości – Ashley ze zdumieniem usłyszał pierwsze wersy niemieckiego przekładu *Idzie w piękności* Byrona. Ale Niemiec rozplakał się, nim skończył.

Ostatniej nocy, gdy Ashley pełnił wartę, jęki Kameradena osiągnęły gorączkowe crescendo. Mężczyźni śpiący na ziemi w okopie zaczęli skarżyć się na hałas. Paru krzyczało do Niemca, by się zamknął, ale inni natychmiast zaprotestowali.

– Skurwiel mógłby już z tym skończyć.

– Sam ze sobą skończ! A gdybyś to ty przez trzy dni wykrwawiał się w błocie?

– Proste: zastrzeliłbym się.

Ashley nakazał przerwanie rozmów. Potem odszukał sierżanta Bradleya i oznajmił mu, że idzie na ziemię niczyją znaleźć Kameradena.

– To bezcelowe, panie poruczniku. Nie zdoła go pan ocalić. Fryc może pana zobaczyć...

– Wiem – odrzekł Ashley. – Ale dłużej już nie wytrzymam.

Naciągnął na kolana i łokcie grube skarpety bez palców, sprawdził, czy jego rewolwer jest nabyty. Ruszył okopem w kierunku północnym, bliżej rannego Niemca. Co chwila musiał zrobić większy krok, by przejść nad kimś śpiącym we wnęce lub na błotnistej ziemi. Śpiący pomrukiwali coś i przekręcali się na drugi bok. Ashley dotarł wreszcie do wykopu najbliższej Kameradena. Wykop był tylko umocnionym lejem, mieszczącym jednego wartownika i pudełko z flarami. Wartownik aż podskoczył na widok Ashleya, uniósł karabin, ale zaraz go opuścił.

– Wziąłem pana za Niemca, panie poruczniku. Nic nie słychać przez te jęki.

– Naturalnie.

– Pan rozumie niemiecki, prawda? O co mu teraz chodzi?

– Chce, żeby ktoś go dobił.

Wartownik pokręcił głową i w ciemności Ashley ujrzał hełm obracający się w lewo i w prawo. Twarz chłopaka skrywał mrok.

– Wcześniej o tym nie mówił, prawda, panie poruczniku?

– Nie. Idę tam. Nie otwierajcie ognia, jeśli tamci nie zaczną strzelać. A jak już, celujcie w lewo. Najdalej na godzinę jedenastą, słyszycie? Nie będę daleko.

Przepłukał usta wodą z manierki i splunął. Stał na chybottliwym stopniu strzeleckim i wyrzwał nad przedpiersie. Panowała cisza. Wiał chyba niewielki wiatr, ale zniszczone drzewa nie miały liści, toteż nie dało się tego ocenić.

Wyszedł z okopu. Czołgając się zygżakiem, przeszedł przez brytyjskie zasieki i znalazł się na ziemi niczyjej. Podbródek miał cały w błocie. Pokonanie trzydziestu jardów zajęło mu dwadzieścia minut. W powietrzu unosił się słodki odór gnijących zwłok oraz wapna. Ashley wdrapał się na ziemię usypaną wokół potężnego krateru powstałego po wybuchu pocisku i zajrzał do środka. Zobaczył stos ciał – byli to martwi żołnierze regimentu szkockiego, w oblepionych błotem kiltach. Przez chwilę studiował teren. Niemiec wciąż łkał schrypniętym głosem. Hałas dochodził z prawej.

Ashley czołgał się dalej, aż znalazł się naprawdę blisko. Sturlał się do kolejnego leja. Zobaczył sylwetkę Kameradena kilka jardów przed sobą. Bał się jednak, że Niemiec może mieć broń, leżał więc w ciszy i czekał. Po paru minutach flara rozświetliła ciemność nad ziemią niczyją.

Kameraden był tłustawym kapralem z regimentu jegrów, uchodzącego za oddział myśliwych i wyśmienitych strzelców. Leżał na plecach. Szrapnel poharatał mu klatkę piersiową, a mundur przesiąknięty był czarną krwią. Żołnierz miał otwarte oczy, twarz zwrócił ku niebu i patrzył na opadającą flarę. W jednej ręce trzymał manierkę, drugą próbował uciskać swe rany.

Ashley przedostał się bliżej i zaczął szeptać po niemiecku. Ranny nie słuchał, najpewniej wziął Anglika za halucynację. Wciągał powietrze okropnym, świszczącym oddechem. Nagle odwrócił głowę. Błagalnymi słowami poprosił o wodę. Jego manierka była pusta. Wypił już całą wodę z kałuży na dnie leja. Ashley chwycił własną manierkę i przyłożył otwór do spierzchniętych ust Kameradena. Woda rozlała mu się po twarzy i zakrwawionej brodzie. Kameraden przelykał łapczywie.

Ashley zarzucił sobie Niemca na plecy i ruszył w stronę brytyjskiego okopu. Starł się kulić tak bardzo, jak to tylko było możliwe. Kameraden jęczał z bólu. Był bardzo ciężki. Ashley czuł jego krew ściekającą mu za kołnierz. Z trudem schylał się, dźwigając taki ciężar. Z każdym krokiem stopy zapadały się w błoto. Po chwili stracił równowagę i upuścił Niemca. Kameraden jęknął. Ashley znów go podniósł. Samo wydostanie się z krateru zajęło dziesięć minut.

Nagle od strony niemieckich okopów zaczęła się palba maszynowa. Brytyjczycy odpowiedzieli kilkoma szybkimi wystrzałami z karabinów, chwilę później po prawej stronie Ashleya odezwał się terkot karabinu maszynowego Lewis. Nigdy nie zdoła donieść Kameradena do okopu Resolve. Ruszył jednak naprzód. Ranny krzyczał z bólu. Po dwudziestu minutach znaleźli się w leju, w którym leżeli martwi Szkoci. Gdy Ashley zaczął się wspinać na nasyp, Kameraden osunął się z jego pleców i sturlał na dół. Ashley podbiegł, uniósł twarz Niemca z błota i znów go podniósł. Mężczyzna majaczył. Rozmawiał ze swoją żoną, po twarzy ściekała mu mulista woda. Ashley zaklął i wyciągnął rewolwer.

Cofnął się o krok i próbował wycelować w głowę Niemca. Pociągnął za spust, ale zdrząła mu ręka. Kula drasnęła czaszkę Kameradena, odrywając kawałek skóry. Kameraden zawył, zakrył głowę dłońmi, jak gdyby mogło mu to zapewnić ochronę. Ashley przysunął się bliżej i znów wypalił. Pocisk przeszedł między palcami Niemca, prosto w oko. Trysnął strumień

krwi i bezwładne ciało osunęło się w dół leja.

Ashley skulił się i patrzył, jak kolejna flara wzbija się w niebo. Niemieckie karabiny maszynowe waliły po całej linii. W oddali wybuchło kilka granatów. Ashley zgiął się wpół i zwymiotował. To tylko biskwity i konserwa wołowa. I tak miał ich już po dziurki w nosie. Splunął i pociągnął duży łyk z manierki, po czym otarł twarz rękawem.

Pół godziny czekał, aż palba ustanie. Powoli doczołgał się do okopu, wreszcie runął głową w dół i wylądował u boku wartownika.

W ziemiance Ashley przewrócił się na boku na swej pryczy. Z kieszeni munduru wyciągnął list. Znał go już na pamięć, ale widok krągłego pisma przynosił mu pocieszenie.

1 października 1916

Najdroższy!

Piszę na piasku Selsey Beach. Bez Ciebie Londyn to pusta skorupa. Tylko w Sussex Down i na wybrzeżu czuję się w pełni sobą. Słyszę tu coś, co nie jest ani szumem morza, ani boskim dziełem – mówią, że to dudnienie dział we Francji, setki mil stąd. Odległość jednak sprawia, że dźwięk ten zdaje się kojącym.

Czy to samolubne uskarżać się, że od trzech dni nie dostałam od Ciebie listu? Zapewne winić muszę pocztę. Ale błagam, pisz do mnie. Me serce trzyma wartę w dwóch miejscach – gdziekolwiek składasz wieczorem głowę do snu oraz na skrawku drogi między urzędem pocztowym a domem.

Zgromadziłam już trzy czwarte rzeczy, o które prosileś. Wątpię jednak, czy w całej Anglii pozostała choćby jedna latarka jak ta, którą opisujesz. W składnicy wojskowej sprzedali mi nieco inny model. Sam ocenisz. Zdobyłam natomiast nożyce do cięcia drutów. W sobotę wracam do Londynu po kilka ostatnich niespodzianek – wtedy nadam paczkę. Każdy zestaw z F & M, jaki kiedykolwiek wysłano na front, zielenieje przy niej z zazdrości.

Ashleyu, nie dopuszczam do serca tęsknoty za Tobą. Bo jestem okropnie mądra i cierpliwa – wszystko za sprawą Twojej miłości. Nie czekam na Ciebie. Nie chcę liczyć godzin ani dni, które tracimy, będąc z dala od siebie. W dniu Twego odjazdu zatrzymałam zegarek i schowałam go w szkatułce z klejnotami. Wskazuje teraz siódmą trzydzieści rano. Cały Wszechświat i ja, Twoja skromna umiłowana, śnimy spokojnie, czekając Twego powrotu.

Twoja Imogen

U wejścia do ziemianki rozlega się głos. Obcasy butów stukają o schody. Ashley składa list i do środka wchodzi Jeffries. Zdejmuje torbę z maską przeciwgazową i blaszany hełm, po czym wiesza je na długim gwoździu. Jeffries dowodzi kompanią B. Liczy sobie dwadzieścia sześć lat, co czyni go najstarszym z oficerów. Ma jasny wąs, tak rzadki, że niemal niewidzialny. Inni oficerowie pokpiwają, że z takim wyglądem niechybnie jest niemieckim szpiegiem.

Jeffries kładzie rewolwer na stole i woła do Ashleya.

– Jak tam szef naszej małej siatki szpiegowskiej?! Śpisz?!

– Teraz już nie.

– Miałeś otwarte oczy.

– Umieć spać z otwartymi – odparowuje Ashley.

Jeffries prycha pogardliwie.

– Upolowałeś dziś jakiegoś szczura?

– Kręcą się tu, ale dziś nie miałem ochoty na łowy. Chyba słyszałem jednego przed chwilą.

Jeffries omiata znudzonym wzrokiem błotnistą podłogę. Siada na skrzynce przy stole.

– Słyszałem o tobie i o Kameradenie. Postąpiłeś naprawdę porządnie.

– Nie powinienem był.

Ashley ściąga z siebie płaszcz i wstaje.

– Trzy dni – mówi – jęczał do swojej żony. Powtarzał, że będzie ją całował. Opowiadał, jakie prezenty przywiezie dzieciom. Zwracał się też do nas. Wspominał, że był kiedyś w Londynie i widział pałac Buckingham. Raz nawet zaczął rozmawiać z Bogiem. Przynajmniej wydaje mi się, że to był Bóg. Niemiec wyjaśniał, że się starał, jak mógł, ale mu się nie udało. I że nigdy nikogo nie zabił, kilku jedynie ranił.

– Naprawdę? Zawsze mi się zdawało, że tylko recytował wiersze.

– Owszem, przez większość czasu. Poezję miłosną. Chyba myślał wtedy o żonie.

Jeffries kiwa głową. Wyciąga skórzany woreczek z tytoniem i małą fajkę z pianki morskiej. Nabija ją i zapala długą zapalką.

– Zeszłej nocy – ciągnie Ashley – zaczął błagać, byśmy go dobili. Wiedział, że jeden z nas zna niemiecki. Że jeden z nas jest dobrym człowiekiem, który przyjdzie do niego i zakończy sprawę. Poczulem, że zwraca się bezpośrednio do mnie.

– Szef naszej siatki szpiegowskiej rozczulił się nad losem fryca? Uszom nie wierzę.

Ashley siada, ziewa i przeciera oczy.

– Wyszedłem więc z okopu. Gdy znalazłem tamtego, był przytomny, ale już umierał. Flaki zmieniły się w kałużę krwi. Przez trzy dni pił wodę z leja, choć wokół wałało się pełno trupów. Przez jakiś czas mógł mówić. Dałem mu swoją manierkę. Potem próbowałem go zaciągnąć do nas. Nie uszliśmy daleko. Zastrzeliłem go w następnym leju. Za pierwszym razem chybiłem, stracił kawałek głowy. Czuję się jak cholerny morderca.

– Niedorzeczność. Postąpiłeś naprawdę szlachetnie...

– Może. Ale było coś jeszcze. W Crécy...

Z drugiej strony stołu rozlega się chrobot i obaj żołnierze zrywają się na równe nogi. To szczur, który wylizuje leżącą na ziemi na wpół pustą puszkę Maconochie zostawioną na przynętę. Jeffries chwyta rewolwer i oddaje dwa strzały. Webley dużego kalibru robi mnóstwo hałasu, pociski uderzają w ziemię, wzbijając w górę gejzery pyłu. Szczur ucieka i znika w ciemności. Anglicy siadają.

– Doprawdy, przebiegłe dranie radzą sobie coraz lepiej.

– To zapewne kwestia doboru naturalnego – rzuca Ashley. – Wytłukliśmy powolne szczury i teraz rozmnażają się wyłącznie te szybkie. Może należy założyć stadninę. Urządzałoby się wyścigi w Epsom Downs.

– Albo i tu, w Chantilly. Tutejsze konie mają wszak w tej chwili inne zadania.

Ashley uśmiecha się i kładzie rewolwer na stole.

– Wyśmienicie – mówi. – Oto, co zostawimy po sobie Francuzom: ręcznie gryzonie, prawdziwy kwiat tej rasy. Proponuję zacząć już opracowywać pierwsze rodowody.

Jeffries bierze z półki pudełko z nabojami, otwiera bębenek rewolweru i zastępuje dwie łuski nowymi nabojami z pudełka.

– Najmocniej przepraszam – mówi – bestie nam przerwały. O czym mówiłeś?

– O Crécy.

– Jasne. Bitwa czy miasto?

– Bitwa.
– Wojna stuletnia?
– Zgadza się – przytakuje Ashley. – Początek końca epoki prawdziwego rycerstwa i co tam jeszcze. Angielscy łucznicy zgładzili najmężniejszych wojów Francji.
Jeffries pyka fajkę.
– Szkoda, że tym razem nie pójdzie tak łatwo.
– Wielka szkoda. – Ashley uśmiecha się. – Ale myślałem raczej o tym, co zdarzyło się po bitwie. Z reguły zwycięzcy brali pokonanych do niewoli i żądali okupu. Byli jednak ranni, których nie dało się ruszyć z miejsca. Anglicy wysłali więc pieszych, by dobili rannych żołnierzy. To nie powinno było się zdarzyć.
– Tylko szlachciura może wykończyć szlachciurę, zgadza się? A nie byle chłop.
– Właśnie. W każdym razie myślę o tym, jak ci piesi wojacy posługiwali się sztyletami. Ashley bierze z półki bagnet i przystawia ostrze do płomyka świecy, palącej się na stole.
– Taki sztylet był długi, dłuższy niż ten, i miał ostry czubek. Miséricorde, czyli po naszymu „miłosierdzie”. Zbroi nie dałoby się przebić, unosiłeś więc ramię rannego i dźgałeś go przez pachę prosto w serce.
– I tak oto nastał kres epoki rycerstwa.
Ashley patrzy na migoczący płomień świecy, odbijający się w ostrzu bagnetu.
– Widzisz, kiedy studiowałem w Cambridge, napisałem na ten temat esej. Wówczas miałem to za mało eleganckie postępowanie.
– To wcale nie takie straszne – odpowiada Jeffries. – Ostry nóż w serce. Raz-dwa i po wszystkim.
Jeffries bierze z półki butelkę whisky.
– Napijesz się? Dobra rzecz. Bennett przywiózł z przepustki.
– Nie, dzięki.
Jeffries wzrusza ramionami i nalewa whisky do emaliowanego kubka. Ashley wciąż wpatruje się w bagnet.
– Jak sądzisz, jakie to uczucie? – pyta Ashley. – Nóż prosto w serce. Czy to w ogóle boli? Jeffries kręci głową, ale nie odpowiada, pociąga natomiast łyk alkoholu.
– Pierwszorzędna whisky – mruczy.
Ashley odkłada bagnet z powrotem na półkę i siada. Jeffries ponownie zapala fajkę.
– Szkoda tego Kameradena. Tak się zazwyczaj kończą próby ściągnięcia rannego. Ale przynajmniej ludzie się dziś wyśpią. A ty ocaliłeś skórę. Nic innego się nie liczy.
– Być może.
– Postąpiłeś naprawdę przyzwoicie.

DOM



- Tristanie – szepcze dziewczyna. – Obudź się, wysiadamy na następnej stacji. Otwieram oczy i na moment oślepia mnie białe światło lampy w przedziale. Za oknem widać jesienne drzewa i żółte liście wirujące na wietrze. Pikardia.
- Jesień przyszła wcześniej w tym roku – mówi Mireille. – Ponoć w zeszłym tygodniu było naprawdę chłodno.
- Z trzeszczącego głośnika dobiega głos konduktora, zapowiadającego następną stację. Ale mamy jeszcze dziesięć minut. Spoglądam na mój notatnik, leżący na kolanach Mireille.
- Przeczytałaś listy?
- Co do jednego.
- I co myślisz?
- Dziewczyna oddaje mi notes.
- *Elles sont belles. Mais c'est une histoire triste.* Miałam nadzieję, że może jednak ich los się odmieni. No i wojna, Tristanie. To wszystko takie mroczne. Nie czyta się tych listów dla przyjemności, choć są bardzo interesujące. Wiem, że musisz się wszystkiego dowiedzieć, żeby dostać pieniądze...
- Nie chodzi tylko o pieniądze.
- Ale czy nie z ich powodu tu jesteś?
- Patrzę przez okno na płaskie brązowe pola.
- Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o pieniądzach, myślałem tylko, gdzie bym za nie pojechał i co robił. Ale odkąd przyjechałem do Europy i usłyszałem o tych ludziach, odkąd przeczytałem ich listy... – Kręcę głową. – Sama myśl o pieniądzach napawa mnie wstrętem. Są brudne. Nikt ich jeszcze nie przejął tylko dlatego, że wydarzyła się cała ta tragedia. Imogen pewnie po prostu ich nie chciała.
- W oddali ukazuje się budynek dworca, bierzemy więc nasze rzeczy z póki bagażowej i znów siadamy. Mireille przygląda się swoim dłoniom.
- Wiem, że przywiązujesz dużą wagę do tej historii – mówi. – Między innymi za to cię lubię. Nie możesz jednak żyć, użalając się...
- Nie użalam się nad nimi. Ale niezależnie od tego, jak źle potoczyły się sprawy dla Ashleya, założę się o wszystko, że nie zamienię swojego życia na moje. I on, i Imogen wiedzieli, co jest ważne. W końcu to stracili, ale przynajmniej wiedzieli.
- Ty też masz rzeczy, które są dla ciebie ważne. Ostatniej nocy mówiłeś tak wiele. O Paryżu i Notre Dame, o tym staruszku z Tuluzi...
- Pociąg wjeżdża na peron. Stajemy przy drzwiach wagonu. Zaciskam rzemień plecaka i przez okno rozglądam się po dworcu. Budynek z czerwonej cegły, jedna sala, ramy okien pomalowane farbą olejną. Kręcę głową.
- To było kiedyś. Teraz tylko błąkam się po świetle w poszukiwaniu starych dokumentów. Więc co niby jest dla mnie ważne? Nieżyjący ludzie?
- Mireille przygląda mi się uważnie.
- W twoich myślach oni nadal żyją.
- Przyjaciółka Mireille czeka na parkingu przed dworcem. Jest wysoką dziewczyną, stoi oparta o starego, małego peugeota. W uszach ma słuchawki. Na widok Mireille podbiega i bierze

ją w objęcia.

– Poznaj Hélène – mówi Mireille. – Pożyczyła nam ten piękny samochód na czas pobytu.

Hélène wyjmując słuchawki z uszu i wymieniamy niezdarny pocałunek w oba policzki.

Dziewczyna otwiera bagażnik peugeota; wrzucam bagaż do środka. Po drodze Mireille uprzedza mnie, że od śmierci jej dziadka, dwanaście lat temu, dom, w którym się zatrzymamy, jest w kiepskim stanie.

– Trochę tam brudno – dodaje. – Z drugiej strony ty chyba lubisz stare rzeczy, prawda?

Podjeżdżamy do supermarketu w miasteczku, by kupić coś do jedzenia. Mireille mówi, żebym brał wszystko, na co mam ochotę. Kręcę się po sklepowych alejkach z wybałuszonymi oczami i wpatruję w egzotyczne opakowania i nazwy, które znam wyłącznie z podręczników. Mireille śmieje się, kiedy widzi, że w moim kącie wózka znajdują się tylko chleb i ser.

– Mamy tam kuchnię – mówi. – Nie musisz się ograniczać do tych dwóch rzeczy.

– Lubię prostotę.

Mireille wkłada do wózka niebieską puszkę *sel de mer*. Spogląda na mnie.

– Od lat nikt tam nie mieszkał. Sam zobaczysz.

Droga wiedzie nas pół godziny wśród pustych farm, pół w kasztanowym kolorze i drzew zrzucających liście. Robię zdjęcia, a Hélène i Mireille, siedzące z przodu, rozmawiają cichym głosem. Chyba się kłócą o przedwczesny przyjazd Mireille do Pikardii. Z tylnego siedzenia trudno się jednak zorientować.

Skręcamy z szosy i jedziemy długim podjazdem do piętrowej farmy, starej i bardzo zaniedbanej. Bluszcz pnie się tu i tam po ścianach z wyszczerbionych cegieł; miedziane rynny uginają się pod ciężarem opadłych liści. Niektóre szyby w oknach są pęknięte. Zakupy zostawiamy w drewnianej szopie, połączonej z domem.

– Lodówka nie działa – tłumaczy Mireille – ale tu będzie dostatecznie chłodno.

Rozkładam warzywa i ser na starym stole w szopie. Do domu wchodzimy bocznymi drzwiami. W kuchni sprawdzamy kran. Przez chwilę pluje brunatną wodą, potem zaczyna działać normalnie.

Mireille oprowadza mnie po dużym salonie. Jest tam kominek i para starych foteli. Na drewnianej zakurzonej podłodze leży duży zniszczony dywan. Frędzle na obu końcach wystrzępiły się prawie do cna. Razem z Hélène zbieramy na zewnątrz drewno i zanosimy je do pokoju z kominkiem. Potem Mireille prowadzi mnie na górę, do sypialni.

– Wybieraj pierwszy – mówi.

Wszystkie pokoje wyglądają podobnie. Wyboru dokonuję ze względu na tapetę: zwijające się jedwabne kwiaty na ciemnofioletowym tle. W kątach tapeta odłazi już ze ścian. Koło okna stoi metalowe łóżko ze skrzypiącymi sprężynami, na którym leży nagi materac. Mireille klęka przy kominku i marszczy brwi.

– Komin się zapchał – stwierdza. – Ale możemy używać tego na dole.

Wstaje i strząsa kurz ze spodni.

– Dziadek nie lubił niczego naprawiać. Rodzice nie korzystają z tego domu, ale z jakiegoś powodu nie mogą go sprzedać, chyba chodzi o podatki. W liceum Hélène i ja przychodziłyśmy tu, żeby pić wino. Ale nigdy nie musiałam tu nocować.

Patrzy na mnie.

– Aż do teraz. Masz swój śpiwór?

Wyciągam śpiwór z plecaka. Mireille wyciąga go z pokrowca, rozwija, strząsa kilka razy, po czym ostrożnie rozkłada na materacu.

– *Et voilà* – mówi. – Wiem, że tu brudno, ale może nie będzie ci tak źle.

– Jest doskonale. Lepiej niż w Ritzu.

Dziewczyna uśmiecha się.
– Idę poszukać poduszki.



2 listopada 1916

Okop Patience

Departament Somma, Francja

Przygnębienie ogarnia wszystkich na długo przed atakiem. Noce robią się coraz dłuższe, dni to tylko szary dym chmur i zimny deszcz. Zaczął padać w październiku i przez trzy tygodnie nie odpuścił nawet na chwilę. Żołnierze ledwo pamiętają słońce.

Ziemia stała się ściekiem zawiedzionych nadziei. Kiedyś były tu schludne wsie i zielone pola. Potem zaczęło się bronowanie pociskami artyleryjskimi. Dni, tygodnie, miesiące. Wszystkie pozostałości cywilizacji znikają w ziemi, pochłaniane przez pył i kurz, rozpadają się i rozpadają na drobne cząstki, aż wreszcie zimny deszcz przemienia je w jednolite, głębokie błoto, spoiwo i utwalacz tej przypadkowej apokalipsy.

Błoto jest wszystkim. Jest zaraźliwe. Jest przeznaczeniem i końcem całej ludzkości. Błoto oblepia i podporządkowuje sobie każdą rzecz. Aż w końcu nie wierzysz już w nic innego. Z niedowierzaniem patrzysz na przedmioty, które jakimś cudem zdołały uniknąć zabrudzenia i skalania. Okładka Biblii Króla Jakuba. Jedwabna apaszka, wciąż jeszcze pachnąca perfumami. Nie należy zbyt często wyciągać tych zdumiewających pamiątek, bo i one mogą się uwalać. Lepiej trzymać je w kieszeniach i chlebakach tak długo, jak tylko się da.

W zeszłym tygodniu chłód przeszedł w mróz, a spadający kaskadą deszcz i mżawka w płatki śniegu. Wieje suchy, ostry wiatr. Kałuże w lejach pokryły się lodem grubym na cal. Pewnego ranka, gdy żołnierze wyczołgali się już z kwater sypialnych i półek w okopach, osłoniętych przeciwdeszczowymi plandekami, zobaczyli, że ziemię za przedpiersiem okopu pokrył koc śnieżnej bieli.

Ashley stoi na stopniu strzeleckim i przez składany peryskop ogląda ziemię niczyją. Co parę chwil chucha na swe odziane w rękawiczki dłonie i zaciska je ciasno. Chciałby, żeby spadło więcej śniegu. Dziesięć razy tyle, co teraz – wtedy żałosne pasmo górskie za ziemią niczyją jaśniałoby bielą jak Weisshorn. Weisshorn jest kilkaset mil stąd. Równie dobrze mógłby znajdować się na innej planecie.

Ashley składa peryskop i schodzi po stopniach do kwatery głównej kompanii.

– Sezon łowiecki uznaje się za zakończony – mówi. – Skoro nie posunęliśmy się naprzód w tej brei, teraz tym bardziej nie ma szans.

– Nie byłbym pewien. – Jeffries kręci głową. – Dowództwo będzie chciało umocnić linie przed zimą. No i marzy mu się Cesarzowa.

– Niemożliwe.

– Już dawno przestałem wierzyć, że cokolwiek tutaj jest niemożliwe.

Dwa dni później przychodzi rozkaz ataku. Batalion ma nocą przedostać się do okopu Patience i zająć pozycje przed świtem. Rano zaatakują. Kompania B pójdzie w drugiej fali szturmowej.

Celem będą niemieckie umocnienia zwane Redutą Cesarzowej, prehistoryczny kurhan wyrastający z zamrożonego bagna. Wielomiesięczny ostrzał uformował jego wapienny szczyt w dziwaczną postać. Zdaniem oficera sztabowego – który ochrzcił fortyfikację – przypomina ona cesarzową Indii w czasach młodości. Wróg otoczył kurhan żywopłotem drutu kolczastego, ziemianek, tuneli i betonowych bunkrów. Brytyjski sztab generalny doszedł tymczasem do

wniosku, że fortyfikacja stanowi pierwszorzędny punkt obserwacyjny dla artylerii, musi więc zostać przejęta.

W rzeczywistości żadna z armii nie ma z niej większego pożytku. Ale jest to jedyny wyróżniający się element krajobrazu w oceanie błota, a kontrolę nad nim sprawuje wróg. Kruszący się wapń i rdzewiejący drut każdego ranka szydzą z Brytyjczyków, z młodszych oficerów dokonujących przeglądu podczas porannej musztry, z oficerów uzbrojonych w lornetki. Od lipca Brytyjczycy czterokrotnie próbowali zdobyć fortyfikację. Za każdym razem ponieśli kosztowną klęskę.

Żołnierze uważają teraz, że Cesarzowa jest Niemką.

Wieczorem w przededniu ataku Ashley nakazuje Mayhew, swemu adiutantowi, wyczyszczenie rewolweru. Szeregowy Mayhew to przysadzisty facet z Wiltshire, który zaciągnął się do wojska, bo liczył, że w armii będzie łatwiej niż na farmie mlecznej. Chodzi po okopach, dziwnie powłócząc nogami, stara się nie patrzeć ludziom w oczy. Nosi jednak Gwiazdę z 1914. Walczył pod Mons i Loos. Inni żołnierze mówią o nim: „Ten przetrwał już tyle bitew, że na pewno wyjdzie z wojny cało”. Ashley nie przepada za Mayhew. Uważa go za kiepskiego adiutanta. Ale to wyśmienity strzelec i doświadczony żołnierz, adiutanci zaś walczą u boku oficerów, więc lepiej mieć przy sobie kogoś właśnie takiego.

Mayhew bierze rewolwer od Ashleya. Mruczy pod nosem: „Okop Patience” i gwizdże przeciągle.

– Okop Patience – powtarza. – Miałem nadzieję, że nigdy nie ujrzę go na własne oczy, panie poruczniku. Najgorszy z najgorszych, powiadają. Kumpel wrócił stamtąd przed trzema tygodniami. Żaden okop, mówił. Po prostu tyle tam było lejów, że się połączyły w jeden ciąg. Przekimac się można tylko w błocie.

– Spójrzcie na sprawę z bardziej optymistycznej perspektywy, Mayhew – odpowiada Ashley z uśmiechem. – Spędzimy tam tylko kilka godzin.

Batalion wyrusza wkrótce po kolacji. Listopadowy mrok spowija niebo. Idą podtopioną drogą, wśród kałuży i strumieni lodowatej wody, omijając co chwila cielska zdechłych koni. Niemieckie lotnictwo wielokrotnie obfotografowało tę drogę. Zaznaczona została na niemieckich mapach czerwonym tuszem. Artylerzyści, którzy nigdy nie postawili na niej stopy, znają jej pozycję na pamięć. Z doskonałą precyzją bombardują ją deszczem pocisków w dzień i w nocy.

Droga jest piekłem, ale innej nie ma.

Ashley maszeruje na czele swego plutonu. W dłoni ma elektryczną latarkę, błoto oblepia mu nogi aż do kolan. Na wodzie, której powierzchnię sieka nieprzerwany deszcz, unoszą się małe kawałki lodu. Żołnierze posuwają się naprzód. Są objuczeni, niosą karabiny, chlebaki, szpadle, pasy z nabojami, manierki i bomby. Niektórzy zarzucili sobie na ramię dodatkowy ekwipunek: żelazne tyczki, zwoje drutu kolczastego, naboje do karabinów maszynowych Lewis. Co chwila trzeba zginać się w pół i przechodzić pod zwisającymi kablami telefonicznymi, rozpiętymi zygzakiem nad zalaną drogą. Nikt nie ma butów do brodenia w wodzie. Wszystkim jest więc zimno i mokro w stopy, mało kto się jednak uskarża. Parę osób śpiewa.

– Mogło być gorzej – stwierdza jeden z żołnierzy.

– Niby jak?

– Moglibyśmy iść do okopu Patience.

Nagle przeszkoda w marszu: koń wpadł do mulistego dołu, głębokiego krateru, wypełnionego lepka szarą mazią. Pogrążył się już niemal po grzbiet. Woźnica odwiązał go i próbuje wyciągnąć z bagna, ale bez skutku. Koń rży i parska. Poci się, na próżno stara się znaleźć grunt pod nogami. Z każdym ruchem, z każdym oddechem zapada się głębiej i głębiej.

– Nigdy jej się nie uda – mówi woźnicy Ashley. – Powinniście skrócić jej cierpienia.

– To ogier, panie poruczniku. Silna bestia. Może jeszcze wylezie...

– Brednie.

Ashley patrzy na szamoczącego się konia. Zwierzę ponownie wierzga przednimi nogami, ale tylko maści błotnistą maź. Z przeciwnej strony nadchodzi kolumna żołnierzy, regiment Durham. Kapitan zatrzymuje maszerujących. Obchodzi furmankę; Ashley salutuje.

– Ten koń tonie – stwierdza kapitan. – Skąd ten zator?

Nie czeka na odpowiedź. Wyciąga pistolet automatyczny, ostrożnie zbliża się do bagnistego kanału i kieruje lufę w stronę końskiego łba, prosto w podstawę mózgu, za oczami i pod uszami. Pada strzał. Koń szarpie się gwałtownie, po czym jego głowa opada. Z cichym bulgotem zwierzę tonie w bagnie. Ma wielkie, groteskowe oczy. Potężne mięśnie jego karku zeszywniały. Woźnica stoi oniemiały na skraju drogi i wpatruje się w martwe zwierzę. Kapitan nakazuje ludziom Ashleya, by zepchnęli wóz. Konia nie da się ruszyć.

– Po prostu przejdźcie po nim – mówi kapitan. – Właśnie tak, po kłębie, tak będzie najbezpieczniej.

Posuwają się na wschód. Nikt już nie śpiewa. Wodę zastąpił gęsty muł, tempo marszu spada. Ostrzał jest coraz potężniejszy; kilka razy wszyscy padają w błoto. Gdy wstają, ocieka z nich szlam, a nasiąknięte ubrania ważą kilka kilogramów więcej.

Kolumna mija kolejne ugrzęzłe wozy. Martwe konie są wciąż zaprzęgnięte; w ciemności ich pyski zdają się wykrzywione śmiechem. W bagnie kryją się gorsze rzeczy, gąbczaste lub sztywne, zdeptane pod żołnierskimi butami, wysyłające na powierzchnię bąble cuchnącego gazu. Żaden żołnierz nie widzi światła oprócz pleców człowieka przed sobą. Są zbyt zmęczeni i otępiali, by myśleć.

Droga zamienia się w zbieraninę płytkich rowów, biegnących w najróżniejsze strony. Kolumna gubi kierunek. Pośród nocy i ostrzału artyleryjskiego – nie wiadomo, czy strzela wróg, czy przyjaciel, to zresztą bez znaczenia – wszyscy tracą orientację. Potężny pocisk z haubicy wybucha na tyłach kolumny, przerabiając dwóch żołnierzy na miazgę mięsa i kości. Jakiś świeży rekrut zaczyna zbierać resztki zabitych do worka, ale Ashley woła do niego, przekrzykując grzmot dział:

– Zbyt niebezpieczne! Musimy iść naprzód!

Brną ku linii frontu, gdzie rozbłyskują wybuchy. Kolejna zatopiona droga. W końcu woda sięga ludziom do pasa i dalej iść się już nie da. Jeffries przechodzi na tył kolumny, szukając Ashleya. Mapę i latarkę niesie w wodoodpornej skrzynce. We dwóch odchodzą kilka kroków, by nikt nie słyszał ich rozmowy. Ashley trafia stopą w dziurę i upada w błoto. Jeffries podnosi go za ramiona i z trudem powstrzymuje śmiech.

– Jesteśmy przy Ten Bells – mówi. – Przez ten ostrzał przegapiliśmy skręt. Kompania A i C chyba poszły właściwą drogą. Należy zejść z tej drogi i posuwać się na północ. Nie będzie łatwo, ale chyba nie gorzej niż tutaj. Jak twoi ludzie?

– Wiedzą, że się zgubiliśmy. Zawsze się, cholera, gubimy.

Ashley sprowadza swych żołnierzy z zalanej drogi. Na kolanach wczołgują się po mulistym zboczu. Przerzucają karabiny nad szczytem, zapierają się w błocie. Wielu się ześlizguje. W końcu są na górze. Idą na północny wschód przez stare pola bitewne. Ledwo udaje im się trzymać oczy otwarte. Nie czują już stóp. Niektórzy upadają. Inni rozkazują wtedy, by wstali. Gdy to nie przynosi skutku, zaczynają się obelgi i poszturchiwania, i stawianie na nogi siłą. Żołnierze opróżnili już manierki do ostatniej kropli. Mimo mrozu pocą się – każdy dźwiga wszak trzydzieści kilo ekwipunku. Pot paruje i wszyscy dostają dreszczy. Co godzinę oficerowie zarządzają krótki postój. W końcu jednak Jeffries zaczyna się obawiać, że żołnierze nie zdołają ponownie ruszyć, i więcej postojów nie ma.

Deszcz przechodzi w grad. O trzeciej nad ranem zaczyna padać śnieg. Grube płatki migoczą na tle wybuchów i pocisków uderzających w ziemię niczyją gdzieś w oddali. Kolumna dociera do zagajnika; drzewa potraciły gałęzie, zostały same kikuty. Parę minut później wybucha grad szrapneli. Okruchy metalu ze świstem rozpryskują się po martwym lesie. Porucznik Bennett traci dwóch żołnierzy, Ashley jednego – kaprała, któremu potężny odłamek metalu niemalże urywa głowę. Rannych zabiera się do stacji polowej, a Ashley prowadzi oddział dokoła potężnego leja. Po drugiej stronie widzi cienistą postać, pogrążoną po pas w błocie. Zatrzymuje oddział i woła do tamtego. Trudno cokolwiek usłyszeć pośród huku dział.

– Po prostu mnie zostawcie – błaga żołnierz. – Niedługo już będzie po problemie.

– Kim jesteście?

– Evans, panie poruczniku. Kompania C. Trafili mnie w nogę. Upadłem i nikt mnie nie widział. Nie chcę sprawiać kłopotów. Nie ma sensu, żebyście mnie ciągnęli tylko po to, bym umarł pod Cesarzową. Może mnie pan dobić...

– Bzdura.

Wyciągnięcie rannego z błota trwa dziesięć minut. Ludzie Ashleya muszą go nieść. Przemókł do szpiku kości i jest wycieńczony. Rana nogi okazuje się niezbyt poważna, ale Evans stracił karabin i większość ekwipunku. Raz po raz powtarza, że wolałby utonąć. W końcu Ashley każe mu się zamknąć.

O świcie docierają do okopu Patience. A raczej jego pozostałości. Regiment Berkshire ma zluzować zdziesiątkowany regiment z Manchesteru. Tamtych da się rozpoznać tylko po akcencie, bo błoto w całości oblepiło im mundury i wszelkie insygnia. Manchester wyrusza niemal natychmiast. Jeden z żołnierzy wysepia papierosa od szeregowego Mayhew.

– Wy tu dla Cesarzowej, co nie?

– Może i tak – odpowiada Mayhew.

– Wiesz, że dzięki niej można przepowiadać pogodę?

– Naprawdę?

– Przyjrzyj się jej rano. Jeśli ją zobaczysz, znaczy, że będzie padać.

– Bardzo zabawne.

Drugi żołnierz dołącza do rozmowy, bierze od pierwszego papierosa i zaciąga się głęboko.

– Jest coś jeszcze – mówi. – Kiedy Cesarzowa na ciebie patrzy, masz absolutnie przerabane. Ta baba bez dwóch zdań jest po stronie fryców. Przynosi im szczęście. Nie uwierzyłybyś, ile tu wycierpieliśmy. Ostatniej nocy wyszliśmy, żeby poprzecinać dla was druty. Dwóch chłopaków zostało rannych i utonęło, zostali dosłownie wessani przez bagno. Mówię ci, lepiej nigdy nie patrzeć w kierunku Cesarzowej. Jeśli spojrzysz na skałę i zobaczysz tam jej twarz, znaczy, że wybiła twoja godzina. Ci, co potonęli, wszyscy widzieli jej twarz.

– Do mnie Cesarzowa nie mrugnie, koleżko – mówi Mayhew, kręcąc głową.

Żołnierz z Manchester unosi ręce w geście protestu.

– Nie mówię nic o mruganiu. Patrzysz na nią, a ona patrzy na ciebie. Para niebieskich oczu. Tylko tyle.

Kapitan z Manchester składa Ashleyowi i Jeffriesowi krótki raport. W ciągu ostatniego tygodnia, mówi, przybyło mnóstwo błota. Ziemianki zalane, nie ma gdzie się kryć. Parę dni temu utopił im się karabin maszynowy Lewis. Ci, co próbowali go wyciągnąć, też prawie potonęli. W nocy udało się zrobić przerwę w drucie kolczastym w ramach przygotowań do ataku, ale nawet to było koszmarem.

– Ledwo można utrzymać nos nad wodą – ostrzega kapitan. – A teraz przysłali was, żebyście przypuścili szturm.

– Uda nam się – odpowiada Jeffries.

Ashley próbuje porozstawiać ludzi na pozycjach do jutrzejszego ataku. Teren jednak zupełnie nie przypomina tego, co widać na mapie polowej. Długo trwają poszukiwania drugiej linii okopu Patience, z której pluton ma zaatakować, lecz wszystko zniszczyły deszcz i ostrzał. Gdzieś tam worki z piaskiem poupychano na wysokość dwóch jardów, gdzieś tam są tylko umocnione leje po pociskach, połączone płytkimi rowami zalanymi wodą. Okop Patience do lipca był zajmowany przez Niemców. Wszędzie walają się zwłoki ich poległych żołnierzy. Wszędzie ten sam słodki, zgniły zapach. Zwłoki stały się częścią ścian okopu i przedpiersi. Z kredowego podłoża sterczą podeszwy butów i szerniałe ręce.

W ponurym mętym świetle poranka Ashley z latarką w dłoni robi obchód. Stąpa uważnie. Wszędzie zwłoki. Sztuczna szczęka z kości słoniowej wystaje z błota. Nie da się nie deptać po trupach, w końcu Ashley gasi więc latarkę. Gdzieś tam porobiły się prawdziwe studnie bulgoczącego szlamu, nie da się ich przejść. Żołnierze muszą omijać je, wspinając się na przedpole i biegnąc pod ostrzałem na swe pozycje. Dwaj zostają trafieni, jeden w głowę. Umiera na miejscu. Późnym porankiem wszystkie cztery plutony kompanii B zajmują pozycje. Pozostaną w nich całą noc, potem nastąpi atak.

Inspekcja oddziału zajmuje Ashleyowi godzinę. Żołnierze kolejno zdejmują buty, a Ashley klęka przed każdym ze świecą. Próbuje wycierać stopy onucami, czarnymi od mułu. Ci, których stopy są zaledwie oblepione brudem, mają szczęście. Niektórym stopy spuchły i poczerwieniały, w każdej chwili może wdać się gangrena. Ashley nakazuje ludziom natarcie stóp tranem. Czeka, aż założą zapasowe onuce, które za chwilę i tak będą brudne. Gasi świecę i podaje ją sierżantowi Bradleyowi. Wracając okopem, szepcze do siebie:

– *Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wyście powinniście sobie nawzajem umywać nogi.*

Po południu Ashley ogląda teren przez swój kieszonkowy peryskop ze składnicy wojskowej przy Victoria Street. Przeczesuje wzrokiem płaski horyzont. Wszędzie biały śnieg i szare grzęzawiska. Gdzieś tam unosi się dym. Pojedynczy żołnierze przebiegają z boczem. Kompania B pójdzie w drugiej linii ataku, zaraz za pierwszą linią, z prawej flanki. Plutonem po lewej dowodzić będzie porucznik Eaton. Oprócz tego są jeszcze dwa plutony kompanii B, dowodzą nimi porucznik Hawkes i porucznik Bennett. Za ziemią niczyją widać redutę, kredową wieżę wyrastającą z przymarznionego błota. Ashley wpatruje się w nią przez pewien czas, aż wreszcie dostrzeże postać Cesarzowej. Potem nie może już oderwać od niej wzroku.

Żołnierze tkwią w błocie, głodni i zmarznięci. Czekają, aż zjawi się zaopatrzenie. Szli całą noc bez wody, tu też nie ma nic do picia. Ashley wysłała dwóch ludzi, by poszukali w pobliżu jakiejś wody, ale udaje im się znaleźć tylko kilka manierek przy zwłokach Niemców. Niektórzy odmawiają – picie z takiej manierki przynosi pecha. Ale jedna z nich okazuje się pełna sznapsa i wybucha wielką radością.

Wreszcie przed zmrokiem zjawiają się żołnierze z jednostki zaopatrzeniowej. Potrzebowali siedmiu godzin, by przenieść wszystko przez błoto. Karabiny niosą na plecach, w rękach mają kanistry z wodą. Przynieśli worki biskwitów i konserw. Nic na gorąco. Woda ma posmak benzyny, trudno ją przełknąć, nawet jeśli zatka się nos. Ashley pomaga sobie, dolewając whisky z piersiówki. Od samego zapachu wołowiny w puszcze robi mu się niedobrze. Zjada kilka biskwitów i przygotowuje się do kilkugodzinnego snu. Atak ma nastąpić o szóstej rano.

Leży – jak inni – na podmokłym osuwisku, pozostałości po ścianie okopu. Maski przeciwigazowa służy mu za poduszkę. Zasypiając, szepcze kilka czułych słów.

– *Mógłbym znieść jeszcze gorsze rzeczy. Dla ciebie, Imogen, mógłbym wytrzymać wszystko.*

Samo wymówienie jej imienia sprawia, że przeszywa go dreszcz. Czuje się zawstydzony, choć nikt go nie słyszy. Przez większość nocy pada śnieg. Sen jest bardzo płytki, Ashley za bardzo dygocze, by porządnie zasnąć.

O czwartej nad ranem wybudza się już całkowicie. Ma mdłości. Wstaje, idzie w stronę dziury przeznaczonej na latrynę. To tylko wykop zasypany wapnem. Oddaje moc. Potem próbuje zwymiotować. Po bezsennej nocy jego umysł stał się kłębkim nerwów. Może opróżnienie żołądka pomoże. Zgina się nad wykopem i od samego smrodu ma odruch wymiotny, ale nic więcej. Prostuje się i przez chwilę po prostu stoi. Mroźny wiatr gwizdże mu w uszach pośród ciemności. Zastanawia się, czy to początek jego ostatniego dnia na tym świecie. Uznaje, że nie ma się nad tym co zastanawiać.

Wkrótce potem spotyka się z pozostałymi oficerami kompanii B. Stoją w pięciu w błocie na skrzyżowaniu dwóch zapadniętych okopów. Synchronizują zegarki, Jeffries mówi parę słów na temat ataku. Wszyscy znają plan. Jeffries przyniósł ze sobą puste pudełko po nabojach. Oficerowie wkładają do środka paczki adresowane do swych żon i ukochanych, listy i pamiątki na wypadek śmierci. Ashley pisze kilka słów do Imogen, ale nie ma nic, co mógłby do nich dołączyć. Jeffries zamyka pudełko. Potem wszyscy wymieniają uścisk dłoni.

Za kwadrans szósta przychodzi rozkaz. Bagnet na broń. Każdy wyciąga długi nóż z pochwy u pasa i umieszcza go przy lufie. Czekają. Wielu pali papierosy. Poranek jest szary i ponury. Śnieg przestał padać, nad ziemią unosi się gęsta mgła.

O szóstej zaczyna się ostrzał brytyjskiej artylerii. Pociski świszczą nad głowami i rozrywają się z hukiem w oddali. Niemieckie linie eksplodują najróżniejszymi barwami: rozbłyśki czerwieni i żółci, gejzery ziemi i dymu. Bombardowanie trwa krótko. To zaledwie dwudziestominutowe preludium ataku. Ashley zapala papierosa, by się uspokoić. Przechadza się wśród swych żołnierzy, żartuje z fałszywą wesołością, sprawdza broń i ekwipunek. Spogląda na zegarek. Za czterdzieści sekund ruszy pierwsza fala. Niemcy wysyłają w niebo różowe i zielone flary. Karabiny maszynowe z obu stron terkoczą nieprzerwanie. Nad mgłą unosi się beczelna biała postać Cesarzowej.

Z odległości pięćdziesięciu jardów dobiega niski pomruk – pierwsza fala wspina się na przedpiersie. Ashley obserwuje ich przez peryskop. Niektórzy zostają od razu trafieni przez pociski z karabinów maszynowych. Linia się przerywa. Żołnierze rzucają karabiny i padają na ziemię. Nieliczni prą przed siebie i znikają we mgle.

Ashley składa peryskop i bierze gwizdek. Wszyscy wpatrują się w niego z wyczekiwaniem, ich oczy błyszczą pośród mgły. Znów zaczęło mżyć. Ashley wyciąga z kabury pistolet i zawiesza go sobie na sznurku na szyi. Obserwuje wskazówkę sekundową zegarka, zmierzającą ku dwunastce. Już czas. Ashley unosi rękę i dmucha w gwizdek. Niezdarnie wspina się na przedpiersie, ale zaraz się zsuwa. Wspina się ponownie i wydając ostre gwizdy, macha na swych ludzi. Oddział rusza z wrzaskiem pierwotnej hordy.

Połowę linii na lewo od Ashleya natychmiast kosi karabin maszynowy. Ogień idzie na wysokości ramion. Wyżsi żołnierze dostają w szyję, niżsi w oko. Padają na ziemię, brocząc krwią. Ashley krzyczy do pozostałych, by się nie zatrzymywali. Każda sekunda zdaje się ostatnią. Trudno poruszać się szybko, gdy nogi zapadają się w błocie i śniegu. Potem, przytłoczeni ciężarem ekwipunku, kaczym krokiem stąpają po deskach rzuconych na bagnistą, zrytą ziemię. Kołyszą się szpadle przytroczone do plecaków. Wreszcie udaje im się dotrzeć do okopów pierwszej linii wroga.

Ashley wciąż macha, ponaglając ludzi, by szli dalej. Kroczą wokół rannych i zabitych z batalionu Durham, który poszedł w pierwszej fali. Trwa ogłuszający ostrzał. Przed sobą Ashley widzi wydeptane błoto, gdzieniegdzie zamrożnięte, gdzieniegdzie miękkie i lepkie. Stracił z oczu

większość swego oddziału, jest tylko sierżant Bradley, Mayhew i kilku innych. Posuwa się naprzód, wpatrzony w rozbłyśki karabinów maszynowych, potyka się jednak w leju i upada na twarz. Gdzieś w górze rozrywa się szrapnel. Czołgając się, niemal płynąc i próbując nie zamoczyć rewolweru, Ashley wydobywa się z leja. Mayhew jest tuż za nim. Znajdują sierżanta Bradleya i trzech żołnierzy, skulonych za niewielkim nasypem.

– Gdzie reszta? – pyta Ashley.

– Nie wiem, panie poruczniku – odpowiada sierżant. – Chyba nie żyją. Większość dostała z karabinu maszynowego, gdy tylko wyszliśmy z okopu. Eaton i Hawkes zginęli, nim minęliśmy naszą linię. Nie widziałem pana Jeffriesa ani pana Bennetta.

– Kompania C jest na północ od nas, jeśli zbliżymy się do nieprzyjacielskich zasieków, powinniśmy ich spotkać.

– Jesteśmy bliżej fryców niż kogokolwiek innego, panie poruczniku. I jest nas tylko sześciu. Nie damy rady.

– Nonsens, idziemy.

Ashley zrywa się natychmiast, nie dając pozostałym czasu, by przemyśleli jego słowa. Idą za nim. Potykają się w żarłocznym błocie, mijają szare trupy unoszące się na wodzie w zalanych lejach. Ashley bez sensu strzela z rewolweru w kierunku niemieckiego karabinu maszynowego. Są już przy zasiekach Niemców. Pomału przeciskają się między wąską luką, powstałą po ostrzale artyleryjskim. Z lewej słychać karabin maszynowy. Mgła jest gęsta. Docierają do przedpiersia okopów wroga. Ashley daje innym sygnał. Wrzucają granaty do okopu. Rozlega się ogłuszająca seria wybuchów. Zeskakują do środka i oto stoją na wyłożonej deskami podłodze niemieckiego okopu. Nikogo nie widać.

– Cholernie przerażające – mówi Bradley.

– Ostrożnie – ostrzega Ashley. – Mogą się ukrywać.

Idą okopem, sierżant Bradley kroczy przodem z bagnetem, za nim Ashley z rewolwerem. Drugą dłoń trzyma na zawleczce granatu Millsa. Skręcają za róg, gdzie rozmieszczono karabiny, mijają kolejny, poprzeczny okop. Nikogo. Zaraz za następnym stanowiskiem karabinów znajdują wejście do ziemianki i schody prowadzące w dół. Ashley przeladowuje rewolwer. Patrzy na towarzyszy.

– Zostaniecie z sierżantem i zabezpieczycie pozycje. Mayhew idzie ze mną.

Mayhew odpowiada Ashleyowi spojrzeniem, ale nic nie mówi. Rzucają granaty do ziemianki i czekają na huk i gryzący dym. Potem Ashley i Mayhew schodzą na dół. Ściany są wyłożone betonem, z sufitu zwisają żarówki, ale światło się nie pali. Zeszli już trzy jardy. Przed sobą mają ciemność. Ashley nie wziął latarki, zapala więc zapałkę. Widzi kolejne schody, porozrywane przez bezsensowny granat. Idą ostrożnie, są już pięć jardów pod ziemią. Sześć jardów.

Wchodzą do izby z drewnianą podłogą. Mayhew przekłada metalową dźwignię przy ścianie, ale światło się nie zapala. Ściany są wytapetowane. Wiszą na nich zdjęcia i obrazy w drewnianych ramkach, kolorowe litografie kościołów i lasów. Stół poszedł w drzazgi po wybuchu granatu. Wokół potłuczone szkło i porcelana. Na jednej ze ścian widać regał z czterema półkami równo stojących książek. Widniejące na grzbietach tytuły pisane są pozłacaną czcionką gotycką. Ashley znajduje mapę okopu i chowa ją w kieszeni munduru. Staje w kącie, trzymając przed sobą świecę. Widzi jakiś potężny czarny kształt – przewrócone pianino. W lśniące drewno powbijały się poskręcane odłamki granatu. Mayhew z niedowierzaniem przeciąga palcem po hebanowym klawiszu.

– Cholerne pianino – mówi. – A my żyjemy jak szczury.

– To pewnie kwatera dowództwa. Co jest za tymi drzwiami?

Wąskim korytarzem dochodzą do niewielkiej kuchni, potem do sąsiedniego pokoju z rzędem łóżek i półkami uginającymi się pod ciężarem zapasów jedzenia. Mayhew znajduje parę suchych onucy i krzyczy z radości. Natychmiast zaczyna rozwiązywać buty. Ashley bierze kwadratową latarkę, dającą słabe, żółte światło. Po drugiej stronie izby widać kolejne schody prowadzące w dół. Ashley świeci w ciemność. Po schodach przebiega szczur. Mayhew sznurkuje buty i wstaje.

– Nie powinniśmy tam schodzić, panie poruczniku.

– Oczywiście, że powinniśmy.

Gdzieś na górze eksploduje pocisk z haubicy i cała ziemianka się trzęsie. Z sufitu spadają grudki ziemi.

– Mam nadzieję, że nie trafiło naszych – mówi Ashley. – To ci kwatery, naprawdę głęboka.

Mayhew spluwa na podłogę i gładzi kciukiem kurek karabinu.

– Nie działa mnie martwią, panie poruczniku. Gdzieś tu kryje się fryc...

Ashley zaczyna schodzić po schodach, w jednej ręce trzyma latarkę, w drugiej broń. Mayhew jest tuż za nim. W powietrzu roznosi się ciężki, niezdrowy zapach, wyraźniejszy z każdym krokiem. Szczur przebiega z piskiem między ich nogami, potem kolejny. Po chwili brodzą w szczurach. Schody prowadzą do kolejnej dużej izby. Nie ma tu desek na podłodze, jedynie klepisko. Potężne belki wspierają ściany. Jest rząd żelaznych prycz, w cieniu widać na nich jakieś postaci. Kilka z nich, ze świszczącym oddechem, wyciąga ręce ku światłu latarki.

– *Kamerad! Kamerad!*

Ashley odwraca się, trzymając pistolet wysoko.

– Mayhew, nie dotykaj ich.

– Nie miałem takiego zamiaru.

Promień latarki Ashleya obiega pokój. Na ziemi roi się od tłustych szczurów, ich różowe ogony są uwalane ziemią. Puste puszkę i butelki. Na łóżkach piętrowych leżą martwi Niemcy w prochowcach. Nie żyją już chyba od tygodnia, twarze pozieleniały im i posiniały, oczy zapadły się w ciemnych oczodołach. Ashley widzi, że pierś jednego z leżących unosi się pod płaszczem. Podchodzi bliżej. Czerwie rozłążają się od szyi w dół, pulsują w ohydny rytmie. Ashley odskakuje z przerażenia i świeci w górę. Na górnej pryczy leży mężczyzna, mamroczący coś w dziwnej niemczyźnie. Głowę ma owiniętą bandażem czarnym od zaschłej krwi. Rękami zasłania oczy przed światłem.

– Co on mówi? – pyta Mayhew.

– Majaczy. Jego słowa nie mają sensu. Chyba zostali ranni podczas zeszlotygodniowych walk. Pewnie nie dało się ich ewakuować.

– Koszmarnie tu, panie poruczniku. Nie mogę wytrzymać tego smrodu...

– Idźcie na górę i przyślijcie sierżanta, żeby natychmiast wszystko tu zabezpieczył. Chcę wiedzieć, czy nie trafiła ich haubica. I zobaczcie, czy jest gdzieś woda.

Mayhew wraca na górę, a Ashley przechodzi między rzędami piętrowych łóżek. Raptem zatrzymuje się, jeden z Niemców przyzywa go gestem ręki. Wygląda młodo i nie ma brody. Jego wyniszczona chorobą twarz pożółkła. Usta ma spękane, oczy przekrwione. Na ramieniu widnieje pojedyncza diamentowa gwiazda – to *Oberleutnant*. Macha, by Ashley podszedł bliżej.

– *Herr Leutnant*.

Ashley kuca przy łóżku i świeci oficerowi w twarz. Niemiec zasłania się.

– Za jasno – mówi po niemiecku. – Od rana tkwimy w ciemności. Odciepli prąd, zbierając się do odwrotu. Pan zna niemiecki?

– *Ein Bisschen*. Pan tu dowodzi? Z jakiego jest pan oddziału? Druga Marine-Infanterie?

– Proszę pokazać mi swoją twarz, *Herr Leutnant*, wygląda pan znajomo. A może jest pan kapitanem? Kapitanowie teraz tacy młodzi...

Ashley świeci sobie w twarz, potem znów kieruje latarkę na Niemca. Oficer uśmiecha się.

– Poznałem pana – mówi. – Spotkaliśmy się już kiedyś, pamięta pan? Przed wojną, w Berlinie. To było w starej *Café des Westerns*, przyszedł pan tam z jedną cudzoziemką, która rozmawiała tylko po francusku, bo nie lubiła niemieckiego. *Vous parlez français, non?*

– Nonsens, nigdy nie byłem w Berlinie. Pan tu jest oficerem dowodzącym?

– Nikt tu nie dowodzi, *Herr Leutnant*. Proszę powiedzieć, co stało się z tamtą dziewczyną? Chyba nie była naprawdę Francuzką. Miała aparat fotograficzny, robiła wspaniałe zdjęcia. Może o panu zapomniała, ale pan na pewno nie może jej zapomnieć...

Ashley prostuje się, nie słucha. Mayhew schodzi po schodach, w drzwiach widać ciemny zarys jego sylwetki.

– Haubica chybiła, panie poruczniku. Ale nigdzie nie ma wody.

Ashley znajduje świecę wśród śmieci na podłodze, zapala ją i podaje niemieckiemu oficerowi. Daje mu też pudełko zapalek. Oficer się uśmiecha.

– Nie martw się, *Kamerad*. Teraz ich nie ma, ale wrócą.

Ashley i Mayhew wracają na powierzchnię. Sierżant Bradley i reszta noszą worki z piaskiem, by umocnić okop i zablokować przejście z obu stron. Ashley spogląda na Redutę Cesarzowej. Reduta wylania się z mgły, sto jardów dalej, za drugą linią niemieckiej obrony. Sierżant Bradley bierze Ashleya na stronę.

– Fryce zabrali ze sobą broń. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale jeśli wrócą...

– Niedługo przyjdą posiłki regimentu Border.

– Wszyscy myślą, że zginęliśmy, panie poruczniku. Gdyby mieli się zjawić, już by tu byli.

– Nie martwcie się, przyjdą.

Niemiecki kontratak zaczyna się dziesięć minut później. Najpierw bombardowanie i szrapnele. Potężna eksplozja trzęsie najbliższym stanowiskiem strzelniczym, ogień i dym biegają okopem. Ashley i sierżant kryją się za rogiem. Gregory nie żyje, urwało mu kawał głowy. W otwartych ustach widać połamane zęby. Stewart krzyczy, krew wypływa mu z ogromnej rany w brzuchu. Sierżant zapycha ją bandażem, zapewnia Stewarta, że z tego wyjdzie, ale krew przesiąka przez prowizoryczny opatrunek. Stewart błędnie i przestaje oddychać. W górze rozrywają się kolejne szrapnele. Szeregowy Reynolds zostaje ciężko ranny w rękę. Ashley szybko go opatruje, ale Reynolds nie da rady strzelać z karabinu. Podtrzymuje ramię lewą ręką. Ma twarz koloru popiołu i pokaleczoną szyję.

Ashley biegnie okopem, wygląda przez peryskop w stronę niemieckich linii rezerwowych. Widzi pomarańczowe rozbłyski z lufy karabinu maszynowego i szare postaci, idące rzędem przez potężne błotniste pole, o jard jeden od drugiego. Mayhew staje obok na stopniu strzeleckim.

– Są ich miliony – mamrocze, nie przestając strzelać.

– Najwyżej setka – stwierdza Ashley.

Daje rozkaz odwrotu. Cała czwórka wychodzi z okopu i czołga się między lukami w niemieckim drucie kolczastym. Kierują się na wschód do okopu *Patience*. W oddali widzą zwoje drutów. Powolnym truchtem biegają przez błoto w deszczu artyleryjskim. Potężny pocisk rozrywa się tuż obok w huraganie czerwonych płomieni. Ashleyem rzuca o ziemię. Dzwoni mu w uszach, wypływa z ust krew i mokry piach. Musiał ugryźć swój język. Widzi sierżanta i prerażenie w jego oczach. Sierżant czołga się na rękach przez błoto, z kikutów jego urwanych nóg sączy się karmazynowa krew. Mayhew zarzuca sobie karabin na plecy i chwytą ramię

sierżanta, ciągnąc go za sobą. Ashley chwytając drugie ramię i niosąc rannego do lejki. Kryją się za nasypem czarnej gliny. Mayhew krzyczy coś do Ashleya, ale dzwonienie w uszach jest zbyt głośne.

– Co?

– Nie żyje, panie poruczniku. Sierżant nie żyje.

– Gdzie Reynolds?

– Zginął. Możemy tu przeczekać do nocy.

Ashley nie słyszy. Łapie oddech i wskazuje w stronę okopu Patience. Obaj wstają i ruszają przed siebie. Mijają porzuczone druty, niewybuchy tkwiące w ziemi. Mayhew woła coś do Ashleya, na próżno. Obchodzą ogromny krater, schodzą kawałek w dół. Przed sobą mają okop, może brytyjski. Nad ich głowami rozrywa się kolejny pocisk. Deszcz odłamków. Potem drugi wstrząs, trzeci, wszędzie dokoła błoto, dym i stal. Ashley pada na ziemię, walczy o oddech. Wciąż dzwoni mu w uszach.

WIZYTA



Okopy biegną między trawiastymi wzgórkami wysokimi do pasa, pośród maleńkich dolin i uśpionych pól. Jestem tu sam. Jesienny ziąb pozbawia trawę koloru. Idę po nowych lśniących deskach, którymi wyłożono dawne podłoża okopów. Obok ciągnie się nylonowa lina dla bezpieczeństwa. W ziemię wetknięto czerwoną plastikową tabliczkę: „Okop Patience. Uwaga: niewybuchy”.

Przeskakuję linę i na czworakach wspinam się na wzgórek. Dłoniemi wczepiam się w kępki wilgotnej trawy. Ziemia niczyja. Między najwyższymi wzgórkami znajduję wgłębienie. Kładę się na plecach w trawie i czytam listy Ashleya z mojego notatnika.

Kim są nasi wrogowie? Nigdy nie widziałem ich twarzy – tylko twarze zabitych. Słońce wschodzi za nimi, zachodzi za nami. Wschód należy do nich. My mamy poranek, w pierwszym świetle widzimy na horyzoncie ich sylwetki. Oni mają zmierzch.

Nasze mundury są w kolorze khaki, ich są szare. Ich drut jest grubszy i mocniejszy. Chlebaki mają z dziwnej czarnej krowiej skóry, pokrytej sierścią.

A jednak nie różnią się od nas. Ukłujemy ich – czyż nie będą krwawić? I czyż nie wezmą słusznej pomsty? „Waszą naukę nikczemności zastosuję do was samych i – choć to niełatwe zadanie – prześcignę nauczycieli”.

Po godzinie wychodzę z okopu, przełazę pod liną i udaję się na parking. Mireille podjeżdża o drugiej i wysiada z samochodu.

– Jak było na wybrzeżu? – pytam.

– Straszny wiatr, ledwo dało się rysować. Za to naprawdę dobre światło. Mam szkicownik, może narysuję coś tutaj.

Idziemy płaskim polem na cmentarz. Nagrobki są rozmieszczone w równych rzędach po dziesięć. Trawa została starannie przystrzyżona, gdzieś rosną niewysokie drzewa.

– Wszyscy ci ludzie polegli tutaj?

– Tak sądzę.

Mireille, trzymając szkicownik pod pachą, podchodzi do kamiennego pomnika na końcu cmentarza. Zostaję w tyle i czytam napisy na nagrobkach.

5/2819 SZEREGOWY P. ECCLES

LEKKA KAWALERIA DURHAM

5 LISTOPADA 1916 WIEK 19 LAT

STAWIŁ SIĘ NA ROZKAZ

Dołączam do Mireille przy pomniku. To wysoki krzyż, otoczony kręgiem białych kamieni.

– Tristanie, to chyba też jest grób...

– Niemożliwe.

Mireille klęka przy jednym z kamieni.

– Spójrz. Wygląda jak nagrobek, ale nie ma na nim nazwiska.

Z bliska widzę napis: ŻOŁNIERZ WIELKIEJ WOJNY – KRÓLEWSKI REGIMENT BERKSHIRE. Pod spodem widnieje duży biały krzyż i napis: IMIĘ JEGO ZNANE JEST PANU. Tuziny podobnych nagrobków otaczają wysoki krzyż. Mireille dotyka kamienia i marszczy czoło.

– Dlaczego nie ma tu nazwisk? Dlaczego nie mają własnych grobów, jak inni?

Rozglądam się wokół pomnika, ale jedyny napis widnieje na tabliczce przy wejściu: CMENTARZ EAUCOURT. Mireille wciąż patrzy na nagrobek. Obejmuje twarz dłońmi.

– Tristanie, co tu jest?

– Nie wiem. Czytałem o masowych grobach. Czasem było zbyt wielu zabitych i po prostu zrzucali ich do leja po bombie...

Obchodzę podstawę pomnika. Kilka nagrobków przyozdabiają kwiaty lub pamiątkowe maki z czerwonego papieru.

– Ale może to było gdzie indziej – mówię. – Może to nie było w Eaucourt.

Mireille stoi i rozgląda się po polu dookoła. Bierze szkicownik i rusza w stronę samochodu. Idę za nią.

– Chcesz narysować cmentarz?

– Nie – mówi. – Wracajmy do domu.



5 listopada 1916

Reduta Cesarzowej

Departament Somma, Francja

Szrapnel ma kaliber 77 milimetrów, został wyprodukowany przez Friedrich Krupp AG w zakładach w Essen. Wystrzelono go z działa Feldkanone 96 n.A. umieszczonego cztery kilometry za niemieckimi liniami i obsługiwanego przez pięciu artylerzystów z 54. Neumärkisches Feldartillerie-Regiment. Wszyscy byli przemoczeni od stóp do głów. Pod czapkami mieli krótko ostrzyżone włosy. Nosili wasy, ciężkie od deszczu, brudu i potu.

Gefreiter Otto Bäcker pociąga sznur spustowy feldkanone i natychmiast kryje się przed odrzutem. Pocisk wylatuje na wschód. Bäcker, skulony w błocie, zastanawia się, kiedy przybędzie oddział zaopatrzeniowy z obiadem. Od rana zjadł tylko kawałek ciemnego pieczywa i solonego śledzia, chce mu się pić.

Ważący 6,8 kilograma pocisk pokonuje czterokilometrowy dystans ponad niemieckimi liniami z ponaddzwiękową prędkością. Jego świst tnie powietrze, poprzedzając huk działa. Szrapnel rozrywa się trzy metry nad ziemią niczyją, rozsypując trzysta jedenastogramowych ołowianych kul. Ashley Walsingham ma go przed sobą, gdy z wyciągniętym pistoletem, dużymi krokami, zmierza w stronę okopu Patience. Widzi go, ale nie słyszy.

Jeden z odłamków szrapnela rozrywa mu gardło, dwa cale nad prawym obojczykiem. Przechodzi między krtanią a przełykiem. Tryska krew. W tym samym momencie cztery odłamki ranią prawe udo Ashleya. Rany nie są głębokie, ale spodnie zaraz pokrywa jasna, karmazynowa krew. Ashley upada na ziemię. Krwawi z ust. Niemal natychmiast traci przytomność.

Szeregowy F.P. Mayhew jest zaledwie kilka jardów za nim. W momencie rozerwania się szrapnela ma schyloną głowę. Odłamek odbija się od jego stalowego hełmu. Kilka innych trafia go w prawe ramię. Mayhew obmacuje je lewą dłonią. Choć na palcach widzi krew, rany zdają się płytkie. Nawet niespecjalnie bołą.

Mayhew klęka przy Ashleyu. Ten ma pół twarzy czarne od błota. Krew spływa mu po brodzie. Mayhew zarzuca sobie oficera na plecy. Rusza ku oddalonemu o pięćdziesiąt jardów lejowi. Zatacza się pod ciężarem Ashleya. Czuje zapach moczu i wilgoć na karku. W leju kładzie Ashleya na ziemi i rozgląda się. Lej jest płytki, nie ma nawet jardu głębokości. Ziemię dokoła rozrywają eksplozje. Nad głową świszczą pociski artyleryjskie, ogień z karabinu maszynowego przecina cały horyzont w bliżej nieokreślonej odległości.

Mayhew klęka przy Ashleyu i wymacuje wewnętrzną kieszeń jego munduru. Jest zaszyta. Żołnierz rozcina ją scyzorykiem i wyciąga zawiniątko. W środku są dwa jałowe opatrunki, dwie rolki bandaży i maleńka ampułka z jodyną. Mayhew rozcina spodnie Ashleya. Łamie szyjkę ampułki, polewa jodyną gardło i poranioną nogę oficera, kilka złotych kropli niknie w karmazynowym morzu. Przyciska chłonne opatrunki do ran. Ashley wierci się z bólu, ale nie odzyskuje przytomności. Opatrunki natychmiast przesiakają krwią.

Mayhew unosi głowę Ashleya, owija mu bandaż wokół szyi, najpierw w jedną, potem w drugą stronę, by ucisk był równomierny. Przecina bandaż i spina go agrafką. Tak samo opatruje udo. Potem pada na brzuch. Musi chwilę pomyśleć. Niedaleko wybucha kolejny pocisk, grudki ziemi spadają mu na plecy. Czuje coś gorącego w nodze. Może drobne skaleczenie. Dzwoni mu w uszach.

Od brytyjskich linii dzieli ich spory kawałek. Trzeba przeczekać tu do zmroku. Mayhew postanawia zająć się własnymi ranami. Ramię ma śliskie od krwi. Ściekła mu już aż do mankietu.

Dwie godziny po zmroku szeregowy Mayhew zjawia się w punkcie sanitarnym. Razem z żołnierzem z regimentu Durham niosą Ashleya. Ciało oficera jest wiotkie i zdaje się pozbawione życia. Kilka razy muszą przepuścić żołnierzy z noszami, idących od strony okopów komunikacyjnych.

Opierają Ashleya o worek z piaskiem. Ashley osuwa się jak szmaciana lalka. Na policzku zakrzepła mu czarna krew. Drugi żołnierz odchodzi w poszukiwaniu swego oddziału. Oficer medyczny batalionu spogląda na Ashleya i kręci głową.

– Nie mam już nikogo z noszami, wszyscy są gdzieś w błocie, Bóg raczy wiedzieć gdzie. Puls wyczuwalny?

– Nie wiem, proszę pana.

– Jak się nazywa? To ten z zabawnym...

– Walsingham.

– No właśnie.

Oficer klęka koło Ashleya i szuka pulsu na szyi.

– Kto opatrzył rany?

– Ja, proszę pana.

Oficer zerka na Mayhew. Każe sanitariuszowi z korpusu medycznego zająć się Ashleyem i idzie do innego rannego, kapitana, który stracił większą część twarzy w wybuchu pocisku. Kapitan nadal żyje. Kiedyś był wiejskim adwokatem w Emmbrook. Teraz ma wielką ranę zamiast twarzy. Ktoś nakrył go gumowym prześcieradłem. Oficer podnosi je i przygląda się ranie. Opuszcza prześcieradło.

Mayhew patrzy, jak sanitariusz bada Ashleya. Sanitariusz rozpiną mu mundur i wyciąga nieśmiertelnik, czerwony krążek wulkanizowanego azbestu zawieszony na szyi. Bierze papierową opaskę, umieszcza na niej nazwisko Ashleya, jego oddział i opis ran, po czym przyczepia mu ją do ramienia. Spogląda na Mayhew.

– O co chodzi?

Mayhew nie odpowiada. Ktoś dał mu manierkę, opróżnia ją i oddaje. Spluwa w błoto. Zarzuca sobie karabin na ramię i odchodzi.

Godzinę przed północą pułkownik i jego adiutant wizytują punkt sanitarny. Ashleya położono na brudnych noszach obok worków z piaskiem. Kapitan z rozerwaną twarzą leży obok, wciąż nakryty prześcieradłem. Pułkownik nachyla się i je podnosi. Widzi błysk białych zębów i oczu wśród czerwonego mięsa. Opuszcza prześcieradło. Podchodzą do Ashleya. Jego pierś unosi się i opada w ciężkich oddechach. Sanitariusz podaje właśnie jakiemuś kapralowi zastrzyk w nogę, by powstrzymać zakażenie.

– Dlaczego Walsingham tu leży? – mówi pułkownik do sanitariusza. – Nie ma nikogo, kto mógłby go przenieść?

Sanitariusz wpatruje się w strzykawkę i ignoruje pytanie. Myśli, że chodzi o kapitana bez twarzy.

– Brakuje ludzi, panie pułkowniku – odpowiada. – Doktor Hall twierdzi, że facet nie dożyje do rana. Dostał sporą dawkę morfiny...

– Wciąż oddycha.

– Może i tak, ale doktor Hall podał mu dużą...

– W porządku.

Adiutant wyciąga z kieszeni ołówek i mały notatnik. Dopisuje nazwisko Walsinghama do listy.

O trzeciej nad ranem Ashley zostaje wreszcie zabrany z punktu sanitarnego. Jest nieprzytomny i nie widzi czterech ludzi, którzy go niosą. Nie wie też, że ranny kapitan przestał już oddychać.

Tej nocy Ashley budzi się tylko raz. Właśnie przeciskają się przez zablokowany okop komunikacyjny. Błoto połknęło drewniany wózek z działem polowym. Noszowi kłócą się, czy iść w lewo, czy w prawo. Jeden z nich to niemiecki jeniec. Jest podoficerem. Uważa, że Anglicy są głupi.

- *Links* – powtarza. – *Links!*
- Co on mówi?
- Fryc uważa, że powinniśmy iść w lewo.
- Chuj z nim.

Wtedy właśnie Ashley budzi się z gorączkowym podrygiem. Gardło i płuca ma ściśnięte, jak gdyby zawiązywano mu gorset. Dusi się.

Otwiera oczy. Przez moment w ogóle nie oddycha. Miota nim spazm. Widzi tylko zachmurzone niebo, żadnych gwiazd ani nawet żadnych flar czy pocisków. Tylko chmurna czerń. Bezsensowny, nudny koniec. Ashley desperacko próbuje chwycić powietrze. W ustach czuje krwistą pianę. Charcze, ale zbyt cicho. Nikt go nie słyszy.

Noszowi ruszają w prawo. Stąpają na ugiętych nogach, brodzą po kolana w bagnie. Nosze podskakują i kołyszą się na boki, niemal ciągną po przemokłej ziemi. Ashley bierze oddech – ledwo. Dwaj noszowi z przodu mamroczą do siebie.

- Śmierdzi szczykami, no nie? Cholerny koszmar.
- Bywają gorsze zapachy. Szczyzny potrafią czynić cuda, odkażają okop lepiej niż mydło Pearsa. Prawdziwa eau de cologne Sommy.
- Cholerne szczyzny.

Pięć dni później, rankiem dziesiątego listopada 1916 roku, Imogen Soames-Andersson schodzi po wyłożonych dywanem schodach w domu przy Cavendish Square. Przeskakuje po dwa stopnie naraz. Ma zamiar pójść na Charing Cross Road, by odebrać tomik wierszy Laforgue'a, który zamówiła miesiąc temu we francuskiej księgarni. O książce przypomniła sobie dopiero dziś – nagle zorientowała się, że tomik pewnie na nią czeka. O dziesiątej jest umówiona z przyjaciółką, ale pewnie zdaży.

Pokojówka zatrzymuje ją w korytarzu. Przyszedł list.

Nadała go kancelaria Twyning & Hooper. Imogen pospiesznie rozrywa kopertę. To pewnie jakaś sprawa związana z jej ojcem.

Droga Pani!

Z ogromnym żalem informuję, że porucznik A.E. Walsingham zmarł 5 listopada wskutek ran odniesionych w boju we Francji. Wiadomość tę potwierdził listownie kapitan W. Towse, adiutant 1 Batalionu Królewskiego Regimentu Berkshire. Proszę przyjąć wyrazy najszczerzego współczucia. Liczę, że pociechą będą dla Pani słowa kapitana Towse'a: „Porucznik Walsingham był dzielnym i walecznym żołnierzem, jednym z naszych najznakomitszych oficerów”.

Jako wykonawca testamentu p. Walsinghama zostałem upoważniony do powiadomienia Pani w razie jego śmierci. Czy mogłaby Pani skontaktować się z naszym biurem przy Bedford Row? Są pewne sprawy związane z testamentem, które chciałbym omówić z Panią osobiście.

Jeśli jest cokolwiek, co mógłbym dla Pani zrobić, pozostaję do usług.

Imogen nie może wydobyć z siebie głosu. Stoi w holu, dwukrotnie czyta list. Idzie do swej sypialni i drze go na maleńkie skrawki, po czym wrzuca je do kominka.

Pada na łóżko, zsuwa się z niego, ściąga prześcieradło i kapę. Ukrywa w nich twarz. Jej płacz i łkanie są przytłumione. Nikt nie może wiedzieć, jak bardzo była głupia. Po chwili idzie do łazienki i ochlapuje twarz wodą. Otumaniona chodzi korytarzem tam i z powrotem. Pokojówka przygląda jej się z dołu. Imogen przeciera twarz rękawem, płacze i szepcze coś do siebie, próbuje ukladać się z siłami, w które nie wierzy. To przecież może być pomyłka. Błąd adwokata. Żołnierz o podobnym nazwisku, niedowidzący urzędnik w Ministerstwie Wojny...

Dziesięć minut później do pokoju wchodzi matka Imogen i widzi córkę zwinętą wśród pościeli na podłodze.

– Dobry Boże, co się dzieje?

Potrząsa Imogen, powtarza pytanie raz i drugi. Ale Imogen nawet na nią nie patrzy.

Ashley Walsingham leży tymczasem na metalowym łóżku w Stacjonarnym Szpitalu numer 17 w Albert. Znajduje się tam już od czterech dni. Chwilami odzyskuje przytomność, nie do końca wie, co się wokół dzieje. Okrutny ból przeszywa mu tchawicę, jak gdyby ściągnął jego gardła były pomału rozrywane na kawałki. Nie może przełykać, lecz odruchowo wciąż zaciska gardło, bo dławi go rozrastająca się opuchlizna. Za każdym razem ból staje się wówczas nie do wytrzymania i Ashley musi przestać. Leży w milczeniu.

Szpital urządzono w dużej wiejskiej rezydencji w czerwcu, krótko przed ofensywą nad Sommą. Znajduje się na skraju miasta. Ashleya położono w długim korytarzu, największym pomieszczeniu w całym budynku. Wysoki sufit, zdobna boazeria, lustro nad marmurowym kominkiem. Łóżka porozstawiano w równych rzędach, każdy pacjent opatulony jest białą pościelą. Na stalowych szafkach nocnych stoją kwiaty w wazonach. Na ścianie, nad głową każdego pacjenta, wisi karta medyczna. Ashley nie może dostrzec, co napisano w jego karcie.

Rudowłosa pielęgniarka zauważa, że otworzył oczy. Jej szpiczasty biały czepek miga mu przed oczami. Pielęgniarka wygląda młodo. Ma uspokajający ton głosu.

– Wiem, że nie możesz mówić, więc nie próbuj. Jeśli czegoś potrzebujesz, po prostu napisz.

Wkłada mu do ręki ołówek i mały notesik. Ashley zauważa, że dziewczyna nie jest zawodową pielęgniarką, ale wolontariuszką VAD, asystującą personelowi medycznemu. Nosi wykrochmalony biały fartuszek z papierowym kołnierzem i czarny fartuch sięgający prawie do kostek. Na fartuszkę widnieje czerwony krzyż. Dziewczyna przypomina Ashleyowi świątobliwe bretońskie chłopki z obrazów Gauguina. Zaciska palce na ołówku i powoli, nierównym drukowanym pismem notuje słowo: POCZTÓWKA.

Budzi się ponownie następnego wieczoru o zmierzchu. Przez okna wlewa się fioletowe światło. Skórzane obcasy pielęgniarek stukają o szachownice marmurowych podłóg. Ashley wyciąga ręce spod kołdry; jego ciało pulsuje nagłym bólem, zastyga więc w bezruchu, czekając, aż ból minie, i przygląda się flanelowym mankietom swej piżamy. Ostrożnie dotyka swej poranionej nogi. Wyczuwa stwardniałe i szorstkie strupy na lewym udzie. Rany już prawie się zagoiły.

Ashley dochodzi do wniosku, że nie powinien ruszać szyją, trzyma więc ramiona równo, gdy sięga do szafki nocnej. Na wierzchu leżą listy, które miał w kieszeni munduru. Obok udaje mu się wymacać brązową wojskową pocztówkę i ogryzek czerwonego ołówka. Ashley bierze je

do ręki ostrożnie i z wielkim wysiłkiem. Wykreśla niepotrzebne formułki, wydrukowane na pocztówce, aż zostaje odpowiednia wiadomość.

Mam się dobrze.

Przyjęto mnie do szpitala.

~~*z powodu choroby z powodu ran*~~

~~*i dochodzę do zdrowia. i mam nadzieję, że wkrótce mnie wypiszą.*~~

~~*Odsyłają mnie do bazy.*~~

Otrzymałem Twój telegram

~~*list z dnia...*~~

~~*paczkę*~~

Przy pierwszej nadarzającej się okazji napiszę list.

Nie dostałem od Ciebie żadnych listów

ostatnio

~~*od dłuższego czasu*~~

Podpis (tylko imię i nazwisko)

Data

Ashley zastanawia się przez moment nad datą, w końcu wypełnia puste pole. Podchodzi rudowłosa wolontariuszka i bierze od niego pocztówkę.

– Wysłać na adres zwrotny z tych listów? – pyta, wskazując na szafkę nocną. Ashley bierze notesik i powoli pisze.

TEN ADRES. PROSZĘ O MORFINĘ.

Wolontariuszka kręci głową.

– Będę musiała spytać lekarza.

Trzy dni później, trzynastego listopada, pokojówka wchodzi do salonu w domu rodziny Soames-Andersson przy Cavendish Square, trzymając w dłoni brązową pocztówkę. W salonie nikogo nie ma. Pokojówka wychodzi i jest już w połowie schodów, gdy w drzwiach wejściowych ukazuje się Eleanor z paczką czasopism dla Imogen pod pachą.

– Witaj, Lizzie. Właśnie minęłam listonosza, przyszła popołudniowa poczta?

Pokojówka niepewnie trzyma pocztówkę. Eleanor podchodzi do niej.

– A co to? Wiesz dobrze, że nie powinnaś czytać korespondencji papy, nawet jeśli to tylko kartka...

Wyrywa pokojówce pocztówkę i macha nią w powietrzu.

– Jak tak dalej pójdzie – mówi żartobliwym tonem – ja zacznę czytać twoje listy.

W tym momencie Eleanor dostrzega pieczęć i napis POCZTA WOJSKOWA. Czyta pocztówkę, po czym wchodzi na piętro i podbiega do okna w sypialni dla gości. Widzi listonosza, który przecina ulicę i po chwili skręca za róg, znikając za żelaznym ogrodzeniem. Eleanor rozmyśla, stukając palcem w pocztówkę. Sypialnia należała niegdyś do niej. Nic tu nie zmieniono, z wyjątkiem adamaszkowych zasłon. Pokój wydaje się jednak inny.

Eleanor idzie korytarzem, mija pokój Imogen, zauważając szparę światła pod zamkniętymi drzwiami. Siostra pewnie leży w łóżku. Eleanor wchodzi do sypialni matki i zamyka za sobą drzwi. Matka siedzi przy biurku, pisze list. Eleanor kładzie przed nią pocztówkę.

– Dobry Boże. Czy Imogen to widziała?

– Nie. Dopiero co przyszło.

– W takim razie chodźmy zaraz jej powiedzieć.

Eleanor kręci głową i klęka u boku matki.

– Spójrz na adres. Znam jego pismo, widziałam je nieraz. To nie on zaadresował pocztówkę. Może wysłał ją przed śmiercią?

– Data jest późniejsza.

Eleanor bierze dłoń matki.

– Mam nadzieję, że to prawda – mówi. – Naprawdę pragnę w to wierzyć. Ale wyobraź sobie, co będzie, jeśli powiemy jej, że on żyje, a potem okaże się, że jednak zginął. Wszystko zacznie się od nowa – będzie wręcz gorzej. Imogen jest teraz tak krucha. Najłżejszy podmuch wiatru mógłby ją powalić.

– Ale zatajenie przed nią czegoś takiego...

– Tylko dopóki nie zyskamy pewności.

Matka wzdycha i oddaje Eleanor pocztówkę.

– Skontaktujesz się z jego prawnikami czy napiszesz do kogoś z armii?

– I jedno, i drugie.

Wieczorem siedemnastego listopada siostry Soames-Andersson siedzą w salonie po podwieczorku. Ostatnie promienie słońca prześwitują przez koronkowe zasłony, oświetlając przerośnięte paprocie w doniczkach na parapecie. Eleanor leży na fioletowej sofie, przeglądając stare numery „The Burlington Magazine”. Imogen gra na fortepianie. Ma przed sobą nuty, lecz gra z pamięci. Utwór jest powolny, melancholijny.

Eleanor podnosi wzrok znad pisma i głośnym tonem stwierdza:

– Doprawdy, Imogen. Wpędzisz nas wszystkich w czarną rozpacz.

Imogen nie odpowiada. Utkwiła wzrok w wypchanym bażancie, który zdobi przeciwległą ścianę. Eleanor odkłada pismo i podchodzi do pianina. Kładzie dłoń na ramieniu siostry. Imogen przestaje grać, nie odrywa jednak palców od klawiatury.

– Lekarz uważa, że gra dobrze mi robi – szepcze.

– Ta muzyka jest zbyt przygnębiająca.

– Nie uważam jej za przygnębiającą.

– Oczywiście. Ale musisz teraz wziąć się w garść.

Imogen gra dalej. Eleanor załamuje ręce.

– Imogen, jeśli nie chcesz mojego towarzystwa, w każdej chwili mogę pójść do domu.

Pragnę ci pomóc, lecz nie widzę, co przyjdzie ze słuchania przez dwie godziny marszów żałobnych...

Rozlega się ciche pukanie do drzwi. Na progu staje pokojówka. Najwyraźniej została oderwana od mycia okien, na dłoniach ma bowiem zamszowe rękawice robocze. Trzyma kopertę.

– Telegram...

Eleanor natychmiast jej go wrywa.

– Do panny Imogen – kończy pokojówka.

Eleanor niepewnie trzyma kopertę, Imogen chwyta ją i otwiera. Odchodzi na bok i czyta. Potem patrzy na Eleanor i znów na telegram. Wybiega z pokoju i pędzi po schodach na górę. Eleanor biegnie za nią, wołając imię siostry. Imogen zatrząskuje się w sypialni. Pada na krzesło przy drzwiach, nie odrywając wzroku od telegramu. Eleanor puka do drzwi i wzywa Imogen, by otworzyła.

Imogen ponownie czyta wiadomość.

17 XI 1916

PANNA IMOGEN SOAMES ANDERSSON

18 CAVENDISH SQ LONDYN

RANNY ALE WRACAM DO ZDROWIA STOP SZPITAL

NR 17 ALBERT ZIGNORUJ WSZYSTKIE INNE WIADOMOŚCI STOP NIEDŁUGO
NAPISZĘ STOP NIEZNISZCZALNIE TWÓJ ASHLEY

LEKCJA



Mireille ani razu mnie nie dotknęła. Ani w Paryżu, ani podczas trzech dni w domu na odludziu. Żadnego obejmowania się, żadnego uścisku dłoni. Uśmiecha się do mnie rano i za każdym razem żegna mnie słowami *bonne nuit*, gdy idziemy spać. Jej czułość i troskliwość mają nieco formalny charakter – chwilami czuję się jak gość, nie jak przyjaciel.

Mireille nigdy się nie nudzi. Kiedy nic się nie dzieje, bierze ołówek i zaczyna rysować albo wkłada płaszcz i ot, tak po prostu idzie na spacer. Pewnego popołudnia po jej wyjściu siadam przy stole w jadalni nad mapą, którą kupiłem w Amiens. Zaznaczam nazwy miast wspomnianych w listach Ashleya. Szpital w Albert, rekonwalescencja w Étaples. Wyciągam notatnik.

Pikardia, 6 października

Tu wszystko się posypało. Ale nie wiem dlaczego.

Ashley został ranny 5 listopada 1916. Imogen musiała zjawić się na froncie między 5 a 24 listopada. Potem ton listów Ashleya się zmienia, a ona nie odpisuje.

Czemu przyjechała do Pikardii w samym środku wojny? Gdzie się spotkali? Dlaczego doszło do rozstania?

W nadziei dokonania jakiegoś nagłego odkrycia znowu spoglądam na mapę, na pajęczynę dróg i wiosek. Po drugiej stronie stołu leżą ołówki Mireille i szkicownik ze spiralą. Podchodzę bliżej, przyglądam się zielonej okładce. Otwieram szkicownik.

Rysunki są podpisane, przeważnie po angielsku. *Miasto we śnie* przedstawia dachy kamienic, pewnie w Paryżu, ciągnące się aż po horyzont. Mam lekkie poczucie winy, ale ciekawość bierze górę. Przewracam stronę. *Młode i nieustraszone*: Claire i jakaś druga dziewczyna siedzą na krzesłach z wysokimi oparciami i patrzą prosto na widza. *Un Américain en France*. Szkic przedstawia mnie, śpiącego w pociągu, z głową opartą na zwiniętej kurtce i książką na kolanach.

Zamykam szkicownik, ubieram się i wychodzę. Idę ścieżką za domem, prowadzącą przez pola. Jest mokro – po deszczu z ubiegłej nocy zostało jeszcze sporo kałuż. Na krańcu pola spotykam Mireille, nadchodzącą z przeciwnej strony. Dziewczyna dziwi się na mój widok.

– Myślałam, że czytasz. Nie wiedziałam, czy chcesz się ze mną przejść.

– Ja także nie wiedziałem.

Mireille się uśmiecha. Prowadzi mnie wydeptaną ścieżką w las. Przechodzimy nad wąskim strumieniem. Pytam, jak nazywa się po francusku buk – po chwili znam już nazwy dębu, kasztana, klonu, białych kwiatów wyrastających z poszycia leśnego i ptaków, których czarne sylwetki odcinają się na tle ołowianego nieba ponad naszymi głowami.

– *Ce sont des ardéidés, je crois. Comment dit-on en anglais?*

– Nie wiem. Wyglądały na dość duże. Może to kruki?

– To nie były kruki – mówi Mireille ze śmiechem.

– Nie śmieję się ze mnie, tam, gdzie się wychowywałem, nie było zbyt wielu lasów. Nie wiem, jak nazywają się te wszystkie zwierzęta i rośliny.

– Cóż, przynajmniej teraz się nauczysz – odpowiada Mireille.

Od tego czasu Mireille za każdym razem pyta, czy się z nią przejdę. W domu nie ma telewizora, komputera ani książek – z wyjątkiem tych, które przywieźliśmy ze sobą.

Rozmawiamy przez resztę dnia i długo w noc, w domu i na ścieżkach, wijących się po lesie. Czasem przechodzimy na francuski, czasem na angielski. Mireille kocha swój język. Ja również zaczynam go podziwiać. Przypominam sobie, jak po raz pierwszy zauroczyły mnie jego gęste, egzotyczne dźwięki. Oboje chcemy poćwiczyć obcą mowę, ale kiedy rozmowy nabierają tempa, każde z nas wraca do języka ojczystego – zwłaszcza jeśli akurat się o coś spieramy.

Rozmawiamy o wojnie. Mireille opowiada o swoim dziadku, który jako siedemnastolatek wstąpił do ruchu oporu. Zabijał Niemców, choć był jeszcze dzieckiem. Rozmawiamy o śmierci. Mireille twierdzi, że się jej nie boi. Jest bardzo ciekawa innych światów. Odpowiadam, że gdy przyjdzie co do czego, na pewno będzie się lękać.

– Ty możesz bać się za nas oboje – kpi dziewczyna. – I tak wszystkim przejmujesz się dwa razy bardziej niż normalny człowiek.

– Wiem i chętnie zwrócę ci twoją połowę zmartwień.

Rozmawiamy podczas kolacji. Miałem zamiar popracować nad nowym planem badań, ale nic z tego. Mireille otwiera butelkę wina i nalewa je do dwóch pustych słoików. Pytam, czemu wybrała szkło plastyczne.

– Po studiach z projektowania będę mogła znaleźć pracę – odpowiada. – Czas leci, potrzebuję jakiegoś zawodu.

– Nie myślałem, że jesteś aż tak praktyczna.

Dziewczyna spogląda w swój słoik z winem.

– Oczywiście były też inne powody. Chcę tworzyć piękne dzieła. Uważam, że to bardzo ważne. Nawet brzydota jest ważna, o ile jest prawdziwa. Mimo ostatnich kilku lat nadal w to wierzę.

– A w co wierzyłaś wcześniej?

– Wcześniej byłem w błędzie. Zdawało mi się, że można naprawić wszystko, jeśli się tylko chce. Może to i prawda, gdy idzie o sztukę, ale jeśli idzie o ludzi...

Podnosi wzrok i patrzy na mnie.

– Zresztą wiesz, o czym mówię. Robisz zdjęcia, to przecież dokładnie to samo.

– Moje fotografie nie są wyjątkowe. – Kręcę głową. – Przeważnie po wywołaniu trafiają do szuflady.

– Więc po co je robisz?

– Po prostu lubię. Z aparatem inaczej patrzysz na świat. Więcej zauważasz, rozglądasz się za detalami.

– A te zdjęcia, które zrobiłeś mnie i Claire na brzegu Sekwany? Też chciałeś więcej zauważyć?

– Nie, zrobiłem tamte fotki, bo jestem turystą.

Mireille się uśmiecha.

– Chodź, usiądziemy na zewnątrz.

Biorę butelkę wina, Mireille przynosi dwa wełniane koce z salonu. Siadamy na schodkach przed tylnym wyjściem. Noc jest chłodna, ale nad drzewami widać jasne gwiazdy.

– Kiedy spotkałam cię po raz pierwszy, Tristanie, nie wiedziałam, co o tobie myśleć.

Chyba nadal nie wiem.

Zapala papierosa. Odwraca twarz, niknącą w ciemności, potem znów zwraca się ku mnie.

– Wszystko, co mi opowiadałeś w pociągu o kanadyjskiej kolei północnej i Rothschildach. Skąd to wiesz?

– Nie pamiętam. Czytałem jakieś książki o kolei.

– A w Amiens – ciągnie Mireille – wiedziałeś o wodnych ogrodach, choć nigdy wcześniej tam nie byłeś. Albo w katedrze: opowiadałeś o figurach na portalu. I twoja historia o głowie Jana

Chrzyciela. Gdzie dowiedziałeś się wszystkich tych rzeczy?

– Chodziłem na wykłady. Mnóstwo ludzi wie to, co ja.

– Nie w ten sposób. Znaliby najwyżej kilka faktów. Ale nie potrafiliby mówić godzinami, bo nie są aż tak zainteresowani. Ty, Tristanie, nie przeglądasz się w lustrze przed wyjściem z domu, ale potrafisz przez dziesięć minut martwić się, czy dobrze spakowałeś plecak. Zmieniasz zdanie, wyciągasz kurtkę, wkładasz ją z powrotem. I masz dziwne podejście do pieniędzy. Wolisz iść godzinę niż zapłacić dwa euro za autobus. Kiedy jednak pytam cię o spadek, mówisz, że nie chcesz rozmawiać o fortunie.

– Po prostu dziwnie się czuję na samą myśl.

– Wierzę. Ale każdy prócz ciebie wpadłby w obsesję na jej punkcie. Rozumiem, że to musi być trudne, cała ta presja. Chcę pomóc. Po prostu cię nie znam. Nie wiem nic o twoim prawdziwym życiu...

– W takim razie zapytaj.

Mireille strzepuje popiół z papierosa na schodki. Patrzy na mnie.

– Co się stało z twoją matką?

– Zmarła trzy lata temu.

– Na co?

– Rak okrężnicy.

– Bardzo mi przykro.

Siedzimy w milczeniu. Mireille dolewa wina do słoików.

– Czy to dlatego pieniądze są takim problemem? Bo mają związek z twoją matką i jej rodziną?

– Może.

Biorę łyk wina i stawiam kołnierz kurtki.

– Jej nie zrobiłyby dużej różnicy. Żyła inaczej. Ale myślę, że jakaś część mnie bardzo chce je dostać.

– To normalne. Czemu miałbyś się tym przejmować?

– Bo to tylko pieniądze. Są ważniejsze rzeczy. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

Mireille waha się przez chwilę.

– Masz dziewczynę tam, w Kalifornii?

– Nie.

Mireille zaciąga się papierosem. Drogą jedzie samochód. Dziewczyna ogląda się za jego światłami.

– Skąd wiedziałeś, że znajdziesz w Szwecji te listy?

– Ślepy traf. Szukałem czegoś innego i na nie natrafiłem.

– Nie sądzisz, że to dziwne?

– Jasne, że tak.

Mireille kiwa głową i dopija wino. Pod kocem rozcieram zmarznięte ręce.

– Lodowato.

– Możemy wejść do środka.

Wstajemy, bierzemy słoiki i pustą butelkę. Mireille odwraca się ku mnie.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy naprawdę w to wszystko wierzysz? W prawników, pieniądze, w tę parę Anglików?

– Już o to pytałaś.

– Wierzysz?

– Tak.

Mireille przytrzymuje dla mnie drzwi. Z salonu wylewa się żółte światło.

– Po prostu chciałam być pewna.

Siedzimy przy stole i jemy śniadanie. Mireille przyrządza kawę i zaczyna smarować masłem długi kawałek bagietki. Dolewam mleka do kawy i kręcę głową.

– Przyjechała aż do Francji, by go zobaczyć. A potem zdarzyło się coś złego. Albo powiedziała mu coś złego. Na tyle, że ze sobą zerwali...

Mireille stawia pieczywo na stole.

– Może to jego słowa na wszystkim zaważyły.

– Może. W każdym razie założę się, że tu kryje się kluczowy element układanki. Nie wiem tylko, jak go znaleźć. Mógłbym zwiedzić miejsca, w których stacjonował regiment Berkshire, ale to nie ma sensu. No i nie wolno mi prosić nikogo o pomoc...

– Możesz zapytać prawników.

– Doradziliby mi powrót do Anglii.

– Niekoniecznie. Albo może porozmawiaj z twoją rodziną. Prawnicy nigdy się nie dowiedzą. Czemu nie miałbyś zadzwonić do ojca?

Kręcę głową.

– Ojciec powiedziałby mi, żebym kogoś zatrudnił.

Mireille siada naprzeciwko mnie.

– W takim razie twój brat przyrodni. Z nim porozmawiaj.

– Jest naukowcem, uznałby, że w idiotyczny sposób zabrałem się do sprawy.

– Naukowcem? Czym się zajmuje?

– Bioinformatyką. Pisze doktorat. Wiem, co powie. Nawet nie muszę pytać.

– Co powie?

Wzruszam ramionami.

– „Nie ufaj ludziom, których nie znasz. Zwłaszcza prawnikom, jeśli obiecują ci forszę”.

– A co z Ashleyem i Imogen?

– Adam uważa, że nie ma sensu zajmować się historią.

– I co by powiedział?

Zaczynamy śniadanie. Przeżuujemy bagietkę i w milczeniu popijamy kawę. Spoglądam na Mireille.

– Powiedziałaby: „Nie zaprzataj sobie głowy sprawami, które już się wydarzyły. To nie twój problem. Nie zajmuj się cudzymi pieniędzmi. I tak nie przyniosłyby ci wiele dobrego. Nie myśl, że wszystko w Europie jest wspaniałe. Zawsze lubiłeś Europę i padło ci na mózg. Nie ufaj francuskim dziewczynom, które spotykasz w barach”.

– To akurat dobra rada – komentuje Mireille z uśmiechem.

Rozcina gruszkę na dwoje i kładzie połówkę na moim talerzyku. Unoszę kubek, zaraz go jednak odstawiam, kręcąc głową.

– W zeszłym roku zastanawiałem się, czy po skończeniu studiów nie przenieść się do Los Angeles. Rozmawiałem o tym przez parę godzin z Adamem. Zarzucił mi, że zawsze pytam o radę, potem długo ją roztrząsam, a ostatecznie i tak robię to, co od początku zamierzałem, nawet jeśli zdaję sobie sprawę, że to zły pomysł.

– Wszyscy tak mają.

– Myślisz, że pozostawanie tutaj jest złym pomysłem?

Mireille wzrusza ramionami.

– Musisz się kierować intuicją. Jeśli uważasz, że gdzieś tu znajdziesz dowody, może znajdziesz. Ale nie spodziewaj się, że same wpadną ci w ręce. Raz się udało, w przyszłości raczej nie będziesz miał tyle szczęścia.

– Więc co robić?

Sprzątamy stół, a Mireille napełnia zlew gorącą wodą. Odwraca się ku mnie, trzymając w dłoni gąbkę.

– *C'est facile*. Dowiedz się, czego szukasz, a wtedy to znajdziesz.



19 listopada 1916

Stacjonarny Szpital numer 17, Albert

Departament Somma, Francja

Życie jest znośne tylko dzięki temu, że można spędzić codziennie godzinę w ogrodzie. Nie ma oczywiście kwiatów. Donice są puste, dawno już je opróżniono. Może tylko na czas zimy, a może na całą wojnę. Została natomiast trawa. Długi dywan przerośniętej zielonej trawy, którą rankami nakrywa biała woalka szronu. Gdy Ashley przechadza się po niej, słychać lekki chrzęst. Popołudniami trawa jest mokra. Ponure niebo zwiastuje niepogodę, ale Ashley rzadko mu się przygląda, odczuwa bowiem ból, jeśli za wysoko unosi podbródek.

Lekarze mówią, że rekonwalescencja przebiega szybko. Ashley ma wrażenie, że ciągnie się bez końca. Każdy dzień spędzony w łóżku jest jak wieczność. Noce daje się przetrwać wyłącznie dzięki wyobraźni. Codziennie o ósmej wieczorem, kiedy światła gasną, a zasłony są zaciągane, Ashley posłusznie zamyka oczy. Dwie godziny później wpatruje się w stiukowe kwiaty na kasetonowym suficie, w myślach zaś wędruje po kamiennej przełęczy. Długie zejście w porośniętą pastwiskami dolinę. Price prosi pasterza o coś do picia. Pasterz podaje bukłak z winem, które jest zimne i smakuje niewyprawioną skórą. Nie są głodni, ale pasterz częstuje ich polentą z żelaznego kociołka. Śpią w obszernym szałasie, wśród innych pasterzy i czarnych krów. Price zwija się w kłębek pod kocem, Ashley przez odsłonięte wejście do szałasu ogląda gwiazdy.

Najzwyczajniejsze wspomnienia są najlepsze. Tak łatwo do nich wrócić. Niekiedy wspomina iglicę Aiguille du Dru albo kryształową wodę Seelisbergsee, w której pływał, nurkując w błękitnym sercu jeziora. Na razie zaś leży bez ruchu w łóżku. Zdarza się, że mimowolnie uniesie lekko głowę, ale natychmiast jęczy z bólu.

Gdy przyjęto go do szpitala, nie mógł ruszyć szyją nawet na dwa cale. Nie mógł mówić ani napić się wody. Po dwóch tygodniach jest już jednak w stanie ochryple szeptać. Pozwalają mu spędzić dziesięć minut w ogrodzie – na wózku inwalidzkim – jeżeli nie będzie padać. Rudowłosa wolontariuszka opatula Ashleya w ciężkie wełniane koce, dwa na kolanach, jeden podciągnięty aż do szyi. Co prawda tuż przed wyjściem zaczyna się poważnie chmurzyć, ale dziewczyna wie, jak bardzo Ashley chce znaleźć się na zewnątrz. Przykłada więc palec do ust i mówi z uśmiechem:

– Nikomu nie powiem, jeśli i ty nie powiesz.

Otwiera drzwi i popycha wózek Ashleya na dwór. Powietrze jest oszałamiające, ostre i świeże. Wolontariuszka znajduje dla nich obojga mizerne schronienie pod bezlistnym wiązem. Czekają, aż pogoda się poprawi. Dziesięć minut później z nieba zaczyna lać mroźny deszcz.

– A ja myślałam, że to w Anglii pogoda jest do niczego. – Wolontariuszka wzdycha.

Wkrótce Ashley jest w lepszej formie niż większość pacjentów szpitala. Lekarze mówią, że zostanie mu blizna wewnątrz krtani, lecz nie powinno to mieć większego znaczenia. Jeden z chirurgów stwierdza, że Ashley ma zdumiewającą zdolność regeneracji. Czyli szybciej będzie go można wysłać z powrotem na front.

Głos Ashleya się zmienił, nawet on to słyszy. Stał się ochryply, Ashley mówi ciszej, podświadomie nie chcąc nadwierać gardła. Zmienił się też jego ton. Wcześniej Ashley nigdy nie zastanawiał się nad swym głosem, nad tym, jak głos rozwijał się i dojrzewał od dzieciństwa,

ani nad tym, jak brzmiał dla innych, gdy Ashley przemawiał czule lub gniewnie. Dopiero gdy głosu zabrakło, zdał sobie sprawę z jego znaczenia.

– Czy odzyskam mój dawny głos? – pyta lekarza.

– Nie sądzę.

Ashley wygląda przez okno. Lekarz marszczy czoło i zapisuje coś w jego karcie.

– Wydajecie się w pełni sprawni i zdrowi. Powinniście być dumni ze swych ran. Są dowodem honoru. Człowiek, który wypełniał w bitwie rozkazy Jego Królewskiej Mości, powinien mówić innym głosem. Jest wszak innym człowiekiem, nieprawdaż?

– Z całą pewnością.

Ciągle myśli o Imogen. Raz po raz odtwarza w myślach krótką kronikę filmową swych wspomnień: wszystkie gesty, wszystkie uczucia tamtego wspólnego tygodnia. Pamięta miejsca, pamięta, co czuli. Pole w Sutton Courtenay, kiedy położyła głowę na jego piersi. Pamięta ciepło jej ciała i chłodną butelkę szampana opartą o jego udo. Nie umie jednak odtworzyć w myślach jej twarzy. Wie, oczywiście, jak wygląda Imogen, dwa miesiące rozłąki to za krótko, by zupełnie zapomnieć. Zresztą wysłała mu swą fotografię. Zdjęcie lekko się wygięło, ale poza tym przetrwało bez szwanku w woskowanej kopercie w kieszeni munduru i teraz stoi na jego nocnej szafce.

Ashley chce jednak czegoś więcej niż zdjęcia. Fotografia to zaledwie utrwalony obraz, nie da się go przełożyć na kochankę z ciałem i duszą. Ashley pragnie pamiętać, jak Imogen wyglądała w konkretnych chwilach, chce jej zapachu, głosu, dotyku jej zwiewnej spódnicy. Chce widzieć jej twarz w deszczu w Regent's Park, kiedy całowali się pośród ciemności. Chce widzieć jej oczy, gdy widzieli się po raz ostatni na Victoria Station.

Na pewno straszliwie się nacierpiała podczas zamieszania ostatnich kilku tygodni. Trzy dni wcześniej Ashley otrzymał list od Eleanor w odpowiedzi na swą pocztówkę. Choć natychmiast wysłał do Imogen telegram, jak dotąd nie odpisała. Wszystko zdawało się bardzo dziwne. W chwilach zwątpienia Ashley zastanawiał się, czy jej uczucia się nie odmieniły. Może przestała go kochać na wieść o jego śmierci? Przyczyn milczenia mogło jednak być wiele. Ashley spędzał długie godziny na ich roztrząsaniu. W końcu zaczął pisać list, w którym wszystko wyjaśnił – bitwa, rany, pomyłka pułkownika – potrzebował jednak kilku podejść, by napisać cokolwiek zrozumiałego. Wczoraj wysłał list. Teraz musi czekać i powstrzymać się od próżnych spekulacji.

Tak naprawdę niemal nic o niej nie wie. Zakochał się zbyt szybko, nie było kiedy zastanawiać się, co o niej sądzi. Zresztą z zastanawiania się nic by nie przyszło. Nie miał przecież wyboru. Czuł się bezsilny wobec jej magnetyzmu, jej dziwnego piękna, jej niezmaconej pewności w każdej kwestii. Zaraziła go tą pewnością, więc równie silnie jak ona uwierzył w ich wspólne przeznaczenie.

Niemniej – dziwne, że zna tak niewiele faktów dotyczących swej ukochanej. Imogen zawsze mówiła w kategoriach abstrakcyjnych – o uczuciach, przekonaniach. Odpierała wszelkie pytania. Ashley potrafił opisać jej nawyki i zainteresowania. Gdy jednak inni oficerowie ze szpitala patrzą na jej zdjęcie i zadają najprostsze choćby pytanie na jej temat, Ashley może co najwyżej wyjąkać jakąś nieskładną odpowiedź. Wspomniała, że w przyszłym roku będzie studiować literaturę angielską w Somerville. Czy to prawda? W zasadzie nie dowiedział się, czemu nie zdała za pierwszym razem. Wydaje się wszak dostatecznie bystra. Kiedyś żyła za granicą. Gra na fortepianie. Opublikowała kilka wierszy w niskonakładowych czasopismach. Ashley ich nie czytał. I choć Imogen swobodnie mówi o ludziach takich jak Mallarmé czy Debussy, Ashley nie potrafi szczegółowo określić jej gustów. Brakuje mu nawet pewności, czy Imogen ma dziewiętnaście, czy dwadzieścia lat. Na wszelki wypadek wszystkim mówi, że

dziewiętnaście – lepiej zachować spójność.

Dopóki jej na nim zależało, takie szczegóły nie miały znaczenia. Przez pierwszy tydzień pobytu w szpitalu Ashley nie spuszczał wzroku z wolontariuszki, gdy ta roznosiła listy. Przyglądał się kopertom i przesyłkom na wózku z pocztą. Niektórzy uśmiechali się na ich widok, inni nawet nie odwracali zabandażowanych twarzy. Poczta z reguły przychodziła popołudniami. Ale wolontariuszka wiedziała, że Ashley czeka na list i – jak mu się zdawało – celowo roznosiła pocztę, kiedy on już spał. Często gdy budził się z drzemki, widział, że młody porucznik w łóżku obok czyta nowy list, ruszając bezgłośnie ustami.

Pod koniec drugiego tygodnia Ashley stracił nadzieję. Kiedy mógł, spał popołudniami. A jeśli od strony korytarza słyszał porcelanowe kółka wózka z pocztą, odwracał się na bok i zamykał oczy.

Wreszcie przychodzi odpowiedź. Rankiem jest ładna pogoda, Ashley przechadza się po ogrodzie, zataczając ósemki między krzewami i pustymi rabatkami kwiatowymi. Wciąż lekko kuleje i stara się obciążać głównie prawą nogę. Gdy wraca do sali, na swym nocnym stoliku zastaje list. Nie ma adresu ani znaczka na kopercie. Tylko jego imię, skreślone znany pismem.

Mój kochany!

Stoję w recepcji Twego szpitala, ale nie pozwalają mi wejść. Tylko umierający mogą przyjmować gości, a Ty – jak mi powiedziano – masz się dobrze. Nie wyobrażasz sobie, jakże szczęśliwa jestem, gdy to słyszę. Mówią, że jutro Cię wypisują, ale nie mówią, dokąd zostaniesz wysłany.

Nie chcę, żebyś się niepokoił – gdy tylko się spotkamy, wyjawię Ci powód mego przyjazdu. Wszystko jest w najlepszym porządku. Mieszkam u monsieur Loucharda, na wschodnim krańcu Laviéville. Jestem tu od niedawna. Wystarczyło zaledwie dzień, bym odszukała Cię w całym tym balaganie.

Czy zdołasz spotkać się ze mną jutro po wyjściu ze szpitala? Przy drodze wychodzącej na wschód z Laviéville zobaczysz żółty dom obok niewielkiego zagajnika. To jedyny dom w okolicy. Mieszkam w chacie na jego tyłach, ale wcześniej zajrzyj do monsieur Loucharda i zaanonsuj swe przybycie.

Jeśli nie dasz rady się tam zjawić, przynajmniej napisz.

Zawsze Twoja

Imogen

Przez resztę popołudnia Ashley leży bez ruchu w łóżku. Wieczorem, gdy wolontariuszka przychodzi zmienić mu opatrunek na nodze, nie wita jej jak zwykle pogodnym pozdrowieniem. Dziewczyna ściąga kołdrę i ponuro patrzy na ranę, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy. Zaczyna odwiązywać bandaż i szepcze, nie podnosząc wzroku:

– Rano była tu twoja żona. Dostałeś jej list?

– Tak.

– Nie spotkałam jej, lekarz mi opowiadał. Zrobiła straszną awanturę. Najwyraźniej myślała, że umierasz. Co ona tu robi, na miłość boską?

– Nie wiem.

– Powinni ją odesłać. Nie pozwalamy na odwiedziny. Ale może zdążysz się z nią zobaczyć jutro. Naprawdę jest twoją żoną?

Ashley waha się przez moment.

– Nieważne – mówi wolontariuszka. – Nie chcę wiedzieć.

Następnego ranka Ashley dostaje rozkaz, by o 20.20 wsiąść w pociąg do Amiens, gdzie ma przesiąść się w pociąg do Étaples i zameldować się tam na rekonwalescencję. Postanawia zignorować polecenie. Dali mu dwa dni na pokonanie sześćdziesięciu mil jakimś antycznym francuskim pociągiem, jednym z tych, które toczą się w żółwym tempie i stają co pół godziny. Wystarczy znaleźć własny transport, a będzie mógł zobaczyć się z Imogen i jeszcze stawić się w Étaples przed czasem.

Chciałby pożegnać się z wolontariuszką i podziękować jej, tego ranka dziewczyny jednak nie ma. Ashley przebiera się w sztywny mundur w kolorze khaki. W ciężkiej koszuli, bryczesach i wysokich butach od razu czuje się inaczej. Wkłada płaszcz. Zakrzepła krew została usunięta, ale szrapnel zrobił dziurę w gabardynie. Ashley po raz ostatni przechadza się po szpitalu. Widzi wolontariuszkę na drugim końcu odgradzonego liną korytarza, gdzie znajduje się kantyna pielęgniarek. Dziewczyna rozmawia z koleżanką. Dostrzega Ashleya, ale mija chwila, nim pozdrawia go uśmiechem. Może nie rozpoznała swego pacjenta w mundurze. Potem odwraca się. Białe troki jej fartuszka tworzą na plecach wielką literę X.

Potem wypisują go ze szpitala. Jest popołudnie, gdy Ashley dociera do centrum miasteczka. W prywatnym warsztacie kupuje motocykl Royal Enfield z dwucylindrowym widlastym silnikiem. Jakiś przedsiębiorczy mechanik ukradł go armii – a może znalazł? – po czym naprawił i pomalował na czarno. Ashley targuje się przez parę minut, po czym płaci dwa razy więcej, niż motocykl jest wart. Właściciel garażu woła swojego młodocianego pomocnika na podwórze, by zademonstrował silnik maszyny. Pomocnik spędził całe tygodnie na poznawaniu tajemnic angielskiego motoru. Najwyraźniej żał mu się z nim rozstawać.

– *Monsieur* miał okazję jeździć tym modelem?

– Podobnym.

– *Le mécanisme est très facile*. Wszystko działa jak marzenie. Pokażę panu, jak go uruchomić.

Chłopak usłużnie skacze wokół Ashleya w swym uwalanym kombinezonie. Otwiera zawór zbiornika paliwa, przesuwając dźwignię iskrownika, ustawia przepustnicę i pociąga dźwignię gazu na kierownicy. Lewą dłonią ciągnie dźwignię sprzężania, stawia stopę na rozruszniku i daje mu potężnego kopniaka. Silnik kaszle przez chwilę, po czym budzi się z rykiem wśród kłębow dymu.

Chłopak uśmiecha się i wyciera ręce o kombinezon.

– Chce pan teraz sam spróbować?

Ashley kiwa głową i patrzy w niebo. Za godzinę będzie zupełnie ciemno.

SZYFR



Długo po tym, jak Mireille się położyła, siedzę bezsenny przed kominkiem w salonie i czytam listy Ashleya z mego notatnika. Drewno spaliło się na stos żarzących się szczap. Przysuwam fotel bliżej. Słońce zaszło wiele godzin temu, chyba bliżej już do świtu.

Na schodach słyszę kroki i w drzwiach staje Mireille. Narzuciła sobie koc na ramiona i patrzy na mnie półprzytomnym wzrokiem, jak gdyby nie była pewna, czy naprawdę mnie widzi. Mieliśmy wstać wcześniej rano, by pojechać do Étapes. Trochę mi głupio, że jeszcze nie śpię.

– Myślałam, że się położyłeś.

Przyciąga drugi fotel i siada koło mnie.

– Jeśli robisz coś tajnego, nie musisz mi mówić...

– To żadna tajemnica.

Wręczam jej mój egzemplarz *Życia codziennego w okopach*. W odpowiednie miejsce włożyłem wcześniej zakładkę ze skrawka papieru.

– Natrafiłem na to, gdy już poszedł spać.

Do codziennych obowiązków oficera porządkowego należało cenzurowanie żołnierskich listów. W korespondencji nie wolno było ujawniać miejsca aktualnego stacjonowania jednostki, niektórzy używali jednak specjalnych kodów, by poinformować bliskich, gdzie się akurat znajdują. Popularnością cieszył się szyfr, w ramach którego żołnierz i jego żona ustalali tzw. słowo startowe. Żona, czytając list, notowała drugą literę każdej kolejnej linijki, z tych zaś liter układała się nazwa miejscowości.

– Użyli tego kodu w swych listach? – pyta Mireille.

– Niezupełnie.

Wręczam Mireille notatnik. Powoli przewraca kartki i zauważa słowo, które kilkakrotnie zakreśliłem.

– „Jemiola” – czyta na głos. – Co to znaczy?

– To taka roślina, pod którą całujesz się na święta. Nie wiem, jak się nazywa po francusku...

– *Le gui* – odpowiada. – Dlaczego użył tego słowa?

– Nie wiem. Ale to słowo startowe, sama zobaczysz. Wybrał trochę inny szyfr. Używa pierwszej litery każdego zdania.

Mireille znów patrzy w notatnik, po czym wypisuje pierwsze litery kolejnych zdań na kartkę. Układa się z nich słowo SOMMA.

– Niewiarygodne – mówi. – Jak na to wpadłeś?

– „Jemiola” to dość rzadkie słowo, a zauważyłem, że pojawia się w listach dwa czy trzy razy. A potem przeczytałem o tym szyfrze. Spróbowałem tego, co w książce. A potem zauważyłem słowo „Somma”. Jak się raz spróbuje, to potem jest z górki.

Mireille przewraca kartki notatnika i zaczyna odszyfrowywać kolejną nazwę.

– Nie zwracaj sobie głowy – mówię. – Wszystkie już znalazłem.

– Chcę to zrobić sama.

Po chwili pod nazwą SOMMA zapisuje drugą, COURCELETTE.

– To mała wioska, niedaleko Albert – oznajmia.

– Wiem.

– Jest jeszcze coś?

– W ostatnim liście z notatnika – odpowiadam. – Pisanym już po tym, jak Imogen przyjechała nad Sommę.

19 grudnia 1916

Najdroższa Imogen!

Cztery dni temu opuściłem sanatorium i wróciłem do batalionu. Byłem rad, bo wylegiwanie się w sanatorium zaczęło zdawać się bardziej grzeszne niż okopy. Do moich ludzi dołączyłem zresztą w doskonałym momencie – zostaliśmy właśnie wycofani na tyły, by odpocząć.

Warunki są znakomite. Zakwaterowano mnie u rodziny Lefèvre, w sypialni na piętrze dużego domu. Mam własne łóżko z baldachimem i kołdrę wypchaną pierzem – niewyobrażalny luksus. Zaprzyjaźniłem się z jedenastoletnią córką gospodarzy. Nadzwyczaj bystre dziecko. Bardzo chce nauczyć się angielskiego, więc w wolnych chwilach daję jej lekcje. Próbowałem wyłożyć jej znaczenie poezji – rozmawialiśmy o sfinksie, którego pamiętasz z dzieciństwa – lecz uroki rymotwórstwa są jej obce, nawet w ojczystym języku. Nie tracę jednak nadziei, że pewnego dnia zgłoski Shelleya będzie rozpoznawać równie dobrze, jak odgłos serii z vickersa.

Dom robi ponure wrażenie i stoi pośród ponurej krainy. W tym miejscu miasteczko przechodzi już w wieś. Jest jednak stara wieża ciśnień w stylu romańskim. Wyobrażam sobie, że wiosną pola muszą wyglądać pięknie. Zresztą będzie mi dane zobaczyć radośniejsze oblicze gospodarstwa – zostają tu na święta i już nie mogą się doczekać jemioly pod sufitem.

Czy wolno mi wierzyć, że w Nowym Roku przyjdzie wreszcie koniec wojny, który niemal majaczy na horyzoncie, ale zawsze się oddala? Aczkolwiek bez Ciebie nawet kres wojny nie miałby sensu. Libacje bożonarodzeniowe zostawiam innym; a niech sobie odwracają wzrok od rzezi, którą tu urządziliśmy. Okrutnie cierpię, myśląc o grzechach w tym roku przeze mnie popełnionych, i choć me grzechy wobec Ciebie zdają się najblahsze, one właśnie bolą mnie najbardziej. Tak bezsensowne jest życie bez Ciebie – życie szalonego porucznika w armii wariatów, rozdzielonego z jedyną osobą, która pozwala mi trwać w dobru, prawdzie i miłości. Tę osobę jednak straciłem i nienawidzę wszystkiego, co zostało. Ech, nawet szalenie uznałby, że dokonałem złego wyboru – cóż jednak miałem uczynić? Rozsądek na wiele się tu nie zdał. I właśnie dlatego każdej nocy śnię, że do mnie wrócisz i że znów spotkamy się w tamtym maleńkim domu, ale tym razem damy sobie wszystko. Ech... Damy sobie nawet to, czego dać nie możemy.

Zdradzam Ci wszystkie me sekrety – na ile potrafię.

Imogen, nigdy nie chciałem składać Ci próśb niemożliwych do spełnienia. Kiedy opuszczałem Anglię, nie miałem pojęcia, co znaczy kochać i co znaczy być kochanym, co znaczy czekać na coś, co czekać nie może, ani ryzykować coś, czego nigdy ryzykować nie powinniśmy. Cóż bowiem uczynić ma mężczyzna, gdy cały świat ciągnie go na wschód, a tylko instykt podpowiada, że winien pozostać na zachodzie. Znasz i zawsze znalazłaś odpowiedź na to pytanie. Dla mnie jednak nigdy nie była ona prosta.

Nie mam żadnych wymówek, nawet oczywistego usprawiedliwienia, że widziałem i robiłem tu rzeczy, które uczyniły mnie obcym nawet samemu sobie. Nie proszę o przebaczenie

ani o zrozumienie mych decyzji. Ale pisz do mnie, daj mi choć jeden powód, bym każdego dnia witał wschód słońca.

Zawsze Twój

Ashley

Mireille zapisuje trzecią tajną wiadomość: CALOTTERIE.

– La Calotterie – szepcze. – To koło wybrzeża, przy wydmach. Nie tak daleko stąd.

– Możemy tam pojechać? Chcę odszukać dom, w którym zatrzymał się Ashley.

– To nie taka mała miejscowość, domów będzie wiele.

– Wspomniał o wieży ciśnień w stylu romańskim, zawsze jakaś wskazówka. I znamy nazwisko rodziny: Lefèvre.

– Minęło osiemdziesiąt lat – odpowiada Mireille z powątpiewaniem. – Mogli się przeprowadzić. Zburzyć dom. A nawet jeśli ich znajdziemy, co z tego?

– Porozmawiamy z nimi. Ashley spędził tam dużo czasu. Zaprzyjaźnił się z nimi, może będą coś wiedzieć.

Mireille wzdycha i oddaje mi notatnik. Podchodzi do kominka, wrzuca kolejną kłodę i przesuwa ją pogrzebaczem. Przez moment słychać tylko syk mokrego drewna.

– Nie zmienisz przeszłości. Nawet jeśli dowiesz się, co między nimi zaszło, niczego już nie cofniesz.

– Wiem.

Dziewczyna opiera pogrzebacz o ścianę koło kominka. Przechodzi na francuski, bo – jak mówi – chce być pewna swych słów. Głos zmienia jej się, gdy przechodzi na własny język. Mówi łagodnie, lecz brzmi pewnie, bez wahania.

Tłumaczy, że jej zdaniem nie wolno wpadać w obsesję na czyimś punkcie tylko dlatego, że ów ktoś żył dawno lub wiele wycierpiał. Ludzie cierpią i teraz. Poza tym nie wolno podziwiać cierpienia czy straty, bo życie jest krótkie i przywiązywanie nadmiernej wagi do ponurych historii to marnowanie czasu. Mówi, że nawet miłość bywa pomyłką. Może to samo dotyczyć utraconej miłości Imogen i Ashleya. Pyta mnie, czy naprawdę da się kochać kogoś, kogo znało się tak krótko – i z kim było się tak długo w rozłące.

– *Pendant des années* – stwierdza. – *Pas la moindre raison*.

Czasem niełatwo oddzielić miłość od tęsknoty, ciągnie. Ale nie są one tożsame. Miłość jest bezcenna, tęsknota zaś to marnotrawstwo. Wędruję za jej spojrzeniem i patrzę w ogień. Niebo za oknami rozjaśnia się już pierwszym błękitem wschodu.

– Nigdy nie będziesz miał przeszłości ani przyszłości – mówi dziewczyna. – Masz tylko chwilę obecną. Tylko tyle i aż tyle. *Ni plus ni moins*.

Wstaję z fotela i podchodzę do Mireille. Stoimy blisko kominka, czuję gorąc bijący od ognia. Kładę dłoń na jej ramieniu, dziewczyna jednak patrzy prosto w palenisko. Przez dłuższą chwilę stoimy w bezruchu. Naraz Mireille obraca się i chwyta moje ramiona. Potem dotyka mojej dłoni i gładzi palcami nadgarstek.

– Taki delikatny – szepcze. – Masz chyba mniejsze nadgarstki niż ja.

Patrzę na nią, ale dziewczyna odwraca wzrok.

– Tristanie, czemu przyjechałeś do Pikardii?

– Wiesz czemu. Szukać dowodów.

– *Mais oui*. Oczywiście, że szukasz dowodów. A co potem?

– Nie wiem – odpowiadam po chwili wahania.

– Prędzej czy później będziesz musiał wyjechać.

Kręcę głową, lecz nie wiem, co powiedzieć. Kładę dłoń na jej policzku, ale dziewczyna się cofa.

– Rano zawiozę cię do La Calotterie – mówi szeptem.

– *Merci.*

– *Mais écoute-moi...*

Znów jest przy mnie, twarz przy twarzy.

– Nie jestem tylko czymś, na co przypadkowo natrafiłeś podczas swojego śledztwa.

Całuje mnie lekko w czoło, po czym bierze kartkę z nazwami miejscowości i wrzuca ją w ogień. Papier natychmiast rozpala się żółtym płomieniem. Na twarzy Mireille tańczą cienie; dziewczyna cofa się. Pytam ją, dlaczego spaliła kartkę. Ale ona tylko kręci głową i rusza w stronę schodów.

– Wioska nazywa się La Calotterie – rzuca przez ramię. – I tak nigdy tego nie zapomnisz, prawda?



22 listopada 1916

Laviéville

Departament Somma, Francja

Ashley dociera do Laviéville późnym popołudniem. Dwukrotnie objeżdża obrzeża miasta na swym motocyklu, aż w końcu znajduje piętrowy wiejski dom zasłonięty rzędem platanów. Wjeżdża na żwirowany podjazd. Louchard usłyszał silnik i wychodzi na podwórkę, nerwowo miętosząc w dłoniach czapkę. Wskazuje Ashleya podbródkiem i woła:

– *Vous êtes l'officier anglais ?*

– *Oui.*

– *Vous êtes venu rendre visite à la mademoiselle?*

– *Oui.*

Louchard wkłada czapkę i prowadzi Ashleya na tył domu. Niegdyś znajdował się tu ogródek warzywny, teraz porały go pociski. Obaj idą pośród wyschniętych krzaków pomidorowych. Po chwili docierają do małej chaty osłoniętej bukami. Louchard wskazuje ją ręką i gestem instruuje Ashleya, by szedł dalej.

– *Elle est là.*

Gospodarz wraca do domu. Ashley staje przed drzwiami chaty. Zasłony w oknach są zaciągnięte. Przez chwilę waha się, potem puka dwukrotnie, niezbyt głośno. Drzwi się otwierają i ukazuje się ona. Ich ciała od razu łączą się w uścisku. Ashley czuje jej miękkie policzki, gładzi długą szyję, wciąga zapach jaśminowych perfum. Ona wciąż przyciska twarz do jego ramienia.

– Ashleyu.

– To idiotyczne – mówi Ashley. – Jesteś szalona.

Próbuje odsunąć od siebie Imogen, by móc się jej przyjrzeć, ale dziewczyna trzyma go mocno.

– Nie mogę w to uwierzyć – szepcze. – Jesteś tu... nie śmiałam nawet marzyć. Twój głos brzmi inaczej...

– Bo się zmienił.

Dziewczyna cofa się i patrzy na Ashleya z zaciśniętymi ustami. Delikatnie przeciąga palcem po jego bliźnie.

– Najdroższy, twoja szyja...

– W porządku – uspokaja ją Ashley. – Wszystko jest dobrze.

Całuje ją w policzek i znów przyciąga do siebie. Potem całują się długo, bardzo długo. Gdy jednak dłoń Ashleya zaczyna wędrować po jej talii, Imogen chwyta ją, a w jej wzroku pojawia się wahanie.

– Ashleyu. Zaczekaj chwilę.

Siadają przy małym stole na dwóch drewnianych krzesłach z wiklinowymi siedziskami. Przez lniane zasłony na stół i czarny żelazny piec padają smugi światła. Reszta izby tonie w cieniu. Ashley odpina górne guziki munduru.

– Czemu przyjechałaś? Nie wiem nawet, jak ci się to udało.

– To wcale nietrudne. Przepuszczają cię, jeśli mówisz, że twój mąż umiera. Tylko do samego szpitala nie weszłam, tam znali prawdę. Czy możesz mi coś obiecać?

– Nie.

– Nie bój się, to prosta obietnica. Proszę tylko, żebyś wysłuchał wszystkiego, co powiem, nie przerywając. Nie mogę niczego pominąć, to bardzo ważne.

Ashley kręci głową.

– Ostrzeliwali już tę okolicę. Fryce szykują się do uderzenia dosłownie lada dzień...

– To bez znaczenia. Wysłuchaj mnie.

– Czyste szaleństwo.

– Błagam, Ashleyu, posłuchaj.

Imogen bierze go za rękę i zaczyna mówić. Brzmi, jak gdyby starannie przeciwoczyła swe słowa. Ashley milczy i nie przerywa.

– Nawet teraz ledwo mogę uwierzyć, że żyjesz. W piątek dostałam list od twych prawników. Telegram przyszedł dopiero tydzień później. Przez siedem dni żyłam w przekonaniu, że już cię nie ma. Całe siedem dni.

Imogen cofa dłoń i patrzy na Ashleya.

– Nie wyobrażasz sobie, co czułam. Nie miałam nawet siły rozpaczać. Przez pierwsze dni nie wierzyłam, że to prawda. Potem nie wierzyłam w nic innego. Obwinałam wszystko i wszystkich o twą śmierć. Wojnę. Ich armię. Naszych. Nie wychodziłam z domu, bo bałam się, że zobaczę kogoś w mundurze. Nienawidziłam siebie, bo pozwoliłam ci wyjechać. Bo nie zrobiłam wszystkiego, by cię powstrzymać.

Kręci głową i spogląda w podłogę.

– I obwinałam ciebie. Bo poświęciłeś swe życie dla tej głupiej wojny. Bo zostawiłeś mnie samą. Było nam przeznaczone żyć razem, a tyś to zmarnował.

Imogen zaczyna bawić się bransoletką na swym przegubie.

– Chciałam zdzierać tapetę ze ścian. Ellie siedziała cały czas ze mną, nawet w nocy. Przestałam mówić. Myślałam, że sama umarłam, że odeszłam z tobą, a umysł i ciało już do mnie nie należą.

Ashley poluzowuje krawat, nie spuszczając dziewczyny z oczu. Imogen znów kręci głową, głos jej się łamie.

– Ashleyu, nie wiesz, jak cierpiałam. Jak bardzo ci zazdrościłam, że nie musisz żyć bez tego, co kochasz, że nie masz przed sobą całych dziesięcioleci pustki.

– Wysłałem ci pocztówkę. Czemu tak długo trwało, zanim...

– Nie pokazali mi jej. Nie uwierzyli. Dlatego właśnie Ellie do ciebie napisała. Nie wiedziałam, że żyjesz, póki nie zobaczyłam telegramu. W tamtej chwili wiedziałam, że muszę cię ujrzeć. Bo wszystko się zmieniło, najdroższy.

Imogen kładzie mu rękę na policzku.

– Jestem brzemienna. Noszę nasze dziecko.

Ashley wpatruje się w nią z otwartymi ustami. Wreszcie udaje mu się wykrztusić:

– Jesteś pewna?

– Tak. Na tyle pewna, by tu przyjechać.

Ashley patrzy na świecę, palącą się na stole. Dotyka ramienia Imogen.

– W porządku. Może to wcześniej, niżbyśmy chcieli, ale nie szkodzi. Wiesz, co do ciebie czuję. Zapytałbym cię już w Londynie, gdybym myślał, że jest szansa, iż się zgodzisz...

– Proszę, nie.

– Dlaczego?

– Bo odmówię. Nie z twojego powodu. Pozwól, że coś ci powiem. Kiedy byliśmy w kawiarni na Piccadilly, kiedy opowiadałeś o górach i rysowałeś na serwetce... chciałam cię słuchać. Ale myślałam tylko, że mam absolutną pewność, iż jesteśmy dla siebie stworzeni. Ja i ty, Ashleyu. Może czułeś to samo. Może dlatego zrodziły się w tobie pewne pragnienia. A ja

zapraǳnęłam czegoś innego. I wcale nie mniej istotnego.

– Jakież to ma znaczenie...

– Pozwól mi skończyć, kochany. W tej kawiarni myślałam o tym, że moglibyśmy mieć dziecko. O tym, że będę z tobą każdego dnia, przez wiele, wiele lat. O tym, jak by było, gdybyśmy mieli choćby tydzień dla siebie, w jakimś odludnym miejscu, gdzie nikt by nam nie przeszkadzał. Wiedziałam, że razem jesteście cudowni, jak nic w świecie. Uświadomiłam to sobie raz na zawsze. Ta myśl nigdy mnie nie opuściła, nawet gdy dowiedziałam się, że zginął. Ale nie zniosę drugi raz czegoś takiego.

– Nie rozumiem. Przyjechałaś do Francji tylko po to, by mnie porzucić? Tylko po to, by powiedzieć...

– Że wielbię cię tysiąc razy bardziej niż siebie samą – odpowiada Imogen. – Nie mogłam wyrazić tego w liście.

Unosi dłoń do jego policzka, potem zakrywa mu usta.

– Nie możesz wrócić na front, Ashleyu. Nie wolno ci. Nie po tym wszystkim.

– Absurd.

Imogen gwałtownie kręci głową.

– Absurdem byłoby wracać. Nie rozumiesz? Mamy dziecko. Nie pozwolę, żeby dorastało bez ojca tylko dlatego, że byłam zbyt słaba, by powiedzieć, co myślę, a tyś był zbyt ślepy...

– Nie jestem ślepy.

Imogen załamuje ręce.

– Nie jesteś? Więc się rozejrzyj, Ashleyu! Co spotkało twoich kompanów z Korpusu Szkolenia Oficerów? Czemu połowa dziewcząt w Mayfair chodzi w czerni? Czemu wyglądają jak rażone piorunem? Cała Anglia się okłamuje. Każdy myśli, że jemu się uda. Każdej się zdaje, że jej mąż przeżyje. Ja też się okłamywałam, Ashleyu, ale koniec z tym. Rok temu chciałam uratować wszystkich: Niemców, Anglików, Francuzów, Austriaków. Teraz nie mogę już patrzeć na gazety. Wiesz czemu?

– Nie o to chodzi...

– Bo wiem, jak bardzo jestem samolubna! Gdybyś musiał zabić stu ludzi, by przeżyć, pragnęłabym tego. To straszne, lecz prawdziwe. Ashleyu, wyrzekłam się własnych zasad. Wojna będzie się ciągnąć i ciągnąć, aż wszyscy zginą. A ja nie zdołam ich ocalić. Ale mogę spróbować uratować tego jedyne, który się liczy.

– Wiem, co robię. Zawsze zachowuję ostrożność.

Imogen zrywa się na równe nogi i przykładą dłoń do czoła.

– Ashleyu – krzyczy – mało brakowało, a byś zginął! Czego jeszcze trzeba, żeby cię przekonać? Czy uwierzysz mi dopiero, gdy będziesz umierał, leżąc w błocie? Jeśliś taki rozsądny, powiedz, czemu miałabym przyjąć, że skoro na dziesięciu poruczników jeden przeżyje wojnę, ty właśnie będziesz tym jednym?

– Jak dotąd przetrwałam. I nie bez powodu.

– Przetrwałam – powtarza Imogen. – Posłuchaj, co mówisz. Minęły zaledwie trzy miesiące. Spójrz na tę okropną bliznę na swej szyi. Nawet twój głos brzmi inaczej. Dość już zrobiłeś. Czy naprawdę musisz poświęcić wszystko...

– Nie do mnie należy wybór.

Imogen znów jest przy nim, bierze go za rękę i patrzy mu w oczy.

– Do ciebie, kochany, do ciebie. Właśnie to chciałam ci powiedzieć. Na pewno nienawidzisz tej wojny bardziej niż ja, ale nie przyznasz tego, bo trwasz w zaślepieniu. Wpadłeś w tryby maszyny i myślisz, że jedyne wyjście to zrobić, co do ciebie należy, i zginąć.

– Czy masz pojęcie, o czym mówisz? Nawet gdybym chciał odejść, to niemożliwe.

– Nie ma rzeczy niemożliwych. Musi być jakiś sposób. Wystarczy go tylko znaleźć. Chodzi o twoje życie, Ashleyu. Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek wrócę do Anglii. Możemy coś zaplanować i czekać na właściwy moment.

Ashley kręci głową.

– Postradałaś zmysły? Mówisz o dezercji!

– Mówię o ocaleniu twego życia. Jeśli nie możesz odejść, postaraj się o przeniesienie z frontu. Może do jednostki szkoleniowej, gdziekolwiek, byleś tylko był bezpieczny, bylebym mogła spać w nocy. Martwisz się, że inni będą tobą pogardzali? Nie potrwa to długo, wszyscy zginą. Zresztą opinie innych się nie liczą, dopóki mamy siebie.

Ashley ściąga krawat i chowa go do kieszeni.

– Żyjesz w krainie fantazji. Wydaje ci się, że to skauting? Że mogę zostawić swoich ludzi? Że możemy po prostu zapomnieć o twojej i mojej rodzinie i mieć dziecko bez ślubu? Istnieje słowo na określenie takich dzieci. I nie zaprasza się ich raczej na wytworne bale w ambasadzie.

Imogen cofa się ku drzwiom. Próbuje wymacać klamkę za plecami, a jej twarz czerwienieje.

– Nie chcę tego słuchać.

Wychodzi, zatraskując za sobą drzwi. Nagły podmuch gasi płomień świecy. Ashley siedzi w ciemnej izbie, patrzy na dym unoszący się ze zwęglonego knota. Potem sam wstaje i wychodzi.

Imogen stoi pośród buków rosnących za chatą. Szare światło dnia gaśnie powoli. Deszcz ustał, ale z drzew spadają potężne krople wody. Ashley podchodzi do Imogen, dziewczyna się nie odwraca.

– Kto wie o dziecku?

– Lekarz w Kensington.

– Ktoś jeszcze?

– Ellie. Nikt więcej.

Ashley spogląda na mokre liście.

– Na miłość boską, Imogen, bądź rozsądna. Weź mnie takiego, jakim jestem, nawet jeśli wiele brakuje mi do ideału. Powiedz, że nie boisz się spędzić ze mną życia, bo ja się...

– Nie boję się.

– Więc zostań moją żoną.

Imogen odwraca się i kładzie mu dłoń na ramieniu. Przeciąga palcami po złotej gwiazdce naszytej na jego epolecie. Zagryza wargę.

– Mój kochany. Nie mogę. Zwłaszcza jeśli nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze cię zobaczę. Musisz odejść...

Ashley kręci głową, patrzy na Imogen i przemawia do niej łagodnie:

– Nie mogę odejść z wojska. Nawet z powodu dziecka. To po prostu niewykonalne.

– Musi istnieć jakaś możliwość. To nasza jedyna szansa.

– Nawet gdyby istniała, i tak bym nie odszedł. Imogen, prowadziłem moich ludzi na śmierć. Szli za mną dobrowolnie. Sami mieli rodziny...

– Nie wrócisz im życia, jeśli sam dasz się zabić.

– Nie. Ale mam zobowiązanie.

– A co ze mną? Nie masz zobowiązań wobec mnie? Wobec naszego dziecka?

– Mam.

– Co więc jest dla ciebie ważniejsze?

– Muszę dokończyć służbę.

Imogen łamie się głos. Kręci głową, jej oczy lśnią od łez.

– Nigdy jej nie dokończysz. Nie rozumiesz? Mam już dosyć budzenia się trzy razy w nocy z myślą, że będziesz martwy, nim dostanę wiadomość. Ashleyu, jeśli wrócisz na front, nigdy już się nie zobaczymy, wiem o tym. Widziałam to dziesiątki razy w koszmarnych snach. Szukam cię, ale nie masz nawet grobu...

– To tylko lęki – przerywa jej Ashley. – Boisz się i wyobraźnia cię ponosi. Wcale nie musi tak być. Wszystkich czasem ogarnia strach. Ja jednak jestem oficerem i nie mogę porzucić żołnierzy tylko dlatego, że na froncie jest niebezpiecznie.

– Jesteś człowiekiem. Masz jedno życie i stracisz je. Niech wyślą cię w jakieś bezpieczne miejsce, wszędzie, byle nie na front. Zostałeś ranny, namów lekarzy, by uznali cię za niezdolnego do czynnej służby. Wiem, że to wykonalne, niejednemu już się udało.

– Nie mogę tego zrobić i nie zrobię.

– Nawet dla mnie? Dla naszego dziecka, Ashleyu?

– Nie mogę.

Imogen załamuje ręce.

– I liczysz, że będę czekała? Leżała bezsenna, nosząc twoje dziecko i wiedząc, że zapewne nigdy go nie ujrzysz, bo nie chciałeś...

– Nie mogę opuścić armii.

– W takim razie ja nie mogę na ciebie czekać.

Jej grdyka drży. Imogen spogląda na Ashleya dużymi mokrymi oczami. Ma zaczerwienione policzki, lekko otwarte milczące usta. Żadne z nich się nie odzywa. Imogen, wciąż patrząc na Ashleya, odwraca się i idzie do chaty. Ashley zostaje na zewnątrz.

W ustach czuje żelazny posmak. Spluwa, lecz posmak zostaje. Ashley stoi parę minut pod mokrym drzewem. W końcu podchodzi do drzwi chaty i puka. Drzwi są zamknięte, Imogen nie odpowiada. Ashley przykładą ucho do drzwi. Wydaje mu się, że słyszy płacz. Znowu jednak zaczęło padać, trudno więc być pewnym. Niebo zasnuwa się czernią. W domu Loucharda pali się światło. Ktoś patrzy na Ashleya z okna.

– Imogen – prosi Ashley. – Otwórz.

Brak odpowiedzi. Ashley kopie w drzwi i klnie. Nadal cisza. W końcu wraca przez ogród na podjazd i próbuje uruchomić motocykl. Postać w oknie domu wciąż nie spuszcza go z oka. Ashley wykonuje całą sekwencję zapłonu – iskra, przepustnica, gaz, sprężanie, rozrusznik – ale silnik nie chce zapalić. Udaje się dopiero za czwartym razem. Przez chwilę maszyna pracuje na biegu jałowym, Ashley czeka, czy Imogen wywabi z chaty dźwięk motoru. Nic się nie dzieje.

Wrzuca bieg i rusza na północ.

Bombardowanie zaczyna się osiemnaście minut później.

O dwudziestym poprzedniego wieczoru, gdy rudowłosa wolontariuszka gasiła światła na oddziale Ashleya, wiele mil na wschód niemiecki kurier brodził przez szare bagno okopu komunikacyjnego. W końcu znalazł wejście do ziemianki: krzywe drzwi oznaczone tabliczką przybitą do glinianej ściany. Starł z niej błoto i w migoczącym świetle przelatującej flary przeczytał napis. Odetchnął z ulgą.

Zszedł po śliskich schodach i wręczył zapieczętowaną kopertę oficerowi oddziału artylerii, który właśnie jadł kolację. Koperta była mokra, pieczęć ustąpiła bez trudu. W środku znajdowały się rozkazy z kwatery głównej. Oficer spojrzął na kuriera. Ten odwrócił wzrok. Oficer mruknął coś, podpisał się na mokrej kopercie i oddał ją kurierowi.

Godzinę później artyleria zabrała się do roboty. Gdy Ashley przewracał się poprzedniej nocy na szpitalnym łóżku, na froncie mężczyźni w szarych mundurach poganiali konie i muły, ciągnęli działa na kołach przez lepkie błoto. Twarze mieli ukryte pod stalowymi hełmami lub

długimi osłonami wodoodpornych czapek. Tylko niekiedy ich usta i podbródki rozświetlała przypadkowa flara lub iskra nadlatującego pocisku. Było mokro i zimno.

Artyleria posuwała się przez hektary przemoczonej ziemi, w której grzęzły wozy i koła armat. Szprychy i osie oblepiało błoto, z podwozi kapał czarny szlam. Niemcy przeklinali, na oślepie strzelali z biczów, z rzadka tylko trafiając w koński zad. Manewrowali między zdradliwymi kałużami, poganiali zwierzęta naprzód, krok po kroku.

Wreszcie dotarli na miejsce, trochę tylko po wyznaczonym czasie. Oficer wysłał przełożonym dwuzdaniowe wyjaśnienie: *Widrige Umstände*. Niekorzystne warunki.

Kiedy zaczyna się bombardowanie, Ashley jedzie na północ drogą do Louvencourt. Nie ma ze sobą mapy i zgubił się na małych drózkach za Laviéville. Wszystko wygląda podobnie, wszędzie ta sama ciemność. Nagle eksplozje. W pierwszej chwili Ashley słyszy cichy wizgot małowalibrowych pocisków armatnich. Potem znajomy dudniący rytm. Trzęsie się całe niebo.

Ashley hamuje, koła szorują po śliskim podłożu i motocykl staje. Przeciera gogle i patrzy na widnokrąg. W okolicy Thiepval widzi białe rozbłyski pośród chmur. Pod nimi czerwone i pomarańczowe iskry pocisków dużego kalibru. Sylwetki domów i budynków zdają się kołysać i rozsypywać w ogniu.

Ashley zawraca i rusza w kierunku chaty.

Jedzie szybko. Warkot silnika zagłuszają zbliżające się niemieckie pociski 5,9-calowe, śpiewające cicho w powietrzu i uderzające z odgłosem gromu. Ashley znów niezdarnie przeciera gogle. Droga wspina się na wzgórze. Ashley pompuje więcej oleju do silnika. Flara rozbłyskuje wśród drzew w oddali. W jej białym świetle widać grupę ludzi na drodze. Ashley ujmuje gaz.

Po chwili podjeżdża do uciekających cywilów. Kilka rodzin na wozach i pieszo, musieli zostać ostrzeżeni, jeszcze zanim zaczął się ostrzał. Ashley mija przemoczonych ludzi i przyspiesza. Wrzuca drugi bieg. Szaleństwem jest jechać tak szybko. Nawet za dnia nie jest najlepszym motocyklistą, teraz zaś droga stała się śliska od deszczu, a widoczność pozostawia wiele do życzenia.

Droga wije się i wznosi, aż w końcu Ashley dociera do Laviéville, do znajomego placu z małym kościółkiem i białego kamiennego budynku merostwa. Powoli skręca w drogę ku farmie Loucharda. Parkuje przed chatą Imogen, otwiera drzwi i świeci latarką. Nikogo nie ma. Zniknęła torebka dziewczyny, została tylko pomięta pościel na łóżku.

Ashley biegnie do domu gospodarza i puka. Nikt nie odpowiada. Wali w drzwi, wołając Loucharda, choć wie, że w środku jest pusto. Wskakuje na motocykl i wjeżdża na drogę do Amiens. Teraz posuwa się na zachód. Mija dwóch francuskich żandarmów, palących w deszczu papierosy. Przyglądają mu się obojętnie. Nieco dalej kolejna grupa cywilów, większy, bardziej rozciągnięty konwój. Droga jest zablokowana, Ashley musi się zatrzymać.

Ludzie zgromadzili się wokół wywróconego wozu z urwaną osią. Cały ładunek wylądował w gęstym błocie. Komoda leży na wpół zanurzona w szlamie, w jej otwartych szufladach zbiera się deszcz. Gruby żandarm wydziera się na dwójkę ludzi. Ashley przepycha motocykl przez las biegnący wzdłuż drogi. Potem znów włącza silnik i rusza dalej.

Wkrótce natyka się na kolejny konwój. Jedzie w nim Louchard, jego wóz ciągnie para bardzo różniących się od siebie koni. Ashley zwalnia, woła do Loucharda. Ten zjeżdża na pobocze i zsiada z kozła, staje w błocie z batem w ręku. Deszcz spływa mu po czapce. Ashley pyta, co się stało z dziewczyną. Mężczyzna wzrusza ramionami.

– *Je ne sais pas*. Wyjechała zaraz po panu.

– Dokąd? Którą drogą?

Louchard krzywi się. Powtarza, że dziewczyna wyjechała po południu, ale nie wie dokąd. Ashley wyciąga z kieszeni zwitek banknotów i pokazuje go mężczyźnie.

– *Dites-moi.*

Francuz spluwa na ziemię. Żałośnie kręci głową. Czemu miałyby mu zdradzać, dokąd się wybiera? Ashley rzuca pieniądze pod stopy Loucharda i świeci mu latarką w oczy. Powietrze jest teraz gęste od zamarzającego deszczu. Inni uciekinierzy przystają, by przyjrzeć się scenie. Niedaleko wybucha pocisk, ludzie padają na ziemię. Ashley wstaje, wyciąga rewolwer.

– *Vous êtes fou* – szepcze Louchard. – *Zwariowałeś.*

Ashley omiata snopem światła z latarki mokre twarze ludzi dokoła; każdy odwraca się oślepiiony. Banknoty u stóp Loucharda toną w błocie. Któryś z uciekinierów przeklina Anglika. Ashley odchodzi do swojego motocykla. Chowa rewolwer w kaburze. Za drugim razem udaje mu się zapalić silnik. Ludzie patrzą na niego w milczeniu.

Potem rozstępują się przed motocyklem, Ashley zaś rusza na zachód.

KRZYŻ



Pada przez całą drogę do La Calotterie. Mireille prowadzi, ja próbuję pilotować ze starą mapą Michelina znaną w schowku. Zbliżając się do miasteczka, widzimy przed sobą wieżę ciśnię, ceglane romańskie łuki i zbiornik pod dachem. Wieża stoi pośród pustego pola po drugiej stronie miasta. Mireille jedzie w tamtym kierunku po utwardzonych i wysypanych żwirem drogach, aż w końcu znajdujemy płot otaczający działkę z wieżą. Ubitą drogą dojeżdżamy do domu. Na skrzynce pocztowej widnieją metalowe litery układające się w nazwisko DESMARAIS.

Mireille patrzy na mnie.

– Nadal chcesz tam iść?

– Nie wiem. Nie zaszkodzi spytać.

Parkujemy przed piętrowym kamiennym domem. Pytam Mireille, czy mogłaby wziąć na siebie prowadzenie rozmowy. Gdy wysiadamy z samochodu, drzwi domu otwierają się i wychodzi starszy człowiek. Ma na sobie kraciatą koszulę, spodnie spięte skórzanym paskiem na wydatnym brzuchu. We wnętrzu słychać głosy z telewizora, coś o podwyżkach cen papierosów we Francji.

– *Bonjour* – mówi Mireille. – *Êtes-vous Monsieur Desmarais?*

Starszy pan wpatruje się w nas podejrzliwie bladymi, wodnistymi oczami. Owszem, nazywa się Desmarais. Mireille przedstawia nas, tłumaczy, że mój pradziadek był angielskim żołnierzem, który stacjonował niedaleko u rodziny Lefèvre podczas *la Grande Guerre*. Desmarais nadal patrzy na nas badawczo. Robi krok do przodu, podnosi wzrok na żelazne niebo nad naszymi głowami, potem spogląda na brudnego peugeota na podjeździe.

– *Bien* – odzywa się. – Wejdźcie do środka, zanim przemokniecie.

Bierze nasze okrycia w swoje potężne dłonie i wiesza na drewnianych wieszakach, które z kolei zaczepia na karniszu nad grzejnikiem w salonie. Potem siada w fotelu. My zajmujemy miejsca na zafoliowanej sofie. Folia przykleja się zaraz do naszych ubrań i wydaje dziwne odgłosy, gdy tylko któreś z nas zrobi najmniejszy ruch. Desmarais gasi telewizor.

– Mieszkam tu sam – mówi po francusku. – Rzadko robię zakupy. Nie mogę was niczym poczęstować.

Mireille zapewnia, że niczego nam nie trzeba. Desmarais pyta ją, skąd jest, i rozmawiają przez chwilę o Pikardii. Pyta Mireille, czy jestem Anglikiem. Odpowiadam, że Amerykaninem. Starszy pan kiwa głową.

– Znałem Amerykanów. W czterdziestym czwartym. Ale nie o tym chcecie rozmawiać.

Desmarais patrzy na Mireille, potem na mnie.

– Urodziłem się w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym. Nigdy więc nie spotkałem Anglika.

– Anglika?

– Mieszkał tu, u rodziny mojej matki. U Lefèvre'ów. Desmarais to nazwisko mojego ojca...

Starszy pan mówi z ciężkim północnym akcentem i niełatwo mi zrozumieć jego słowa. Tłumaczy, że wielu angielskich żołnierzy przewinęło się przez ten dom, ale oficer był tylko jeden. Matka była wtedy małą dziewczynką, a oficer pomagał jej w nauce.

– Anglik został ranny – mówi Desmarais. – Wiecie gdzie?

– *La gorge*. I w nogę.

Desmarais dotyka swojego gardła.

– *Oui, la gorge*. Matka opowiadała, że mówił bardzo cichym głosem. O nodze nigdy nie słyszałem.

– Niesamowicie, że pańska rodzina pamiętała o nim przez tak wiele lat – szepcze Mireille.

Desmarais kręci głową – to oczywiste, że zapamiętali Anglika. Cała wieś nienawidziła Anglików, gorsi mogliby być tylko *les Boches*. Anglicy byli prostacy, za dużo pili, awanturowali się.

– Wiedzieli, że zginą. I to za ten nędzny kawałek ziemi.

Stary wskazuje ręką ponury krajobraz za oknem i mówi, że pewnie ciężko jest walczyć za cudzy kraj. Ale tamten Anglik był inny. Oficer, znał francuski. Desmarais zachował nawet dowód. Wychodzi do drugiego pokoju. Nie ma go przez dłuższą chwilę, w końcu wraca, niosąc skrzyneczkę obitą bordową tkaniną. Stawia ją na stoliku do kawy i otwiera.

– To biżuteria mojej matki.

Podnosi na nas wzrok i uśmiecha się, odsłaniając krzywe, pożółkłe zęby.

– Nic cennego. Cenne sztuki dawno się już sprzedało.

Desmarais wysuwa małą szufladkę w szkatulce. Wyciąga z niej srebrny krzyż i podaje mi go. Krzyż jest równoboczny, na przecięciu ramion widnieje inicjał Jerzego V. Każde ramię ozdabia królewska korona. Medal nie ma wstążki.

– Co to takiego? – pyta Mireille.

– Medal – mówię. – Krzyż Wojskowy.

Desmarais tłumaczy, że właśnie z powodu tego medalu jego matka zapamiętała Anglika. Przez całe życie trzymała krzyż nad lustrem swej toaletki. Nagle stary wstaje.

– Właśnie sobie przypomniałem – mówi. – Siostrzenica dała mi puszkę herbaty. Mogę zaparzyć.

Mireille uprzejmie odmawia, ale Desmarais nalega; w końcu Mireille proponuje, że sama zaparzy herbatę. Desmarais tłumaczy, w której szafce ją znajdzie, i dziewczyna znika w kuchni. Starszy pan nachyla się do mnie i szepcze konspiracyjnie:

– Pewnie przyjechałeś tu zapytać o *la malle*?

– *La malle*?

Desmarais unosi brwi. Nie o *la malle* mi chodziło? Kręcę głową i mówię, że nie znam tego słowa. *Malle* to kufer podróżny, tłumaczy Desmarais. W czasach jego dzieciństwa brało się *une malle* w podróż przez ocean. Anglik zostawił po sobie niewielki kuferek. Potem napisał, że po niego przyjedzie. Rodzina trzymała więc *la malle* przez wiele lat. Anglik się nie zjawił, ale w końcu kuferek był tu już tak długo, że Desmarais nie chciał się go pozbyć.

– Siostrzenica namawia mnie, żebym wyrzucił wszystko ze strychu. Nie mógłbym. Kiedy człowiek robi się stary, chce zachować wszystko, co ma, nawet rzeczy bezużyteczne.

Mruga do mnie znacząco.

– Oczywiście, ty tego nie zrozumiesz, za młody jesteś. Ale poczekaj, aż się zestarzejesz.

– Proszę mi wierzyć, rozumiem.

Desmarais uśmiecha się z pobłażliwym niedowierzaniem. Pytam, co znajduje się w *la malle*, ale tylko wzrusza ramionami.

– Mnóstwo spalonych papierów. Możesz sam zobaczyć.

Idę za nim na piętro po schodach wysłanych dywanem. Stary mocno trzyma się poręczy i zatrzymuje się na każdym stopniu. Prosi, żebym przyniósł stół z sypialni, potem każe mi wejść na niego i otworzyć kwadratowe drzwi w suficie. Drzwi otwierają się na zawiasie. Ściągam krótką żelazną drabinkę.

– *Soyez prudent* – ostrzega Desmarais. – Tam mogą być szczury. *La malle* leży chyba gdzieś koło mojego sprzętu wędkarskiego, przy ścianie z oknem.

Wchodzę na strych. Dach opada stromo z obu stron pomieszczenia, do którego światło dostaje się przez pojedyncze okno. Widzę niepasujące do siebie resztki długiego życia. Sterty kartonowych pudeł i stopy sprzętu elektrycznego. Zardzewiałe wiatraki, wieszak ze starymi płaszczami. Para bambusowych wędek opiera się o sufit. Pod wieżą pudełek znajduję mały brązowy kufer. Moje palce zostawiają ślady w kurzu na jego wieku. Ma jakieś dwie stopy szerokości i stopę głębokości. Może był przeznaczony na buty albo na kapelusz. Wykonany jest ze skóry, ma mosiężne okucia. Na zamku widnieją inicjały: AEW.

Zatrząsk jest otwarty. Rozpinam dwa wytarte skórzane pasy i podnoszę wieko.

W środku jest popiół i na wpół spalony papier. Płótno wyściełające kufer pokrywa czarna sadza. Kilka książek w płóciennych okładkach: *Wspinaczka w Alpach*, *Duch człowieka* – *antologia*. Grzbiety łamią się, gdy kartkuję książki. Biorę głęboki oddech.

Obok leży pakiecik nadpalonych kopert. Niektóre mają zwęglone rogi, inne spaliły się zupełnie. Porucznik A.E. Walsingham, 1 Batalion, Królewski Regiment Berkshire, B.E.F., Francja. Upominam się w duchu, że listy niekoniecznie są od niej. Wtedy jednak dostrzegam nazwisko na kopercie. I. Soames-Andersson. Strzepuję popiół z palców, otwieram kopertę i wyciągam list. Został skreślony dziwnym granatowym pismem: długie i kręte kapitaliki, wiele myślników różnej długości, staranne litery. Na nagłówku widnieje data siedemnasty października, kilka tygodni przed tym, jak Ashley został ranny.

Najdroższy!

Poszłam dziś z Eleanor do London Library. Wzięłam sporo książek, ale gdy nad nimi usiadłam, ogarnął mnie sen, choć nie uczytałam nawet dziesięciu stron. Śniłam o wspaniałych rzeczach – o klepkowym kościele w Urnes, który Ci opisywałam. Tyle że we śnie sławne portale były jeszcze nieozdobione, więc wyciągnęłam swój nóż i oboje je rzeźbiliśmy – Ty strugałeś jedno stworzenie, ja drugie, ich ciała szybko się połączyły. Odciałeś fragment portalu na pamiątkę dla mnie i kazaleś go dobrze strzec, bo jesteśmy odtąd złączeni tak bardzo, jak tylko dwie dusze złączone być mogą. Potem uderzono w karylion – nadszedł czas, byśmy weszli do kościoła – ale gdyś położył rękę na drzwiach, ocknęłam się.

Pożegnałam się przeto z Eleanor i ruszyłam nabrzeżem. Z pewnością – myślałam – nawet ta najbardziej angielska z rzek wpada do kanału La Manche, a więc płynie w Twoją stronę. Patrzyłam, jak tramp rysuje kredą na chodniku cudowną replikę Delacroix, ale zaczął padać deszcz i ją zmył. Nie miałam przy sobie szylinga, zdjęłam więc pierścionek z palca i dałam mu w podziękę. Zrazu odmówił, ale wyjaśniłam, że pierścionek był niechcianym prezentem i lepiej będzie mi bez niego.

Co do Twojego pytania – dotyczącego zaręczyn – cóż, oplotłeś mnie delikatną, lecz mocną nicią. Czy możesz kochać mnie tak bardzo, będąc z dala ode mnie tak długo? I jeszcze dziesięć razy dłużej? Nie będziemy rozmawiali o intercyzach, złotych obrączkach, nawet srebrnych obrączkach. Bez Ciebie wszystko zamieniłoby się w ołów, a ołów to dla mnie żaden skarb. Straciłabym więcej niż jakakolwiek wdowa. Im odebrano mężów – ja utraciłabym mą gwiazdę zaranną, która jeszcze nie weszła.

Oto więc największa z obietnic, jakie mogę Ci złożyć. Oddaję Ci się, nie w próżnym rytuale, lecz z własnej woli i z własnego pragnienia, jak gdyby miłość nigdy wcześniej nie

istniała, a ja stworzyłam ją tylko dla Ciebie.

Imogen

Próbuję złożyć list, ale drżą mi dłonie i kartka rozrywa się na zgięciu. Odkładam listy z powrotem do kuferka i znoszę go na dół po drabinie. Starszy pan kiwa głową z aprobatą.

– Powinieneś go zabrać.

– Ale pan trzymał te rzeczy przez tyle lat...

Podnoszę wieko, pokazuję mu zawartość, jednak Desmarais tylko macha ręką. Mówi, że wystarczy mu własnych starych papierów, po co mu jeszcze cudze, i to w obcym języku.

– Gdy umrę, moja siostrzenica i tak wszystko wyrzuci.

Desmarais schodzi pomału schodami. Zamykam strych, biorę kuferka na dół i kładę go na dywanie w salonie. Starszy pan siada na swoim fotelu i włącza telewizor.

– Wkrótce wiadomości – tłumaczy.

Wchodzi Mireille, na tacy niesie trzy kubki herbaty.

– Rozpalenie w piecu trwało wieki...

Spogląda na kuferka, potem na mnie. Rozdziawia usta.

– *Tu as trouvé quelque chose?*

Desmarais się uśmiecha.

– A jakże, znalazł – mówi. – A teraz napijemy się herbaty. Zupełnie jak Anglify.



23 listopada 1916

SS „Invicta”

Kanał La Manche

Podróż powrotna z Francji była okropna. Po kłótni z Ashleyem Imogen wyruszyła z chaty w Laviéville i spędziła koszmarną noc w hotelu na wschód od Amiens. Patrzyła na rzekę uciekinierów, płynącą po błotnistej drodze. Od śniadania nie miała nic w ustach, wszystkie bary i restauracje zamknięto. Wysłała starego portiera na poszukiwanie jedzenia. Wrócił pół godziny później, zupełnie przemoczony, niosąc pod płaszczem nieduży, okrągły *pain de campagne*. Chleb był mokry i pobrudzony. Imogen dała portierowi napiwek i łączywie zjadła chleb, leżąc w łóżku i słuchając huku dział wśród ciemnej nocy.

Następną noc spędziła w brudnym hotelu w Boulogne w oczekiwaniu na prom. Nosiło ją, ale bała się opuszczać pokój. Postanowiła wziąć kąpiel – w połowie napełniania wanny skończyła się ciepła woda. Imogen siedziała więc bez ruchu w letniej kąpeli. Zbyt zmęczona, by się ruszyć, zbyt zmarznięta, by zostać. Nerwowo rozmyślała o Ashleyu – czy został ranny w bombardowaniu? Myślała o sobie. Po co w ogóle wracać do Anglii? Położyła rękę na brzuchu. Miała wrażenie, że się już zaokrąglił.

Zanurzyła głowę. Słuchała szumu w swych uszach, gdy woda napierała na bębunki. I cichego postukiwania bransoletki o emaliowaną wannę. Wyobrażała sobie, na który kontynent mogliby uciec. Oczyma duszy oglądała słoneczne pola i szeroki widnokrąg. Siedziała w wannie, dopóki z zimna nie zaczęła szczełkać zębami.

Rankiem wsiada na prom. Niebo jest szare, morze wzburzone, nieliczni pasażerowie na pokładzie z obawą wypatrują wśród fal U-Bootów. Oprócz Imogen jest tylko jedna kobieta, krzepka pielęgniarka w mundurze. Stoi przy poręczy i ogląda morze przez lornetkę. Przyzywa do siebie Imogen, by i ta mogła się przyjrzeć. Imogen z uprzejmości bierze lornetkę, ale widzi tylko te same ciemne fale, które widziała gołym okiem, tę samą pianę, tyle że w dziesięciokrotnym powiększeniu. Zaczyna jej się kręcić w głowie.

Pielęgniarka zniża głos:

– Słyszała pani o „Brittanicu”?

– Przepraszam?

– Zatonął wczoraj na Morzu Śródziemnym. Bóg raczy wiedzieć, ile dusz na pokładzie.

Proszę tylko pomyśleć: w każdej chwili może się do nas podkraść U-Boot. Albo trafi się jakaś mina...

Imogen wykręca się od dalszej rozmowy, oddaje kobiecie lornetkę i idzie w kierunku rufy. Wróciły mdłości – może to fale, może cięża, może kłótnia z Ashleyem, a może wszystko naraz. Postanawia porozmawiać z lekarzem okrętowym, ale ten ma zbyt wiele roboty przy rannych żołnierzach. Sympatyczna pielęgniarka daje Imogen butelkę środka przeciwwymiotnego. Lekarstwo ma gorzki smak ziół, mięty i alkoholu. Wracając na pokład, Imogen czuje się jeszcze gorzej niż wcześniej. Horyzont wznosi się i opada, powietrze gęste jest od zimnej mżawki, z dwóch kominów wydobywa się czarny dym. Dziewczyna chwyta poręcz i wpatruje się w fale, rozbijające się o burtę.

Wszystko poszło nie tak. Od tygodni każdej nocy lękała się, że Ashley zginie. Wyobrażała sobie, jak przychodzi po niego śmierć. Kula albo wybuch bomby. Zastanawiała się,

czy ona sama poczuje wtedy najmniejsze choćby drgnienie ziemi, szum trawy. Ostatecznie katastrofie nie towarzyszył żaden znak. Wyprawa do Francji zniszczyła to, co Imogen tak bardzo pragnęła ocalić. Ashley tylko jej w tym dopomógł.

Wszak nie on jeden był w niebezpieczeństwie – dopiero teraz Imogen zaczyna to pojmować. Oboje mogliby zostać zmieceni falą przypadku. Wystarczy chwila. Może się to stać na łądzie albo na morzu. Nikt nie jest bezpieczny: oficerowie na mostku, wytworne panie pijące popołudniową herbatę w Mayfair albo Belgravii, studenci malarstwa kopiujący Velazqueza w National Gallery. Nawet dżentelmeni w szarych zamszowych rękawiczkach wchodzący do Whitehall drzwiami, które nigdy nie są zamykane. I ci w Ministerstwie Wojny czy Admiralicji, gdzie rządzi się całym imperium. Wszyscy są dużo bardziej bezbronni, niż im się wydaje. Nic bowiem nie jest pewne. A zwłaszcza rzeczy, które mają nam pomóc przetrwać.

Imogen wyciąga butelkę z lekarstwem i wrzuca ją do morza. Patrzy, jak unosi się na falach, aż wreszcie niknie pośród szarości.

Wydaje się, że mija wiele godzin, aż wreszcie statek dopływa do Folkestone. Imogen wsiada w pociąg. O zmierzchu wchodzi konduktor i zaciąga zasłony (zaciemnienie z obawy przed nalotem). Przy wątłym elektrycznym świetle nie da się czytać. Imogen nie wie, czy zbliżają się już do Londynu. W końcu znów zjawia się konduktor.

– Szanowna pani, stacja końcowa. Dworzec Charing Cross.

Imogen jedzie taksówką na Cavendish Square, wchodzi do domu i cichcem wślizguje się do swej sypialni. Zrzuca sukienkę na podłogę, ściąga bieliznę, którą nosiła przez ostatnie trzy dni. Resztę rzeczy zostawiła w Laviéville. Łóżko z turecką narzutą i miękkim wałkiem zdaje się teraz obce. Imogen już prawie zapada w sen, gdy słyszy odgłos otwierających się drzwi. Natychmiast odwraca się do nich plecami i okrywa się kołdrą. Drzwi się zamykają.

Rankiem czekają na nią w salonie. Ojciec stoi przy kominku z żarzącym się cygarem w dłoni; matka, blada, siedzi na sofie i trzyma ręce na kolanach. Eleanor usiadła na taborecie od fortepianu, założyła nogę na nogę. Ojciec chrząka.

– Imogen, najwyższy czas, abyśmy porozmawiali.

Imogen patrzy na siostrę, ale ta odwraca się do okna. Imogen przenosi więc spojrzenie na ojca.

– Byłam w Surrey, u Beatrice, Ellie ci nie powiedziała? Zamierzałam wrócić wczoraj, ale pociągi zatrzymano z powodu zeppelinów...

Ojciec strzepuje cygaro do popielniczki stojącej na gzymsie kominka.

– Słyszeliśmy o tym – mówi. – Ale mamy ważniejsze sprawy do omówienia.

Szybko przechodzi do sedna. Stanowczo stwierdza, że decyzja nie należy tylko do Imogen, że hańba spadnie nie tylko na nią, ale na całą czwórkę, nawet na dalekich krewnych Anderssonów i Soamesów.

– Wydaje ci się zapewne, że sama o wszystkim zdecydujesz. Jednak twoje postępowanie ma również konsekwencje dla innych.

Imogen opada na fotel. Od powrotu nie wzięła kąpieli, jej włosy i skóra mają zapach morskiej soli. Ojciec ciągnie swą przemowę, przedstawia skutki urodzenia nieślubnego dziecka i wszystkie nieszczęścia, które fakt ten sprowadzi na Imogen, jej potomka i całą rodzinę. Matka od czasu do czasu przytakuje mu niepewnie. Ojciec zaczyna przesłuchanie.

– Mówisz, że ten człowiek nie zamierza się z tobą ożenić?

Imogen chowa twarz w dłoniach. Czuje, że wracają mdłości.

– Ja nie chcę wychodzić za mąż.

– Ale jego intencje, jakie są jego intencje wobec ciebie?

– To bez znaczenia. Chodzi o moje życie...

– Imogen, poślubi cię czy nie?

Imogen patrzy na ojca i odpowiada twardym głosem.

– Nie poślubi.

– Wyłóży przynajmniej pieniądze?

W oczach Imogen płonie ogień, dziewczyna jest zbyt zagniewana, by mówić. Zaciska mocno bransoletkę na swym nadgarstku. Na ojcu jej reakcja nie robi najmniejszego wrażenia.

– Teraz wydaje ci się, że pieniądze nie mają znaczenia, ale z czasem zmienisz zdanie.

– Zapłaci – mówi szeptem Eleanor. – Charles słyszał, że ma kilka tysięcy rocznego dochodu. Jego wuj był niezwykle zamożny i zostawił mu prawie wszystko w spadku.

Imogen odwraca się gwałtownie. Nigdy nie słyszała o pieniądzach Ashleya, już ma zamiar zapytać o to Eleanor, gdy matka odzywa się dziwnie spokojnym głosem. Najwyraźniej przećwiczyła wcześniej tę przemowę.

– Kochanie, to, co powiem, wyda ci się z początku okrutne. Ale papa i ja wiele myśleliśmy i zapewniam, że to dla wszystkich najlepsze rozwiązanie. Przede wszystkim dla ciebie.

Imogen słucha z trudem, ale pojmuje ogólny zarys planu. Eleanor ogłosi, że spodziewa się dziecka. Imogen napisze do Ashleya, że poroniła. Obie siostry pojedą do Szwecji, neutralnego kraju, pod pretekstem uniknięcia racjonowania żywności i bombardowań. Będą żyć w odosobnieniu, na wsi. Cięża pozostanie tajemnicą. Imogen urodzi dziecko z asystą położnej, która będzie z nimi mieszkać. Eleanor wróci do Anglii z dzieckiem i wychowa je jak własne. Eleganckie rozwiązanie wszystkich problemów. Reputacja Imogen i rodziny nie ucierpi, dziecko dorośnie bez piętna, Eleanor zostanie matką (jak dotąd los nie pobłogosławił ich potomkiem).

Imogen jest przerażona. Zrywa się na równe nogi, przeklina rodzinę, zwłaszcza siostrę.

– Niech każde z was zajmie się własnym cholernym życiem! Tu chodzi o mnie i o moje dziecko!

– Kochanie, uspokój się.

Eleanor wstaje i kładzie dłoń na ramieniu siostry, ale Imogen się wrywa.

– Nie mogę uwierzyć, że im powiedziałaś! Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego?

– Nie poradzisz sobie sama.

– Owszem, poradzę sobie!

Ojciec gasi cygaro.

– W takim razie, czy raczysz nam powiedzieć, jak zamierzasz zarobić na swe utrzymanie? I na utrzymanie dziecka? Może w fabryce pocisków w Woolwich? Praca dwanaście godzin dziennie, jeden dzień wolny w tygodniu? Imogen, dopiero co skończyłaś dziewiętnaście lat. Nie masz najmniejszego pojęcia, czym jest samodzielność. Nigdy nie musiałaś radzić sobie sama i, na Boga, obyś nigdy się nie przekonała, jak to jest.

– Musisz mieć na względzie i nas, Imogen. Pomyśl, co ludzie powiedzą! Pomyśl o pozycji papy! Przekonasz się, że on jedynie pragnie nas chronić. Na litość boską, pomyśl o swym dziecku! Nie chcesz, aby było szczęśliwe, aby dostało takie życie, jakie i ty dostałaś?

Imogen kręci głową.

– Czy każda dziewczyna w Anglii ma rodzinę, która podejmuje za nią decyzje? Która odbiera jej własne dziecko?

Ojciec prychnął. Wyciąga kolejne cygaro z pudełka na kominku, ale jest zbyt zagniewany, by je zapalić.

– Sama jesteś dzieckiem – odpowiada. – W przeciwnym razie nie musielibyśmy odbywać tej rozmowy. Imogen, nie zamierzamy błagać cię o zgodę. Nie dopuszczę, by reputacja rodziny ucierpiała wskutek twych niedojrzałych postępów. Jeśli nie przystaniesz na propozycję matki,

będziesz musiała przystać na moją, a jak sądzę, nie przypadnie ci ona do gustu. Gdy pomyślę o przyzwoitych kandydatach, których odrzuciłaś dla tego szubrawca, krew się we mnie gotuje.

– Co ty o nim wiesz...?

– Wiem, co ci zrobił.

– I kto tutaj jest naiwny? Skąd w ogóle pewność, że to nie ja go uwiodłam?

Patrzą na nią zdumieni. Imogen wytrzymuje ich wzrok. Przygląda się im, jak gdyby widziała swą rodzinę pierwszy raz w życiu. Ojciec, zaczerwieniony, mamrocze coś pod nosem, odcinając końcówkę cygara srebrną gilotynką. Matka chwytając dłoń Imogen i mówi cicho o straszliwych konsekwencjach, których Imogen nie rozumie, bo jest zbyt młoda, o pozycji ojca, o blokadzie i U-Bootach, o niedoborze węgla w Szwecji z powodu niemieckiego racjonowania, o problemach z Rosjanami, nie mówiąc o skandalu z siostrzenicą ambasadora w Paryżu, który to skandal nie był ani w połowie tak oburzający i wydarzył się jeszcze przed wojną. Przede wszystkim mówi o Eleanor. Imogen nagle czuje do siostry nienawiść. Nigdy jeszcze nie żywiła do nikogo takiej nienawiści. Eleanor nadal nie potrafi spojrzeć Imogen w oczy. Odwraca twarz do okna i wygląda fałdy swej spódnicy.

– To będzie się za tobą ciągnąć przez całe życie, Imogen – szepcze matka. – Jesteś młoda, nie wiesz, co to znaczy. Znałam kobiety, które po dwudziestu latach, wchodząc do czyjegoś domu, nie potrafią się pozbyć wrażenia, że właśnie je obmawiano...

Imogen nie słucha. Przelyka ślinę, rzuca jakieś głupie, nienawistne słowa. Sama nie wie, co mówi. W końcu wybiega do holu, chwytając torebkę i wyciąga parasolkę ze stojaka gestem tak gwałtownym, że cały stojak się przewraca. Parasolki i laski – w tym ta ze srebrną gałką należąca do dziadka – lądują na podłodze. Imogen ignoruje to i wybiega, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nim ktokolwiek ruszy jej śladem, jest już po drugiej stronie placu.

Nie wie, dokąd idzie. Pada deszcz. Imogen skręca w Oxford Street. Sklepy, chodniki, furgonetki i autobusy przemykają przed jej oczyma i zaraz znikają. Myśli o rozmowie z Eleanor sprzed dwóch tygodni, gdy powiedziała siostrze, że jest w ciąży, a Eleanor w milczeniu wzięła ją za rękę, po czym zapewniała, że wszystko się ułoży. Myśli o tamtej nocy z Ashleyem w hotelu Langham, o zgaszonych światłach i zaciągniętych zasłonach, o Ashleyu całującym jej nagie ramiona i mówiącym, że nie ma dlań znaczenia, co zdarzy się we Francji, bo naprawdę kogoś kochać to więcej, niż można wymagać od życia, nawet jeśli miłość trwała zaledwie tydzień...

„Nie mów takich rzeczy”, upomniała go Imogen. „Nigdy, Ashleyu”.

Deszcz się wzmaga. Imogen przecina Oxford Street, dokoła mali gazeciarze biegną schronić się przed wejściem do sklepu Marshall & Snelgrove. Dziewczyna całkowicie przemokła, zimna woda spływa jej po karku za kołnierz. Idzie przez Hyde Park aż do Knightsbridge. Raptem na Brompton Road, gdy Imogen stoi na chodniku, płacząc, zatrzymuje się przy niej siwowłosa staruszek. Podnosi parasolkę, by osłonić dziewczynę przed deszczem.

– Najmocniej panienkę przepraszam, ale przemokła panienka do suchej nitki. Gotowa się panienka przeziębici. Czy mogę w czymkolwiek pomóc?

Dopiero po pięciu minutach udaje jej się go pozbyć dzięki zmyślonej historyjce, że od dzieciństwa zwykła chodzić w deszczu bez parasolki i nie przeszkadza jej niepogoda. Staruszek kręci głową i patrzy na nią.

– Panienko, każdy z nas stracił coś na tej wojnie, ale musimy radzić sobie dalej, najlepiej jak możemy.

Imogen wraca przez Hyde Park Corner. Staruszek przekonał ją, by wzięła od niego parasolkę. Wchodzi do kantoru na Piccadilly i wymienia resztę franków. Wydała jednak tyle na podróż do Francji, że został jej tylko jeden funt i sześć szylingów. Na poczcie przy Regent Street pisze dwa telegramy do Ashleya, oba drze na strzępy, sfrustrowana. On jest tak daleko. Nic, co

Imogen mogłaby mu powiedzieć, nie zrobi różnicy. Potem idzie do oddziału Westminster Bank, lecz żaden kasjer nie pozwala jej podjąć pieniędzy z konta ojca, choć ma przy sobie książeczkę czekową. W końcu wołają kierownika; wtedy Imogen postanawia wyjść, by uniknąć dalszych upokorzeń.

Nie wpadaj w rozpacz, upomina się w duchu. W ogóle o niczym nie myśl. Idź naprzód!

Wchodzi do Alpine Club przy Savile Row. Biuro jest zamknięte, ale portier otwiera drzwi. Imogen pyta o londyński adres Hugh Price'a, podając się za jego kuzynkę. Portier kręci głową. Pan Price, tłumaczy, nie mieszka w Londynie, poza tym obecnie służy w wojsku we Francji.

– Panienska trzęsie się z zimna, proszę, może panienska wejdzie, by się ogrzać.

– Bardzo to uprzejme z pańskiej strony, ale jestem już spóźniona.

Zapada zmrok, Imogen idzie szybko, by nie czuć zimna. Zdaje sobie sprawę, że powinna przebrać się w suche ubrania. W trzech hotelach pyta o nocleg, lecz wszystkie są zbyt drogie. Imogen wie, że pieniądze muszą wystarczyć jej na długo. Żaden z portierów hotelowych nie potrafi zarekomendować taniego noclegu dla młodej damy. W końcu Imogen udaje się do YWCA przy Baker Street, płaci dwa szylingi za kartę członkowską i łóżko w zimnym pokoju, wyposażonym wyłącznie w mały stolik i Biblię. Światło się nie pali, na łóżku obok ktoś chrapie. Imogen rozwiesza mokre ubrania i przykrywa się cienką pościelą, wciąż odziana w przemoczona bawełnianą halkę. Poszwy są mocno nakrochmalone i pachną naftaliną. Przy świetle księżycy Imogen czyta ogłoszenie wiszące na ścianie.

DO MŁODYCH MIESZKANEK LONDYNU

Czy twój wybranek nosi mundur? Jeśli nie, NIE SĄDZISZ, że powinien?

Jeśli jego zdaniem Ty i Twoja ojczyzna nie jesteście warte walki – czy uważasz, że on jest WART Ciebie?

Jeśli młody człowiek zaniedbuje swe obowiązki względem Króla i Ojczyzny, przyjdzie czas, gdy ZANIEDBA I CIEBIE.

Przemysł to – a potem zażądaj, by JUŻ DZIŚ ZACIĄGNAŁ SIĘ DO ARMII.

Imogen ma ochotę natychmiast zerwać plakat, wisi on jednak nad łóżkiem drugiej kobiety. Zresztą czuje się zbyt słaba, by wstać. Odwraca się plecami do plakatu, podkula nogi i ciasno otula się pościelą. Zapada w krótki, niespokojny sen. Chwilami popłakuje. Nienawidzi swoich łez. Myśli o innych dziewczynach, które płakały w tym pokoju. Gniewa ją, że stała się jedną z nich. Użala się nad sobą, bo nie ma się do kogo zwrócić o pomoc. Potem z kolei czuje gniew, bo przecież nie powinna nikogo potrzebować. O dwudziestej trzeciej dziewczyna z drugiego łóżka wstaje i ubiera się w ciemności, wkłada kombinezon i czapkę. Wychodzi bez słowa. Imogen zostaje w łóżku.

O piątej rano wariuje już z bezsenności. Próbuje odliczać od stu do zera, najpierw po angielsku, potem po francusku, niemiecku i szwedzku. Ale liczy za szybko i jej serce zaczyna walić jak szalone. Imogen odrzuca kołdrę, ubiera się w pośpiechu. Sukienka nadal jest mokra. W bladym świetle poranka dziewczyna idzie Baker Street i mówi do siebie bezgłośnie.

Jesteś beznadziejna. Nie wytrzymałaś jednej nocy. A nawet nie urodziłaś jeszcze dziecka, którym musiałabyś się opiekować.

Po chwili rozmawia z Ashleyem i z dzieckiem, zapewnia ich gorąco, że kocha dziecko bardziej niż samą siebie i że wyrośnie ono na cudownie dobrą istotę, odważną i szlachetną jak jego ojciec. Z każdą przecznicą słońce świeci coraz jaśniej. Na Cavendish Square jest już w miarę ciepło. Imogen nie było w domu przez dwadzieścia godzin. Przeszła osiem mil. Bołą ją nogi, czuje pieczenie na lewej stopie – pewnie odcisk. Jest zmęczona, głodna i brudna. Wściekła

na wszystkich ludzi, a przede wszystkim na siebie, bo robi tę jedną jedyną rzecz, której przysięgała sobie nie zrobić. Podchodzi do drzwi i obraca klucz w zamku.

W domu panuje cisza. Imogen widzi swe odbicie w lustrze wiszącym w korytarzu: zmierzwiłone krótkie włosy, cienie pod oczami. Schodzi na dół do kuchni. Matka stoi przy gazowej kuchence obok kucharki, w dłoni trzyma drewnianą chochlę. Imogen odzywa się oschłym tonem.

– Jeśli mamy wyjechać, życzę sobie wyjechać natychmiast. Nie zniosę Londynu ani chwili dłużej.

Kucharka odwraca wzrok i wpatruje się w garnek. Matka otwiera usta, chce odpowiedzieć, ale Imogen wyszła już z kuchni.

ROZEZNANIE



Mam listy Imogen. Każdej nocy zasypiam, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę je znalazłem. Każdego ranka wyciągam kuferek spod łóżka i podnoszę wieko, otwieram koperty i dotykam poźółkłej papeterii. Coś się zbliża – ale co? Dowiem się dopiero, gdy już się to stanie. Znaki są wszędzie dokoła. Na razie jednak nie potrafię ich zrozumieć.

Z kafejki internetowej w miasteczku wysyłam e-mail do Pricharda i opowiadam o znalezieniu listów. W domu nie ma telefonu, więc podaję prawnikowi numer komórki Mireille, na wypadek gdyby chciał się ze mną skontaktować.

Spędzamy noc na nieodległej farmie u przyjaciół Mireille. W dziewięć osób jemy kolację przy długim stole. Proste jedzenie i kolosalna ilość wina. Potem pozostali rozmawiają przy kominku po francusku. Ja, słuchając jednym uchem, patrzę w ogień i literuję słowo z mego notatnika – SOMMA – jak gdyby stanowiło klucz do całej zagadki. O północy Mireille staje przed kominkiem. Jej długi cień kładzie się na mnie.

– *On y va!* – woła. – Chodźmy wszyscy na spacer.

Nie ma księżycy, za to świecą gwiazdy. Galaktyka lśni nad naszymi głowami. Idziemy zwirowaną ścieżką przez gęsty las. Po mniej więcej dwudziestu minutach docieramy do wielkiego drewnianego krzyża na kamiennym postumencie. Żadnych napisów ani ozdób. Pojmuję, że to cel naszej przechadzki. Towarzystwo w miarę picia robiło się coraz weselsze. Teraz jedni opierają się o postument i piją wino wielkimi haustami, inni śpiewają i krzyczą pośród ciemnego lasu. Pytam każdą osobę po kolei o krzyż.

– Co symbolizuje? Kto go tu umieścił?

Patrzę na mnie z uśmiechem, ale nikt nie odpowiada.

W drodze powrotnej trzymam się z tyłu, pociągam wino z butelki i rozmyślam o listach. Jest ich siedemnaście (wszystkie wysłane z Anglii) oraz notka napisana w recepcji szpitala w Albert. Potem się urywają. W żadnym z listów nie znajduję ani jednej wzmianki o ciąży ani o tym, co mogło później stać się z Imogen.

– Może był jeszcze jeden – szepczę sam do siebie. – Może Ashley spalił ten najważniejszy list.

Ktoś odłączył się od grupy, stoi na drodze w ciemności i czeka na mnie. To Hélène.

– *Bonsoir*. Jak tam? Jesteś dziś jakiś milczący.

– Wszystko w porządku. Po prostu muszę przemyśleć parę rzeczy.

Hélène kiwa głową, zapala papierosa. Podaję jej butelkę z winem, dziewczyna wypija solidny łyk.

– Słyszałam, że poznałeś Mireille w barze. Kto kogo zaczepił?

Uśmiecham się i zawstydzony kręcę głową. Hélène się śmieje.

– Ha, wiedziałam, że ona zagadała do ciebie. Skąd dokładnie jesteś?

– Z Kalifornii.

Hélène powtarza to słowo, wypuszczając dym.

– Kalifornia. Mireille i ja zamierzałyśmy tam uciec, gdy miałyśmy po siedemnaście lat. Do Los Angeles. Oczywiście nie uważałam tego za poważny plan, ale ona pewnie nawet by się nie zawahała.

Hélène spogląda na mnie.

– Mireille jest moją przyjaciółką, od wielu lat. Opowiadała ci o swej przeszłości?

– Trochę.

Hélène podejmuje przerwany spacer, wzrok ma wbity w ziemię.

– Mówiła ci, że rozwiodła się zaledwie sześć miesięcy temu?

– Nie wspomniała daty.

– Musiałeś się zastanawiać, dlaczego siedzicie w tej starej brudnej dziurze, skoro jej rodzina mieszka o rzut beretem.

– Mireille ma tu rodzinę?

Hélène podnosi wzrok.

– Jeśli pójdziesz dalej lasem od tego krzyża, dojdiesz do ich domu w dziesięć minut.

– Nigdy o tym nie mówiła.

– W każdym razie oni wiedzą, że ty tu jesteś. Mireille poprosiła mnie, żebym wzięła od nich klucze od domu, i musiałam o wszystkim powiedzieć. Martwią się, że ona znów wpakuje się w jakieś kłopoty. Jej małżeństwo było jednym niekończącym się pasmem utrapień. Teraz wreszcie wróciła do szkoły, jakoś sobie radziła, aż tu nagle wraca do Pikardii, wcześniej niż planowała, bez powodu...

Dziewczyna uśmiecha się nagle.

– No, powód może by się znalazł. Posłuchaj, nie wiem, co jest między wami. Może ty też nie wiesz. Może Mireille nie wie. Ale pamiętaj, jest bardzo krucha, mimo że nigdy tego nie przyzna. Nie jest gotowa na znajomość z zupełnie obcym chłopakiem. Ale nie chciała mnie słuchać, mam więc do ciebie jedną prostą prośbę. Uważaj na nią. Niewykluczone, że będziesz musiał wykazać się cierpliwością, ale z Mireille jest tak, że gdy zaczniesz jej na czymś zależeć...

Hélène rzuca papierosa na ziemię. Kręci głową.

– To jej najlepsza cecha. A równocześnie najgorsza.

Gdy docieramy do domu, okazuje się, że inni zdążyli już się porozwalać na łózkach i kanapach. Leżą nakryci kocami. Młody farmer, właściciel domu, patrzy na mnie i szczyrzy zęby.

– Więcej łózek nie ma. Kto chce spać na dworze?

Mireille i ja spędzamy więc noc na zewnątrz, pod metalowym dachem. Leżymy na sianie, powiązonym w równe, sześciennie kostki, bardzo wysokie. Są cztery warstwy, jedna na drugiej, nocleg jest więc istic królewski. Mireille oddycha miękko, przewracając się z boku na bok.

– Nie marzniesz? – pyta mnie.

– Nie, jest OK.

– Mogę oddać ci któryś koc...

– Naprawdę, jest mi ciepło.

W tym momencie zrywa się zimny wiatr. Wirują suche liście na ziemi. Zasypiam, budzi mnie jednak głos Mireille.

– Tristanie, co myślisz o Pikardii?

– Cieszę się, że tu przyjechałem.

– Ja również.

Zaciągam mocno troki śpiwora i patrzę na mój oddech, zamieniający się w obłoczek pary. Niebo o świcie jest ciemnofioletowe. Gdy otwieram oczy, Mireille siedzi owinięta w koc i patrzy na horyzont.

– Powinniśmy się zbierać. Inni będą jeszcze spali ładnych parę godzin, a chciałabym dziś posprzątać dom.

Wracamy więc i przez resztę poranka zamiatamy podłogi pokryte grubą warstwą kurzu. Mireille idzie na górę, by zamieść sypialnię, ale po paru minutach wraca z triumfalnym uśmiechem, niosąc drewniane pudełko.

– Szachy mojego dziadka. Chcesz zagrać?

Siadamy po turecku przed kominkiem, by się ogrzać. Drewniane szachy są ręcznie wyrzeźbione i malowane. Brakuje królowych, zastępujemy je więc monetami jednoeurowymi. Mireille bierze jedną do ręki i krzywi się.

– Są strasznie szpetne. O wiele bardziej podobały mi się franki. Kto zaprojektował to brzydactwo?

– Pewnie Niemcy.

– Nie możemy o wszystko obwiniać Niemców – odpowiada Mireille z uśmiechem. – To nie fair.

Dziewczyna wybiera białe i szybko rozstawia pionki i figury na szachownicy.

– Widziałam, że rozmawiałeś wczoraj z Héléne.

Mireille podnosi skoczka, potem go odstawia. Otwiera grę pionkiem sprzed króla.

Po chwili wahania mówię:

– Héléne uważa, że nie jesteś gotowa na nową znajomość.

– Oczywiście, że nie jestem gotowa. – Mireille wzdycha. – W piątek, kiedy się poznaliśmy, byłam z Claire na kolacji. Mówiłam tylko o tym, jak dobrze jest mi samej. Wiem, że to niewiele, tylko małe mieszkanie. I studia. Ale to mimo wszystko moje własne życie.

Ja również ruszam się pionkiem spod króla. Mireille kręci głową.

– Tak dużo czasu zajęło mi nauczanie się, jak żyć samotnie. A teraz wszystko zapominam.

Przesuwa pionek spod królowej, biję go.

– Czyli Héléne miała rację.

– Nie.

Kręci głową, przesuwając gońca o jedno pole. Biję go. Wkrótce gra nabiera tempa, ale mam wrażenie, że reaguję tylko na ruchy Mireille. Dziewczyna spogląda na mnie.

– Héléne myśli, że nie jestem na nic gotowa, że powinnam zająć się rysowaniem i nie wychodzić z mieszkania. Ale co to za życie? I nawet gdybym była gotowa, by cię spotkać, skąd pewność, że ty bylibyś gotów? Byłeś gotów na spotkanie z prawnikami? Na całe to śledztwo? Nic nigdy nie przydarza się we właściwym momencie. Nigdy nie jesteśmy gotowi. Albo więc możemy szukać wymówek, albo...

– Albo co?

Mireille z uśmiechem przesuwając gońca.

– *Échec*.

Parę minut później Mireille wygrywa. Bezskutecznie próbuje udawać, że nie sprawiło jej to większej przyjemności.

– To był *le gambit danois*.

– Nie wspominałaś, że jesteś dobra w szachach.

– Nie jestem jakaś rewelacyjna, co najwyżej przeciętna – odpowiada ze wzruszeniem ramion. – Kiedy mieszkaliśmy na południu, miałam stary podręcznik i trochę się nauczyłam. Lubię nazwy ruchów. W szachach wszystko ma swoją nazwę.

Rozstawiamy szachownicę na drugą partię. Każde z nas wykonuje ruch pionkiem spod królowej. Potem ja wysuwam pionka spod gońca, Mireille go bije.

– *Le gambit dame, accepté*.

W połowie gry odzywa się nagle jej komórka. Mireille patrzy na numer na wyświetlaczu i wzrusza ramionami.

– *Je ne connais pas...*

Odbiera. Po kilku uprzejmych zdaniach po francusku przekazuje mi telefon.

– *C'est l'avocat anglais*. Jego francuski jest znacznie lepszy od twojego.

Przystawiam komórkę do ucha.

– Tu James Prichard. Liczę, że pańska przyjaciółka wybaczy mą okropną francuszczyznę. Niestety, dawno już wyszedłem z wprawy. Przechodząc do rzeczy: czy mogę zająć panu chwilę? Mam pewne informacje.

– Oczywiście.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, wspominałem panu o zasadach poufności w testamencie Walsinghama. Jak panu wiadomo, uniemożliwiają mi podanie panu pewnych szczegółów dotyczących spadku, zwłaszcza jego wartości.

Mireille patrzy na mnie znad szachownicy. Uśmiecha się i stuka wieżą w czarne pole.

– Ogarnęły mnie jednak obawy – ciągnie Prichard – że bez podobnej informacji może pan być... Jak by to ująć, niedostatecznie zmotywowany w swym dochodzeniu. Po prawdzie to raczej nie fair, że nie ma pan pojęcia, o jaką stawkę toczy się gra. Zwołałem więc zebranie powierników i zgodziliśmy się przekazać panu nieco detali. Naturalnie nadal obowiązują zasady poufności, do których przestrzegania się pan zobowiązał. Rozumie pan więc, że wszystko to musi zachować dla siebie. Nadal nie ma pan dostępu do e-maila?

– Nie w domu.

– Żaden problem. Podam panu kwoty przez telefon. Czy jest pan teraz sam? Wolałbym, aby nikt nie słuchał.

Wstaję i przechodzę do kuchni.

– Tak. Znaczący nikt nie słucha.

– Wyśmienicie. Powinienem wyjaśnić, że z powodów prawnych prościej będzie, jeśli nie przekażę panu wartości brytyjskiej części spadku. Wystarczy jednak, jeśli przedstawię zawartość portfolio C, czyli zagranicznego. Obejmuje ono część majątku pana Risleya, który był ciotecznym dziadkiem Walsinghama i pierwszym spadkodawcą, jak pan z pewnością pamięta. Portfolio to głównie akcje i majątek rzeczowy, o cokolwiek egzotycznym charakterze. Pan Rislej, powodowany względami podatkowymi, postanowił, że część fortuny trzymana będzie za granicą: metale szlachetne i tym podobne. Czy jest pan gotów?

– Tak.

– Po pierwsze, obligacje zagraniczne. Są nabywane automatycznie po tym, jak upływa okres zapadalności poprzedniego pakietu. Obecnie przedstawia się to następująco: obligacje szwajcarskie, do roku dwa tysiące jedenastego: trzydzieści dwa miliony czterysta pięćdziesiąt dwa tysiące dziewięćset pięćdziesiąt franków szwajcarskich. Obligacje japońskie, do roku dwa tysiące dwunastego: siedemset siedemdziesiąt cztery miliony jenów. Niemieckie obligacje trzydziestoletnie, do roku dwa tysiące szesnastego: czterdzieści trzy miliony marek. Mój Boże, czemu wciąż zapisują to w markach... A, oto przeliczenie: dwadzieścia dwa miliony trzysta pięćdziesiąt sześć tysięcy trzysta dziewięćdziesiąt euro.

Prichard chrząka.

– Następnie majątek trwały. Złoto w jednokilogramowych sztabkach, PAMP Suisse, Credit Suisse: czterysta sześćdziesiąt dwa kilogramy. Brytyjskie złote suwereny, przede wszystkim z mennicy Edwarda Siódmego, od roku tysiąc dziewięćset trzeciego do tysiąc dziewięćset dziewiątego: dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt osiem monet. Platyna, PAMP Suisse, sto dziewiętnaście kilogramów. Nieoszlifowane diamenty kupione w DeBeers w tysiąc dziewięćset piątym roku, obecnie ubezpieczone na kwotę sześciu milionów trzystu tysięcy franków szwajcarskich. Czy nadal się słyszmy?

Siadam na krześle przy stole kuchennym, ledwo docierają do mnie słowa Pricharda. Krzesło ma jedną nogę krótszą i kołysze się na boki.

- Tak.
- Teraz nieruchomości. Willa w okolicach Porto-Vecchio na południu Korsyki, wyceniana na pięć i pół miliona euro. Farma oliwna z zabudowaniami w Sant Llorenç des Cardassar, we wschodniej części Majorki, warta około jedenastu milionów euro. Nawiasem mówiąc, to średniowieczny zabytek. Podobno nad wyraz okazały. Osobiście nigdy nie byłem. Obecnie prowadzony jest tam hotel...
- Majorka?
- Najwyraźniej pan Risley przepadał za regionem śródziemnomorskim. Jest również niewielka posiadłość w prowincji Nyanza w Kenii, ale prawo własności do niej pozostaje kwestią sporną. Kłopotom nie ma końca. W każdym razie usunęliśmy ją z portfolio. Zbliżamy się do końca. Oczywiście łączna wartość tego majątku cały czas się zmienia. Podczas ostatniej wyceny, w styczniu, portfolio C warte było sto dwadzieścia dwa miliony czterdzieści sześć tysięcy czterysta sześćdziesiąt osiem franków szwajcarskich. I trzydzieści dwa centymy. Czy chce pan, abym podał, ile to w euro lub dolarach?
- Nie trzeba.
- Naturalnie mówimy wyłącznie o przybliżonych kwotach. Jeśli pojawi się spadkobierca, będą znaczące koszty prawne i administracyjne oraz podatki. Zmniejszy to wartość spadku, choć oczywiście nie opisałem panu całości majątku. Czy ma pan jakiegokolwiek pytania?
- Nie wydaje mi się.
- Jakże spokojnie przyjął pan moje informacje. Na wieść o stu milionach franków nawet głos panu nie zadrżał. Wiele mówi to o pańskim charakterze. Gdzie dokładnie pan teraz przebywa?
- W Pikardii. Jakieś czterdzieści mil na północny zachód od Amiens, niedaleko wybrzeża.
- Czy znalazł pan cokolwiek znaczącego?
- Te listy, o których panu pisałem. Wydaje mi się, że zerwali z powodu dziecka...
- Panie Campbell – przerywa mi Prichard. – Zapoznałem się z wypisami z tych listów, które raczył mi pan przesłać. Owszem, wspierają pańską hipotezę, ale pozostajemy w sferze poszlak. Potrzeba nam mocnego dowodu. Jest dziesiąty wrześnie, musi pan pilnować kalendarza. Może się panu wydawać, że miesiąc to dużo czasu. Ale co, jeśli zacznie pan panikować w miarę zbliżania się ostatecznego terminu? Czy zaplanował pan dalsze dochodzenie?
- Po prostu idę po śladach. Znam już całą historię do roku tysiąc dziewięćset szesnastego, kiedy Imogen tu przyjechała. Nie wiem, co wydarzyło się później.
- Doprawdy, czy to istotne? Kolejne informacje na temat panny Soames-Andersson niekoniecznie doprowadzą pana do pańskiej babki.
- To najlepszy trop.
- Być może. Jeśli jest pan na właściwej ścieżce. Doradzałbym powrót do Londynu, jeżeli nie ma pan lepszego planu, i rozpoczęcie poszukiwań od początku. Proszę nie zapominać, wystarczy tylko skrawek papieru. Właściwy skrawek papieru. Musi pan jedynie dowieść, że Imogen Soames-Andersson była matką Charlotte Grafton. Nic innego się nie liczy.
- Żegnamy się, oddaję Mireille komórkę i siadam przed kominkiem. Mireille patrzy na mnie znad szachownicy.
- Wygrałam. Znam każdy ruch, który możesz wykonać. Żaden ci nic nie da. Nie musimy już grać.
- Mimo wszystko dokończmy.
- Skoro sobie tego życzysz – odpowiada dziewczyna, wzruszając ramionami. – Czego chciał twój prawnik?
- Nie jest moim prawnikiem. Pracuje dla kogoś innego.

- *Oui, je comprends.* Ale co mówił?
 - Że jeśli szybko czegoś nie znajdę, powinienem wracać do Londynu.
 - To wszystko? – pyta Mireille, marszcząc brwi.
- Biorę jeden z pionków i przesuвам go o dwa pola. Patrzę na Mireille.
- Jeśli dostanę spadek, będę bogaty.
 - To już przecież wiedziałeś.
- Dziewczyna podnosi wieżę. Polerowany mahoń lśni w świetle ognia.
- Szach i mat.



19 grudnia 1916

La Calotterie

Pais-de-Calais, Francja

Oficerowie mają wolny wieczór. Siedzą wokół koksownika w porzuconej stodole, służącej od tygodnia jako kwatera dowództwa. Za godzinę wybierają się na kolację w małej gospodzie w pobliskiej wiosce. Na razie czekają.

Ashley czyta książkę z kocem zarzuconym na ramiona. Jeffries i Bennett grają w pikietę. Muszą trzymać karty blisko koksownika, by móc je zobaczyć w nędznym świetle.

Wchodzi porucznik Ismay, po pas uwalany zmarzniętym błotem. Skończył właśnie zmianę. Niedawno przeniesiono go z trzeciego batalionu. Jest wysoki, ma czarne włosy i oczy w różnych kolorach, jedno brązowe, drugie jasnozielone. Na Ashleyu zawsze robi cokolwiek złowrogie wrażenie; zdaje mu się, że porucznik zawsze przygląda się czemuś za jego plecami. Ismay ziewa, owija się kocem i przysuwa krzesło do Ashleya. Wyciąga torebkę fistaszków i zaczyna je łuskać. Opiera buty na koksowniku. Okrywający je lód topi się i skwierczy w zetknięciu z rozpalonym żelazem.

– Zniszczysz sobie podeszwy – zauważa Ashley.

– Tylko się chwilę rozgrzeję.

Ashley próbuje skupić się na lekturze, ale panuje zbyt duży hałas, a ziąb w stodole nie pozwala odsunąć się od koksownika. Ponownie czyta te same zdania.

Zrozumiecie, każdej nocy widzę mych towarzyszy z Matterhornu, jak zsuwają się na plecach z wyciągniętymi ramionami, jeden za drugim, w idealnie równej odległości – najpierw Croz, przewodnik, potem Hadow, Hudson i na końcu Douglas.

Jeffries i Bennett skończyli grę, teraz oficerowie przekazują sobie plotki dotyczące następnego odcinka, na który ma zostać rzucony batalion. Ashley zamyka książkę. Owija się kocem, aż widać mu tylko oczy. Z zimna drżą mu kolana. Bennett zastanawia się, czy jest najmniejsza szansa, by batalion został przeniesiony z Francji.

– Podobno adiutant wspominał coś o Palestynie.

– Pogłoski – przerywa Ashley. – Bezwartościowe pogłoski.

– Po prostu brak ci wiary. Zawsze ci jej brakowało.

Jeffries zabiera Ismayowi ostatnie fistaszki i wrzuca torebkę do koksownika. Potem wskazuje podbródkiem na Ashleya.

– Nasz szef siatki szpiegowskiej wierzy w pistolet kajzera.

– Owszem – mówi Ashley. – To żadna plotka.

– Nie słyszałem nic o pistolecie cesarza – wtrąca się Bennett.

– Bo to nie plotka – powtarza Ashley. – Prawda nie rozprzestrzenia się tak szybko.

Ashley z uśmiechem odchyła się na krześle. Wyjaśnia, że niemiecki cesarz – jak każdy strateg – woli planowanie wojny od rzeczywistych kampanii. Kocha mundury, nosił mundur na długo przed 1914. Przy pasie ma kaburę z eleganckiej skóry, a w kaburze posrebrzany rewolwer Chamelot-Delvigne. Nigdy nie rozstaje się z tą bronią. Na rękojeści rewolweru, wykonanej z kości słoniowej, wygrawerowano literę V oraz koronę. Broń jest bowiem prezentem od babki cesarza, również koronowanej głowy.

– Wiktorja – mruczy Ismay. – Zmyślona historyjka.

– Wcale nie – zaprzecza Ashley. – To najprawdziwsza prawda.
– Czemu nie wymieni rewolweru?
– Może lubił starszkę – żartuje Bennett.
– Chodzi o coś więcej – powiada Ashley. – Nie bez powodu zachował ten rewolwer, nawet jeśli sobie tego nie uświadamia.

Jeffries śmieje się i kręci głową.

– Jakież więc jest ten powód?
– Cesarz pragnie pamiętać, kto jest wrogiem.
– Czyli?

Ashley znów się uśmiecha, jednak nie odpowiada. Oficerowie wstają i zaczynają się przebierać do kolacji. Bennett rozczesuje grzebieniem włosy. Nagle odwraca się do Ashleya.

– Sądziś, że strzelał z tego pistoletu do jakiegoś Anglika?
– Co najwyżej do angielskiej sarniny. Od mokrej roboty ma innych ludzi.

Noc jest bezwietrzna, lecz mroźna. Gospoda znajduje się w centrum na wpół zburzonej wioski, naprzeciwko *boucherie* zrównanej całkowicie z ziemią. Na razie lokal ocalał i ocalały wyszczerbione marmurowe stoliki, żelazny piec i rozstrojone pianino. Właścicielka otwiera drzwi. Białe włosy ma upięte w ciasny kok. Żywo zaprasza ich do środka.

– *Bonsoir* – woła donośnym głosem. – *Entrez, messieurs, entrez!*

Sala jest pusta, oficerowie wybierają stół przy piecu. *Madame* odbiera ich płaszcze i pokrzykuje na dwie kelnerki. Anglicy mają dostać i klaret, i chardonnay – do wyboru. Niestety, nie ma szampana. Jedna z dziewczyn przynosi wino, druga dokłada drwa do ognia. Jeffries zamawia, cokolwiek jest w kuchni, najlepsze jedzenie.

– *On prend le Bordeaux, je crois* – mówi.

Blondynka odkorkowuje wino i rozlewa je do kieliszków. Jeffries unosi jeden z nich w toaście.

– Za żony i kochanki.

Inni też unoszą kieliszki i odpowiadają unisono:

– Oby się nigdy nie spotkały.

Klaret jest bardzo wytrawny. Początkowo Ashley pije niewiele. *Madame* przynosi zupę cebulową, oficerowie jedzą ze smakiem. Rozmawiają o odznaczeniach wojskowych i o tym, że w niektórych regimentach bardzo trudno dostać medal. Ismay zamawia kolejną butelkę, jeszcze zanim zostaje opróżniona pierwsza. Jeffries wspomina o Krzyżu Wiktorii, Ismay prycha.

– To dopiero jest nie fair. Człowiek może cały dzień siekać fryców i ratować rannych, ale jeśli w okolicy nie ma oficera, który by go zobaczył, wróci do domu z pustymi rękami. Świadectwo pięćdziesięciu szeregowców warte jest mniej niż świadectwo jednego porucznika.

Madame stawia przed nimi półmisek homarów w majonezie, każdą porcję ozdabia liść sałaty.

– Gdybyśmy brali za dobrą monetę słowa szeregowców, musielibyśmy rozdawać ordery razem z przydziałem rumu – stwierdza Jeffries.

– Banialuki – odpowiada Ismay. – Weźmy naszego szefa siatki szpiegowskiej.

Wszyscy spoglądają na Ashleya. Ismay jednym kęsem połyka cały liść sałaty i wyciera usta.

– Słyszałem o twojej przygodzie na reducie. Dzielnieś sobie poczynał. Mogłeś dostać za to Krzyż Wiktorii, ale nie utrzymałeś okopu. Nie twoja wina, oczywiście. Niemniej miałeś szczęście, że w ogóle dali ci jakieś odznaczenie. Armia powinna była się już zorientować, że sukces nie ma nic wspólnego z odwagą. Na razie jednak nikt się nie połapał.

Ashley milczy. *Madame* przynosi cztery miseczki *blanquette de veau*, potrawy z łopatki

cielęcej z marchewką i cebulą w białym sosie, lśniącym od śmietany i masła. Oficerowie jedzą z zadowoleniem. Ismay wychyla kolejny kieliszek klaretu.

Po drugim daniu jasnowłosa dziewczyna wnosi kawałek dojrzalego camemberta na starej tacy. Ashley odkrawa kawałek, Ismay częstuje kelnerkę niewybrednymi dowcipami. Brunetka dolewa im wina. Ashley gawędzi z nią o geografii regionu. Rozmowa dobiega do uszu Ismaya, który natychmiast się wtrąca.

– *Le jeune lieutenant est très brave* – mówi. – *Très brave*. Zdobył niemiecki okop, mając u boku zaledwie kilku ludzi. Całe bataliony nie zdołały tego dokonać...

Ashley krzywi twarz, ale dziewczyna przygląda mu się z ciekawością.

– *C'est vrai?*

– *Non* – odpowiada Ashley. – Niemcy myśleli, że jest nas więcej, i zarządzili odwrót. To tyle. Potem wrócili.

Młody porucznik, powtarza uparcie Ismay, jest naprawdę *très brave*. Nóżką pustego kieliszka wskazuje mundur Ashleya i dodaje po francusku, aczkolwiek z wyraźnym angielskim akcentem:

– Widzisz tę fioletowo-białą wstążkę? To angielski *Croix de Guerre*.

Dziewczyna zaczyna coś mówić, ale w tym momencie wkracza *madame* z pudełkiem cygar Upmann. Oficerowie biorą po jednym. Pojawia się butelka brandy. Ismay przeprosza dziewczęta, gdy pozostali zapalają cygara i rozlewają trunek do kieliszków.

– Wszyscy jesteście żonaci – mówi. – Tak tylko sobie żartujemy.

Blondynka reaguje uśmiechem, lecz brunetka przygląda się uważnie oficerom. Kręci głową.

– *C'est pas vrai.*

– W porządku, w takim razie wszyscy jesteście kawalerami – rzuca Ismay. – Nawet lepiej. Żal, jeśli żonkoś ginie w boju.

– Nie wszyscy jesteście kawalerami – mówi brunetka, patrząc na Ashleya. – Ten tu jest żonaty. Albo zaręczony. Widać to po nim wyraźnie.

– On? Wyobrażasz sobie, że jakkolwiek kobieta chciałaby go poślubić? – kpi Ismay.
– Nawet Angielka?

Wszyscy wybuchają śmiechem. Oficerowie dopalają cygara. *Madame* sumuje rachunek kredą na małej tabliczce i stawia ją na stole. Ismay nachyla się, by odczytać kwotę, ale wywraca kieliszek. Klaret zalewa obrus. Oficer klnie głośno po angielsku.

– Rozbój w biały dzień. Siedemnaście franków za butelkę rozwodnionej brandy? Dwa razy więcej niż w zeszłym roku.

Madame sprząta ze stołu i składa zaplamiony obrus. Omiata oficerów dociekliwym spojrzeniem.

– *Il y a une problème?*

Jeffries zapewnia ją, że wszystko w porządku, zbiera od kompanów pieniądze i wręcza jej odliczoną kwotę. Wychodząc z knajpki, Ashley kładzie dwie dziesięciofrankowe monety na kontuarze w rogu. Omiata wzrokiem zakurzone butelki. Prosi o butelkę brandy na wynos. Po chwili jednak mruży oczy.

– *Non, je prends l'Armagnac.* Ten na górze, boingnères. Mogłaby pani odkorkować?

– *Bien sûr* – odpowiada właścicielka i zręcznie wyciąga korek. Ashley bierze butelkę i wciska go z powrotem. Resztę pieniędzy zostawia na napiwek. Kelnerki stoją ceremonialnie przy wyjściu, jedna przytrzymuje plecami otwarte drzwi. Ashley życzy im dobrej nocy. Potem, idąc z towarzyszami, rzuca ostatnie spojrzenie w stronę knajpki.

Ismay o mało nie przewrócił się na śliskich schodkach, Bennett złapał go w ostatniej

chwili. Ashley podaje Jeffriesowi butelkę armaniaku.

– Z podnóża Pirenejów. Aż go szkoda dla takich filistrów jak wy.

Jeffries podziwia przez chwilę butelkę. Próbuje przeczytać etykietkę przy świetle księżycy i omal nie upuszcza trunku.

– Dobry z ciebie chłop. Rozumu też ci nie brakuje. Lepiej wypijmy. Żal, żeby się zmarnowała, jeśli przeniesiemy się na tamten świat.

– Święte słowa. – Ashley szczyrzy zęby. – Szkoda, że nie mamy kieliszków.

Jeffries puszcza butelkę w obieg. Od kwatery w La Calotterie dzieli ich piętnastominutowy spacer. Droga jest ciemna i pusta, czasem tylko gdzieś w dali błysnie fluorescencyjna flara, opadająca po niebie. Ismay pogwizduje *Any Time's Kissing Time*. Jak zwykle słychać nieustające, przytłumione dudnienie artylerii.

Oficerowie idą ścieżką przez leżące odłogiem pola buraków. Chwilami potykają się albo trafiają stopą w kałużę i obryzgują sobie cholewy błotem. Ismay przekazuje Ashleyowi butelkę i obejmuje go ramieniem. Tłumaczy, że nie ma nic do Ashleya ani do tej historii z Redutą Cesarzowej. Ashley to świetny oficer, może najbardziej odważny w całym batalionie. Ismay słyszał o historii z dziewczyną. Gdy mówi, jaśnieją mu oczy. Nos ma czerwony od mrozu, a spod czapki na czoło opada ciemna grzywka.

– Nie zabawimy tu długo – mówi. – Lada dzień znów wrzucą nas w maszynkę do mięsa, więc nie ma znaczenia, co tu mówimy, o ile nie są to kłamstwa. Nie ma sensu, by tak rzec, owijać w bawełnę.

Jeffries przestaje śpiewać, chwytając opróżnioną już do połowy butelkę.

– Na litość boską, zostaw naszego biednego szpiega w spokoju. Ostatnie, czego mu teraz trzeba, to twoje dobre rady.

– Śpiewaj dalej – odpowiada Ismay. – Rozmawialiśmy sobie o *Fauście* Marlowe'a. Z szefa naszej siatki szpiegowskiej jest nader oczyniany gość. Ze mnie również.

Jeffries i Bennett idą przodem. Ismay odwraca się do Ashleya. W jego oddechu czuć ciężką mieszaninę wina i brandy.

– A teraz posłuchaj. Byłem w takich samych tarapatkach. Wiem, wiem, na pewno myślisz, że twoja sytuacja jest absolutnie wyjątkowa. Zaręczyłem się z uroczą dziewczyną. Zналиśmy się od dzieciństwa. Przez cztery miesiące pisaliśmy do siebie niemal każdego dnia. A potem, kiedy byłem w Loos, przyszedł list. Informowała mnie, że zadała się z jakimś nędznym typkiem. Zrobiłem to co ty, aczkolwiek skutki były mniej pomyślne. Nocny patrol, wziąłem ze sobą, ilu mogłem wziąć. Nie zdobyliśmy jednak żadnego okopu. Mało wtedy rozumu nie postradałem, chyba chciałem zginąć. I po co? Lepiej zapalmy.

Ashley wyjmując z kieszeni srebrną papierošnicę i wyciąga dwa papierosy.

– Gdybym to ciągnął – kontynuuje Ismay – zgniłbym w Delville dla dziewczyny, która ani nie pofatygowałaby się na mój pogrzeb, ani w ogóle nie poświęciłaby mi jednej myśli. Kiedy wylądowałeś we Francji?

– W sierpniu.

– Widziałeś już trochę ponurych scen, no nie? Ale przeżyłeś. Nie bez powodu. Więc nie pozwól, by wszystko to skończyło się przez jakąś dziewczynę. Pamiętaj, Walsingham, kimkolwiek by ona była, jest tylko dziewczyną. Pamiętaj.

– Spróbuję.

– Powinieneś wrócić do naszej gospody i zagadać do tamtej brunetki. Zauważyłem, jak się jej przyglądałeś.

Ashley kręci głową i zaciąga się papierosem.

– Może po prostu miałem dosyć widoku twojej fizys.

– Niewykluczone. Posłuchaj, ja tylko chcę postąpić przyzwoicie. Zrobisz, co zechcesz. Ale gdybym się w porę nie opamiętał, byłbym już martwy z powodu jednej gąski, dla której dziś już nawet nie przeszedłbym na drugą stronę ulicy. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Ismay cofa rękę.

– Walsingham, co robiłeś przed wojną?

– Studiowałem w Cambridge.

– No jasne. Ale co tak naprawdę robiłeś? Lubię wiedzieć, co jest ważne dla takich jak ty.

– Masz na myśli: co było ważne.

– I pewnego dnia znów będzie. Polowanie na lisy? Snooker? Jesteś może jednym z tych gości, co to podróżują dokoła świata, żeby oglądać dzikie gęsi przez lornetkę?

– Lubiłem wspinaczkę.

– Dla sportu?

– A dlaczegoż by innego?

Ismay kręci głową.

– Wspinaczka dla sportu – powtarza. – Brzmi niebezpiecznie.

– Pestka w porównaniu z Francją.

– Prawda – przytakuje Ismay. – Wszystko błędnie w porównaniu z Francją. Opowiedz coś o tym. Przywiązujesz się liną do innego faceta i włączacie na jakąś wysoką i oblodzoną górę?

– Mniej więcej.

– A co, jeśli tamten zleci?

– Wolałbym nie.

– A jak już?

– Naprawdę, wolę unikać podobnych sytuacji.

– Walsingham – Ismay szczyrzy zęby – może i dziwny z ciebie gość, ale i tak cię podziwiam. Drugiego takiego jak ty ze świecą szukać. I powiem ci jeszcze, że wiesz, jak radzić sobie z głupcami.

– Niezła mówka.

Ismay kiwa głową.

– Powiedz mi coś. Kiedy zdobyłeś ten okop: jak to jest być pierwszym, który postawi tam nogę? Wiele razy próbowałem sobie wyobrazić...

Ashley odrzuca papierosa, ale nie odpowiada. Ismay się uśmiecha.

– Powinieneś wrócić do tamtej brunetki.

Dwaj pozostali już nie śpiewają. Jeffries czeka na Ashleya i Ismaya. Przygląda się Ashleyowi z zaciekawieniem.

– Gdzie twoja czapka?

Ashley maca głowę dłonią.

– Diabli nadali. Musiałem ją tam zostawić. Lepiej po nią wróć.

– Daj sobie spokój – mówi Jeffries. – Znajdzie się na pewno jakaś zapasowa. A rano pošlesz po swoją.

– Albo po prostu tam teraz wróci – rzuca Ismay.

– Albo wróci. Gdzie, do diaska, jest Bennett?

Oficerowie domyślają się, że Bennett poszedł przodem. Nawołują go, ale bez skutku. Ismay jest szczególnie poirytowany – Bennett niósł butelkę armaniaku.

Gdy docierają do obrzeży La Calotterie, Ismay ledwo trzyma się na nogach. Ashley i Jeffries biorą go pod rękę i prowadzą do miejsca zakwaterowania – wiejskiego domu, którego ściany wykonane są z drewnianych bali zbitych pod najdziwniejszymi kątami. Zostawiają kompana na podwórzu przed wejściem. Leży w zamrzniętym błocie, jęcząc i marudząc.

– Mam do was, drodzy koledzy, tylko jedno pytanie. Macie no może na służbie stangreta, szofera, ogrodnika czy myśliwego, który powinien spełniać obowiązek wobec króla i ojczyzny?

– Wystarczy – mówi Jeffries.

– Czy ktoś pielęgnuje wam ogród, choć powinien kopać okopy?

– Cicho.

Ismay wstaje i rzuca im teatralne spojrzenie.

– Pytam, panowie, macie no kogoś, kto dba o waszą zwierzynę, choć winien zadbać o kraj?

Ashley bierze Ismaya pod ramię.

– Odprowadzę go. Nie musimy obaj się narażać na gniew miejscowych.

Stara pani domu stoi ze świecą, gdy Ashley wciąga Ismaya po schodach. Jego buty zostawiają na dywanie grudki czarnego lodu. Gospodyni zaczyna więc swą standardową tyradę przeciwko Anglikom, ma jednak mocny pikardyjski akcent i Ashley nie rozumie większości przekleństw. Ismay woła do niej:

– *Madame*, mogę pani jedynie odpowiedzieć pytaniem! Jest no tu może ktoś, kto usługuje do stołu, choć powinien raczej obsługiwać karabin?

Kobieta mruży oczy z pogardą. Przytrzymuje otwarte drzwi sypialni, a Ashley rzuca Ismaya na łóżko. Kobieta zapala lampę olejną i zaczyna lamentować, wskazując prześcieradło uwalane zlodowaciałą ziemią. Ashley obiecuje, że pościel zostanie uprana. Próżny trud. Stara gospodyni, wyklinając, znika w swojej sypialni. Ismay leży w płaszczu, Ashley ściąga mu buty i nakrywa go prześcieradłem.

– Szpiegu – mruży Ismay. – Dobry stary szpiegu...

Ashley siada na krześle i przez moment zastanawia się nad sytuacją. Pokój wiruje mu przed oczami. Żeby tylko móc się skupić. Tę zagadkę da się rozwiązać. Ale jak brzmi pytanie? Ismay macha ręką, przywołuje Ashleya i mruży coś niezrozumiałego. Ashley podchodzi do łóżka.

– Wyjdziemy z tego cało, no nie? – bełkocze Ismay.

– Przepraszam?

– Damy im popalić. Nawet ty musisz się z tym zgodzić.

– Sam nie wiem, Ismay – odpowiada Ashley, kręcąc głową.

– Mam na imię Edward.

– Nie wiem, Edwardzie.

Ismay unosi się i mocno chwyta ramię Ashleya.

– Nie wracam. Nie ma głupich, rozumiesz? Nikt mnie nie zmusi. Mogą mnie nawet zastrzelić.

– Uspokój się.

– Myślisz, że boję się śmierci? Gotów jestem umrzeć jak każdy.

– Milcz, Edwardzie. Uspokój się.

– Nie wrócę tam, słyszysz?

Ismay odrzuca pościel i zaczyna łąpać powietrze nerwowymi haustami. Ashley boi się, że towarzysz zaraz zacznie wymiotować, chwyta więc miednicę i podtyka ją pod nos Ismaya. Ktoś wali do drzwi piętro niżej, domagając się ciszy. Ashley przeklina i upuszcza miednicę na podłogę.

– Pokonamy ich – obiecuje.

– Pokonamy – powtarza Ismay. – Tyle że najpierw oni nas, kurwa, wykończą.

Ismay wtula twarz w poduszkę. Raptem zrywa się i szeroko otwartymi oczami patrzy na Ashleya.

- Myślisz, że wyjdziemy z tego cało?
- Na pewno.
- Cholerny łgarz.

WIADOMOŚĆ



Mireille i ja zatrzymujemy się w kafejce internetowej parę mil od domu. Sprawdzamy pocztę na starych komputerach, w tle słychać warkot lodówki z napojami. Klawiatura lepi się od brudu.

W mojej skrzynce jest jedna nowa wiadomość, nie rozpoznaję nadawcy. Przewijam stronę na sam dół: Gregory Bailey, Archiwa Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Czytam wiadomość i zaraz wołam Mireille. Dziewczyna nachyla się nad moim monitorem.

– O co chodzi?

– Znaleźli telegramy.

Wyjaśniam, że komitet wyprawy na Mount Everest z 1924 zachował kopie wszystkich telegramów wysłanych do jej członków. W Londynie wystąpiłem o ich udostępnienie. Parę tygodni zajęło, nim znaleziono je w magazynie i zeskanowano. Klikam na zdjęcia starych telegramów, żółto-różowych blankietów z trudnymi do odcyfrowania wiadomościami wydrukowanymi czerwonym tuszem. Jeden zwraca moją uwagę.

2 KWIETNIA 1924

IMOGEN SOAMES-ANDERSSON HOTTINGUER ET CIE RUE DE PROVENCE 38
PARIS

PROSZĘ PRZEŚLIJ MI ADRES NAPISAŁEM NA POSTE RESTANTE W BERLINIE
POCZTA GŁÓWNA WRACAM DO ANGLII W SIERPNIU ZAWSZE TWÓJ ASHLEY

Mireille patrzy na mnie i z niedowierzaniem kręci głową.

– Byli w kontakcie. Ale co to znaczy?

– Zaczekaj.

Wyszukuję „Hottinguer et Cie” i dowiaduję się, że Banque Hottinguer był prywatnym bankiem założonym w Paryżu w 1786 roku. Wchodzę na internetową encyklopedię i sprawdzam hasło „poste restante”.

Poste restante (fr., dosłownie „poczta pozostająca”). Usługa polegająca na dostarczeniu przesyłki pod adres dowolnego urzędu pocztowego, gdzie przesyłka oczekuje na adresata. Częsty sposób kontaktu z osobami, które przebywają w danym miejscu tymczasowo i nie mają sposobu, by odbierać korespondencję bezpośrednio w miejscu aktualnego zamieszkania.

Mireille patrzy na mnie.

– A więc nie mieszkała w Paryżu?

– Nie sądzę. Tam trzymała pieniądze. Ale sama najwyraźniej znalazła się w Berlinie.

– W takim razie jak dostała telegram?

– Pewnie bank jej przekazał. Wiele osób używało tej metody podczas podróży, widziałem w archiwach. Po prostu dawałaś bankowi znać, w którym hotelu się zatrzymasz.

– Nie rozumiem. Ta wiadomość o niczym nie informuje.

– Wręcz przeciwnie. Muszę się tylko zastanowić...

Wpatruję się w skan na ekranie komputera. Myślę o Ashleyu, wysyłającym telegram z jakiejś miejscowości w Indiach albo odległej himalajskiej krainy. Myślę o Imogen. Co robiła w Berlinie? Dlaczego Ashley do niej pisał? Patrzę na Mireille.

– Brał udział w wyprawie. Był na drugim końcu świata i chciał wysłać do niej list. Mireille kręci głową. Chwytam ją za rękę.

– Tylko posłuchaj. Nie miał adresu Imogen, ale znał jej bank. Pewnie wiedział też, że ona jest w Berlinie. Więc napisał na poste restante na berlińską pocztę główną, a potem wysłał ten telegram z informacją, że czeka na nią list!

Drukuję skan. Mireille idzie do kasy, żeby zapłacić.

– Wyjdźmy stąd – mówi.

Stajemy przed wejściem, przy mało ruchliwym skrzyżowaniu. Większość sklepów w miasteczku jest nieczynna. Mireille wyciąga papierową torebkę z tytoniem, bierze szczyptę i sprawnie rozkłada ją na bibułce. Podnosi na mnie wzrok.

– *Tu veux aller à Berlin?*

– Nie mam wyboru.

– Przecież ten telegram nie ma nic wspólnego z twoją babcią. Uganianie się za nim nie przybliży cię do zdobycia pieniędzy. Nie wiesz nawet, jak wiele czasu Imogen spędziła w Berlinie...

Chowa zwiniętego papierosa do kieszeni.

– Ani nawet czy w ogóle tam była – dodaje. – Może on tylko zgadywał? Może ona nigdy nie dostała telegramu?

Mijamy *boulangerie*. Kraty w oknach są zasunięte. Wieje ostry wiatr, Mireille zapina kurtkę pod samą szyję.

– Nie masz nawet adresu, który mógłbyś sprawdzić.

– To prawda.

– Ale i tak pojedziesz.

– Wiem, że to się wydaje szalone. Staralem się postępować logicznie. Grzebałem w archiwach. Nic to jednak nie dało. Aż w końcu po prostu postanowiłem zaryzykować, jak wtedy, gdy pojechałem do Leksand albo gdy przyjechałem tu z tobą. I za każdym razem coś znalazłem. Prichard mówił mi to samo, w archiwach nic nie ma, więc jedyne, co może zadziałać...

Mireille mijają nasz samochód i kręci głową.

– Zadziałać – powtarza. – Wiele się już dowiedziałeś. Ale nie znalazłeś niczego, co pozwoli ci zdobyć pieniądze. Myślisz, że jest ci teraz lepiej niż wtedy, gdy nie wiedziałeś o całej tej historii? Jesteś ciągle podenerwowany, martwisz się o sprawy, na które nie masz wpływu, o dawno minione wydarzenia. Wydajesz na te szalone poszukiwania wszystkie oszczędności. A teraz chcesz jechać do Berlina. Czego tam będziesz szukał?

– Nie wiem. Urzędu pocztowego.

Mireille unosi dłoń.

– W ogóle cię nie rozumiem. Nie wiem, czego chcesz. Mówisz, że nie dbasz o pieniądze, ale dla tej historii gotów jesteś pojechać na koniec świata. Skoro tak ci tęskno za podróżami, dlaczego nie do Amsterdamu, Brukseli albo do Genewy? Błądzisz po omacku. Nie dasz rady tego ciągnąć. Ile zostało ci pieniędzy?

– Wystarczy, by dostać się do Berlina.

– *Et après?* Co spodziewasz się tam znaleźć? Sto milionów franków szwajcarskich? Nawet ty nie jesteś tak szalony. Wydaje ci się, że na końcu znajdziesz rozwiązanie...

– Musi być jakieś zakończenie.

– Nie, nie musi. *Même si...*

Przerywa, poirytowana. Kręci głową i wpatruje się w pustą ulicę.

– Nawet jeśli było zakończenie, może już od dawna nie da się go znaleźć? Może jest

powód, dla którego powinno pozostać nieznanie? A gdyby nawet ci się poszczęściło, może to nie będzie zakończenie, którego pragniesz?

– Dotąd los mi sprzyjał. Znalazłem listy. Znalazłem ciebie.

– I właśnie ja proszę, żebyś nie jechał do Berlina. Zostań tutaj. W przyszłym tygodniu wrócimy do Paryża.

Zatrzymuję się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Mireille staje przed oknem małej *mercerie*, plecami do mnie, i patrzy na czarne i kremowe koronki.

– Proszę, daj mi tylko miesiąc – mówię. – Potem wszystko się skończy.

Dziewczyna potrząsa głową, odwraca się i rusza przed siebie. Idę za nią.

– Nie chodzi o to, że tak bardzo mi na tobie zależy – oznajmia. – Jesteś dla mnie nikim.

Nie dostrzegasz, co dzieje się dokoła ciebie ani co to wszystko znaczy. Martwi mnie, że gdy przydarza ci się coś wspaniałego, natychmiast wskakujesz w pociąg i odjeżdżasz, oczekując kolejnych wspaniałości.

– Wcale nie.

– Oczekujesz tego – ciągnie Mireille. – Ale to nie jest prawdziwe życie. *C'est une conte.*

Bajka. Zapomnij o prawnikach i pieniądzach. Pieniądze nigdy nic ci nie dadzą. Zapomnij o umarłych i o ich historii, która pewnie nawet nie jest prawdziwa. Co z naszą historią? Jakie były szanse, że się spotkamy, że bez powodu wejdiesz akurat do tego właśnie paryskiego baru? Że usiądę obok ciebie? Czy to za mało? A może tę historię docenisz dopiero za dziesięć lat, za sto lat, gdy ja już umrę, a ty nie będziesz mógł nic z tym zrobić?

– Nie wiedziałem, że tak o tym myślisz.

Próbuję położyć jej dłoń na ramieniu, ale Mireille wrywa do przodu.

– Bo nie myślę – mówi. – A nawet gdyby, ty i tak pojechałbyś do Berlina.

– Wróć. Wróć natychmiast, gdy skończę.

Mireille zatrzymuje się i odwraca ku mnie. Łzy zmieszane z tuszem do rzęs spływają jej po policzkach. Wyciera twarz rękawem i dumnie unosi podbródek.

– Nie – odpowiada. – Jestem pewna, że nie wrócisz.



30 grudnia 1916

Jezioro Ejen

Dalarna, Szwecja

Eleanor zawsze budziła się pierwsza. Świt – mglista biała poświata pośród krajobrazu przykrytego grubą kołdrą śniegu – wstawał późno. Eleanor zrywała się z pierwszym brzaskiem, jak gdyby jej ciało pragnęło wchłonąć tyle światła, ile się da, z tej ponurej północnej zimy.

Problem z Imogen nie polegał na tym, że spała do późna, ale na tym, że w ogóle nie wstawała z łóżka. Dni były krótkie i ponure. Siostra, zwlekając się wreszcie w południe, miała przed sobą niecałe trzy godziny słońca. Każdy byłby w takiej sytuacji przygnębiony. Eleanor zastawała więc Imogen leżącą z otwartymi oczami i pustym spojrzeniem, z twarzą zwróconą ku wąskiemu pasemku szarego światła między grubymi zasłonami. Eleanor rozsuwała zasłony. Imogen leżała jak wcześniej, jej wzrok wybiegał poza kwadratowe szyby okien.

– Kochanie – mówiła Eleanor – powinnaś po prostu sama odsłonić okno.

Potem nachylała się nad siostrą i całowała ją lekko w czoło.

Leksand zdawało się Imogen całkiem obce. Lecz przede wszystkim obce zdawało się jej własne życie. Jak gdyby odbywała wyrok: cała zima w surowej chacie na północnych krańcach cywilizacji, kwarantanna w towarzystwie siostry i starej szwedzkiej gospodyni. Nie chodziło o sam dom, o śnieg, o samotność i izolację. Często o tym marzyła. Bolało ją jednak to, w jaki sposób owo życie się dla niej zaczęło.

Często odtwarzała w myślach ciąg wydarzeń, które ją tu doprowadziły, ale nigdy nie udało jej się pojąć, gdzie popełniła błąd lub występki, skazujące ją na tę okropną sytuację – tym gorszą, że nieodwracalną. Gdyby tylko poznała swe błędy, znalazłaby przyczynę i źródło upadku i może nawet zdołałaby znaleźć sposób, by wszystko naprawić. Imogen przypomina sobie artykuł o genialnej surowicy odkrytej przez brazylijskich lekarzy, chroniącej przed jadem żmij: lekarstwo w zakorkowanych laboratoryjnych fiolkach uzyskane z trucizny. A gdzie lek dla niej, gdzie specyfik, który pozwoliłby się cofnąć o sześć tygodni, dał jeszcze jedną szansę?

Leksand jest uderzająco nierealne, z każdym dniem, który Imogen stara się odeprzeć, z wydłużającymi się soplami na brzegu spadzistego dachu. Takie było teraz jej życie, życie, na które się nie godziła – niski, skośny dach, Eleanor wkładająca buty i makintosz, by rozpalić ogień w stodole, pani Hasslo napełniająca czajnik wodą z wielkiego dzbana, wstrętne hałdy śniegu rosnące wciąż i wciąż dokoła domu, od dawna już przesłaniające bujną zieloną trawę, jedyną rzecz, jaką Imogen zapamiętała z letnich wizyt z dzieciństwa.

Z punktu widzenia Eleanor wszystko wyglądało inaczej. Trudziła się, ale znajdowała pociechę we własnej ofiarności, Eleanor była bowiem osobą szlachetną i radowała się, że może poświęcać się na rzecz siostry, którą zawsze pragnęła chronić. Tyle teraz cierpienia w Europie – Eleanor też chętnie brała na siebie brzemię. Pół roku na odludziu podczas skandynawskiej zimy, potem wychowanie cudzego dziecka.

Dziecko bowiem było dla Eleanor zarazem brzemieniem i darem. Od dawna chciała zostać matką, ale szanse malały z każdym mijającym rokiem. Porady lekarzy brzmiały coraz mniej konkretnie. Charles, z natury praktyczny, natychmiast zaakceptował pomysł z adopcją dziecka Imogen. Wysłał z Palestyny serię listów z długą, rzeczową argumentacją i skonkludował, że to najlepsze wyjście. Może jednak zgodził się zbyt szybko? Eleanor wciąż miała wątpliwości.

Wiedziała, że to nienaturalne, nie potrafiła wyprzeć tej myśli. Nie chodziło wyłącznie o zawzięty opór Imogen ani kłamstwa na temat ciąży, którymi uraczono rodzinę Charlesa.

Eleanor straciła coś, czego nigdy już nie miała odzyskać – własne dziecko, bezcielesną istotę, która zdawała się tak realna, bez względu na opinie lekarzy. Teraz przyszedł czas, by wyrzec się marzeń. W głębi serca wiedziała, że zawarła haniebną transakcję, popełniła grzech, który raził każdy nerw jej ciała na sto sposobów każdej chwili każdego dnia. Czuła to, kiedy patrzyła (i kiedy próbowała nie patrzeć) na Imogen, na jej zmieniające się i zaokrąglające ciało. Czuła to, gdy wyobrażała sobie dziecko – i kiedy próbowała go sobie nie wyobrażać – które wyglądać będzie jak Imogen albo Ashley, może odrobinę jak ona sama, ale na pewno nie jak Charles. Chwilami ból stawał się nieznośny. Bała się, że nie zniknie on po narodzinach, lecz przetrwa całe lata.

Wszystko to kazało jej uciec się do ostatniej pociechy – pracy. Od dawna marzyła o zaszyciu się gdzieś na prowincji i malowaniu. Podobnie jak siostrę, ciągle coś ją jednak rozpraszało. W mieście zawsze były jakieś wystawy, wykłady i kolacje. Tutaj człowiek mógł się skupić. Siostry miały za towarzystwo tylko panią Hasslo i doktora Lindberga, wiejskiego lekarza. Pielęgniarka z Anglii miała przyjechać dopiero pod koniec stycznia. Od czasu do czasu Eleanor widywała sklepikarza, ale był zeń mruk, Eleanor zaś wstydziła się swego kulawego szwedzkiego, więc niewiele rozmawiali. Od przyjazdu do kraju raz zaledwie odwiedziła rodzinę w Sztokholmie – tylko po to, by odwieść ich od przyjazdu do Leksand, gdzie mogliby odkryć tajemnicę Imogen. Zresztą nikt nie miał ochoty się tu wybierać.

Eleanor spędzała więc ranki w starej stodole, którą zaadaptowała na studio malarskie. Przed przyjazdem sióstr pani Hasslo zadbała, by w stodole umieszczono piecyk na drewno. Na Eleanor czekały też potężne sztalugi zamówione w Sztokholmie. Każdego dnia malowała, owinięta w dwa szale i gruby koc, pokryty różnokolorowymi plamami farby olejnej. Choć ciągle paliła w piecyku, nie dawało się ogrzać całej stodoły.

Eleanor przywiozła z Londynu kilka płócien, z którymi miała rozmaite problemy, ale na razie nie wzięła się do nich – tyle było tu nowych tematów. Od początku pobytu w Leksand namalowała dwa pejzaże przedstawiające chatę, której krwistoczerwona barwa niezmiernie ją intrygowała. Był też ironiczny portret pani Hasslo jako chłopki i seria szkiców przedstawiających przemianę Imogen z młodej dziewczyny w przyszłą matkę. Ten ostatni temat fascynował Eleanor, która nie potrafiła sobie wyobrazić swej siostry z dzieckiem. Całymi tygodniami Imogen odmawiała pozowania nago, aż nagle pewnego popołudnia weszła do studia i bez słowa zaczęła się rozbierać. Eleanor spaliła chyba pięćdziesiąt szczap drewna, aż strop poczerniał od sadzy. Imogen siedziała, drżąc nieco z zimna i zaciskając dłonie. Jej skóra przybrała delikatnie błękitny kolor – efekt ten wzmacniały szkliste oczy. Podczas długich godzin pozowania ani razu się nie poskarżyła. Szkice były niesamowite, osobliwie pociągające: ciężarna dziewczyna z założonymi rękami, niepewna we własnej skórze, jej stężała twarz czeka na zbliżającą się katastrofę – albo na cud. Eleanor uznała szkice za swe najcenniejsze dzieło. Również dlatego, że wiedziała, iż pewnego dnia będzie je musiała zniszczyć. Na razie jednak tego nie zrobiła.

Tego ranka Eleanor zostaje w pokoju Imogen chwilę dłużej. Zauważa drobinki kurzu, zbierającego się na porowatej drewnianej podłodze. Przeciąga po niej palcem. Brudno. Po południu trzeba będzie pozamiatać.

Eleanor nalewa szklankę wody z dzbana i stawia ją na szafce nocnej Imogen. Zamówiły w Sztokholmie stolik na łóżko, ale jeszcze go nie przysłano. Imogen wierci się w pościeli.

– Czemu, do diabła, musisz wstawać tak wcześnie? – mruczy.

– Nie wiem. To chyba cecha wrodzona. Odziedziczyliśmy po przodkach zdolność do życia w tym miejscu.

– Mów za siebie.

– Faktycznie, ty okazałaś się czarną owcą – żartuje Eleanor. – Powiedz, źle się czujesz?

Imogen odwraca głowę i nie odpowiada. Eleanor całuje ją w czoło. Na schodach stąpa ciężko, chcąc w ten sposób taktownie obudzić panią Hasslo, inaczej gospodyni spałaby do dziewiątej. Imogen wkłada sobie pod głowę kolejną poduszkę. Kładzie ręce na brzuchu – często ostatnio tak robi – i zgiętymi palcami obejmuje nabrzmiałe ciało. Zawsze wydaje jej się, że jest go więcej, niż można dostrzec gołym okiem.

Nie powinna była przyjeżdżać do Szwecji. Jakakolwiek inna decyzja byłaby lepsza. Mogła poślubić Ashleya i zatrzymać dziecko. Mogła posłuchać jego zamiast rodziny. Musiałaby poświęcić dumę, wybrać inne życie niż to, na które kiedyś liczyła. Ale przynajmniej miałyby dwie osoby, na których najbardziej jej zależało: Ashleya i dziecko. W każdym razie dopóki Ashley nie zginie na wojnie.

Ale Imogen nie wytrzymałaby takiej sytuacji. Dni i tygodnie oczekiwania były nie do zniesienia, jeszcze zanim Ashley został ranny. Wiadomość o jego śmierci zupełnie zszargowała jej nerwy. Przed wejściem na pokład promu do Francji Imogen żyła w ciągłym strachu, choć wiedziała już, że ukochany leży bezpieczny w szpitalu. A potem miał wrócić na front. Nie potrafiła znieść tej myśli i nie potrafiłaby znieść kolejnego tygodnia bezgranicznego lęku – a co dopiero miesiące czy lat. Dziecko tylko pogorszyłoby sprawę. Imogen była bowiem przekonana, że ostatecznie musiałoby dorastać bez ojca. Dała Ashleyowi wybór. Ashley wybrał wojnę.

Ale czy naprawdę sami podejmowali decyzje? Może po prostu poddali się działaniu sił, które mieli za zbyt potężne? Imogen przypomina sobie noc w YWCA i powrót na Cavendish Square, gdzie powiedziała matce, że pojedzie do Szwecji. W tamtej chwili wybrała – lub zdawało jej się, że wybrała – szczęście dziecka kosztem własnego szczęścia. Postąpiła właściwie. A jednak nie czuła się dobrze ze swą decyzją. Teraz już wie, że oddała wtedy kontrolę nad swym życiem. Pozwoliła, by inni kierowali statkiem – lub by po prostu miotały nim przypadkowe fale i wiatry.

Imogen siada na łóżku, bierze łyk wody. Jej myśl biegnie ku listom w szufladzie szafki nocnej. Ostatni jest sprzed dziesięciu dni. Imogen nakazała pokojówce w tajemnicy przekazywać jej listy ukryte pośród pozostałej korespondencji. Eleanor pewnie coś podejrzewa, choć ani słowem się z tym nie zdradziła.

Listy wydają się Imogen okropne. Ashley pisał do niej z sanatorium w Étapes, potem z kwatery w La Calotterie. Nie szczędzi słów, opisując, jak bardzo jest oddany Imogen. Czasem podkreśla, że ma zobowiązanie wobec swych ludzi. Nigdy nie wspomina o kłótni. Co kilka dni przysyła kolejny list, choć ona nie odpisała mu ani razu, odkąd pięć tygodni wcześniej rozstali się nad Sommą.

„Na miły Bóg, odpowiedz mi, ukochana – pisze Ashley. – Nawet gdybyś miała mnie odrzucić, przynajmniej będę wiedział, że nic ci nie jest i że podjęłaś ostateczną decyzję”.

Ashley pyta nie tylko o nią, ale i o ich dziecko. Obiecuje, że będzie kochającym ojcem, że dla Imogen i ich rodziny zrobi wszystko, co w jego mocy. Nie prosi o nic, prócz drugiej szansy.

Chcesz za wiele, myśli dziewczyna. Nie masz pojęcia, ile by mnie to kosztowało.

Wieczorem zaczyna padać śnieg. Pani Hasslo gotuje na kolację grochówkę, ale bez wędzonki. W sklepie nie udało jej się wczoraj dostać żadnego mięsa. Był tylko śledź w puszcze, którego siostry mają już serdecznie dosyć. Trzy kobiety jedzą w milczeniu. Nagle pani Hasslo napomyka, że jezioro całkowicie już zamarzło. Imogen dodaje musztardy do zupy i spogląda na Eleanor.

– Co to znaczy *skridskor*?

– Łyżwy. Mówi, że niedługo mogłybyśmy pojeździć...

– Ja nie.

Imogen odgryza kawałek twardego żytniego krakersa. Pani Hasslo pyta, czy chcą naleśniki na deser – zostało jeszcze dużo mąki, Imogen powinna porządnie jeść ze względu na dziecko, nawet jeśli nie najlepiej się czuje. Imogen uśmiecha się przepraszająco i proponuje odłożyć robienie naleśników do jutra.

Pani Hasslo sprząta ze stołu i idzie spać. Imogen bierze zestaw do szydełkowania i niebieski afgan, nad którym pracuje od tygodni. Już dwa razy wysłała panią Hasslo do miasta po więcej wełny, lecz wszystko w Szwecji jest coraz ściślej racjonowane. W końcu wełnę przysłano, ale cieńszą i w innym odcieniu – ultramarynę, a nie indygo. Imogen i tak postanawia jej użyć.

Eleanor bierze miotłę i zaczyna zamiatać. Z uśmiechem spogląda na afgan.

– Ładnie ci to wychodzi. Nawet różnica koloru nie przeszkadza. Naprawdę, całkiem mi się podoba. Robisz słupki potrójne?

Imogen nie odrywa wzroku od robótki.

– Podwójne.

– Jak tak dalej pójdzie, wystarczy ci na derkę dla słonia. Albo pokrowiec na drednota. Pomyśl tylko, wszyscy ci uprzejmi szwedzcy kapitanowie żeglugi handlowej, starający się uniknąć spotkania z U-Bootami, by przywieźć ci wełnę w kolorze indygo.

– Lepsze wożenie wełny niż bomb.

– Racja. – Eleanor ziewa. – Kochana, ja się już kładę. Jestem zupełnie wyczerpana. Ty także powinnaś iść na górę, potrzebujesz wypoczynku...

Imogen spogląda na Eleanor. Kościane szydełko zastyga jej w dłoni.

– Chodzi ci o to, że dziecko tego potrzebuje.

– Ty także.

– Ale nie o mnie się martwisz, tylko o nie.

– Oczywiście, że się o ciebie martwię. Po prostu czasem jesteś dla mnie tak okrutna, że już sama nie wiem, co robić...

– To proste. Wypuść mnie stąd.

Eleanor przestaje zamiatać. Przetyka ślinę, patrząc na podłogę.

– Imogen, nie możesz się teraz rozmyślić. Już za późno.

Zaczynają się klócić, choć spór donikąd nie prowadzi. Imogen próbuje nadal szydełkować, lecz wzbiera w niej gniew. Eleanor zaś odstawia po chwili miotłę i siada przy stole. Od kłótni nie ma już ucieczki. Imogen wydaje się bowiem tego wieczoru szczególnie pobudzona, bardziej gniewna, zrozpaczona i zdesperowana niż wcześniej. Około północy rzuca afgan na podłogę i krzyczy, że nie wytrzyma już w tym więzieniu ani chwili dłużej.

– Nie możesz mnie tu trzymać! Nic mnie tu nie zatrzyma!

– Kochana...

– To nie jest moje życie. I wolę umrzeć zamiast żyć cudzym życiem! Czy tego chcesz?

– Imogen...

– Wiedziałaś, że do niego nie pisałam? Oczywiście, że wiedziałaś. A wiesz dlaczego?

– Błagam, Imogen, uspokój się!

– Bo nie mam zamiaru go okłamywać. Jeśli chcesz dziecka, sama je sobie zrób! Nie moja wina, że nie możesz zająć w ciąży. Wyjeżdżam stąd! Wrócę do niego i więcej mnie już nie zobaczysz! I nigdy nie zobaczysz dziecka!

Eleanor odwraca się i zaczyna wycierać ściereczką blat stołu. Nagle jednak znów zwraca się ku siostrze.

– A więc chcesz teraz zmienić zdanie i obwiniasz mnie o swoje kłopoty. Powiedz no

jednak, jak się w nie wpakowałaś? Może przeze mnie?

– Nie chciałam zająć w ciążę.

– Owszem, ale to twoje decyzje doprowadziły cię tutaj. Imogen, co się z tobą stało?

Przecież z nas dwóch zawsze ty byłaś tą utalentowaną. Papa wciąż chełpił się tobą przed panem Wallenbergiem i innymi. Imogen, która tak wspaniale nauczyła się greki zaledwie w dziewięć miesięcy, że gubernator zwrócił pieniądze i powiedział, że potrzebny będzie jej teraz lepszy nauczyciel. Imogen, której wystarczyło raz przeczytać wiersz lub wysłuchać sonaty, by już znała je na pamięć...

– Przestań!

– To wszystko prawda. Chciałabym jednak zrozumieć: skoro to ty jesteś zdolniejszą siostrą, czemu w takim razie ja spędzam całe dni na malowaniu w tej cholernej stodole, podczas gdy ty gapisz się w sufit albo szydełkujesz? O tym marzyłaś? Żeby być dwakroć mądrzejszą od innych i wszystko zmarnować? Żeby pogрузić się w melancholii i skazać na melancholię własne dziecko? Zresztą nawet z tym byś sobie nie dała rady. Imogen, to nie moja wina, że zrezygnowałaś z egzaminów i cały rok żyłaś beczynnym w Londynie. Nie moja wina, że klócimy się do pierwszej w nocy. I nie przeze mnie jesteśmy w Szwecji. Nie wytrzymałaś czekania na Ashleya...

– Ani się waż...

– A może się myłę? Dwa miesiące temu mówiłaś, że Ashley chce cię poślubić. Wydawało ci się to zabawne, takie staroświeckie. Potem, oczekując dziecka, powiedziałaś papie, że Ashley się z tobą nie ożeni. On tymczasem wysłał ci całe worki listów.

– Czytałaś je? – Imogen brakuje tchu w piersiach.

– Nie musiałam. Dobrze wiem, czemu tu jesteśmy. Nie mogłaś znieść tego, co każda angielska kobieta robi każdego dnia. Nie mogłaś po prostu wspierać swego mężczyzny.

– Wspierać go, gdy idzie na pewną śmierć?

– Jest żołnierzem, Imogen. Był nim, gdy się poznaliście. Ignorowałaś ten fakt tak długo, jak tylko się dało. Aż w końcu zrozumiałaś, co to oznacza, i postanowiłaś wzgardzić wszystkimi i samodzielnie wychować dziecko. Dopiero gdy papa powiedział ci, że to niemożliwe, i zaproponował wyjazd do Szwecji, zmieniłaś zdanie, i to, jak widać, nie na długo. Siedzisz cicho, gdy mówimy Graftonom i połowie Londynu, że jestem w ciąży. Nie odzywasz się słowem, podczas kiedy Charles i ja poruszamy niebo i ziemię, by przygotować się na wychowanie dziecka, by przygotować ten dom. Przyjeżdżasz tu, taki kawał drogi, wciąż bez słowa. Aż w końcu, kiedy jest już za późno, by cokolwiek zmienić, mówisz, że nie dasz rady. Bo jeśli ktoś czegoś od ciebie oczekuje, nie potrafisz stanąć na wysokości zadania...

– Nigdy tego nie chciałam. Papa mnie zmusił...

– Bo zawsze unikasz zwyczajnych wyborów. Zawsze pragniesz niemożliwego. Nie widzisz, że tak jest? Jeśli cały świat chce jednej rzeczy, ty chcesz czegoś innego. Ashley cię kocha? Świetnie, w końcu zostanie w Anglii tylko tydzień! A potem będziesz do niego pisać, by cały czas o tobie myślał. Oczywiście natychmiast się z nim prześpisz...

– Milcz!

– Tak było, nieprawdaż? Ale nie mogłaś dać mu wsparcia. To już było dla ciebie zbyt trudne.

– Niczego nie rozumiesz. Chciałam go uratować, dla nas dwojga, abyśmy mogli żyć własnym życiem!

– Rozumiem więcej, niż ci się zdaje – Eleanor prychnęła z pogardą. – Przecież czytałam te same książki co ty, całe lata, nim wzięłaś je z mych półek. Wydaje ci się, że Charles chce służyć w armii? Że ja chciałam, aby wysłano go do Palestyny? Bynajmniej. Jednak w miarę jak

doroślejemy, powinniśmy uczyć się dbać o innych na tyle, by szanować ich zobowiązania. Nawet jeśli oznacza to, że nasze życie nie będzie doskonałe. Dobrze jest mieć ideały, Imogen, ale ty znajdujesz we wszystkim wady. Ashley nie mógł cię zadowolić, papa doprowadza cię do szaleństwa, teraz zwracasz się przeciwko mnie. Nie przeczę, obie znalazłyśmy się w pułapce, lecz wzajemna nienawiść nas z niej nie wyprowadzi. Myślisz, że jeśli nie możesz czegoś zrobić zupełnie sama, musisz z tego zrezygnować. Ale są granice...

– Chodzi o moje życie! Nie oddam go innym!

– Oddasz. Nie masz wyboru. Kobieta nie może żyć tylko sama dla siebie. Niektórzy sądzą, że jest inaczej, lecz to nieprawda. Nawet mężczyzna nie znajdzie w ten sposób szczęścia. A co dopiero kobieta.

– Skąd niby możesz to wiedzieć? Jak długo żyłaś dla siebie samej? Uległaś pierwszemu w miarę przyzwoitemu facetowi, który ci się oświadczył.

Eleanor mruży gniewnie oczy.

– Jesteś dzieckiem. I niedługo sama będziesz miała dziecko. Aż strach myśleć. Zupełnie nie wiesz, o czym mówisz. W przeciwnym razie nigdy nie wybaczyłabym ci twych słów. Myślisz, że jesteś mądrzejsza od nas wszystkich. Może i tak. Moim jednak zdaniem jesteś tylko bardziej uparta.

Imogen potrząsa głową.

– Więc powiedz mi, co robić. Skoro jesteś taka mądra, powiedz, co mam zrobić, jak naprawić tę sytuację, żeby wszyscy byli zadowoleni.

– Na miłość boską, właśnie o tym mówię. Musisz z czegoś zrezygnować. Nie da się wszystkich zadowolić. Ty jednak wolisz, byśmy wszyscy cierpieli. Wybierz rodzinę albo Ashleya. Albo nawet siebie samą, w końcu zawsze tego chciałaś. Ale zdecyduj się na coś raz na zawsze. I nie wiń mnie za swe kłopoty.

Imogen patrzy na drzwiczki pieca. Od paru godzin żadna z siostr nie dołożyła do ognia, teraz siedzą ze skrzyżowanymi rękami w zimnym pokoju. Nagle Imogen wstaje.

– W takim razie dokonałam wyboru. Wyjeżdżam.

Idzie na górę i pakuje walizkę, wrzuca do niej spódnice i bluzki, bez ładu i składu.

Eleanor wchodzi do sypialni, błaga siostrę, by się opamiętała, inaczej obudzi panią Hasslo, a gospodyni gotowa odejść przez te wszystkie awantury.

– A niechby i tak – odpowiada Imogen. – Nie będziesz jej potrzebować, kiedy wyjadę.

Narzuca na siebie płaszcz, z trudem wkłada obszyte futrem boty. Eleanor patrzy i chce pomóc, czuje jednak, że nie powinna interweniować. Po chwili Imogen jest już na dole i wybiega za drzwi, bez nakrycia głowy. Nie zapięła płaszcza po samą szyję.

Panuje przeraźliwy ziąb. W ciemności Imogen udaje się znaleźć krętą ścieżkę prowadzącą do przystani. Idzie po ledwo widocznych śladach stóp, które przykrywa świeży śnieg. Eleanor kroczy nieco z tyłu, zapinając własny płaszcz i próbując utrzymać niesioną w ręku świecę.

– Wracaj do środka, obie tu zamrzniemy. Pomyśl o dziecku, nim stanie mu się krzywda...

– Tylko to cię obchodzi, tylko to przeklęte dziecko.

– Histeryzujesz! Musisz wracać!

– Nigdy nie wrócę! Nigdy!

Imogen potyka się wśród śnieżnych cieni. Przypadkiem zbacza ze ścieżki i wpada w zaspę sięgającą jej aż do kolan. Eleanor próbuje pochwycić ją za ramię, siostra wyrывa się jednak i zbiega z pagórka, między drzewami. Walizka kołysze się w jej dłoni. Imogen dwukrotnie upada. Plecy ma całe zaśnieżone. Jest już coraz bliżej brzegu jeziora, usiłuje nie poślizgnąć się na nabrzeżnych kamieniach.

Wreszcie dociera do przystani. Idzie do samego końca i staje. Przed nią rozpościera się wielkie zamarzniete jezioro, nigdy wcześniej nie widziała takiej pustki, tak nieprzyzwoitej, białej, nagiej samotności. Eleanor dogania siostrę. Próbuje nałożyć jej na głowę własną futrzaną czapkę, ale Imogen robi unik. Świeca Eleanor gaśnie. Ich twarze pogrążają się w ciemności.

– Pozwól mi odejść. Nie dam rady. Mówiłam, że wytrzymam, ale nie dam rady. Mamy chyba prawo do błędów? Życie nie kończy się z powodu jednej pomyłki...

– Nie będę cię zatrzymywać.

– Nikogo innego tu nie ma.

– A więc idź. Ucieknij, przekonaj się, czy to cokolwiek zmieni. Przysięgam, że cię nie powstrzymam.

Imogen drży. Jej płaszcz wciąż jest nie do końca zapięty, trzyma nagimi dłońmi poły pod szyją. Zapomniała rękawiczek.

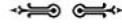
– Nie chcę żyć bez niego.

Eleanor patrzy na dygoczącą z zimna siostrę i na jezioro. W końcu wkłada Imogen swą czapkę i obejmuje ją ramieniem. Powoli zaczynają się wspinać ścieżką wiodącą w stronę domu.

– Nie mogę bez niego żyć, Ellie. Myślałam, że dam radę, ale...

– Wiem. Już dobrze, moja kochana. Rozumiem cię.

BRZEMIE



– Słyszysz? – Mireille zniża głos do szeptu. – Pociąg nadjeżdża.

Mówi tak cicho, że ledwo ją słyszę. Stoimy dziesięć stóp od siebie na peronie pod żelaznym niebem, oboje patrzymy na tory. Oprócz nas nie ma tu nikogo. Wiatr rozwiewa nam włosy i bawi się śmieciami porzucanymi na ziemi przez innych podróżników: tańczą puste papierowe kubki i plastikowe opakowania. W oddali, na przejeździe kolejowym, migają rubinowe światła i opada prążkowany szlaban.

Zarzucam na ramię plecak. Mireille sięga do torebki i wyciąga paczkę owiniętą w brązowy papier.

– *Un petit cadeau* – mówi. – *Ça ne coûte rien.*

– Ja nic dla ciebie nie mam.

– Wiem. – Mireille się uśmiecha. – Ile masz przesiadek?

– Trzy. Tak było najtaniej. Lille, Bruksela i Düsseldorf.

– Nie ułatwiamy ci podróży.

Widać już pociąg, mały punkt na torach. Odzywają się megafony i głos z taśmy zapowiada wjazd na stację.

– Mireille, posłuchaj. Przepraszam, że cię tak zostawiam. Zadzwoń z Berlina...

– *Au revoir.*

Kładzie swoją dłoń na mojej dłoni, po czym obraca się na pięcie i rusza peronem. Biegnę za nią, lecz nim ją doganiam, przystaje i znów się odwraca.

– Wszyscy mówili, że mnie wykorzystujesz, bo zależy ci tylko na tym, by mieć gdzie przenocować. Radzili, żebym się za bardzo do ciebie nie zbliżała. Że prędzej czy później po prostu odejdziesz. Ale nie słuchałam. Myliłam się? Naprawdę mnie wykorzystywałeś?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Jak mogę być tego pewna?

– Bo wrócę.

Mireille kręci głową.

– Tristanie, chciałabym w to wierzyć. Ale nie wiem nawet, czy sam wierzysz w swoje słowa.

Przez chwilę patrzymy na siebie. Ogarniają mnie wątpliwości, czy rzeczywiście powinienem wsiąść do pociągu. Mireille podchodzi bliżej, kładzie mi dłoń na ramieniu i zmusza się do uśmiechu.

– Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Odwraca się i odchodzi. Konduktor macha na znak, że zaraz odjazd, wsiadam więc i zajmuję miejsce przy oknie. Podnoszę stolik i kładę na nim paczkę.

Ruszamy. Drę brązowy papier. W środku znajduję kwadratowe blaszane pudełko, wygięte i przerdzewiałe. Niewielkie, lecz ciężkie. Wieczko otwiera się na zawiasach. Wyciągam mosiężny krążek w skórzanym futerale. Podnoszę pokrywkę. Ukazuje mi się kompas ze starą białą tarczą, na której wyznaczono wszystkie strony świata, i z podziałką z kości słoniowej. Na obudowie widnieje wygrawerowany napis: „Cruchon & Emons London 1917”.

Po chwili orientuję się, że brązowy papier pokryty był ręcznym pismem. Układam podarte skrawki niczym puzzle i odczytuję wiadomość. Chwilę zajmuje mi zrozumienie francuskich słów:

Drogi Tristanie!

Znalazłam to w sklepie z antykami w Abbeville. Sprzedawca zaklinał się, że to angielska robota z czasów wojny. Jakiś rolnik znalazł go na polu. Nie wierzę w tę historię i wydaje mi się, że kompas jest popsuty. Ale jeśli ktokolwiek może poznać prawdę, Ty jesteś tym kimś.

Mireille

Chowam skrawki papieru do plastikowej torebki, którą następnie wpycham głęboko do plecaka. To już koniec, nic więcej nie mogę zrobić. Chyba że zapomnę o Berlinie i wysiądę na następnej stacji.

– Nie – szepczę do siebie. – Nie teraz.

Pociąg nabiera prędkości. Wyglądam przez okno; tory skracają i widzę wagony z przodu składu. Spoglądam na kompas. Wszystko się kołysze, zdeorientowana igła kręci się bezwładnie. Próbuję go zbalansować i wpatruję się w tarczę. Igła pomału obraca się, wskazując, że poruszamy się pod kątem pięćdziesięciu pięciu stopni w kierunku północno-wschodnim. Kompas nadal działa.



2 stycznia 1917

La Calotterie

Pas-de-Calais, Francja

Szeregowy Mayhew dwukrotnie stuka do drzwi, po czym wchodzi do sypialni. Ashley leży w łóżku, ciasno opatulony puchową kołdrą. Ma otwarte oczy i wpatruje się w sufit.

– Dzień dobry, panie poruczniku – mówi Mayhew. – Już szósta.

Szeregowy rozpala w kominku. Następnie stawia na toalecie dzban parującej wody i pędzlem z końskiego włosia rozrabia w porcelanowej miseczce krem do golenia. Przynosi mundur Ashleya na wieszaku. Mosiężne guziki zostały świeżo wypolerowane. Odkąd Ashley został ranny, Mayhew o wiele lepiej sprawdza się w roli służącego. Może to dlatego, że teraz bardziej szanuje oficera. A może po prostu dobrze zrobił mu dwutygodniowy pobyt z dala od frontu.

– Czy to wszystko, panie poruczniku?

– Tak, dziękuję.

Ashley bierze z nocnego stolika „Le Journal d’Amiens” i przegląda go przez parę minut, rzucając co chwila okiem na szary poranek za oknem. Chciałby dokończyć gazetę, ale lepiej się ogolić, nim woda wystygnie.

Wstaje z łóżka i opiera gazetę o lustro na toalecie. Wyciąga ostrze brzytwy schowane w celuloidowej rękojeści i podgrzewa je w wodzie. Zwilża twarz, nakłada krem, po czym ostrożnie przeciąga ostrzem w dół policzka. Goląc się, zerka chwilami na nagłówki w gazecie.

Wreszcie prostuje się i patrzy w lustro, oglądając starannie bliznę na szyi, fragment gruzełkowatej białej i różowej tkanki. Zawsze zaskakuje go, że blizny nie są płaskie, lecz wypukłe. Przeciąga palcem po szyi, jak gdyby chciał wygładzić źle zrosniętą skórę. Wyciera twarz, zarzuca sobie ręcznik na kark, gazetę ciska w ogień i woła na szeregowego Mayhew.

– Przyjechała już ciężarówka?

– Powinna być za chwilę, panie poruczniku.

Ashley wskazuje palcem sakwojaż przy drzwiach.

– To można już znieść na dół.

Mayhew mocuje się z sakwojażem, Ashley zaś bierze mosiężny pogrzebacz i trąca parę razy kłody w kominku. Po gazecie nie ma już śladu. Ashley myśli o małym kufrze u stóp łóżka, ale nie spogląda na niego.

Raptem odwraca się, bierze kuferek, otwiera go i wyciąga duże pudełko po cygarach. Wbija w nie wzrok i wrzuca je w ogień. Po chwili ogień, strawiwszy ścianki pudełka, odsłania jego zawartość i Ashley widzi starannie związany pakiet listów pokrytych krągłym granatowym pismem.

Gwałtownym ruchem chwyta nadpalone listy i wyciąga je z paleniska. Dogasza papier ręcznikiem. Dym i popiół unoszą się w powietrzu, boli poparzona dłoń. Ashley wrzuca nadpalone listy do kufereka i ogląda grzbiet dłoni. Większość włosków spaliła się doszczętnie.

Ashley znów kuca przed kominkiem i znów poprawia pogrzebaczem szczapy, patrząc, jak płoną resztki pudełka. Potem dostrzega lśniący srebrny krzyż. Fioletowo-biała wstążka już prawie spłonęła. Ashley czeka, aż spali się do reszty. W końcu zostaje tylko medal. Ashley wyciąga go żelaznymi szczypcami i wrzuca do miednicy z wodą. Rozpalony krzyż syczy i opada

na dno. Po chwili Ashley wyciąga go i chowa w kieszeni na piersi.

Ubiera się starannie. Gdy już ma na sobie buty, czuje się mężniej, bardziej żołniersko. Mayhew znów staje w drzwiach.

– Coś jeszcze, panie poruczniku? Mam zabrać ten mały kuferek?

– Jest pusty, zostawcie go tu. Spotkamy się na dole przy ciężarówce.

– Tak jest.

Ashley patrzy na mały kuferek zawierający nadpalone listy. Zamyka wieko i schodzi na dół.

W jadalni czeka już śniadanie: talerz jaj na twardo, duża kromka posmarowanego masłem chleba i filiżanka kawy z mlekiem nakryta spodkiem. Ashley przechodzi przez kuchnię i parter. Wszystkie pokoje są puste. Wraca na górę do pokoju dziewczynki. Przy jej łóżku stoi mała szafka z orzecha, nakryta szydełkowaną serwetką. Oficer wyciąga medal z kieszeni i kładzie go na szafce. Schodzi na dół i zamyka za sobą frontowe drzwi.

Ciężarówka czeka na ubitej drodze. Kłęby dymu wyplukanego przez silnik unoszą się w przejrzystym powietrzu. Mayhew i kierowca opierają się o przedni zderzak, palą papierosy i rozmawiają przyciszonymi głosami. Przed domem rozciąga się trawnik, ale tej zimy są tam tylko kępki zmarzniętej trawy i błoto. Ashley wsiada do ciężarówki, zajmuje miejsce między Mayhew a kierowcą. Kierowca wrzuca bieg. Pojazd mija wieżę ciśnień i skręca na drogę. Ashley drapie się w podbródek. Chyba zaciął się przy goleniu. Odwraca się do Mayhew i częstuje go papierosem.

– Mayhew, pamiętacie Cesarzową, prawda? Ten ponury spektakl w listopadzie.

– Oczywiście, panie poruczniku.

– Jak wiecie, dostałem za to Krzyż Wojskowy. Bóg jeden wie czemu. Chyba pomogłem zatuszować fakt, że całe przedsięwzięcie było jedną wielką pomyłką. Nie o tym jednak chciałem rozmawiać. Uratowaliście mi życie, Mayhew. Zgłosiłem was do wszystkich możliwych odznaczeń, ale nic z tego nie wyszło.

– W porządku, panie poruczniku. Nie liczyłem na żadną nagrodę.

Ashley kiwa głową i podaje Mayhew zapalniczkę.

– Jeszcze jedna rzecz. Pamiętacie tę niemiecką ziemiankę? Był tam chory oficer, rozmawiałem z nim przez chwilę. Pamiętacie może, jak wyglądał? Przedziwna historia, ostatnio zdałem sobie sprawę, że spotkałem tego faceta już całe wieki temu...

– Nie było żadnego oficera, panie poruczniku. Wszyscy byli martwi z wyjątkiem paru oszalałych. I żaden nie był oficerem.

Ashley przygląda się szeregowemu Mayhew, niepewny, czy ten nie stroi sobie żartów. Mayhew ma jednak poważny wyraz twarzy.

– Był oficer – upiera się Ashley. – Z drugiej Marineinfanterie, pamiętam dokładnie.

– Proszę wybaczyć, ale z nikim tam nie rozmawialiśmy. Zeszliśmy, wszyscy byli już nieżywi, i wróciliśmy.

– Mayhew, jestem absolutnie pewien...

Ashley urywa w pół zdania. Wygląda przez okno na ośnieżone pola, na domy z dymiącymi kominami. Skoro Mayhew nie chce o tym rozmawiać – niech mu będzie.



8 stycznia 1917

Jeziro Ejen

Dalarna, Szwecja

Światło ślizga się po sosnowych deskach stropu. To już zapewne popołudnie. Minuty i godziny mijają jak zwykle. Imogen spogląda to na leżącą na biurku kopertę, to znów na sufit. Przegląda powieści i cienkie tomiki poezji, przebiega nieobecny wzrokiem równe akapity i strofy, ale każdą książkę zamyka po chwili z trzaskiem.

Wreszcie zrzuca z siebie kołdrę. Ubiera się ciepło. Kombinacja jedwabiu i wełny, kaszmirowa halka, najgrubsza spódnica, kamizelka z szetlandzkiej wełny i ręcznie dziergany sweter. Bierze z biurka zaadresowaną już, lecz jeszcze niezaklejoną kopertę z krótkim listem. Przez moment stoi, trzymając ją w dłoniach, wreszcie schodzi na dół. Gdy Eleanor zastaje ubierającą się siostrę, nie próbuje ukryć zaskoczenia.

– Wychodzisz?

– Pomyślałam, że trochę się przejdę. Masz coś przeciwko?

– Nie, w żadnym razie – odpowiada Eleanor. – Znakomity pomysł. Po prostu mnie zaskoczyłaś, minęło już tyle dni od...

Imogen kładzie kopertę na stole. Eleanor wytrzeszcza oczy, gdy siostra mówi beznamiętnym głosem:

– Pani Hasslo nie musi specjalnie udawać się do miasta, niech weźmie to ze sobą przy okazji następnych zakupów. Koperta nie jest zaklejona, możesz przeczytać.

Eleanor gwałtownie kręci głową.

– Nie śmiałybym...

– Czytaj! – przerywa jej Imogen. – A potem zaklej. Teraz wychodzę.

– Iść z tobą?

– Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałabym być sama.

– Oczywiście. Ale nie oddalaj się za bardzo.

– Pójdę tylko do lasu.

Eleanor zmusza się do uśmiechu. Podaje Imogen płaszcz i owija jej szyję grubym szalem, po czym wciska siostrze na głowę futrzaną czapkę, aż po brwi.

– Nie tak mocno. – Imogen wyrywa się. – I tak jest mi już strasznie gorąco.

– Tam na zewnątrz panuje arktyczny mróz. I pamiętaj, jeśli oddalisz się tak bardzo, że nie będę widziała cię z domu, pójdę po ciebie.

Imogen uchyla drzwi. Wychodzi z nagrzanego korytarza i stawia ostrożnie stopę na oblodzonej wycieracze. Ledwo staje na dworze, a czuje, jak otaczający ją świat odurza jej zmysły. Ruch powietrza, zapach sosen i dymu z komina, światło odbijające się w kryształkach śniegu. Jakże cudowne jest to wszystko w swym bogactwie.

Imogen idzie powoli w stronę lasu otaczającego ze wszystkich stron polanę. Kiedy wykarczowano drzewa, by wzniesić tu domy? Trzysta lat temu? Próbuje wyobrazić sobie ówczesnych ludzi, ale rezultat jest dość komiczny – chłopci w pseudorenesansowych strojach i krzepcy drwale z ręcznie struganymi fajkami. Buty dziewczyny zapadają się głęboko w śniegu. Śnieg przywiera też do jej spódnicy.

Frederick, jeśli będzie chłopiec. Jeśli dziewczynka – Charlotte, myśli Imogen.

Od czasu kłótni między siostrami panuje pokój. Nie żeby wszystko sobie przebaczyły. Po prostu przestały rozmawiać o ważnych sprawach. Mówią o jedzeniu albo pogodzie, o obrazach Eleanor i afganie Imogen. Jakikolwiek temat jest dobry – oprócz tych naprawdę istotnych. Przez osiem dni Eleanor nie odezwała się ani słowem na temat dziecka. I choć Imogen robi wrażenie spokojnej, Eleanor nie ma pojęcia, czy siostra pogodziła się wreszcie z sytuacją, czy też w tajemnicy planuje ucieczkę. Dopiero wczoraj porozmawiały otwarcie. Siedziały w kuchni, przygotowując warzywa na kolację. Pani Hasslo sprzątała sypialnię na piętrze.

– Widziałas pocztę? – zapytała Eleanor. – Matka ci coś przysłała. Dasz wiarę? Przyszły trzy listy od Charlesa, trzy naraz, po tygodniu bez wieści. Był znów na półwyspie Synaj ze swoim majorem, choć oczywiście nie może wiele zdradzić na ten temat. Miał parę propozycji imienia...

Imogen obierała rzepe, z której miało zostać przygotowane purée na szwedzki sposób, z masłem i śmietaną. Eleanor natychmiast uświadomiła sobie, że powiedziała jedno zdanie za dużo, lecz było już za późno. Imogen spojrzała na siostrę.

– Imienia?

– Dla dziecka. To tylko luźne sugestie...

– Jakie imiona proponował?

Eleanor zawahała się na chwilę.

– Skoro już pytasz, jak by ci się podobało imię Frederick dla chłopca i Charlotte dla dziewczynki? To rzecz jasna bardzo zwyczajne imiona, ale Charles uważa...

W tym właśnie momencie Imogen skaleczyła się w palec. Na rzepe i deskę do krojenia pociekła strużka karmazynowej krwi. Potem wybuchła kłótnia. Jednak prawdziwy gniew Imogen wyparował. Awanturując się z siostrą, czuła, jak gdyby była to tylko próba teatralna do roli, wobec której nabrała już dystansu. Ostatecznie Eleanor przeszła do sedna.

– Imogen – poprosiła błagalnym tonem. – Po prostu powiedz mi, co zamierzasz zrobić.

Imogen nie odpowiedziała. Ale Eleanor popatrzyła na siostrę i od razu się domyśliła. Rezygnacja była dla Imogen czymś tak nietypowym, że z łatwością można ją było rozpoznać. Siostry zjadły kolację w milczeniu. Eleanor nie wspominała odtąd o dziecku.

Imogen zatrzymuje się w połowie drogi ku drzewom. Zdejmuje rękawice, kuca i podnosi garść śniegu. Jest świeży, lekki i suchy. Imogen lepi z niego twardą kulkę, nie większą niż piłka do krykieta. Rzuca ją w stronę lasu, odprowadza wzrokiem, aż śnieżka znika jej z oczu pośród pola bieli. Imogen rusza dalej.

Oczywiście Eleanor miała prawo wybrać imiona. Imogen tego nie kwestionuje. Co bowiem dziecko będzie wiedziało o swych prawdziwych rodzicach, o poplątanej historii miłości i utraty? Nic, zupełnie nic. Dziecko dorosnie w starannie uporządkowanej bohemie domu Charlesa i Eleanor, w bibliotece pełnej modnych książek, w salonie umeblowanym właściwymi krzesłami i ozdobionym właściwymi firankami z Omega Workshops. W domu, gdzie szalona wyobraźnia została zamknięta w studio malarskim na piętrze.

Zupełnie inny byłby dom Ashleya i Imogen. Jej chaotyczny bałagan – wszędzie parasole i kosze, bukiety wędnących kwiatów zbieranych w miejskich parkach, sterty tomików wierszy z wizytówkami służącymi za zakładki w ulubionych miejscach, stoły tonące pod ulotkami organizacji sufrażystek lub wegetarian albo Fabian Society, na których Imogen notowałaby ku pamięci jakieś przypadkowe myśli. Za meble odpowiadałby Ashley – Imogen nie miała własnych. Oprawione w ramki fotografie alpejskich szczytów. I dziwnie ustawione książki – katalog Negretti & Zambra obok dziesięciu rozpadających się tomów *Księgi tysiąca i jednej nocy* owiniętych tasiemką. Często to sobie wyobrażała. Może Ashley snuł podobne wizje? Cóż, nigdy nie będą mieli okazji ich porównać.

– Ashley – szepcze Imogen.

Być może wcale nie był taki niezwykły. Nie był kochankiem, którego wyobrażała sobie, dorastając. Czy naprawdę można nazwać go romantycznym? Imogen ma co do tego wątpliwości. Namietność ukrywał pod tyłoma warstwami humoru i szelmstwa, że czasem nie była jej pewna. Jako kochanek wydawał się nieśmiały, wręcz lękliwy. Zmuszał się do najbardziej szalonych gestów. Niezwykłym czynił go tylko dziwny upór. Ale Imogen sądzi, że jakkolwiek był jej oddany, równie mocno oddał się wojnie. I to zanim jeszcze miał pojęcie, ile będzie go to kosztować. Może żałował swego wyboru. Jednak ta więź była zbyt silna, by Imogen mogła ją zerwać. Wiedziała, że Ashley utracił coś, czego już nie odzyska. Nie tylko skórę na szyi czy dawny tembr głosu. Coś ważniejszego, delikatniejszego. Imogen nigdy nie zrozumiałaby tej straty. Było wielu mężczyzn, którzy wrócili do Anglii odmienieni nie do poznania, obcy dla swych ukochanych. Imogen nie wierzyła, że Ashley mógłby stać się takim mężczyzną. I nie wyobrażała sobie siebie w czarnej woalce, w naszyjniku z czarnych koralii. To dobre dla innych kobiet, takich, które postępują zgodnie z regułami. Zdaniem Imogen jej i Ashleya reguły nie dotyczyły. Zaczęła się jednak obawiać, że to nieprawda. I wreszcie pogodziła się z myślą, że Ashley był jedynie mężczyzną, a ona jedynie kobietą, a ich uczucia nie zdołały ochronić obojga przed rzeczywistym światem.

A jednak ich miłość była inna. Razem stanowili coś więcej niż każde z osobna. Siła uczuć dała im coś mitycznego, tydzień tak żarliwy i pełen życia, że tylko oni dwoje poznali wówczas najtajniejsze cuda świata. Kolory i kształty, dźwięki i zapachy Londynu czy Sutton Courtenay, hotel, dworzec – wszystko to uczyniła moc ich namietności, rozszczepiła niczym pryzmat. A może tylko pozwoliła Imogen widzieć rzeczy takimi, jakimi były, przez jedną krótką chwilę? Imogen sama już nie wie. Wie tylko, że tamten tydzień zaćmił wszystko, co znała wcześniej i co kiedykolwiek miała poznać.

Gdyby już wtedy zdała sobie z tego sprawę. Jakże chciałaby kochać go jeszcze mocniej, bardziej radować się tamtym doskonałym interludium, świetlistym cudem sześciu dni z dala od hałdy śmieci, która odtąd będzie jej życiem. Ale to młodość, miłość, to ślepotą uczyniła tamten tydzień tak wspaniałym. Nie poczuje już nigdy podobnego żaru. Ani z Ashleyem, ani z nikim innym. Nie będzie marnować czasu na szukanie powtórki. To nigdy nie mogłoby się powtórzyć. Właśnie dlatego było takie niezwykłe. Należy już do zamkniętego rozdziału, jak jej pierwsze kroki albo pierwsza kąpiel w oceanie.

Imogen dociera do drzew. Siada na przewróconej sośnie i krzyżuje stopy. Kładzie delikatnie ręce na brzuchu. Jeszcze pięć miesięcy i będzie po wszystkim. Przynajmniej w tym fackie trzeba szukać pocieszenia. Pięć miesięcy i koniec.

Próbowała napisać do niego list. Wszędzie wały się pomięte kartki. I choć Eleanor nic nie powiedziała, musiała je zauważyć. I jego imię w nagłówku. Nie udawało jej się jednak skomponować nic długiego. Nie potrafiła wyjaśnić sytuacji, w której się znalazła, ani pogodzić tego, co chciała mu powiedzieć, z faktem ich rozłąki.

Mogła tylko oświadczyć, że pragnie wyłącznie żyć własnym życiem. I że niesprawiedliwością byłoby proszenie Ashleya, by on z własnego życia zrezygnował, bez baczenia na konsekwencje. Potrafiła wytłumaczyć, że wybrała własną ścieżkę. Za pięć miesięcy będzie odpowiadać tylko przed sobą. Bo wie już, że nie potrafi znieść potwornej odpowiedzialności za szczęście innych ludzi.

Ale Imogen nie potrafiła zdobyć się na wysłanie takiego listu. Dla Ashleya byłoby to całkowicie druzgoczące. Dziś rano spaliła wszystkie te kartki.

Nigdy już się nie spotkają. To pewne i ostateczne. To koszmarnie. Imogen nie zamierza negocjować tego faktu, ubierać go w ładne słówka, nie chce dołączać żadnych żalonych przeprosin.

Próbowała, ale nie dała rady. Dowodem popiół w kominku, spalone listy, z których każdy wzbudziłby nadzieje Ashleya, by ostatecznie zniszczyć je całkowicie na ostatniej stronie. Koniec końców zdecydowała się na trzy zdania, które zostawiła do przeczytania Eleanor.

Mój Ashleyu!

Straciłam dziecko. Wyjeżdżam, więcej już się nie zobaczymy. Bardzo, bardzo mi przykro.

Niezmiennie, Twoja kochająca Imogen

Tylko tyle. Owszem, kłamstwo – ale i tak bliższe prawdy niż cokolwiek, co mogłaby napisać. Imogen wzdraga się na samą myśl. Powtarza sobie, że to nie list jest okrutny, lecz jego konsekwencje. Skoro się już z nimi pogodziła, nie może ukrywać ich przed Ashleyem. Prosił o szczerą odpowiedź – i ją dostanie. Na nic lepszego Imogen nie stać.

Jednak wizja Ashleya czytającego list jest strasznie bolesna. Przez tydzień Imogen nosiła w głowie treść tej ostatecznej wersji, ale nie potrafiła zebrać się w sobie, by przelać ją na papier. Najgorsze jest kłamstwo o dziecku. To jednak nieuchronne. Dla dobra Eleanor i Charlesa nie wolno dopuścić, by pewnego dnia ojcostwo dziecka zostało zakwestionowane. Zresztą wszyscy potrzebują jakiegoś zakończenia, nawet Ashley, nawet sama Imogen. Muszą spalić za sobą mosty – w przeciwnym razie nigdy nie pójdą naprzód.

Co stanie się dalej? Gdy urodzi się dziecko, siostry wrócą do Anglii. Eleanor wychowa dziecko jak własne. Imogen rozplynie się wśród cieni i mgieł Londynu, mając ostatni piękny rozdział życia za sobą. Czy okaże się, że myliła się, myśląc, że Ashley nie ma szans wyjść cało z wojny? Wszak może to tylko wina jej aroganckiego przekonania, że rozumie rzeczy, których on nie pojął. Może, opuszczając go, skazała się na codzienne przeglądanie listy poległych w gazecie. Nie będzie wiedziała, czy zginął, czy przeżył, aż pewnego dnia przypadkiem ujrzy go na jakimś przyjęciu w Mayfair albo idącego pod rękę z jakąś kobietą na Russell Square. Nie, za wszelką cenę trzeba czegoś podobnego uniknąć. Lepiej zacząć od nowa, pośród nieznanym, pośród ludzi, którzy nie będą jej znać ani osądzać.

Imogen rysuje na śniegu kilka kształtów. Kółko. Połówkę serca. Jakaś dziwna siła – przymus wewnętrzny – każe jej wpisać w nią własne inicjały. I obok – wysoką literę A. W tym momencie Imogen powstrzymuje się. Wstydzi ją ów dziecinny gest, choć jest tu zupełnie sama. Jako dziewczynka często rysowała na piasku na plażach w Sussex. Jakże podobny do śniegu był ów piasek, a zarazem jak różny. Leżał latami na tych samych nabrzeżach i nie zniknął z wiosenną odwilżą. Lecz przecież stopniały śnieg wpływa do rzek i strumieni, by wyparować i wrócić następnej zimy. Zresztą Imogen nie jest tego pewna – co ją złości, gdyż liczyła, że w tym wieku będzie już wiedzieć i rozumieć znacznie, znacznie więcej.

Spogląda na dom, ale zaszła głęboko w las i drzewa przesłaniają widok. Jest bardzo zimno. Czy we Francji panuje równie silny mróz? Francja nie leży aż tak daleko na północ. Pewnie jednak powietrze zdaje się zimniejsze, gdy w zawilgoconym mundurze śpiesz na zmarzniętej ziemi. Jak niewiele Imogen z tego wszystkiego rozumie. Zaczyna płakać, chyba ma lekką gorączkę.

– Nigdy się nie zmienię – szepcze, rozkoszując się świadomością, że to zupełnie kłamstwo.

Butami zaciera rysunki na śniegu. Nie zestarzeję się, nie będę cię mniej kochać, powtarza sobie w myślach. Nie pokocham innego, nigdy cię nie zawiodę i nigdy się nie rozstaniemy, nawet na chwilę, ani w tym świecie, ani w następnym.

Jakaś postać idzie między drzewami. To Eleanor w długim płaszczu, niesie kubek

parującej herbaty. Siada koło Imogen.

– Przeszłaś się – mówi – a teraz, na miłość boską, wracaj do środka, nim zamarzniesz.

KSIĘGA TRZECIA



PRZEŁĘCZ PÓLNOCNA

Wyprawy odkrywców to fizyczna realizacja Intelktualnej Pasji. I powiadam, jeśli pragniecie wiedzy i macie siły, by owo pragnienie przekuć w czyn, ruszajcie na wyprawy. Jeśli jesteście śmiałymi mężami, nic nie osiągniecie. Jeśli jednak czujecie strach, czekać was mogą wielkie sukcesy, jedynie bowiem tchórze muszą dowodzić swej odwagi.

Apsley Cherry-Garrard, *The Worst Journey in the World*



22 lutego 1924

Russell Square

Bloomsbury, centrum Londynu

Ashley wychodzi ze stacji metra i kupuje wieczorną gazetę. Wkłada ją pod pachę i rusza na wschód. Jest szósta, całe miasto spieszy do domów. Hordy mężczyzn w ciemnych garniturach mrowią się na chodnikach. Ashley skręca w Lamb's Conduit Street. W pubie zjawia się pół godziny przed czasem.

Lokal bardzo przypada mu do gustu. Na ulicę wychodzą duże matowe okna, ściany wyłożone są zielonymi kaflami. Ashley zamawia piwo przy barze w saloniku i obserwuje dłón barmana, który trzykrotnie pociąga za hebanowy drążek, pozwalając pienistemu piwu wypełnić wysoką szklankę. Twarzy barmana nie widać, przesłania ją ekran ze szkła, blokujący widok na salę publiczną, siedlisko niższych klas. Wszystkie panele są zamknięte.

Ashley bierze szklankę i siada przy małym okrągłym stoliku. Upija łyk i po raz pierwszy od pięciu lat kosztuje prawdziwego angielskiego piwa. Wyobrażał sobie, że smak przywiedzie jakieś wspomnienia, tak się jednak nie dzieje. Piwo wydaje się zarazem znajome i banalne. Po pierwszym łyku Ashley czuje, jak gdyby pięcioletnia rozłąka wcale się nie wydarzyła.

Klamka zapadła. Ashley przygotowywał się, jak tylko mógł. Nieważne, czy przygotował się dobrze, czy nie – klamka zapadła. Ekspedycja wyrusza w piątek. Ashley stawia czoło Himalajom. Jest mocniejszy niż kiedykolwiek. Inne pytanie, czy to wystarczy. Nie było żadnego sposobu, by przekonać się zawczasu. Pozostało jedynie trenować najciężej, jak się da.

Zaczął przygotowania już latem, nim jeszcze się dowiedział, że weźmie udział w wyprawie. Początkowo do jego uszu dobiegały sprzeczne plotki. Niemniej dobrze było znów znaleźć się w Alpach, z dala od bezsensownej ascezy arabskich wędrowek. Znów wrócić na solidny granit, gdzie człowiek skupia uwagę tylko na ścianie przed sobą. Ashley był w tym dobry i lubił to. Inaczej niż na tamtej przeklętej plantacji kawy w Kenii, gdzie, owszem, radził sobie, lecz nienawidził każdej chwili. Inaczej niż w Arabii, którą czasem lubił, lecz gdzie zdecydowanie był nie na swoim miejscu. Ashley miał dwadzieścia dziewięć lat. Wspiął się trzynasty rok i prawdopodobnie znajdował się u szczytu sił. Najlepszym dowodem ostatni sezon w Alpach. Męczarnia, ale i cudowna frajda. Sezon zakończył się w sierpniu, gdy przyszła wiadomość o przyznaniu mu miejsca w ekspedycji. Telegram czekał w recepcji Hotel du Mont-Collon. Ashley rozdarł kopertę, roześmiał się, aż twarz mu się zaczerwieniła, i podał wiadomość recepcjoniście, niezdarnie szukając słów, by przetłumaczyć jej treść na francuski.

– *Je vais monter le plus haut montagne du monde* – wyjaśnił.

Gdy wreszcie recepcjonista zrozumiał, wypowiedział te same dwa słowa, co wszyscy:
Bon courage.

Telegram, dwanaście słów wydrukowanych na kawałku papieru, zmusił Ashleya do całkowitej zmiany planów. Ashley postanowił przezimować w Alpach, trenować na śniegu aż do lutego, kiedy ekspedycja miała wyruszyć. Zatrzymał się w oberży niedaleko Les Haudères i zaczął porządnie pracować nad sobą. Parę tygodni porannej wspinaczki, rąbania i noszenia drewna, aż w końcu dłónie miał całe w bąblach, a właściciel gospody oświadczył, że nie ma już gdzie składować kolejnych szczap. Z pierwszym jesiennym śniegiem Ashley poczuł, że tęskni za jednym jedynym miejscem, którego – jak sądził – nigdy już nie ujrzy: za Anglią.

Nie był tam od roku 1919. Dopiero teraz, otoczony zewsząd przez zaśnieżone szczyty, zaczął snuć fantastyczne wizje o swej ojczyźnie, o sennym królestwie w deszczu i zieleni. Tęsknił za morzem, za mgłą okrywającą wybrzeża, za potężnymi falami rozbijającymi się o skały. Wiedział, że nie potrzebuje alpejskich szczytów, by przygotować się na Everest. Inni wspinacze mówili, że Everest to raczej kwestia siły, a nie finexji. Największym problemem będzie wytrzymałość.

Tydzień później Ashley znalazł się więc w Londynie. Wynajął mieszkanie nieopodal Coram's Fields i wyruszył w znane sobie niegdyś miejsca, czując się nieco jak duch pośród żyjących. Wieczorami kładł zwiniętą linę na marokańskim dywanie przy drzwiach, słuchał, jak krople deszczu wałą w okno i na chodnik. Ostrożnie starał się zaaklimatyzować w lepszym towarzystwie. Parę spotkań w Alpine Club, wizyta w teatrze na West Endzie, drinki w Café Royal. Spodziewał się, że wszyscy będą go wypytywać o ostatnie pięć lat. Gdzie był i co robił? Jakie ma plany na przyszłość? Tymczasem jednak zdawało się, że miasto ledwo zauważyło jego nieobecność.

– Nasz szef siatki szpiegowskiej – mówiono i klepano go w ramię. – Dawnośmy się nie widzieli. Gdzie się ukrywałeś?

Niesprawiedliwe, że miasto tak łatwo zapomniało o nim i o wszystkich ludziach, których utraciło. Ashley wiedział, że to absurdałne uczucie, lecz nie potrafił się go pozbyć. Trawniki w Regent's Park wyglądały tak samo jak w 1916. A jednak zdawały się zupełnie inne. Ashley natychmiast przypomniał sobie gorycz, którą czuł pięć lat wcześniej. Że nadal serwują mrożonego ananasa w Gunter's. Że w gazetach drukują zdjęcia ślubne lady Diany Manners. Że tłumy wałą do His Majesty's Theatre na *Chu Chin Chow* – gdy tymczasem Jeffries, Ismay, Bradley i miliony innych leżą w zbiorowych mogiłach we francuskim błocie, pod gumowymi plandekami służącymi za całun okrywający ich gnijące zwłoki. W 1919 kamieniarze całej Europy zarabiali krocie, wznosząc w każdej wiosce pamiątkowy pomnik. Ashley miał wrażenie, że im więcej takich pomników, im więcej pieśni żałobnych, tym szybciej zmarli stawali się bezosobową masą.

Ismay został bowiem w pełni unicestwiony, dopiero gdy zaliczono go w poczet Chwalebnie Poległych. A przecież zawsze opierał się tego rodzaju obłudzie. Był wulgarnym i odważnym stworzeniem, którego Ashley nigdy nie zdołał w pełni zrozumieć. Dopiero później Ashley zaczął sobie układać obraz towarzysza, kawałek po kawałku, podczas podróży samochodem przez pustynię Wielkiego Nefudu, gdy kierowca nucił jakąś arabską melodię, podczas pobytu w chacie górskiej w Oberlandzie Berneńskim, kiedy Ashley zrzucił z siebie koldrę i leżał bezsenny na drewnianym łóżku piętrowym. Sądził, że zapomniał, jak wyglądała twarz Ismaya, ale wtedy jej obraz powracał – przekrzywiony uśmiech, rozkojarzone spojrzenie różnokolorowych oczu, zielonego i brązowego. Ismay pociągający rum z poobijanego kubka w przedśionku, patrzący na śnieg, który przykrywał obóz wojskowy.

„Szpiegu, wiesz, co nas wyróżnia?”

„Nie”.

„Różnica polega na tym, że my przeżyjemy tę wojnę. A wiesz czemu?”

„Nie”.

„Bo jesteśmy absolutnie beznadziejni. Nie wolno kopać leżącego, a Bóg – nawet jeśli umarł – z pewnością do tego nie dopuści. Ty i ja nie jesteśmy żołnierzami. Dlatego nie skończymy tu, we Francji”.

Ashley nie przywiązywał wtedy wagi do tych słów, ale z każdym rokiem rozumiał je coraz lepiej. Jak bardzo Ismay musiał lękać się śmierci. Dużo bardziej od innych. Może dlatego, że znał życie na tyle, by wiedzieć, ile jest warte. I jak bardzo Ismay rozumiał Ashleya i mu

współczuł, choć Ashley na wiele rzeczy pozostawał ślepy. Jak dalece oni wszyscy – Ismay, Jeffries i inni młodzi oficerowie we Francji – byli jedynie dziećmi, aktorami w niezrozumiałej sztuce, posuwającymi się naprzód w grze odwagi i śmierci, wypinającymi dumnie piersi lub wrzeszczącymi w koszmarach – tych sennych i tych na jawie – lecz zawsze unikającymi naprawdę szczerých rozmów.

Tylko Ismay był inny. Ashley wciąż nie wiedział dlaczego. Ledwo się znali. A jednak ostatnio Ashley myślał o nim coraz więcej. Zadawał mu w myślach pytania, przeproszał za najdrobniejsze przewinienia – na przykład za to, że pożyczył od niego kołnierzyk i nie zwrócił. Albo za dzień, kiedy Ismay opuścił obóz. W rurach zamarzała woda i wszystkie popękały; zajęty tym Ashley nie przyszedł się pożegnać. Nigdy już nie zobaczył Ismaya.

Te właśnie uczucia obrzydziły mu Londyn w roku 1919. Pięć lat później wciąż miał gorycz w sercu, mimo wszystkiego, co robił w tym czasie. Nieliczni przyjaciele w mieście uważali, że Ashley stał się dziwny i wycofany. Nie rozumieli jego życia, on nie rozumiał ich. Nie mogło chodzić o wojenne doświadczenia – wszak wszyscy byli na wojnie.

Po tygodniu Ashley wyjechał do Sutton Courtenay odwiedzić matkę. Straszliwie postarzała się przez ostatnie pięć lat. Posmutniała, stała się słaba i krucha. Gospodyni powiedziała Ashleyowi po cichu, że matka wychodzi teraz z domu tylko w niedziele, i to wyłącznie przy dobrej pogodzie. Podczas pierwszej kolacji Ashley opowiadał matce, co robił za granicą. Tylko to, co jego zdaniem chciała usłyszeć. Czasem mówił prawdę, czasem zmyślał. Nie mógłby wyjawic jej wszystkiego, nawet gdyby był do tego zdolny. Na temat Everestu wypowiadał się ostrożnie, by ani słowem nie zdradzić, że wyprawa może wiązać się z niebezpieczeństwami. Matka przyjmowała wszystko do brodu.

– Tak wiele osiągnąłeś – orzekła. – Pobył w wojsku uczynił z ciebie mężnego człowieka.

Następnego dnia Ashley wybrał się na spływ jednoosobową łódką po Tamizie. Zaczął po południu i wiosłował, aż zapadła ciemność i nie widział już nawet wody. W samotności towarzyszyły mu tylko gwiazdy na niebie i kołyszące się latarnie barek przepływających czasem obok. Spędził kilka dni w Sutton Courtenay i im bardziej czuł się oderwany od własnego kraju i rodaków, tym ważniejszy stawał się dlań trening. Został bezpieczeństwa. Nie był już Anglikiem, nie mógł uważać się za znawcę Afryki, Arabii czy jakiegokolwiek obcego kraju. Dobrze radził sobie jedynie ze wspinaczką. Tylko w górach miał na cokolwiek wpływ.

Kupił austinę i pojechał do Snowdonii. Mieszkał w małych gospodach i chodził tymi samymi szlakami, które poznał, gdy po raz pierwszy zaczął się wspinąć. Zajmowało mu to całe dnie, czasem wracał długo po zmroku. Aby pokonać zmęczenie, wystarczyło się po prostu nie zatrzymywać. Odzyskiwał siły nawet w ruchu. Wypróbowywał techniki oddychania, które zamierzał wykorzystać na dużych wysokościach. Brał regularne i głębokie oddechy w rytmie kroków. Pragnął rozwijać każdą umiejętność, która mogła okazać się przydatna. Chciał poznać sekrety dzikich zwierząt, silnych i muskularnych, które podczas swych podróży oglądał przez lornetki lub w świetle księżycy nad szklistymi jeziorami: szwajcarskiej kozicy, antylopy, arabskiej gazeli.

Z początkiem roku pojechał na południe i zamieszkał w chacie na wybrzeżu w Pembrokeshire. Białym świtem i gdy zapadał mrok, biegał po plaży, po piasku zalewanym przez pianistą wodę, ścigając się z mewami krążącymi mu nad głową. Podnosił wzrok i przyglądał się ptakom, które jednym machnięciem skrzydeł potrafiły wyprzedzić go o dziesięć jardów, zawsze niedoścignione. Ashley gnał, aż dostawał zadyszki i musiał się zatrzymać. Chwytał oddech. Zimna woda zalewała mu łydki, a mewy pływały się w powietrzu.

Ashley ścigał się z czym popadło. Z żaglówkami oddalonymi o milę od brzegu. Z wiatrem, z własnym cieniem. Z Price'em i Somervellem, i najmocniejszymi wspinaczami

w Europie. Gonił ich w wyobraźni po alpejskich przełęczach, myślał z wściekłością, co to będzie, jeśli Price wyprzedzi go na Przełęczy Północnej Everestu, bo Ashley na krótką chwilę stracił czujność. Po pewnym czasie uznał, że wybrał sobie zbyt powolnych rywali, zaczął się więc ścigać z Paavo Nurmem i Erikiem Liddellem, i w ogóle każdym biegaczem, o jakim kiedykolwiek usłyszał w radiu.

Przed wszystkim jednak biegł dla niej i dla agonii, której doświadczał, bo duma i ból były bezlitosnymi jeźdźcami. Ścigał się z wyobrażonymi przeciwnikami, by zdobyć jej uczucie. Duchy bez twarzy zawsze go wyprzedzały. Wysocy i umięśnieni atleci zawsze byli lepsi. Ashley mógł pokonać ich tylko siłą woli, wiedział bowiem, że woli nie brakuje mu, nawet gdy ciało słabnie. W lepsze dni pozwalał sobie nad nimi zatriumfować. Chciał jej bardziej niż oni. Bardziej nawet, niż chciał zdobyć górę.

– A więc jesteś.

Price klepie Ashleya w ramię i siada naprzeciwko. Zawiesza aktówkę na haczyku przytwierdzonym do stolika.

– Przepraszam za spóźnienie – dodaje. – Kolejna kłótnia z Hinksem.

– O co poszło?

– Jak zwykle o pieniądze. Facet myśli, że mogę użyć tego samego sprzętu co dwa lata temu i nadstawiać karku. Co zamówiłeś? Gorzkie?

Price idzie do baru i wraca z dwiema szklankami piwa.

– Dziwnie cię widzieć w Anglii, Ashleju. Dobrze wyglądasz. Gdzie się zatrzymałeś?

– Wynajmuję mieszkanie, zaraz za rogiem.

– A więc wreszcie zamierzasz osiąść tu na stałe?

– Nie. – Ashley się uśmiecha. – Niezupełnie.

– To byłoby zbyt piękne. Jak tam Walia? Słyszałem o twoich przygotowaniach. Na starość zrobiłeś się strasznie poważny. Czy to prawda, że zatrudniłeś trenera? Farrar mówił...

– Nie, to plotka – przerywa mu Ashley. – Ale jestem w lepszej kondycji niż kiedykolwiek.

– Wyśmienicie. Będziesz potrzebował każdego grama mięśni.

– Wiem.

Price klepie Ashleya w ramię.

– Doprawdy, dobrze widzieć, żeś wrócił z obczyzny. Jak ci tam było?

– Nie najgorzej. Ale bywałem trochę nie w sosie.

– Najzupełniej oczywiście. Długo tam bawiłeś. W każdym razie komitet w ciebie wierzy.

Tegoroczna wyprawa jest o niebo lepiej przygotowana niż ostatnia. Wszyscy święci starcy zgadzają się, że tym razem Everest nie ma z nami szans.

– A co ty sądzisz?

Price waha się. Bierze długi łyk piwa.

– Wiesz, miałem nadzieję, że mnie nie puszcza. Związek, komitet; modliłem się, by cokolwiek stało mi na przeszkodzie.

– Mogłeś po prostu odmówić.

– Mogłem – przytakuje Price. – Ale jak już Everest się na ciebie uweźmie, niełatwo go sobie odpuścić.

Price marszczy brwi i drapie drewniany stolik. Spogląda na Ashleya.

– Zrozumiesz, jak zobaczysz górę na własne oczy. Himalaje nie są jak Alpy. Everest to nie Mont Blanc, tylko wyższy o trzysta tysięcy stóp. Kolesie w rodzaju Hinksa nigdy tego nie pojmą. Nie wyruszamy z wygodnego hotelu, rumiani i tłusci jak uczniaki z prywatnej szkoły. Już sama droga przez Tybet jest koszmarna. Połowa z nas będzie w złym stanie, zanim jeszcze

dotrzemy do bazy. Dalej, wysokość. Nie da się przewidzieć, jak silne będziesz miał objawy, ale generalnie spodziewaj się czegoś pomiędzy mdłościami a śmiercią. I wreszcie wspinaczka. Pułkownik ma jedną koncepcję trasy, ja mam inną. Teoretycznie powinniśmy uzgodnić wspólny plan, kiedy będziemy szli przez Tybet. Ale tak naprawdę żaden z nas nie wie, co czeka nas na szczycie.

Price przerywa, na twarzy ma wypisane obawy.

– Ale przecież wiesz już to wszystko.

– Wiem dosyć, by się bać.

– Bać? – Price unosi brwi. – Bać? Ty? Poprzednio komitet nie wybrał cię głównie dlatego, że myśleli, iż poprowadzisz swoją grupę ku katastrofie. Uważali, że masz skłonność do brawury, a twój osąd...

– Wiem, co mówili – Ashley wchodzi Price'owi w słowo. – Ale i tak się boję. Sam powiedziałeś, że to nie Alpy. Nigdy tam nie byłem. Nieważne, ile czytam na temat Everestu i Himalajów, wciąż są one dla mnie zagadką. Wszystko tam będzie inaczej. Inne lodowce...

– Szybko się rozeznasz. Zawsze miałeś instynkt do takich rzeczy.

– Jest jeszcze coś – mówi Ashley. – Ta góra mi się śni.

Price zbywa to, machając ręką.

– Wszyscy mamy takie sny.

– Być może. Chciałbym cię jednak o coś zapytać, Hugh. Wiem, dlaczego biorę udział w wyprawie. A ty? Dlaczego wracasz? Mówiłeś, że nie chcesz, że to koszarne miejsce...

Price bierze kolejny łyk piwa. Wzrusza ramionami.

– Poczekaj, aż zobaczysz na własne oczy. Wtedy zrozumiesz.

Zamawiają następną kolejkę piwa. Potem Price zbiera się do wyjścia. Żegnają się przed pubem. Price odjeżdża taksówką, a Ashley wraca do środka i zamawia podwójną Vat 69. Barman nie widzi jego twarzy, lecz najwyraźniej poznaje głos albo ubranie, gdyż nalewając whisky, pyta:

– Przyciągnęło pana do nas z powrotem?

– Najwyraźniej.

Ashley siada przy barze i czyta gazetę. Barman podaje mu drinka. Wtedy Ashley otwiera kwadratowy panel i patrzy barmanowi prosto w oczy. Barman jest starszawy, łysy, ma sumiasty siwy wąs i gruby czerwony kark, rozpięty kołnierzyk i poluzowany krawat.

– Wie pan – mówi Ashley – po raz pierwszy od pięciu lat jestem w pubie.

– W takim razie ma pan pełne prawo nadrobić lata przerwy.

Barman przeciera szklanki białą ścierką. Przez otwarty panel Ashley widzi klientów publicznego baru, mężczyzn w kaszkietach lub z gołymi głowami. Siedzą tyłem do niego. Z drugiego końca słychać kobiecy głos, ale Ashley nie widzi twarzy. Przewraca stronę w gazecie i zwraca uwagę na artykuł w ramce:

POCZTA Z EVERESTU

JAK WYSYLAĆ LISTY ZE SZCZYTU GÓRY

SPECJALNE ZNACZKI

Nowego rodzaju lawina zagraża członkom wyprawy na Mount Everest, którzy wyruszają z Anglii w następny piątek. Na ich cześć wydano specjalne, pięknie zaprojektowane znaczki pocztowe i mogą ujawnić, że każdy, kto chciałby mieć znaczek z wierzchołka Mount Everestu, będzie miał szansę zakupu za jedyne kilka pensów. Poczta lawina już ruszyła. Kapitan J.B.L. Noel, fotograf wyprawy, w następujących słowach przedstawił szczegóły planu...

Ashley triumfalnie stuka w gazetę i podsuwa ją barmanowi z szelmowskim uśmiechem.

- Mam pytanie. Słyszał pan o tych wyprawach na Mount Everest w Himalajach?
- Ano jasne. Trąbią o tym we wszystkich gazetach.
- Może więc pana zainteresować, że człowiek, z którym przed chwilą tu rozmawiałem, to Hugh Price, alpinista. Najlepszy w Anglii. To on odkrył przejście na Evereście i będzie liderem następnej wyprawy.
- Price – powtarza barman. – To przez niego zginęli ostatnim razem wszyscy ci tragarze?
- Tak, lawina zabrała kilku...
- I nie dotarli do szczytu, prawda?
- Nie.
- Na mój gust to wszystko jest skazane na porażkę. Włazić na górę tylko po to, by móc powiedzieć, że się tego dokonało. Będzie znowu próbował?
- Owszem. Ekspedycja wyrusza w następny piątek.
- Co kto lubi. – Barman wzrusza ramionami.
- Racja.

Ashley czyta resztę artykułu, poświęconą reklamie filmu pełnometrażowego, który kręcić będzie fotograf ekspedycji i który trafi na ekrany po triumfalnym powrocie himalaistów do Anglii. Zamawia kolejną podwójną whisky. Barman, podsuwając mu szklankę, pyta:

- Pan też się wybiera, prawda? Będzie się pan wspinał?
- Tak. Skąd pan wiedział?
- Domyśliłem się, gdy poruszył pan temat. Widziałem też chyba pańskie zdjęcie w gazecie i poznałem pana. Bardzo z pana poważny człowiek. I tyle lat nie był pan w pubie.
- Oczywiście. Jest pan tu właścicielem?
- Od jedenastu lat prowadzę ten lokal.

Ashley kiwa głową, pociąga whisky. Nieobecny spojrzeniem patrzy, jak barman przeciera szklanki, a potem sięga do kieszeni i wyciąga portfel.

- Nazywam się Walsingham. Mieszkam tuż za rogiem, w Lansdowne Terrace.

Odlicza pięć banknotów dziesięciofuntowych i kładzie je na barze.

- Proszę szukać wzmianki o mnie w gazetach – ciągnie – gdyż wejdę na Mount Everest.

A potem, zaraz po powrocie do Londynu przyjdę tu i za te pieniądze postawię wszystkim gościom szampana. Po obu stronach ekranu. Ma pan szampana na składzie?

- Nie, proszę pana.
- Cóż, nie szkodzi. Postawię każdemu, co tylko będzie chciał. Jeśli zaś nie uda mi się wejść na szczyt, wrócę i odbiorę moje pięćdziesiąt funtów jako nagrodę pocieszenia. Pan i tak nic nie traci. Może być?
- Nadzwyczaj szczodra propozycja.

Ashley i barman ściskają sobie dłonie.

- Ostatnia rzecz. Jeśli w ogóle nie wrócę, jeśli dowie się pan, że nie wracam, proszę wziąć te pieniądze i jeszcze tej samej nocy wszyscy w publicznym barze mają pić na mój koszt. Co będą chcieli, do ostatniego pensa.

Barman waha się, najwyraźniej ostatni warunek umowy wydaje mu się w nie najlepszym guście. W końcu jednak Ashleyowi udaje się go przekonać.

Wychodząc z pubu, Ashley lekko się zatacza. Staje piętami na krawężniku, by przetestować swój zmysł równowagi, i podnosi wzrok w poszukiwaniu księżycy. Nocne niebo przesłaniają chmury.

Szuka czegoś w kieszeniach płaszcza. Chyba zgubił portfel. Zostawił go w klubie podczas lunchu albo w banku, albo na barze w pubie. A nie, jest. Z portfelem w dłoni Ashley przecina

Guilford Street i dochodzi do Lansdowne Terrace. Nie bez kłopotów otwiera drzwi frontowe i wchodzi po schodach, dwa stopnie naraz. Zwała się na fotel w kącie salonu. Nie wybierała mebli – dostał je razem z mieszkaniem. Obok fotela stoi elektryczna lampka, lecz Ashley postanawia siedzieć w ciemności.

Nie potrzebuję światła, myśli. Poradzę sobie bez niego całą noc.

Za niezastłoniętymi oknami płoną latarnie i przy ich mocnym białym blasku Ashley może czytać swą gazetę. Nie znajduje w niej jednak nic interesującego. Jest zbyt zmęczony. Mógłby wziąć książkę z sypialni, ale na niej też by się nie skupił. Myśli o swoich pięćdziesięciu funtach, o banknotach spoczywających obecnie w kieszeni barczystego właściciela pubu przy Cannon Street. Jutro trzeba będzie podjąć z banku więcej pieniędzy. Na pewno trafi na innego kasjera – zresztą nawet gdyby obsługiwał go ten sam, i tak się nie domyśli, że Ashley przepuścił poprzednio wzięte pieniądze na niedorzeczny zakład.

Ashley rzuca gazetę na podłogę. Myśli o pięciu latach spędzonych poza Anglią. Teraz, kiedy wrócił, lata te wydają mu się niczym. Równie dobrze mógłby opuścić kraj na dekadę. Tak samo z treningiem. Po skończeniu przygotowań cały wysiłek zdawał się mało realny. Jedyнным dowodem pozostawała wyrzeźbiona sylwetka – oraz fakt, że Ashley przy jakimkolwiek wysiłku nie dostawał najmniejszej choćby zadyszki.

Ashley myśli o swoim cieple, leżącym samotnie w fotelu w ciemnym pokoju wychodzącym na Coram's Fields. W kątach stoją nierozpakowane wciąż kufry i walizki. Zakład: pięćdziesiąt funtów. I coś jeszcze, powód, dla którego nie było go pięć lat. Powód, dla którego podejmował wyzwania przekraczające jego siły i możliwości. Ashley nie śmie myśleć o nim wprost. Zaćmienie słońca oglądać trzeba przez zadymione szkiełko – podobnie jest i w tym przypadku. Bezpośrednia konfrontacja z problemem byłaby zbyt ryzykowna.

Nie może chodzić wyłącznie o nią, myśli Ashley. To musiało być częścią mnie, nim jeszcze się spotkaliśmy.

Ale jeśli nie chodzi tylko o nią, i tak splotło się ze wspomnieniami o niej. Nie istnieje bowiem inna potęga, która byłaby zdolna dać Ashleyowi tyle wytrwałości. A przy tym szaleństwa. Ryzykowanie życia dla frywolnych zachcianek. Myśl, że możesz pokonać Dent d'Hérens albo Ar-Rab al-Chali, albo Mount Everest. Wszak dla gór i pustyni był jedynie dzieckiem, łaskawie pozwalały mu ująć z życiem. Nic nie osiągnął prócz paru akrobatycznych popisów ego. „Włazić na górę tylko po to, by móc powiedzieć, że się tego dokonało”. Ashley próbuje przypomnieć sobie, jak było we wczesnych latach, kiedy kochał dziką przyrodę, lecz nie musiał z nią rywalizować. Czy wojna go zmieniła? Zbyt płytkie wyjaśnienie. Zawsze uwielbiał wygrywać. A jednak obsesja podbojów najwyraźniej przyszła dopiero po wojnie. Nawet nie podbojów – obsesja unikania porażek. Cokolwiek, byle nie ulec żadnej potędze.

Jedna wielka pomyłka; Ashley zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli jednak nie będzie parł naprzód, jeśli opuści go odwaga, nie będzie umiał ze sobą wytrzymać. Tego lęka się bardziej niż śmierci. Wystarczy przypomnieć sobie pustynię. Początkowo myślał wyłącznie o zaginionym mieście pośród piasków. Później, kiedy już wiedział, że nigdy go nie znajdzie, zostały mu tylko wątpliwości. Ile zdoła znieść, nim się podda? Jakie znaczenie ma dlań zdolność radzenia sobie z drobnymi niedogodnościami? Imogen nie można uznać za niedogodność. W jej przypadku obsesja była znacznie silniejsza. Miesiące daremnych poszukiwań po wojnie, błaganie jej rodziny i przyjaciół o jakąkolwiek odpowiedź, choć wiedział, że nic mu nie zdradzą, bo i sami pewnie nic nie wiedzieli. W końcu zrezygnował i wyjechał do Kenii. Nie mógł żyć, szukając Imogen, skoro ona nie chciała zostać odnaleziona.

Ashley wspomina pierwszą noc spędzoną z Imogen, gdy szukali klucza w Regent's Park. Przeszli cały West End, aż niebo przybrało barwę szafiru ponad dachami Haymarket, a Imogen

wsunęła rękę pod ramię Ashleya. Ujrzał ich odbicie w ciemnej wystawie sklepu tytoniowego. Ulicą przejechał chłopiec na rowerze objuczonym gazetami. Długo się im przyglądał i po raz pierwszy w życiu Ashley wiedział, jakie to uczucie być widzianym z ukochaną kobietą. Myślał, że owo uczucie będzie mu towarzyszyć do śmierci. Ostatecznie nie trwało jednak nawet tygodnia.

Co różni Ashleya od innych? Dlaczego nie zajmie się pisaniem wierszy i przycinaniem krzewów różanych w Berkshire? Czemu nie pałaszuje codziennie kotletów jagnięcych w klubie przy Pall Mall? Chodzi o siłę? A może tylko upór, głupią dumę, która pcha go do działania? Cokolwiek by to było, spełnienie zawsze jest nieuchwytnie, choć tuż przed nim. Imogen na pewno znalazła szczęście już dawno temu. Nie musi ryzykować, by poczuć, że żyje, lub by dowiedzieć się, kim jest. A kim jest Ashley? I kim byłby bez swej miłości, bez tej szalonej żarliwości, która zmusza go do przyjmowania kolejnych i kolejnych wyzwań?

Zapala lampkę i bierze książkę z rozmówkami nepalskimi. Będzie je recytował, nim nie zaśnie. Wkrótce wszystko będzie już jasne.

KIEROWNIK



O dwudziestej drugiej wsiadam w pociąg z Düsseldorfu do Berlina. W podróży jestem od pięciu godzin, ale do celu dotrę dopiero rankiem.

W moim przedziale sypialnym jest sześć łóżek. Panuje zaduch. Po paru godzinach w łóżku nie mogę już spać, idę więc do wagonu restauracyjnego. Bar jest zamknięty, lecz działa automat z kawą. Siedzę tam do świtu, pijąc *Milchkaffee* z małych plastikowych kubków. Rozmyślam o Berlinie, Evereście i telegramie Ashleya. Wyciągam notes i długopis.

14 września, nocny pociąg Düsseldorf – Berlin

W kwietniu 1924 Imogen była w Berlinie. A przynajmniej Ashley tak myślał. Ale czy rzeczywiście?

Czy utrzymywała w ogóle kontakt z Ashleyem albo z Eleanor i Charlotte?

Muszę odkryć coś w Berlinie.

Nadal jest ciemno, gdy pociąg zajeżdża na stację. BERLIN HAUPTBAHNHOF, głosi napis. Wysiadam i rozglądam się dokoła, podziwiając ogromny szklany dach i biały cyferblat dworcowego zegara. Czwarta dwadzieścia osiem. Jadę szybką koleją miejską do hostelu w Mitte w centrum miasta. Jest zimno, ale pogodnie. Po tygodniu spędzonym na francuskiej prowincji Berlin wydaje się ogromny. Kobiety podlewają kwiaty w skrzynkach na balkonie, oznaczenia ulic pisane są grubą czcionką bezszeryfową, wschodzące słońce odbija się od kuli strzelistej wieży telewizyjnej.

Dziewczyna w hostelu prowadzi mnie do pokoju, żebym mógł zostawić bagaż i wziąć prysznic. Potem jadę metrem na pocztę główną przy Joachimstaler Straße. Oparty o szklane drzwi czekam, aż urząd zostanie otwarty. O ósmej pracownik w niebieskim mundurze i prążkowanym krawacie wpuszcza mnie do środka. Przepraszająco pytam, czy ktokolwiek mówi po angielsku. Potem jestem odsyłany od jednej osoby do drugiej, słyszę co rusz, że moją sprawę powinien rozpatrzyć ktoś inny albo że muszę iść do innego urzędu. W końcu każą mi poczekać na kierownika.

Parę minut później za ladą staje siwowłosy kierownik. Ma ten sam mundur co inni, nosi jednak szelki, a jego koszula jest strasznie wygnieciona. Mężczyzna niezbyt cieszy się na mój widok.

– Niemożliwe – mówi po angielsku. – Nie może pan odebrać cudzej korespondencji zostawionej na poste restante.

– Nie chcę jej odbierać. Chcę się tylko dowiedzieć, jak długo przechowywane są takie listy.

– Dwa miesiące w przypadku listów krajowych, miesiąc w przypadku zagranicznych.

– A co, jeśli adresat się nie zgłosi?

– Zwracamy list do nadawcy.

– A jeśli nie ma adresu zwrotnego?

– Wówczas list zostaje uznany za niemożliwy do doręczenia i komisyjnie zniszczony.

– Nie ma wyjątków?

– Wątpię. – Kierownik się krzywi. – Niech pan lepiej wytłumaczy, o co dokładnie panu

chodzi. Spróbuję pomóc.

Przecieram twarz i zaczynam wyjaśniać mój problem najlepiej, jak się da. Kierownik słucha z beznamiętnym wyrazem twarzy. Otwiera drzwi obok lady i zaprasza mnie do środka.

– Niech pan pójdzie ze mną do biura. Tam porozmawiamy.

Idę za nim przez labirynt korytarzy o niskich sufitach. Biuro to pokój bez okna, piętrzą się tu sterty zwijającego się ze starości papieru. Kierownik siada za stalowym biurkiem i wskazuje mi krzesło.

– Zajmuję się zagubionymi przesyłkami. Ponadto pracuję dla muzeum pocztowego. Miał pan wiele szczęścia, że na mnie trafił.

Przybiera niezmiernie poważny wyraz twarzy. Mówi, że zamierza bardzo starannie wszystko mi wyjaśnić, bo jestem cudzoziemcem i w moim kraju są inne procedury. W Europie instytucje publiczne odgrywają ważną społecznie rolę. Poczta nie jest tu wyjątkiem. W Niemczech służba cywilna cieszy się znacznym poważaniem, nikt nie traktuje jej jako przechowalni niekompetentnych leni. Owszem, jestem gościem w tym kraju, ale gość musi szanować miejscowe obyczaje. Wedle niemieckich obyczajów niegrzecznie jest zaś zakłócać pracę poważnej instytucji publicznej dla jakichkolwiek własnych zachcianek.

Wydaję mu się jednak inteligentnym i rozsądnym młodzieńcem, toteż powinienem wiedzieć, że nie należy marnować czasu jego ani podległych mu pracowników. Odpowiedzi powinien był mi dostarczyć zdrowy rozsądek. Nie trzeba nękać pytaniami pracownika poczty – a co dopiero pięciu pracowników i kierownika – by wiedzieć, że nieodebranej korespondencji nie trzyma się przez osiemdziesiąt lat. Na końcu kierownik wyjaśnia, że w jego kraju instytucje takie jak poczta muszą kierować się zasadą transparentności, jest więc gotów odpowiedzieć na wszelkie moje pytania.

– Nie zmyśliłem tej historii – mówię. – To najprawdziwsza prawda.

Kierownik uśmiecha się. Bierze formularz z półeczki na biurku i kładzie go przede mną. Przeprasza, że nie ma odpowiedniego formularza po angielsku, i wskazuje pola do wypełnienia.

– Tu wpisuje pan nazwisko nadawcy. Tu nazwisko odbiorcy. Tu proszę wpisać „poste restante”. W tym miejscu pana imię, nazwisko, adres pocztowy oraz adres e-mail i numer telefonu. Tutaj na dole podpis.

Wręcza mi długopis i odchyła się na krześle. Tłumaczy, że aby instytucje publiczne mogły działać, konieczny jest porządek, toteż wszelkie wnioski, zarówno te zasadne, jak i te wątpliwe, muszą być bezstronnie rozpatrywane. Rolą pracownika służby cywilnej nie jest wydawanie sądów. Dlatego prosi o wypełnienie formularza i choć osobiście ma zastrzeżenia do mojej prośby, zadba, by dołożono wszelkich starań w celu jej spełnienia.

Wypełniam formularz i wręczam go kierownikowi. Mężczyzna przygląda mu się i uśmiecha ponuro.

– Tristan Campbell – odczytuje. – No, Tristanie, gdzie jest pańska Izolda?

Odkłada formularz na inną półeczkę i odwraca się do komputera. Wychodzę z biura bez pożegnania.



27 lutego 1924

Theobald's Road

Bloomsbury, centrum Londynu

W prawej ręce Ashley niesie parasol, ale nie otwiera go mimo deszczu. Idzie szybkim krokiem, a pod skórzanymi podeszwami ma śliski chodnik.

Widzi przed sobą postać siedzącą pod ścianą budynku. Skręca, by przeciąć ulicę. Stoi na krawężniku, czekając, aż przejedzie samochód. Nagle odwraca się i podchodzi do kalekiego mężczyzny. Mężczyzna siedzi, kule oparł o ścianę. Ma nogę amputowaną poniżej kolana, nogawkę złożył i spiął agrafką. Trzyma blaszaną puszkę z pudełkami zapalek na sprzedaż.

Ashley szuka w płaszczu monety. Jego palce natrafiają na złożony blankiet telegramu i Ashley natychmiast czuje przypływ radości.

– Gdzie zostałeś ranny?

Mężczyzna unosi kapelusz kciukiem i przygląda się Ashleyowi. Po twarzy spływa mu deszcz.

– Ypres. W cholernej dziurze o nazwie Château Wood.

Ashley znajduje w drugiej kieszeni pół korony i wciska tamtemu w dłoń. Skręca w Bedford Row. Woda płynie rynsztokami wzdłuż ulicy. Drewniane kładki, myśli. Deski, podest nad mulistymi potokami Château Wood. Próbuje stłumić tę myśl, ale daje to skutek odwrotny do zamierzonego.

Idzie wzdłuż ceglanych kamienic i – doszedłszy do numeru 18 – skręca i wchodzi do środka przez ozdobione kolumnami wejście. W biurze trwa cichy ruch. Kanceliści przepisują dokumenty, młoda kobieta stuka na maszynie do pisania. Nad jednym z kancelistów pochyla się łysy mężczyzna w muszce i kamizelce. Na widok Ashleya unosi brwi.

– Pan Walsingham, jakże mi miło. Pan Twynning już pana oczekuje...

Jeden z kancelistów bierze od Ashleya płaszcz, kapelusz i parasolkę. Ashley idzie za łysym mężczyzną na pierwsze piętro. Na podeście mijają telefon w wyciszonej kabinie. Wchodzą do gabinetu Twynninga. Gabinet to na wpół oświetlony pokój z adamaszkowymi tapetami i regałami z mahoniu. Wszędzie porozrzucane są papiery. Księgi i rejestry leżą stertami na podłodze i gzymsie kominka.

Twynning wstaje zza biurka, by uścisnąć dłoń Ashleya. Ma trzyczęściowy garnitur i starannie przystrzyżone wąsy oraz przedziałek we włosach lśniących od pomady.

– Siadaj, siadaj. Od poniedziałku panuje tu straszliwy rozgardiasz, ale chyba wychodzimy na prostą. Przejrzałem papiery. Wyglądają pierwszorzędnie, biorąc pod uwagę złożoność sprawy. Panie Hotchkin, raczy pan przynieść kopie i oryginały.

Ashley siada na skórzanym fotelu pikowanym guzikami. Twynning robi nieco miejsca na biurku, kładąc jeden stos papierów na drugim. Kręci głową.

– Doprawdy, Ashleyu, myślałem, że mieliśmy umowę. Bóg mi świadkiem, że nie próbowałem cię nękać, gdy byłeś za granicą. Prowadzę jednak twoje sprawy, i to bez żadnej wiedzy na temat twych zamiarów, po czym zjawiasz się i w ostatniej chwili żądasz gruntownych zmian. Kiedy wyjeżdżasz?

– W piątek. Jutro mamy kolację w Wayfarers Club w Liverpoolu, następnego ranka odpływamy.

– Posłuchaj. – Twyning wzdycha. – To twoje pieniądze, możesz robić z nimi, co chcesz. Mam jednak obowiązek zadbać o to, by twoje zalecenia zostały wypełnione co do joty. A nieważne, jak dobrze się z tego wywiążę, sprawa będzie wyglądała podejrzanie ze względu na moment decyzji. Jak zareagowali twoi krewni?

– Nic im nie mówiłem.

– I nie zamierzasz powiedzieć?

– Nie.

Twyning stuka piórem w bibułkę i kręci głową.

– Może cię zaskoczę, Ashleyu, ale nie po to wybrałem karierę w zawodzie prawnika, by stać się architektem dwudziestowiecznego odpowiednika sprawy Jarndyce versus Jarndyce. Czy wyprawa naprawdę jest aż tak niebezpieczna? Nie miałem pojęcia, że dopuszczasz myśl, iż nie wrócisz z niej żywy.

– Podczas dwóch ostatnich wypraw nie zginął żaden ze wspinaczy. Natomiast kilku tragarzy poniosło śmierć. Co do testamentu, sądziłem, że lubisz mieć zawsze najbardziej aktualne wersje dokumentów.

– Nie przeczę – mówi Twyning, a przez jego twarz przebiega cień uśmiechu.

– Pozostawienie jej znaczącego spadku: proszę bardzo. Kiedy dodałeś ją do testamentu parę lat temu, nie odezwałem się ani słowem. Ale twoja obecna decyzja ma, jeśli wolno mi się tak wyrazić, liczne konsekwencje prawne i moralne.

– Moralne?

Wchodzi kancelista, niosący czarne metalowe pudełko z napisem „G. Risley”. Twyning otwiera je, wyjmując teczki i rozwiązuje wstążki. Papiery z teczek starannie rozkłada na biurku. Rzuca okiem w kierunku Ashleya.

– Czy sądzisz, że twemu przodkowi podobałoby się, że tak rozporządzasz majątkiem? Jedno pokolenie, a już wszystko dostaje się osobie spoza rodziny...

– Nie znałem jego intencji. Aczkolwiek pewnie byłby zaskoczony. Co do tych kwestii prawnych...

Twyning rzuca na biurko pustą teczkę.

– Radykalne zmiany w przededniu przedsięwzięcia, którego się podejmujesz... Twoje zdrowie psychiczne może zostać zakwestionowane. Dodatkowo sprawę pogarsza wybór spadkobiercy.

– Kto, twoim zdaniem, będzie robił awantury? Moja matka?

– Niewykluczone.

– Zapewniam, że nie.

– Oby. W przeciwnym razie nawet nie wyobrażasz sobie, jaki mnie czeka galimatias.

Twyning podchodzi do okna, składając ręce za plecami.

– No i wreszcie sprawa, którą już omawialiśmy. Dlaczego, na litość boską, chcesz zostawić pieniądze zaginionej osobie? Zakładając nawet, że ona żyje – mało prawdopodobne, by kiedykolwiek zgłosiła się po spadek.

– Żyje.

Twyning spogląda na Ashleya.

– Masz jakieś informacje na ten temat? Jeśli tak, musisz mi powiedzieć. Jeśli nie, wszystko pachnie chorobą psychiczną, co samo w sobie wiąże się z kłopotami dla prawnika. Mówię poważnie, jeżeli wiesz cokolwiek na temat miejsca jej pobytu...

– Nie wiem nic. Ale nie wierzę, by umarła.

– Jeśli nie uda nam się jej znaleźć – nalega Twyning – nie ma różnicy, czy żyje, czy nie.

– Nie da się utworzyć powiernictwa?

– Owszem, da się. Wszystko zostało już przygotowane. Choć to niełatwa sprawa. Wymaga wiele papierkowej roboty. I nawet jeśli nikt nie podważy testamentu w sądzie, zarząd powiernictwa będzie finansowany z majątku spadkowego. Jak dla mnie, żaden problem. Nie wydaje mi się jednak, by twoja rodzina była równie szczęśliwa.

– Mają dość pieniędzy.

– A jeśli ona nie ma? Jeśli żyje?

Ashley patrzy na Twyninga.

– Dziękuję za porady prawne. Są nad wyraz przekonujące i w pełni zrozumiałe. Ale teraz chciałbym już podpisać dokumenty.

Twyning kręci głową.

– Zupełnie nie rozumiem tego pośpiechu za pięć dwunasta. Dlaczego nie odezwałeś się wcześniej? Dlaczego dopiero wczoraj?

– Dotarło do mnie, że powinienem uporządkować swoje sprawy.

– Na miłość boską, Ashleyu, nie mówisz poważnie. Jeśli ona nagle się pojawiła i kazała ci to zrobić...

– Nie.

– Albo jeśli w ogóle mieliście kontakt, musisz mi o tym powiedzieć.

– Nie mieliśmy.

– Jeśli nie mieliście kontaktu, a ona żyje... Wybacz, ale zapewne ma własny majątek.

I nie potrzebuję twojego.

– Dostanę dokumenty do podpisania czy nie?

Twyning siada w fotelu obok Ashleya. Podsuwa mu papiery.

– Powinienem ci wyjaśnić, co ustaliliśmy i jak będzie działało powiernictwo. Powtórzę jednak, że w chwili, gdy złożysz tu swój podpis, powstanie węzeł, który niełatwo będzie rozsypać. Aż boję się myśleć o tych niezliczonych trudnościach...

– Rozumiem.

– Wiesz, że popełniasz błąd – wzdycha Twyning.

– Możliwe.

– Ale i tak nie zmienisz zdania?

– Właśnie.

Twyning wyjaśnia znaczenie poszczególnych dokumentów. Skończywszy, wzywa dwóch młodych kancelistów, by poświadczili podpisanie testamentu i ustanowienie powiernictwa. Ashley bierze pióro Twyninga i szybko składa podpisy na kolejnych stronach. Świadkowie spoglądają mu przez ramię.

– Ani momentu zawahania – mruczy Twyning.

Ashley nadal podpisuje podsuwane mu dokumenty.

– Inni często się wahają?

– Zdarza się, gdy mamy do czynienia z dużymi zmianami – odpowiada Twyning. – Ale twój przypadek jest bezprecedensowy i trudno go z czymkolwiek porównać.

Świadkowie kontrasygnują dokumenty. Ściskają dłoń Ashleyowi, życzą powodzenia na wyprawie, po czym wychodzą. Ashley wstaje i z szerokim uśmiechem zwraca się do Twyninga.

– Nie ma spraw bezprecedensowych. Każ tym chłopakom przejrzeć stare księgi. Założę się, że ktoś już postąpił dokładnie jak ja. W końcu od czego są prawnicy?

– Prawnicy wolą w takich sytuacjach mieć więcej czasu.

Twyning przegląda podpisane dokumenty, kopie odkłada osobno. Ashley z lekkim uśmiechem rozgląda się po pokoju. Podziwia srebrną podstawkę na kałamarz i pióra oraz obrotowy kalendarz przy oknie. „Wtorek, 26 lutego”. Ashley podchodzi i przekręca mosiężne

gałki, by ustawić „środe” i „27”.

– Pracowity ranek?

Twyning wzdycha, kręcąc głową. Porządkuje kopie w równy stosik i wkłada je do niebieskiej koperty.

– Nie miałem nawet chwili, by wypić filiżankę herbaty. Doprawdy, klienci tacy jak ty... Ściska dłoń Ashleya i wręcza mu kopertę.

– Wyślij pocztówkę z Bombaju. Płyniecie do Bombaju, prawda? I telegram, jeśli jednak zmienisz decyzję. Niewiele trzeba będzie czasu, by wszystko cofnąć.

– Nie zamierzam zmieniać zdania.

– I uważaj tam na siebie – ciągnie Twyning, ignorując odpowiedź Ashleya. – Nie lubię takich zmian za pięć dwunasta, są w niewłaściwym duchu. Kiedy wracasz?

– W sierpniu.

– Zadzwoń zaraz po powrocie, zobaczymy, w jakim wtedy będziesz nastroju.

Powodzenia. Widziałem twoje zdjęcie w „Timesie”. Pisali, że właśnie ty masz szansę pokonać wreszcie Everest.

– W wyprawie bierze udział ośmiu wspinaczy – mówi Ashley, wzruszając ramionami.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, dwóch dotrze na szczyt. Ja nie mam żadnego doświadczenia w Himalajach. Pozostali są diabelnie dobrze przygotowani i byli tam już wcześniej.

– A więc nie ty?

Ashley uśmiecha się tylko. Raz jeszcze ściskają sobie z Twyningiem dłonie. Ashley wychodzi z kancelarii i zatrzymuje przejeżdżającą taksówkę.

– Jermyn Street. Do zakładu braci Fagg, szewców. Nie znam numeru domu.

Siada w zamkniętej kabinie za kierowcą. Otwiera kopertę zegarka, zastanawiając się, czy szewcy zdążą przerobić jego buty i posłać je do Dardżyling, nim on tam dotrze. Nagle uświadamia sobie, że buty zostawił w mieszkaniu.

– Panie kierowco – mówi przez szybkę. – Będziemy musieli najpierw zatrzymać się w Lansdowne Terrace, numer dziewięty.

– Dobrze, proszę pana.

Ashley wyciąga nogi i ziewa z zadowoleniem. Wyjmuje z kieszeni telegram. Dziś czyta go dopiero po raz trzeci.

25 LUTEGO 1924

AE WALSINGHAM WYPRAWA NA MOUNT EVEREST OBTERRAS LONDYN
NAJDROŻSZY ASHLEYU UNIKAJ RYZYKA BO JESTEŚ CENNIEJSZY NIŻ
COKOLWIEK BĘDĘ CIĘ ZAWSZE CHRONIĆ IMOGEN

POSTE RESTANTE



Cztery dni później wracam na Joachimstaler Straße i znów szukam kogoś, kto zna angielski. Opieram się o ladę, przyglądając się ludziom w kolejce z przesyłkami w dłoniach. Zjawia się kierownik i kiwa mi niechętnie głową. Czeka, aż odezwę się pierwszy.

– Dostałem e-mail, ale był po niemiecku.

– Czygo się pan spodziewał? Jest pan przecież w Niemczech.

Znów idziemy do jego gabinetu. Siadam, a kierownik wychodzi i po chwili wraca z niebieskim tekturowym pudełkiem z archiwum. Stawia je na papierach zalegających na biurku.

– Proszę zajrzeć do środka.

Podnoszę wieko i moim oczom ukazuje się pięć kopert.

– Były w archiwum filatelistycznym – tłumaczy kierownik. – Najwyraźniej nawet osiemdziesiąt lat temu ktoś domyślił się, że nieczęsto otrzymujemy poste restante z ekspedycji wysokogórskich.

Kierownik odchyła się na krześle i wbija we mnie wzrok. Potem dodaje:

– W chwili obecnej niniejsza korespondencja należy do archiwum. Nawet gdyby zjawiała się adresatka i chciała odebrać listy, nie wyrażono by zgody.

– Nie chcę ich odbierać. Chcę je tylko przeczytać.

Kierownik wstaje i kręci głową.

– Nie mam kompetencji, by panu na to zezwolić. To kwestia ochrony prywatności. Może pan zwrócić się z wnioskiem do archiwum...

Mruży lekko oczy.

– Jak długo zostaje pan w Berlinie?

– Nie wiem. Kilka dni.

Kierownik kiwa głową. Bierze stalową linijkę i uderza nią w dłoń.

– Ktoś otworzył koperty, być może pracownik archiwum. Wątpię jednak, by ktokolwiek przeczytał listy. Zapewne nikt nigdy ich nie przeczyta. Trafiają na tę samą półkę, na której leżą od pół wieku. I przeleżą tam kolejne pięćdziesiąt lat...

Kierownik spogląda na mnie.

– Mówił pan, że jest spokrewniony z adresatką. Ale przecież nosicie różne nazwiska.

– Jestem spokrewniony i z adresatką, i z nadawcą.

– Ma pan jakiś dowód?

Szperam w torbie, wyciągam notatnik i bilecik napisany przez Ashleya, po czym wręczam go kierownikowi. Ten wkłada okulary i uważnie czyta kartkę. Okulary są nieco wygięte i sklezione taśmą. Kierownik otwiera pudełko, wyjmując list z koperty, by porównać pismo. Z szuflady biurka wyciąga lupę. Przygląda się najpierw listowi, potem kartce. Mamrocze coś po niemiecku i odkłada lupę na biurko.

– Niecodzienna sytuacja – stwierdza.

Pyta mnie, skąd jestem. Rozmawiamy o Kalifornii. Kierownik, jak się okazuje, wiele razy był w San Francisco, gdzie uczestniczył w konferencjach filatelistycznych. Pyta o moją rodzinę i studia. Cały czas bacznie mi się przygląda.

W końcu znów chwyta stalową linijkę i obraca się na krześle. Uderza linijką o dłoń.

– Skąd pan wiedział, że listy będą w naszym archiwum? Nie są wymienione w publicznym katalogu.

– Nie wiedziałem.
– Czemu więc pan tu przyjechał?
– Wiedziałem, że listy trafiły na poste restante w Berlinie. Domyślałem się też, że raczej nie zostały odebrane. Co szkodziło zapytać? Nie spodziewałem się jednak, że ktokolwiek je zachował.

Kierownik potrząsa głową i rzuca linijkę na biurko.

– Ja również bym się tego nie spodziewał. Nadawcą był pański dziadek?

– Pradziadek. Ashley Edmund Walsingham.

– Kim była adresatka?

– Nazywała się Imogen Soames-Andersson.

Po chwili wahania dodaje:

– To moja prababka.

– Odwiedzała Berlin czy może tu mieszkała?

– Nie wiem.

– Dlaczego nie odebrała listów?

– Tego również nie wiem. Może dowiem się, jeśli je przeczytam.

Kierownik patrzy na mnie zza biurka. Zapada długa cisza. Kierownik otwiera szufladę i wręcza mi parę cienkich bawełnianych rękawiczek. Kiwnięciem głowy wskazuje pudełko z archiwum.

– Proszę włożyć rękawiczki – mówi. – W pokoju obok znajduje się kserokopiarka. Niech pan nie używa tacy podawczej, aby nie zniszczyć oryginałów. Potem proszę włożyć je z powrotem do kopert. Do odpowiednich kopert.

Z kserokopiami listów w plecaku jadę metrem do mojego hostelu przy Rosenthaler Platz. Umieszczono mnie w pokoju na jednym z górnych pięter. Okna wychodzą na skrzyżowanie trzech ruchliwych ulic. Gdy wchodzę, wita mnie grupa kanadyjskich backpackerów.

– Wychodzisz?

– Co?

– Jest piątek wieczór. Nie wychodzisz na miasto?

Kanadyjczycy przebierają się i szykują na wieczór. Zdejmuję ubranie i staję w wąskiej kabinie prysznicowej. Woda jest coraz gorętsza, łazienkę wypełnia gęsta para i po chwili nic już nie widzę.

Długo leżę mokry, owinięty w ręcznik na łóżku. W pokoju jest ciepło, znacznie cieplej niż w domu w Pikardii. Mireille wróciła już pewnie do Paryża. Może w tej chwili wybiera się do tamtego baru, w którym poznaliśmy się dwa tygodnie temu.

Wstaję i w pośpiechu wkładam ubranie. Po przeciwnej stronie Rosenthaler Platz znajduje się piętrowa kawiarnia, otwarta do późnej nocy. Zamawiam kawę przy ladzie i wchodzę na piętro, po czym siadam przy małym drewnianym stoliku. Rozkładam pięć skserowanych listów, od najwcześniejszego do najpóźniejszego. Obok kładę mój notatnik i długopis. Patrząc na znane mi dobrze pismo Ashleya, litery kreślone grubym ołówkiem i nagłówek papeterii:

EKSPEDYCJA NA MOUNT EVEREST.

Słodzę i mieszam kawę. Łyżeczka delikatnie podzwania o filiżankę.

Pedong, 28 marca 1924

Moja Droga Imogen!

Nie wiedziałem, co myśleć, gdy otrzymałem Twój telegram. Przyszedł tuż przed wyjazdem i niemal rozbił mój umysł na drobne kawałki. Te ostatnie dni w Londynie i Liverpoolu przeżyłem

jak we mgle. Myślałem o Tobie podczas długich tygodni na morzu. Podarłem pół tuzina listów, zastanawiając się, czy w ogóle powinienem do Ciebie pisać. Nie prosiłaś wszak o list, uznałem więc, że nie życzysz sobie korespondencji ode mnie.

Ale gdy chodzi o Ciebie, nie potrafię i nigdy nie potrafiłem kontrolować uczuć.

Ten list trafi na poste restante w głównym urzędzie pocztowym w Berlinie. Informację tę podaję Ci również w telegramie. Jeśli taka Twoja wola, odbierzesz list, ja zaś liczę, że jego napisanie przyniesie spokój memu duchowi. W wolnych chwilach przed zmierzchem inni uczestnicy wyprawy wyciągają pióra i papier, by kreślić listy do swych żon i kochanek. Tyś mi ani żoną, ani kochanką, ale i tak piszę. Tu, z dala od cywilizacji, nie kłopotuję się, czy dany czyn jest stosowny, czy niestosowny. Dla mnie stosowna jesteś tylko Ty.

Z Bombaju odbyłem podróż pociągiem przez równiny Indii w towarzystwie dwóch wspinaczy, Price'a i Somervella. Upał i kurz wprost nie do zniesienia, w przedziale pot i bezsenność, i nienazarte moskity. Tonąłem w najdziwniejszych rozmyślaniach, nocami błąkałem się po korytarzu. Jedyłą ulgę dawało otwarcie drzwi wagonu i stawanie na stopniu. Czulem wtedy nocny wiatr, patrzyłem na gwiazdy nad horyzontem, na ognie płonące w samotnych chatach w dole.

Dotarliśmy do Dardżyling kolejną wąskotorową, przebijając się przez gęsty tropikalny las. Tory skręcały to w lewo, to w prawo. Wychylałem głowę za okno i patrzyłem, jak mała niebieska lokomotywa mozolnie brnie naprzód. Chwilami wspinaliśmy się pod górkę tak stromą, że na lokomotywie musiał jechać człowiek, który rzucił żwir na tory, by nadać im większą przyczepność. Noel, fotograf naszej ekspedycji, siedział na dachu wagonu ze swą kamerą filmową. Chwilami padał plackiem, by nie zderzyć się z jakąś gałęzią albo lianą grubszą niż lina alpinistyczna.

W Dardżyling zatrzymaliśmy się w hotelu o nazwie Mount Everest. Tam spakowałem, zważyłem i przepakowałem plecak. Tam napisałem do Ciebie kolejny list, który – jak poprzednie – trafił do kosza na śmieci. Tam po raz ostatni przywdziałem strój wieczorowy, gdy udaliśmy się na kolację z małżonką gubernatora.

Wyruszyliśmy z Dardżyling samochodami – tylko pierwszych parę mil, cudownie stroma przejażdżka – a potem zaczęliśmy pieszą wędrówkę. Ciepły wiatr popychał nas zboczem, w powietrzu roztaczały się cudowne aromaty i fruwały wielkie górskie motyle. Uganiałymi się za nimi z siatkami, by złowić kilka do kolekcji Hingstona (to nasz lekarz i zapalony botanik).

Wszyscy mamy kucyki, ale kiedy tylko się da, Price i ja wrywamy do przodu pieszo, szukać ciszy i samotności. W takich momentach moje myśli często biegną ku Tobie. Uwielbiałabyś wędrować tymi szlakami, zachwycałabyś się krajobrazem, tutejszymi ludźmi, dziwnymi, ale i łagodnymi. Oczarowałyby Cię dziwaczne przerośnięte rośliny i niebo przejrzyste jak kryształ. Ja jednak patrzę na wszystko jak na obraz odbijający się w ciemnym zwierciadle. Nawet bowiem w kwitnącej dżungli myślę wyłącznie o smaganych wiatrem skalach, o ośnieżonych przełęczach, o szczycie bardziej okrutnym, samotnym i majestatycznym niż jakkolwiek inny. Imogen, nie jestem gotów na spotkanie z górą. Nie wierzę, by była tym, co sobie wyobrażam. Jeśli zaś jest – nie mamy z nią szans. A jednak pragnę jej, na każdym wzniesieniu

wypatruję szczytów na horyzoncie, choć wiem, że dzielą nas od nich jeszcze tygodnie marszu.

Piszę na twardym stole w wygodnym bungalowie dla podróżnych. Niedługo będzie nam dane cieszyć się podobnym luksusem. Trudniejsze słowa zostawiam więc na później. Ten list pójdzie następnym kurierem. Możesz pisać do mnie na ten adres:

Wyprawa na Mount Everest

Za pośrednictwem Brytyjskiego Agenta Handlowego

Yatung, Tybet

Nie oczekuję jednak listu od Ciebie.

Wrócimy do Anglii w sierpniu.

Czy jest szaleństwem liczyć, że Twój telegram zwiastuje początek czegoś nowego? Tracę już zmysły. Tak jak niegdyś potraciliśmy je oboje.

Zawsze Twój

Ashley



Yatung, 2 kwietnia 1924

Moja Droga Imogen!

Przekroczyliśmy wreszcie granicę i jesteśmy w Tybecie. Z Kapupu wspiąłem się trzy tysiące stóp na Jelep La, by sprawdzić, jak sobie radzę. Nie było łatwo, przejście ośnieżone i skaliste, ale nawet pośród wichury czułem satysfakcję, że opuszczam Sikim i zmierzam do Tybetu, wyżej niż sięgają wierzchołki najpotężniejszych alpejskich szczytów. Kondycja mnie nie zawiodła, unikałem nawet bólu głowy. Czy jednak jestem gotów? Czy ktokolwiek może być gotów?

Wkrótce będziemy znali odpowiedź. Nie wierz w to, co piszą gazety. Nie będziemy się wspinać – zamierzamy podbić górę. My, stuosobowa armia, przeciwko Everestowi. Dowodzi nami generał Bruce, szef ekspedycji. Oficerowie to dziewięciu Anglików. Podoficerami są wierni Gurkhowie, żołnierzami – sześćdziesięciu tragarzy i Szerpów, odzianych w angielską bieliznę i gabardynowe piżamy. Wreszcie dwustu wiejskich najemników, którzy będą nam towarzyszyć aż do bazy.

Zapasy, pochodzące z najróżniejszych stron świata, jadą przodem w niekończącej się kawalkadzie mulów. Drewniane skrzynki z konserwami: szynka Huntera, spaghetti Heinza, wszelkie warzywa, które daje się zamknąć w puszkach (i trochę takich, których konserwować się nie powinno), zupy Maggi, mleko w proszku Horlicks, całe mnóstwo biskwitów. A także bardziej

wyszukane przysmaki. Kandyzowany imbir, konserwowe przepiórki z truflami, foie gras au Lyonnais, cztery tuziny butelek wina Montebello, rocznik 1915. General dobrze wie, że „armia maszeruje na brzuchu”. Dalej: uzbrojenie. Groźne butle tlenowe, przypominające wyglądem wiktoriańskie narzędzia hydrauliczne. Raki, stalowe kije i karabinki, szwajcarskie czekany, zwoje lin konopnych, zwijane namioty Whymper i Meade, prymusy i palniki, niezliczone srebrne cylindry tlenowe, kanistry z naftą i parafiną, znakowane różnymi kolorami.

Jakież to absurdalne – najwytworniejsze i najlepsze ludzkie produkty przeciwko skalnej wieży, liczącej sobie milion lat. Z wyglądu zresztą nie będziemy zbyt przypominać ludzi. Śmiech ogarnąłby Cię na widok stroju, który nosić będę na wysokościach. Ciężkie buty z gwoździami, bielizna z szetlandzkiej wełny i japońskiego jedwabiu, norweskie skarpety, wełniane swetry i rękawice, myśliwskie spodnie, miękkie kaszmirowe owijacze, kurtka z wiatroodpornej gabardyny. Do tego wyścielany futrem skórzany kask motocyklowy, szalik długi na sześć stóp i śnieżne gogle z zielonymi szklami Crooke'a. Nie mówiąc już o tej nieludzkiej aparaturze tlenowej. Niektórzy uważają, że to nie fair wobec góry, niesportowe i nie ma nic wspólnego z alpinizmem.

A jednak, mimo całego sprzętu, góra bez trudu może nas pokonać. I to właśnie świadczy o jej potędze.

Wczoraj przy kolacji nasz fotograf Noel opowiedział niezwykłą historię, ponoć prawdziwą, o tym, jak Tybetańczycy rozpoznają osobę będącą następnym wcieleniem najwyższego lamy. Otóż po śmierci lamy mnisi na różne sposoby szukają nowej inkarnacji. Może im się przyśnić nowy lama albo też miejsce, gdzie go znajda. Mogą zauważyć kierunek, w którym unosi się wiatr ze stosu pogrzebowego, i w tę właśnie stronę udają się na poszukiwania. Może im się ukazać wizja świętego jeziora w środkowym Tybecie. Na podstawie podobnych znaków szukają dziecka, narodzonego mniej więcej w czasie śmierci poprzedniego lamy.

Znalazłszy kandydata, przeprowadzają wiele prób. Wśród nich i tę: kładą osobiste rzeczy zmarłego lamy pośród różnych podobnych przedmiotów – na przykład młynki modlitewne albo trzy laski, lub pięć piór wiecznych. Prawowity następca wybierze to, co należało do tamtego.

Nie wiem czemu, ale natychmiast pomyślałem o Tobie. Może dlatego, że w historii tej porządek splata się z wielkimi kapryсами losu. Rozrzucają prochy lamy na odległych przełęczach Tybetu, lecz znajdują go na nowo w kolejnym pokoleniu. Oto, co znaczy wierzyć.

Mam więc zaufanie do wiernego tybetańskiego kuriera pocztowego – a może on akurat jest niewierny? – że zanieśe mój list niemożliwą wręcz drogą przez te dzikie szczyty, że uniknie powodzi, bandytów i wszelkich pokus, że skreślone przeze mnie zdania dotrą do Dardżyling, a z czasem i do Berlina. A potem... Czy kiedykolwiek dotrą do Ciebie? O, Imogen, na moim miejscu na pewno wierzyłabyś, że tak się stanie.

Nie wyobrażasz sobie, jak mi za Tobą tęskno.

Zawsze Twój

Ashley



Ts-tsang, 8 kwietnia 1924

Moja Imogen!

Piszę na zagraconym klepisku pozbawionej dachu świątyni. Za sufit mamy tu tylko firmament i rozżarzony do białości księżyc. Somervell i ja wyruszyliśmy z Phari dzień po pozostałych. Natrafiliśmy na buddyjski klasztor i zatrzymaliśmy się tu na noc. Nie możemy odzywać się ni słowem do mniszek, a one do nas, lecz ich gościnność jest niezwykła. Traktują nas jak synów marnotrawnych.

Obok pochrapuje Somervell, porządny człek i dobry kompan, lekarz, ale też znakomity wspinacz. Ze wszystkich stron otaczają nas młynki modlitewne kręcące się na wietrze. Z ołtarza spogląda zasuszona koza, złożona pewnie w ofierze w jakichś dawno zapomnianych czasach. Straszny ziąb.

Dwa dni temu w Dothak widzieliśmy zamrożony wodospad, rzekę zatrzymaną w bezruchu i zamienioną w ogromny sopel lodu. Zatrzymaliśmy się w Phari na przegrupowanie. Miasto położone jest na wysokości czternastu tysięcy stóp pod wielką górą, wyższą o dalsze dziesięć tysięcy stóp. Zawsze panują tu chłód i wiatr. Uczestnicy poprzednich wypraw zapewniali, że Phari to najbrudniejsze miejsce na całym świecie. Faktycznie. Ulicami płyną rzeki odpadków głębokie aż po kolana. Wyglądałoby to zupełnie jak Ypres, gdyby nie śmiejące się dzieci i ubłocone psy. Powiada się, że tutejsi ludzie mogą przejść przez życie od kołyski do grobu, nie zaznając nigdy kąpieli. Widziałem, jak jedna matka z czułością smarowała swą małą nagą córeczkę jaczym masłem, by w ten sposób chronić ją przed bezlitosnym wiatrem, słońcem i śniegiem. Ponoć Phari to najwyższe położone siedlisko ludzkie na całej ziemi. Lato trwa tu zbyt krótko, by siewy zdążyły wyrosnąć, tubylcy jedzą więc proste pożywienie – i to na surowo. Suszona baranina, mąka jęczmienna, herbata zmieszana ze zjełczalym masłem jaka. A jednak każdy tutaj obdarza nas sympatycznym uśmiechem. Wiedzą dosyć, by czuć litość dla nas, uczestników dziwnej wyprawy.

General Bruce musiał się wycofać wskutek nawrotu malarii. Hingston, nasz lekarz, będzie mu towarzyszyć do Dardżiling, potem zaś z powrotem dołączy do wyprawy. Wydaje się, że general wyzdrowieje. Pułkownik Norton, porządny chłop i świetny wspinacz, przejmuje dowodzenie wyprawą. Niemniej utrata Bruce'a to potężny cios, a z punktu widzenia przesądnych tubylców – nie najlepszy omen na dalszą podróż.

Chodzą słuchy, że złe znaki towarzyszą wyprawie od początku. Mały Bhotia widział zbląkane gwiazdy na dziennym niebie i błyski słońca wieczorem. Stado sępów podąża naszym śladem przez Tybet. Nie udaje się ich odpędzić, nawet gdy po rozstawieniu obozu rzucamy w nie kamieniami. Wszystkich nawiedzają też niesamowite sny. Hingston przypisuje to działaniu rozrzedzonego powietrza. Tragarze uważają jednak owe sny za wizje przeszłości i przyszłości.

Co najosobliwsze, nasz tłumacz zwierzył mi się, że gdy Price po raz pierwszy przybył na Everest w dwudziestym pierwszym, miał oczy czarne jak u Azjatów, jednak po okropnej lawinie

w dwudziestym drugim zmieniły kolor i stały się niebieskie. Czysta fantazja, aczkolwiek przyznaję, że nie przypominam sobie, by Hugh miał niebieskie oczy, kiedy go poznałem. W ogóle nie pamiętam jego oczu. Tragarze są święcie przekonani, że Price zginie w ciągu miesiąca i gdyby zasłonił dłońmi uszy, nie usłyszałby – jak zwykle – szumu, a jedynie przerażającą, śmiertelną ciszę. Nie przekazałem mu tych plotek.

Krajobraz staje się coraz bardziej monumentalny, a wraz z nim i moje myśli. Nie potrafię opisać, jak samotnie czuje się tu człowiek. Mamy dotrzeć do szczytu, zdobyć jedną spośród niezliczonych tutejszych gór dla króla, ojczyzny i imperium, dla pogłębienia ludzkiej wiedzy, dla postępu, dla większej sławy jako wspinańcze i Anglicy.

Naprawdę jednak każdy ma własny powód, by się wspinać. Dla pułkownika liczą się honor, obowiązki i Anglia, która jego zdaniem umarła wraz z królową Wiktorią, a już zwłaszcza po Passchendaele. Somervell kocha góry i wciąż nierozwiązane zagadki, jakich nie szczędzi nam natura. Mills traktuje to jak sport i przyjemność. Wydaje się, że wspinaczka na Everest nie różni się dlań od wiosłowania w ósemce na uniwersytecie. Najbardziej tajemniczy jest Price. Price wspina się, bo musi. I tylko on zna najgłębsze sekrety góry.

A ja? Czemu ja się wspinam? Wszelka myśl o przyszłych pokoleniach lub chwale ojczyzny umarła we mnie dawno temu pod Redutą Cesarzowej. Nie przywiązuję też szczególnej wagi do postępów nauki – czemuż Everest miałby zasługiwać na większe zainteresowanie niż jakikolwiek inny skrawek nieznannej ziemi? Nawet miłość do wspinaczki nie może mi posłużyć za uzasadnienie, na razie bowiem się nie wspinamy. Wędrujemy pieszo w znoju i chłodzie. Posuwanie się naprzód nie zależy od znajomości lin i skał – na razie to wyłącznie kwestia wytrzymałości.

Brniemy więc przez głęboki śnieg, w zamięciach i w brutalnym blasku słońca Himalajów. Więź łącząca towarzyszy, pogoda ducha i niekończące się wysiłki – każą mi modlić się, byśmy zdobyli Everest. Naprawdę jednak w duszy gra mi co innego. Obchodzi mnie przede wszystkim szczyt. Pragnienie, by na nim stanąć, liczy się bardziej niż cokolwiek. Gdy wpadam w zły nastrój, nawet o to już nie dbam. Wszystkie podboje i rekordy zdają się wtedy zaledwie fanaberią. A tego, czego chcę, nie znajdę na żadnym szczycie.

Łudzę się jednak. Nie chodzi o Everest, nie chodzi o góry, lecz przecież jakaś maleńka i cenna cząstka mnie niewątpliwie przetrwała nad Sommą, by przywieść mnie tu, nietkniętego, choć kruchego. Moje sny umierają powoli, ale sny o Tobie pozostają nieśmiertelne.

Zawsze Twój

Ashley



Chobuk, 26 kwietnia 1924

Moja droga Imogen!

Widziałem ją. Od razu muszę Ci o tym napisać.

Zeszłej nocy zatrzymaliśmy się w Pang La poniżej wysokiej przełęczy. Rankiem, pośród ciemności zwinęliśmy obóz. Nie zaszliśmy daleko, gdy Hugh zaproponował, byśmy we dwóch wysforowali się w zdwojonym tempie. Biegliśmy niemal, aż zdyszani stanęliśmy na szczycie przełęczy. Zakręciło się nam w głowach.

Cóż za widok! Niezliczone połacie nagich ciemnych wzgórz, a nad nimi wyszczerbione zęby Himalajów – Makalu, Lhotse i Czo Oju – zdające się nachylać ku różowemu niebu. Wschód słońca oświetlał ich zachodnie zbocza. Jeden zaś szczyt, okrutny i wspaniały, wyrastał ponad wszystkie. To właśnie był Everest, cudowny jak ząb tygrysa, kuszący jak mroczna zagłada. Wysoki na mile, a jednak czułem, że patrzę w otchłań. Góra wydawała się pozostałością innego świata, świata pierwotnego i pozbawionego litości. Stoi tu, by uświadamiać nam, jak mali i bezsilni jesteśmy wobec dzikości natury.

Czekałem, aż Hugh się odezwie. On jednak tylko wyjął lornetkę i przyglądaliśmy się wyższym partiom góry. Mijał czas, zdawało się, że całe godziny. Szukaliśmy płaskich miejsc, gdzie można by rozbijać obozy. Wyobrażaliśmy sobie przeszkody wśród skał, odległych od nas o trzydzieści pięć mil. Wkrótce będziemy mieli lepszy widok. Od bazy dzielą nas zaledwie trzy dni marszu. Na widok Everestu w naszą zmęczoną ekspedycję wstąpił nowy duch – choć od tego czasu wichur znów nas go pozbawił.

Obozujemy wśród wierzb klasztoru Chobuk. Nad głową mam mokry namiot. Co jakiś czas smaruję twarz tłuszczem z miseczki, stojącej całą noc przy śpiworze. Na tybetańskich równinach moja skóra, nienawykła do tak surowego klimatu, zupełnie spierzchła i popękała. Reszta sahibów zapuściła brody, chroniące od wiatru. Ja też próbowałem, lecz skutek był żalospny, dałem więc sobie spokój.

Na zewnątrz Mills mocuje się z aparatem tlenowym przy świetle lampy sztormowej. W namiocie kuchennym Price i pułkownik omawiają plany i decydują, komu przypadnie jaka rola. Będą dwie dwuosobowe ekipy. Jedna pójdzie z tlenem, druga bez. Na takich wysokościach aparatura tlenowa stanowi potworne obciążenie. Każdy wolałby pójść bez niej, nie wiemy jednak, czy tlen nie okaże się niezbędny. Sam chciałbym być w ekipie bez tlenu, prawdopodobnie jednak w ogóle nie dadzą mi się wspinać i skierują mnie do pomocy.

Kurier zaraz wyrusza, muszę więc kończyć. Poczta dotarła do nas w Shegar. Mimo że tak naprawdę niczego się nie spodziewałem, stałem przy worku jak chłopiec, przypominając sobie paczkę, dostarczoną mi pewnego razu w Le Sars, krainie bardziej mokrej niż ta, lecz równie okrutnej. Czułem wtedy – i wciąż czuję – że jestem poza wszelkimi granicami, po drugiej stronie rzeki dzielącej cywilizację od pustki. Ale miałem Ciebie. Trzymałem przesyłkę w dłoniach. Długo szedłem w deszczu do schronu, gdzie nie było suchych ubrań ani czasu na sen. Nieważne. Byłem młody. Byliśmy razem.

Kurier już rusza.

Zawsze Twój



Rongbuk, 29 kwietnia 1924

Imogen!

Przybyliśmy dziś do bazy. Zaczęłem pisać nędzny list, by opowiedzieć Ci o naszej podróży, lecz go spaliłem. Marznę, jestem wycieńczony i nie mam czasu na półprawdy – jutro musimy wysłać pocztę.

Jakże tęsknię za wiosną pośród tej jałowej krainy szarych skał i lodu. Jakże brakuje mi pierwiosnków i hiacyntów, i angielskiej trawy. Gdy wrócę, wreszcie będę na nie zasługiwał.

Przez siedem lat próbowałem unikać Twych zdjęć i Twego pisma – czegokolwiek, co by mi o Tobie przypominało. Na próżno. Nawet teraz wyobrażam sobie, jak czytasz moje listy, wyobrażam sobie korale na Twej szyi, wszystkie najmniejsze szczegóły.

Nie ma sensu wysłać listów na poste restante. Bez wątpienia masz przecież jakiś stały adres. Jednak nawet gdybym go znał, nie wiem, czyje szczęśliwe dłonie wyjmują listy ze skrzynki. Moje dłonie mogą tylko dotykać góry, okrutnej pani, która czyni ich skórę czerwoną, splekaną i obolałą. Cierpienie to jednak podobno prawdziwy dowód miłości. Quod erat demonstrandum.

Nieprawda. Cieszę się, że mogę wreszcie rzec, iż wyleczyłem się z podobnych bredni. Nie dopuszczam już do siebie cierpienia. Za moim namiotem rozciąga się dolina Rongbuk. Biorę ją taką, jaka jest. Mam nadzieję pokonać Wschodni Lodowiec i Przełęcz Północną. I mam nadzieję zdobyć Ciebie.

Imogen, popełniałem błędy. Trwonilem to, co powinienem był chronić. Nie oczekuję rozgrzeszenia. Ludzie lubują się w grzechach, lecz unikają prawdziwej cnoty, nazywając ją słabością. Straciłem wszelką wiarę prócz wiary w Ciebie. Ale i Ciebie straciłem. Czy na zawsze? Nieustanny wiatr przynosi odpowiedź, ja jednak jej nie słucham. Ufam tylko miarowemu rytmowi mego serca, zbyt szalonego i nieustępliwego, bym mógł być czymkolwiek innym niż

na wieki Twoim

Ashleyem

PORANIONE MIASTO



Wkładam listy z powrotem do plastikowej koszulki i wyglądam przez wysokie okno kawiarni. Nie chcę czytać ich ponownie.

Przecinam Rosenthaler Platz, wchodzę do sklepu spożywczego i stoję przed lodówką z piwem. Dziesiątki rodzajów niemieckiego piwa do wyboru. Decyduję się na przysadzistą butelkę z wizerunkiem świętego Augustyna na etykiecie. Niebo od zachodu pokrywa się różową łuną. Wychodzę na ulicę, idę wznoszącą się łagodnie Weinbergsweg w stronę dzielnicy Prenzlauer Berg.

Ashley nic o niej nie wiedział, myślę. Tak samo jak ja.

Od czasu do czasu zerkam na mocno wysłużony plan miasta. Kieruję się na wschód. Przy Zionskirchplatz oglądam kościół ze strzelistą wieżą. Drzwi są otwarte – w środku budynek okazuje się opuszczoną ruiną. Siedzę pół godziny na ławie i przyglądam się blaknącej farbie na ścianach i filarom chóru. Zdobienia namalowane z niebywałą precyzją przez dawnych artystów są już niemal zupełnie zatarte.

Potem wędruję chodnikiem szerokim na pięćdziesiąt stóp wzdłuż Karl-Marx-Allee, wielkiego bulwaru w dawnym Berlinie Wschodnim. Kamienice o socrealistycznej architekturze ciągną się po horyzont. Kupuję butelkę alkoholu ziołowego na ulicznym stoisku, po czym ruszam w kierunku starej bramy miejskiej.

Nie ma sensu pisać do ludzi, którzy nigdy nie przeczytają twoich listów, przemyka mi przez myśl. Bez znaczenia, jeśli ktoś obcy przeczyta je osiemdziesiąt lat później.

Ruszam wzdłuż Warschauer Straße w kierunku Spree, gdzie fotografuję najdłuższy zachowany fragment muru berlińskiego, wysoką na dwanaście stóp betonową ścianę pokrytą łuszczącym się graffiti. Nad moją głową biegnie napis TOTALDEMOKRATIE. Wyrwy w murze odsłaniają wejścia do nadrzecznych klubów nocnych. Ich goście wylewają się na chodnik. Mijają mnie młodzi ludzie, pieszo i na rowerach. Wielu ma w dłoniach butelki i szklanki. Zastanawiam się, dokąd zmierzają o tej godzinie. Patrzę na zegarek. Minęła już trzecia rano.

Trzymając się nieco z tyłu, podążam za grupką imprezowiczów. Obchodzą wielki dworzec, potem małymi uliczkami idą przez opuszczoną dzielnicę przemysłową. Na końcu ślepej drogi stoi szereg taksówek, kremowych mercedesów, oczekujących na klientów. Ścieżka, zaczynająca się przerwą w ogrodzeniu z siatki, prowadzi do potężnego budynku z kruszejącego szarego kamienia. Za jego potężnymi oknami pulsują światła i muzyka. Staję w długiej kolejce do wejścia.

Mija godzina, nim wreszcie dochodzę do bramkarza. Para dziewczyn przede mną nie zostaje wpuszczona. To samo z dużą grupą modnie ubranych studentów. Bramkarz siedzi na stołku przy wejściu i przygląda mi się z lekką ciekawością. Ma czarną brodę, po jednej stronie jego twarzy biegnie tatuaż przedstawiający drut kolczasty. Podnoszę jeden palec, by pokazać, że jestem sam. Bramkarz gestem ręki zaprasza mnie do środka.

Plącę, oddaję w szatni kurtkę i aparat. Chodzę po salach o nieokreślonym kształcie i rozmiarze. Potężne ciemne pomieszczenia, rozświetlane tylko błyskającymi stroboskopami. Wszędzie pełno spoconych tancerzy. Dudnią basy. Tętniące powietrze potrząsa moim żołądkiem i wpycha się do płuc. Wchodzę po schodach. Kolejne sale, ukryte zakamarki pełne ludzi splecionych w uściskach. Przy jednym z barów kupuję piwo i szybko wychylam całą zawartość szklanki. Nikt dokoła nie pije.

Wkrótce muszę udać się do toalety. Na drugim piętrze kolejka jest krótsza, ale w środku są tylko dwa sedesy. Kolejka prawie w ogóle się nie posuwa. Czekam w agonii, licząc co chwila osoby przede mną. Dziewięć. Siedem. Sześć. Ściany zaczynają się kręcić. Wpatruję się w zieloną lampę z napisem WYJŚCIE AWARYJNE na końcu korytarza, by jakoś uspokoić umysł. Elegancko ubrana dziewczyna podchodzi do kolejki, ktoś za mną woła, żeby się nie wpychała. Dziewczyna zauważa, że stoję sam, i podchodzi do mnie. Bierze moją rękę i odzywa się po angielsku:

– Pozwól mi zaczekać z tobą, naprawdę strasznie mi się chce.

Kiwam głową. Przez moment jeszcze trzymamy się za ręce. Dziewczyna ma na sobie za duży czarny sweter i niebieskie legginsy. Czerwona grzywka opada jej na oczy.

– Jezu, dzięki – mówi.

Pyta, skąd jestem. Próbuję uspokoić spojrzenie i skupić się na jej słowach. Ma dziwny akcent. Dostrzegam srebrną broszkę przypiętą do swetra.

– To celtyckie, prawda?

Dziewczyna patrzy na mnie, mimowolnie dotyka broszki. Broszka ma kształt smoka i pary węży splecionych w walecznym uścisku. Nachylam się, by spojrzeć z bliska.

– Chryste, już to kiedyś widziałem.

– Byłeś w Islandii?

Gapię się na broszkę. W pudełku z biżuterią mojej babci było coś podobnego, ale nie pamiętam, jak dokładnie wyglądało.

– To z Islandii, sztuka wikingów – mówi dziewczyna. – Jakaś walka. Smok symbolizuje dobro, a węże zło...

Marszczy brwi. Wkłada do ust papierosa i zbliża broszkę do oczu, studiując wzrokiem walczące stworzenia.

– A może na odwrót? – pyta sama siebie.

Otwierają się drzwi toalety. Dziewczyna dziękuje i wbiega do środka. Po chwili zwalnia się druga kabina. Zamykam drzwi. Mijam lustro i nagle czuję dreszcz; odwracam się odruchowo. Patrę w lustro. Coś jest nie tak, jakaś część mojej twarzy wydaje się nie w porządku. Opieram się o umywalkę i oddycham głęboko, wciąż patrząc na swoje odbicie. Czy oczy zmieniły kształt? Może chodzi o kąciki ust albo kształt czoła? Ogarnia mnie paniczny strach. Odwracam wzrok.

– To tylko alkohol – mówię sobie.

Parę minut później wychodzę z łazienki, ale islandzka dziewczyna przepadła. Obchodzę wszystkie sale, rozglądając się za nią. Kilka razy wydaje mi się, że dostrzegam jej sylwetkę w świetle stroboskopów. Za każdym razem jednak z bliska okazuje się, że to ktoś inny.

Po godzinie mam dosyć, chwiejnym krokiem wychodzę w bolesne światło poranka. Do wejścia wciąż ciągnie się długa kolejka. Raz jeszcze rozglądam się za dziewczyną. Nigdzie jej nie ma. Wracam więc metrem do hostelu, próbując nie zasnąć w kołyszącym się wagonie. Ktoś potrząsa moim ramieniem i podtyka pod nos identyfikator. Kontroler. Pokazuję mój bilet i w ostatniej chwili wysiadam przy Rosenthaler Platz.

Recepcjonista śpi z głową na ladzie. Kładę przed nim monetę jednoeuroową i siadam przy jednym z komputerów w holu. Postanowiłem napisać e-mail do przyrodniego brata.

Witaj, Adamie,

Europa robi niesamowite wrażenie. Nie wiem, jak długo jeszcze mnie nie będzie. Powiedz ojcu, że zawzięcie szukam informacji o studiach w Wielkiej Brytanii. Będzie rozzarowany. Gdybyś powiedział mu, że tu, w Berlinie, jest teraz siódma rano, a ja nie zmrużyłem oka całą noc, na pewno bardziej by się ucieszył.

Piszę, bo mam prośbę. Zabrzmi trochę dziwnie, ale to naprawdę ważne. Chcę, żebyś odszukał broszkę w pudełku z biżuterią mojej babci. Pudełko jest w garażu, kartonowe, na górnej półce. Nie pamiętam które, ale wszystkie są opisane. To akurat powinno leżeć w miarę na wierzchu, zaglądałem do niego w zeszłym miesiącu. Szukaj srebrnej broszki. Przedstawia smoka i węże, ale w zasadzie wygląda jak splecione wątki tkaniny.

Czy możesz przelać mi ją tak szybko, jak się da? Będę ci straszliwie wdzięczny. Wyślij na ten adres, najszybciej jak zdołasz. Zwrócę ci kasę.

Circus Hostel

Weinbergsweg 1A

10119 Berlin

Niemcy

Z góry dzięki. Jak wrócę, będę miał sporo do opowiadania.

Tristan

PS Nie mów nikomu o broszce.



30 kwietnia 1924

Baza wyprawy na Mount Everest, wysokość 18 190 stóp

Dolina Rongbuk, Tybet

Ashley stoi w labiryncie drewnianych skrzyń i kamieni. Wyprawa dotarła do bazy poprzedniego dnia. Potężny wicher wieje w dolinie, kłęby śniegu przesłaniają ciemniejące niebo. Skrzynie otaczają Ashleya. Niejedna jest otwarta, a śnieg pokrywa zawartość. Ashley w łamanym hindustani wydaje polecenia dwóm tragarzom. Głos ma ochryply, ledwie głośniejszy od szeptu. Tragarze kiwają głowami, ale niewiele rozumieją. Ashley unosi głowę, patrzy w niebo i ciałniej owija szalik wokół szyi.

W dole stromą dolinę wyściełają bezbarwne kamyki. Namioty rozbito w ciasnym skupisku obok zamrożonego jeziora. Hałda moreny służy za mizerną osłonę przed wiatrem. W pogodniejsze dni na tle nieba widać piramidę góry, teraz jednak wszystko przesłania śnieżycą.

Ashley podbiega truchtem do kolumny jaków. W dłoni trzyma śrubokręt. Przegląda napisy na skrzyniach, którymi objuczone są zwierzęta. Woła tybetańskiego przewodnika, by przytrzymał ją. Przewodnik poklepuje uspokajająco zwierzę i odwiązuje skrzynkę. Ashley odkręca wieko, wyjmując jedną z puszek i próbuje przeczytać etykietkę w wieczornym świetle. „Kielbaski Harrisa są najlepsze”. Rozkłada puszki w pustych skrzynkach o różnych rozmiarach (każda z nich, jeśli się ją odpowiednio zapakuje, będzie ważyła dokładnie czterdzieści funtów). Obóz I, obóz II, obóz III, obóz IV. Biskwity orzechowo-imbrowe. Ozorki wołowe. Zamyka zapakowane skrzynie, przykręca śruby i przechadza się wśród skrzyń opróżnionych, mrużąc oczy w nienającym świetle. Powinien był wziąć ze sobą latarkę elektryczną.

– Walsingham, pora na kolację!

To Price, w dłoni kołysze mu się latarnia. Ashley chrząka i odpowiada ochryplym głosem:

– Planujecie jakieś danie na uczczenie okazji? Omlet serowy à la Rongbuk?

– Nie – mówi Price. – Kami dostał wyraźne polecenia. Wszystko według menu zaplanowanego przez generała. Cztery dania i szampan.

Ashley i Price przecinają dolinę, kierując się do namiotu służącego za kuchnię. W oddali widzą cztery oświetlające go lampy olejne. Mijają Millsa, młodego wspinacza, obrabiającego kamieniem drewniany kołek. Pomaga mu w tym jeden z tragarzy: podtrzymuje kołek, wpatrzony w swe dłonie. Mills macha w stronę Ashleya i Price'a.

– Chodźże już! – woła Price.

– Zaraz będę.

Idą dalej. Za kurtyną śniegu armia wynajętych miejscowych wieśniaków przygotowuje się do snu. Dla nich nie ma namiotów. Niektórzy budują osłony z kamieni. Inni leżą bez koców wśród śniegu, ciasno owinięci grubymi wełnianymi kurtami. Kilku próbuje rozpalic ognisko z jacych odchodów. Unosi się dym, ale nie widać płomieni.

Price zatrzymuje się, by wydać parę poleceń Gurce rozbijającemu namiot marki Whymper. Ashley czeka. Przytupuje, żeby się rozgrzać. Dotarli zaledwie do bazy, lecz już mają na sobie całą odzież przeznaczoną na wspinaczkę.

Parę minut później docierają do namiotu kuchennego. W środku panuje niewiele wyższa temperatura niż na zewnątrz, ale przynajmniej nie wieje. Większość spośród dziewięciu

wspinaczy siedzi już przy stole, każdy na własnym przenośnym krześle. Rozkładany stół nie został nakryty obrusem. Na środku stoją przyprawy. U szczytu zasiadł pułkownik. Price i Ashley zajmują miejsca obok niego. Price rozkłada sobie serwetkę na kolanach i patrzy na pułkownika.

– Powinniśmy zorganizować kolejną naradę plemienną w sprawie zapasów.

– Po kolacji – odpowiada pułkownik. – Najpierw zaspokoimy głód.

Price kiwa głową. Jego krzesło jest tak niskie, że głowa ledwie wystaje mu nad stół.

Rondo kapelusza opada mu na twarz, z wyjątkiem miejsca, gdzie podtrzymuje je duża, pokryta woskiem agrafka.

– Co na pierwsze danie?

– Przepiórki i pâte de fois gras oraz sardynki i jajka na twardo.

– Nareszcie przepiórki – odzywa się Ashley świszczącym głosem.

– Dobry Boże, brzmisz okropnie! – woła Somervell.

– Powietrze tu nie jest tak dobre jak w Szwajcarii – rzuca Ashley. – To chyba brak

wilgoci. Albo kurz. Albo zimno. Trudno stwierdzić.

Price patrzy w swój pusty talerz.

– Nie będzie, jak miemam, wydrukowanych menu?

– Przyjdą pociągami z Lhasy – rzuca Somervell. – Dotrą już za czterdzieści dni.

Do namiotu wchodzi Mills, strzepując śnieg ze swych szerokich ramion. Zajmuje ostatnie miejsce. Dwaj Szerpowie, pełniący funkcję kelnerów, przynoszą sardynki i dużą łyżką nakładają każdemu na talerz.

– Wątpię, czy kiedykolwiek były tu drukowane menu – odzywa się Noel. – W całym kraju są tylko dwie prasy drukarskie. Każdą stronę odbija się z drewnianych czcionek.

– Wszystkie te święte księgi w klasztorach i tylko dwie prasy? – pyta Ashley. – Muszą pracować na okrągło.

– Służą wyłącznie do drukowania tych ksiąg – odpowiada Noel. – Podobno ostatnie tysiąc lat tutejszej historii w ogóle nie zostało spisane.

Pułkownik przywołuje jednego z Szerpów i mówi coś po nepalsku, po czym zwraca się do towarzyszy.

– Co powiecie, byśmy zaczęli od bąbelków? Wszyscyście sobie na nie zasłużyli.

Szerpa wręcza każdemu aluminiowy kubek, starannie odszroniony nad płomieniem lampy olejnej. Wyciąga wielką zieloną butelkę szampana, odkorkowuje ją i owija szyjkę zakurzoną ścierką. Okrąża stół, rozlewając trunek starannie i po równo. Ashley nadziewa na widelec kawałek sardynki.

– Żadnej historii?

– Niczego takiego nie znaleziono – mówi Noel. – W bibliotekach trzymają tylko teksty religijne. Jeden zestaw pism liczy sto tomów, każdy po tysiąc stron. Potrzeba tuzina jaków, by je przetransportować z miejsca na miejsce. Na drukowanie innych ksiąg nie starcza czasu.

– Kraj bez historii – mruczy Ashley. – Radosna myśl.

Pułkownik kręci głową.

– Radosna? Osobiście nie znajduję nic wesołego w ignorancji. Brak wiedzy na temat przeszłości skazuje człowieka na powtarzanie dawnych błędów.

– Ja natomiast przychyliam się do słów Walsinghama – mówi Price.

– Nie próbujcie wyprowadzić mnie z równowagi – odpowiada pułkownik. – Na litość boską, Price, przecież jesteś nauczycielem. Kto ma przepiórki?

– Są tu dwie prasy – powtarza Ashley. – Nie da rady wszystkiego wydrukować. Wolą religię od historii. Mnie się to podoba.

– Jesteś ateistą – przypomina mu Price.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Wkrótce przerzucę się na buddyzm – mówi Ashley. – Chodzi mi tylko o to: gdy musisz wybierać między mądrością a wiedzą, lepiej wybrać mądrość.

Somervell ostrożnie nabija kawałek jajka na widelec.

– Zakładasz, że w owych księgach znajduje się mądrość. Ja zakładałem, że to jajko jest ugotowane na twardo. Byłem w błędzie.

– Musimy wysłać Kami do Cordon Bleu – odpowiada Ashley. – Zacznijmy zbierać na czesne.

– Kwestia kuchenki – zauważa Mills. – Potrzeba całej skrzynki parafiny, by doprowadzić wodę do wrzenia. Nic dziwnego, że tak właśnie wygląda tu jajko gotowane przez dziesięć minut.

Szerpowie wnoszą trzecie danie. Kotlety z tybetańskiej baraniny i zielony groszek z puszki, podgrzany na prymusie. Pułkownik zaczyna wypytywać Noela o anegdoty z jego sławnych wypraw.

– Ta sprawa z twoim pobytem w Tybecie przed wojną, opowiedz no o tym.

Noel sączy szampana z wystudiowaną lubością.

– Było to w trzynastym. Podróżowałem w przebraniu.

Uśmiecha się, bierze do ust kawałek kotleta. Mówi przerywanymi zdaniami, gestykuluje dłonią, w której trzyma widelec.

– Jako hinduski muzułmanin – ciągnie. – W owym czasie nie wpuszczano tu oczywiście Europejczyków. Dotarłem na odległość czterdziestu mil od Everestu. Wtedy dogonił nas tybetański patrol. Jakiś gość wypalił do mnie z broni z zamkiem lontowym. Wyobraźcie sobie, zamek lontowy. Okropny hałas. Nie mam pojęcia, gdzie trafiła kula, ale rozległ się taki huk, jakby niebo waliło się nam na głowy. Musiał zdrowo sypnąć prochem.

– Byłeś pierwszym cudzoziemcem, który dotarł w okolicę Everestu? – pyta Mills.

Noel kręci głową.

– Pierwsi dotarli tu mierniczy.

Uśmiecha się i odchyła na krześle. Tłumaczy, że przed pięćdziesięciu laty brytyjskie władze kolonialne w Indiach postanowiły zbadać tybetańskie terytorium, ale kraj nastawiony był wrogo do sąsiadów, a Europejczycy mieli zupełny zakaz wstępu. Rząd wysłał więc grupę Hindusów przebranych za pielgrzymów, by ci przeprowadzili pomiary. Nazwano ich „pundits”, od słowa w hindi oznaczającego mędrca. Zostali wyćwiczeni w specjalnych technikach dokonywania pomiarów, by nikt nie domyślił się, czym naprawdę się zajmują. Wiele ryzykowali, wchodząc do Tybetu. Wędrowali odległymi i ośnieżonymi szlakami na dużych wysokościach. Liczyli odległości w krokach i zapisywali je, kręcąc młynkami lub nawlekając paciorki. By przejść jedną milę, potrzebowali dokładnie dwa tysiące kroków. Niektóre podróże wymagały przejścia dwóch tysięcy mil.

– Ciekaw jestem, ile to razem daje kroków – pyta sam siebie Noel.

– Cztery miliony – odpowiada Price, nie podnosząc wzroku znad talerza.

– Liczyli kroki – kontynuuje Noel – ukrywali kompasy w amuletach, w laskach mieli termometry i ciśnieniomierze. Mierzili według gwiazd, używając sekstantu. Nocami zapisywali wszystko i chowali notatki w młynkach modlitewnych. Niektórzy zostali złapani. Poddano ich torturom i zabito. Biedacy. Kto zabrał butelkę z sosem?

Po chwili Noel może już przyprawić kotlet brązowym sosem.

– Był jeden gość imieniem Kinthup – ciągnie. – Odważny jak mało kto. Wysłano go, żeby stwierdził, czy Tsanpo w Tybecie to ta sama rzeka co Brahmaputra. Wielka rzeka, a nikt nie wiedział, gdzie się zaczyna. Kinthup miał udać się głęboko w las i spławić Tsanpo specjalnie wycięte fragmenty drewna. Pięćdziesiąt kłód dziennie. Inny facet w Indiach latami wypatrywał

ich w rzece.

– Ekscytująca robota – mruczy Ashley.

– Ale kłody nigdy nie przyplłynęły. – Noel szczyrzy zęby. – Kinthup został złapany i sprzedany w niewolę. Po czterech latach udało mu się uciec. I natychmiast poszedł do lasu, wyciął drzewo i spławił je rzeką.

– Brawo – odzywa się pułkownik. – Oto wzór prawdziwego żołnierza.

– Tyle że wtedy nikt już nie obserwował rzeki – mówi Noel, przełykając kawałek mięsa.

– Kapitan odpowiedzialny za badanie terenu wrócił do Anglii.

Na drugim końcu stołu ktoś puentuje właśnie rubaszny dowcip, wybucha śmiech. Ashley przybliży się do Noela.

– To była ta sama rzeka?

– Oczywiście.

Noel bierze łyk szampana i kręci głową.

– To dziwna kraina. Słyszałeś o białej lwicy z Everestu? Tybetańczycy wierzą, że na szczycie góry żyje biała lwica. Jej mleko ma być panaceum, lekarstwem na wszystkie choroby ciała i ducha. Nikt nigdy go nie posmakował prócz dalajlamy, który ma nadludzkie moce.

Price spogląda znad talerza.

– Lwica... Kiedy wyruszyliśmy w dwudziestym pierwszym, tubylcy myśleli, że wspinamy się na górę, by zdobyć jej mleko.

– Byli bliscy prawdy – stwierdza Somervell.

– Jeśli to kwestia boskich praw, może nasz król powinien wejść na Everest – sugeruje Ashley.

Pułkownik marszczy czoło.

– To co innego. My nie przypisujemy królowi magicznych mocy.

– Cóż, jest najwyższym lamą Kościoła anglikańskiego – zauważa Price. – To raczej magiczne.

Noel kręci głową i teatralnie wykrzywia twarz.

– Posłuchaj no, Walsingham. Jesteś mądrą jak Price czy przyzwoitym gościem?

Widziałem, jak wymienialiście się książkami. To droga ku grzechowi.

– Nie nazwałbym się przyzwoitym.

– Ashley jest do cna przyzwoity – ripostuje Price. – Założę się, że nie spotkałbyś go w dzielnicy czerwonych latarni w Amiens. Z drugiej strony francuski zna świetnie. Lektura Rabelais'go zajmuje mu mniej czasu niż tobie przeczytanie „News of the World”. Może faktycznie liźnął języka u tamtejszych pańienek.

– Czerwone latarnie w Amiens – powtarza rozmarzony Noel. – Wpadałem tam na rum, mogłem go spotkać. Raz natknąłem się na księcia Walii. Palił cygaro. W każdym razie facet wyglądał jak księżę Walii. W tych burdelach powinni otworzyć szkołę językową. A tak w ogóle, Price, wszystkie te cholerne obcojęzyczne książki w naszej biblioteczkę obozowej należą do ciebie, a przecież wiadomo, żeś człek czysty jak łąza.

Ashley macha lekceważąco ręką.

– Żaden dowód. Poules dobrze znają angielski.

Przy stole wybuchają głośne okrzyki: „Proszę, proszę”.

– Ja tylko z nimi rozmawiałem – zastrzega się Ashley. – Niejedna miała do opowiedzenia fascynującą historię.

– Wracając do białej lwicy – przerywa Price – to żadna bzdura. Tutejsze ludowe wierzenia kryją w sobie pierwiastki prawdy. Może na przykład chodzić o irbisa.

– Niewykluczone – przyznaje pułkownik. – Niektóre osobniki spotyka się na dużych

wysokościach. Polują na nachury, a widzieliśmy tu nachury. Słyszałeś no kiedyś o irbisie, Walsingham? Bardzo rzadki zwierz. Jak dotąd tylko raz widziany przez białego człowieka.

– Da się go wydoić? – pyta Ashley. Wszyscy wybuchają gromkim śmiechem. Noel rechocze i wyciera oczy mokre od łez. Śmiech Ashleya przechodzi w świszczący kaszel. – Tam na górze – dorzuca – jego mleko pewnie od razu zamienia się w lody.

Noel wstaje, prostuje się dostojnie i unosi kubek.

– Za białą łwicę – mówi. – Obyśmy ją znaleźli i wrócili z jej nabiałem.

Brytyjczycy unoszą kubki i spełniają toast. Tylko Price się nie przyłącza. Pustym wzrokiem wpatruje się w stół. Ashley nachyla się i szepcze mu do ucha:

– Tobie nie chodzi o łwicę?

Price się uśmiecha. W świetle kołyszących się lamp po jego twarzy przebiegają wielokształtne cienie.

– Nie, nawet w żartach. Oby pozostała tajemnicą.

Bierze kubek i wychyla porządny łyk.

– Najwyraźniej lubisz tajemnice – stwierdza Ashley.

Price wzrusza ramionami.

– Chcemy szczytu. Nie powinniśmy prosić o nic więcej.

JUBILERKA



Pewnego ranka, kiedy już mam wyjść z hostelu, recepcjonista przywołuje mnie gestem ręki.

– Przyszła wreszcie pańska paczka.

Wyjmuje na ladę kopertę FedEx. Siadam na sofie w holu i otwieram kopertę, wytrząsając całą zawartość. Broszka ląduje mi na kolanach, a wraz z nią złożona kartka z notatnika.

Drogi Tris,

od tej chwili możesz już być najbardziej eleganckim gościem w Europie. Ale mam nadzieję, że mimo to wrócisz.

Adam

Obracam broszkę w palcach, gładzę srebrnego smoka. Metal jest stary i porysowany. Broszka przypomina jednak tę, którą widziałem w nocnym klubie. Na odwrocie widnieje maleńka inskrypcja: „CVG”, a obok dziwny okrągły symbol.

Pierwszy raz zobaczyłem broszkę, kiedy przeszukiwałem garaż przed wyjazdem do Londynu. A może jednak widziałem ją wcześniej? Próbuję sobie przypomnieć tamten dzień nad morzem z moją babcią. Zdaje mi się, że nosiła wtedy broszkę, a splątane smoki lśniły w popołudniowym słońcu. Brakuje mi jednak pewności.

Loguję się na jednym z komputerów i szukam jakiegoś znawcy skandynawskiej biżuterii, który mógłby pomóc mi zidentyfikować klejnot. W wyszukiwarce wpisuję wszelkie terminy, jakie przychodzą mi do głowy. Żadnych wyników w Niemczech. Jest już dwudziesty czwarty wrzesień. Nie mam czasu, by wysłać gdzieś broszkę pocztą. Szukam dalej, do haseł dopisuję „Berlin” i natrafiam na stronę projektanta biżuterii, którego nazwisko ma skandynawskie brzmienie. W sekcji „Reprodukcje” przeglądam biżuterię wikingów.

Znajduję moją broszkę. Splecione ciała walczących istot, boleśnie wykrzywiona głowa smoka. To ten sam klejnot, ale w innym stylu. Sploty są grubsze, smok bardziej realistyczny. Podpis głosi: „Brosche im Urnes-Stil, Sterling Silber”. Klikam na link z napisem „Kontakt”. Wyskakuje adres: Arthouse Tacheles, Oranienburger Straße, 54-56a. Załedwie krótki spacer od hostelu.

Chwytam torbę i pędzę przez skrzyżowanie.

Budynek jest ogromny, zajmuje powierzchnię między dwiema przecznicami i wyrasta na pięć pięter. Parę razy sprawdzam adres, by upewnić się, że trafiłem pod właściwy numer. Na wpół zniszczoną fasadę pokrywa graffiti. Wśród ornamentów i rzeźbionych figur w górze zieją puste miejsca. Rzeźbom brakuje kamiennych głów i kończyn.

W korytarzu walają się butelki po piwie i pety. Wchodzę mroczną klatką schodową na pierwsze piętro. Zastaję labirynt korytarzy. Mija mnie jakiś chłopak, na chybotliwym wózku ciągnie zniszczony telewizor. Pytam chłopaka, gdzie znajdę zakład jubilerski. Odpowiada mi z australijskim akcentem:

– Idź na drugie piętro i w prawo, a potem prosto aż do końca.

Kieruję się tymi wskazówkami. Docieram do korytarza z białej cegły. Wszystkie zasmarowane graffiti. Korytarz kończy się potężnymi metalowymi drzwiami. Ponad nimi na łuku

namalowano dużymi czarnymi literami HIER SIND SIE SICHER. Wygląda to jak wejście do porzuconego schronu atomowego. Do drzwi przyczepiono wizytówkę.

L. KRARUP – SCHMUCKDESIGN

Drzwi są uchylone, ale i tak pukam. Kobiety głos zaprasza mnie do środka.

Studio jest przepastne. Przy jednej ze ścian ciągną się stoły z narzędziami, przy drugiej stoi stary komputer i drewniane katalogi biblioteczne. Narzędzia walają się zresztą wszędzie. Półka z młotkami o różnych rozmiarach, szczypce i pilniki zawieszono na kołkach, lutownica na jednym ze stołów, kowadło, elektryczna tarcza do polerowania.

Jubilerka odwraca się w moją stronę. Odzywa się po niemiecku, potem po angielsku.

– Mogę jakoś pomóc?

Ma krótkie siwe włosy i nosi płócienny fartuch. Okulary na złotym łańcuszku zawiesiła na szyi. Musiałem przeszkodzić jej w posiłku, właśnie jadła coś pałeczkami z pudełka na wynos.

– Najmocniej przepraszam, drugie śniadanie...

Tłumaczę, że próbuję zidentyfikować pochodzenie pewnego klejnotu należącego do mojej babci. Jubilerka przygląda mi się z niejakim zainteresowaniem i wyciera dłonie w fartuch. Podaję jej broszkę. Ogląda ją przez moment, a potem patrzy na mnie.

– Ma to pan po babci? Skąd pan pochodzi?

– Z Kalifornii.

Kobieta mruży oczy.

– Ale pańska babcia nie pochodziła z Kalifornii, prawda?

– Nie, była Angielką. Częściowo Szwedką.

Jubilerka siada za stołem roboczym. Włącza jasną halogenową lampę i ogląda broszkę pod lupą. Po angielsku mówi z akcentem, ale płynnie i wyraźnie.

– Ogólnie wydaje się, że to w stylu Urnes. Przetrwowało parę późnowikińskich brosz z tamtego okresu. To współczesna kopia jednej z nich. Ale też nie taka bardzo współczesna...

Jubilerka obraca broszkę i cmoka.

– Inskrypcja. Wie pan, co znaczą te litery?

– To inicjały mojej babci. Nie wiem natomiast, co to za symbol.

Kobieta podchodzi do półki z książkami, wyciąga duży tom i zaczyna go pomału kartkować. Mamrocze coś pod nosem, po czym wręcza mi książkę, błyszczący katalog aukcyjny w jakimś skandynawskim języku. Na stronie widnieje fotografia broszki identycznej z moją. Jubilerka uśmiecha się triumfalnie.

– Wiedziała, że już kiedyś natknęłam się na ten symbol.

Wyjaśnia, że jej zdaniem broszkę wykonał Ísleifur Sæmundsson, islandzki złotnik tworzący na początku dwudziestego wieku. Symbol wyryty obok inicjałów mojej babki to jego sygnatura. Prace Ísleifura są rzadkie. Jubilerka widziała je tylko w paru skandynawskich muzeach. Patrzy mi przez ramię, gdy spoglądam na broszkę w katalogu.

– To po duńsku, mam przetłumaczyć?

Kobieta zakłada okulary. Tłumaczy powoli, zacinając się czasem na jakimś słowie. Ja tymczasem robię notatki tak szybko, jak mogę.

– Brosza w stylu Urnes, wykonana przez Ísleifura Sæmundssona około roku tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego. Kopia przedmiotu datowanego na jedenasty wiek, znalezionej na opuszczonej farmie w Tröllaskógur. Brosza z Tröllaskógur miała należeć do jednej z bohaterek sagi o Njálu. Ísleifur był utalentowanym złotnikiem, który wskrzesił styl Urnes w latach dwudziestych. Tworzył biżuterię inspirowaną średniowiecznymi oryginałami. Zachowało się kilka jego dzieł. Ten szczególnie udany okaz wyceniany jest na dziewięć tysięcy koron.

Jubilerka uśmiecha się.

– To piękna broszka. I bardzo rzadka. Pewnie sporo warta.

– Czy grawerunek oznacza, że wykonano ją na Islandii?

Jubilerka wzdycha i ponownie umieszcza broszkę pod szkłem powiększającym.

– Inicjały wskazują na Ísleifura. Są dobrze wykonane, pasują do jego podpisu...

Kobieta odwraca się i spogląda na mnie.

– Ale pewności nie ma. Każdy porządny złotnik by sobie z tym poradził.

– Ktoś mógł więc ją kupić poza Islandią?

Jubilerka mruży oczy.

– Nie jestem ekspertką. Ale nie wydaje mi się, żeby Ísleifur był już wtedy taki sławny. Co więcej, Islandia leży daleko. Wątpię, żeby sprzedawał swoje dzieła do innych krajów.

– A więc ktoś musiał kupić broszkę na Islandii!

Jubilerka zdejmuje okulary i wzrusza ramionami.

– Pewnie tak, ale co to ma za znaczenie? Nie zamierza pan jej sprzedać, prawda?

– Nie.

– Pewnego dnia zamierza ją pan komuś podarować – mówi kobieta, kiwając głową.

Dziękuję jej i pytam, ile należy się za pomoc.

– Będzie miał pan coś przeciwko, jeśli zrobię kilka zdjęć broszki? Przydadzą mi się jako wzór w mojej pracy.

Umieszcza broszkę pod lampą i robi parę fotografii aparatem cyfrowym. Potem po raz ostatni obraca broszkę w dłoni i spogląda na mnie. Oddaje mi klejnot. Zrzucam sobie torbę na ramię.

– Czy mogę spytać o coś jeszcze? Co to za budynek? Jest tak strasznie zniszczony.

– Zamieszkałam w Berlinie dopiero w osiemdziesiątym siódmym – mówi jubilerka z uśmiechem – wiem jednak co nieco o jego historii.

Opowiada, że budynek wzniesiono sto lat temu. Mieścił się tu jeden z największych pasażów handlowych w całej Europie, ciągnący się od Friedrichstraße po Oranienburger Straße. Dach wieńczyła ozdobna kopuła, w środku zainstalowano pocztę pneumatyczną, system rur, którymi przesyłano papiery w specjalnych kapsułach, wykorzystując sprężone powietrze. Później budynek stał się siedzibą sklepu wielobranżowego, jeszcze później prezentowano tu nowoczesne sprzęty domowe. Nadawano stąd pierwsze audycje telewizyjne w Niemczech. A potem przyszedli naziści. Zamurowali świetliki, na strychu trzymali więźniów z Francji. Gmach ostrzelano podczas zdobycia Berlina. W czasach podziału kraju popadał w ruinę. Kopułę zburzono w roku 1980. Dekadę później cały budynek przeznaczono do rozbiórki, ale uratowała go grupa artystów.

– Uważałam, że powinniśmy ocalić to miejsce. Nie tylko dlatego, że sama potrzebowałam kąta do pracy.

– Tak właśnie myślałam, że zniszczenia muszą pochodzić z czasów wojny. A co znaczy ten napis nad pani drzwiami?

– *Hier sind sie sicher?* Nie ja to namalowałam. Wyjechałam na parę tygodni do Kopenhagi, a jak wróciłam, napis już tam był.

– Ale co to oznacza?

– „Tu jesteś bezpieczny” – odpowiada kobieta ze wzruszeniem ramion i otwiera mi drzwi.

– Proszę nie zapominać – mówi. – Musi pan zachować tę broszkę.

Wychodzę z budynku i próbuję zrozumieć, co usłyszałam. Broszka pochodzi z Islandii, kraju, z którym – o ile mi wiadomo – moja babcia nie była w żaden sposób związana. Przecinam Oranienburger Straße i siadam na ławce. Ponownie czytam w notatniku tekst przetłumaczony dla mnie przez jubilerkę. W połowie zamykam notatnik i ruszam truchtem w stronę hostelu.

Na Rosenthaler Platz wpadam już biegiem. W hostelu przeskakuję po dwa stopnie naraz. Listy Imogen czekają na mnie w plecaku. Po chwili udaje mi się znaleźć odpowiednią stronę.

17 października 1916

Najdroższy!

Poszłam dziś z Eleanor do London Library. Wzięłam sporo książek, ale gdy nad nimi usiadłam, ogarnął mnie sen, choć nie uczytałam nawet dziesięciu stron. Śniłam o wspaniałych rzeczach – o klepkowym kościele w Urnes, który Ci opisywałam. Tyle że we śnie sławne portale były jeszcze nieozdobione, więc wyciągnąłeś swój nóż i oboje je rzeźbiliśmy – Ty strugałeś jedno stworzenie, ja drugie, ich ciała szybko się połączyły. Odciąłeś fragment portalu na pamiątkę dla mnie i kazaleś go dobrze strzec, bo jesteśmy odtąd złączeni tak bardzo, jak tylko dwie dusze złączone być mogą. Potem uderzono w karylion – nadszedł czas, byśmy weszli do kościoła – ale gdyś położył rękę na drzwiach, ocknęłam się.

Wyciągam broszę i obracam ją w palcach. Srebro jest zimne. Przeciągam opuszką po twardym, płaskim oku smoka, nie szerszym niż źdźbło trawy.

Gdybym tylko jej nie zobaczył, myślę. Gdybym jej nie zobaczył.

Schodzę po schodach, by skorzystać z komputera. Otwieram wyszukiwarkę i po chwili wahania wpisuję „Urnes”.

O północy leżę bezsenny na łóżku. Wsluchuję się w hałas tramwajów zatrzymujących się na placu i po chwili ruszających dalej, w głosy i śmiechy z okolicznych kawiarni. Inni mieszkańcy mojego pokoju wchodzą i wychodzą, popijają piwo i dzwonią butelkami, przetrząsają swoje plecaki w wątlym świetle lampek nocnych, zmieniają ubrania i ruszają w noc.

Brosza leży pod moją poduszką. Poznałem już część jej sekretów. Spędziłem cztery godziny, czytając o sztuce wikińskiej.

Styl Urnes z jedenastego i dwunastego wieku to ostatni wikiński styl w sztuce zwierzęcej. Nazwa pochodzi od kościoła w Urnes, położonego na wzniesieniu ponad błękitnymi wodami Lustrafjordu, wewnętrznego łącznika najdłuższego fiordu w Norwegii. Misterne zdobienia na północnym portalu kościoła przedstawiają splecionego węża w szczękach czteronogiego stwora. Uważa się, że to szczytowe osiągnięcie płynnej i wystylizowanej konwencji przedstawiania zwierząt w walce na śmierć i życie. Ich pozy oddano tak, by zasugerować dynamikę, a także nieuchronność destrukcji.

Wiem, że mógłbym wrócić do Anglii albo do Francji, a nawet do domu. Nie zrobię jednak żadnej z tych rzeczy. Odkąd wysiadłem z samolotu na Heathrow, znalazłem się w świecie, który ledwo rozpoznaję. Uświadamiam sobie istnienie nieznanych wcześniej praw natury, nie wiem jednak, co nimi kieruje.

Na terenie Skandynawii zachowały się dzieła w późnym stylu Urnes: kamienie runiczne we wschodniej Szwecji, brązowe ornamenty w Danii, srebrne brosze w południowej Islandii. Niektórzy uczeni twierdzą, że stwory symbolizują chrześcijańską wizję walki między dobrem a złem. Zdaniem innych stanowią ilustrację nordyckiej legendy o Ragnaröku, końcu świata, zwiastowanym przez katastrofy naturalne, który przyniesie kres i bogom, i ludziom. Ocaleje tylko dwoje ludzi i zbudują oni świat od nowa. Niezależnie od inspiracji przyświecającej zdobieniom w kościele w Urnes, uważny obserwator dopatry się w nich przewrotnej ironii. Każdy stwór upodabnia się do swego wroga, aż wreszcie splatają się w uścisku śmierci, stają się niemal nierozłączni. Mimo walki łączy ich wspólne przeznaczenie.

Jaka siła pcha mnie ku nim? Jak nazwać to, co złączyło, a potem rozdzieliło Ashleya

i Imogen? Czy to ta sama siła, która pchnęła miliony Europejczyków ku kataklizmom wojny? Która uczyniła wrogów z ludzi niemających powodów do wzajemnej nienawiści? Z tego punktu widzenia Ashley i Imogen byli jak grzywy fal, jak drzazgi z ogromnego statku rozbitego o skały.

Do rzemieślników odpowiedzialnych za odrodzenie stylu Urnes zalicza się Ísleifura Sæmundssona, złotnika ze wschodnich fiordów na Islandii. Pracował z dala od europejskich ośrodków sztuki. Łączył klasyczne wikińskie motywy z elementami modernistycznymi. Podczas krótkiej kariery, od ok. 1925 do 1937 roku Ísleifur tworzył prace reprezentujące zupełnie odmienne style – od biżuterii inspirowanej art déco po względnie wierne interpretacje dzieł z muzeów w Ringerike i Urnes.

To nie moja sprawa grzebać w cudzej przeszłości. Minęło osiemdziesiąt lat. Nie mogę już nic zrobić dla pary dawno umarłych kochanków, o których świat powinien był zapomnieć. Bo może lepiej zapomnieć i pozwolić, żeby wszystko obróciło się w proch i pył. Właśnie dlatego świat woli nie pamiętać o okropnościach w rodzaju Ypres. Ostatecznie po osiemdziesięciu latach Ypres wygląda tak samo jak Regent's Park.

Odrzucam koldrę i wyjmuję notatnik.

Co wiem na pewno:

1. W 1916 Imogen wspomina w liście do Ashleya płaskorzeźby z Urnes – najwyraźniej w nawiązaniu do jakiejś wcześniejszej rozmowy.

2. W latach dwudziestych lub trzydziestych islandzki złotnik Ísleifur Sæmundsson wykonuje broszę w stylu Urnes.

3. Na broszy wyryto inicjały Charlotte.

4. Ktoś dał Charlotte broszę.

5. Jest dwudziesty czwarty września. Mam jeszcze tylko dwa tygodnie

Ubieram się w ciemności i wyciągam z plecaka portfel. Schodzę na dół, by zasiąść do komputera i kupić bilet w jedną stronę do Reykjavíku.



5 maja 1924

Obóz II, wysokość 19 800 stóp

Wschodni Lodowiec Rongbuk, Tybet

Słońce wędruje nad dolinami, odbija się w lodowych klifach wysokich na pięćdziesiąt stóp, wśród których rozbito obóz. Wspinacze siedzą na skrzynkach ustawionych kręgiem i jedzą śniadanie – biskwity z puszki i gorąca herbata. Zielone płócienne piramidy namiotów dygoczą na wietrze. Ashley bierze mały kawałek biskwitu z marmoladą. Zaczyna się krztusić, popija więc kilka dużych łyków kawy z mlekiem. Obok niego pułkownik przygotowuje komunikat dla prasy, wypełniając kolejne strony notatnika starannym pismem.

Price i Mills w pośpiechu żują biskwity. Price zakłada na próbę aparat tlenowy. W kasku, goglach i gumowej masce wygląda jak przybysz z kosmosu. Łyka powietrze i prostuje gumowy przewód, Mills zaś przygląda się wskaźnikowi ciśnienia. Po chwili Mills przekręca zawór na górze stalowego cylindra.

– Sześćdziesiąt atmosfer. Cud, że tylko połowa wyciekła. Czujesz jakąś różnicę?

Price ostrożnie podnosi dłoń odzianą w rękawicę. Kręci głową i oddycha głębiej.

– Cholerne czary – rzęzi Ashley.

Pułkownik podnosi wzrok znad notatek.

– Wiesz, Walsingham, kiedy byliśmy tu ostatnio, Price ciągle mówił o jednym swoim kompanie, wspinaczu, który przeżył całą masę przygód w Arabii. Mógłbym przysiąc, że słyszałem, jakoby gość odkrył piramidy w Gizie.

– Doprawdy?

– Ale oto jesteśmy tu, tysiące mil od cywilizacji, słuchamy w kółko tych samych przeklętych anegdot Noela, a ty ani razu nie wspomniałeś o pustyni. Obiecałem „Timesowi” dwadzieścia relacji prasowych z góry i dostarczę im dwadzieścia relacji, choćbym musiał sporządzić artykuł o każdym z naszych, od Price’a po cholernego szewca. Chcę więc faktów. Byłeś tam czy nie?

– Byłem.

– Gdzie?

Ashley dostaje okropnego kaszlu.

– Wszędzie. Od Syrii po Aden. Mały wypad do Persji. Najciekawiej jednak było na południu, wzdłuż brzegu pustyni Ar-Rab al-Chali. Na pustkowiu.

Pułkownik zapisuje to wszystko w notatniku, dopytując o pisownię nazwy „Ar-Rab al-Chali”.

– Dobrze. I co tam robiłeś? Zajmowałeś się archeologią?

– Tak bym tego nie określił. Raczej epistemologią. Do tego odrobina metafizyki...

Pułkownik groźnie macha ołówkiem.

– Nie igraj ze mną.

– Sęk w tym, że niełatwo to wyjaśnić.

– Ogranicz się do faktów, ja zajmę się wyjaśnieniami. A więc: dlaczego w ogóle się tam wybrałeś?

– Pojechałem do Arabii – Ashley wzdycha – raczej po to, by uciec, niż dokądkolwiek dotrzeć. Miałem już po dziurki w nosie Kenii, a nie chciałem wracać do Anglii. W Arabii nikogo

nie znałem, nie władałem tamtejszymi językami, nie wiedziałem, czego szukam.

– Czegoś jednak szukałeś, prawda? – pyta pułkownik.

– Później, owszem. Szukałem Iremu, legendarnego miasta tysiąca filarów, zaginionego gdzieś w pustej ćwiartce. Wspomina się o nim w *Księdze tysiąca i jednej nocy* oraz w Koranie...

– Wolniej, muszę to zapisać.

– Nie ma nic do zapisywania – stwierdza Ashley. – Nic nie znalazłem. Wszystko okazało się farsą.

– Ta drażliwość jest zupełnie niepotrzebna. Chcę tylko faktów.

– Fakty. – Ashley szczyrzy zęby. – Fakty są takie, że uganiałem się za czymś, co nie istnieje. To tak, jak gdybyśmy podjęli cały wysiłek wejścia na tę górę, jak gdybyśmy ledwo uszli z życiem, wchodząc na szczyt, wydali mnóstwo pieniędzy, a na końcu okazało się, że szczytu w ogóle nie ma. Nie ma nawet góry. Szczyt nigdy nie istniał. Był tylko tworem czyjejś próżności. Pojąłem moją głupotę. Powinienem być zostać przy wspinaczce. Ot, cała historia. Raczej mało atrakcyjna dla prasy.

Pułkownik zamyka notatnik i postukuje palcami w skórzaną okładkę.

– Nie idę dziś do trzeciego obozu – odzywa się szorstkim głosem. – Ty i Price zabierzecie tragarzy oraz kaprała Tebjira. Mills i ja pójdziemy za wami jutro. I na miłość boską, nie pozwólcie, żeby tragarze niszczyli sprzęt tymi swoimi cholernymi rakami. Niech uważają na nogi, jak idą.

– Rozkaz, panie pułkowniku.

Pułkownik, mrużąc oczy, spogląda w słońce i podciąga rękaw, by spojrzeć na zegarek.

– Lepiej się zbierajcie. Jeśli wyruszycie teraz, dotrzecie na miejsce w połowie dnia. Nie najlepszy moment, ale nic się na to nie poradzi.

Pułkownik z powątpiewaniem spogląda na nakrycie głowy Ashleya, filcowy kapelusz o szerokim rondzie.

– Powinieneś nosić hełm safari.

– Poradzę sobie. Mam już doświadczenie z lodowcami.

– Ten jest inny. W południe ostre słońce będzie się odbijać od śniegu i padać prosto na ciebie. Powietrze w ogóle się nie rusza. Z człowiekiem dzieją się wtedy dziwne rzeczy.

– Rozumiem.

– Jeszcze jedno – dodaje pułkownik. – Spróbuj pomyśleć o czymś, co mógłbym na twój temat napisać w gazecie, i wyślij to przez kolejnego kuriera. Arabia ci nie pasuje, w porządku. Ale chcę coś dostać. Może być o hodowli kawy w Kenii, nawet o zbieraniu cholernych znaczków pocztowych.

Ashley i Price otwierają skrzynie ze sprzętem niezbędnym, by dotrzeć do trzeciego obozu. Odliczają zwinięte liny, karmazynowe flagi i krótkie drewniane kołki. Kaprał, Gurkha, wzywa tragarzy na inspekcję. Niewysocy, krzepcy mężczyźni stają szeregiem i wypinają piersi. Niejednemu brakuje sprzętu – potracili elementy wyposażenia setki mil temu, na ośnieżonych przełęczach lub w parnych dżunglach. Dwóch tragarzy nie ma gogli śnieżnych. Kilku pogubiło gdzieś owijaczce. Jeden Szerpa stoi boso w śniegu. Ashley rozdaje zapasowy sprzęt i wręcza każdemu po parze raków ze skóry i stali.

Price wspina się na skrzynkę, by zademonstrować, jak wiązać raki. Gurkha tłumaczy jego słowa. Tragarze równocześnie zakładają sprzęt. Ashley przechadza się między nimi. Klęka i pociąga pasek raków Llakpy Chediego; krzywi się niezadowolony. Llakpa Chedi to jeden z Tygrysów, najsilniejszych tragarzy, którym wyznaczono zadanie noszenia sprzętu do najwyższego obozu. Na tej wysokości Llakpa Chedi jest silniejszym wspinaczem niż Ashley. Obaj to wiedzą.

Ashley gestem dłoni wyjaśnia, o co mu chodzi. Llakpa Chedi uśmiecha się łagodnie.
– Zbyt ciasno zapięte – mamrocze Ashley. – Krew nie będzie dochodzić. Odmrożenia.
Odpina skórzany pasek i zapina ponownie, kilka oczek luźniej. Patrzy w lśniące onyksowe źrenice Llakpy Chediego, w jego gładką śniadą twarz, nieuszkodzoną przez słońce.
– Kiedy stracisz palce u stóp, nie będzie ci tak wesoło – mówi Ashley świszczącym głosem.

Price nakazuje tragarzom zdjąć kolorowe chustki, które mają zawiązane na nogach. Miesza je w pustej skrzyni, po czym losuje po jednej i przywiązuje do kolejnych pak, które trzeba będzie zanieść na górę. Tragarze chwytają skrzynie i zarzucają je sobie na plecy. Zgięci, mocują skórzane pasy na czołach. Stary bosonogi tragarz gwizdże i zaczyna śpiewać. Price woła do Ashleya:

– Ja poprowadzę, ty zamykaj tyły!

Pułkownik pokrzykuje coś po nepalsku dla otuchy i wymachuje aluminiowym kijkiem namiotowym jak laską. Ashley staje u jego boku i obserwuje wymarsz długiej kolumny. Postacie odziane w khaki znikają za szczeliną w lodowej ścianie.

– Nie ma pan czasem wrażenia, że oni wiedzą coś, czego my nie wiemy? – pyta Ashley.

– Na przykład?

– Trudno powiedzieć. Ale wydają się bardziej pewni.

– Co, na miłość boską, mogliby wiedzieć?

– Niejedno im chodzi po głowie. Mówią, że Price’owi pisana jest śmierć. Tylko Sembuchi godzi się iść przy nim, bo Sembuchi to wariat...

– Bzdury – odpowiada pułkownik. – Kto jak kto, ale ty powinienesz wiedzieć, że nie należy powtarzać podobnych nonsensów, nawet żartem.

– Tak, panie pułkowniku.

Pułkownik rusza w stronę namiotu, trzymając kijek za plecami. Nagle przystaje i odwraca się ku Ashleyowi.

– Walsingham?

– Tak?

– Tragarze wiedzą, że dostaną za to pieniądze. Ale my jesteśmy tu dla sportu.

Rząd tragarzy ciągnie przez dolinę białą jak zęby rekina, pośród doskonale równych piramid z wyrzeźbionego przez słońce lodu. Ashley idzie za ostatnim tragarzem, na którego plecach kołysze się ogromny kosz, całkowicie zasłaniający jego niewysoką sylwetkę. Weszli w wąwóz. Początkowo skały to jedynie kikuty. Im niżej, tym stają się większe. Słońce i wiatr ukształtowały je w potężne szpice. Ich turkusowy blask nie był przeznaczony dla ludzkich oczu.

Niełatwo znaleźć tu przejście. W rozrzedzonym powietrzu wyprawa szuka drogi, aż zatrzymują się nad szczeliną lodową, niemającą dna. Ruszają wzdłuż niej pośród obłych piramid lodu, od których odbija się słońce. Nagle kolumna staje. Llakpa Chedi podbiega do Ashleya, z trudem łapiąc oddech.

– Price sahib mówi, żeby pan przyszedł.

Ashley mija szybko długą kolumnę. Serce wali mu w piersi. Tragarze stoją objuczeni, pot spływa im po twarzach. Podążają wzrokiem za Ashleyem. Price czeka w cieniu góry o kształcie kła. Kapral Tebjir stoi obok i ciężko oddycha.

– Tragarze się już chyba nachodzili, nie sądzisz? – pyta Price.

– Święte słowa.

Price zwraca się do Tebjira.

– Tragarze mogą tu odpocząć. Walsingham i ja oznaczymy chorągiewkami resztę trasy i wrócimy. Tylko niech się za bardzo nie rozsiadają.

Price i Walsingham ruszają naprzód. Idą przez czarną morenę, potem przez pole sypkiego śniegu. Wreszcie wchodzi na zamarzną rzekę, długi lazurowy język lodu. Ashley przeciąga dłoń po górze lodowej. Mokre palce przywierają do jej powierzchni. Pod kryształową powierzchnią widać mlecznobiałe okruchy. Ashley zastanawia się, czy to „rusztowanie” szpicy, czy jedynie pęknięcia spowodowane przez jej niewyobrażalną masę. Price wskazuje czekaniem szczelinę między dwoma potężnymi serakami.

– Tędy chyba da się przejść.

Wspinacze przywiązują się liną. Price pójdzie pierwszy. Ashley uśmiecha się.

– Problem w tym, że zapisałem ci wszystko w testamencie, Hugh. Jeśli wciągniesz nas w przepaść...

– Zamknij się.

Ruszają, wypatrując drogi pośród labiryntu przeszkód. Zatrzymują się przed potężnymi górami lodowymi pośrodku ścieżki. Wchodzi na lodowe klify z osobliwym entuzjazmem. Okazja do prawdziwej wspinaczki nie zdarza się tu zbyt często. Wbijają drewniane kołki w lodową skałę i przeciągają linę przez ich otwory. Czerwone chorągiewki, zwisające luźno w rozrzedzonym powietrzu, będą znakować przejście.

Od lodu odbija się oślepiające światło. Przenika przez przydymione okulary gogli Ashleya, wbija mu się w mózg i potęguje ostry ból głowy. Ashley czuje szum w uszach. Everest rzeźbi mu mózg, jak wyrzeźbił lodowe góry, wielkie sople i strome glaciały.

Zatrzymują się pośród ogromnych seraków. Price rozwiązuje linę, Ashley wbija czekan w śnieg i siada na wystającym wzgórku czarnej moreny.

– Coś cię dręczy? – pyta Price. – Od śniadania jesteś jakiś małomówny.

– Próżno gadać.

– Daj spokój – mówi Price. – Widzę, że coś cię trapi. O co chodzi?

Ashley pociąga łąpczywie z piersiówki. Korkuje ją i przeciera czoło, po czym odzywa się beznamiętnym szeptem:

– Pamiętasz tamten pierwszy wykład w Kensington Gore? Podczas wojny?

Price patrzy zdumiony na towarzysza.

– Nie bardzo.

– Byłeś na przepustce. Po wykładzie przedstawiłeś mnie dwóm siostrze, nazywały się Soames-Andersson. Rozmawiałem z młodszą. To było na krótko przed tym, jak mnie przerwali do Francji.

Ashley zakłada nogę na nogę i zaczyna ociosywać lód z podeszwy buta, po czym gołymi palcami sprawdza ostrość raków. Nie mówi nic więcej. Price, marszcząc czoło, wpatruje się w szczyt lodowca, widniejący powyżej.

– Coś cię z nią połączyło? Nigdy mi nie opowiadałeś.

– Nie trwało to długo. Spędziłem razem tydzień. Potem znalazłem się we Francji.

Pisaliśmy do siebie codziennie. Kiedy zostałem ranny, przyjechała odwiedzić mnie w szpitalu w Albert. Pokłóciliśmy się. Wróciła do Anglii. Można powiedzieć, że ode mnie uciekła. To było osiem lat temu.

Ashley przeciera czoło rękawem kurtki.

– Zastanawiałem się, jak to jest nosić ze sobą codziennie takie uczucie. Czy z czasem je oswajasz, przyzwyczajasz się do niego, aż w końcu przestaje być miłością?

Price wzrusza ramionami.

– To jak z tą górą. Jednego dnia myślisz, że znasz ją aż zbyt dobrze. Drugiego dnia zdaje ci się obca i wspinała.

Ashley kręci głową.

– Cholerna głupota, prawda? Chcieć czegoś, czego nie możesz mieć. I nie chcieć tego, co masz.

– Przejdzie ci.

Wspinacze wstają i biorą czekany.

– Obwiążemy się? – pyta Ashley.

– Chyba nie ma potrzeby.

– No to dajmy sobie spokój.

Price spogląda na glaciał.

– Nigdy nie wiedziałem, że coś cię łączyło z tą dziewczyną. Jak też ona miała na imię...?

– Imogen.

Price kiwa głową.

– Nigdy mi o niej nie mówiłeś.

PYTANIE



Raz na godzinę wychodzę z hostelu i idę do budki telefonicznej pośrodku Rosenthaler Platz, by zadzwonić do Mireille. Samolot do Reykjavíku odlatuje o ósmej rano, ale jej e-mail dostałem dopiero wtedy, gdy już miałem bilet. „Zadzwoń, jak tylko to przeczytasz, nieważne, gdzie jesteś”. Dzwonię więc przez całą noc, o równej godzinie. Gdybym od początku nie wyznaczył sobie tego rytmu, próbowałbym częściej.

Za każdym razem to samo. Przechodzę przez Rosenthaler Platz, wchodzę do budki, podnoszę różową słuchawkę, wrzucam monetę jednoeuroową i kładę kupkę monet na telefonie. Wybieram numer, czekam, odzywa się przytłumiony sygnał. Trwa i trwa w nieskończoność. Patrzę na ludzi na Weinbergsweg. Idą, popijając piwo z butelek, rozmawiają po niemiecku, angielsku albo hiszpańsku. Mireille nie odbiera.

O trzeciej w nocy wszyscy w okolicy już mnie znają. Dziewczyna z recepcji, która pozdrawia mnie sennym uśmiechem, gdy wychodzę. I potężny Turek palący papierosa przy kiosku na rogu. I kucharz z całodobowej wietnamskiej knajpy Asia Imbiss – na początku próbował namówić mnie, żebym coś u niego zjadł, teraz jednak dał już sobie spokój i tylko śmieje się na mój widok. Wszyscy wiedzą, że idę do telefonu.

O czwartej rano niebo już jaśnieje. Za dwie godziny pojadę na lotnisko. Tym razem jednak Mireille odbiera.

– Przepraszam – mówi, z trudem łapiąc oddech. – Nie było mnie w domu, a komórka mi padła. Dopiero co wróciłam i podłączyłam ją do ładowania.

– Kazałaś dzwonić natychmiast.

– Wiem, ale już wariowałam od czekania. Przyszła Claire i wybrałyśmy się na spacer nabrzeżem...

– Wróciłaś do Paryża?

– Tak. Ty nadal w Berlinie?

– Właśnie wyjeżdżam.

Chodnikiem przechodzi grupka Kanadyjczyków z mojego hostelu. Pukają w szybę budki telefonicznej i machają do mnie. Ja też im macham. Głos Mireille staje się cichszy.

– Dokąd jedziesz?

Chwytam słuchawkę obiema dłońmi.

– Nieważne. Za parę tygodni wszystko się skończy. Mogę przyjechać do Paryża, jeśli nadal tego chcesz...

– A więc wciąż szukasz. – Dziewczyna wzdycha. – Tristanie, przepraszam za to, jak zachowałam się wtedy na dworcu. Sądziłam, że kiedy ty wyjedziesz, a ja wrócę do Paryża, zapomnę o wszystkim, tak się jednak nie stało. Muszę ci coś powiedzieć. Powinnam była powiedzieć to we Francji, ale się bałam.

Mireille waha się. Wrzucam więc monetę.

– Wierzę ci, jeśli chodzi o tę angielską parę. Ale poza tym cała ta historia dotyczy prawników i pieniędzy. *Ce n'est pas possible*. Musisz to pojąć. Tamtego pierwszego wieczoru, gdy opowiadałaś mi o tym w barze, powiedziałam sobie, że nie powinnam zabierać cię do Pikardii. Ale potem, kiedy czekaliśmy na metro, i tak cię zaprosiłam. Może myślałam, że nawet jeśli jesteś trochę szalony, nie ma to znaczenia, bo jestem przy tobie szczęśliwa. Jednak teraz, gdy cię znam i gdy zaczęło mi na tobie zależeć, i gdy widzę, co ta sprawa z tobą robi...

– To wszystko prawda. Rozmawiałem z prawnikami.
– Ale co tak naprawdę o nich wiesz? Jeśli rzeczywiście chodzi o wielkie pieniądze, dlaczego sami nie znajdują dowodów? Czemu kogoś nie wynajęli?
– Powiernictwo im tego zabrania.
– I dali ci za ledwie dwa miesiące? *C'est fou*. I te listy! To było zbyt proste. Jak gdyby ktoś je tam dla ciebie zostawił. Tristanie, nie ufam prawnikom. Nie wierzę w ich historię. I nie podoba mi się, że zabrnąłeś tak daleko, choć nic w tej sprawie nie ma sensu. Powinieneś być zostać we Francji.
– Mogę wrócić.
– Nie o to chodzi. Po prostu martwię się i chcę, żebyś zapomniał o poszukiwaniach. *Cent millions de francs suisse? C'est une connerie*. Na pewno sam to wiesz, nawet jeśli nie umiesz tego przed sobą przyznać.
– Wiem, że to wszystko prawda. Ashley i Imogen są prawdziwi.
– Może byli kiedyś – mówi Mireille – ale dawno odeszli. Ty i ja, to tylko się liczy. Boisz się, że jeśli przerwiesz poszukiwania, nie dostaniesz pieniędzy, ale jeśli będziesz to ciągnął... Telefon piszczy. Wrzucam parę monet.
– Co to było? – pyta Mireille.
– Dzwonię z budki telefonicznej. Rozmowa z francuskim numerem sporo kosztuje. Nie zostało nam już dużo czasu.
– Powiedz, dokąd wyjeżdżasz?
– Na Islandię.
Mireille milczy. Przyciskam słuchawkę do ucha. Została mi już tylko jedna moneta. Na jej rewersie widnieje drzewo i napis „Liberté Égalité Fraternité”.
– To wszystko nie ma sensu – mówi wreszcie Mireille. – Wiesz, że to nie ma sensu.
– Nie potrafię ci teraz wytłumaczyć. Musisz mi po prostu zaufać. Gdybyś wiedziała to, co ja wiem...
Telefon znów wydaje z siebie pisk. Wrzucam ostatnią monetę.
– To okropne – stwierdza Mireille. – Po prostu wracaj. Nie obchodzi mnie, jak się tu dostaniesz.
Opieram się o szybę. Nie wiem, co powiedzieć.
– Wrócisz, Tristanie, prawda?
Telefon znów piszczy.
– Powiedz, że wrócisz. Muszę wiedzieć, czy mam na ciebie czekać.
W tym momencie połączenie zostaje przerwane. Klnę i trzaskam słuchawką. Idę ulicą i wchodzę do pustego parku. Obchodzę niewielki staw, rozmyślając, co powinienem zrobić. Nie mam wyboru.
Wracam do hostelu i piszę e-mail do Mireille, obiecując, że przyjadę do Paryża, kiedy tylko będzie to możliwe. Słowa nie brzmią właściwie. Usuwam wiadomość, piszę ją od nowa, raz i drugi. Jeśli niedługo nie wyruszę, spóźnię się na samolot. Klikam więc WYŚLIJ, zarzucam sobie plecak na ramię i pędzę przez ulicę w stronę stacji metra.
W księgarni na lotnisku Tegel kupuję grubą książkę pod tytułem *Sagi islandzkie*. Siadam niedaleko bramki, trzymając plecak między nogami. Sprawdzam, czy broszka jest na swoim miejscu w kieszeni. Potem otwieram książkę i próbuję się skupić.



10 maja 1924

Obóz III, wysokość 21 tysięcy stóp

Wschodni Lodowiec Rongbuk, Tybet

Warstwa sypkiego śniegu gruba na cal pokrywa cały namiot. Ashley i Price siedzą po nawietrznej, plecami opierają się o łopoczące płótno, próbując uchronić namiot przed zawieją. Sztynna od lodu gabardyna stanowi jedyną osłonę przed śnieżycą. Cały obóz to zbieranina takich namiotów, rozmieszczonych u stóp lodowego klifu na wysokości dwudziestu jeden tysięcy stóp. Ashley trzyma nogi w śpiworze.

Wiatr łagodnieje na moment, po czym znów atakuje z rykiem, napiera tak mocno, że Ashley nie może uwierzyć, że to tylko śnieg i powietrze. Furkot trzepoczącego płótna sprawia, że dwaj wspinacze muszą się porozumiewać krzykiem.

– Mam sprawdzić odciągi?! – woła Ashley.

– Nie! – odkrzykuje Price. – Napadałoby nam tu tylko więcej śniegu!

Wędrują wzrokiem za kołyszącą się lampą, zawieszoną pod sufitem namiotu. Cienie przesuwały się z wiatrem. Obaj wspinacze są zanadto zmęczeni, by krzyczeć, ale sen byłby zbyt niebezpieczny. Czekają więc, aż zawieja wreszcie ustanie.

Pół godziny później wiatr przycicha nieco i wreszcie daje się porozmawiać. W wejściu do namiotu ukazuje się twarz Somervella. Brwi i brodę ma pokryte śniegiem. Wczołguje się do środka, strzepując śnieg z kołnierza.

– Jaka decyzja? Rano idziemy do obozu czwartego?

Ashley kaszle w brudną chusteczkę. Patrzy na Somervella i odpowiada ochryplym szeptem:

– Hugh ciągle nie może się pogodzić z faktem, że zostawił w Phari swoje kąpielówki.

Nikt nie śmieje się z dowcipu. Wspinacze od pięciu dni nękają huraganowe wiatry. Za dnia wieje zbyt mocno, by iść, nocą jest zbyt zimno, by spać. Żadna z wcześniejszych ekspedycji nie zmagala się z tak paskudną pogodą. Nie wiadomo, czemu teraz warunki się pogorszyły. Tragarze wierzą, że nad wyprawą ciąży klątwa, że bogowie góry pragną ukarać wspinaczy. Jeśli pogoda się nie poprawi, Brytyjczycy będą musieli zarządzić odwrót.

Price otwiera puszkę dżemu truskawkowego.

– Musimy coś zjeść.

Zbiera trochę walającego się po namiocie śniegu i wrzuca go do blaszanej miski. Na wierzch wyklada przymarznięty dżem. Miesza wszystko dużą łyżką i podaje Ashleyowi. Ten próbuje ostrożnie.

– Nawet nie najgorsze.

Przekazują sobie miskę. Somervell podnosi z ziemi książkę – *Trzy tragedie*. Skórzana oprawa zmiękła, pozłota pokrywająca brzegi kartek całkiem niemal się już wytarła.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, dziś kolej na Walsinghama?

Ashley potrząsa głową i wskazuje na swe gardło.

– Nie dam rady w tym hurgocie.

Somervell otwiera *Hamleta* tam, gdzie uprzednio skończyli, i zaczyna czytać. Jego głos wznosi się i opada – nie dla teatralnego efektu, po prostu trzeba przekrzykiwać to wzbierający, to znów słabnący wiatr. Ashley przygląda się drżącej dłoni Somervella. Wszyscy trzej trzęsą się

z zimna.

Wiatr znów się nasila i nic już nie słychać. Trzej wspinacze siedzą od nawietrznej. Wicher smaga ich plecy i wyje ogłuszająco. Lampa gaśnie. Zapada absolutna ciemność. Płótno furkocze, z namiotu obok dobiega nerwowe wołanie Szerpów. Price odkrzykuje parę słów po nepalsku.

Coś twardego uderza Ashleya w ramię. Skała albo odłamek lodu. Ashley myśli, że płótno się od tego rozerwie, i przed oczyma staje mu cała scena: kłęby śniegu wpadające do namiotu, wir śpiworów, puszek z jedzeniem i sprzętu, po chwili namiot odlatuje i pozostawia wspinaczy, nagich i bezbronnych, pod zachmurzonym księżycem. To oznaczałoby śmierć. Są za daleko od bazy. Baza jest zaś tak daleko od cywilizacji, że równie dobrze mogliby być jedynymi ludźmi w całym Tybecie, ba, na całej Ziemi. Price woła do swych towarzyszy:

– Wygląda na to, że fryc wyciągnął Grubą Bertę!

Ashley odkrzykuje ochryple:

– Nigdy nie dociągniemy do trzeciego aktu!

Mijają godziny, nim wreszcie wiatr się uspokaja, a Somervell wraca do swego namiotu. Ashley leży na plecach w ciemności, oczy ma otwarte. Skaliste podłoże wbija mu się w ciało. Wstaje, by przesunąć materac. Potem kładzie się ponownie, ale zaraz klnie.

– Daję słowo, leżę na jakimś pieprzonym głazie. Kto uprzętał ten teren?

Ze śpiwora Price'a dobiega krótki chichot.

– Na pewno nie sahib. Chcesz się zamienić miejscami?

– Nie.

Ashley zamyka oczy. Słucha furkotu płótna i jakiegoś metalicznego stukotu. Pewnie odciąg się wyrwał i metal uderza o kamienie.

– Ktoś powinien to przyczepić – szepcze Price.

– Ktoś powinien.

Zapada milczenie. Uwolnione płótno wciąż furkocze.

– Cholerny mróz – mamrocze Ashley. – W innych namiotach nie znajdzie się zapasowy śpiwór?

– Wątpię. A nawet gdyby, chciałoby ci się po niego iść?

Ashley przewraca się na bok, próbując unikać najostrzejszych kamieni. Chwilami na twarz sypie mu się nieco śniegu. Ashley strzepuje go niezdarnie.

– Pamiętasz – mówi nagle – tę dziewczynę, o której ci opowiadałem? Soames-Andersson.

– Jasne.

– To moja wina, że odeszła. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mam, i wypuściłem to z rąk.

Słyszą kroki na zewnątrz. To Somervell, który przyszedł umocować odciąg. Furkot ustaje. Kroki oddalają się.

– Tylko tyle chciałem powiedzieć – dodaje Ashley. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

– W porządku.

Ashley ma napad kaszlu. Siada, wyciąga manierkę ze śpiwora. Odkorkowuje ją, ale do ust wpada mu tylko parę kropel wody. Śnieg jeszcze nie stopniał. Ashley zamyka więc manierkę i znów się kładzie.

– Jest coś jeszcze – mówi. – Nim tu wyruszyliśmy, coś się wydarzyło.

– Z tą dziewczyną?

– Wysłała mi telegram. Wcześniej przez lata nie miałem od niej żadnych wieści.

– Co pisała?

– Niewiele.

Price unosi głowę.

– Wszystko w porządku? Mam zapalić lampę?

– Nie trzeba, jest dobrze. Zaraz się zamknę.

Kolejny napad kaszlu. Ashley s pluwa flegmą w chusteczkę i teraz oddycha mu się lepiej niż przez ostatnich parę godzin.

– Może powinieneś się z nią spotkać – rzuca Price.

Zapada długie milczenie.

– Nic by to nie dało.

– I tak powinieneś spróbować.

– Może.

– Teraz musimy się przespać.

– Wiem.

Ashley pokasłuje i kładzie się na plecach. Czuje ostrze bryłki lodu wbijającej mu się w żebra.

– Ile masz lat, Ashley? Dwadzieścia osiem?

– Dwadzieścia dziewięć.

– Wciąż jesteś młody.

– Nie czuję się młodo.

– Jasne, że nie – odpowiada Price. – Ale możesz się poczuć młodo, jeśli tylko sobie na to pozwolisz.

Ashley śmieje się, ale śmiech przechodzi w świst. Życzy Price'owi dobrej nocy i ciaśniej opatula się śpiworem. W myślach próbuje przypomnieć sobie słowa telegramu. Ponownie rozlega się łopot – oblużował się kolejny odciąg.

MIASTO NA WYSPIE



Samolot ląduje na lotnisku Keflavík, trzydzieści mil od stolicy Islandii. Wyglądam przez okno i obserwuję bus sunący powoli po asfalcie. Pas startowy jest śliski od deszczu, a trawa ma ciemny, intensywnie zielony kolor.

W terminalu panuje cisza. Okna są duże i okrągłe, za nimi rozciąga się dziwna kraina. Odbieram plecak i mijam pustą bramkę celną. W bankomacie wypłacam większość pieniędzy, które zostały mi na koncie, i po raz pierwszy mam okazję zobaczyć, jak wyglądają islandzkie banknoty.

Przez automatyczne drzwi wychodzę na dwór. Przeróżliwy ziąb. W ciągu jednego dnia przeniosłem się z jesieni w zimę. Wsiadam w autobus jadący do centrum miasta.

W połowie drogi kierowca zjeżdża bez słowa wyjaśnienia na pobocze. Pasażerowie wysiadają, stają przy pustej szosie, palą papierosy lub rozmawiają przyciszonymi głosami. Po obu stronach drogi ciągną się pola spękanej lawy, zdobione mchem i porostami. Wychodzę z autobusu i silny podmuch wiatru mało nie zwała mnie z nóg. Poły mojej kurtki trzepoczą jak wściekle. Kierowca opiera się o pojazd i zapala papierosa. Macha ręką, wskazując, bym szedł dalej.

Schodzę więc z szosy na pole lawy. Z trudem utrzymuję równowagę, przeskakując z jednego kamienia na drugi. Lawa jest czarna, porosty zaś zielone, brązowe, gdzieniegdzie pomarańczowe. Idę dwadzieścia jardów, potem jeszcze pięćdziesiąt. Rozglądam się wkoło. Wszędzie, w każdą stronę, taki sam pejzaż.

Reykjavík to niezwykle i samotne miejsce. W ogóle nie wydaje się miastem, jest raczej zbieraniną skupionych wokół zatoki kolorowych domów i dachów z blachy falistej, wystawionych na potężny deszcz, śnieg i wiatr. Ponad tym wszystkim wznoszą się ciemne wzgórza, zwiastun dzikiego kraju.

Po jednej przechadzce w wietrznym porcie wiem już, że będzie mi potrzebna cieplejsza kurtka. Na zadaszonym pchlim targu znajduję oliwkową niemiecką parkę z demobilu. Sprzedawczyni, starsza pani, bierze ode mnie pieniądze i rzuca mądre spojrzenie zza grubych okularów, jak gdybyśmy dzielili wspólny sekret.

– Jest bardzo ciepła – mówi.

Kiedy jednak wychodzę na zewnątrz, okazuje się, że kurtka niespecjalnie chroni mnie przed mroźnym wiatrem.

Mieszkam w nowym, czystym i lśniącym hostelu młodzieżowym na wzgórzu. Przy stole w oszklonej kuchni sporządzam listę możliwych metod prowadzenia moich poszukiwań. Ostatecznie lista zawiera dwadzieścia trzy pozycje. Do siódmego października zostało mi zaś tylko jedenaście dni.

Rozmawiam z jubilerami, handlarzami antyków, nawet kustoszem w Muzeum Narodowym. Niewiele mają do powiedzenia na temat Ísleifura Sæmundssona. W kółko powtarza się kilka tych samych anegdot, zaczerpniętych z katalogów aukcyjnych i monografii na temat islandzkiego rzemiosła, których oczywiście sam nie mogę przeczytać ze względu na nieznamość języka. Dowiaduję się, że Sæmundsson urodził się w roku 1872, a zmarł w 1936. Tworzył elegancką biżuterię inspirowaną późnym stylem Urnes, ale pozostawił po sobie niewiele dzieł. Najwyraźniej nie utrzymywał się ze złotnictwa. Przyszedł na świat w wiosce Seyðisfjörður w okręgu Austurland, na wschodzie. Nie wiadomo jednak, gdzie zmarł ani gdzie pracował.

– Nie jest pan nawet pewien, gdzie żył?

Kustosz wzdycha.

– Był mało znanym złotnikiem. Nikogo nie obchodził. Pewnie spędził całe życie w Austurland. W owych czasach były tam tylko małe wioski rybackie.

– Ale to przecież nie tak dawno temu.

Mężczyzna kręci głową.

– Szczęście, że w ogóle cokolwiek o nim wiemy.

Udaję się do Archiwum Narodowego, by sprawdzić rejestr urodzin i zgonów.

Rozmawiam z pracownikami ambasady Szwecji, Danii i Wielkiej Brytanii, z urzędnikami miejskimi w Reykjavíku i w ogóle z urzędnikami każdej instytucji państwowej, gdzie mógłbym wpaść na jakiś trop. Nic. Jest dwudziesty dziewiąty września. Zostało dziewięć dni. I choć jestem dziwnie przekonany, że Imogen była na Islandii, nie znalazłem żadnego dowodu. Jeśli mam stąd wyjechać, muszę zrobić to szybko.

Przechadzam się po rozległym cmentarzu opodal uniwersytetu, między wyszczerbionymi nagrobkami, z których wiele liczy sobie kilkadziesiąt lat. Napisów nie daje się odczytać, wryte litery uległy erozji lub pokryły je porosty. Z powodu islandzkich zasad tworzenia nazwisk, te same nazwiska powtarzają się raz za razem: Eriksson, Eriksdóttir, Stefánsson, Stefánsdóttir. Robię kilka zdjęć, po czym udaję się w nowszą część cmentarza, by poszukać nagrobka „Soames” albo „Andersson”. Z góry wiem jednak, że przedsięwzięcie to skazane jest na porażkę.

Następnego dnia wcześniej rano jadę autobusem do siedziby Islandzkiego Towarzystwa Genealogicznego, gdzie odbywam długą rozmowę z przyjaznym starszym panem. Wydaje się on zaniepokojony trudnościami, które napotkałem w moich poszukiwaniach.

– Nie wie pan, w której części Islandii mieszkała ta kobieta? – pyta mnie.

– Niestety nie. Może na wschodzie.

– I nie wie pan, skąd przyjechała?

– Nie mam nawet pewności, czy w ogóle tu była.

– A więc zna pan wyłącznie nazwisko.

– Mogła je zmienić.

Starszy pan spogląda na mnie z sympatią.

– Być może nigdy nie zdoła pan dowiedzieć, że tu przybyła, ale zarazem nie będzie pan miał pewności, że było inaczej. Archiwa są zbyt przepastne. Załóżmy, że zna pan jej nazwisko i wie, gdzie i kiedy żyła. Przeszuka pan oczywiście rejestry narodzin i zgonów. Ale i tak zostaje jeszcze spis powszechny, archiwa parafialne, sądowe i podatkowe, gazety, dane medyczne, listy pasażerów...

– Listy pasażerów?

– Tak, pasażerów dawnych parowców. Te są najgorsze. Żadnych indeksów, tylko tysiące nazwisk, statek po statku. Jeśli kobieta, której pan szuka, przybyła tu przed wojną, to na pewno drogą morską. Jeśli jednak nie zna pan nazwy i daty przybycia statku, przeszukiwanie list nie ma najmniejszego sensu.

– Gdzie one są?

– Gdzie co jest?

– Listy pasażerów. Chciałbym je zobaczyć.

Przekonanie go zajmuje kilka minut. Wreszcie starszy pan bierze kartkę i ołówkiem zapisuje na niej adres.

– Jeśli naprawdę pan musi wiedzieć, listy znajdują się w Bibliotece Narodowej. To niedaleko uniwersytetu.

Unosi kartkę i macha nią w powietrzu.

– Niemniej – ciągnie – osobiście, gdybym znów był młodym człowiekiem, znalazłbym lepszy sposób zmarnowania popołudnia.

Jadę autobusem do Biblioteki Narodowej i przeglądam ogromne listy statków handlowych, szukając linii pasażerskich kursujących z Europy na Islandię. Dowiaduję się, że kompania Eimskipafélag Íslands prowadziła żeglugę między Wielką Brytanią a Islandią. Dwa statki z Leith do Reykjavíku przez Kopenhagę, kolejne dwa z Hull, również do Reykjavíku. Owe statki miały pecha. Trzy przepadły podczas wojny. Niemcy zarekwirowali „Gullfoss” w Kopenhadze w 1940 roku. „Goðafoss” został storpedowany przez U-300 u wybrzeży Islandii w roku 1944. „Dettifoss” zaś zatopiła torpeda z U-1064 w zatoce Firth of Clyde w roku 1945. Zamawiam mikrofilmy z listami pasażerów owych statków z lat dwudziestych i trzydziestych.

– Przy okazji, może będzie pani wiedziała: czy jakieś statki kursowały z Niemiec na Islandię?

Bibliotekarka marszczy brwi i przegląda przygotowany przeze mnie rewers.

– Może coś linii Hamburg-America. Ale nie dysponujemy listami pasażerów. Były też duńskie i norweskie statki, mogę udostępnić panu ich listy.

Wkrótce przekonuję się, że starszy pan miał rację. Rolki mikrofilmów ciągną się bez końca, do tego uporządkowane są wedle portów docelowych. Przewijam je pospiesznie, nie przyglądam się nawet nazwiskom pasażerów, tylko nazwom statków i linii. Nie mam pojęcia, kiedy i skąd Imogen mogła przybyć na Islandię. Natrafiam na duńską linię Det Forenede Dampskibs-Selskab, której okręt – „Primula” – kursował z Kopenhagi do Reykjavíku. Listy pasażerów sporządzone zostały odręcznie. Kolumny po angielsku, duńsku lub islandzku zawierają nazwiska, płeć, wiek, czasem również zawód pasażerów, port, w którym weszli na pokład, oraz port docelowy.

Niektóre nazwiska brzmią znajomo. Gunnar Andersson, 38, Húsavík, Fiskimaður. Inny statek, parowiec „Nova” należący do norweskich linii Det Bergenske Dampskibsselskab, kursował do Austurland. Pełna trasa wiodła z Bergen na Wyspy Owcze z przystankiem w Eskifjörður we wschodniej Islandii po drodze do Reykjavíku. Listy pasażerów są dostępne tylko do połowy lat trzydziestych. Wyciągam kolejne pudełko mikrofilmów i już mam zmienić szpulę, gdy spostrzegam nazwisko na dole podświetlonego ekranu.

Charlotte Derby. 18. Southampton, England. Eskifjörður.

To nic nie znaczy. Wiem, że to nic nie znaczy. Angielska dziewczyna o tym samym imieniu co moja babcia, podróżująca na wschodnią Islandię w lipcu 1936 roku. Przypadek – zgadza się tylko wiek, bo babcia urodziła się w 1917. Dlaczego jednak przybyła na Islandię? Odchylam się na obrotowym fotelu i patrzę w sufit. Wyobrażam sobie Charlotte wchodzącą na pokład parowca płynącego do Norwegii, a potem na Islandię, by odwiedzić kobietę, którą nazywała ciotką. Wyobrażam sobie Imogen przygotowującą się do tej wizyty, zamawiającą broszkę u Ísleifura. Broszę z inicjałami wyrzniętymi na odwrocie...

Absurd. Charlotte nie miała powodu, by podróżować pod przybranym nazwiskiem. A nawet gdyby, zapewne zmieniłaby również imię. Poza tym Charlotte to popularne imię, na pewno wielokrotnie powtarza się na owych listach. Wracam więc do przeglądania mikrofilmów. Nie znajduję nic więcej wśród pasażerów „Novy”, choć trzy kwadransy później natrafiam na Eleanor M. Cotter, lat czterdzieści osiem, podróżującą z Hull na pokładzie statku „Goðafoss” w 1934 roku. Jedynym, co przynosi kolejna godzina, jest informacja, że Charles Bell, lat dziewiętnaście, przybył z Leith do Reykjavíku na pokładzie „Bruarfoss” w roku 1929.

Wyłączam czytnik mikrofilmów. Tonąc, chwytalem się brzytwy: przypadkowych nazwisk, dat i portów. Na owych listach znajdują się zapewne dziesiątki osób o imionach Eleanor, Charlotte czy Charles. Gdybym szukał dostatecznie wytrwale, pewnie znalazłbym

i jakąś Imogen. Utraciłem jednak wiarę we własne teorie. Pakuję rolki z mikrofilmami – pora je zwrócić.

W hostelu sprawdzam e-mail, ale Mireille nie odpisała. Przyszła natomiast wiadomość od Khana.

Jamesa i mnie ucieszyły informacje, do których Pan dotarł. Bylibyśmy niezmiernie zainteresowani wglądem w korespondencję z 1924 roku. James wyraża jednak troskę, że obrał Pan błędny kierunek poszukiwań, który nie doprowadzi Pana do dowodów, pozwalających wejść w posiadanie spadku. James przypomina więc, że dysponuje Pan ograniczonym czasem i sugeruje ponowne rozważenie wszystkich opcji przed poczynieniem dalszych kroków – zwłaszcza przed wyjazdem w miejsce tak odległe, jak Islandia.

Zbliża się październik. Powinien Pan skontaktować się telefonicznie z Jamesem przy pierwszej okazji. Proszę podać termin, w którym byłoby to możliwe.

Z wyrazami szacunku

Geoffrey Khan

Odpisuję, że jestem już na Islandii, ale niedługo zadzwonię do kancelarii. Następnie loguję się na konto w banku. Zostało mi tylko trzysta dolarów. Nie mam też biletu powrotnego. Debet na karcie kredytowej wynosi sześćset dwanaście dolarów, środki dostępne – osiemdziesiąt osiem dolarów. Nie mogę prosić rodziny o pieniądze na kontynuowanie tych bezsensownych poszukiwań. Bez twardych dowodów nie dostanę też nic od Pricharda. Zresztą on najwyraźniej jest przeciwny mojej podróży na Islandię.

Wiem, że powinienem lepiej planować wydatki i uporządkować poszukiwania. Utraciłem jednak pewność siebie. Następnego ranka przypominam sobie, że jest weekend i wszystkie archiwa będą zamknięte. Wracam do łóżka i leżę przez godzinę. Czuję zbliżające się załamanie nerwowe. Wreszcie wstaję, ale przez cały dzień błąkam się tylko po hostelu. Przeglądam internet i moje kserokopie. Nastrój zmienia mi się co chwilę o sto osiemdziesiąt stopni.

O zmięczeniu idę na basen niedaleko hostelu. Noc jest wietrzna, lecz bezchmurna. Kasjer bierze ode mnie kilka monet i wręcza wykrochmalony biały ręcznik z naszytym logo miasta. Pod prysznicem namydlam się starannie zgodnie z instrukcją na wiszącym obok rysunku, potem naciągam parę sztruksowych szortów z uciętymi nogawkami. Przeplływam żabką kilka długości. Z zewnętrznego jacuzzi za oknem unosi się para wodna.

Zostawiłem Mireille, by tu przyjechać. Okłamałem własnego ojca. Słuchałem tylko prawników. Teraz przestałem słuchać nawet ich.

Wychodzę z basenu, ociekając wodą, i przez oszklone drzwi przechodzę do jacuzzi. Powietrze jest lodowate. Nurkuję w bąblującej wodzie. Przez chwilę leżę na plecach, patrząc, jak para unosi się w niebo. Po paru minutach urządzenie nagle się wyłącza. Ponad wirującymi oparami widzę kurtynę zielonego światła.

– Zorza polarna.

Woda obejmuje mnie. Połowa ciała marznie, połowa jest niemal poparzona. Zastanawiam się, czy zorza wskazuje mi jakiś kierunek.

Później tej samej nocy spaceruję po centrum miasta, popijając gin z tonikiem, które zmieszałem sobie w butelce po wodzie. Wędruję głównym deptakiem handlowym w tłumie ludzi. Jakaś grupka dobrze ubranych młodych ludzi skręca w boczną uliczkę. Idę za nimi do rozpadającej się knajpy, ozdobionej lampkami choinkowymi i wymalowanymi palmami. Neon

nad wejściem informuje, że knajpa nazywa się SIRKUS. Wchodzę do środka.

Minęła dwudziesta trzecia. W barze jest niewiele osób. Goście zanurzają szklanki w wielkiej misie z ponczem, stojącej na ladzie. Robię to samo i siadam. Dziewczyna o twarzy lalki przechodzi obok i nagle odwraca się, jak gdyby mnie rozpoznała. Trzyma się czyjegoś ramienia, sama ledwo ustalaby na nogach. Patrzy na mnie i mówi coś po islandzku.

Odpowiadam, że nie znam języka.

– Pijesz mój poncz – stwierdza dziewczyna.

– Przepraszam, nie wiedziałem.

– To moja impreza, ale cię nie znam.

– Najmocniej przepraszam.

Dziewczyna kręci powoli głową, nachyla się ku mnie i szepcze teatralnie:

– To moje urodziny. Pij na zdrowie.

Odchodzi ze swoim towarzyszem i znikają za nieoznakowanymi drzwiami. Biorę łyk ponczu. Jest mocny, zapewne nie żalowano rumu. Smakuje jednak całkiem nieźle.

Czuję dziwny ucisk w gardle, a po chwili zaczyna mi się kręcić w głowie. Musiałem za szybko wypić alkohol. Idę do łazienki. Podchodzę do sedesu i nagle w lustrze widzę obcą twarz. Ale to moja twarz. Przybliżam się do lustra, przeciągam dłońmi po policzkach. Nie wierzę, że to ja. Moje oczy wydają się większe, nos węższy i ostrzejszy. Odwracam się i wchodzę do kabiny. Siadam, lecz po paru minutach jest mi tylko bardziej niedobrze. Wreszcie nachylam się nad sedesem i wymiotuję, dopóki w żołądku nic nie zostaje. Spuszczam wodę i znów siadam, opierając się o zimną metalową ścianę. Mam zamknięte oczy i myśli gęste od zamglonych obrazów.

Mokra piwnica niedaleko Polygon Wood w 1917, żadnego ognia, żołnierze zarzucają sobie na szyje mokre onuce, by je wysuszyć. Ciemnofioletowa tapeta w sypialni w Pikardii. Mireille leżąca w ciemności z otwartymi oczami, wsłuchana w moje kroki na korytarzu. Latarnia kołysząca się w smaganym śniegiem namiocie na Evereście. Dłonie w rękawiczkach, z trudem próbujące zapisać coś na kartce rozłożonej na kolanach. Ołówek wędrujący po papierze. Krwistoczerwony dom w Leksand, pudełko listów adresowanych do Anglii, nigdy niewysłanych. Czarne falujące wody Austurland, dwieście pięćdziesiąt mil stąd. Strzaskane okno na brzegu.

Ktoś dobija się do drzwi kabiny. Wstaję powoli, przecieram twarz papierem toaletowym i otwieram. Całą łazienkę wypełniają młodzi faceci. Jeden woła do mnie coś po islandzku, drugi klepie mnie w ramię, obu jednak ignoruję i wychodzę.

W barze jest teraz mnóstwo ludzi, powietrze stało się gorące i wilgotne. Spoglądam na zegarek: druga czternaście. Przespałem w toalecie dwie godziny. Wchodzę na piętro, zajmuję ostatnie wolne miejsce na kanapie koło jakiejś pary. Uśmiechają się do mnie i zabierają kurtki, żebym miał gdzie usiąść. Zapalam cygaretkę. Po chwili chłopak klepie mnie w ramię i pyta, najpierw po islandzku, potem po angielsku:

– Wszystko w porządku?

– Tak.

– Spałeś.

– Chyba za dużo wypilem.

– OK – mówi. – Jak my wszyscy.

Cygaretką jeszcze nie zgasła. Zaciągam się ponownie. Znów opadają mi powieki, siadam więc prosto i próbuję nie zasnąć. Rozmyślam o słowach Mireille, o tym, co stracę, jeśli będę kontynuował poszukiwania. Stracę nie tylko ją. Nie wyobrażam sobie bowiem powrotu do mojego dawnego życia w Kalifornii. Nowe życie jednak już mnie zmęczyło.

Mam dość podróży. Dość poszukiwań, pytań, na które nie potrafię odpowiedzieć. Mam

dosyć sprawiania Mireille i Prichardowi zawodu. Mam potąd chleba z serem i napełniania butelki wodą z kranu w publicznych toaletach. Mam dosyć odliczania obcych monet, wojny i martwych kochanków. I niezliczonych okrucieństw przeszłości, których nigdy nie da się naprawić, nawet gdyby tysiąc takich jak ja przez tysiąc lat latało po całej Europie.

Biorę kurtkę i wychodzę na mróz. Czeka mnie długi spacer powrotny do hostelu.



15 maja 1924

Klasztor Rongbuk, wysokość 16 700 stóp

Dolina Rongbuk, Tybet

Koszmarowa pogoda przegoniła ekspedycję z góry i wymusiła odwrót w dolinę Rongbuk. Wspinacze udali się do klasztoru po błogosławieństwo świętych mędrców. Przynieśli w darze złoty brokat i zegarek. Prawdziwy dar – worki z cementem niesione przez jaka – przybył już parę tygodni wcześniej.

Po drodze mijają wielką kamienną stupę. Pokrywająca ją złota farba łuszczy się na wietrze. Wędrowcy przechodzą szeregiem w milczeniu pod pajęczyną kręcących się młynków modlitewnych i zbliżają do niskich, bielonych sal klasztoru.

Wymęczeni mężczyźni, Brytyjczycy, Gurkhowie, Szerpowie, stają na otwartym podwórzu. Wspinacze, podoficerowie, tragarze, poganiacze jaków, kucharze oraz szewc – razem siedemdziesięciu. W zabrudzonych dłoniach każdy trzyma parę złotych monet, które przynieśli jako daninę. Rozdzielono je między nich godzinę wcześniej.

Mnich prowadzi Brytyjczyków i tłumacza po wąskich schodach. Naraz gdzieś rozbrzmiewa niski ton trąb. Dźwięk trwa nieprzerwanie. Gdy jeden trębacz przerywa, żeby zaczerpnąć oddechu, drugi podejmuje muzykę. Ćwieki butów wspinaczy ślizgają się na kamiennych stopniach. Rozbrzmiewają rytmiczne cymbały. W pierwszej chwili Brytyjczycy nic nie widzą w ciemności. Potem jednak kilka promieni światła zza okna pada na zniszczone schody.

– Niektóre z tych trąb wykonano z ludzkich kości udowych – informuje Noel. – Mają też bębny zrobione z czaszek i naciągniętej ludzkiej skóry.

Ashley przygląda się przez okno trębaczowi.

– Dla mnie to wygląda jak mosiądz – stwierdza ochrypłym szeptem.

Wchodzą do tłocznej jadalni oświetlonej tylko kilkoma lampkami maślanymi.

W ciemności da się dojrzeć szereg niewielkich naczyń na niskim stole. Brytyjczycy niezgrabnie siadają na poduszkach leżących na podłodze.

– Co to takiego? – pyta Mills. – Nic nie widzę.

– Makaron i zioła – odpowiada pułkownik. – Cóż by innego?

Brytyjczycy jedzą pokrytymi laką pałeczkami, mnisi dokładają do pustych miseczek.

Pułkownik spogląda na Ashleya i kręci głową.

– Półtorej miseczki – mówi. – Wpakujesz nas w kłopoty. Główny lama stroił i przygotowywał tu wszystko przez dwa dni.

– Ile pan zjadł?

– Trzy – mówi pułkownik. – Więcej nie zmieszczę.

Ashley odkłada pałeczki. Zdrętwiała mu prawa noga, z trudem zmienia więc pozycję.

– Jaki jest ten lama?

– Diabło imponujący gość – odpowiada Noel. – Ponoć jest reinkarnacją boga. Spędził trzynaście lat w jednej z tych pustelniczych cel w dolinie.

Mills ogląda pałeczki w nikłym świetle. Czerwona laka złuszczyła się na końcach, drewno pokryte jest wgłębieniami.

– Ślady po zębach – mamrocze Mills.

– Są pewnie starsze od ciebie – stwierdza Noel. Noel je już siódmą porcję, a z twarzy nie schodzi mu uśmiech.

Brytyjczycy gromadzą się w niewielkiej izbie. Niski sufit, zapach jałowca żarzącego się w urnie. Mnisi siedzą na ławach u stóp potężnych bóstw z brązu, dmą w trąby i biją w bębny. Dwóch trzyma naprężoną jedwabną tkaninę niczym szeroki parawan. Tłumacz nabożnym gestem klęka i bije czołem w podłogę. Anglicy stoją w milczeniu, międląc w dłoniach runda kapeluszy. Nikt się nie odzywa.

Mnisi powoli opuszczają parawan. Odsłaniają postać siedzącą w pozycji Buddy, odzianą w bogate jedwabne szaty. Postać patrzy prosto przed siebie. Trąby nie milkną. Lama ma złotą, piękną i pozbawioną wyrazu twarz. Jest świadom obecności Brytyjczyków, ale ich ignoruje. Wciąż panuje milczenie.

Parawan unosi się i postać kapłana znów zostaje zasłonięta. Monotonny pomruk trąb urywa się. Brytyjczycy patrzą na siebie, kłaniają się niezdarnie nie wiadomo komu. Potem wychodzą.

Teraz czas na wspólną ucztę. Tragarze piją *chang* i herbatę z masłem. Do tego oczywiście makaron. Brytyjczycy nienawidzą tutejszej herbaty i zjełczałego jaczego mleka, biorą jednak kolejne łyki, gdyż mnisi patrzą.

Ashley od dawna jest przemarznięty, ale się poci. W końcu rzuca jakąś wymówkę i opuszcza towarzystwo. Idzie labiryntem korytarzy i małych sal, aż w końcu wychodzi na zewnątrz, przed główną bramę, i staje w jasnym słońcu. O mur opiera się poganiacz mułów czuwający przy zwierzętach i machający batem z jaczego wełny. Wyciąga język na powitanie.

Ashley siada przy na wpół zwałonym murze. Żołądek podchodzi mu do gardła. Parę minut później z klasztoru wyłania się Somervell, idący radosnym krokiem. Ręce trzyma w kieszeniach, a szalik łopocze mu na wietrze.

– Coś ci zaszkodziło? – pyta.

Ashley patrzy na Somervella.

– Ta przekłeta herbata. Makaron zniosę, ale od smrodu masła robi mi się niedobrze. A wypilem całą filiżankę, Bóg raczy wiedzieć czemu...

– Lepiej od razu sobie ulżyj – radzi Somervell, kiwając głową.

Ashley rozwiązuje szalik, odchodzi parę kroków w stronę kupki zakurzonych kamieni. Zgina się wpół i po chwili herbata opuszcza jego żołądek. Potem Ashley wraca do swego siedzenia przy murze.

– Niech to diabli – wzdycha. – Nie masz może chusteczki? Moją ostatnią ktoś podwędził. Somervell podaje mu chusteczkę i Ashley przeciera usta.

– Powinniśmy byli przynieść im chusteczki w darze – stwierdza Ashley. – Bardziej użyteczne niż brokat.

Somervell kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Pozwól, że ci się przyjrzę. Twarz zupełnie ci spierzchła.

– Nie bardziej niż innym.

– Zalecenie lekarza, nie opieraj się.

Ashley niechętnie unosi twarz. Jego skóra jest popękana i złuszczone, gdzieniegdzie różowa, gdzieniegdzie czerwona, gdzieniegdzie zaś biała.

– Pokazywałaś się Hingstonowi?

– Nie.

– Niegrzeczny chłopiec. Jak się czujesz?

– Zdrów jak nigdy – odpowiada Ashley, pokaszując.

– Czym się smarujesz?

– Kremem lodowcowym. Ale wyparowuje na słońcu.
– Używaj sechehaye. Ma lepszy skład. Na noc też natłuszczasz skórę?
– Tak jest.
– No dobra. – Somervell wraca na swoje miejsce. – Tylko o tym nie zapominaj. I trzymaj się z dala od słońca, kiedy to możliwe.
Ashley owija szyję szalikiem. Somervell patrzy nań z ukosa.
– Twój głos brzmi coraz gorzej.
– Od początku nie było z nim najlepiej.
– Jak tam twój kaszel?
– Znośny.
– Odnoszę przeciwne wrażenie.
Ashley ponownie przeciera twarz i składa chusteczkę na czworo.
– Kaszlesz tak samo jak ja.
– Owszem, ale ty miałeś kłopoty już wcześniej. Jeśli mnie pamięć nie myli, zostałeś raniony w gardło.
– To była wojna – odpowiada Ashley. – Teraz spędzam wakacje w górach.
– Mogłeś odmrozić wyściółkę gardła. Jeśli wystąpi opuchlizna, udusisz się. Zgłoś się od razu do Hingstona, jeżeli kaszel się pogorszy. I do pułkownika. Zagrożasz nie tylko sobie.
Potem Somervell z namysłem gładzi brodę.
– Przeceniasz własne siły, Walsingham. Jesteś mocny, ale nie tak mocny. Oczywiście zrobisz, co zechcesz, ale nie możesz w nieskończoność brać na siebie cudzych zadań, by zaimponować pułkownikowi albo pokazać, że jesteś lepszy od Price’a. Pogoda w tym roku jest okropna i co najgorsze, zupełnie nieprzewidywalna. Na Evereście czasem trzeba po prostu zawrócić. Ty i Price jesteście znakomitymi partnerami, ale strach mnie bierze na myśl, co może wam przyjść do głowy...
– To bez znaczenia – przerywa mu Ashley. – Nawet jeśli pułkownik przydzieli mi miejsce w parze idącej na szczyt, nie da mi Price’a jako partnera.
– Dostaniesz miejsce. Sądzę, że pułkownik się do ciebie przekonał. Owszem, uważa cię za wariata. Wie jednak, że jesteś w znakomitej formie i że wręcz palisz się do tego zadania. Pierwszą próbę podejmie pewnie sam pułkownik, razem ze mną. Podejście z tlenem. Drugą parę stworzycie ty i Price, bez tlenu. My będziemy tymi sprawnymi, wy tymi, których nic nie powstrzyma.
Somervell kręci głową.
– Nie lubię takiej pogody – ciągnie. – Naprawdę mnie niepokoi. Powinniśmy byli się stąd wczoraj zabrać, ale wszyscy chcą uniknąć kolejnego niepowodzenia. Pułkownik martwi się, co powie prasa i co powie komitet. Ludzie w kraju oczekują naszego triumfu, chociaż nie mają pojęcia o tym miejscu. Price musi wejść na górę, by potem dawać na ten temat wykłady. I pokonać wreszcie Everest, nim ta góra pokona jego. Wszystkim więc potrzebny jest szczyt. Nie wiem jednak, czemu ty nadstawiasz karku. Rozumiesz, co mam na myśli?
– Jasne.
– Oczywiście, wypełnisz z nawiązką każdą misję – dodaje Somervell. – Radzę tylko, byś nie pozwolił Price’owi poprowadzić się za daleko. Everest nigdzie się nie wybiera, tkwi tu od milionów lat. Po prostu być może w tym roku jeszcze nie uda się go zdobyć. Może to w ogóle niewykonalne.
Ashley patrzy na Somervella. Podaje mu zabrudzoną chusteczkę.
– Chcesz ją z powrotem?
Somervell uśmiecha się.

– Mądrała. Zachowaj ją sobie.

Brytyjczycy siedzą na ławie i podziwiają wirujących tancerzy. Ashley z ponurą fascynacją wodzi wzrokiem za ich wielkimi uśmiechniętymi maskami. Nie rozumie nic z rytuału. Noel wszystko filmuje, Somervell zapisuje muzykę na papierze nutowym przywiezionym z Anglii. Występ się kończy. Ashley i Price pomagają upakować sprzęt filmowy do skrzyń. Noel kładzie im ręce na ramionach.

– Chcę wam coś pokazać, panowie.

Przyprawia tłumacza wyprawy i idą za starym lamą przez wietrzne korytarze. Nagle lama zatrzymuje się i wskazuje na mur. Noel klęka obok niego.

– To nowe, za poprzedniej wyprawy jeszcze tego nie było.

Lama przemawia do Brytyjczyków poważnym głosem. Ashley klęka przy malowidle. Widzi wielką piramidę Everestu i obłok śniegu wokół szczytu. Pod szczytem leży martwy człowiek, Europejczyk, przebity jakimś tajemniczym przedmiotem. Otaczają go demony, szczekające psy, lwy i dzicy ludzie. Ashley odwraca twarz w stronę tłumacza.

– Co on mówi?

Tłumacz trzyma w dłoniach zakurzony melonik. Tłumaczy pomału, ożywiona mowa lamy niemal zagłusza jego przyciszone słowa.

– Święty lama mówi, że przybyliście naruszyć spokój bogini góry. Ale góra was zniszczy.

Lama kontynuuje. Tłumacz spuszcza wzrok i wbija spojrzenie w kapelusze.

– Święty lama mówi, że góra jest bardzo silna. Poradzi sobie z każdym.

Ashley znów patrzy na malowidło. Lwy mają ten sam kolor co śnieg. Lama wskazuje gestem martwego Europejczyka i woła coś potężnym głosem.

– Dalej – nakazuje Ashley.

– Góra już wcześniej zmusiła was do odwrotu. Może uczynić to ponownie. Może też rozstać się i wszystkich pochłoniąć. Jesteście wobec niej bezsilni.

– Ostatnio mówili to samo – wtrąca Price.

Ashley patrzy na lamę. Kapłanowi wypadły prawie wszystkie zęby. Ma odsłonięte ramiona i skórę osmaloną dymem. Odpowiada Ashleyowi nieugiętym spojrzeniem.

– Święty lama chce pana o coś spytać. Czemu pan cierpi i czemu pozwala pan innym cierpieć w tej bezsensownej wyprawie?

Noel zwraca się do tłumacza:

– Powiedz mu, że to pielgrzymka. Przyszliśmy na najwyższą górę świata, by znaleźć się bliżej nieba. Tak blisko, jak tylko możemy być w tym życiu. – Prostuje się i uśmiecha. – Powiedz lamie, że poszczę i wyrzekam się jaczego masła, póki nie staniemy na szczycie. To moje postanowienie na czas tej wyprawy.

Tłumacz przekazuje to wszystko i zapada milczenie. Nagle lama kiwa głową i uśmiecha się, odsłaniając samotny ząb, po czym oddala się korytarzem. Noel i tłumacz idą za nim.

Price i Ashley zostają. Price klęka na zakurzonej podłodze. Zapala zapałkę o ścianę i przybliży płomień do namalowanego górskiego szczytu.

– Dziwne – mówi. – Obraz jest odwrócony.

Ashley kiwa głową i wstaje.

– Pułkownik pewnie już na nas czeka.

Price jednak dalej ogląda malowidło w świetle zapałki.

– Nie widzisz? Tu są stopnie na przełęczy. Ale są po niewłaściwej stronie.

– Masz rację. A teraz się zbierajmy.

Price gasi zapałkę i rzuca ją na ziemię. Razem z Ashleyem ruszają ciemnym korytarzem.

– To wcale nie jest bezsensowne – szepcze Price.

DROGA 1



Wstaję przed świtem, pakuję plecak tak cicho, jak się da. Jest wtorek. W czwartek spadek przypadnie. Nie mogę dłużej zostać w Reykjavíku. Wiem, że moje tropy – jubiler Ísleifur Sæmundsson urodzony w Seyðisfjörður, dziewiętnastoletnia Charlotte Derby na liście pasażerów parowca płynącego do Eskifjörður – wiodą donikąd. Oba miasta znajdują się jednak w Austurland. Wolę tam pojechać niż siedzieć z założonymi rękami.

Na górnym materacu pochrapuje młody Norweg. Starannie zawijam listy w moje zapasowe ubrania, wpycham do plecaka śpiwór, książki i przybory toaletowe. Na wierzch kładę plastikową siatkę z jedzeniem.

Długo czekam na przystanku autobusowym. Wreszcie zjawia się autobus. Siadam przy oknie. Jedni pasażerowie drzemią, inni czytają gazety. Jedziemy na północ przez przedmieścia, mijamy czerwone i żółte domy z dachami z blachy falistej. Chmury na wschodzie rozświetla wschodzące słońce.

Wyciągam z torby *Sagi islandzkie* i zaczynam czytać wstęp.

Świat przedstawiony w islandzkich sagach jest złożony i wielowarstwowy. Jeden podmiot działa czasem po stronie dobra, czasem zaś po stronie zła. Styl jest oszczędny i bezosobowy, nie wyjaśnia się, czemu dana rzecz się wydarzyła – po prostu wydarzyła się, i już. Nie kwestionuje się przeznaczenia. Osobowość postaci przedstawiana jest przez działanie, nie poddaje się jej natomiast analizie. Relacje zaś są złożone, kształtowane przez przyjaźń, więzy krwi, małżeństwa i bliskość przestrzenną.

Wskazać można wiele tematów charakterystycznych dla sag – ścierające się siły charakteru, honoru i szczęścia. Od wyników owych starć zależy zakończenie historii. Postacie muszą często stawiać czoła fantastycznym istotom dysponującym ogromną przewagą. Życie jest krótkie i niepewne. Wartość człowieka określa chwała, jaką zdobywa w walce. Wszelka skaza na honorze własnym lub rodziny musi zostać odpłacona – krwią lub pieniędzmi. Mężczyźni skłonni są do brutalnej przemocy, jeśli doznają zniewagi.

Ogromną rolę odgrywa też świat nadprzyrodzony. W fabułach często mamy do czynienia z elementami onirycznymi, szczególnie z proroczymi snami. Idea szczęścia przedstawiana jest w prosty sposób, na przykład w sadze o Njálu: człowiek rodzi się z określonym zasobem szczęścia. Gdy ów zasób się wyczerpie, bohatera czeka porażka.

W zasadzie wszyscy bohaterowie sag stają przed podobnym problemem: czy ich charakter okaże się na tyle silny, by pokonać trudności, czy też poddadzą się chciwości, dumie lub tchórzostwu.

Autobus zbliża się do końca trasy, większość pasażerów wysiada na ostatnich przystankach, aż wreszcie zostaję sam. Kierowca zerka na mnie w lusterku wstecznym. Pojazd skręca kilka razy i zatrzymuje się na parkingu. Wszystkie drzwi się otwierają.

Wychodzę w kierunku Drogi 1, głównej szosy okrążającej pierścieniem całą wyspę, biegnącej wzdłuż północnego wybrzeża w stronę Austurland, a potem na południe. Wyciągam mapkę turystyczną Reykjavíku i studiuję przedstawione na niej północne przedmieścia, pomagając sobie starym kompasem. Niestety, fragment szosy, na który chcę się dostać, został na mapce przesłonięty reklamą wycieczek po lodowcu Vatnajökull.

– To beznadziejne – szepczę.

Składam mapę i szukam szosy na czuja. Po godzinie błakania się trafiam wreszcie na

długą rampę. Staję w miejscu, gdzie pobocze jest szerokie i gdzie widać mnie będzie z daleka. Wyciągam kciuk. Myślę, jak nędznie teraz wyglądam: parka z demobilu, znoszone brązowe spodnie, ubłocone tenisówki, wielki plecak. Nigdy wcześniej nie podróżowałem stopem.

Samochody mijają mnie z prędkością czterdziestu mil na godzinę, za każdym razem uderza we mnie podmuch powietrza. Nie patrzę kierowcom w twarz. W końcu zatrzymuje się mijający mnie sedan. Zarzucam plecak na ramię i biegnę truchtem w jego kierunku.

Pierwszy kierowca, który mnie zabiera, jest wysoki i tyczkowaty, przystrzyżone włosy zaczynają mu lekko siwieć. Opowiada, że jest trubadurem, pieśniarzem śpiewającym tradycyjne islandzkie utwory ludowe. Na dowód wyśpiewuje nawet kilka taktów. Głęboki głos robi wrażenie.

– Teraz mi wierzysz?

– No jasne.

Trubadur zajmuje się naprawianiem czytników kart kredytowych przy dystrybutorach benzyny w całym kraju. Pochodzi z Vestmannaeyaru, archipelagu koło południowego wybrzeża.

Jedziemy przez zielone wzgórza. Droga kręci się i wspina. Na wyższych terenach miękkie świeży śnieg pokrywa już kurz i mech. Ruch jest niewielki.

– Pierwszy śnieg w tym roku – zauważa mój kierowca.

Dla zabicia czasu trubadur śpiewa kilka piosenek ludowych. Jego duże dłonie mocno trzymają kierownicę. Opowiada też ponurą historię o seryjnym mordercy, który zabijał autostopowiczów.

– Może to ty jesteś mordercą – kończy, puszcżając oko. – A może ja.

Stajemy przy stacji obsługi na skrzyżowaniu dwóch dróg. Trubadur jedzie w inną stronę niż ja. Wchodzimy do sklepu, kierowca chce mi kupić hot doga. Trzy razy odmawiam, nim wreszcie daje sobie spokój. Jego szczodrość mnie zawstydza. Zawstydza mnie też to, jak bardzo użalałem się nad sobą. Trubadur pyta kasjera o kawałek papieru i zapisuje swój numer telefonu. Podaje mi go, klepiąc mnie po plecach.

– Powinieneś bez trudu złapać tu kolejną podwózkę. W razie jakichś kłopotów dzwoń.

Miasto Akureyri leży na północnym wybrzeżu Islandii, w połowie drogi z Reykjavíku do Austurland. Docieram tam po zmroku, młoda kobieta podwozi mnie swoim kombi. Po drodze patrzę, jak przyćmione światła miasta odbijają się w ciemnej wodzie, nad którą biegnie droga. Kobieta zostawia mnie przed hostelem. Wolałbym jechać dalej, ale w nocy pewnie nikt nie bierze autostopowiczów.

Akureyri liczy sobie sześć tysięcy mieszkańców, a wydaje się nawet mniejsze. Brodaty recepcjonista kręci pokrętłem starego telewizora. Podaję mu paszport i proszę o nocleg.

– Przyjechałeś tu autobusem?

– Nie, stopem.

Unosi brwi i podaje mi klucz.

– Jesteś jedynym gościem.

Pytam, czy mogę zamówić rozmowę na koszt abonenta. Recepcjonista podaje mi stary telefon z tarczą. Odrywa wzrok od telewizora, gdy zamawiam połączenie z Anglią. Sekretarka w kancelarii Twyning & Hooper od razu rozpoznaje mój głos i łączy mnie z Prichardem.

– A, toż to nieuchwytny pan Campbell – mówi Prichard. – Mieliliśmy twardy orzech do zgryzienia. Nawet Geoffrey nie potrafi wyjaśnić, co robi pan na Islandii.

– Ona tu była. Wiem na pewno, że tu była.

– Zechce pan wybaczyć – Prichard wzdycha – ale wcale pan tego nie wie. Brosza niczego nie dowodzi. Czy znalazł pan cokolwiek innego?

– Nic, co można by uznać za mocny dowód...

– Panie Campbell, zostały panu tylko dwa dni. Nie sądzę, by ta brosza lub cokolwiek związanego z Islandią mogło doprowadzić pana do dowodu na pańskie pokrewieństwo z Imogen Soames-Andersson.

– To element tej samej układanki. Poza tym nie mam innych tropów.

– Oczywiście, oczywiście. Ale nie ułoży pan owych puzzli do czwartku. Mając to na względzie, poczyniliśmy pewne kroki. Jak pan pamięta, nie wolno mi ujawniać szczegółów dotyczących powiernictwa. Mogę jednak pana poinformować, że nasze podejście do dowodów niezbędnych do przekazania spadku jest, jak by to rzec, dość elastyczne. Słowem, niewykluczone, że informacje, które pan dotąd pozyskał, okażą się wystarczające.

– Myślałem, że nic z tego nie nadaje się do wykorzystania.

– W sądzie, z pewnością. Ale spadkiem Walsinghama zarządza powiernictwo. Testament nie gra roli. Jest to tak zwane powiernictwo niejawne. Testamenty są publiczne, natomiast niejawne powiernictwa były dość częstą praktyką w czasach pana Walsinghama. Jeśli ktoś chciał zostawić pieniądze kochance lub nieślubnemu dziecku, ustanawiał powiernika, który następnie przekazywał spadek na podstawie tajnego porozumienia, czy to ustnego, czy spisanego. W tym przypadku pan Walsingham ustanowił powiernikiem Twyninga, a majątek miał być rozdzielony wedle tajnej umowy. To właśnie ten dokument wymienia pannę Soames-Andersson: jej nazwisko, rzecz jasna, nie mogło pojawić się w testamencie. Stąd właśnie określenie „niejawne powiernictwo”. Wiadomo, że powiernictwo istnieje, ale nikt nie wie, jakie jest jego przeznaczenie.

– Nie rozumiem.

– To bardzo proste. Dowody oceniane będą przez powierników, nie przez sąd cywilny.

Rozmawiałem z innymi powiernikami...

– Kim oni są? Jakim cudem nadal żyją?

– Obawiam się, że nie mogę ujawnić ich tożsamości. Musi panu wystarczyć, że w dokumencie ustanawiającym powiernictwo dopuszczona została możliwość wyboru następców pierwszych powierników. W każdym razie jeśli wróci pan jutro do Londynu, powiernicy przeanalizują zebrane przez pana dowody i na ich podstawie podejmą decyzję.

– Pana zdaniem te dowody nie były dostatecznie dobre. A teraz niby są?

– Mówię tylko – poprawia mnie Prichard – że w grę wchodzi pewne ustępstwa.

– Dlaczego więc nie mówiliście tego od początku? – pytam podniesionym głosem. – Cały czas powtarzał pan, że wszystko robię nie tak. Ale to pan kazał mi podążać śladem listu Eleanor. I list Eleanor zaprowadził mnie tutaj. Od dwóch miesięcy słyszę, że jestem na niewłaściwej ścieżce, aż tu nagle...

– Panie Campbell – przerywa mi Prichard. – Powiedziałem panu tyle, ile mogłem. Nigdy też nie utrzymywałem, że istnieją jakiegokolwiek ściśle kryteria oceny jakości dowodów. Zachęcałem jedynie, by szukał pan takich dowodów, które powiernicy uznają za przekonujące. To, w mojej opinii, się panu nie udało. Fakt, że powiernicy skłonni są rozpatrzyć pańskie roszczenie, wiąże się raczej z terminem niż z pańskimi ustaleniami. Nikt nie chce ot, tak po prostu oddać majątku, dopóki istnieje możliwość przekazania go potencjalnemu spadkobiercy. Informuję więc pana o nad wyraz łaskawej propozycji powierników i sądzę, że winien pan okazać wdzięczność.

Prichard bierze wdech i odzywa się łagodniejszym głosem.

– Istotniejsze jest jednak to, co powiem teraz. Musi pan wrócić do Londynu. Możemy zorganizować panu podróż i umówić na jutro spotkanie. Nie obiecuję niczego, jeśli chodzi o jego rezultat. Zapewniam jednak, że jeśli w czwartek wciąż będzie pan na Islandii, spadek przepadnie, a pan nie dostanie nawet jednego pensa.

Zapada długa cisza. Recepcjonista nadal bawi się telewizorem. Przeciagam dłonią po twarzy i mówię niemal niedosłyszalnym szeptem:

– Nie obchodzi mnie to.

– Przepraszam?

– Nie obchodzą mnie pieniądze.

– Nie obchodzą pana pieniądze – powtarza powoli Prichard. – Czy jest pan tego pewny?

Czy może pan sobie wyobrazić, jak będzie pan oceniał swą decyzję za dziesięć lat? Za czterdzieści lat? Osobiście nie wiem, czy jest pan dostatecznie dojrzały, by dokonywać tego rodzaju wyborów. Nie chcę uderzać w protekcyjny ton, panie Campbell, ale ma pan dopiero dwadzieścia trzy lata i chce pan odrzucić...

– Jakie to ma dla pana znaczenie, kto dostanie pieniądze? Jest pan tylko prawnikiem.

– Zapewne to rzeczywiście bez znaczenia. Nie chodzi jednak o pieniądze. Proszę przyjrzeć się faktom.

Prichard wypuszcza szybko powietrze. Mówi coraz głośniej.

– Fakt numer jeden. Ashley Walsingham umarł samotnie na Mount Evereście w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Fakt numer dwa. Pan Walsingham pozostawił niemal całą fortunę pannie Soames-Andersson, kobiecie, której nie widział od siedmiu lat. Fakt numer trzy. Panna Soames-Andersson nigdy nie zgłosiła się po spadek. Fakt numer cztery. Pańska babka ani matka nigdy nie zgłosiły się po spadek. Fakt numer pięć. Nasza kancelaria dowiedziała się o istnieniu listu łączącego pana z panną Soames-Andersson niecałe trzy miesiące przed wygaśnięciem osiemdziesięcioletniego powiernictwa. Co to wszystko panu mówi?

– Nic. To szaleństwo.

– Myli się pan, panie Campbell. Czy sądzi pan, że nie dostrzegam, jak nieprawdopodobnie to wszystko brzmi? Oczywiście, że dostrzegam. Ja, Geoffrey, każdy, kto miał związek ze sprawą Walsinghama. I właśnie dlatego ma ona tak wielkie znaczenie. Może na starość postradałem rozum, wiem jednak, co wynika z tych faktów.

– Nic. To tylko chaos.

– Bynajmniej – zaprzecza Prichard. – Wszystkie znaki wskazują na pana. Im więcej się dowiaduję, tym bardziej jestem pewien. Przesadą byłoby może stwierdzenie, że Ashley Walsingham zginął dla tych pieniędzy albo że one stanowiły przyczynę jego rozłąki z panną Soames-Andersson lub nieszczęść pańskiej babki czy matki. Wszyscy oni jednak zaznali cierpienie, pan zaś jako jedyny ma szansę coś zyskać. Może sentymalny ze mnie i stary głupiec, lecz nie zniósłbym myśli, że pan wszystko to odrzucił tylko po to, by na krańcach Europy potwierdzać swe szalone hipotezy. To po prostu nie fair wobec pana. I nie fair wobec pańskich przodków.

Kręcę głową, nawijając kabel telefoniczny na palce.

– Nie mogę zawrócić. Jestem już tak blisko...

– Może jest pan blisko – mówi Prichard. – Ale wątpię, by znalazł pan to, czego szuka.

Milczymy. Wreszcie Prichard oznajmia, że Khan spodziewa się kontaktu ze mną najpóźniej jutro rano. Oddaję recepcjoniście telefon.

– Jak daleko stąd do Austurland?

– Do Austurland? Po co chcesz tam jechać?

– Żeby popływać.

Recepcjonista nie uśmiecha się.

– Dwieście sześćdziesiąt kilometrów do Egilsstaðir.

Zapada noc, gdy przyrządzam kolację w hostelowej kuchence. Gotuję spaghetti.

Dwukrotnie owinąłem szyję szalikiem. Jem samotnie, wyglądając przez okno w ciemność.

Czy Prichard wie wszystko? Nawet to, czego jeszcze nie odkryłem? Czy wszystko to zaplanował? Nie wiem, kto inny miałby środki, by stworzyć podobną mistyfikację. Z drugiej strony – czemu Prichard miałby to robić? A jeśli spisek istnieje, kto jeszcze w nim uczestniczy? Mireille? Desmarais? Karin? Wszyscy, których poznałem w Europie? Czy Ashley i Imogen w ogóle istnieli? Wszak fakt, że znalazłem listy, jest wręcz nieprawdopodobny. A może przeszłość tylko czeka na kogoś, kto naprawdę pragnie ją odkryć?

Muszę podjąć decyzję. W Akureyri znajduje się niewielkie lotnisko. Jeśli kancelaria pokryje koszty podróży, mógłbym dolecieć do Reykjavíku, a stamtąd do Londynu. Albo podróżować dalej na wschód i w ciągu kilku godzin dotrzeć do Austurland. Nawet jeśli znajdę tam kolejne dowody, będzie już zbyt późno, by wrócić do Londynu przed wygaśnięciem powiernictwa.

Biorę kurtkę i aparat fotograficzny i idę do centrum miasteczka. Wszystkie sklepy i zakłady są już zamknięte. Przypomina mi się Pikardia. Tam również nic nie było otwarte, ale Mireille opowiadała, jak poszczególne sklepy i kawiarnie wyglądają w środku. Powiedziałem wówczas, że miasta Pikardii wydają się zimne i samotne, a Mireille wrzuciła papierosa do rynsztoka.

„Po to tu przyjechałeś. Nie dla świateł Boulevard Saint-Germain. Chciałeś właśnie tego”.

„Naprawdę?”

„Każdy może pokochać Paryż. Ale to miejsce jest tylko dla ciebie i dla mnie”.

Jestem w centrum Akureyri, stoję na środku pustej ulicy. W mżącym deszczu dobiega mnie echo dalekiej muzyki. Podążam za hałasem, aż docieram do małego baru z zaparowanymi oknami. Robię kilka zdjęć, nie wchodzę jednak do środka. Wracając do hostelu, znów widzę zorzę polarną, turkusowe światło kołyszące się jak satynowa opaska na wietrze.

W pokoju panuje ziąb – kaloryfer został zakręcony. Wystarczy przekręcić zawór, a za dziesięć minut będzie ciepło. Ale nie robię tego. Zapinam się w śpiworze i włączam lampkę nocną, po czym zaczynam lekturę jednego z listów Imogen. Za oknem widzę delikatne światło gwiazd.



6 czerwca 1924

Obóz VI, wysokość 26 800 stóp

Mount Everest, Tybet

Noc nie miała początku ani końca. Światło zniknęło wiele dni wcześniej. Dwaj wspinacze nie wychodzą na zewnątrz, by oglądać ostatnie promienie zachodzącego słońca. Leżą zwinięci w małym namiocie w obozie VI, na kamieniach starannie ułożonych w wysoką na sześć stóp platformę na stromym zboczu. Wiele kosztowało rozbicie obozu tutaj, tak blisko szczytu. Dwa dni wcześniej pułkownik i Somervell próbowali dojść na wierzchołek z tlenem. Zabrakło im tysiąca stóp. Jutro rano wyruszą Ashley i Price, tym razem bez tlenu.

Price wmusza w siebie kolację składającą się z marmolady pomarańczowej i skondensowanego mleka podgrzanych w rondlu. W rogu namiotu leżą nieotwarte puszki z mięsem, wspinacze nie są jednak w stanie jeść niczego prócz słodczy. Price spierzchniętymi ustami siorbie gęstą miksturę. Podaje rondel Ashleyowi.

– Musisz coś zjeść – mówi poświstującym głosem.

Ashley patrzy na rondel i kręci głową.

Zapalają prymus, by ugotować herbatę, ale punkt wrzenia jest tu zbyt niski. Po godzinie napar jest co najwyżej letni i złocisty. Piją, nim jednak kończą, resztkę herbaty zamarza im w kubkach.

Niewiele mówią. Leżą zwinięci w podwójnych śpiworach i masują dłonie i stopy, licząc, że dopłynię tam choć trochę krwi i wróci czucie. Pora spać.

Podłoże, na którym stoi namiot, jest pochyle i nierówne. Price leży niżej, pod zaśnieżonym płótnem. Czasem Ashley stacza się we śnie na Price'a. Obaj są zbyt wyczerpani, by się irytować. Price trąca Ashleya łokciem w plecy. Ashley jęczy i powoli czołga się na poprzednie miejsce. Cały cykl powtarza się z ponurą regularnością.

Płótno wzdyma się wśród wizgającego wiatru. Po chwili względnego spokoju wiatr wzmacza się bardziej niż poprzednio. Panuje ogłuszający hałas, całe niebo zdaje się wrzeszczeć. Coś uderza o namiot. W półdelirycznym śnie Ashley myśli, że to jakieś stworzenie dobija się do środka. Price nachyla się do niego i krzyczy:

– To lód! Lód z jakiegoś nawisu!

Wichura znów się wzmacza. Każdy podmuch jest gorszy, śnieg przedostaje się przez cienkie łopoczące płótno. Ashley próbuje zagłębić się w śpiworze, ale jego kołnierz zaparował i zamarzł. Chwilami wiatr nieco się uspokaja, lecz natychmiast znów przybiera na sile, jak gdyby przygotowywał się na potworny finał.

Coś trzeszczy i nagle namiot się zapada. Odciąg się urwał. Price rzuca się na oblodzone płótno, by namiot nie odleciał. Ashley w ciemności próbuje wymacać kurtkę. Musi wyjść na zewnątrz i umocować odciąg. Płótno namiotu spada mu na twarz, kiedy szuka rękawa swej gabardynowej kurtki, sztywnej i obsypanej śniegiem. Włożenie kurtki i spodni zajmuje mu parę minut, Price w tym czasie przytrzymuje namiot. Ashley myśli, że namiot może się osunąć z boczem, ale umysł ma przytłumiony i perspektywa ta wydaje się zaskakująco obojętna.

Po omacku ociosuje lód z butów i wsuwa w nie stopy. Z przerażeniem bierze oddech. Buty są zamarznięte na kość. Zawija sznurowadła, potem z mozołem rozwiązuje swymi wykrzywionymi białymi palcami wejście do namiotu. Do środka wpada wir śniegu. Ashley

wychodzi w zamieć.

Góra wyje. Krzyczący wiatr uderza Ashleya. Nie daje się ustać na nogach, więc Ashley na czworakach czołga się po lodzie. Znajduje urwany odciąg. Linka była zakotwiczona między dwoma potężnymi kamieniami, z których każdy waży po kilkaset funtów. Kamienie jednak się przesunęły. Ashley niezdarnie naciąga linę i okręca ją wokół innych głazów. Przytupuje. Jego palce są kompletnie zdrętwiałe. Dwukrotnie linka wypada mu z rąk i musi ją wymacać. Ma wrażenie, że palce u stóp wtopiły się w blok lodu. Proste zadanie przeciąga się w powolną agonię.

Wreszcie Ashley może wrócić do namiotu. Powrót zajmuje kilka minut, Price bowiem zawiązał wejście, by śnieg nie dostał się do środka. Ashley zwala się na swój śpiwór, z trudem chwytając oddech. Zimne powietrze kłuje go w płuca.

– Właż do śpiwora! – woła Price. – Zamarzniesz.

Price potrząsa Ashleym i próbuje nakryć go śpiworem, ale Ashley się nie rusza. Dopiero po dziesięciu minutach Price'owi udaje się go opatulić.

– Jak twoje ręce?

– W ogóle bez czucia.

Price masuje przez jakiś czas dłonie Ashleya, próbując przywrócić w nich krążenie. Ashley wciąż ma odrętwiałe palce. Price klepie je desperacko, a Ashley krzywi się z bólu i zagryza wargi. Wie, że dłonie Price'a są pewnie w nie lepszym stanie, ale woli o to nie pytać.

Mija godzina, nim wreszcie obaj leżą w śpiworach. Ashley wie, że tej nocy się nie ogrzeją. A rano muszą iść jeszcze dalej. Nie wie, czy śpi. Noc upływa mu w napadach delirium i przerażającej trzeźwości umysłu. Tylko cykliczne ataki kaszlu są z pewnością realne. Jest mu tak zimno, że zagłębia twarz w mokrej flanelowej wyściółce śpiwora, w rozrzedzonym powietrzu jest jednak za mało tlenu i Ashley zaczyna się dusić. Obraca się na bok i patrzy na płótno namiotu.

Wojna skończyła się cztery miesiące temu. Ashley spędził w Londynie trzy dni. Oddał mundur krawcowi na szmaty i kupił trzy nowe garnitury, jeden z tweedu i dwa z flaneli. Lata noszenia sztywnego munduru sprawiają, że materiał garnituru zdaje się niewyobrażalnie miękki. W ponure niedzielne popołudnie bez zaproszenia udaje się taksówką na Cavendish Square i puka do drzwi. Zapowiada się pokojówce. Po chwili w wejściu staje ojciec.

– Podobno znał pan moją córkę?

– Owszem, znałem.

– Pańskie nazwisko?

– Walsingham. Ashley Walsingham.

– Przykro mi, nigdy o panu nie słyszałem.

Ashley wyjmuje z kieszeni tekturowe folio. Otwiera i pokazuje portret.

– Skąd pan to ma?

– Od niej. Proszę spojrzeć na napis z tyłu.

– W porządku.

Ojciec omiata spojrzeniem inne domy przy placu, po czym znów przenosi wzrok na Ashleya.

– Rozumie pan, że rozłąka z naszą córką jest dostatecznie bolesna i bez obcych ludzi zjawiających się u naszych drzwi. Nie twierdzę, że spodziewa się pan jakichkolwiek korzyści, niemniej nic nie mogę dla pana zrobić.

Ojciec zamyka mu drzwi przed nosem. Ashley uderza kołatką, ale znów zjawia się pokojówka. Kłóci się z nią bez sensu przez kilka minut, aż dziewczyna zatrzaskuje drzwi. Kołacze dalej, zastanawiając się, czy zdołałby wyważyć drzwi, gdyby wziął odpowiedni rozbieg.

Stoi jeszcze minutę na ganku i kipi gniewem. Wkłada zdjęcie z powrotem do kieszeni i odchodzi.

W następnym tygodniu dostaje krótki list od Eleanor, która proponuje spotkanie w Lyon's Corner House przy Coventry Street. Ashley idzie wcześniej do fryzjera, by się ogolić. Spodziewa się, że siostra Imogen chce go ostrzec czy odstraszyć. Gdy jednak wchodzi do przestronnej jadalni, Eleanor wstaje, machając, i Ashley od razu wie, że się omylił. Eleanor zmusza się do powitalnego uśmiechu. Wygląda, jakby za chwilę miała wybuchnąć łzami. Siadają.

– Zamówiłam herbatę – mówi Eleanor nieprzytomnym głosem. – Nie jest pan chyba głodny, panie Walsingham? Jeśli chce pan coś zjeść, w karcie jest sporo dań...

– Herbata w zupełności wystarczy.

– Nigdy wcześniej nie byłam w tym lokalu. Zdaje się nie najgorszy.

– Zdecydowanie nie najgorszy.

Zapada milczenie. Ashley przygląda się Eleanor i myśli, jak bardzo jest piękna. Ma oczy swej siostry. Zjawia się imbryk z herbatą, Ashley rozlewa ją do filiżanek. Sam nie pije.

– Bardzo się cieszę, że wyszedł pan cało z wojny – mówi Eleanor. – Często o panu myślałam. Oczywiście Imogen nie mówiła o niczym innym...

– Ona żyje, prawda?

– Tak.

– Ale nie w Anglii.

– Nie.

– Gdzie ona jest?

Eleanor składa ręce na kolanach i odwraca twarz.

– Nie mogę powiedzieć.

– W takim razie po co to spotkanie?

– Byłam akurat w domu, gdy się pan zjawił. Usłyszałam pańską rozmowę z papą. Nie mogłam tego znieść. Zaslugiwał pan na więcej. Jestem o tym przekonana.

– Czy powie mi pani, gdzie ona jest?

– Decyzja nie należy do mnie, lecz do niej. Gdyby chciała, sama zdradziłaby panu tę informację.

– W takim razie to ona, a nie ojciec pań, podjęła decyzję o wyjeździe?

– Nie potrafię powiedzieć. – Eleanor wzdycha. – W każdym razie ona postanowiła, że już tu nie wróci.

– Skąd ta cała tajemnica?

Eleanor bierze łyk herbaty.

– Przypuszczam, że Imogen pragnęła zacząć wszystko od nowa. Nie chciała, by pan jej szukał. Ale nie chodziło tylko o pana. Wie pan, że Imogen nie potrafi postępować w sposób konwencjonalny. Papa wielokrotnie próbował ją namówić, by wróciła. Ale marzyło się jej nowe życie, my zaś musieliśmy to zaakceptować. Nie wszystko mogę panu powiedzieć...

– Przecież już się pani zdradziła.

Eleanor kręci głową i patrzy w filiżankę.

– To ciągnie się zbyt długo. Nie robię nic niewłaściwego, mówiąc panu, że Imogen żyje. Wszak już pan to wiedział. Pewne jest też, że nigdy nie wróci do Anglii. Jest uparta. Pan również. Serce mi się łamało, gdy dobijał się pan do drzwi. Wiedziałam, że jeśli się z panem nie spotkam, będzie pan wracał latami...

– Tak długo, póki jej nie zobaczę.

– Nie wolno panu – błaga Eleanor. – Może uda się ją panu znaleźć. Ale co wtedy? Byłby się pan jej tylko narzucał. Imogen chce być samotna. Wiem, że to okrutne, lecz pan musi pozwolić jej odejść.

Eleanor uśmiecha się odrobinę.

– To bardzo osobliwe. Imogen mówiła, że pan zawsze jest skory do żartów. W tej chwili wydaje mi się pan jednak najbardziej poważnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Oboje popijają herbatę, Eleanor dolewa więcej. Waha się, prostuje serwetkę na kolanach.

– Może nie powinnam była przychodzić, skoro nie mam panu nic ważnego do powiedzenia. Cały tydzień myślałam, jakie to niezwykle, że wciąż żywi pan do Imogen uczucia, choć minęło tyle czasu, a znaliście się tak krótko. Dzisiejszego ranka pomyślałam, że może w tym właśnie tkwi sedno. W naszej rodzinie było bowiem podobnie. W młodości sądziłam, że rodzice kochają Imogen bardziej niż mnie, bo ją tak trudno było kochać. Nigdy nie mieli jej w pełni dla siebie... – Eleanor wzdycha. – Proszę wybaczyć. Może lepiej, bym już poszła. Żałuję, że nie mam panu nic lepszego do powiedzenia, ale tak to już jest. Pan to zrozumie, panie Walsingham. I zrozumie pan, że nie może jej więcej zobaczyć.

Eleanor wstaje, Ashley również podnosi się z krzesła. Nachyla się ku niej i pyta szeptem:

– Co z dzieckiem?

– Przepraszam?

Ashley nachyla się jej do ucha. Jego słowa brzmią wyraźnie pośród pobrzękiwania filiżanek.

– Była przy nadziei, ale straciła dziecko. Tak mi napisała.

Eleanor trzęsie głową, czerwieniąc się.

– Nic mi nie wiadomo...

– Co się stało? Była pani przy niej?

– Nie. Nigdy nie zdradziła, że jest w ciąży. Może się myliła...

– Brednie. Przyjechała do Francji, by mi to powiedzieć.

Eleanor nerwowo rozgląda się po sali.

– Nic nie wiem. Kompletnie postradała zmysły, gdy przyszła wiadomość o pańskiej śmierci. Wyjazd do Francji był szaleństwem. Potem jej już nie widziałam. Przepraszam, naprawdę muszę już iść...

– Proszę zostać.

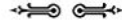
Ashley gestem dłoni wskazuje, by Eleanor usiadła. Eleanor kręci głową. Patrzy ze współczuciem na Ashleya.

– Nie potrzebuje pan tego słyszeć, ale i tak powiem. Oboje byliście dziećmi, pan i ona. Nie rozumie pan? Imogen była zaledwie dzieckiem. Teraz jest kobietą. Pewnie by jej pan nie poznał. Oczywiście, mojej siostrze bardzo na panu zależało. Zawsze tak będzie. Ale to, co się wydarzyło, należy już do pańskiej przeszłości i jej przeszłości. Nigdy pan tego nie odnajdzie, nieważne, jak wytrwale będzie pan szukał.

– Nie poddam się...

– Już się pan poddał – odpowiada Eleanor. – Tylko jeszcze nie zdaje pan sobie z tego sprawy.

UCZONY



Trzy podwózki i dostaję się z Akureyri do Austurland. Nieznanymi samochodami podróżuję pośród wulkanicznych jezior i słupów zastygłej lawy wznoszących się znad ciemnej wody. Czekam godzinę na zwirowej drodze, na skraju zamglonej pustyni o czarnym piasku.

Ostatni kierowca to długowłosy chłopak, który zarabia na życie jako kelner. Z tyłu, w dziecięcym foteliku, siedzi mała dziewczynka. Szosa wije się przez torfowe, porośnięte mchem wzgórza. Dwa razy musimy się zatrzymać, bo dziecku robi się niedobrze od zakrętów. W końcu wjeżdżamy w dolinę, gdzie szosa krzyżuje się z mniejszą drogą biegnącą na wschód.

– Jadę na południe – mówi chłopak. – Idź w stronę morza. Kawałek dalej jest mały hotel. Mogę cię tam wysadzić...

– Tu będzie w porządku. Łatwiej złapać stopa na skrzyżowaniu.

Kierowca patrzy na mnie z troską.

– Pamiętaj – powtarza – jakby co, hotel jest tuż za rogiem.

Czekam na skraju drogi biegnącej na wschód, od czasu do czasu kopnę kamień, by zabić nudę. Znowu zaczyna padać, zrywa się wiatr. Drepczę poboczem, żeby się rozgrzać, tam i z powrotem, po krótkim odcinku asfaltu. Mam na sobie wszystkie moje ubrania, warstwa na warstwie, wedle starannie przeciwionizacyjnego systemu. Trzy T-shirty, dwie koszule z kołnierzykiem i lekka kurtka; dwie pary lekkich spodni, dwie pary zwykłych skarpetek i para wełnianych, parka, szalik i wełniana czapka.

Deszcz przechodzi w grad. Odwracam się tyłem do wiatru, a drobiny lodu uderzają rytmicznie w moją kurtkę jak naboje ze śrutówki. Patrzę na zegarek. Osiemdziesiąt minut i ani jednego samochodu. Grad przybiera na sile. Prócz cienkiej warstwy asfaltu nie widać tu ani śladu cywilizacji.

Jutro stracę majątek. Próbowalem o tym nie myśleć, lecz taki fakt trudno zignorować. Kopię czarny kamień. Może wszystko przepadło, jeszcze zanim wyruszyłem z Kalifornii? Może od początku było pewne, że skończę na tej bezsensownej szosie, dygocząc z zimna. Może Ashley też był skazany na klęskę – klęskę w miłości, klęskę we wspinaczce. Nieważne, co zrobił – zakończenie musiało być, jakie było. Samotny człowiek w śnieżycy na najwyższej górze świata. Każdemu przydzielony jest pewien zasób szczęścia. Gdy zasób się wyczerpie – już po tobie.

Znowu odwracam się w stronę drogi. Przede mną zatrzymuje się srebrny sedan. Kierowca opuszcza szybę. Ma okulary w drucianej oprawce, chyba niewiele brakuje mu do czterdziestki. Miękkim głosem odzywa się po islandzku, potem po angielsku.

– Co pan tu robi?

Wsiadam do samochodu. Ruszamy, a kierowca przekręca do oporu pokrętko ogrzewania.

– Teraz ciepło?

– Tak, dzięki.

Lód na moich ramionach topi się i spływa po kurtce. Kierowca kręci głową.

– Niezła pora na łapanie stopa. Myślałem, że jest pan duchem. Niemiec?

– Niemiecka kurtka. Ja jestem z Kalifornii.

– Słoneczna Kalifornia – mruczy kierowca. – Po co pan stamtąd wyjeżdżał?

– Pewnie powinienem był zostać.

– No, ja bym został.

Kierowca przestawia nawiew w moją stronę.

– Grad przyszedł wcześniej w tym roku. Ma pan pecha.

– Wiem.

Okazuje się, że kierowca jest bibliotekarzem na uniwersytecie w Akureyri. Dorastał w Austurland, teraz jedzie do domu rodziców w Seyðisfjörður. Gawędzimy o książkach. Wspominam, że czytam właśnie sagę o Njálu. Wydaje się zadowolony, opowiadam więc nieco o moich badaniach.

– Ísleifur – powtarza. – Nigdy o nim nie słyszałem. Nie znam się jednak na biżuterii. Rzucą na mnie okiem.

– Jednego nie rozumiem. Czemu ta Angielka tu przyjechała?

– W tym problem. Nie ma żadnego powodu.

Bibliotekarz się uśmiecha.

– Jest jeden powód, by przybyć na Islandię.

– Jaki?

– Islandia leży z dala od reszty świata.

Bibliotekarz wrzuca niższy bieg. Mały silnik warczy, gdy podjeżdżamy stromym wzniesieniem. Wzgórza, tłumaczy bibliotekarz, były zamieszkane od stuleci, ale po dawnych osadach pozostało niewiele śladów, jedynie parę kamieni wśród trawy. Rozmawiamy o niezliczonych historiach, które ludzkość zapisała lub utraciła, i o historii, którą ja staram się poznać. Bibliotekarz mówi, że na jedną zachowaną historię przypada tysiąc zapomnianych i zabranych do grobu.

– Proszę sobie tylko wyobrazić, że ci pańscy Anglicy nie prowadzili korespondencji. Skąd by pan wiedział, że w ogóle istnieli?

Jedziemy przez wzgórze, czarne i zielone przełęcz pokryte płachtami świeżego śniegu. Bibliotekarz mówi, że kiedy był dzieckiem, pewna stara kobieta poszła szukać tu zbłąkanej owcy i zgubiła się. Zdarzyło się to jesienią, kiedy wszystko zasnęła gęsta mgła. Stara kobieta była jednak dobrym piechurzem.

Po zmroku zapuściła się głębiej w góry, ale poślizgnęła się i złamała nogę. Nie mogła iść. Noce były długie i ciemne. Padał lodowaty deszcz.

– Przeżyła?

Bibliotekarz kiwa głową.

– Miała na sobie tradycyjny strój. Gruba wełna. Nawet na deszczu cię ogrzeje.

Ratownicy dopiero po dwóch dniach znaleźli starą kobietę. Gdy do niej dotarli, mówiła nie o zbłąkanych owcach, lecz o jakichś dziwnych snach, o tajemnicy skrywanej pośród wzgórz i przełęcz. Coś o tym, że przywiodła ją tam obietnica tajemnicy, jak w legendach o Nykuru – rzeczonym koniu, który kusi ludzi, by wsiedli na jego grzbiet, po czym unosi ich w jezioro, gdzie toną.

– Stara kobieta – mówię. – Mieszkała tu, gdy był pan młody?

Bibliotekarz wzrusza ramionami.

– Chodziłem wtedy do podstawówki. Musiało to być w siedemdziesiątym ósmym, może siedemdziesiątym siódmym. Ale nie była Angielką, jeśli o to ci chodzi. Była Szwedką, przyjechała tu przed wojną.

– Może pan zmniejszyć ogrzewanie?

Bibliotekarz przekręca pokrętło z czerwonego na niebieskie. Pytam, czy stara kobieta nadal żyje. Nie jest pewien – wkrótce po wypadku sprzedała farmę i się przeprowadziła. Powtarza, że była Szwedką i mówiła po islandzku ze szwedzkim akcentem. Jej mąż umarł dawno temu. Mieszkała tu z opiekunką, również Szwedką.

– Mogę na chwilę otworzyć okno?

– Jasne.

Opuszczam szybę do połowy. Czuję zimny wiatr na twarzy. Jesteśmy akurat na szczycie wzniesienia i widzę w dali ocean, jego ciemną, szklistą wodę między wąskimi palcami fiordu. Mijamy zakręt i ocean znika.

Bibliotekarz spogląda na mnie.

– Niedobrze panu? Mam się zatrzymać?

– Wszystko w porządku, po prostu potrzebowałem powietrza. Proszę posłuchać, spotkał pan kiedyś tę kobietę?

– Kilka razy. Niewiele osób mieszka w tej okolicy. Ale na pewno nie była Angielką. Na sto procent.

– Był pan w jej domu?

– Raz. Wszedłem tylko za próg.

Bibliotekarz tłumaczy, że jego ojciec kolekcjonował książki. Kiedyś, na wyprzedaży, kupił cały osobisty księgozbiór, zawierający obcojęzyczne książki, między innymi po francusku. Wiedział, że stara kobieta czyta po francusku, kazał więc synowi zanieść jej wybrane tomy.

Przeszywa mnie dreszcz. Niebo zapada się.

– Może pan się na moment zatrzymać?

Kierowca kiwa głową i wciska hamulec, stając na środku szosy. Włącza światła awaryjne, choć przez całą drogę nie minął nas ani jeden samochód. Miga trójkątna lampka na desce rozdzielczej. Wsiadam, robię parę kroków, ale potykam się o wystający kawałek lawy i upadam. Kaleczę się w dłoń. Wstaję i patrzę na strużkę jasnej krwi, spływającej mi po przegubie.

Bibliotekarz podchodzi i pyta ostrożnie:

– Wszystko w porządku?

– Tak. Po prostu potrzebuję trochę powietrza.

Próbuję się uspokoić, biorę powolne, głębokie oddechy. Patrzę w chmury, starając się ustalić położenie Słońca i Ziemi. Odwracam się do bibliotekarza.

– Jak ona wyglądała?

– Kto?

– Stara kobieta. Jak wyglądała?

– Nie bardzo pamiętam. Siwe włosy. Niebieskie oczy.

– Wzięła książki?

Bibliotekarz kręci głową. Zdejmuje okulary i przeciera szkła chusteczką.

– Większość odesłała z powrotem. Byłem strasznie zły. Sporo ważyły, a musiałem je odnieść.

– Co zachowała?

– To było dawno temu – mówi bibliotekarz, wzruszając ramionami.

Wkłada okulary i patrzy na mnie. W jego spojrzeniu ciekawość miesza się z troską.

– Po prostu lekko mnie zemdliło – rzucam. – Ale już w porządku.

Wracamy do samochodu. Odchylam oparcie siedzenia. Bibliotekarz wkłada kluczyk do stacyjki. Odzywa się sygnał niezapiętych pasów. Bibliotekarz mruży oczy.

– Chyba zatrzymała Baudelaire’a. Albo Rimbauda.

Włącza silnik i ruszamy w stronę morza. Opieram głowę na zagłówku i zamykam oczy.

– Poezję – mówi bibliotekarz.



7 czerwca 1924

Obóz VI, wysokość 26 800 stóp

Mount Everest, Tybet

Wspinacze zamierzają ruszyć przed świtem, ale gdy przychodzi co do czego, nawet się nie podnoszą z legowiska. Wyjście z namiotu oznaczałoby śmierć. Czekają, aż na płótno padną żółte promienie słońca. Zamarznięta para wodna topi się, krople kapią im na twarze. Wiatr w zasadzie ustał.

Price siada w śpiworze.

– Spałeś?

– Miałem sny – charcze Ashley. – Ale nie spałem.

Price przeciąga dłonią po mokrym płótnie namiotu.

– Pogoda najwyraźniej się poprawiła. Może jednak spróbujemy.

Ashley nie odpowiada.

Po nocnej agonii poruszają się powoli. Ubranie się i zagotowanie wody na gorącą kawę do termosu zajmuje im godzinę. Ashley czuje w ustach posmak kredy, którego nie usunie żadna ilość roztopionego śniegu ani herbaty. Każdy kawałek jego ciała jest przemarznięty.

Wychodzą z namiotu. Price zarzuca zwój liny na jedno ramię, na drugie zaś małą torbę z kieszonkowym aparatem Kodaka. Prowadzi zboczem, po skalnym rumowisku, posuwając się ku oświetlonej słońcem skalnej kieszeni, widocznej w dali. Złote światło zdaje się mirażem. W górze widnieje szczyt.

Ashley nie radzi sobie z kamieniami, po których idzie. Gogle ograniczają mu widok w dół. Potyka się na skalnym występie, ale udaje mu się powstrzymać upadek dzięki czekanowi. Price zdejmuje gogle i mocuje je na kapeluszu. Śniegu jest tu niewiele.

Strome zbocze mają już na wyciągnięcie ręki. Ashley przystaje i zgina się wpół, dostaje bowiem ataku kaszlu. Price czeka, oddychając ciężko. Macha, żeby szli naprzód. Ashley jednak spogląda za siebie, jakby na kogoś czekał.

– Coś nie tak?

Ashley kręci głową. Przez moment zdawało mu się, że idzie z nimi trzeci wspinacz. Posuwa się naprzód krótkimi krokami, po dwudziestu musi się zatrzymać. Kolejne dwanaście kroków. Nachyla się i oddycha jak w malignie. Trzydzieście kroków. Chwyta rzadkie powietrze, trzęsąc się z zimna. Obok słyszy świszczący oddech Price'a.

Docierają do połaci mocno zbitego śniegu, przypominającego błękitny trawnik. Price znów zakłada gogle i bierze czekan, starając się wyrąbać oparcie dla stopy. Po paru uderzeniach przerywa i ciężko sapie. Robi krok i wybija kolejny schodek. Trwa to okrutnie długo.

– Zaczynam widzieć podwójnie! – woła. – Nie powinienem był zdejmować gogli.

Myśli Ashleya są proste i powolne. Idzie za Price'em przez ubity śnieg, przygląda się głazom leżącym na ich drodze, zastanawiając się, którądy biegnie najkrótsza ścieżka dokoła. Pociesza go mglista obecność trzeciego wspinacza. Wspinacz znika, gdy uważniej mu się przyjrzeć, ale potem powraca. Podczas przestojów Ashley patrzy nieobecny wzrokiem w dal, na niskie szczyty wystające z chmur niczym góry lodowe na odległym morzu.

Docierają do żółtego piaskowca, otaczającego wyższą partię góry. Wzmaga się wiatr. Trawersują ścianę pod północno-wschodnim zboczem góry, pomału, w stronę ostatniej piramidy.

Price zwalnia, czołga się. Z każdym krokiem muszą zaczerpywać powietrza. Trzymają się kurczowo czekanów, próbują się opierać na zgiętych kolanach. Ashleyowi wszystko to zdaje się bardzo nierzeczywiste, jak gdyby był zaledwie obserwatorem swej wspinaczki.

Price przystaje i wbija czekan w ścianę. Macha dłonią przed swą twarzą i sapie, wycieńczony.

– To koniec – mówi. – Idzie zmiana pogody. Ja dostałem ślepoty śnieżnej.

Wiatr zagłusza jego słowa.

– Co?

– To koniec!

Ashley energicznie potrząsa głową. Krzyczy ochryple do ucha Price'a.

– Może się uda! Ja mam jeszcze sporo sił!

Price szerokim gestem wskazuje wirujący śnieg.

– To burza!

– Pójdę jeszcze kawałek.

Price chwytą ramię Ashleya. Przez moment patrzą sobie w oczy. Ashley w swych goglach z zielonymi szklami i skórzanej czapce, Price w swym kapeluszu, z oblodzoną brodą. Ashley spogląda na szczyt, wyłaniający się i znikający za chmurą wzburzonej bieli.

– Tysiąc stóp w górę! – krzyczy Price. – Wiele godzin drogi!

– Bez ciebie pójdę szybciej!

– To niemożliwe!

– Idę!

Price puszcza ramię Ashleya. Patrzy nań przez moment. Potem odwraca się i zaczyna powoli schodzić.

Ashley idzie natomiast w górę po stromej skale. Wiatr wpada w furię. Ashley trawersuje ścianę ostrych kamieni. Leżą one na drugich jak dachówki, przykrywa je śnieg. Raptem Ashley osuwa się, jego stopa szuka zaczepienia w śnieżnym puchu. Przytrzymuje się czekanem, ciężko dyszy.

Rusza dalej, trzymając czekan w wyciągniętej ręce i wbijając go dla równowagi w skalne szczeliny. Wie, że ćwieki butów dają słabe oparcie. Nie wiadomo, co znajduje się pod śniegiem. Kopie więc, by strząsnąć śnieżny pył okrywający skały. Patrzy w dół. Zbocze ciągnie się aż do lodowca Rongbuk, dziesięć tysięcy stóp niżej.

Mocny podmuch wichru uderza go i niemal przewraca. Zbocze robi się coraz bardziej strome. Ashley wychodzi na ogromny kuluar pokryty miękkim śniegiem. Zapada się po kolana. Wiatr unosi gęste białe płatki. Widoczność jest bardzo ograniczona.

Ashley wyciąga z kieszeni wysokościomierz. Igła ledwo mija dwadzieścia osiem tysięcy stóp. Ashley spogląda w stronę szczytu, ale widzi tylko wirujące niebo gęste od śniegu. Burza przybiera na sile.

Wyczerpany i obojętny Ashley odwraca się. Zaczyna pomału cofać się tą samą ścieżką. Jego ślady szybko nikną w śniegu.

Przesłonięte goglami oczy płoną z zimna. Ashley zaczyna wierzyć, że naprawdę mogą zamarznąć i popękać. Przez jakiś czas schodził w śnieżycy, nie wie, jak daleko zaszedł. Na czworakach trawersuje rumowisko.

Cholerny monsun, myśli. Przyszedł wcześniej, żeby mnie dorwać.

Z każdym podmuchaem wiatr przedostaje się przez ubranie i zadaje mu nowy ból, jak gdyby Ashley zanurzał się w zimnej wodzie. Nos i usta ma zamrożone od pary. Z twarzy zwisają mu małe sople. Każdy oddech kaleczy gardło i płuca. Ciało domaga się jednak tlenu. Ashley zgubił gdzieś czekan. Gogle zaparowały mu i pokryły się lodem. Kiedy w końcu je

ściąga, odlatują porwane przez wiatr.

Zatrzymuje się, by rozeznaczyć się w swym położeniu. Wydaje mu się, że minął obóz VI, nie ma jednak pewności. Widzi co najwyżej na dwa jardy przed sobą. Nagle przypomina sobie o wysokościomierzu. Trzymając rękawicę w zębach, wyciąga wysokościomierz. Lodowaty metalowy dysk parzy go w spierzchnięte palce. W śnieżycy trudno odczytać wskazanie. Wiatr uderza, rzucając Ashleya na rumowisko. Odrętwiała ręka gubi wysokościomierz. Ashley ostrożnie wkłada rękawiczkę.

Trzeci wspinacz był wcześniej przed nim, teraz jednak wraca z pomocą. Idzie powolnym, lecz równym tempem. Jest coraz wyraźniej widoczną plamką wśród bieli. Niesie termos z gorącą herbatą z obozu V, latarnię i flary. Zna drogę powrotną do namiotów. Ashley zatrzymuje się i zapada w śnieg, patrząc na przybliżającą się postać trzeciego wspinacza. Może wspinacz gwizdże i woła, ale nie słyhać go pośród wiatru.

Ashley mruga parę razy. Lód zakleja mu powieki, przeciera więc oczy. Wie, że nie ma trzeciego wspinacza. Macha ręką przed twarzą, patrzy przez dłuższą chwilę w bok, by odzyskać ostrość widzenia. Śnieg smaga go jak biczem. Ashley robi jeszcze parę kroków, dysząc ciężko. Musi się zatrzymać, ale tylko na krótką chwilę. Opiera się o zbocze. Postać wciąż się zbliża. Zatrzymuje się na chwilę, po czym posuwa się dalej w górę.

Gdy nadejdzie, napoi Ashleya gorącą herbatą. Sprowadzi Ashleya do obozu III mimo zmęczenia. Tam dadzą Ashleyowi zupy i położą go pod trzema śpiworami. Potem zabiorą go do bazy i zanurzą obumarłe palce w ciepłej wodzie. Nazwą go dzielnym i wytrwałym, choć zawiódł. Opuszczą górę i zejdą do zielonej krainy, pełnej górskich kwiatów, niezwykłych motyli i rododendronowych lasów. W Kalimpongu pierwsze golenie i gorąca kąpiel. Podróż parowcem do domu. Wreszcie Anglia, zieleniejsza niż pamiętał.

Potem Ashley napisze: Spotkaj się ze mną na dworcu. Pójdziemy do Regent's Park. Będę miał wciąż oparzenia słoneczne i kaszel, ale wybierzemy się do Regent's Park, żeby pospacerować po francuskich ogrodach. Usiądziemy nad wodą i opowiesz mi, co robiłaś przez te wszystkie lata. A ja zrozumieję, czemu nie zginąłem pod Redutą Cesarzowej ani na tej górze, ani przez Ciebie. I będę mógł żyć w zielonej Anglii i nie marzyć o niczym prócz tego, co mam.

Ashley przeciera śnieg z twarzy. Nie może wstać. Nie czuje już zimna, ale wszechogarniającą słabość. Postać majaczy w dali, sto jardów w dół śnieżnym zboczem. Jedyne widoczny kształt wśród bieli. Macha do Ashleya, zbliża się z każdą chwilą. Zaraz tu będzie.

Ashley nie może się zmusić, by ruszyć dalej. Z szalonego pragnienia nabiera do ust garść śniegu. Śnieg ma jednak piaskowy posmak, Ashley krztusi się i wszystko wypłuwa. Zaczyna jęczeć i przeklinać. Doskonale zdaje sobie sprawę, co się z nim dzieje. Nic już nie może zrobić. Cholernie się zmarnowałem, myśli. Durne, pieprzone marnotrawstwo. Patrzy na swą prawą dłoń. Zgubił gdzieś rękawice. Jego zęby niedługo pewnie zamarnieją i przestaną szczekać.

Ashley zaczyna kuśtykać w dół zbocza, wspierając się o górę. Dłonią żłobi ślad w śniegu. Nie pokonasz mnie, myśli. Rób, co chcesz, ale mnie nie pokonasz.

KLUCZ



Bibliotekarz jedzie przez wzgórze. Droga wiję się w dół, morze ukazuje się i znika. Mój oddech zwolnił, czuję się spokojniejszy. Pytam, czy stara kobieta została pochowana gdzieś w okolicy. Bibliotekarz wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. W wiosce jest mały cmentarz. To po drodze, jeśli pan chce, możemy się zatrzymać.

Włącza radio. Skręcamy w ubitą drogę. Pytam, czy mogę wysłać SMS z jego komórki.

– Do Francji – dodaję – ale zwrócę panu pieniądze. To strasznie ważne, inaczej bym nie prosił...

– Żaden problem.

Podaje mi telefon. Przełączam język na angielski i piszę szybką wiadomość do Mireille. Zbliżamy się do farmy na wzgórzu. Nagle bibliotekarz zwalnia i wjeżdża na błotniste podwórze.

– Spytaam o starą kobietę – mówi. – Tutaj wszyscy wszystkich znają.

Dostrzega nas gospodarz w pomarańczowych farmerkach. Wychodzi nam na spotkanie. Bibliotekarz wysiada z auta. Patrę przez przednią szybę, jak rozmawiają. Farmer ściąga bejsbolówkę i przeciera czoło grzbietem dłoni. Zerka na mnie przez moment, potem znów spogląda na bibliotekarza.

Nagle telefon bibliotekarza zaczyna wibrować, a ekran rozświetla się na zielono. Biorę go do ręki i patrę na numer. Zaczyna się od 33. Odbieram. Połączenie jest nie najlepsze, głos Mireille co chwila się urywa.

– Dlaczego nie pisałeś? Tak się martwiłam.

– Jestem pośrodku pustkowiea. Ledwo cię słyszę.

– Nadal jesteś na Islandii?

– Tak, ale coś znalazłem...

Mireille wzdycha.

– Posłuchaj, Tristanie. Wiem, że nie powinnam była mówić wielu rzeczy, które mówiłam. Że kierowałam się niewłaściwymi pobudkami, prosząc, byś wrócił. Popeliłam błędy...

Jej głos słabnie. Tracę połączenie. Krzyczę, ale Mireille chyba mnie nie słyszy. Nagle znów odzywa się jej głos:

– To spotkanie w barze, pobyt w domu mojego dziadka, znalezienie listów. Powinnam była przyznać przed samą sobą, że mi na tobie zależy, nawet gdyby miało się to okazać pomyłką. Teraz jednak błędzisz, pozostając z dala ode mnie. Pragnę cię, Tristanie, ale i ty musisz mnie pragnąć.

– Pragnę!

– Więc wracaj dzisiaj. Nieważne, ile wydasz pieniędzy. Tutaj nie będziesz już niczego potrzebował.

– Dzisiaj nie zdążę. Jestem za daleko od lotniska.

– W takim razie jutro. Wyjdę po ciebie.

Jej głos znów niknie. Mówię głośno do telefonu.

– Coś przerywa. Ale wrócę, gdy tylko będę mógł!

– *Demain* – nalega Mireille. – Błagam, Tristanie, znajdź jakiś sposób! Będę czekać.

Mówi coś, czego nie rozumiem. Potem słyszę pisk i połączenie urywa się na dobre. Próbuję oddzwonić, ale włącza się jakiś automatyczny komunikat po islandzku. Odkładam

telefon na miejsce i przecieram twarz dłońmi. Farmer tymczasem coś wskazuje i macha rękami, najwyraźniej tłumacząc bibliotekarzowi, jak ma jechać. Wreszcie bibliotekarz macha w podzięcie i wraca do samochodu.

– Nie wiem, czy mówiliśmy o tej samej kobiecie. Jego zdaniem ona nazywa się Östberg, to może być szwedzkie nazwisko.

Uśmiecha się i przechyla lekko głowę. Wydaje się rozbawiony. Uruchamia silnik i zawraca na trzy. Ruszamy drogą. Żwir uderza o podwozie.

– Powiedział, że stara kobieta nadal żyje.

– Co takiego?

– Mówi, że mieszka dziesięć kilometrów stąd, przy następnym fiordzie na północy.

Prostuję plecy i niemal krzyczę.

– Niemożliwe! Musiała umrzeć dziesiątki lat temu!

– Może i tak. Ale nazwisko Östberg brzmi znajomo.

Potrząsam głową i znów czuję mdłości.

– Na pewno nie. Skoro trzydzieści lat temu była po siedemdziesiątce, teraz musiałaby mieć ponad setkę. To nie ma sensu...

Bibliotekarz wzrusza ramionami.

– Farmer mówił, że jest bardzo stara. W każdym razie to niedaleko, możemy przekonać się na własne oczy.

– Na pewno chodzi o kogoś innego.

Bibliotekarz skręca w mniejszą dróżkę i redukuje bieg. Jedziemy w kamienistej koleinie wyżłobionej przez traktory. Posuwamy się powoli, zawieszenie skrzypi. Drżą mi ręce.

– Niech pan się nie martwi – pociesza mnie bibliotekarz. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Droga wije się przez doliny i gwałtownie opada ku morzu. Opuszczam nieco okno, patrząc na białe fale.

Nie potrafię skupić się na żadnej myśli. Wyobrażam sobie szalone siły, które zawarły spiszek, by stworzyć całą tę iluzję, wszystkie dziwaczne wątki, które doprowadziły mnie tu, na ubitą islandzką drogę. Niemożliwe. Wymagałoby to zgromadzenia całych konstelacji, zebrania niezliczonych gwiazd w jednym kubku i wyrzucenia pary szóstek milion razy z rzędu.

A jednak się stało. Widziałem już dowód, trzymałem go w dłoni. Powtarzało się to raz za razem. Spotkanie dwóch dusz zależy przecież od tej samej arytmetyki. Może tylko ja tego nie pojmowałem. Mireille ostrzegęła, że nie będzie żadnego zakończenia. Jeśli jednak je znajdę, czy możliwe, że uniesie się zasłona, że wejdem na wyższy poziom i ujrzę coś nieskończenie prostego, idealny projekt całości?

Samochód zjeżdża stromo w dół. Wąski przejazd wiedzie między ciemnymi wzgórzami. W dole widnieje czarna plaża i białe fale obmywające nabrzeże. Bibliotekarz wskazuje fiord.

– Tam.

Dom stoi nad wodą, kołyszące się fale odbijają się w oknach. Widzę kremową plastikową elewację, zadbane kwietnik, drewnianą ławkę. Po klifach za domem spływa mały wodospad, wpadający do strumienia biegnącego za posiadłością. Wzgórza w oddali zasłane są mgłą.

Auto z szarpnięciem staje na gładkim zwirowanym podejździe. Drzwi domu się otwierają. Ktoś zobaczył, że nadjeżdżamy.

Na ganku staje starsza kobieta. Ręce trzyma w kieszeniach fartucha. Nie uśmiecha się, nie pozdrawia nas. Bibliotekarz zwraca się ku mnie.

– Chce pan bym z panem poszedł?

– Mogę potrzebować tłumacza.

Wysiadamy z samochodu. Bibliotekarz przedstawia się kobiecie. Rozmowa jest krótka i przerywana. Kobieta wchodzi do domu, zostawiając otwarte drzwi.

– To opiekunka – mówi bibliotekarz. – Prosi, byśmy weszli.

W idealnie wysprzątanym salonie jest niewiele mebli. Wieszamy płaszcze i siadamy za stołem. Bibliotekarz przez jakiś czas rozmawia z opiekunką. Dłonie trzyma niezgrabnie na kolanach. Nagle opiekunka odzywa się do mnie po angielsku. Nie potrafię rozpoznać jej akcentu.

– Przepraszam – mówi – wydawało mi się, że pan zna islandzki. Napije się pan kawy?

Idzie do kuchni, wraca z dwoma kubkami kawy i talerzem czerstwych ciastek. Przelykam kwaśny napój, zębami trzonowymi rozgryzam ciastka. Bibliotekarz i opiekunka nadal rozmawiają. W końcu kobieta zwraca się do mnie.

– Jak rozumiem, chce się pan zobaczyć z panią Östberg. W tej chwili odpoczywa. Czy mógłby pan wrócić w innym terminie?

Tłumaczę, że to niemożliwe. Nie mieszkam w tym kraju, nie mam gdzie się zatrzymać. Potem wyjaśniam, że szukam Imogen Soames-Andersson. Opiekunka patrzy na mnie. Nie potrafię wyczytać z jej twarzy, czy kiedykolwiek wcześniej słyszała to nazwisko.

– Nie znam nikogo takiego – mówi – ale może pani Östberg będzie umiała pomóc. Spróbuję ją obudzić. Szkoda, gdyby pan z nią nie porozmawiał, skoro przybył pan z tak daleka. Rzadko przyjmujemy tu gości.

Zostawia nas i wychodzi do korytarza. Bibliotekarz nachyla się i patrzy na mnie lśnięcymi oczyma.

– Nie powinien pan tam iść. Nawet jeśli to naprawdę ona, nigdy nie dostanie pan pieniędzy. Zbierajmy się stąd.

W tym momencie opiekunka wraca do salonu.

– Pani Östberg nie śpi. Może pan z nią porozmawiać, wolałaby jednak, aby udał się pan do jej sypialni.

Wstaję, rzucam spojrzenie bibliotekarzowi, on jednak tylko kręci lekko głową. Ma dziwny wyraz twarzy.

– Jej angielszczyzna jest bardzo dobra – dodaje opiekunka – nie będzie panu więc potrzebny tłumacz. Ostatnie drzwi na końcu korytarza.

Dziękuję i robię krok. Kobieta zatrzymuje mnie gestem dłoni.

– Zapomniałam panu powiedzieć. Zamek w drzwiach jest zepsuty. Będzie panu potrzebny klucz, by otworzyć drzwi od zewnątrz.

Wręcza mi żelazny klucz wyjęty z kieszeni fartucha. To stary klucz mechaniczny, niemal tak szeroki jak moja dłoń. Do kółka przywiązana jest wstążka.

Idę ciemnym korytarzem. Drewniane deski podłogi są gładkie i wyślizgane. Mijam zamknięte drzwi, aż docieram do końca. Klucz ciąży mi w dłoni.

Przez chwilę się waham. Nagle spostrzegam plamkę światła na koszuli, mały żółty promyk. Ruszam ręką, a światło zatrzymuje się na moim nadgarstku. Dociera przez dziurkę od klucza. Wkładam klucz i przekręcam. Zamek ustępuje z łatwością. Ni mniej, ni więcej, myślę.

A potem wchodzę do środka.



23 czerwca 1924

Schöneberg, Berlin

Wpatruje się w cień tramwaju przemykający chodnikiem. Stal postukuje, gdy pojazd przetacza się przez skrzyżowanie. Potem tramwaj staje. Kobieta patrzy na białą tabliczkę z cyfrą 8.

Przyspiesza, biegnie truchtem, przytrzymując kapelusz. Pod pachą niesie skórzane portfolio. Zawieszony na ramieniu aparat obija się jej o plecy. Konduktor patrzy, jak kobieta wsiada do tramwaju, opiera portfolio o drewnianą ławkę, wyciąga portfel i z lekkim wahaniem wyjmuję z niego monetę.

– *Führt dieser Straßenbahn nach der Auguste-Viktoria-Platz?*

Konduktor myśli, że kobieta musi być Francuzką – poznaje to po akcencie i dziwnym stroju. Nie przepada za Francuzami, odpowiada jednak, że istotnie tramwaj zatrzymuje się przy Auguste-Viktoria-Platz, i informuje o wysokości opłaty za przejazd. Przywykł do tego, bo ledwie rok wcześniej, za czasów starej waluty, opłata sięgnęła stu pięćdziesięciu tysięcy marek.

Kobieta płaci i trzymając się poręczy, przechodzi na tył pojazdu. Jakiś starszy pan wstaje i uchyla kapelusza, odstępując jej swe miejsce.

– *Bitte nehmen Sie Platz.*

Kobieta uśmiecha się i mówi, że woli postać. Starszy pan nie dowierza, ale wkłada z powrotem kapelusz i siada. Kobieta odwraca się i opiera o poręcz, patrząc na małą dziewczynkę siedzącą naprzeciw. Dziewczynka ma białą sukienkę z zaokrąglonym kołnierzem, przepasaną długą niebieską wstążką. W ramionach trzyma porcelanową lalkę, z której twarzy zupełnie już złuszczyła się farba. Kobieta próbuje odgadnąć wiek dziecka, w końcu jednak się poddaje.

Marszczy czoło i wygląda przez okno, przypatrując się twarzom przechodniów. Myśli o teutońskiej urodzie. Czy to tylko kwestia poważnych min? Niemcy pozostają dla niej zagadką. Niegdyś uznawała ich za osobny gatunek, za ludzi o jakiejś anatomicznej odmienności. Inna budowa układu nerwowego czy może nieznaną gruczoł pozwala im z łatwością rozwiązywać problemy tego świata, pokonywać wszelkie przeszkody, które stają im na drodze, radzić sobie nawet z obecnymi trudnościami. Zawsze podziwiała, że są w tym tak różni od niej. Ale czy rzeczywiście? Może Niemcy to zupełnie zwyczajni ludzie, może tylko wyobraziła sobie, że ich twarze różnią się od twarzy, które spotyka się w Kopenhadze czy Rotterdamie. Jej oczy biegną za mężczyzną idącym żwawym krokiem. Niemiec? Da się to poznać wyłącznie na podstawie sylwetki? Jest coś znajomego w jego okrągłych ramionach, w przechylonym, lekko odkształconym filcowym kapeluszu, w dziwnie sztywnym sposobie poruszania się. Może to Anton? Nie, oczywiście, że nie. Wedle najnowszych wieści Anton wyjechał do Brazylii.

Niespokojna opuszcza wzrok, patrząc na nogawki młodego człowieka i lśniące czarne buty konduktora. Wyobraża sobie, jak tramwaj mija postać na chodniku, widzi znajomą sylwetkę coraz bliżej, bliżej niż od lat, ale teraz już oddalającą się. Czuje żal, niemal wstyd. Nic nie budzi w niej takiej nienawiści jak kruchość relacji między ludźmi. A zwłaszcza kruchość miłości. Zawsze to czuła. Będąc dziewczyną, nigdy nie rozumiała takich, co miesiącami i latami ciągną romans, by rozstać się w goryczy, a potem mijać się na ulicy i udawać obcych. To tylko kaprys. Miłość jest czymś innym.

Później jednak sama tego doświadczała. Tonęła w ich objęciach, słuchała, jak obiecują wszystko, co mogli obiecać, przeszłość i przyszłość. A później stawali się niczym, zaledwie

obcymi, z którymi nigdy już nie zamieni nawet słowa. Niewiele pozostawało po takich związkach, tylko blaknące wspomnienia potwierdzone skrawkami dowodów, odkrywanych lata później: wizytówka, która spadła za komodę, para nigdy nienoszonych kolczyków w wyściełanym jedwabiem pudełku. Wciąż była młoda, ale ledwo pamiętała młodość. Zostały jedynie obrazy, które straciły ostrość, gdyż za często odtwarzała je w wyobraźni. Anton nigdy nie był jej kochankiem, lecz wspomnienie Antona budziło ten sam dyskomfort i nieuchronne zażenowanie, jak podczas spotkania dwojga niegdyś bliskich sobie ludzi.

Oprócz wspomnień nic nie zostało. Jej życie toczyło się teraz w mieszkaniu z wynajętymi meblami. Nawet zdjęcia na ścianach przedstawiały portrety obcych junkierskich rodzin i pejzaże Sächsische Schweiz, gdzie nigdy nie była. Nie miała nawet walizki z pamiątkami, z którą podróżowałaby po świecie. Tego jednak chciała. Wybrała takie życie.

Zawsze powtarzała sobie, że byłoby gorzej, gdyby nie zerwała z nim całkowicie. Miłość przerodziłaby się w trywialną znajomość. Lata mijałyby, listy przychodziłyby rzadziej i stawałyby się bardziej powierzchowne. Czasem jednak ogarniały ją straszne wątpliwości. Budziła się z niezwykle wyraźnych snów, w których gwiazdni kochankowie zapewniali, że wszelkie trudności zostały pokonane, przeszkody usunięte i mogą wreszcie być razem i nigdy się nie rozstawać. Sny zdawały się tak doskonałe, że prawdziwym koszmarem była jawa. W takie poranki w swej sypialni pojmowała, jak potwornie błahę jest jej życie. Ogarniało ją przemożne pragnienie, by odszukać senne widmo, pobiec na pocztę i wysłać telegram, wsiąść w pierwszy pociąg, pierwszy samolot lub na pierwszy statek, który mógłby ją przywieść do niego. Powinna go odnaleźć.

Ostatecznie jednak nigdy tego nie robiła. Nie bez powodu żyli z dala od siebie. Upływ czasu nic tu nie zmienił. Poza tym nie można zapominać o kapryśkach uczuć. Między nimi stanęli już inni ludzie. I inni ludzie stanęliby w przyszłości, gdyby ich miłość osłabła. Mogła przynajmniej napisać parę słów, dać mu do zrozumienia, że o nim myśli. Ale na miłość jedyną stosowną odpowiedzią jest miłość. Gdy ta zgaśnie, pozostają już tylko rzeczy trywialne i tragiczne. Lepiej w ogóle nie pisać i zapamiętać jedynie najwspanialsze chwile – to krótkie interludium, skąpane w złotym świetle. Z mozołem wypierała więc sny, spędzała dni w mętym smutku, czekając na drobne, lecz pewne przyjemności, które znów obudzą w niej zapał do obecnego życia – póki sen nie powróci.

Konduktor dotyka ramienia pasażerki. Kobieta podnosi wzrok i widzi wysoką wieżę Gedächtniskirche. Tramwaj dotarł do Auguste-Viktoria-Platz. Kobieta chwyta portfolio i przeciska się między pasażerami.

Idzie w stronę kawiarni na wschodniej pierzei, manewrując między pieszymi, samochodami i rowerami. Ubrudzony chłopak sprzedający sznurówki zatrzymuje ją na chodniku i zaczyna prezentować swój towar. Sznurówki – czarne i brązowe, płaskie i okrągłe – lśnią od wosku.

– *Nur zehn Pfennig* – przekonuje chłopak.

Kobieta kręci głową, ale mały handlarz jest uparty. W końcu kobieta wybiera parę sznurówek. Ma przy sobie tylko monetę o wartości pięćdziesięciu fenigów. Chłopak twierdzi, że nie znajdzie reszty. Ostatecznie kobieta bierze pięć par sznurówek i pyta, czy może w zamian zrobić mu zdjęcie. Zdejmuje aparat z ramienia. Chłopak pyta, jaką ma przybrać pozę. Kobieta z uśmiechem odpowiada, żeby w ogóle nie pozował.

Wyciąga skórzany miśzek aparatu i przekręca małe pokrętło, by przesunąć błonę. Ocenia dystans i ustawia ostrość na dwa metry. Sprawdza prędkość migawki i przesłonę, przyglądając się słońcu. Mnóstwo światła. Unosi aparat na wysokość bioder i przyglądając się poziomicy otwiera migawkę. W małym wizjerze ukazuje się odwrócony do góry nogami obraz chłopca

trzymającego sznurówki. Kobieta naciska spust migawki.

Uśmiecha się, dziękuje chłopcu i chowa aparat, po czym rusza w stronę ogródka kawiarni. Pod rozłożystą markizą wciąż utrzymuje się poranny chłód. Kelnerzy polewają kafelki wodą z długich węży, rozstawiają gięte krzesła i okrągłe marmurowe stoliki. Kobieta wchodzi do środka przez obrotowe drzwi. Kelner wita ją i od razu prowadzi do stolika pod wyłożoną lustrami ścianą, przy którym siedzi samotny mężczyzna.

Kobieta wiesza płaszcz. Obok przechodzi niechlujnie wyglądający kelner z gazetami na drewnianych prętach. Kobieta pyta o francuską prasę, jest jednak tylko „Le Temps”, odmawia więc uprzejmie.

Podchodzi do samotnego mężczyzny. Zagłębił się w gazetę, którą przyniósł ze sobą. Spostrzega kobietę, dopiero gdy ta odsuwa krzesło.

– *Tu m’as trouvé* – mówi do niej z uśmiechem.

Ma na sobie wysoko zapinany surdut nietypowego kroju o bardzo wąskich klapach i idealnie symetryczną muszkę. Jego jasne włosy lśnią od brylantyny. Kobieta uśmiecha się i kładzie na stoliku pęk sznurówek. Mężczyzna kręci głową.

– *Tu n’as pas une seule paire de bottes.*

Kobieta uśmiecha się i mówi, że ma kilka par, ale nie bardzo wie gdzie. Podchodzi kelner, by przyjąć zamówienie. Kobieta prosi o czarną kawę, zaraz jednak zmienia zdanie i wybiera café au lait. Mężczyzna kiwnięciem głowy wskazuje portfolio oparte o krzesło. Pyta, czy może zobaczyć odbitki.

– *Oui* – odpowiada kobieta. – *Juste après le café.*

Mężczyzna przyznaje, że rzeczywiście jest za wcześnie. Kelner stawia przed kobietą białą filiżankę i spodek. Z dwóch dzbanuszków nalewa w odpowiednich proporcjach parującą kawę i mleko. Kobieta mówi swemu towarzyszywi, by dokończył lekturę, on więc ponownie bierze gazetę.

Kobieta popija kawę. Bawi się płaską sznurówką, zawiązując ją w kokardkę. Mężczyzna rzuca okiem na jej dzieło i uśmiecha się. Unosi gazetę, wczorajsze wydanie „Neue Zürcher Zeitung”, i trzyma ją przed oczami.

Kobieta czyta mimowolnie tylną stronę. Raptem odwraca głowę w stronę tarasu kawiarni. Kelner w czarnym krawacie i długim białym fartuchu zamiata podłogę szeroką miotłą. Kobieta chwyta gazetę jedną dłonią. Prosi swego towarzysza, by nie odwracał strony. Jej oczy zawilgotniały i z trudem przychodzi jej czytanie ściśniętych gotyckich liter. Opuszcza dłoń.

– To nie pomyłka.

Mężczyzna pyta, co powiedziała. Kobieta zapewnia szybko, że mówiła do siebie. Mężczyzna ostentacyjnie składa gazetę i kładzie ją na stole.

– Chcesz przejść na angielski?

– Nie. Wolałabym nie.

– Nigdy nie tęsknisz za tym językiem?

– Oczywiście, że tęsknię.

Mężczyzna przygląda jej się ze zmarszczonym czołem, po czym woła kelnera i zamawia drugą kawę. Kobieta patrzy na złożoną gazetę, ale po nią nie sięga. Kiedy mężczyzna dostrzega łzy w jej oczach, wstaje i wyciąga chusteczkę. Kobieta odmawia.

– *Weź* – mówi mężczyzna. – *Masz mokrą twarz.*

Kobieta kręci głową i ponownie odwraca wzrok. Mężczyzna stoi przez chwilę niepewnie i znów siada. Kelner nalewa kolejną kawę z dwóch dzbanuszków. Zauważa, że kobieta płacze, i spogląda w bok, po czym odchodzi w kierunku baru.

Kobieta wstaje, jak gdyby zbierała się do wyjścia. Przeciera twarz grzbietem dłoni, ale nie

może powstrzymać łez. Dwaj kelnerzy szepczą coś za barem, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę dwojga gości. Kobieta bierze portfolio. Mężczyzna odzywa się łagodnym głosem i patrzy gniewnie na kelnerów. Kobieta zagryza wargę. Nieobecnym wzrokiem spogląda na plac. Wreszcie uspokaja się i znów siada.

– *Qu'est-ce qui ne va pas?*– pyta mężczyzna. – *Il faut me dire.*

Kobieta bierze do ręki jego papierośnicę i otwiera ją. Wkłada papierosa do ust. Mężczyzna sięga po zapalniczkę, ale zostaje uprzedzony. Kobieta sama zapala papierosa i zaciąga się dymem. Trzyma papierosa na wysokości oczu, przyglądając mu się uważnie. Jasna skóra jej dłoni jest mokra od łez. Lśniaca kropla ukryła się w zagłębieniu między kciukiem a palcem wskazującym.

– To nic takiego – mówi kobieta.

LOTNISKO



Dzień, w którym przypadł spadek, zastał mnie na szosie biegnącej z Djúpivogur na południe. Dreptałem w kółko, by się rozgrzać, czasem kopałem leżące na asfalcie kamyki. Od trzech godzin czekałem na jakikolwiek samochód, kiedy wreszcie wzeszło słońce.

Próbowałem nie myśleć o pieniądzach. Paski od ciężkiego plecaka wrzynały mi się w ramiona, zdjąłem go więc i położyłem na poboczu. Dla zabicia czasu przyglądałem się białym mewom. Myślałem o matce i babci. Zastanawiałem się, czy ludzie mający sto milionów dolarów również umierają na raka tak zwyczajnie, jak inni. Może tak. Podniosłem kawałek lawy z pobocza i rzuciłem w stronę oceanu.

Po południu niebo zasnęło się chmurami. Zszedłem w stronę fiordu i zjadłem obiad składający się z sera i czerstwego chleba, które wyciągnąłem z plecaka. Potem położyłem się na czarnym piasku i oglądałem chmury. Była pierwsza pięćdziesiąt. Czyli druga pięćdziesiąt w Londynie. Czy spadek przypadnie o północy? A może w chwili gdy Prichard zadzwoni do bankiera z City i zleci mu transfer pieniędzy? Rozmyślałem o Ashleyu i Imogen, o tamtej chwili w 1916, kiedy wymienili pierwsze spojrzenie o liście napisanym dwa miesiące później, w którym Ashley mówił, że wszystko, co ma i kiedykolwiek będzie miał, należy do niej. Niedługo pieniądze czekające osiemdziesiąt lat wymieszają się z innymi pieniędzmi i nikt już nie będzie umiał ich odróżnić. Niedługo nikt nie będzie miał powodu, by o nich myśleć.

Zamknąłem oczy i spałem, póki nie wzmógł się wiatr.

Tego popołudnia nie pojawił się już żaden samochód. O zmierzchu udałem się do wioski i znalazłem mały hotel w porcie. Poprosiłem o najtańszy pokój i dostałem klucz do sypialni na poddaszu, mieszczącej sześć łóżek piętrowych. Restauracja była zamknięta, zresztą i tak nie miałem już pieniędzy. Otworzyłem scyzorykiem puszkę fasoli kupioną w Reykjavíku i zjadłem ją na zimno, siedząc na łóżku i wyglądając przez niewielkie okno.

Wyjąłem z plecaka notes w nadziei, że czytanie zapisków o ludziach, których spotkałem w Europie, pozwoli mi zrozumieć, co tak naprawdę tu robiłem. Chciałem pamiętać Karin i Christiana, Mohammeda i starego Desmarais, nawet kierownika berlińskiej poczty. Przede wszystkim zaś chciałem pamiętać Mireille. Kartkowałem powoli strony. Znalazłem ledwo kilka wzmianek; większość zapisków dotyczyła Ashleya i Imogen. Pytania i tropy, godziny pociągów i samolotów, adresy bibliotek i archiwów. Znalazłem wreszcie notatki z dnia, w którym spotkałem Mireille.

Paryż, 4 września

Wczoraj znalazłem obraz – okazał się sztuką abstrakcyjną, nic nie przedstawiał. Nie mogę znieść myśli o tym, ile zmarnowałem czasu.

Kupiłem bilet do Amiens, potem bląkałem się po raz ostatni po mieście. W barze w Dzielnicy Łacińskiej spotkałem dziewczynę o imieniu Mireille. Spędziłem całą noc z nią i jej przyjaciółką – ponoć po francusku mówi się na to „une nuit blanche”. Dzisiaj wyjeżdżamy razem do Pikardii pociągiem odchodzącym o pierwszej. O ile ona w ogóle się pokaże.

Najbardziej dręczy mnie jedna rzecz: nadal nie wiem, po co w ogóle Imogen przyjeżdżała do Francji.

Zgasilem światło i położyłem się do łóżka. Wiedziałem, że muszę oderwać się od tych wydarzeń, im usilniej jednak próbowałem, tym bardziej kurczowo się ich trzymałem. Próbowałem myśleć o dniach po pogrzebie mojej matki, kiedy ojciec spakował wszystkie jej ubrania i zaprosił swoje siostry. Siostry otwierały szafy, oglądały buty, płaszcze i torebki, lecz ostatecznie nic nie wzięły. Pamiętam, że przyglądałem się jakiejś parze butów. Nie były nawet wykonane z prawdziwej skóry.

Po drugiej wstałem z łóżka. Włączyłem światło i wyciągnąłem plastikową teczkę z listami Imogen, kserówkami i papierami otrzymanymi w kancelarii Twyning & Hooper. Z górnej kieszeni plecaka wyjąłem zapalniczkę i poszedłem do maleńkiej łazienki. Notes i wszystkie papiery włożyłem do umywalki. Stałem nad nimi, trzymając zapalniczkę. Koperty wilgotniały powoli od kropli wody na porcelanie.

Po chwili przyłożyłem płomień do papierów. Usiadłem na wyłożonej kafelkami podłodze i zacząłem płakać.

Tej samej nocy śniłem, że jestem w Paryżu. Miałem spotkać Mireille w muzeum, gdzie jej grupa z akademii przyszła szkicować marmurowe rzeźby. Dotarłem na miejsce przed czasem i ujrzałem ją na drugim końcu sali. Siedziała na ławce obok Claire. Na kolanach trzymała duży szkicownik. Postanowiłem przejść się po muzeum, czekając, aż skończą rysować.

W ciemnej galerii na piętrze ciągnęły się długie rzędy portretów. Wszystkie wyglądały znajomo, choć niektóre liczyły sobie setki lat. Doszedłszy do końca korytarza, stanąłem przed obrazem przedstawiającym obcą kobietę. A jednak natychmiast ją rozpoznałem. Przez chwilę patrzyłem na obraz i wróciłem na dół. Zajęcia Mireille już się skończyły.

Rankiem padało, ale czekałem przy szosie, choć jeszcze nie było szóstej. Dwadzieścia minut później zatrzymał się przy mnie elektryk w białej furgonetce; okazało się, że jedzie aż do Reykjavíku. Po południu wysadził mnie przy szosie wiodącej na lotnisko Keflavík. Ruch był tu gęstszy i po zaledwie paru minutach złapałem podwózkę.

Kiedy wreszcie docieram na lotnisko Keflavík, dowiaduję się, że samolot do Paryża już odleciał. Agentka wyszukuje dla mnie połączenie przez Kopenhagę za dwadzieścia dwa tysiące koron. Samolot startuje za półtorej godziny. Nie mam pojęcia, czy Mireille wyjdzie mi na spotkanie.

Wyciągam banknoty z kieszeni i kładę je na ladzie wraz z saszetką pełną monet. Przeliczam wszystko, ale brakuje mi prawie dwóch tysięcy koron. Kobieta patrzy na mnie podejrzliwie.

– Nie ma pan karty kredytowej?

– Brak środków.

Grzebię w plecaku i znajduję banknot dwudziestofuntowy, ukryty w podszyciu. Biegnę do kantoru Landsbanki i zamieniam banknot na dwa tysiące pięćset koron. Kupuję bilet i przechodzę przez odprawę. Z automatu telefonicznego niedaleko bramki dzwonię do Mireille, lecz odzywa się tylko jej poczta głosowa. Nagrywam krótką wiadomość.

– Tu Tristan. Wracam. Będę na lotnisku de Gaulle'a o piątej piętnaście, terminal pierwszy, lot SAS z Kopenhagi. Mam nadzieję, że przyjdiesz...

Odkładam słuchawkę i biegnę przez terminal do bramki. Samolot jest w połowie pusty, mam więc dla siebie cały tylny rząd. Stewardesa objaśnia procedury bezpieczeństwa po islandzku i po duńsku, podczas gdy ja mocuję się z pasem.

Dobrze, że nikt koło mnie nie siedzi, jestem bowiem brudny, nieogolony, czuję, jakbym się od miesiący porządnie nie wyspał. Skóra spękała mi od islandzkich wiatrów. Powiniennem obciąć włosy, po całych tygodniach w plecaku moje ubrania są pobrudzone i wymięte.

W hostelach mogłem je prać tylko kostką mydła przy zlewie. Zastanawiam się, jak będzie wyglądać Mireille, ale oczywiście nie wiem, czy w ogóle zechce wyjść po mnie na lotnisko. Im usilniej próbuję wyobrazić sobie nasze spotkanie, tym czarniejsze myśli mnie ogarniają, gdy więc samolot startuje, skupiam umysł wyłącznie na rzeczach, których mogę być pewien. Próbuję odtworzyć przed oczyma duszy Paryż, jego parki i bulwary. Trudno jednak zignorować fakt, że za cztery godziny wyląduję tam bez pieniędzy i bez miejsca na nocleg.

Z kopenhaskiego lotniska znów dzwonię do Mireille – bez skutku. Zostawiam jej wiadomość i piszę e-mail z płatnego komputera obok kawiarni. Potem siadam przy bramce i patrzę, jak samolot do Paryża tankuje paliwo. Trzymam ręce w kieszeniach i pod palcami czuję chłodne srebro broszy.

– Panie i panowie, z przyjemnością zapraszam pasażerów lecących lotem pięćset pięćdziesiąt dziewięć do Paryża na lotnisko Charles de Gaulle...

Siadam w drugim rzędzie samolotu. Kobieta przy przejściu patrzy, jak wpycham plecak do schowka na bagaż podręczny i przeciskam się do okna. Parę minut po starcie zamyka czasopismo i pyta, skąd jestem. Ma irlandzki akcent.

– Amerykanin w niemieckiej kurtce – mówi – błąka się z plecakiem po całej Europie. Słyszałam o tego typu podróżach. Jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Paryżu; coś w tym rodzaju, tak?

– Mniej więcej.

– Brzmi ekscytująco. Jak się panu podoba Europa?

Wyglądam za okno i patrzę na chmury w dole.

– Oczywiście – dodaje kobieta – Europa nie każdemu przypada do gustu...

– Ja jestem w niej zakochany.

Na lotnisku de Gaulle'a wysiadam z samolotu jako pierwszy. Za barierką w hali przylotów czeka spory tłum ludzi. Jest w nim Mireille.

Nachyla się, oparta łokciami o barierkę, chowa twarz w dłoniach. Gdy mnie widzi, prostuje plecy i otwiera usta, ale zasłania je ręką, jak gdyby zawstydzona. Biegnie wzdłuż barierki, znika i pojawia się za plecami rodzin z wózkami, szoferów trzymających tabliczki z nazwiskami. Gdy się spotykamy, chwyta mnie za rękę.

– *Suis-moi.*

Wyprowadza mnie z terminalu przez automatyczne drzwi. Jesienne powietrze jest chłodne. Idziemy szybkim krokiem. Mijają nas samochody i autobusy, zatrzymujące się, by zabrać pasażerów. Stajemy za drzewem w doniczkach. Obejmuję ją, przyciągam blisko i całuję. Ma ciepłe usta. Uśmiecha się, wyciera łzę i ze śmiechem szepcze me imię. Biorę jej twarz w dłonie i całuję ją ponownie. Mija nas rząd taksówek i pracownik obsługi lotniska, pchający długą kolejkę wózków.

Mireille trzyma moją dłoń. Dostrzega cienką rankę i wykrzywia twarz.

– Skaleczyłeś się.

– To z Islandii, przewróciłem się i rozciąłem dłoń o kawałek ostrej lawy.

Mireille unosi moją dłoń do ust i całuje ją lekko.

– Przepraszam, że niezbyt dobrze radziłam sobie z czekaniem. Po prostu bałam się, że nie wrócisz. Ale wróciłeś i nie chcę żadnych wyjaśnień.

– Nie dostałem pieniędzy.

Mireille patrzy na mnie. Włosy urosły jej przez miesiąc, sięgają teraz za uszy. Jej szare oczy są blade w słońcu.

– Spóźniłeś się?

– Okazało się, że mi się nie należą – mówię, kręcąc głową.

Dziewczyna zerka na przejeżdżające taksówki i splata swe palce z moimi. Ruszamy w kierunku stacji kolei miejskiej. Wreszcie Mireille odzywa się:

- A więc miałeś rację. Znalazłeś to, czego szukałeś.
- Wygląda na to, że tak.
- Czyli co dokładnie?

Sięgam do kieszeni i wyciągam islandzkie monety, grube, z wizerunkiem ryby na rewersie. Wręczam je Mireille.

- Co to takiego?
- Trzysta pięćdziesiąt koron. Jakieś cztery euro. Nic więcej mi nie zostało.
- To nieprawda.

Mireille chowa monety, a ja obejmuję ją ramieniem.

- Jaka jest tu zima?
- Ciemna i mroźna – odpowiada Mireille. – Ale jakoś sobie z tym poradzimy.

EPILOG



Burza, w której zginął Ashley Walsingham, nie miała związku z monsunem. Zaczęła się trzy tygodnie wcześniej wskutek spadku ciśnienia nad szmaragdowymi wodami wschodniej części Morza Śródziemnego.

Daleko przewędrowała na spotkanie ekspedycji. Posuwała się na wschód ponad jałowym pustkowiem północnej Arabii. Przecięła Afganistan, szykując się nad śnieżnymi szczytami jedwabnego szlaku w Hindukuszu. Minęła wzniosłe K2 wzdłuż granicy Republiki Chińskiej i księstwa Dżammu i Kaszmiru, podążając dalej, ponad lodowcami Karakorum.

Pod koniec maja anomalia dotarła do masywu Himalajów, a ściślej – gór znanych dziś jako Annapurna, Ama Dablam i Makalu. Wtedy jeszcze nie zdobył ich – ani nawet nie postawił na nich stopy – żaden Europejczyk. Burza runęła gęstym śniegiem i wywołała potężną zamieć na przełęczach zachodnich Himalajów. Siódmego czerwca 1924 roku z pełną siłą uderzyła w północną ścianę Mount Everestu na terenie Tybetu.

Tego samego dnia w Obserwatorium Alipore w Kalkucie, trzysta osiemdziesiąt pięć mil na południe od Mount Everestu, dyżurny meteorolog doktor S.N. Sen wyszedł na zewnątrz z księgą i ołówkiem, by zanotować popołudniowe odczyty temperatury. Było za sześć czwarta. W powietrzu unosiła się duchota.

Idąc trawnikiem na tyłach obserwatorium, Sen otarł płócienną chusteczką pot z karku i czoła, po czym spojrział w niebo. Kilka chmur z gatunku *cirrus fibratus* majaczyło na wschodzie. Poza tym niebo było przejrzyste i lazurowe.

Myśl Sena pobiegła ku azjatyckiemu monsunowi. Meteorolog słał codzienne telegramy do członków wyprawy na Mount Everest z nowymi danymi na temat możliwej daty uderzenia monsunu. Obliczenia sprawiały sporo trudności. Trzeba było przykładowo wziąć pod uwagę złożone interakcje afrykańskich, równikowych i himalajskich mas powietrza, ruch wsteczny cyklonów opodal Zatoki Bengalskiej, drogę burz z zachodu idących przez subkontynent. Właśnie tego rodzaju burza powinna była niedługo dotrzeć do Mount Everestu. Sen zjadł lunch przy biurku, studiując problem. Przed sobą miał rozłożone poranne dane o pogodzie, najnowsze telegramy otrzymane z tuzina stacji meteorologicznych w całych Himalajach.

– Czternasty czerwca – mamrotał Sen pod nosem. – Nie wcześniej.

Dotarł do klatki meteorologicznej mieszczącej termometry. Klatka zbudowana była z lakierowanej sosny, jej ściany tworzyły podwójne żaluzje. Podniósł skobel i popatrzył na cztery termometry znajdujące się w środku, starannie przyglądając się drobnym czarnym podziałkom. Temperatura wynosiła dziewięćdziesiąt jeden i dwie dziesiąte stopnia Fahrenheita.

W bazie wyprawy na Mount Everest u stóp lodowca Rongbuk na wysokości osiemnastu tysięcy stu dziewięćdziesięciu stóp doktor Hingston odczytał o szesnastej pomiary meteorologiczne. Czynił to każdego dnia. Hingston pełnił funkcję lekarza, był jednak także przyrodnikiem, a problematyka klimatu niezmiernie go interesowała.

W prowizorycznym pudełku w namiocie trzymał termometr maksymalny i minimalny, oba w skrzynce obitej marokinem. Zerknął na wskaźnik w szklanym cylindrze termometru maksymalnego. Za plecami czuł wiatr uderzający w ścianę namiotu. Wcześniej termometr wskazywał trzydzieści trzy stopnie, teraz jednak słupek rtęci opadł do jedenastu. Hingston zanotował to w zielonych kolumnach rejestru meteorologicznego.

Następnie na kilka minut włożył sobie pod pachę zimny termometr alkoholowy.

Przechadzał się wśród pyłu i żwiru, patrząc na opadający czerwony płyn. Jednym okiem zerkał wciąż na wskazówkę sekundową swego zegarka. Potem rozłożył na kamieniu płachtę ciemnego futra i umieścił nad nią termometr z czarnym zbiorniczkiem. Oparł czubek buta o kamień i czekał, aż słupek powędruje w górę.

Omiótł wzrokiem krajobraz. Głazy, które wiatr rzeźbił od stuleci, były od strony nawietrznej poryte i pokaleczone, od strony zawietrznej zaś gładkie i lśniące. Wyglądem przypominały mu rafę koralową. Hingstona często zdumiewało, jak różnorodne są warunki, w jakich przychodzi istnieć martwym obiektom i żywym istotom, jak różne są sposoby adaptacji ssaków, insektów i ptaków do życia w tym wrogim świecie.

Znaki były wszędzie. Ziarnojady i wróble chroniły się między kamieniami, w murach wiejskich chat lub w ciepłych podziemnych norach zajęcy, gdzie osłaniały swe delikatne pióra przed wiatrem. Wronczyki o czerwonych dziobach stawiały czoła zamieciom, trzymały się kurczowo ziemi na tyle długo, by zdążyć skubnąć nędznej trawy. Himalajskie motyle zamieszkiwały miejsca zupełnie zapomniane przez Boga, jałowe ziemie, aż do wysokości siedemnastu tysięcy stóp. Żle radziły sobie na takich wysokościach, potrafiły jednak ukryć się przed wiatrem i wiedziały, że latać należy wyłącznie wtedy, gdy powietrze jest względnie nieruchome. Tutejsze żuki zaś, jeśli podmuch wiatru strącił je z wyki czy irysa, padały na ziemię jak martwe, budziły się jednak do życia, kiedy przychodziła poprawa pogody.

Hibernacja stanowiła regułę. Wyprawa dotarła do Tybetu w kwietniu. Kraj zdawał się wtedy szary i wyniszczony. W rzeczywistości jednak po prostu spał. Małeńki wszechświat przeczekiwał złą pogodę. Hingston często demonstrował to swym towarzyszom. Podnosił kamienie, by odsłonić śpiące stonogi, drzemiące kolonie mrówek, pająki schowane w pustych muszlach ślimaków. Projekt natury nie miał wad, imponował swą perfekcją.

Hingston uniósł termometr i zmrużył oczy, żeby odczytać pomiar.

– Trzyście przecinek trzy.

Było mu bardzo zimno. Zaraz trzeba będzie zawołać Kamiego, by zaparzył herbaty.

W obozie III, cztery tysiące stóp wyżej, pułkownik Norton leżał w puchowym śpiworze i przygotowywał korespondencję dla londyńskiego „Timesa”. Na zewnątrz huczał wiatr. Nagle pułkownik spojrzał na zegarek.

– Czwarta! – zawołał.

– Cholerny ziąb! – odkrzyknął Somervell z sąsiedniego namiotu. – Chyba tyle informacji wystarczy?

– W Kensington oczekują czegoś więcej.

Somervell zakaszał, wczołgał się do rozkołysanego wiatrem przedsionka namiotu i przyjrzał się parze termometrów. Rzucił okiem na czerwony płyn w niższym urządzeniu, potem odwrócił skrzynkę, by oba wyzerować. Słupki od razu popędziły w dół.

Somervell zanotował, że temperatura wynosi minus siedem stopni Fahrenheita.

Oszacował prędkość wiatru na pięćdziesiąt mil na godzinę, co dawałoby dziewięć w skali Beauforta. Ale Somervell mógł jedynie zgadywać. Zresztą wiatry morskie miały się nijak do wiatrów tu, na górze, tak samo jak niskie temperatury w Arktyce były znacznie mniej dotkliwe niż na Mount Evereście, gdzie głodne tlenu ludzkie ciało nie potrafiło się rozgrzać.

Somervell uniósł twarz i spojrzał na górę. Chmury wirowały wokół, okrywając wszystko bielą. Gdzieś pośród tych chmur znajdowali się Price i Walsingham. Somervell pomyślał, że w wyższych obozach temperatura spadnie pewnie o dobre dwadzieścia stopni. Nie mówiąc już o potężnym wietrze.

Kilka godzin później Hugh Price chwiejnym krokiem schodził z północnego grzbietu Everestu, szukając w gasnącym świetle obozu VI. Był to najwyższy położony obóz, jaki rozbito

kiedykolwiek w ludzkiej historii. Znajdował się na wysokości dwudziestu sześciu tysięcy ośmiuset stóp. Price'a nękała śnieżna ślepotą, widział wszystko jak przez mgłę i dwoiło mu się w oczach. Namiot dostrzegł więc dopiero, gdy już znalazł się bardzo blisko niego. Rozkołysana plama zielonego płótna widniała na półce ostrych skał. Price gwałtownie odwiązał wejście i zanurkował do środka, ciężko dysząc. Wszystko było pokryte śniegiem. Płótno krzyczało, smagane wiatrem.

Price ściągnął buty i próbował ponownie zawiązać troki u wejścia. Panowała ciemność, palce miał zupełnie zdrętwiałe, toteż prosta czynność zajęła mu kwadrans. Strząsnął bryłki lodu z jednego ze śpiworów i wsunął nogi do środka. Pomyślał, że całkiem przemoknie, jeśli śnieg i lód stopią się od ciepła jego ciała. Obok leżał śpiwór Ashleya. Price'owi przemknęło przez głowę pytanie, czy Ashley dotarł do szczytu. W tej śnieżycy zdawało się to niemożliwe.

Usiadł i w ciemności wymacał zapalki. Musi zapalić lampę i flary magnezowe, by Ashley zdołał wypatrzeć namiot. Jego dłoń natrafiła na puszkę kawy z mlekiem, kompas, pustą manierkę. Sapał ciężko i znów zagłębił się w śpiworze. Był zbyt wymarznęty. Należało coś zjeść, ale Price nie czuł głodu, tylko potworne pragnienie. Woda jednak się skończyła, a on nie miał siły topić śniegu na kuchence. Pomyślał o nadchodzących godzinach agonii, o bezsensnym majaczeniu, o koszmarnym pragnieniu, chłodu i wyczerpania. Czy przeżyje tę noc? Drugi śpiwór nadal leżał obok.

Oddam go Ashleyowi, kiedy wróci, pomyślał.

Opatulony własnym śpiworem wślizgnął się do środka i zapadł w sen.

Dziennik lamy klasztoru Rongbuk podaje, że trzeciego miesiąca Roku Szczura w piętnastym cyklu rab-byung w klasztorze zjawiała się grupa trzynastu europejskich dżentelmenów w towarzystwie setki tragarzy i trzystu zwierząt jucznych. Dżentelmeni przynieśli lamie wspinałemu dary. Poprosili o błogosławieństwo dla swej ekspedycji, zamierzali bowiem wspiąć się na najwyższą górę świata w poszukiwaniu sławy i chwały. Lama ostrzegł wspinaczy, że kraj ten jest bardzo zimny. Tylko ludzie cnotliwi i pobożni przetrwają tutejsze warunki. Europejczycy jednak nie ustępowali przez kilka tygodni. W drodze do szczytu rozbili siedem kolejnych obozów. Używali żelaznych ćwieków i łańcuchów, by pokonać Czomolungmę. Ostatecznie ponieśli klęskę. Wrócili do klasztoru, by poprosić o błogosławieństwo dla towarzysza, który zginął, próbując zdobyć górę. Lama z wielkim przejęciem poprowadził ceremonię. Wiedział, że dusza zmarłego przecierpiała niewypowiedziane męki – a wszystko zupełnie na próżno.

Ciała Ashleya Walsinghama nigdy nie znaleziono. Nie wiemy, czy zginął wskutek upadku, czy też na górze zastała go noc. Setki ciał znajdują się na Evereście. Nigdy nie uda się ich znieść z wielkiej wysokości. Walsingham nie zaszedł na rekordową wysokość, nie postawił stopy na nieznanym wcześniej gruncie. Jego nazwisko przetrwało jedynie w annałach ludzkich podróży, i to zaledwie jako przypis. Ostatnimi czasy zresztą annały owe mało kto czyta i mało kto podziwia ich bohaterów.

Musiały upłynąć dziesięciolecia, nim ludzie weszli na Mount Everest. W niczym prawie nie przypominali wspinaczy z roku 1924. Dotarli na szczyt inną trasą, w jasnym porannym słońcu. Zнали nazwiska swych poprzedników, po świecie tamtych niewiele jednak pozostało. Nowi himalaiści nie wzięli ze sobą ogromnych butelek szampana, antologii poezji czy prozy, ręcznie dzierganych skarpet ani swetrów. Nie chowali w bagażu skrawków materiału, ocalonych z okopów Pikardii czy Ypres. Ci, którzy pokonali wreszcie Mount Everest, znajdowali górę znacznie mniej niezwykłą niż pierwsi śmiałkowie. Tak też będzie z każdym kolejnym pokoleniem, aż wreszcie tajemnica załśni na chwilę w ostatnim zielonym rozbłysku zachodzącego słońca, potem zaś zniknie już na zawsze.

Podziękowania

Dorianowi Karchmarowi, Marysue Rucci, Simone Blaser, Emily Graff, Jonathanowi Karpowi, Richardowi Rhorerowi, Andrei DeWerd, Cary'emu Goldsteinowi, Sarah Reidy, Lorecie Denner, Jackie Seow, Ruth Lee-Mui, Christopherowi Linowi i całemu zespołowi wydawnictwa Simon & Schuster. Raffaelli De Angelis, Jasonowi Arthurowi, Cathryn Summerhayes, Johnowi McGhee oraz Jeffowi Kleinmanowi.

Marlene Dunlevy, Ryanowi Bowmanowi, Ericowi Bainowi, Benowi Urwandowi, Emily Cohen, Ryanowi Wilcoxonowi, Elizabeth Beeby, Adamowi White'owi, Lesliemu Henkelowi, Alice Brett i Catherine Foley. Mojemu ojcu i mojej matce; mojemu rodzeństwu: Brandonowi, Alyssie i Lucianowi.

Wszystkie opisane tu wydarzenia są fikcją, lecz mam duży dług wdzięczności wobec osób, których biografie stanowiły dla mnie inspirację. Są wśród nich Wilfred Owen, George Leigh Mallory, Robert Graves, Vera Brittain, Virginia Woolf, Siegfried Sassoon, T. Howard Somervell, J.B.L. Noel, Geoffrey Winthrop Young oraz F.S. Smythe. Ich przeżycia, zapisane w listach, pamiętnikach, dziennikach, wierszach i dziełach, natchnęły mnie do napisania tej powieści.

Wszystkim wyżej wymienionym, a także wszystkim ludziom, którzy pomogli nieznanemu w jego podróżach –

Dziękuję

